

Hartelion Fanagann

Selistis



Tytułem wstępu
Geneza Zamku

- Skąd biorą się zamki, pytasz?

Zgarbiony nad kuflem starzec wydawał się zafrasowany tak postawionym pytaniem. Niby kwestia zdawałoby się oczywista, a przecież niewielu zna poprawną odpowiedź.

- Przed laty, panie, powiedziałbym, że budują je ludzie. Dziś, szczerze mówiąc, nie byłbym tego taki pewien. - Zmarszczył czoło, dumając nad tą ważną sprawą. - Otóż, panie, osobiście uważam, że wyrastają z ziemi jak drzewa. Tyle że znacznie szybciej - zakończył.

- O, tak! - przytaknął mu tłum chłopów siedzących w karczmie. Młody wędrowiec z pewnością uznałby starca za obłąkanego,

gdyby nie fakt, że na to pytanie wpadł krótko po przeprowadzeniu bardzo wnikliwej analizy szyldu tej karczmy, do której zajechał całkiem przypadkiem. Ów szyld brzmiał bowiem dość nietypowo, a mianowicie „Pod Znikąd Wziętym Zamkiem”.

- Prawdę mówi! - Do dyskusji włączył się siedzący tuż obok pijaczyna. - A jak nie wierzysz, spytaj tego tu oto karczmarza! -dodał.

Karczmarz, jakkolwiek poruszył się, gdy usłyszał, że o nim mowa, nie odezwał się ani słowem. Może czekał, aż podróżny sformułuje pytanie? Nie, raczej nie. Wzruszył jedynie ramionami i wrócił do polerowania kufli.

Tak, ciekawość wędrowca na wieki pozostałaby niezaspokojona, gdyby nie nagłe wtargnięcie do karczmy pewnej całkiem energicznej blondwłosej damy.

- Czołem, załogo! - wykrzyknęła. - Kolejka dla wszystkich! - rzuciła z uśmiechem, sprawiając, że całe towarzystwo natychmiast promieniało radością.

- Oooo, taaaak!

Dziesiątki kufli uniosło się ku chwale nowo przybyłej, po czym z równym entuzjazmem ułożyło się w rzędzie na ladzie. Karczmarz schował twarz w dłoniach w geście rozpaczony. Należałoby sądzić, że właściciel wyszynku powinien być cały w skowronkach, że interes się kręci i ma kto kufle chłopstwu zamkowemu stawiać. Jednak na tym zamku, na skraju dziczy, gdzie nikt bez potrzeby nie zagląda, jeśli mu nie po drodze, niewiele rzeczy zdawało się funkcjonować zgodnie ze zdrowym rozsądkiem. Stąd karczmarz zamiast się cieszyć - rozpaczał.

- Pani! - zawołał jeden spod lady. - Ten oto podróżnik nie dowierza, że zamki spod stóp naszych wyrastają.

- A tak, mości panie! - przytaknęła bez chwili zastanowienia niewiasta, wspierając się pod boki. - Jak żyję, tak mówię: z ziemi wyrastają!

Widać było po wykwinnym stroju i zupełnie prostej postawie, jakiej wielu patronów karczmy mogło jej tylko pozazdrościć, że nie byle dama i wcale nie po kilku głębszych głupoty wygaduje. Nie należy jej słów tak od razu wkładać między bajki. Podróżnik zdziwił się więc jeszcze bardziej i ostatecznie już zrezygnował z myśli, że dowie się tu czegokolwiek sensownego o zamkach.

Dostrzegłszy to zwątpienie na jego twarzy, dama sięgnęła po swój kufel, siadając na ławie przy pewnym staruszką, który siedział na wprost podróżnego.

- Hej - szturchnęła starca w bok - weź mu opowiedz, bo i mnie nie wierzy.

Starzec, co wiele wiosen miał już na karku, a mimo to w służbowym siedział szyszaku, westchnął, jakby tę samą historię już setny raz miał opowiadać.

Lecz westchnienie tylko na pozór sugerowało wysiłek, jaki musiał podjąć. Prawdę mówiąc, był rad, że mógł szczycić się opowiadaniem tej właśnie rozpowszechnianej przez niego wokoło historii. Był dumny z tego, że przez lata zdołał pozbierać tak wiele z jej kawałków. Odchrząknął, ułożył się na swym wygrzanym miejscu przy ławie i po namyśle przepłukał jeszcze gardło trzymanym w kuflu trunkiem. Karczmarz pospiesznie uzupełnił kufel i obok postawił następny, wiedząc, że historia na samym streszczeniu się nie skończy.

Tak zatem, gdy tego ciepłego dnia słońce dopiero zmierzało, by wkrótce schować się za horyzont, starzec rozpoczął swą opowieść w nadziei, że raz na zawsze przekona siedzącego przed nim niedowiarka, iż zamków za nic nie wznosi człowiek. Zamki bowiem wyrastają z ziemi jak drzewa. Tyle że znacznie szybciej.

Prolog

Zakłady z diabłem

Wyjmując z torby dziesiątą już chyba mapę, sfrustrowana kobieta ciężko westchnęła, pojmując, że i do tej mapy nic w okolicy nie chciało w żaden sposób pasować. Sama za bardzo do krajobrazu też nie pasowała, ubrana w przedziwny jak na te okolice strój: czarny płaszcz, długie kozaki i białą koszulę, której rękawy wystawały nieco spod płaszcza i która przykryta była czarną kamizelką. Szwy kamizelki zdobiły podchodzące pod czerń czerwone paski. Podobnym kolorem wykończone były końcówki rękawów kamizelki i pół płaszcza. Zdobienia swym odcieniem były prawie nierozróżnialne od barwy jej stroju. Dołóżmy do tego krótko przycięte kruczoczarne włosy i mamy już pełny obraz istoty jakby wyciętej z czarno-białego pejzażu rzuconej na wielobarwne tło łąk i nieba. Intrygujące, choć odrobinę odstrasające malowidło.

Obracając mapę w jedną i w drugą stronę, kobieta krzywiła się z dezaprobatą.

- Taa... tutejsi kartografowie doskonale znają się na swoim fachu - wymamrotała przez zęby, po czym, zgniatając mapę w garści, rzuciła ją za siebie. Nie znajdując lepszego kierunku, podreptała dalej wydeptaną wśród zieleni drogą.

Miała poważny problem, bo w tych stronach, prócz ciągnących się po horyzont pól kwiatów i niewysokiej trawy, sporadycznie

urozmaicanych samotnie rosnącymi drzewami, jedynym wyróżniającym się elementem była właśnie ta droga. Z pewnością jedynym, na co nie mogła narzekać w czasie podróży, były widoki - rzeczywiście piękne.

* * *

- Uch... nie mogliście w tej przeklętej krainie wybudować czegoś ciekawszego? Ciągłe tylko pola i pola! - Sfrustrowana podróżująca, która w końcu natrafiła na jakieś oznaki cywilizacji, wykrzyczała swe żale do ucha na wpół przytomnego jegomościa leżącego beztrąsko na ziemi.

Ten zdawał się jednak zbytnio nią nie przejmować. Mogło to wynikać z faktu, że właśnie przed chwilą wyleciał z dość dużą siłą drzwiami pobliskiej karczmy.

- Tak w ogóle, to uważaj, jak lecisz. Pobrudziłeś mi buty - dodała z wyrzutem kobieta, widząc, że zamiast słuchać jej cennych uwag, jegomość uciął sobie drzemkę.

Z niesmakiem obejrzała swoje buty, stając u progu tętniącej życiem, wypełnionej dźwiękami muzyki i łamanych na plecach krzeseł karczmy. Skoro dotarła do skrzyżowania, które prawie na pewno było na jednej z tamtych map, należał się jej odpoczynek. Zwłaszcza że zbliżał się już wieczór. Biorąc pod uwagę, że ten właśnie wyszynk był jedynym domostwem, jakie widziała przez ostatnie kilka dni, zrezygnowana skierowała swe kroki ku drzwiom otwartym przez uprzejmego, choć nieprzytomnego już jegomościa. Weszła do karczmy o zagadkowym szyldzie „Bliżej niż Dalej”.

- Karczmarz! Coś mocniejszego, proszę! - zażądała, gdy tylko udało się jej dotrzeć przed kontuar, nie raniąc przy tym zbytnio leżących pośród nóg od ław i fragmentów stołów uczestników organizowanej właśnie imprezy.

Niewielu z nich tak naprawdę wiedziało, że w ogóle w jakiejś balandze bierze udział, a jeszcze mniejsza ich liczba wciąż stała

na nogach. To, oczywiście, nie przeszkadzało nikomu dobrze się bawić.

Karczmarz zlustrował kobietę zaskoczonym spojrzeniem. W karczmie zapanowała prawie idealna cisza. Można by oczekiwać, że w takiej chwili jedynym panującym odgłosem będą jęki leżących na ziemi awanturników. Jednak byli to w istocie prawdziwi profesjonaliści. Każdy z nich był pod wpływem wystarczająco dużej ilości alkoholu, by nie czuć absolutnie niczego, co mogłoby przeszkodzić w zabawie. Pozostało zatem chrapanie tych mniej profesjonalnych, którzy przedwcześnie zakończyli swój udział w imprezie.

- Spokojnie, chłopaki, nie przerywajcie sobie. Ja tu tylko na jednego głębszego - rzuciła przez ramię kobieta, widząc, jak wielką konsternację wywołała jej obecność.

Trudno stwierdzić jednoznacznie, co kłębiło się w umysłach owych „chłopaków”, gdyż zamarli, spoglądając po sobie pytająco. Najwyraźniej nie spotkali się jeszcze z tak trudną sytuacją jak obecność w karczmie kobiety. Zmuszeni byli odczekać chwilę, aż ich mózgi wypracują odpowiednią do sytuacji reakcję.

Na uwagę zasługiwało jednak zachowanie stojącego w samym środku zbieraniny całkiem niezłe zbudowanego mężczyzny, który nader szybko zorientował się, że przebywa w towarzystwie niewiasty. Wypiął pierś i spokojnie rzucił w kąt trzymanego w ręce towarzysza. Musiał być trochę zawiedziony, gdy z westchnieniem odkładał na podłogę połowę ławy, którą jeszcze przed chwilą zamierzał doszczętnie już na czyjejs głowie rozwalić. Zajął miejsce przy ladzie w stosownej odległości od zakłócającej naturalną harmonię karczmy podróźniczki i zamówił piwo.

- Nieźle tankujesz! - Nie mógł powstrzymać się od komentarza, widząc, z jaką szybkością owa dama opróżnia swój kufel. -Wiem, co mówię, bo siedzę w tym od wieków - dodał, z dumą delektując się swoim trunkiem.

- To widać - odparła, spoglądając na niego kątem oka.

Wysoki, umięśniony brunet w podartym lekko, dość wykwinnym kostiumie, który brązową skórę łączył podkładkami z ciemnoniebieskiego materiału, wyglądał na całkiem trzeźwego. Albo dobrze się maskował, albo większą przyjemność sprawiało mu obijanie towarzyszy mniej sprawnych w kwestii reakcji na lecący ku ich głowom kufel. Wiek przy tym niósł podwójną korzyść, bo był na tyle młody, by siłą nad większą częścią zgromadzonego w karczmie towarzystwa górować, a mimo wszystko stosownie już w takich bojach był doświadczony, by młodzieńczych błędów w nich nie popełniać.

- Rozsławiając ród Memów, za punkt honoru postawiłem sobie, by w kunszcie picia nikt nie był w stanie dotrzymać mi kroku -odparł, jeszcze bardziej wypinając pierś. - Co miało znaczyć „To widać”? - dodał po zatrważająco długiej chwili milczenia.

- Ród Memów, powiadasz? Jak ci na imię, chłopcze? - Najwyraźniej wzbudził jej zainteresowanie.

- Zwą mnie Leoharl. - Mężczyzna uśmiechnął się rad, że został nazwany chłopcem. Wiek swój mając na uwadze, uznał to bardziej za komplement niż za lekceważący przytyk. - Wiedz, że siedzisz w towarzystwie Leoharla z rodu Memów.

- Leo?... - powtórzyła w zamyśleniu. - Czy twój ród nie pochodzi gdzieś zza siedmiu gór i dolin?

- Bardzo możliwe. Kilka lat temu zgubiłem się w owych górach i łażąc na ślepo, w końcu trafiłem tutaj. Nie dam sobie głowy uciąć, czy tych gór było tylko siedem. Wprawdzie wracałem w tę i z powrotem, ale jakkolwiek by liczyć, wychodzi mi, że było ich ze dwanaście. - Odpowiedział jej szczegółowo, wciąż utrzymując swą dumną postawę. Ciekawe, kiedy zamierzał wreszcie wypuścić z płuc to powietrze?

Dama walnęła głową w ladę w geście zwątpienia w swoje marne życie. Huk tego uderzenia rozniósł się po całej knajpie, podwyższając poziom piany we wszystkich leżących na ladzie kuflach.

- Czy coś... nie tak? - Leoharl zawahał się nieznacznie. Tylko nieznacznie, tak by wypięta pierś nie utraciła swego majestatu.

- To ja... szukam... cię... po całym... świecie... - miarowo wystukiwała kolejne słowa, waląc głową o drewno - ...a ty obijasz się tutaj w najlepsze, nabijając guzy niewinnym ludziom w tej zapomnianej przez świat, zabitej dechami drewnianej chacie na środku nie wiadomo jak rozległego pustkowia?! - zakończyła jednym długim wydechem. Wwierciła mu oczy w czachę.

- Zechcesz powtórzyć ?

- Mówię, że w picu nie miałbyś ze mną szans - odparła głośno i wyraźnie z miną, która niczego dobrego nie wróżyła.

Jedną brew na nią podniósł, a wzrokiem oceniając, że tak młoda istota nie zdołałaby jeszcze równej jemu wprawy osiąść, prychnął na nią lekceważąco:

- Hmph! Nawet nie wiesz, z kim zadzierasza! Odpadniesz przy trzeciej kolejce!

- Chcesz się założyć?

- A pewnie! Ale wiedz, że wyzywasz mistrza! Przegrany stawia piwo przez cały tydzień! - odparł, wyszczerzając zęby z radości, i zamówił sześć piw, po trzy na głowę.

Tak oto zaczął się wielki turniej w pochłanianiu niskoprocentowych trunków. Zapewne obserwowany byłby z wielkim zainteresowaniem przez tłumy kibiców, gdyby choć kilku z nich było w stanie jednoznacznie określić, gdzie się znajdują. Pierwsze piwa dość szybko zniknęły zarówno sprzed oczu mistrza, jak i nieznanym, która go wyzwala. Konieczna była dogrywka. A właściwie kilka dogrywek. Trochę później, gdy zliczenie stojących na ladzie kufli sprawiało już co poniektórym problemy, głównie dlatego, że było ich więcej niż palców u obu dłoni, mistrz nieoczekiwanie zaczął wykazywać objawy zmęczenia.

- Niezła jesteś - zagadnął, krzywiąc się lekko na myśl, że przyjdzie mu przegrać.

- Po... prostu mnie nie doceniłeś - odparła dama, powstrzymując czknięcie. Mimo że lekko bujała się na stołku, i tak była w znacznie lepszym stanie od rywala.

- To wszystko dlatego, że wcześniej byłem już po kilku wstępnych - próbował usprawiedliwić się Leoharl.

- Powiem tak: Zakończymy ten turniej tak jak teraz... jeśli spróbujesz wyrzucić go przez okno - odparła, wskazując głową będącego nikłej postury i niczego niepodważającego karczmarza.

- Naśmiewasz się ze mnie? - Leoharl zaciągnął się lekko, opierając się o starannie wyszukany kant lady, na którym nie było pustych kufli. - Mógłbym powalić go jednym lewym sierpowym! - dodał. Teraz, bez całego tego powietrza w płucach, nie zabrzmiało to tak groźnie, jak powinno.

Musiał to zauważyć, bo ponownie wypiął klatę, mierząc wzrokiem karczmarza. Uśmiechnęła się zadziornie i wyzywająco sięgnęła po następny kufel. Spojrzał na karczmarza. Znał go bardzo dobrze. Choć jego wygląd nie był imponujący, świetnie znał się na taktyce eksmitowania z baru nieprzyjemnych klientów. Wyrobił sobie w tym celu zadziwiająco silne kopnięcia.

Leoharl niepewnie spojrzał na stojący tuż przed nim kufel. Gdzieś w kątku ust skrzywił wargę w geście jednoznacznie oświadczającym, że jeszcze jeden łyk i musiałby ponownie płacić za wszystkie dzisiejsze, a może nawet i wczorajsze kufle. Spojrzał na karczmarza... znów na kufel... Po dłuższym zastanowieniu stwierdził, że byłoby to zwykłe marnotrawstwo dobrze wydanych pieniędzy.

- Hej, ty, tam, za ladą! - Wywinął mankiety swej wykwintnej koszuli. Właściwie to jeden, bo drugi stracił w boju już jakiś czas temu. - Nie podoba mi się twoja czapka - dodał, spotykając się ze zdziwieniem karczmarza, który usilnie starał się pojąć, jak dużo trzeba wypić, by zamiast elfów, myszek i chochlików widzieć wyimaginowane czapki.

Zwycięzcy niedokończonego konkursu założyła nogę na nogę i z satysfakcją oparła się plecami o ladę. Teraz pozostało jej już tylko czekać i patrzeć na dalszy, och, jakże przewidywalny bieg wydarzeń.

Rozdział i

Znikąd wzięcie

Akcja podążyła lotem Leoharla przed karczmę, gdzie nasz bohater leżał w błocie obity jak nieszczęście. Dama natomiast, pilnując pionu, stanęła przy nim, wymachując mu palcem przed nosem.

- Trzeba było bić lewym sierpowym! Lewym! - pouczała na wpół nieprzytomnego Leoharla. - W końcu to lewym miałeś go powalić, nie prawym. Dlatego ci nie wyszło - sformułowała swą cenną obserwację.

- Nnngf - obraźliwie odburknął jej Leoharl. Szybko jednak tego pożałował, notując w głowie, że przed rzucaniem obelg wypadałoby najpierw wyjąć twarz z błota.

- Cóż, należało ci się. Zapamiętaj raz na zawsze, że ze mną nie wygrasz, nieważne, w jakim zakładzie.

- A kimże to, że tak się w końcu spytam, jesteś?

- Ja? - Dama zdawała się zastanawiać, czy udałoby się jej wymigać od odpowiedzi. Westchnęła głęboko, nie widząc takiej możliwości. - Jestem Selistis. I jeśli dobrze rozumiem, Leoharlu Memie, jestem twoją podwładną.

- Pod-co? - spytał „elokwentnie”, *stając* wreszcie na nogach.

- Podwładną. Pierwszym generałem twych wojsk. Władczynią najpotężniejszego z twoich zamków: Memeriady.

- O kurde! - Władca Memeriady złapał się za głowę. - Walnąłem o ziemię mocniej niż myślałem.

- A, tak... i mnie trudno w to uwierzyć - westchnęła Selistis.
- To ja mam podwładną?
- Ta...
- I wojsko?
- No więc...
- I zamek?
- Ach... no więc, widzisz, z tym zamkiem i wojskiem to jest tak, że już ich nie ma - wyjaśniła. - A-ale podwładną masz! - dodała pospiesznie, widząc jego zawiedzioną minę. - Powinieneś się cieszyć. Jestem najlojalniejszym sługą, jakiego znajdziesz. Jestem na każde twoje wezwanie i wypełnię każdy twój rozkaz!
- Nic o tym wszystkim nie wiem i nigdy nie miałem żadnego zamku - burknął Leoharl. - Co tu robisz, nie dając mi pić w spokoju?
Mina dziewczynie zrzędnęła. Nadzieja na radość na twarzy jej władcy przepadła. Selistis nie ukrywała jednak, że pytanie było zasadne.
- A... no... wiesz... straciłeś pamięć, o!
- Ze co?!
- No... nic nie pamiętasz.
- Ależ pamiętam. Od dawien dawna szkoliliem się na wojownika. Z dziada pradziada ród Memów wstawiał się w bojach na wielu frontach. Nawet walcząc po obu stronach konfliktów. Gwarantował sobie tym samym, że ród jako taki zawsze takowe konflikty wygra. Tak wspaniała i błyskotliwa była rodu taktyka! Tyle że wojsko miasteczka, w którym mieszkałem, było za małe, by przyjąć nowych rekrutów.
- Jak małe ?
- Nieistniejące.
- Ach...
- ...no więc - kontynuował opowieść niezrażony - moja matka, Walcowa Mem, zmarła na zawał, gdy zobaczyła, na kogo wyrosłem... Znaczy się, gdy powiedziałem, że pracy będę szukał

w zawodzie, z którego mam dyplom, zamiast przejąć szlachetny zawód swego ojca. Ojciec z rozpaczy porzucił rzemiosło warzenia piwa na poczet piwa tego konsumowania. Był to najwyższy czas, by swoją podróż rozpocząć. Tak oto znalazłem się na tym pustkowiu, zbierając fundusze na dalszą wędrówkę.

- ...tylu rzeczy należałoby się przyczepić...

- No więc jaka jest twoja historia, he ? - Leoharl najwyraźniej tracił cierpliwość, skonfundowany tym, że nieznajoma tak ubogim komentarzem skwitowała te dokładne wyjaśnienia.

Selistis musiała zmienić swój plan. Poprzedni bowiem, z amnezją, trochę się nie powiódł.

- Otóż, widzisz, twój wielce szanowny prapra...

- Hmm?

- ...pra, pra?... dziadek... - Oceniała na bieżąco, ile pokoleń wstecz musi się cofnąć, by upewnić się, że nie będzie wiadomo, o kogo chodzi.

- Membenahin Mem Trzeci ?

- He? - Najwyraźniej go nie doceniła.

- I co z nim?

- No więc... on oto pozostawił ci w spadku swą metropolię.

- Mnie?!

- Nie no, swemu synowi, ten jego synowi i tak dalej. Ty jesteś następny w linii.

- Odziedziczyłem zamek?

- No... prawie. - Selistis westchnęła ponownie. - Jak mówiłam, zamku już nie ma.

- Coś mi tu kręcisz.

- No więc słuchaj i nie przeszkadzaj. Twój ród bardzo, bardzo, bardzo, ale to bardzo dawno temu był wszechpotężny.

- To wiem.

- Nie przeszkadzaj! Twój ród jeszcze dawniej, niż myślisz, był wszechpotężny.

Tak, panie. Musisz wiedzieć, że Selistis wspominała o tak

dawnym czasie, że nawet ja, choć znam całą tę opowieść, nie ośmielę się odpowiedzieć wprost, jak było to dawno. Przy czym jeśli pomyślisz: „aż tak dawno?”, z pewnością było to jeszcze dawniej.

- Teraz całą tę swoją potęgę stracił - kontynuowała. - Zniknęły z czasem i zamki, i wojsko, i podwładni, ale wiesz co? Powinieneś się cieszyć. Zamki i niewdzięczne wojsko zniknęło, ale ja wciąż tu jestem. Odnalazłam cię i przybyłam, by ci służyć jako twoja podwładna.

- Nie jest to czasem tak, jak z wnukiem, kuzynem czy bratem, co nagle do bogatego członka rodziny przychodzi mu się przedstawić? - Leoharl był nad wyraz podejrzliwy.

- Jesteś bogaty?

- W porządku - odchrząknął. - Przyjmijmy, że ci uwierzę. Dlaczego teraz przychodzisz do mnie tak znikąd?

- Dopiero teraz cię odnalazłam.

- Dlaczego? - jak dziecko, co mu matka miecz z ręki wyjmuje, bo ucho ojcu odrąbał, zapytał ją władca.

Widziała w jego oczach, że nie wymiga się kolejną wyssaną z palca historią. Oczekuje od niej całkiem poważnej odpowiedzi. Pytał o coś bardzo ważnego.

- Cóż... powiedzmy, że jestem aż tak bardzo lojalna - mruknęła. Leoharl skrzyżował ręce na piersi i zadumał się wielce.

- Nic a nic z tego nie rozumiem.

- Na szczęście - szepnęła Selistis.

- Ale mówisz, że jesteś mi posłuszna?

- Tak, jestem.

- Lojalna?

- Tak, tak.

- I wypełnisz każdy mój rozkaz?

- Oczywiście! - odparła ochoczo, stając prawie na baczność. - Z moją pomocą przywrócimy chwałę rodu Memów!

- Skąd?

- Czy nie po to te góry przemierzyłeś ?

Leoharl zamarł z półotwartymi ustami. W końcu japę zamknął, zastanawiając się, skąd nieznajoma mogła to wiedzieć? Prawda, czasem po pijaku o swych wielkich planach ciżbie w karczmie rozpowiadał, ale... Nie, właściwie, to już sam sobie odpowiedział.

- Żartujesz chyba? - Wolał się upewnić.

- W żadnym wypadku! - oznajmiła stanowczo.

Głowę obiema rękami przytrzymał, coby w miejscu stała, aby ocenić wpatrzoną w niego twarz. Pojął z niej jednak, że mimo całego wypitego przez oboje alkoholu nie wydaje się, by chciała go okłamać.

- Dobra. - Przestał myśleć, uznając, że na dzień dzisiejszy nie ma się co nad tą sprawą dłużej zastanawiać. - To jakie masz plany? - Spytał jak na władcę przystało.

- Ech... na początek, wynieśmy się z tego pustkowia - zaproponowała Selistis.

- Zgoda, ale nie ruszę się stąd bez mojego miecza.

- No to bierz go i chodźmy. Słońce już chyli się ku zachodowi i jak nie znajdziemy miejsca do spania, znów będę spała pod gołym niebem.

Leoharl bardzo, ale to bardzo chciał zasugerować pewną znaną mu stertę siana, którą właściciel stojącej tu przy nich karczmy na paszę dla koni wielce wielmożnych panów przeznaczył. Tyle że żadni takowi po tym pustkowiu nie przejeżdżali, toteż z tygodnia na tydzień sterta się nie zmniejszała i przywykł już nocować na niej samemu. Szybko jednak w swej bystrej głowie doszedł do tego, że taka propozycja dla damy byłaby nie do przyjęcia. Z więcej niż jednego powodu.

- Będzie problem z tym mieczem - oznajmił.

- Dlaczego?

- Bo go przy sobie nie mam.

- Przepiłeś?

- Nie obrażaj mnie, kobieto! - wybuchnął złością. - Uczciwie, z honorem, przegrałem w karty.

- Taa... przepraszam, że mogłam wpaść na tak głupi pomysł -skomentowała ostentacyjnie. - To gdzie jest teraz?

- Ot, tu sprawa się trochę bardziej komplikuje. Ale jeśli mamy stąd odejść, to będzie się dało ten problem rozwiązać.

I tu, patrząc w rosnące ze zdumienia z każdym jego zdaniem oczy Selistis, Leoharl wyjaśnił zawiłą sytuację podatkową lokalnej karczmy. Zapewne i ty, panie, jesteś ciekaw, co podatki mają do owego miecza. Otóż będąc prawie dokładnie na samej granicy dwojga toczących ze sobą spory księstw, karczma usilnie starała się być neutralna. Zawirowania formalne sprawiały, że dotąd podatków płacić nie musiała. Niepodobna bowiem było ustalić, któremu księstwu pieniądze należeć się miały - granica księstw raz po raz ruszała się to w lewo, to w prawo.

Lecz razu pewnego, gdy jedno z księstw ponad tydzień trzymało karczmę w swoim posiadaniu, jego władca oznajmił, że podatek się jednak należy. Wtedy Leoharl swój miecz miał już w posiadaniu karczmarza. Gość, który miecz wygrał w karty, ofiarował go karczmarzowi w zamian za kredyt w piwie. Rzec by zatem można, że jednak domysł Selistis był trafny. Leoharl, pośrednio, miecz ów rzeczywiście przepił. A że oręż stanowił spadek po pradziadku pradziadka, był piękny, ogromny i wprost wspaniały. Jego wartość była niemała, stąd i kredyt za niego był duży. Gdy poborca podatkowy się zjawiał, sam miecz zupełnie wystarczył za całoroczny podatek. Tak wielce był cenny.

Poborca przyszedł, a karczmarz miecza się pozbył. Nie to, że był gotów za rok z góry podatek płacić, nie wiedząc, czy pod koniec roku temu samemu księstwu będzie go winien. Chciał po prostu pozbyć się tego grata, co mu tylko za szynkwasem wadził. Miał w tym zresztą również ukryty motyw, jak się trochę później okazało.

Karczmarz, co za czasów swej młodości studiował prawo i miał w jego egzekucji niemałe doświadczenie, jako płacący podatki obywatel księstwa zażądał widocznych efektów wpłacania przez niego pieniędzy. Nie uwierzysz, panie, ale tę oto prośbę z pokorą, choć wymuszoną, wysłuchano. Wymagało to wprawdzie pewnego nakładu pracy: małego strajku i jednego rozboju z udziałem patronów karczmy...

Karczmarz, który stał na ich czele, po tym zamieszaniu cel swój osiągnął. Nie chcąc ryzykować wzburzenia ludu, który sprawą tą długi czas się ekscytował, książę wzruszył w końcu ramionami i wydał rozkaz: „Tak, by bezczelny karczmarz mógł mieć go na oczach, wystawić pomnik poległym w bojach żołnierzom”. W ten sposób można było zadeklarować, że podatki na poprawianie morale wojska poszły, czy coś w tym stylu. Książę zagrał tym samym karczmarzowi na nosie, bo ten zdecydowanie bardziej by wolał mniej dziur w drogach przed jego domostwem. Stąd z kupy żelastwa, o które się tylko potknąć można, miecz stał się kupą żelastwa, co szpeci drogę.

Tak oto, kto by pomyślał, po całych miesiącach zapitych piwem szlochów nad utraconą rodzinną pamiątką, Leoharl ów miecz po raz drugi zobaczył... jako posąg stojący na skrzyżowaniu.

- Ach... ten, który mijałam?

- W istocie. Od tamtego dnia karczmarz tej karczmy już nigdy więcej podatku nie musiał płacić - zakończył opowieść Leoharl.

- Niech no to poukładam. Nie dość, że straciłeś tak cenny oręż, stawiając go w karty... przepiłeś go nie sam, lecz przez pośrednika... po czym karczmarz oddał miecz w podatku... a na koniec jeszcze... jeszcze wykuli ci z niego posąg pod samym po stokroć zakichanym nosem?

- A tak. - Leoharl, choć nieco zasmucony, przytaknął z dumą, że miecz, którego już w dłoniach nie miał, tak znakomitą ma za sobą historię.

- Niebawale! - Selistis brakowało odpowiednich słów. Nie wiedziała, czy karcić ma go za głupotę, czy wychwalać za tak wielkie szczęście, że miecza mimo wszystko sprzed oczu nie stracił.

- Musisz mi wybaczyć. Byłem wtedy młody i głupi.

- A teraz stary i rozsądniejszy jesteś?

- Jak mówię, musisz mi wybaczyć.

Podeszli pod pomnik, którego niezaśniedziała jeszcze tabliczka głosiła: „Poległym w boju honorowym obrońcom godności księstwa Urwiryjów”.

Selistis zrezygnowana opuściła ręce. Pomnik stanowił przyciemnioną, dobrze oszlifowaną zbroję, która tryumfalnie wznosiła miecz Leoharla ku niebu. Istotnie, oręż mężczyzny był nad wyraz piękny. Wykonany z dwojga metali - ciemniejszy, twardszy stop stanowił pierwsze ostrze obosiecznej broni, a drugi, jaśniejszy, formował serię pokracznych zębów i ozdobnych wgnieceń po jego drugiej stronie. Szerokie ostrze nie zwężało się ku czubkowi, jak w tradycyjnych mieczach. Zamiast tego na końcu rozdzielało się na dwoje. Ten ciekawy koncept wymyślił ktoś po to, by można było w powstałej w ten sposób szczelinie uwięzić broń przeciwnika i gdy był to miecz - wykręcić go z dłoni rywala, a gdy włócznia czy dzida - złamać. W tym celu jelec ze srebra i stali miał jedną stronę wyraźnie dłuższą od drugiej, pozwalając złapać go dłonią i w takim układzie obracać mieczem wokół rękojeści.

Władanie tym mieczem wymagało nie lada kunsztu i było pewne, że zwykły wojownik nie potrafiłby docenić potęgi tej broni. Poza tym, choć zbroja trzymała miecz w jednej dłoni, był to miecz dwuręczny. Z samego wyglądu było jasne, że był dużo cięższy od innych tego typu mieczy. Oprócz kunsztu wymagał zatem i siły. Aż trudno było uwierzyć, że ten oto jełop, co tak durnie się tego miecza pozbył, mógłby nim władać. Zważ jednak, panie, że sam zaznaczał, że latami szkolił się na wojownika. Nie był to zatem byle jełop, a wojownik. Z dyplomem.

- Bierz i spadamy.

Leoharl pokręcił głową.

- Myślisz, że gdyby było to takie proste, ciżba z karczmy dawno by go nie ukradła?

- W czym problem?

- Zalali stalą. Zbroję też. Ani drgnie. Trzeba by jakoś pozbawić go dłoni.

- Zrobione. - Selistis machnęła energicznie ręką, jakby wyjmując coś spod pół płaszcza i ponownie, w pośpiechu, znów owo cudo chowając.

- Ufam, że nie jest dla ciebie za ciężki - rzuciła, odchodząc ostentacyjnie z miejsca zdarzenia.

Tymczasem dłoń, jakby z opóźnieniem, lecz zdecydowanie od reszty posągu odpadła i osuwając się po nim, z tąpnięciem runęła o ziemię. Czub miecza opadł na płask. Leoharl rozdziawił szeroko szczękę.

Niemniej, skupiając się na tak dawno nietrzymanym w dłoni orężu, szybko zapomniał o wyczynie Selistis. Podnosząc miecz, złapał rękojeść trochę ponad stalową dłonią posągu. Przejrzał się w dwukolorowym ostrzu. Nawet mimo nadciągającego zmroku wyraźnie zobaczył w nim swe oblicze. Pożałował, że był kiedyś tak głupi, by losy miecza zlekceważyć.

W tym właśnie momencie, mój panie, w tę opowieść wkracza ta siedząca tu, obok mnie, energiczna pani. Jej pierwsze słowa na zawsze zapadną w nasze serca i na wieki zapiszą się na kartach tej historii:

- Wandal!!!

- Ze co?! - Leoharl nie wyszedł jeszcze z poprzedniego szoku, a już raczą go następnym.

- Wandal!!! - krzyczała stojąca na drodze złotowłosa niewiasta.

- Ja?!

- Wa-n-da-l!!! - krzyczała natrętnie.

- Można ciszej ?

- Chcesz w łeb?! - Selistis nie była aż tak uprzejma.

Niewiasta bowiem znalazła się na drodze jakby znikąd, zupełnie ją zaskakując. W dodatku stała tuż za nią, a głos, choć niezbyt donośny, miała całkiem wysoki.

- Co, demoluje pan pomnik?!

- Nie demoluję. Odbieram, co moje.

- Chcesz w łeb?! - upewniała się Selistis.

- Proszę to natychmiast naprawić!

- ...Jak?

- Chcesz w łeb?! - Krzyk dziewczyny najwyraźniej wyrył Selistis dziurę w głowie, bo w kółko powtarzała trzy słowa, jak mantrę.

- Bo wezwę władze!!! - krzyczała w najlepsze złotowłosa.

- Skąd ci tu przyjdą o tej porze? - rozważał Leoharl.

Tym razem nie padło już oczekiwane pytanie. Selistis uznała, że otrzymała na nie odpowiedź, i w mgnieniu oka walnęła niewiastę kantem dłoni w tył głowy.

- Chciała, to ma - starała się wytłumaczyć.

Blondyna upadła na ziemię nieprzytomna, wciąż jednym palcem wskazując na Leoharla. Kto by pomyślał, że wątłej postury i średniego wzrostu długowłosa blondynka w zwiewnym, eksponującym jej atrakcyjne ciało stroju, może mieć jakiegokolwiek wady? Na przykład, że może być irytująca?

- No i masz - Selistis spojrzała w niebo - za nic nie znajdziemy już noclegu.

- Gdybym miał ten zamek, o którym mi tyle naopowiadałaś...

Wcześniej już podirytowana przez blondynę Selistis zignorowała tę wypowiedź. Zwłaszcza że o zamku nie powiedziała więcej niż dwa słowa.

- Zamek to nie problem. - Machnęła ręką. - Będą i ze cztery, jak będzie potrzeba. Problem z noclegiem. Tu i teraz.

Ale nawet wpatrzony w swój lśniący mieczyk Leoharl nie był w stanie zignorować tej wypowiedzi.

- Ze co, proszę, z tym zamkiem?

- Że to nie problem.

- Ach tak, bo zamki to rosną jak drzewa?

Otóż widzisz, mój panie, to porównanie z drzewem to nam się tak znikąd nie wzięło. To sam Leoharl wpadł na nie jako pierwszy.

- Tak - upewniła go Selistis.

- Jak drzewa?... A to to śmieszne! - zaśmiał się Leoharl.

- Śmiesz wątpić?

- Ha, ha! A ty mi tu mówisz poważnie?

W kąciку ust zirytowanej i prawie wkurzonej Selistis błysnął uśmiezek. Ten straszny, mrozący krew w żyłach. Z tą miną podchodząc do niego, spytała:

- A chcesz się założyć ?

- A pewnie! - rzucił bez zastanowienia.

Choć miał jeszcze w pamięci poprzedni zakład, głównie za sprawą błota na swojej koszuli, obecny zdawał się wręcz nedorzeczny. Dla śmiechu pewnie robiony. Tymczasem Selistis przytaknęła i jak gdyby nigdy nic rozejrzała się wkoło, odchodząc w kierunku małego wzniesienia.

- Pomyślałabym, że robisz to celowo - napomknęła. - Tak, żeby wyłudzić ode mnie ten zamek. Ale niech ci będzie. Moglibyśmy znaleźć dużo lepsze miejsce, ale co mi tam. Prawdę powiedziawszy, to miejsce jest równie dobre, jak każde inne. Poza tym od początku mówiłam, że czegoś na tym pustkowiu brakowało.

Mówiła jakby trochę do siebie. Przy czym brzmiało to tak, jak gdyby zamek już istniał i miał się całkiem dobrze, co wprowadziło Leoharla w pewne zakłopotanie. Zaczął obawiać się o głowę tej damy. Ta, tymczasem, ignorując jego niewyraźne spojrzenie, zatrzymała się rzut kamieniem od karczmy. Majestatycznie uniosła ręce przed siebie.

- Suń się - rzuciła za plecy - i złap się czegoś może. Będzie trzęsło.

Lecz zanim Leoharl zdążył podrapać się po głowie i złapać za nogę posągu, trząść już zaczęło. Stojąca przed nim dziewczyna

powoli unosiła ręce. Rozcapirzyła palce, jakby grała nimi na fortepianie, i przyklękając na jedno kolano, z dużą siłą wbiła paznokcie w ziemię.

Wstrząsy się wzmogły. Gdyby w okolicy była choć jedna jabłoń, z pewnością potraciłaby wszystkie jabłka. Leoharl w obawie, że ziemia pęknie i wchłonie go w swoje czeluści, kurczowo trzymał się nogi posągu, a Selistis, trwając wciąż w swojej pozie, powoli powstała, wyciągając coś rękami z ziemi.

I to, mój panie, właśnie to, co ciągnęła... to był zamek.

Ciągnęła go za mury, co raz zapierając paznokcie o kolejne szczeliny między skalnymi blokami. Z hukiem wznosiły się coraz wyżej i wyżej. Ziemia wokół murów rozpadła się na boki, a z każdym podniesionym rzędem kamiennych bloków ze szczelin między nimi na ziemię sypał się jasny piasek. Jakby na dowód, że jeszcze przed chwilą wypełniał szczeliny zamkowego muru.

Tak ciągle, coraz wyżej, z niemałym wysiłkiem Selistis wyciągnęła spod ziemi cały zamek. A gdy stał już przed nimi, odsapnęła, ocierając pot z czoła.

- Wystarczająco duży? - spytała, prezentując go dłonią.

Leoharl nie był gotów jej odpowiedzieć. Musiał i zebrać szczękę, co leżała na ziemi, i przytrzymać oczy, co mu z czachy wylecieć chciały. Język też nie był w stanie powiedzieć słowa.

- Zechcesz, panie, obejrzeć go od środka? - spytała z ironicznym uśmiechem, naciskając na słowo „panie”.

- ...I jeden wkurzony lutniarz!

Wbrew temu, co można by sądzić, nie była to odpowiedź Leoharla. Leżąc do tej pory na ziemi dziewczyna usiadła i bredząc w majakach, wyrwała z piersi słowa, które za nic nie chciały dłużej pozostawać w niewoli. Jaki umysł je zrodził, panie, nie pytaj.

- Ja cię! Toż to cały zamek! - ciągnęła. - Lunatykuję i doszłam do księstwa? Czy może zamek lunatykuję i doszedł do mnie?

- Leoharl wybudował go jako rekompensatę za zniszczony pomnik - zełgała Selistis.

- Że co?! - Wspomniany właściciel zamku potrząsnął głową.

- Doprawdy?! To wspaniale! - Dziewczyna nie ukrywała podziwu. - Przepraszam, panie, że nie doceniając twej szczodroblewości, nazwałam cię wandalą. - Blondynka powstała i szczerze, głęboko w pokorze się ukloniła.

- N-nie ma za co - wydukał Leoharl.

Wybadał nogą ziemię. Oceniał, że skoro trząść się przestała, może w końcu porzucić stalową nogę, do której tak mocno się przyssał. Wstał pospiesznie, próbując odzyskać nieco ze swej godności. Podszedł do bramy, przy której Selistis otrzepywała się właśnie z nagromadzonego na płaszczu pyłu.

- Trzeba będzie tu posprzątać - mruknęła i schylając się, zatopila dłoń w leżącej koło niej stercie piachu.

Za palcami, które z niego wyjęła, podążył mały strumień ziaren piasku. Wystawiając palec wskazujący, poprowadziła go wyżej, zataczając nim kręgi nad drugą dłonią. Formował się, tworząc misterny okrągły kształt zakończony ozdobnymi wzorami. A gdy kształt był kompletny, kobieta położyła pod nim obie dłonie. W momencie nabrał trwałości i blasku.

Tak oto nowemu księciu koronę Selistis ukręciła z piasku.

- Masz, książę. Od teraz jesteś władcą zamku. Bezceremonialnie włożyła mu koronę na głowę.

Zrobiła dwa kroki i nie bacząc na Leoharla ani na blondynę, zamasyście popchnęła bramę zewnętrznych murów zamku. Brama ze skrzypnięciem posłusznie otworzyła przed nią swe skrzydła. Dama powoli, majestatycznie weszła na dziedziniec zamku, a za nią, jak w transie, otępiałym krokiem ruszył książę Leoharl.

Dziedziniec był pusty. W sensie: nie było na nim ani ludzi, ani domów, ogrodów fontanny czy placu - puściutki. Na wprost głównej bramy, kawałek od murów, stała właściwa, wewnętrzna część zamku. Zewnątrz mury były wysokie co najmniej na pięciu

chłopa, z czterema okrągłymi wieżami na rogach. Zamek właściwy był dwa razy większy. Choć całość rozmiarem nie była tak imponująca jak cytadele czy twierdze, to był to pełnoprawny, choć całkiem mały, zamek. Taki, który jego właścicielowi kazał walnąć się w czoło z całej siły i jeszcze raz na palcach policzyć, ile piw wypił tego wieczoru. Ze dwa razy, żeby się upewnić, że za pierwszym się nie pomylił. W końcu zrezygnował. Stwierdził, że nie ma tylu piw na świecie, ile trzeba by wypić, żeby zmyślić sobie taki zamek.

* * *

Otworzyłszy bramę głównego zamku, weszli do środka. Mijając nawy i schody, podeszli do znacznie już mniejszych drzwi znajdujących się prosto przed nimi. O dziwo, zdołali przytargać za sobą również blondynkę. A raczej - sama się za nimi przyplątała. Ciekawskim wzrokiem badała teren. Zamek był piękny, wspaniały! Leoharl z niedowierzaniem przypatrywał się kolejnym misternie wykutym w skale kształtom czy zawieszonym na ścianach srebrnym i złotym obrazom. Część z nich przedstawiała minione boje i choć władca jeszcze o tym nie wiedział - a co Selistis miała mu wkrótce wytłumaczyć - były to boje z jego własnych dziejów. Z jego przeszłości. Boje ludu królestwa Memów.

Stanęli przed salą tronową. Na ścianach widniały różnokolorowe witraże, które w blasku zachodu słońca wypełniały salę purpurą, aż po czerwień. Do znajdującego się na środku tronu prowadził czerwony wykańczany złotem dywan. To tu Selistis zatrzymała się przed Leoharlem, zachęcając dłonią, by szedł przodem. Zagroziła jednak drogę blondynce, widząc, jak ochoczo wlaźłaby przed nią. Szli powoli, napawając się majestatem tej sali, jakby szli w otoczeniu dziesiątek trąbek i setek poddanych chwalących imię nowego władcy. A przecież było ich tylko troje. Leoharl dotknął dłonią zdobień na bokach tronu. Nie mógł uwierzyć, że są prawdziwe. W końcu spoczął na tronie. Selistis

zrobiła krok na bok, by zejść z czerwonego dywanu, i tu, z pokorą, klękła na jedno kolano, zniżając głowę.

Wtedy właśnie siedzący na tronie z cokolwiek przekrzywioną na głowie koroną człowiek zrozumiał wreszcie, że w istocie ta dama jest jego podwładną. Zrozumiał również, że tak jak mówiła, wypełni każde jego żądanie. Nastrój tej chwili umknął natomiast blondynce. Przekradła się bokiem, przechodząc przez całą salę. Po chwili, widząc, co się dzieje, schowała się za tronem, uciekając przed surowym wzrokiem Selistis.

Leoharl musiał w końcu zadać pytanie, które i ty, panie, sam sobie zadajesz. Pytanie, którego wobec tego, co widział, nie mógł pominąć.

- Selistis, kim ty jesteś?

- Jestem twoim sługą.

- Ale... kim naprawdę?

Było jasne, że to proste stwierdzenie mu nie wystarczy. Selistis westchnęła przeciągle. Wiedziała, że to, co zamierzała powiedzieć, nie do końca mu się spodoba.

- Nie mam prawdziwego imienia. Nazywają mnie Diabłem, Szatanem, Pomiotem Chaosu czy Wiedźmą. Czasem trochę łagodniej: Damą lub Panią w Czerni. Spośród imion, które otrzymałam, wybrałam jedno, które podoba mi się najbardziej. Brzmi ono: Selistis. Jestem władczynią mocy ponad ludzkie siły; władczynią światów ponad ludzkie spojrzenia; władczynią wiedzy ponad ludzkie pojęcie. Jestem najpotężniejszą istotą, jaka kiedykolwiek stąpała po tej ziemi. A ty, Leoharlu, jesteś moim władcą.

Jej słowa odbiły się od ścian echem i ucichły, zostawiając salę w milczeniu. Włos zjeżył się na skórze władcy, gdy usłyszał, przed czym obliczem stoi.

- Kto nazwał cię Diabłem?

- Za rozkazem siałam strach i zniszczenie. Stare czasy, których piętna niełatwo się pozbyć. Zresztą... czy nie takie robię wrażenie? - Uśmiechnęła się do niego zadziornie.

Musiał przyznać jej rację. Sam gotów byłby tak ją nazwać. Straszyla samą swoją postawą, ciętym językiem i takim właśnie jak prezentowanym przez siebie teraz uśmiechem. Ale zaraz też za tę myśl siebie skarcił. W końcu to całkiem pochopna ocena. Żaden diabeł nie ukląkłby przed zwykłym człowiekiem na jedno kolano. Nie ogłosiłby się jego podwładnym.

Zamyślił się. Wspomnienie przeszłości, jakie przedstawiła mu ta istota, coś mu przypomniało. Opowieść, którą dane mu było przeczytać za młodu, a której zakończenia nigdy nie poznał.

- Więc dzięki tobie... jestem królem? - spytał w końcu.

- O, nie, nie, daleko ci do tego. - Selistis powstała, zbywając nadzieje Leoharla machnięciem ręki.

- Mam swój zamek, więc jestem co najmniej księciem.

- Mmm... już lepiej. Ale kogoś takiego jak ty nikt rozsądny nie uzna za prawowitego księcia. Wszystko w swoim czasie. Jeśli taka twoja wola, możesz objąć władzę nad tymi ziemiami, tak jak twoi bardzo odlegli przodkowie. Jeśli tylko zechcesz, zostaniesz królem.

Mógłby ponownie wyśmiać jej słowa, lecz nie był aż tak głupi. Należał do tego rodzaju głupców, którzy uczą się zwykle po jednym błędzie. No, czasem po dwóch. Ale musisz przyznać, mój panie, że tobie na jego miejscu też ciężko by było przewidzieć, iż zakład o wzniesienie przed tobą zamku przegrasz.

- Jeśli wydam rozkaz... - Leoharl zmarszczył czoło.

- Jeśli wydasz, stanie się wedle twego słowa. Zważ jednak, że musisz ponieść tego słowa konsekwencje.

- Konsekwencje?

- Gdy każesz zabić, będziesz żył z cudzą krwią na swych dłoniach. Gdy każesz zrównać dom z ziemią, będziesz słuchał lamentu chłopów pozbawionych dachu nad głową. Gdy każesz spalić wioskę, w twoich oczach odbijać się będzie ogień, strach i płacz kobiet i dzieci w niej mieszkających. Zatem jeśli wydasz

rozkaz, by uczynić cię królem, będziesz musiał pełnić swą funkcję, biorąc w swoje ręce życie ludu twych ziemi.

Chyba pojął, o co jej chodzi. Myśl, że mógłby tak po prostu zostać królem, była przytłaczająca. Z drugiej strony stwierdzenie, że zwykły człowiek mógł zdobyć sobie lojalność tak potężnej istoty, było równie absurdalne. Nie umiał pojąć, czego mógł dokonać człowiek, by osiąść taką władzę.

- Na dziś zarządzam... że muszę się z tym wszystkim przespać.

Selistis przytaknęła z uśmiechem. Jej pan nie jest aż tak wielkim głupcem, by rzucić jej nieprzemyślany rozkaz, którego miałby potem żałować.

- Twe komnaty są tuż za tronem. Ja będę na górnym piętrze, po lewej. A ty - odwróciła się do nieproszonego gościa, który łażąc po sali, zaszedł ją wreszcie od tyłu - możesz spać w pokojach gościnnych, na górze po prawej stronie. Jutro wyjaśnisz nam, co tu robisz i czego tak ciągle za nami łażysz.

Najwyraźniej Selistis była zmęczona, skoro nie chciało się jej nawet porządnie wyrzucić dziewczyny z zamku. Z drugiej strony, tamta wcale jej nie przeszkadzała. Taki zamek miał pewnie z setkę pokoi. Nie zawadzi, jeśli ktoś zajmie jeden z nich.

Westchnąwszy - to charakterystyczne westchnięcie z czasem stanie się jej symbolem - Selistis rzuciła księciu Leoharlowi ostatnie spojrzenie i udała się do swoich komnat. Księżę z kolei, zdejmując z głowy koronę, przyjrzał jej się uważnie. Obracając ją na wyciągniętym palcu, również udał się, by zbadać swoją nową siedzibę. Tylko biedna porzucona wątła dziewczyna stała w majestacie tej sali, nie wiedząc, co ze sobą zrobić.

- Piękne! - wyszeptała, przyglądając się wiszącym nad jej głową witrażom.

I jak gdyby nigdy nic, nucąc pod nosem pewną zasłyszaną melodię, graną na lutni w mieście na odległych ziemiach, zamknęła oczy. Przeskakując z nogi na nogę, oddała się rytmom melodii,

w obrotach podziwiając majestat sali. Niejedno dziwactwo na świecie widziała, lecz ten dzień zdecydowanie spośród wszystkich w jej życiu był najdziwniejszy. A przecież jeszcze wiele dziwniejszych miało po nim nadejść.

Rozdział 2

Ciężar korony

- Nmmmnggh - rozpoczął rozmowę ospały nieco książę. Chłód korony na głowie działał trochę jak kompres, kojąc nieco bolącą po ostatnim wieczorze głowę. Z przyzwyczajenia spał w takim stroju, w jakim spać poszedł, więc trochę go powygniatał. Siadając przy ogromnym, długim na dziesiątki krzeseł stole, przy którym siedziały już obie kobiety, zlustrował spojrzeniem leżący na nim talerz.

- Pyszne! - pochwaliła siedząca po jego lewicy blondynka.

- Jasne... - skomentowała siedząca po jego prawicy Selistis.

- Więc co, jestem księciem i na śniadanie wcinam suchary z wodą? - zapytał, bo nie mógł już wytrzymać.

- Nie moja wina. Nie umiem gotować, a ta tutaj pod tym względem jest jeszcze bardziej bezużyteczna ode mnie. - Wskazała niewiastę po drugiej stronie stołu.

- Przepraszam. - Dziewczyna posmutniała trochę, ze skruchą wcinając kolejny suchar.

- Muszę zatrudnić sobie kucharza.

- I piekarza.

- I młynarza!

- I rolników...

- I konie! - zakończyła wyliczankę blondynka.

- Konie? Koni się nie zatrudnia - zauważyła Selistis, wzdychając ze smutku nad inteligencją towarzyski.

- Mówiąc krótko: wiele osób - podsumował Leoharl. - Jak każdy zamek, ten też potrzebuje chłopstwa, coby go zaopatrywał.

- Słusznie, słusznie - przytaknęła Selistis - Zajmiemy się tym po śniadaniu. Ale najpierw...

Chrupnęła suchara, usilnie starając się przy tym zachować należyłą dystynkcję i godność, po czym zlustrowała morderczym wzrokiem czaszkę nieszczęśnika.

- O ile dobrze pamiętam, wczoraj przegrałeś ze mną zakład!

- T-tak? N-no proszę... - zająkał się władca.

- Wiesz, że będziesz musiał mi za to zapłacić ?

- Hmm - władca zamyślił się na chwilę - rozkazuję ci o tym zapomnieć.

- A chciałbyś! - Zbyła go parsknięciem. - Zakład to zakład i przyjmij porażkę z godnością!

- Odmawiam!

- Chcesz w łeb? - spytała znajomym sloganem.

- N-n-no...

Rozważył propozycję i westchnął. Jednego, czego mu nie brakowało, to szeroko pojmowanego etosu rycerskiego. Choć miał swą godność, która zakazywała mu być pomiatanym przez jego podwładną, miał też swoją dumę, która nakazywała wywiązać się ze swoich zobowiązań. Spojrzał więc na nią spode łba, bojąc się spytać.

- To co mam zrobić ?

- Niech pomyślę... Chcesz zostać królem, prawda?

- Nic mi o tym nie wiadomo - rzucił pospiesznie.

- Więc pomogę ci wczuć się w rolę. W ramach zapłaty musisz wysłuchać i spełnić dziesięć próśb skierowanych do ciebie przez dziesięciu twoich podwładnych.

- Mam... co?

- Doprawdy, skończyłbyś już z tymi zdziwieniami. - Selistis

najwyraźniej była już znudzona jego sztampową reakcją. - Dziesięć próśb to niewiele za tak piękny zamek.

- To prawda! - wtrąciła się blondynka.

- Ależ postawienie go zajęło ci ledwie chwilę! Jak myślisz, ile czasu będę biegał za tymi prośbami?

- Pobiegasz, pobiegasz, dobrze ci zrobi. Jako król takich próśb będziesz musiał spełnić o wiele więcej.

- Ale... ale...

Chciał negocjować, lecz szybko pojął, że nic mu z tego nie przyjdzie. Poza tym miała całkowitą rację. Powinien się cieszyć, że nie wymyśliła czegoś gorszego.

- Zaraz, zaraz. Czy to oznacza, że moją prośbę też miałbyś wypełnić?

- Trybiki w głowie blondynki w końcu się obróciły.

- No... jesteś na zamku, więc chyba jesteś podwładną - zauważyła Selistis.

- Won! - zakomenderował blondynie władca, wskazując palcem drzwi.

- Ale... ale... - naśladowała go blondynka. - Nie mógłbyś pozwolić mi tu zostać ?

- Won!

- Proszę...

- Wo...

- Chwila! - przerwała mu Selistis. - Nie słyszałeś magicznego słowa?

~ Hę?

- No żeby cię!... „Proszę"! Powiedziała „proszę"!

- No i ? - Leoharl nie od razu pojął, o co jej chodzi. - Czasem, jak za dużo wypiję, też „proszę" o piwo, zamiast je brać. Co to zmienia?

- Czy ty w ogóle słuchasz, co do ciebie mówię? Prośba! Wyraziła prośbę!

- Wyraziłam? - upewniała się blondynka.

- Wyraziła? - upewniał się władca.

- T-tak... - westchnęła Selistis. Jeśli wciąż będzie tak wzdychać, zakręci jej się w głowie. - Wyraziła prośbę. Nie możesz jej odmówić - wyjaśniła.

- No i masz! - Leoharl oparł głowę o stół niezadowolony.

- Doprawdy? Mogę zostać? - spytała blondynka.

- Musisz - burknął władca.

- W takim razie poproszę jeszcze kucyka, karocę...

- Hola, hola!

- ...białą suknię z koronkami...

- Starczy!

- ...połączane trzewiki...

- Spokojnie, bo nam jeszcze w tej karocy odleć do niebu -mruknęła Selistis.

Dziewczyna, nie przejmując się nią wcale, w skupieniu na palcach kontynuowała swą wyliczankę. Widząc to, Selistis powstała z krzesła, nachylając się ku niej nad stołem. Złapała suchara z talerza i bezceremonialnie wsadziła jej prosto w jej niezamykającą się wcale japę.

- Dziesięć próśb, dziesięć osób - ironizowała. - Jedna prośba na głowę - oznajmiła.

- Ach - dziewczyna westchnęła, zagryzając suchara.

- Niezadowolona?

Blondynka posmutniała, lecz już po chwili całkiem szczerze się uśmiechnęła, kręcąc głową na boki. Doprawdy, zgoda, by zostać w tak pięknym zamku, w zupełności powinna jej była wystarczyć.

- Nie pobrudź posadzki - wymamrotał władca, podpierając ręką głowę, jakby to do niego należało przejmowanie się stanem podłóg zamku.

- Powinieneś być wdzięczny, że tak łatwo mogłeś spełnić jej prośbę, miast się na nią złościć.

- Myślałem, że będę miał zamek tylko dla siebie.

- Mnie też chciałeś wyrzucić?

- Ba...

- Sam?! W tak wielkim zamku?! Nie byłoby ci smutno?

Tych ostatnich, przepelnionych troską pytań nie mogła oczywiście zadać Selistis. Pytała blondynka, szczerze zmartwiona nadąsanym księciem. Wpatrzyła się w jego senne oblicze. A gdy i on spojrzał jej w oczy i dostrzegł w nich szczerą troskę, westchnął, godząc się ostatecznie dzielić z nią zamek.

- Jak masz na imię? - spytał, zmieniając w końcu naburmuszony wyraz twarzy.

- Hmm... - Blondynka w zamyśleniu przystawiła palec do brody.

To było co najmniej niepokojące. Można było na przykład podejrzewać, że przedstawi się zaraz jakąś tajną osobowością, wymyśli, że imienia swego nie pamięta lub wyskoczy im z jeszcze innym oklepanym wątkiem. A tymczasem blondynka całkiem niewinnie zastanawiała się, jak najlepiej będzie jej się przedstawić.

- Jestem Katia Suska. Rachmistrzynie. Podróżuję z księstwa Urwiryjów na zachód, do księstwa Capigębów. Dla przyjaciół Kaktus.

- Kaktus?

- Tak, Kaktus.

- Bo kłujesz? - spytał Leoharl.

- Bo lubisz samotnie sterczeć na pustyni? - dociekała Selistis.

- Bo pijesz raz na pół roku?

- Bo masz wodę w głowie?

- Nie, nie, nie, nie! - zaprzeczyła zdecydowanie Kaktus. - Bo... lubię kolor zielony... - wyjaśniła zawstydzona.

- Ach, to wiele tłumaczy! - skomentował władca, choć prawdę mówiąc, sam w to nie wierzył.

- Zaraz, zaraz: rachmistrzynie? - spytała Pani w Czerni. - Czyli taka księgowa?

- Mmm... nie słyszałam jeszcze tego określenia, Sel, ale podoba mi się. - Katia uśmiechnęła się promieniście. - Brzmi dumnie. No i całkiem trafnie podkreśla, że mam związek z księgami.

- To głupi zawód - mruknęła Selistis. - Zupełnie bez sensu. Katia przyjęła tę uwagę z niezachwianym uśmiechem. Po

chwili ciszy, na tyle długiej, by Selistis zdążyło zrobić się głupio, podjęła temat:

- Więc... odkąd odszedł nasz król, jego ziemie przypadły jego dzieciom, a całe królestwo podzielono na mniejsze księstwa. Natychmiast konflikty powstały i by granic swoich ziem bronić, synowie króla ziemie zamkami posiali. Porosły je jak drzewa.

- Jak drzewa - przytaknął Leoharl z uznaniem.

- W normalnym przypadku jeden władca zjednoczyłby wszystkich pod sobą, ale żaden z nich nie ma tak wiele pieniędzy, by pozwolić sobie na zbudowanie większej armii. No... z jednym wyjątkiem. - Kaktus uciekła wzrokiem w zamyśleniu. - Niemniej teraz księstwa rządzą się same sobą i niezależnie próbują utrzymać swoją gospodarkę. Przy ciągłych wydatkach na broń, wyposażenie czy nawet na sprowadzane z innych księstw dóbr, takich jak sól czy mąka, patrząc z jak wieloma dostawcami i odbiorcami trzeba regulować rachunki, potrzebna jest dobra organizacja. Oferuję swoje usługi, podliczając, szacując, wymierzając i oceniając, gdzie na co idzie za dużo, od kogo kupić to czy tamto i inne takie. Ciągłe podróżując, zbieram informacje, czego komu potrzeba i z kim jakie układy można założyć. Trochę tak, jakbym u jednego kupiła towary i sprzedała gdzie indziej, przy czym zamiast przewozić je wozem, przewożę o nich informację. Jestem wędrownym sprzedawcą informacji... i księgową - podsumowała tę trochę przydługą deklamację.

- Więc przychodzisz, poprawiasz księgi, bierzesz zapłatę i idziesz dalej? - podsumował książkę, zaskoczony tak długim opisem tak prostego, w jego mniemaniu, zawodu.

Prawdę mówiąc, Selistis też była nieco zaskoczona, bo blondynka dotąd wcale nie zdradzała, że można ją podejrzewać o posiadanie jakichkolwiek kompetencji. A teraz cień takich kompetencji się ujawniał.

- Tak, właśnie tak. Jeśli chcesz, Leo, twoje księgi też z radością naprawię - zaoferowała księciu swe usługi Kaktus.

- Ależ przecież jeszcze żadnych ksiąg nie mam.

- I to trzeba naprawić!

Katia prezentowała księciu swój wspaniały uśmiech. Tymczasem Selistis, ignorując wszelką etykietę, zostawiła suchary na stole i odeszła, zbierając się do wyjścia.

- Mam dość. Więcej głupot już nie wytrzymam - oznajmiła.

-Kończcie śniadanie i w drogę. Czekam na was przed zamkiem.

- Gdzie idziemy? - spytał władca, który sam powinien wydawać tego typu rozkazy.

- Idziemy zrekrutować ci służbę. Na początek kogoś do obrony zamku.

Władca postanowił chwilowo nie pytać, co w słowniku Selistis znaczy „zrekrutować”, i dokończył ostatniego suchara. Spojrzał Kaktusowi w oczy... znaczy się, w oczy Kaktusa... ech, nie da się inaczej. Nie dziw się, panie, jeśli odtąd będzie brzmiało to dziwnie. No więc spojrział w oczy Kaktusa, która ze spokojem wcinała swój suchar. Coś z tyłu głowy podszeptywało mu, że nie mówi mu całej prawdy. Niemniej, była niegroźna, więc prawda tak bardzo go nie interesowała.

- Chodźmy. Lepiej nie każmy jej czekać.

- Czy nie powinieneś do niej dołączyć, gdy sam zechcesz, Leo ?
Leoharl drgnął, słysząc, jak znów skraca jego imię. Zresztą

to samo zrobiła z imieniem Selistis. Co więcej, nawet gdyby się postarał, nie wiedział, jak miałyby się odwzajemnić. „Kak” od Kaktusa? „Kat” od Katii? Długo nad tym nie dumał i sięgnął po oparty o ścianę miecz, by schować go do niesionej na plecach pochwy. Warto dodać, że o jedną rzecz od zeszłego wieczora zdołał zadbać: pozbył się trzymającej miecz stalowej dłoni posągu. Jak? Po dziś dzień, mój panie, pozostaje to tajemnicą. Drugą tajemnicą, zaznaczmy, umknęło mi bowiem i nie spytałem też,

skąd Selistis wzięła te suchary. Ot, wobec miecza bez dłoni to jest dopiero prawdziwa zagadka.

- Ech, Katio. - Książę zadumał się nad tym jej pytaniem. -By rozpocząć z kimś wojnę, trzeba mieć broń odpowiednią do wroga, z którym się walczy. Ja widzę, że stoję przed lwem, a przeciw niemu mam wykałaczkę.

- Kaktus! - poprawiła go Katia, skupiając się na tej części wypowiedzi księcia, którą była w stanie zrozumieć.

- Tak, tak, Kaktus. Chodźmy.

* * *

Opuszczając mury zamku, Leoharl nie omieszkał zauważyć porzrzucanych w zupełnie przypadkowy sposób domków, które wypełniały znaczną część dziedzińca. Nie to, żeby wymagał od nich jakiegoś porządku, lecz jeszcze wczoraj nic o nich nie wiedział. Niemniej otrzepująca ręce z kurzu Selistis naprowadziła go na myśl przewodnią: najwyraźniej nie chciała, by zamek był całkiem pusty. Był więc teraz pełen całkiem pustych domków. Miał też studnię. Ciekawe, że nawet o studni pomyślała. Tak czy inaczej, powstała w ten sposób dobra lokacja najakąś przerażającą opowieść z opuszczonym zamczyskiem na skraju pustkowia w roli głównej. Bezbronna blondynka już jest. Brakuje duchów. Gdyby o nie poprosił, pewnie i duchy dałoby się załatwić.

W tym właśnie miejscu muszę wspomnieć o pewnej bardzo ważnej sprawie. Nie, nie, bez obaw - wcale nie przerażającej, choć z przerażeniem związanej. Otóż pewnie zastanawiałeś się, panie, nad jedną rzeczą: cóż stało się z ową karczmą, od której wszystko to się zaczęło ? Bez obaw, knajpa nie rozplynęła się w tej opowieści w powietrzu, a właśnie teraz nadarza się odpowiednia okazja, by o niej powiedzieć.

Karczma jak stała zeszłego wieczoru, tak stała i z rana. Co prawda teraz już w cieniu zamku, lecz kto by się takim szczegółem przejmował? Otóż ze wszystkich wczorajszych wstrząsów nikt

w knajpie niczego sobie nie robił. Zważ bowiem, panie, że duże ilości alkoholu to najlepszy w świecie amortyzator. Bezwładność, jaką daje, w zupełności wystarcza, by te wielkie drgania i wstrząsy potraktować jak mało interesujące mrowienie w stopie. W dodatku takie, przy którym nie chce się nawet człowiekowi schylać, by stopę podrapać. Jedynym, który tego typu banalnego wytłumaczenia mieć nie mógł, był karczmarz. Tamtego wieczoru, w obawie przed kataklizmem, natychmiast wybiegł przed swoją karczmę. Stąd, gdy nasza trójka leniwie wyszła za mury zamku, zastała karczmarza nadal ze szczęką w dole i palcem skierowanym wprost na ten nowy obiekt, co w jednej chwili tuż obok własnymi rękami wznoszonego domostwa mu się zjawił.

Nieroztropnie przyjmując na całą noc tę pozę, karczmarz całkiem zaniedbał swoich klientów. Gdy nastał ranek, nie widząc przed sobą nowych kufli, część z nich postanowiła gospodę opuścić. I tak:

Pierwszy, co wyszedł, natrafił na karczmarza i wodząc za jego palcem, spojrzął i stwierdził: oto zamek. Spojrzął w kufel, zaśmiał się do rozpuku i rzucił kuflem za siebie przez ramię. Wtem jakby natychmiast był wziął i wytrzeźwiał, ruszył dziarskim, wyniosłym krokiem przed siebie w bliżej nieokreślonym kierunku.

Drugi, też z kuflem, również dostrzegł zamek. Odwrócił się od niego plecami, odwrócił się do niego przodem i spojrzął w swój kufel. Wypił ostatnią kroplę i rozbił drewniany kufel na głowie. Z drzazgami w czole upadł, tracąc przytomność.

Trzeci, co był nieco uprzejmiejszy od poprzedników i kufla z karczmy nie wynosił, obejrzał się, na co tamci patrzyli, i z trudem rozpoznał kształt zamku. Rozpoznał też kształt karczmarza. Klepnął go w ramię dwa razy i dając mu dobrą radę, orzekł:

- Nie wiem, chłopie, co żeś do tego trunku dolewał, ale żeś, kurna, przesadził.

To powiedziawszy, sześć kroków zrobił, kiwając się ostro na boki, nim upadł, i zasnął na drodze. Karczmarz ożył chwilę potem, gdy gdzieś kątem oka dostrzegł troje podróżnych.

- A to niby co ?! Co to ma znaczyć, co ?! Gdzie z tym zamkiem, gdzie?! Taką ładną karczmę na odludziu miałem!!!

Karczmarz krzyczał, nie jakby stał tu całą noc z wyciągniętą dłonią, a jakby ledwie przed chwilą ogarnął ten obraz wzrokiem.

Leoharl, nie chcąc zbyt w problemy karczmarza wchodzić, uśmiechnął się i podchodząc, przywitał się, skłaniając głowę.

- Dwa kufle najlepszego piwa proszę! - zamówił, mijając karczmarza i wchodząc do środka.

Właściwie nie wszedł, a wtargnął, promienistym uśmiechem racząc wszystkich zgromadzonych.

- Witam towarzystwo w tak piękny i pogodny poranek! Oto ja, wasz potężny i wspaniały władca!

Poraził ich majestat jego nadejścia. A raczej oślepił co poniektórych przedzierający się przez drzwi blask nisko jeszcze zawieszonego słońca. Leoharl ogarnął wzrokiem karczmę. Od razu rzucił mu się w oczy jeden z trzymających wciąż fason klientów. Ten siedzący przy najbliższym stoliku nader dostojny i urodziwy staruszek zdawał się błyszczeć we wnętrzu tej prostej knajpy. Był tak piękny, że samym wyglądem onieśmiał wszelkie znajdujące się w zasięgu wzroku niewiasty. Tak wspaniały, że...

- Łapiemy, łapiemy. Nie musisz się już tak wychwalać. -Selistis weszła za Leoharlem.

Jej głos wprowadził w zdumienie zgromadzoną tam ciżbę. Choć przez chwilę się nad tym zastanawiali, za moment było jasne, że jej słowa musiały być skierowane do Leoharla. Bo do kogóż by innego? Tymczasem Leoharl rozpromienił się jeszcze bardziej.

- Jak zdrówka? - zagadnął przyjaźnie, obserwując niemrawe twarze towarzyszy. - Czy ktoś z tu zgromadzonych nie potrzebuje czasem mojej pomocy?

Mówiąc to, zerkał tak trochę na wspomnianego wcześniej staruszka. Ów staruszek, myśląc, że Leoharl do niego się zwraca, zmierzył go nieufnym wzrokiem. Otoczył swój kufel ramieniem i przyciągnął do piersi.

- Dziękuję, sam sobie poradzę.

Zachęcony przez Katię karczmarz postanowił wrócić na swe stanowisko. Potknął się jednak o stopień przed wejściem za kontuar i wciąż oszołomiony upuścił z rąk kufel, do którego próbował nalać piwa. Sel pokręciła głową, wzdychając ciężko.

- A wy co, tylko byście całymi dniami pili i pili ? Do roboty! -starła się przywrócić hołotę do porządku. - Czy nie mówi się, że dżentelmen przed zachodem słońca nie pije ?

- Dżentel-co?! - Spojrzeli po sobie.

A tenże sam staruszek zadumał się najgłębiej i spytał:

- A jak się to, pani, ma do dżentelmenów, którzy po zachodzie pić zaczęli, ale tak wyszło, że przed wschodem nie zdążyli skończyć ?

- A... no... - Selistis zabrakło słów.

Karczmarz z hukiem oklapł na stojące za ladą krzesło i wwiercił wzrok w ścianę przed sobą.

- Aaach! Mam to gdzieś! - orzekła Selistis, gdy jej proces myślowy utknął w końcu w martwym punkcie. - Każdy z was, co do jednego, dostanie służbę u wielce wielmożnego księcia Leoharla!

Spojrzeli po sobie, jakby ktoś z nich zażartował, a część trzeźwiejsza zaśmiała się nawet z tego niewyszukanego dowcipu.

- Wybacz, pani. Służba służbą, ale Leoharl księciem? Wyborne! Leoharl wypuścił z płuc powietrze, słysząc, jak go besztają. Już

szycował reprimendę, ale Selistis stanowczym gestem odwiodła go od jej udzielenia. Podnosząc złożoną w pięść dłoń przed oczy, wprawiła bar w drżenie. Większość jego rezydentów nie była tym wielce wzruszona. Pamiętajmy: alkohol - amortyzator. Gdyby bujało! O! To dopiero byłoby niebezpieczne! Jedyne karczmarz, odczuwając wiszące w powietrzu zagrożenie, desperacko chwycił się swego krzesła.

Selistis otworzyła dłoń.

Eksplozja, jaka nastąpiła, przekształciła małe kameralne zgromadzenie w imprezę plenerową. Ściany, same z siebie, postanowiły

odlecieć z impetem na wszystkie cztery strony, a dach poleciał pionowo do góry. Patrząc ku niemu, siedzący na przedzie staruszek zadał sobie pewne oczywiste pytanie, ale wolał go nie artykułować. Ważniejsze było zdziwienie na twarzach zgromadzonych i rozpacz w niedowierzających oczach karczmarza.

- Widzicie ten zamek? - Selistis wskazała palcem. - To właśnie jest zamek Leoharla. Jest księciem i już!

Wyjaśnię, panie, żeby było jasne: Pani w Czerni obróciła w perzynę karczmę nie z gniewu, a po to, by pokazać im zamek. Ważne, by wszystkim było wiadome, że Selistis nigdy nie traci głowy. Nie mogłaby zrobić tego z gniewu. To nie w jej stylu.

- Od dzisiaj jesteście jego poddanymi - oznajmiła szorstko. -Dostaniecie służbę jako zamkowi strażnicy.

Znowu spojrzeli po sobie, zadając oczami pytanie, czy ona już całkiem zgłupiała, czy może jednak jeszcze tak nie do końca? Tymczasem Katia, nie bacząc na te trudne sprawy, w najlepsze przyglądała się różnym ułożonym za barem butlom. Wprawdzie oglądania byłoby dużo więcej, gdyby leżąca za karczmarzem gabłota nie uciekła wraz ze ścianą daleko poza widnokrąg, ale musiała niestety zadowolić oczy tym, czego z tej knajpy nie zwiąło. Jeszcze przed chwilą natomiast próbowała ocucić karczmarza, ale w końcu zmuszona była się poddać. Niestety, dla niego nie było już ratunku.

- Oni? - Leoharl postanowił wyrazić swoje zaniepokojenie. - Ta banda pijaków? Pozabijają się, albo sami nadzieją na swoje piki.

- A widzisz tu kogoś innego? - spytała Pani w Czerni. -Wyruszasz w podróż. Kto przypilnuje zamku?

- A co, ucieknie? - ściszym głosem zapytał jeden z pijaków.

- Może ukradną? - odpowiedział drugi.

- Wyruszasz? - sensowniejsze pytanie zadał tym razem zdeorientowany jak zwykle książę.

- A gdzie znajdziesz piekarza, kucharza i kogo tam jeszcze?

Książę wielce się zafrasował, ale w końcu przyznał jej rację.

- W porządku. Za mną! - zakomenderował, wskazując kierunek marszu.

Tak za komendą nowego władcy zgromadzeni w tej... hmm... przez wzgląd na stare dobre czasy nazwę ją karczmą... Zgromadzeni w niej nowi podwładni księcia Leoharla, widząc, że kolejnego piwa się nie doczekają, wstali w końcu od swoich stołów. Opuścili knajpę, z przyzwyczajenia przechodząc przez stopień, który teraz już tylko symbolizował drzwi.

Tylko karczmarz pozostał na swym krześle. Ten starszy pan, który był najbliższym Leoharla, obadał karczmarza smutnym spojrzeniem. Wspomnił ostatecznie słowa stojącej przy Leoharlu damy. Był przy tym w tak dobrym stanie umysłowym, że jako jedyny postanowił spróbować je wykorzystać.

- Leo... khmm... książę Leoharlu - zaczął, poprawnie artykułując godność swego władcy. - Czy jako twój nowy podwładny mógłbym mieć do ciebie prośbę?

Iskra nadziei zajaśniała w oku Leoharla i jak opętany podbiegł do niego, kładąc mu dłonie na ramionach.

- Wal śmiało, druhu! Co tylko zechcesz!

- Otóż karczmarz nasz, od wieków nam służąc, teraz zostaje bez domu i pracy. Mógłbyś i jego przygarnąć do swego księstwa ?

Sensownie mówił. Leoharl, jakkolwiek wciąż pamiętał zniewagę z poprzedniego wieczoru, nie był z takich, co byli gotowi mścić się za utarczki przez lata. Zwłaszcza za te, które sam zaczął. Poklepał staruszkę po barku i dał przyzwolenie. Staruszek, wcale nie będąc tego świadomym, przyczynił się znacznie do szczęścia Leoharla. Leoharl podszedł do karczmarza i przerzucił go sobie przez ramię, jakby nieść miał ze sobą worek ziemniaków. W takim układzie orszak wyruszył ku bramom zamku.

Dobrze się stało, że na czas w bramie zniknęli, bo chwilę po jej zamknięciu dach karczmy powrócił na swoje miejsce. To zresztą stanowiło też odpowiedź na owo niewypowiedziane przez starca

pytanie. Z braku ścian dach stał się podłogą, rujnując wszelkie stoły, ławy i ladę. Tak ladę, jak i złożone pod nim alkohole. To ostatnie było zapewne niewypowiedzianą stratą dla wszystkich jego dotychczasowych patronów, stąd szczęście, że nie musieli na tę tragedię patrzeć.

* * *

- Bacność! - rozkazała Selistis.

Karczmarz siedział oparty o mur i jak lalka bez duszy wpatrywał się w swoje stopy. Reszta, przywdziawszy otrzymaną z rąk Selistis zbroję w postaci hełmu i broń w postaci piki, z trudem starała się wykonać tak trudny rozkaz. W konsekwencji przed Leoharlem, Selistis i Katią stał teraz dziurawy, krzywy i chwiejący się trochę rząd nowo zaprzysiężonych obrońców zamku.

- Świetnie! - skomentowała Selistis, jakby umyślnie ignorując stojące przed nią oznaki niekompetencji nowo zatrudnionych strażników. - Teraz jeszcze kapitan. - Przykucnęła, sięgając stóp. Przebijając palcami ziemię, wyciągnęła z niej za rękojeść zdobiony prostymi złotymi wzorami krótki miecz.

- Łał! - Katia wyraziła naturalny w tej sytuacji podziw, bijąc jej brawo.

Oczywiście w normalnym przypadku tłum również byłby pod wrażeniem, ale ten oto tłum stojący przed nią mógł co najwyżej w porywie skrajnego wysiłku umysłowego przypuszczać, że kiedyś tam miecz zgubiła i teraz go po prostu odnalazła. Leoharl z kolei z niesamowitą szybkością nauczył się nie okazywać zdziwienia. Tak, mój panie, wystarczył jeden wieczór i jeden ranek, by w sztuce ukrywania wytrzeszczu oczu się wytrenował. Pani w Czerni tymczasem, jak gdyby nigdy nic, udeptała powstałą w miejscu miecza dziurę w ziemi i otrzepała miecz z piachu. Rozejrzała się po stojących naprzeciw niej pija... khmm... wojownikach.

- Ty! - Wskazała palcem najstarszego z nich. Tego samego, który o łaskę dla karczmarza prosił. - Podejź no tu!

Ów starzec posłusznie zrobił kilka kroków. Całkiem prosto. Selistis miała dobre oko. Wyglądało na to, że albo nie pił zbyt wiele, albo górował nad innymi wykształconą przez lata tolerancją na alkohol. Zdradzę ci w sekrecie, mój panie, że decydujące było to drugie.

- Masz. Jesteś Kapitanem. - Podała mu miecz ceremonialnie, prosto w twarz. - Odpowiadasz za tych tam z tyłu. - Machnęła na nich ręką.

Starzec uklonił się z godnością, przyjmując oręż. Nie za bardzo wiedział, co mógłby zrobić z tym mieczem, bo we władaniu tą bronią był nieprzeszkolony, ale rozumiał, że był to bardziej symbol niż oręż, którego miałby używać w boju.

W tej właśnie chwili jednemu z „tych tam z tyłu” do głowy wpadła pewna oczywista, w normalnym przypadku, myśl.

- A co z żołdem?

Selistis zmierzyła go wzrokiem. Zdawało się, że pod jej spojrzeniem zajmie się ogniem, spłonie jak stoi. Jednakże Selistis nie byłaby aż tak okrutna.

- W zamian za pilnowanie zamku nie rozgniotę was jak mrówki i nie zrobię z was paszy dla koni. Może być ?

Pijak, w swej głupocie, rozważył tę odpowiedź.

- Nie?

W jego obronie wyjaśnię: znak zapytania był całkiem uzasadniony, bo bardziej pytał, niż stwierdzał; przy czym wydawało się, jakby bardziej chciał spytać: „nie rozgnieciesz?”, niż niepewnym głosem wyrazić swój sprzeciw. A już zupełnie nie było mowy o tym, by oficjalnie i całkiem bezczelnie stwierdził: „Nie, nie wystarczy!”. Pani w Czerni, jak szybko się okazało, miała w naturze w takich chwilach oceniać usłyszane przez nią wypowiedzi powoli i starannie. „Roztropnie” przyjęła zatem, że najbardziej prawdopodobna jest ta ostatnia wersja.

Zirytowała się strasznie. Leoharl odstąpił od niej o krok, rozpoznając rosnące zagrożenie. Był w tym tak dobry, że gdy na

horyzoncie pojawiał się jeden żołnierz, był gotów uciekać, wiedząc, że kroczy za nim cała armia. Nie był tchórzem, mój panie. Wybacz, jeśli to stwierdzenie tak sugeruje. Nie skłamię, mówiąc, że był najodważniejszym człowiekiem, jakiego spotkałem. W końcu całkiem bez trwogi wydawał rozkazy Pani w Czerni! Racz zatem, panie, uwierzyć, że bez przekory mówię: był w stanie ocenić, że armia nadchodzi, po jednym człowieku, i mając na uwadze swoje zdrowie, stosownie szybko zejść armii z drogi. Tak dobry miał zmysł obserwacji nadchodzącego zagrożenia. Ot, taki wrodzony, wielce wyczulony instynkt, który z pewnością niejednokrotnie życie mu uratował. Całkiem możliwe, że odziedziczył był go po przodkach.

W tym właśnie momencie Kapitan udowodnił swe kompetencje, potwierdzając, że słusznie otrzymał swe stanowisko.

- Racz mu, pani, wybaczyć - poprosił. - Chciał spytać, gdzie na zamkowym dziedzińcu moglibyśmy coś zjeść, i gdzie, o pani, dane nam będzie spać. Bez snu i jedzenia trudno będzie nam nosić pikę, nie mówiąc już o wypatrywaniu wrogów.

W Selistis trochę jakby gniew zelżał. Uspokoila się, popadając w zamyślenie. Leoharl natomiast, jakby szybciej nieco znajdując w głowie rozwiązanie, wskazał na stojące wokół domy.

- Wybierzcie któreś z nich i sobie mieszkać. Żarcie będzie, jak załatwimy kogoś, kto będzie gotował.

- A piwo? - zapytał drugi ze strażników.

Doprawdy, jeszcze grosza na siebie nie zarobili, a już wymagali nie wiadomo czego. Ostatnią kwestię było jednak rozwiązać znacznie prościej i wzrok zgromadzonych skupił się na siedzącym pod ścianą karczmarzu. Ten, jak na komendę, otrząsnął się i rozejrzał pobieżnie. Na szczęście, ogarniając wzrokiem rząd pijaków z bronią w dłoni, szybko się opamiętał i zemdlał, głowę o mur opierając.

- Karczmarza już mamy - zauważył Leoharl.

- Mamy? - spytała poważnym tonem Katia, machając karczmarzowi ręką przed oczami.

- Brakuje karczmy.

Selistis westchnęła. Mój panie, gdybym miał możliwość, z ciekawości nająłbym jakiego ciecia, coby łąził za nią i liczył wszystkie jej westchnięcia. Pytałbym go każdego dnia: „Ile?” i stawiał zakłady, ile będzie dnia następnego, zarabiając na tychże jej westchnięciach. Nie to, żeby wzdychała z żalu. W końcu nie żałuje żadnego z pochopnych... znaczy się: pośpiesznie skonstruowanych, ale wciąż świetnie przemyślanych planów. Niemniej karczmy nie było, a było na nią zapotrzebowanie. Ponownie przeto wzdychając, podeszła do jednego z murów z zamiarem zaradzenia temu problemowi.

Rozrzucając palce, jak kot rozwała pazury, szykując się do ataku, uniosła dłonie w powietrze. Palce czarną nicią złączyły się z ziemią i murem zamku, chwilę później tworząc wzorzec konstrukcji, jaka miała powstać. Nici, choć wpierw tworzyły bezkształtny obraz, powoli zaczęły układać się w dom. Gdy nabrały już odpowiedniego kształtu, wyrwała z nich palce. Trwały przed nią w powietrzu, lekko uginając się przy powiewie wiatru. Przykładając do ścian budowli dłonie, nadała im trwałości. *Kolejne* kawałki domu brązowiały, bieleły lub szkłem świeciły, nadając ostateczną formę, bardzo mocno zbliżoną do pewnej znanej wszystkim drewnianej karczmy.

- Będzie ? - spytała.

- Będzie! - bijąc brawo, oznajmiła Katia.

- Będzie!!! - rozpoznawszy tak dobrze znany obiekt, chórem zawtórował jej rząd strażników. Porzuciwszy piki, woje, jak owce udali się do swej zagrody.

- Gdzie?! Gdzie?! - krzyczała zrozpaczona Selistis. Najwyraźniej jednego w robieniu z nich wojów nie wzięła pod uwagę: całkiem trudno zdyscyplinować pijaczków.

Poczuwając się do swej nowej roli, Kapitan zaoferował się w tym dyscyplinowaniu pomóc i ruszył za nimi. Karczmarz natomiast został przez księcia wniesiony przez próg i postawiony

za kontuarem, gdzie wciąż nieobecny, patrząc pustym wzrokiem, obsługiwał nowo zaprzysiężonych wojów. Zdawało się, że był do tego zdolny wyłącznie dzięki mechanicznemu przyzwyczajeniu do sięgania po kufel, nalewania piwa i stawiania kufla na ladzie.

* * *

- Ech... tyle zachodu, że zaraz będzie południe - narzekała Selistis.

- A mamy coś w planach ? - ostentacyjnie wręcz spytał ksiązę, żłowiąc pierwsze w nowo powstałej karczmie piwo.

- Tak... mamy... - westchnęła Selistis. - Jeśli na poważnie się za to nie weźmiesz, to ci przywalę.

- Myślałem o tym, skąd wziąć zaopatrzenie zamku - zadumał się Leoharl.

- Ruszymy przed siebie. Coś znajdziemy po drodze - oceniła Selistis.

- A czego szukacie ? - Kaktus rozpromieniła się. Ach, zaznaczałem, że będzie brzmieć dziwnie. - Może pomogę? Wiesz, to jedna z niewielu rzeczy, w jakiej akurat mogę się przydać!

Selistis zbladła. Oto w jednym zdaniu jasnowłosa oznajmiła, że może być użyteczna, zaoferowała pomoc i jednocześnie dała świadectwo, że wie, że z małym wyjątkiem tak ogólnie to jest całkiem bezużyteczna.

- Uch... no... tak... - poskładawszy myśli, zebrała się na odpowiedź. - Otóż musimy zaopatrzyć zamek w sztukmistrzów, sprzedawców i rzemieślników.

- Więc mówisz, że idziemy ograbić inne księstwo z chłopstwa? - Katia rozkręciła się już na dobre.

- A, tak. Taki miałam pomysł - przyznała Selistis.

- Wobec tego musimy zacząć od księstwa Capigębów!

- Czy nie tam zmierzałaś ?

- No właśnie! Otóż ksiązę Capigęba jest trochę, że tak powiem,

mało inteligentny. Często mojej pomocy potrzebuje. Właściwie tak często, że odwiedzam go jako prawie co drugiego księcia.

- Tak tępy?

- Tak tępy. Dużo pije, co wcale mu w prowadzeniu księstwa nie pomaga. W dodatku jego ziemie są całkiem daleko. Jakiś tydzień drogi stąd. Cokolwiek się stanie, za bardzo nam nie zaszkodzi, bo kierując armię na nas, musiałyby przekroczyć granice dwóch księstw. A wiesz, z tymi małymi toczącymi bój księstwami jest tak, że każdy się boi, nawet gdy armia jest nie tak wielka.

- Niegłupie. - Selistis drugi raz musiała pochylić przed nią czoła.

Widać blondyna istotnie swój rozum miała. Co prowadziło - O zgrozo! - do domysłów, że w swojej robocie też może być kompetentna!

- No właśnie. Możemy wedrzeć się, postraszyć księcia wojną i zabrać co trzeba jako daninę. Ach, ale nie mam pomysłu, jak wszystkich tych ludzi tutaj przytargać. Trzeba by zorganizować wozy...

- N-no... o to się nie martw - zająknęła się Selistis.

Była przerażona. Pomińmy, że Katii na myśl o przytarganiu dziesiątek ludzi wbrew ich woli nie drgnęła nawet powieka, ale zasugerowanie masowego porwania ludu, to dopiero było coś! Zdecydowanie, nawet Selistis zaczęła podejrzewać, że Katia coś przed nią ukrywa. Jakby była jakim wcieleniem złego ducha, dla którego takie rzeczy jak kradzieże czy uprowadzenia były chlebem powszednim.

Tymczasem Kapitan, który dopiero co poznawał Leoharla, słuchając z boku całej tej rozmowy, nie mógł się powstrzymać przed zadaniem pewnego dość ważnego pytania. Wypiwszy końcówkę piwa, skierował się zatem ku księciu:

- Panie, zechcesz może mi wytłumaczyć, co zamierzasz zrobić ?

- Hmm? Czy to nie jest jasne?

- Z tą kradzieżą chłopą, czy też wymuszeniem na księciu Capigębie poddaństwa, zrozumiałem - przyznał otwarcie. - Ale może tak ogólniej trochę ?

- Ogólniej ? - Książę podrapał się po brodzie.

Karczma ucichła. Kto pił piwo, przestał. Kto już chrapać zaczął, chrapał dalej. Karczma pełna gapiów jednomyślnie spojrzała na księcia, wyczekując odpowiedzi.

- Zjednoczę królestwo - wygłosił dumnie Leoharl.

- Zechcesz nieco wyjaśnić? - zaproponował ktoś z boku.

- Dziesięć lat tu siedzę, a wasz król odszedł jeszcze wcześniej. Dziesięć lat, a nikt zgoła nic zrobić w sprawie przepychanek braci nie zdołał, mam rację? - pytał wszystkich obecnych w karczmie. - Już od dawna myślałem, by się ruszyć w tej sprawie do tych książąt, co łaskawie siadają na tronach i nic nie chcą robić, ale z mieczem kłopoty i ogólnie brak funduszy na realizację planów trochę mnie z tą sprawą zatrzymały...

Spojrzał przy tym na Selistis, która siedziała obok niego. Uśmiechnął się do niej i przytaknął. Oboje chyba wiedzieli, że z tą bronią to tylko wymówka. W rzeczywistości potrzebował zupełnie czego innego, by w końcu ruszyć przed siebie.

- W końcu moja podwładna Selistis otrzeźwiła mnie, przypominając, jaka rola we krwi moich przodków jest mi przypisana. - Tu powstał, miecz wyjmując z pochwy na plecach. - Więc ogłaszam: będę tym, który konflikt zakończy. Tym, za którym podążą tłumy. Ludy ziem króla Henryka Wspaniałego staną w moich szeregach, a ja, Leoharl Mem, zjednoczę je, dając im upragniony pokój! - entuzjastycznie ogłosił swój cel.

Ciżba słów księcia wysłuchała i ucichła. Chwilę po tym, jak skończył, gdzieś za jego plecami rozszedł się szept:

- Ładna mowa.

- Pewnie z jakiejś książki.

- Da nam pokój, myślisz? -Jak?

- Czym?
- Na których ziemiach?
- Pewnie stąd aż do następnej drogi.
- Nie, może po ocean?
- Może po góry? Są bliżej.
- Ktoś mi może wyjaśni, o jaki pokój chodzi?
- Ja mam taki jeden w domu, może o ten?
- Czy ktoś wspomniał, że ma wolny pokój ?
- Dlaczego ty miałbyś to zrobić ? - urwała szeptem Katia. Leoharł miecz do pochwy schował z charakterystycznym metalicznym szelestem.

- Bo nikt inny nie chce - oznajmił wprost. - Dziesięć lat każdemu wystarczy, by się opamiętał, a tymczasem spadkobiercy króla nic nie myślą o ludach swoich ziem, a tylko o swoim własnym dobru. Gdyby król Henryk mógł spojrzeć na to, co zrobili z jego darem, wszystkim uszy by za to powykręcał - huknął szorstko.

Uspokoił się jednak, palcami wodząc po skórzanych pasach swego stroju. Odginając jeden z nich, ukazał ukryty pod nim łańcuch z emblematem złotego drzewa wyrytym na wiszącym pod szyją kawałku stali.

- Mój ród, ród Memów, przed laty królował na tych ziemiach. Teraz tylko ze smutkiem mogę patrzeć, jak to dzieło, wieki ciszy, spokoju i dobrobytu, pozostaje jedynie wspomnieniem. Król Henryk Wspaniały, o którym przez te lata wiele dobrego zdołałem usłyszeć, doskonale rozumiał, jak cennym dla jego ludu jest spokój. Niech więc będzie to mój pokłon dla niego. W jego miejsce odtworzę to, co po jego śmierci jego lud utracił.

Nastąpiła zupełna cisza. Bez szeptów, bez doczepek i przebąkiwanych pod nosem głupich komentarzy. Tak poważna deklaracja nie pozostała bez echa w sercach zgromadzonych w karczmie pierwszych mieszkańców księstwa Leoharła.

- Więc postanowione! Ruszamy! - Katia powstała ze swego siedzenia, energicznie uderzając dłońmi o stół.

Zburzyła tym samym ten przyciężki nastrój i ucięła przeciągającą się znacznie dyskusję, która niebezpiecznie zbliżała ich do pory popołudniowej. Selistis nie omieszkła przy tym zauważyć tej jakże oczywistej próby włączenia się w podróż.

- W porządku, Kaktus, zbieraj manatki. - Uległa. - Kapitanie, zamek zostanie pod twoją obroną.

- Tak jest - zasalutował niepewnie staruszek.

- Tak jest!!! - zawtórowała mu ciżba.

Selistis nie wiedziała, czy to oznaka, że akceptują zwierzchnictwo staruszka, czy raczej dowód szczęścia strażników, co dobrze wiedzieli, że gdy kota nie ma w domu, myszy niczego poza piciem robić nie będą. Na szczęście był to dla niej jeden z najmniejszych problemów. Zacierając ręce, jakby knuła jakiś podstępny plan, wyszła przed gospodę.

Katia z kolei promieniała, zagłębiając się w toczonej przez jej wyobraźnię wizji niesamowitej przygody, w którą właśnie się wkręciła dzięki swojemu unikatowemu talentowi. Tymczasem, niewiele wszystkiemu uwagi poświęcając, książę zamyślił się nad kuflem. Nie oceniaj go źle, panie. Otóż z całą pewnością powiedzieć ci mogę, że w tej oto chwili w człowieku tym rozpoczęła się największa w jego życiu zmiana. Zrozumiał bowiem, że cel, który sam swoimi słowami nakreślił, jest całkiem prawdziwy. Rola, jaką przyjdzie mu odegrać, może stać się wielką. O wiele większą, niż sam się tego spodziewał. Większą, niż mógł sobie wymarzyć. Oto nie będzie już całymi dniami siedział w karczmie, beztrosko rozcieńczając krew procentami. Ten samozwańczy książę wszystko to wiedział, dlatego do samego południa pił, ile wlezie. Wiedział, że po raz ostatni pije tak oto, swobodnie, niestrudzony wielkich czy mniejszych władców myślami.

Rozdział 3

Szturm księstwa

- A niech mnie!

Bogato ubrany jeździec zatrzymał swego konia na szczycie niewielkiego wzniesienia. Nie dowierzał, że stoi przed zamkiem, którego na żadnej mapie nie da się znaleźć. W obawie przełknął głośno ślinę. Krążące o zamku plotki bywały czasem *przeróżające*, a skoro sam zamek naprawdę stoi, mógł się zaraz przekonać, że jest w nich trochę więcej prawdy, niż gotów był sądzić. Przymrużył oczy wobec coraz jaśniejszego porannego słońca. W końcu zebrał się na odwagę i strzelając lejcami, ruszył pod zamek.

Przywitała go pełniąca służbę przy bramie warta, w postaci jednego odzianego w szyszak człowieka. Nie omieszkał zauważyć nadkruszonych nad bramą murów, których nieco większy fragment służył strażnikowi za stołek. Strażnik chwiejnie wspierał się o pikę, wolną ręką podtrzymując głowę, żeby mu na ziemię nie spadła. W pierwszej chwili jeździec miał go spytać o drogę przed oblicze księcia Leoharla, ale zrezygnował. „Przemęczenie - pomyślał z należytą wyrozumiałością. - Też byłbym zmęczony, gdybym całą noc musiał pełnić wartę” - docenił trudny zawód strażnika.

Widząc, że nikt nie zamierza zagrozić mu drogi, przejechał przez bramę, uważając na walące się pod kopytami konia kawałki

murów. „Mógłby ktoś tu posprzątać” - zanotował w myślach skargę. Pierwsze, co dostrzegł na zamku, to stojącą nieopodal bramy karczmę. Przed nią na drabinę wdrapywał się jej właściciel. Trzymał w rękach nowy, starannie zdobiony szyld. „Pewnie poprzedni się zerwał i połamał” - pomyślał jeździec, przywiązując swego konia do przeznaczonej dla gości stajni przy bramie. Zerknął na szyld karczmy. Był on dość nietypowy. Głosił: „Nićmi Utkana”.

Karczmarz spojrział na jeźdźca rozkojarzonym wzrokiem. Przybiwszy szyld gwoździami, bez słowa zebrał drabinę i wszedł z powrotem do karczmy. Niewiele myśląc, podróżnik ruszył jego śladem.

- Kufel najlepszego piwa proszę! - zażądał, siadając przy ladzie.

Prawdę mówiąc, zamówił je dla towarzystwa, by parę pytań zadać. Nie przystoi bowiem tak ważnej jak on osobie pić tak wcześnie rano. Swoje miejsce przy ladzie już wcześniej zdążył zająć odziany w hełm starzec. „Wartownik - pomyślał jeździec. - Pewnie właśnie skończył swoją służbę” - wyciągnął naturalny wniosek. Niesłusznie, bo starzec ów, przez wszystkich już na zamku zwany Kapitanem, swoją zmianę miał dopiero zacząć.

- Karczmarzu, wiesz może, czy władca przebywa na swoim zamku? - spytał jeździec, sięgając po swój kufel.

Karczmarz zamrugał, jakby nie zrozumiał pytania.

- Nie odpowie ci, panie. Oniemiał - w jego miejsce odezwał się Kapitan. - Odkąd jego karczma wyleciała w powietrze, nie powiedział nawet jednego słowa. Stare czasy... - Kapitan wychylił kufel.

Podróżnik nieco się zafrasował, bo nic o wylatujących w powietrze karczmach nie słyszał.

- A mnie się zdawało, że to parę zachodów słońca temu było - napomknął ktoś z tyłu.

- A, tak. Stare, dobre czasy... - Kapitan westchnął przeciągle.
- To może ty mi powiesz, co jest z tym zamkiem? - zagadnął podróżny.

- Znaczy, co?

- No, słyszałem, że z ziemi wyrósł.

- No wyrósł.

Wiem, co myślisz, mój panie. Bez obaw, nie zacznę opowiadać, jak Kapitan wykład robi podróżnemu o wyrastających z ziemi zamkach. Ów jednym tylko zdaniem uciął tę rozmowę. Tym niemniej, tak otwartym stwierdzeniem trochę jeźdźca zaskoczył. Podróżny zdanie o swym piwie zmienił i upił mały łyk z kufla. Zaraz jednak pożałował, krzywiąc się zniesmaczony. Najwyraźniej do wysokiej jakości trunków, jakie serwowano w tej karczmie, język jego był nieprzyzwyczajony.

- Jeśli mogę wiedzieć: skąd się dowiedziałeś o tym zamku, panie? - zapytał Kapitan.

- Do uszu mego władcy doszła plotka, że tu nowy zamek stoi. Wspominała ona, cytując: „Jest tam taki łepek z koroną na głowie, co za księcia się wszystkim podaje”. - Podróżny odchrząknął. - Normalnie nikt tym słowom nie dałby wiary, gdyby nie złapany dzień wcześniej za wszczywanie bójek starzec. Ten w pijackiej malignie wrzeszczał o wyrastających z ziemi zamkach, które nóg dostają i królestwo najeżdżają, grożąc mu ruiną. Dalsze dochodzenie pozwoliło znaleźć większą, choć nieznacznie, liczbę osób, co podobnie po karczmach głosili. To starczyło, bym od mego pana rozkaz dostał wybadania sprawy.

No proszę. Wiadomo było przynajmniej, gdzie poszedł ten biedak, co swego czasu z karczmy w nieznane strony się udał. Znaczy się, nie bardzo wiadomo, bo podróżny ukrywał się z tym, skąd przybywa, ale wiadomo przynajmniej, że ów pijak żył i miał się dobrze. To pocieszające.

- Więc co jest z tym twoim panem? Jest na zamku?

- Jest, jest - uprzejmie przytaknął Kapitan.

- To świetnie. Rusz się zatem i zapowiedz, że przybył do niego posłaniec.

Kapitan nieufnie spojrział znad kufła.

- Znaczy się... teraz?

- N-no tak. - Podróżny był nieco zaskoczony, że chłop z miejsca tak ważnego rozkazu nie wykonał.

- No dobra. Skończę kufel i pójdę - oznajmił spokojnie. „Skończę kufel?” - Podróżny potrząsnął głową, nie dowierzając w to, co usłyszał.

- Swoją drogą to dziwne, że Ferdek tego jegomościa nie zapowiedział - bystrze zauważył ktoś z tyłu.

- Nie, wcale nie dziwne - skwitował Kapitan. - Zakład o dwa włosy z mej już całkiem podłysiałej głowy, że leży pod bramą. Chwilę temu widziałem go z kuflem.

- Ach, racja, racja - przytaknął ten z tyłu.

„Z kuflem?!” - omal nie wykrzyknął do siebie podróżnik. Złapał się rękami za głowę.

- Pijany na służbie?! - W końcu nie wytrzymał.

Słyszając ten zdziwiony głos, staruszek zlustrował przybysza mętnym wzrokiem. Wzniósł oczy i spojrzął na swój szyszak.

- Ano - przytaknął. - Cóż, panie, nie będę cię oszukiwał. To ciężka robota. Na trzeźwo nie ma nawet co zaczynać.

Posłańcowi opadły ręce. Siedzący przed nim Kapitan westchnął, bo już całkiem dobrze znał tę reakcję. Sam na wszelkie dziwy był uodporniony. Jedną z wielu przedziwnych właściwości tego zamku było to, że z czasem wszyscy jego mieszkańcy przestają się czemukolwiek dziwić. Zresztą ma się rozumieć, że dla tychże mieszkańców ta właściwość też przedziwną wcale nie była.

Kapitan postanowił jednak oszczędzić podróżnemu kłopotu. Dokończył piwo jednym haustem. Wstając, uklonił się karczmarzowi i wyszedł oznajmić władcy zamku przybycie gościa. A wiedział, że wcale niełatwe stało przed nim zadanie. W istocie robota strażnika pociągała za sobą wiele wyzwań i trudnych

sytuacji, z którymi co dzień trzeba było sobie radzić. Dziś, na przykład, musiał obudzić księcia Leoharla.

* * *

- Panie!

- Czort z tobą! - przyjmując z łóżka w swojej komnacie natrętnie stukanie, książę wyraził swoją dezaprobatę.

- Panie! Przybywa do ciebie posłaniec!

- Nie widzisz, że odsypiam?

By wyjaśnić, skąd to odsypianie, pozwól, panie, że ci opowiem krótko o tym, co dzień wcześniej zaszło. Zgodnie z planem ekipa wróciła po zmroku z podróży do księstwa Capigębów. Zamek ożył od podnieconych głosów. Leoharl, Selistis i Katia sprawili się wyśmienicie. Przyprawdzili od kucharzy, poprzez tkaczy, aż po zbrojmistrzów - każdy z domów otrzymał nowego właściciela. Żałuję tylko, mój panie, że o samych szczegółach tego sukcesu nie mogę ci opowiedzieć. Książę Capigęba, zaprosiwszy gości na biesiadę, sam na wywóz chłopstwa się zgodził. Powiadają, że wciskając ten swój wszystkim znany wielki czerwony nochal tam, gdzie nie trzeba, za skórę Pani w Czerni zalazł. Gdzie go wciskał, nikt się nie odważył wspomnieć. Nim Selistis zdążyła go nosa pozbawić, Katia wynegocjowała rozejm. Powiadają, że zapity w trupa książę Capigęba na wszystko się zgodził. Nie trudno uwierzyć, bo w taki sposób często politykę swego księstwa prowadził. Skąd ten rozejm i po co, nie dochodził. Nigdy nie miał do takich spraw głowy.

Dużo więcej mogę powiedzieć o samym środku transportu, jakiego użyto w drodze powrotnej na zamek. Otóż, jak sam pewnie widziałeś, wjeżdżając w progi tego zamku, mój panie, blanki południowej ściany są dziś nadkruszone. Jeśli kiedykolwiek zastanawiałeś się nad tym, dlaczego, to słuchaj: na zamek chłopstwo zajechało, sunąc po niebie na tle nocnych gwiazd większym od tych murów wozem. Wjeżdżając, nieco podchmielony woźnica

zahaczył o te blanki kołem. Najwyraźniej tam, skąd przyjechał, nie wpaja się nikomu, że po piwie nie bierze się lejcy w dłonie. Doprawdy, Kapitan już nawet po paru głębszych czasem zastanawia się, czy powinien w takim stanie iść do pracy. Czasem. O prowadzeniu wozu natomiast nie ma mowy.

Beretrestahil, jak na imię miał najęty przez Selistis woźnica, solennie Leoharla za tę szkodę musiał później przeproszać. Trzeba przy tym sobie wyobrazić, jak śmiesznie owe przeprosiny wyglądały: zgarbiony nad Leoharlem drągał miał wzrostu trzech chłopów, jeśli nie ze czterech. Strasznie wyrósł, skubany. Chyba na samych marchewkach i kozim mleku żywiony.

Jak Selistis jegomością najęła, nie przytoczę. Różne chodzą pogłoski, ale każda jedna ma coś niecoś wspólnego z ilością wypitego tego wieczora alkoholu. Beretrestahil przyodziany był w wiązane w pasie spodnie i koszulę, co mięśnie eksponowała. Wóz, który prowadził, spokojnie pomieściłby parę tuzinów chłopów. Konie, które go ciągnęły, były jak stodoła. Nie dziwne zatem, że na niezbyt dużym pasie zieleni na zamku nie zdołał odpowiednio prędkości zmniejszyć, by bez krzywdy dla jego murów wystartować. Całe szczęście, że tym swoim wjazdem nie zostawił Leoharlowi miejsca na dodatkową bramę.

Rozumiesz teraz, panie, irytację Leoharla, że Kapitan o tak wczesnej porze spać mu nie dawał.

- Bodajbyś szczeł!!! - wydarł się Leoharl, wciąż słysząc natrętne stukanie w drzwi swojej komnaty.

- Panie! Dostojny posłaniec przynosi ci jakąś wiadomość, a w mojej ocenie nie taką nieistotną.

Pamiętajmy przecież, że gdy posłaniec na skraj pustkowia zaszedł, znaczyć to musiało, że ktoś o księstwie Leoharla usłyszał. Choć niechętnie, książę był zmuszony udzielić przybyszowi audiencji.

- Zaprowadź go do sali tronowej. Będę za chwilę. Aha, i po drodze obudź Selistis.

- Oj... czy to aby konieczne? - zajączał Kapitan.

Selistis po poprzednim wieczorze była padnięta, a jej temperament był znacznie bardziej burzliwy niż księcia. Wrzask przez drzwi byłby najłagodniejszym, co mogło Kapitana spotkać. Wgniecenie tymi drzwiami w ścianę - najpewniejszym.

- Po namyśle, nie skazę cię na tę torturę. Obudzę ją później - miłościwie oznajmił mu władca.

Kapitan odetchnął z ulgą.

* * *

Minęła chwila, nim ksiązę opuścił swe komnaty i zasiadł na tronie, chyląc głowę na rękę. Posłaniec, wchodząc do sali, dostrzegł jego niemrawe spojrzenie. Mając za sobą niezbyt przyjazne doświadczenia w karczmie, nie omieszkał spytać sam siebie, czy przypadkiem jegomość w koronie też nie jest jakoby nietrzeźwy?

- Mmm? Czego? - z wysiłkiem zapytał ksiązę, nie mając ochoty zbyć jego podejrzeń.

- Erm... khmm... - Posłaniec zupełnie stracił pewność siebie. Zgodnie z etykietą przykląkł jednak przed tronem i unosząc zalakowany pergamin, rozpoczął swą mowę. - Panie, którego imię nie jest mi znane, przybywam na usługach mojego władcy: wielkiego, szlachetnego księcia Wielkopysznego. Pan mój, słysząc o twym przybyciu i zamku, który wznieść sobie kazałeś, sporządzić rozkazał swemu dyplomacie pergamin, który tutaj oto przesyła.

To mówiąc, posłaniec wyciągnął ręce przed siebie. Niepewnie rozejrzał się na boki. Oczekiwał, że w tej właśnie chwili podwładny księcia odbierze zwój z jego rąk i poda Leoharłowi. Właściwie to był do tej pory w takim szoku, że dopiero teraz zauważył, że prócz księcia wokół nie ma nikogo. Strażnika czy służby - żywej duszy. Ta przedziwna sytuacja przeraziła go jeszcze bardziej, gdy ksiązę z przekrzywioną na głowie koroną, ciężko sapiąc, samodzielnie powstał, łapczywie chwytając pergamin

w dłonie. „Co tu, na litość, się dzieje ?” - zapytał siebie w myślach podróżnik.

- „Bla-bla, się stawić, bla-bla, wyjaśnić, bla-bla... dołączyć pod sztandar wielmożnego pana naszego... bla... - Książę roztropnie, słowo po słowie, deklamował treść pisma, zataczając koło wokół swego tronu. - Już pędzę! - skomentował. Zgniatając pergamin w kulkę, rzucił nim przez ramię. - Powiedz temu... jak mu tam, że może sobie pomarzyć.

Znów opadł na tron, zaspaną głowę ręką wsparłszy.

- R-rozumiem. - Posłaniec zawahał się. - Jak mniemam, wiesz, panie, że to oznacza wojnę?

- A tak w piśmie stało ? - zadumał się władca.

- T-tak, panie. - Posłaniec poczuł się nieco przytłoczony nie-dbalstwem, z jakim książę zapoznał się z pergaminem.

Leoharl sapnął, chwilę się nad tym zastanawiając. Zamknął oczy. Chyba na moment zasnął, ale posłaniec nie ważył się go obudzić.

- Odejdź - mruknął w końcu. - Daj mi czas do namysłu.

- Ale mój pan kazał...

- Odejdź, mówię - sapnął raz jeszcze.

Z tym sapnięciem zasnął na tronie. Posłaniec uklonił się i odszedł, ślaniając się na nogach. Zaczynał podejrzewać, że sam jednym łykiem piwa zdołał się upić, co by mogło wyjaśniać, czemu wszyscy po tym zamku jak pijani chodzą. Skoro książę Leoharl nie dał Wielkopysznemu odpowiedzi, wzięwszy pod uwagę treść listu, Wielkopyszny z pewnością był gotów uznać to za odpowiedź odmowną. Posłaniec był ciekaw, czy Leoharl zdawał sobie z tego sprawę. Zdecydowanie powinien był w tej sprawie skonsultować się ze swoim dyplomata. Ten na pewno by mu to wyjaśnił.

Wobec wszystkiego innego, co posłaniec zobaczył w tym księstwie, wnet doszedł do wniosku, że tak naprawdę to wszystko mu jedno. Dla świętego spokoju jego władca mógłby nawet zrównać ten zamek z ziemią.

- Zwariuję. Dłużej tu nie wytrzymam - zamruczał do siebie, opuszczając salę tronową.

- Dzień dobry! Mam nadzieję, że spotkanie się udało - przywitała go energiczna i wечно uśmiechnięta Katia.

Wychodząc ze swych komnat w jaśniejącej wczesnym rankiem zwiewnej białej sukni, Katia w mig całkowicie onieśmieliła jego mością, skupiając na sobie całą jego uwagę.

- A... tak, tak! Poszło... dobrze - wydukał posłaniec. - Choć pewnie zakończy się wojną - mruknął.

- Ach, nie może to być! Naprawdę?! - zaintonowała Katia.

- Naprawdę!

Katia zerknęła przez otwarte wrota do sali tronowej, a widząc śpiącego na tronie Leoharla, z miejsca się uśmiechnęła.

- Och, panie, musisz mi wybaczyć - zwróciła się do niego nieśmiało. - Książę Leoharl cierpi na dość rzadką chorobę, co zasypiać mu każe zawsze i wszędzie.

- Doprawdy? - Posłaniec nadstawił uszu. W istocie, usłyszał dochodzące z sali chrapanie.

- Ach, taka nieszczęśliwa pora, że zasnął akurat przy twojej wizycie. W takim stanie nie jest zdolny podejmować żadnej decyzji.

- To by się zgadzało. W końcu z sali mnie wygonił - burknął posłaniec.

- No właśnie! - Katia uraczyła go radosnym uśmiechem. - Nie poczytaj mu tego za nietakt. Przepraszam, że nie zdołałam przybyć na czas, by go reprezentować. Dla książęcego dyplomaty to niewybaczalne. - Głęboko skłoniła się z pokorą.

Posłaniec poczuł się trochę nieswojo wobec takich przeprosin złożonych z ust tak pięknej damy.

- To mnie przypada w tym księstwie prowadzenie dyplomacji, więc proszę o wysłuchanie - ciągnęła, nie dając mu czasu na namysł. - Przekaż panu swemu moją odpowiedź: książę Leoharl sam przed nim się stawi, by z nim całą tę sprawę przedyskutować.

Jedź prędko, by mu tę wiadomość przekazać, i ciesz się, że o tak pięknym poranku o wojnie nie trzeba ci będzie myśleć. - To powiedziawszy, uśmiechnęła się promieniście.

Posłaniec uspokoił umysł, wpatrzony w jej olśniewający uśmiech. Blondynka, stając w świetle przebijającego przez okna słońca z rozwianymi na wietrze włosami, swą nienaganną postawą i mądrą mową zdawała się bić blaskiem anielskim, co kontrastowało z tym po stokroć przeklętym przez posłańca księstwem. Pochylił się zatem do pasa oczarowany i odszedł z uśmiechem, jak gdyby zapomniał o wszystkim innym, co tego poranka zaszło.

A Katia, cała w skowronkach, wróciła się do swego pokoju, by zabrać jasek. Z uśmiechem weszła do sali tronowej.

- Dzień dobry, Leo! Cóż słyszę? Poranek zaczynasz od wojny?

- Mhmmm... nie dają mi pospać - zamruczał.

Niosąc jasek w splecionych za plecami rękach, z cichą pieśnią na ustach podeszła do tronu, by lekko odginając księciu głowę, wsadzić jasek między jego policzek a rękę.

- Mmm... dzięki... - zamruczał zadowolony.

- Nie ma za co, Leo. Nie ma za co.

Niestety, mój panie, nikt nie był świadkiem jej rozmowy z posłańcem, przeto nikt w tamtej chwili jej słów i ich konsekwencji nie mógł docenić. Teraz mogę cię, panie, zapewnić, że gdybym cokolwiek wtedy o tym wszystkim wiedział, uściskałbym ją i szczerze podziękował jej z całego serca za tak wielką przysługę, jaką księciu Leoharlowi bez jego wiedzy oddała.

A ona tymczasem podniosła z ziemi zgnieciony pergamin, by zapoznać się z jego treścią. Przeczytawszy, uśmiechnęła się raz jeszcze i niewinnie nucąc kolejną ze swych ulubionych melodii, zawróciła ku schodom, rozmyślając, jakie śniadanie przygotował im kucharz i czy odważyć się obudzić na nie Panią w Czerni. Wprawdzie Kapitan nie chciał ryzykować życiem, ale Kaktus mogła się pokusić o to, by jakoś do niej przemówić. Może udałoby się zwlec Selistis z łóżka bez strat w ludziach i konieczności

ponownego wstawiania drzwi jej sypialni? Może warto przynajmniej spróbować? Po namyśle uznała, że aż tak wiele odwagi w sobie nie ma. Poczekaj, może komuś innemu uda się dokonać tego dzieła.

* * *

- Pani!

- A poszedł won!

Kapitan nie miał dziś szczęścia. Choć pierwotnie uniknął zmasakrowania drzwiami, teraz od ryzyka zbudzenia Selistis nie mógł się już wymigać. Niemniej sytuacja była już znacznie lepsza. Było teraz dobrze po południu i Pani w Czerni już tak mocno nie kąsała. Była tylko troszeczkę podirytowana. W jej przypadku można było to nazwać normą.

- Książę udał się z bardzo ważną wizytą do zbrojmistrza, przeto pani muszę złożyć swój raport. Otóż mury zamczyska zdają się być szturmowane przez grupę żołnierzy. Chciałbym się dowiedzieć, jakie mamy wykonać rozkazy.

- Szturmowane? - ospale powtórzyła Selistis. - Zaraz tam pójde - dodała, przewracając się na bok.

Opuściła swój pokój, ziewając i wlokąc się noga za nogą. Na swoje szczęście miała całkiem krótkie włosy, więc nie rzucało się tak bardzo w oczy, że są nieuczesane. Nim wyszła z zamku, zdążyła je nieco przylizać. Trochę odstawały, ale to musiało wystarczyć.

Jej sale znajdowały się na wyższym piętrze, przeto wyjście miała przez małą drewnianą bramę prosto na pierwszy rząd murów wewnętrznego zamku. Szerokim krokiem weszła na blanki i wciąż ziewając, zrobiła następny krok, pionowo schodząc po ścianie ku ziemi. Nogą stanęła na trawie i na nic nie bacząc, szła dalej przed siebie. Stanąwszy na ziemi, beztrąsko podeszła naprzeciw zewnętrznych murów zamku. Wcale nie zwalniając, wlaźła po nich, nieco chybotając się na boki. To

chybotanie wynikało bardziej z zaspania niż z jakiejś trudności z włożeniem pionowo po ścianie. Zatrzymała się wreszcie na szczycie murów, głęboko całym tym wyczynem olewając pewnego znanego mędrca i jego jabłko. Szła dalej, kierując się tam, skąd dochodził stukot i wrzaski - w ten sposób znalazła się na wschodnich murach zamku.

Wyjrzała pomiędzy blankami. Senność ustąpiła miejsca zdziwieniu, gdyż zamek w istocie był szturmowany! Oto na samym dole banda rozłoszczonych lekko uzbrojonych wojowników w liczbie sześciu odgrażała się pięściami, waląc kijkami swych dzid w mur. Tymczasem, przechylając głowę na bok, Selistis upewniła się, że widzi w nim bramę zamku. Bramę i śpiącego przy niej strażnika. Otwartą - zaznaczymy - otwartą bramę!

- Czego tu?! - Nie mogąc logiką złamać tej zagadki, postanowiła zapytać.

- Jak to czego?! Co znaczy ten zamek?! My tu na bitwę się szykujemy, a tu co?! Zamek?!

- Na jaką znów bitwę? - mruknęła pod nosem, lecz w tej samej chwili podobne odgłosy doszły jej zza pleców.

Zawieszając myśl w powietrzu, spokojnie, powolnym krokiem udała się naprzeciwległą stronę murów, dając sobie wystarczająco dużo czasu, by rozbudzić zaspaną głowę.

- Czego tu?! - spytała po drugiej stronie.

- No bo my se, prze pani, myślimy, skąd się ten mur przed oczyma tak nagle pojawił? - dyplomatycznie wyjaśnił uprzejmy wojownik, jak i tamci w skórzaną zbroję odziany i we włócznię uzbrojony.

Obok niego stało jeszcze trzech uzbrojonych w miecze i czwarty z pokrętną tarczą i korbaczem. Armia pięciu szturmowała zamek od przeciwnej niż przed chwilą wspomniana armia strony.

W mig do głowy przyjść mogła przerażająca wręcz myśl: zamek był otoczony!

- Nigdy nie widzieliście zamku?

- No, zamek, prze pani, tak sobie myślę, że w parę dni nie mógłby powstać, mam rację?

- A jeśli?

- Więc jak mamy, o pani, przeprowadzić bitwę?

- Jaką, na litość, jaką bitwę?

- No... bitwę o granicę księstwa.

- Z tymi tamtymi po drugiej stronie ?

- Słyszając po wrzaskach, tak, z nimi. Cóż za nieprzyjemna hołota.

Prezentując z godnością swój problem, wojownik pokręcił głową, lamentując nad niewychowaniem swoich przeciwników. Jego oddział natychmiast, za przykładem ich wodza, począł lamentować i kręcić głowami.

No i tak wyglądała sytuacja. Zmieszana Selistis, wciąż wolno ogarniając odgrywającą się przed nią scenę, uznała, że znów przyda się jej chwila namysłu. Powróciła przeto na poprzednią stronę.

- No i coś wymodziła? - uderzyło ją nagle pytanie dowódcy oddziału po wschodniej stronie.

Niezmiernie ją zirytował. Ważna uwaga na przyszłość: Pani w Czerni za nic nie wolno przeszkadzać, gdy myśli.

- Spadać stąd albo na około zapinać! Raz, dwa, bo smołę na łeb każę wylać! - wybuchnęła wkurzona.

Nie czekając na rozwój wypadków, ostentacyjnie odwróciła się od nich na pięcie, przechodząc obok stojącego tuż przy niej Leoharla. Najwyraźniej ksiązę usłyszał, że zamek jest szturmowany, i postanowił, że najrozsądniej będzie, gdy na jakiś mur wlezie. To - albo też chciał rozeznąć się w sytuacji. Decyzję w tej sprawie pozostawiam tobie, mój panie.

- Hmm... - Zobaczywszy wojowników, strasznie się zafrasował. - Wiesz, jednak patrząc pod kątem strategicznym, to nie było najlepsze miejsce na zamek - skomentował, pogłębiając irytację Selistis, która, ignorując go, szybkim krokiem wróciła do wnętrza zamku. Ten cały szturm był nieco ponad jej zaspaną głowę.

Korzystając z okazji, że siedzieli we czwórkę przy obiedzie, Leoharl postanowił wyjaśnić zawiłą sytuację ekonomiczną karczmy, co jeszcze nie tak dawno temu koło zamku stała. We czwórkę siedzieli, bo będąc ważną figurą, Kapitan otrzymał pozwolenie, by jeść na zamku. Był z tego powodu bardzo szczęśliwy, zamkowy kucharz bowiem był szefem kuchni pierwszej klasy. Umiał na przykład porządnie przygotować jajecznicę. Ten, który gotował dla chłopstwa, był z tych, co nawet wodę potrafią przypalić.

A sprawa tak się miała, że jak już wcześniej wspomniałem, karczma była na granicy dwóch księstw. Po stronie wschodniej panował ród Urwiryjów, po zachodniej - ród Wyrwiszczeków. Regularnie, mniej więcej raz na tydzień, dochodziło tutaj do sporów o położenie między nimi granicy. Spór ten rozwiązywany był w szczerym polu, gdzie armia obu stron w heroicznym stawała boju. Wynik był taki, że w każdym starciu po jednej i po drugiej stronie na trawę padali nieprzytomni woje. Ci, co wciąż stali, targali później omdlałych do domów. Po cichu, by nikt się nimi bez potrzeby nie zainteresował.

Po takim boju nową granicę ustalano mniej więcej w ten sposób, że stojący po jednej i drugiej stronie wyklócali się o to, w którym miejscu i w jakiej liczbie upadły ciała nieprzytomnych kolegów. Tamtędy szła granica.

Wszyscy z takiego obrotu sprawy byli wielce zadowoleni. Władcy, bo mogli fundusze od ludu zbierać na tak ważną przecież obronę granic; wojownicy, bo co i rusz dumnie wypinali pierś, że w obronie księstwa walczyli i przetrwali; także lud, bo widząc powracający orszak wojowników, miał poczucie, że słusznie pieniądze na te wojska daje; w końcu sami wojownicy, sowite za obronę kraju otrzymując wynagrodzenie i heroiczne ze swych bojów opowieści snując po karczmach.

A było ich wiele. Tak wiele, że w końcu i lud przestał się całą tą wojną interesować. Mówimy o ludzie, co przez lata wcale się nie

zorientował, że granica księstwa w miejscu stała, a do boju ruszają wciąż ci sami woje. No, prawdę mówiąc, od czasu do czasu się zmieniają - i to może wystarczało, by czujność ludu uspić. To -albo wszyscy o wszystkim wiedzieli, ale woleli nie wkładać kija w mrowisko. Kto wie, co by zrobił ich władca, gdyby nagle ktoś mu uświadomił, że w jego wojnie z bratem nie widać żadnych rezultatów? Mógłby na przykład zechcieć armię podwoić i po co to komu? Lepiej niech już zostanie jak jest. Przynajmniej jest spokój.

Najważniejsze i najbardziej istotne: z całej tej sytuacji niezmiernie cieszyli się pracujący w pocie czoła stali bywalcy karczmy. Polegli bowiem w walce wojownicy bardzo często na polu tej heroicznej, przypomnijmy, bitwy swój oręż gubili. Niekiedy nawet też zbroję. Tak oto raz po raz przetrząsano trawy w poszukiwaniu skarbów. A znając ten proceder, władcy po obu stronach konfliktu dzień później wysyłali do karczmy swych gońców, by ten oręż odzyskać.

Za opłatą.

Tak nawet na kuciu nowej broni oszczędzając, dwa skłócone księstwa prowadziły ze sobą wojnę, dzięki której stali patroni karczmy nie musieli się martwić, że na piwo im kiedyś zabraknie. Wszyscy, ale to wszyscy, byli szczęśliwi. Najszczęśliwsza wojna na całym świecie!

- No widzisz? Dzięki tobie i twemu zamkowi z czasem spory ustaną - skomentowała opowieść Selistis. - Możesz być z siebie dumny! Pierwsze księstwa, którym ofiarowujesz pokój! - dodała, najwyraźniej nie wynosząc z tej opowieści słowa zrozumienia. Następnie zaproponowała, żeby broń, owszem, zbierać, ale nie oddawać, rujnując tym samym przez lata budowany system.

- W sumie... przynajmniej zaoszczędzisz na broni - zauważyła Katia.

- Bądź co bądź, chłopci będą szczęśliwi, bo poszukiwania skarbów nie ustaną. Kto inny tylko będzie za broń płacił - dodał Kapitan.

- Doprawdy, idealna sytuacja! - zgodził się władca. - Wybacz, Selistis, nie wziąłem tego pod uwagę. Byłaś, zaiste, genialna, że obrałaś tak dobre miejsce na zamek.

Pani w Czerni wypięła swą pierś, słysząc niezasłużoną, ale zawsze pochwałę. Żarty żartami, lecz sprawa szturmowa pozostała nierozwiązana. Zapadła cisza, w czasie której w spokoju można było przemyśleć całą tę zawiłą sytuację i zastanowić się, jak jej zaradzić.

- To co z nimi zrobimy? - spytała rozkojarzonym głosem wpatrzona w swój kubek kwaśnego soku Katia.

- Wylać smołę i patrzeć, jak uciekają - zaproponowała Selistis.

- Może tak jakoś dyplomatycznie powiedzieć, by sobie poszli? - przedstawił swój pomysł książę.

Katia wodziła palcem po krawędzi kubka z sokiem. Najwyraźniej nie była już głodna, choć prawie nic nie zjadła. Może jajecznica nie była jej ulubioną potrawą? Głowa melancholijnie opadła jej na stół. Oparła ją na rękę, coby twarde drewno nie uszkodziło jej podbródka. Teraz, by wodzić wzrokiem za palcem, musiała patrzeć w górę.

Zachowała się trochę tak, jakby chciała zmienić swój punkt widzenia; patrzeć tak, jak żołnierze, co pod murem zamku stoją i w górę muszą patrzeć na swoich rozmówców. Rzuciła Kapitanowi przelotne spojrzenie, a że ten pomysł nie miał, siedział cicho. Nie był jak niektórzy, co głupoty wygadują.

Kapitan nie pomógł, więc Katia wróciła wzrokiem do kubka.

- Może ich przygarniesz, Leo ?

- He?

- No... wcielisz ich do swojego wojska.

Wszyscy z uwagą wlepili oczy w Kaktusa. Wcale nie dlatego, że palnęła głupstwo. Jej pomysł był naprawdę świetny.

- Rewelacyjnie! - wykrzyknął książę, palnąwszy się w łeb za to, że sam na to nie wpadł. - Moja armia urośnie, pozbawiając wojów konkurencję! Świetny plan, Kaktus! Świetny! Jak na to wpadłaś? - nie omieszkał spytać, samemu chcąc się czegoś nauczyć.

- Cóż - Katia wzruszyła ramionami, nie podnosząc głowy ze stołu - ekonomia. To najlepsze rozwiązanie i dla ciebie, i dla nich. Ty możesz im zaoferować więcej niż dotychczasowi władcy, a jak sam zauważyłeś, to równie ważny zysk dla ciebie. To, i... -zawiesiła głos, odrywając rękę od kubka - może w ten sposób obejdzie się bez draki.

Książę uśmiechnął się i z werwą wstał od stołu, ogłaszając, że idzie podyskutować z wojami. Selistis i Kapitan odprowadzili go wzrokiem, by po chwili wrócić oczami do Kaktusa. Nie to, że jej pomysł był dla nich tak wielkim zaskoczeniem. Większym była jej inna niż zwykle postawa. Było widać, że ten pomysł nie wziął się z przypadku, ale trudno było odgadnąć jego źródło. Selistis wzruszyła ramionami, dochodząc do wniosku, że jeśli będzie trzeba, prędzej czy później i tak się dowie.

- Dobra robota - pochwaliła Katię. Katia uśmiechnęła się ciepło.

- Pfuj. - Selistis dopiła kwaśny sok i odłożyła kubek. - Muszę coś zrobić z tym naszym kucharzem. Cukru nie zna czy co ? Może solą zaprawił?

- Mnie smakuje - oznajmiła Kaktus.

- Mnie nie - potwierdziła Pani w Czerni. - Jeszcze raz zaserwuje mi coś takiego, będzie po cukier do sąsiedniego księstwa na piechotę gonił.

Selistis odeszła od stołu, wracając do swoich komnat. Katia spojrzała na swojego towarzysza w ten sam nieodgadniony sposób, co chwilę wcześniej. Czy oczekiwała, że coś jej powie?

- Czy coś się stało, pani ? - Kapitan nie mógł znieść jej wzroku.

- Zastanawiałam się, kiedy zgłosisz sprzeciw.

- Sprzeciw?

- Nie jestem tu od wczoraj, wiesz ? Znam te księstwa jak własną kieszeń. - Wróciła wzrokiem do kubka. - Wprawdzie znajduję czasem w kieszeni papierkę po cukierku, a nie pamiętam, żebym go jadła, ale jeśli w kieszeni była igła, to wkładam rękę

ostrożnie, bo o niej pamiętam. Dobrze zszywam swoje kieszenie. Coś może się w nich pojawić, ale trudniej, by nagle zniknęło.

Kapitan zdumiał się na tak zagadkowy opis wnętrza jej kieszeni. Zwłaszcza że zrozumiał, do czego się odnosił.

- To stare czasy, pani. Nie żywię już żadnej urazy ani do Urwiryjów, ani do Wyrwiszczeków.

- To dobrze. - Katia uśmiechnęła się lekko. - Nie ma nic smutniejszego niż spędzić życie w zawiści do nieistniejącego wroga.

Kapitan w lot pojął jej słowa. Żądza zemsty bez celu jest jak nieodwzajemniona miłość - doszczętnie pożera serce człowieka. Nie był tak młody, by o tym nie wiedzieć. Choć niegdyś przez tych dwóch księząt żal ścisnął mu pierś, z czasem o nim zapomniał, bo wiedział, że gniew nie przyniesie niczego dobrego. Co najwyżej wyrządzi komuś krzywdę, a tego za nic by nie chciał.

Dziwił się jednak, że ktoś jeszcze o tym wszystkim wiedział. Zwłaszcza ktoś, po kim takiej wiedzy zupełnie by się nie spodziewał. Ktoś tak młody, że - zdać się mogło - nie miał prawa mieć tego w swojej pamięci.

- Pani, jeśli mogę spytać... Kim był twój ojciec?

- Ach! - Katia westchnęła, podnosząc się ciężko od stołu. - Kaktus. Jestem Kaktus.

- Kaktus - powtórzył Kapitan, odchrząkując. Wbił sobie w głowę to imię z nadzieją, że mu w niej zostanie.

- To trochę niemiłe, nie uważasz? - Spojrzała na niego smutnym, przenikliwym wzrokiem. - Niemiłe od razu uważać, że wszystko, nawet swoją wiedzę, zawdzięczam mojemu ojcu.

Rzuciła Kapitanowi niemrawy uśmiech i odeszła od stołu. Kapitan wlepił wzrok w pusty talerz leżący przed nim na stole. Czuł się podle, bo przecież tak właśnie pomyślał. W głowie układał mu się szereg pytań o tę dziwną dziewczynę, której przecież wcale prawie nie znał, a która zdawała się o wszystkim wokoło

wiedzieć tak wiele. Jednego był już jednak pewien. Był ostatnim z tego towarzystwa, który zrozumiał, że oczy Katii skrywały więcej, niż dziewczyna chciała powiedzieć. Choć jeszcze nie wiedział, jak tego dokona, w duchu obiecał sobie, że postara się ten sekret poznać.

Rozdział 4

Pokojownik

Armia Leoharla rosła w zatrważającym tempie! W jeden wieczór urosła prawie dwukrotnie! Oto bowiem lojalność swą - machnięciem ręki - przyrzekło nowych jedenastu wojów. Nie byle jakich zresztą, bo zaprawionych przez lata w boju! Fikcyjnym boju, ale zawsze. W końcu i oni czasem przywalili jeden drugiemu w głowę, a to już oznacza, że drastycznie górowali doświadczeniem nad obecnymi strażnikami zamku. Niezmienny łomot, jaki patronom karczmy spuszczał Leoharl, podawał w wątpliwość, że jako jego rekruci byli cokolwiek warci. Z pewnością mniej niż weterani ściągnięci wprost z placu boju. Tak wysokiej jakości wojownicy zostali na zamku przywitani z otwartymi ramionami.

W dodatku byli już uzbrojeni! Nie trzeba było kuć dla nich broni! Nadmiar szczęścia wprowadził księcia w taką euforię, że hojnie ofiarował swoim nowym wojom żołd w postaci dwukrotnie większej liczby kufli piwa, niż dawali im ich poprzedni władcy. Szczęśliwi z takiego obrotu sprawy wojowie uśmiechnęli się i przyrzekli swój zawód wypełniać godnie. Nikt nawet za bardzo nie był zdziwiony, że przy piwie grupa sześciu bez zgrzytów pojednała się z grupą pięciu. Może jedni drugich trochę nie lubili, ale perspektywa wspólnego picia i służby pod jednym sztandarem bez potrzeby obijania sobie boków była istic wspaniała. W momencie zapomnieli o wzajemnych urazach. Ach, tak.

Piwo, mój panie, ma tę przyjemną właściwość, że największych wrogów potrafi pojednać.

- W porządku. To chyba wiadomo, gdzie najpierw? - Selistis, rozumiejąc ducha wspólnego spotkania mającego na celu podnieść morale wojska, sączyła piwo w spokoju. Z pozostałą trójką decydentów naradzała się przy jednym ze stołów.

- Wiadomo - przytaknął Leoharl, pospiesznie upijając kilka łyków piwa, jakby w obawie, że za chwilę Pani w Czerni ogłosi wymarsz i trzeba będzie zostawić kufel nieopróżnionym.

- Idziemy na księstwo Wyrwiszczeków - podsumował Kapitan.

- Dlaczego nie na Urwiryjów? - pijąc lemoniadę, spytała Kaktus.

Dziwowali się trochę, skąd karczmarz wziął cytryny, ale zdążyli się już przyzwyczać, że o niektóre rzeczy po prostu nie wypadało pytać. Miał je i tyle.

- Urwiryj podda się, gdy podda się Wyrwiszczeka, a jego łatwiej przekonać - przedstawił swą myśl Kapitan.

- Coś wiesz! - jakby z nagłym odkryciem stwierdził księżę.

- Szmata czasu temu służyłem w ich armii.

Szmata czasu. To dawało do myślenia, bo pół szmata czasu temu księstwa były jeszcze królestwem. Wpatrzone w Kapitana oczy sugerowały wyraźnie, że chciałyby dowiedzieć się więcej. Kapitan nie bardzo lubił wspominać te czasy, ale też rozumiał, że powinien o nich opowiedzieć. W końcu księżę nie tak dawno zadeklarował bardzo odważną postawę chęci zjednoczenia królestwa i zaprowadzenia na jego ziemiach pokoju. Zadumał się, wiedząc, że w tak ważnej sprawie księciu przyda się każda pomoc. Nawet jeśli jest to tylko wiedza o tym, jakich błędów nie wolno mu popełnić.

- Nim jeszcze królestwo się rozpadło, władzę nad wojskiem król dzielił z całkiem liczną rzeszą swoich potomków. Już wtedy, rozważnie myśląc o przyszłości, rozpoczął plany, w których miałyby im oddać we władanie królestwo. Gdyby sprawę własnemu

biegowi zostawił, bracia, jak to bracia, kłóciliby się, ile wlezie. Stąd wpadł na pomysł, że ziemią każdego z nich obdarzy. Ach, tak - Kapitan pociągnął łyk piwa - jak dobrze się nad tym zastanowić, już wtedy wielu mówiło, że choć ten pomysł jeden problem rozwiąże, wiele nowych stworzy.

- I co z potomkami ? - Leoharl słuchał całkiem uważnie.

- Jak ustalił, tak z jego śmiercią ziemie zgodnie z wiekiem otrzymali. Przy czym prawo jednoznacznie władzę w kraju w ręce najstarszego z synów oddawało. Jednak, jak to w takich sytuacjach bywa, nie wszystkim to prawo się podobało, a zwłaszcza nie podobało się dwóm najmłodszym braciom.

- Urwiryjowi i Wyrwiszczęce ?

- Tak, tym dwóm. Powiadają, że gdyby nie tych dwóch, kto inny spór by zaczął, ale niedane już nikomu tego sprawdzić. Przez tych dwóch tuż po śmierci króla rozgorzała wojna o władzę. Choć król jasno określił, co i komu dane, równie jasnym było, że gdy armia pod zamkiem stoi, nie liczą się żadne traktaty. Kto odważny, mógł próbować siłą ustanowić nowy. Tak powstały spory i większe zamieszania, aż w końcu stało się jasne, którzy bracia dominują pod względem militarnym. Gdy na nowo częściowy pokój został ogłoszony, już przez spory zdołały się między księstwami potworzyć przepaście. Za to wszystko kara spadła na tych dwóch.

- Odebrali im ziemie i wygnali ich - wydedukował książe.

- Właśnie. A nie mając woli z rodzimego kraju odejść, siedzą teraz tu, na jego obrzeżach, swoje prawo do skrawka ziemi sobie uzurpując i twierdze z drewna wznosząc. W swoim sporze przez te lata żaden ustąpić nie chce. Już tylko garstka podwładnych pozostała przy ich boku. Może z uwagi na stare, dobre czasy, a może dlatego, że nie widziała im się władza Wielkopyszego. Najmłodszy bracia nie mieli nic. Palisady i domy wzniesli z drewna zdobytego z lasu. Wyrównali ziemię i zasiali zboże z ostatnich pieniędzy, jakie mieli w garści. Tak dotrwali do dzisiaj, tylko

dzięki temu, że nikomu aż tak bardzo nie zależało, by cokolwiek dalej ich z tych ziem przepędzić.

- Trochę smutne. - Katia zamyśliła się.

- Raczej głupie - przyznała Selistis.

- Smutne. Stracili wszystko, a nawet mimo tej straty ich konflikt nie ustał. Jak tylko zebrali do kupy paru wojów, rzucili ich do walki, by dalej postawić na swoim.

- Słowo, którego szukasz, to „głupie” - poprawiła ją raz jeszcze Selistis.

- Należało im się. Nie ma co ich żałować - wtrącił Kapitan. -Swoją żądzą władzy spowodowali upadek królestwa. Wielu z nas do dziś nie może im tego darować.

Zapadła cisza. Kaktus, nieco zasmucona, dokończyła swoją lemoniadę. Czuła się niezrozumiana, ale aż tak bardzo jej to nie przeszkadzało. W końcu nie wszyscy muszą widzieć w tym konflikcie smutek. Smutek ludzi, którzy nie potrafili inaczej poradzić sobie z poczuciem winy, jak na siłę próbując uzasadnić słuszność boju, od którego wszystko się zaczęło. W istocie ta garstka wojów regularnie toczących walki na pustkowiu była niczym innym jak wyrazem ich żalu.

Może naiwnie, ale chyba właśnie w ten sposób Katia tłumaczyła sobie całą tę sytuację. Gdzieś w głębi serca Kapitan też jej smutek podzielał. Nawet jeśli się do tego nie przyznawał.

- No dobrze. A jaka w tym twoja rola? - Leoharl powrócił do głównego wątku.

- Gdy król żył, jego starsi synowie mieli ważne sprawy na głowie. Tym młodszym pozostała kwestia obronności kraju. Ja stałem w szeregach gwardii przybocznej króla. Z konieczności rozkazów Urwiryja słuchałem.

- No, no. - Selistis była pod wrażeniem. Kto by przypuszczał, że człowiek z taką karierą zasiadł z nimi przy stole?

Reszta przyłączyła się do niej w podziwie. Nie tylko tych troje, co siedzieli z nim przy stole. Już jakiś czas temu w karczmie

zrobiło się ciszej niż zwykle. Nawet nowo przybyli żołnierze w zadumie słuchali opowieści Kapitana. Karczmarz podszedł do stołu z nowym piwem, ale Kapitan uklonił się i pokręcił głową, rezygnując ze złotego trunku. Dawniej za nic by tego nie robił, ale teraz... teraz wiedział, że obowiązek go wzywa. Już nie był jak pozostali rezydenci stojącej na pustkowiu karczmy. Ten zamek i ten nieznamy wojownik, który przybył w te strony, chcąc tak szczytną rolę odegrać, przypomniały mu jego dawną służbę. Przypomniały mu młodość. Czas, gdy był zupełnie innym człowiekiem.

- Gdy zaczęły się spory, my, co do ostatniej chwili u boku króla staliśmy, postanowiliśmy, że nie opuścimy jego tronu, niezależnie kto będzie pod niego podchodził. Sprzeciwiliśmy się tym samym swoim władcom, narażając się na najsurowsze kary. Lecz wiedzieliśmy, że choć król Henryk Wspaniały odszedł, pozostawił po sobie swoje prawo. Nawet jeśli jego słuszość można było podawać w wątpliwość, broniliśmy królewskiego honoru, stając przed jego tronem i siedzącym na nim najstarszym synem zmarłego władcy. Gdy i on uciekł pod naporem liczebności wroga, my wciąż trwaliśmy. O tak. Odważnie mogę ci powiedzieć, panie, że byliśmy na ucieczkę za głupi. Nawet mimo rozkazu odwrotu trzymaliśmy straż dalej, z honorem broniąc tronu nieżyjącego władcy. Nie mogliśmy patrzeć, jak spragnione władzy palce na naszych oczach rozszarpują go na strzępy.

Ale wiedzieliśmy też, że tych palców nie powstrzymamy. Choć gotowi byliśmy walczyć do upadłego, ten los ostatecznie nie był nam pisany. Pozbawieni rangi, ziemi i domu, zostaliśmy wygnani z królestwa na zawsze, z groźbą kary śmierci, jeśli kiedykolwiek staniemy w jego progach. Część z nas oczywiście groźb nie posłuchała i jak ja wróciła ku ojczyźnie. Tu kończy się moja opowieść. Tak jak Urwiryj i Wyrwiszczęka pozostałem na granicy królestwa, marząc, że los kraju kiedyś się odmieni i powrócę do swojego domu. Lata temu pozbyłem się i tej naiwnej nadziei.

Mój dom został spalony i zrównany z ziemią lata temu i już nic nie da się z tym zrobić. Ale... gdybyś ty, panie, wedle własnych orzeczeń zjednoczył to królestwo... Głęboko wierzę, że mogłoby ono być dla mnie moim nowym domem.

Kapitan skończył opowieść, dopijając ostatnie krople swojego piwa. Po emocjach, jakie włożył w opowiadanie, widać było, jak wiele ta historia dla niego znaczyła. Jak wiele znaczyła dla niego służba u boku prawego króla i z jakim żalem patrzył na rozpad królestwa. Nienawidził w sercu tych dwóch za to, że podeptali królewską wolę i spragnieni władzy skłócili między sobą braci.

- Kawał historii - z zamyślenia wyrwał się Leoharl. Zaśmiał się pod nosem na myśl, że obejmując swoje miejsce

w gospodzie, zbierając broń poległych wojów i odsprzedając ją później za odpowiednio wysoką cenę, Kapitan odgryzał się na Urwiryju i Wyrwiszczęce na swój własny, całkiem wyszukany sposób. Zabawna myśl, ale jakże ciekawa.

- Może jest tak, jak mówicie - mruzczał Kapitan. - Może to tylko głupota i może powinno mi być żal tych dwóch, ale ja nie mogę tak na to patrzeć. Nie wybaczę im, choćby padli na kolana, mówiąc, jak bardzo ich boli to, co zrobili. Nie wybaczę! Ale też to wszystko już dawno przeszło do historii. Był czas, gdy sam jeden chciałem wtargnąć i szturmem rzucić się na obu. Dziś jestem już starszy i dużo mądrzejszy. Moja pusta zemsta niczego dobrego nikomu by nie przyniosła. Wręcz przeciwnie, przez nią byłoby tylko gorzej. Jedno tylko mi musisz obiecać, książę Leoharlu. - Tu zatrzymał się i spojrzał Leoharlowi w oczy. - Musisz mi obiecać, że jeśli kiedykolwiek zasiądziesz na tronie, nie popełnisz tego samego błędu. Nie dasz swoich ziemi swoim następcom rozerwać.

Twarz Leoharla wykrzywiła się w zakłopotaniu. Pot wstąpił mu na czoło. Chcąc nie chcąc, Kapitan powalił go ciosem tak silnym, że nie wiadomo było, czy podniesie się po nim z ziemi. W końcu jak mógł zagwarantować, że stworzone przez niego

królestwo przetrwa choćby rok po jego odejściu? Jak mógł zagwarantować cokolwiek? Jeszcze nawet nie miał samego królestwa! Jeszcze nawet nie wiedział, czy takie królestwo mieć może, a tu taka prośba?

- Wszystko w swoim czasie - oznajmił całkiem poważnie.

- Król jest tylko figurą, co prowadzi pionki - z zakłopotania wyratowała go Katia. - Prawdziwa władza leży trochę obok. W prawej ręce, która króla wspiera. Wystarczy, że nowy król o nią zadba, a chętnie mu się przysłużę, zajmując się jego księgami.

- Tak jest - Kapitan przytaknął z uznaniem. - Ja wtedy z radością wstąpię do twojej gwardii gotowy, jak za mego króla byłem gotów, w boju oddać życie. Wprawdzie nie ten wiek i w walce nie pokonałbym wielu wojów, ale będziesz mógł obdarzyć mnie swym zaufaniem.

- A zaufanie jest cenniejsze niż jakakolwiek militarna potęga - domknęła myśl Selistis.

Leoharl spojrział całej trójce w oczy. W końcu zarówno Kapitan, jak i Kaktus po raz pierwszy tak naprawdę obiecali mu swoje poparcie. Wiedział teraz, że spośród wszystkich ludzi w upadłym królestwie tej trójce mógł zaufać z całkowitą pewnością. Był szczęśliwy, że miał takich sprzymierzeńców.

* * *

- Jest coś jeszcze, co musimy zrobić - zatrzymała ich Selistis, gdy gotowi do drogi stanęli na środku dziedzińca.

- A tak. - Leoharl zadumał się. - Mowa o zastępcy, a mnie nie ma kto reprezentować przez czas mojej podróży.

Selistis przytaknęła zadowolona, że Leoharl robi postępy. Dwa dni temu na tak zaawansowaną myśl chyba by nie wpadł.

- Myślałem, by zostawić tu Kapitana - zasugerował - ale prawdę mówiąc, on się chyba do tego nie nadaje.

Kapitan zmarszczył czoło. Dobrze wiedział, że księżę wcale nie chciał być dla niego złośliwy. Po prostu Kapitan nie miałby

bladego pojęcia, jak zająć się zamkiem, nie mówiąc już o tym, jak zorganizować obronę.

- Istotnie, Kapitan by sobie nie poradził. - Selistis uśmiechnęła się. - Ale przecież on już swoją rolę jako twój podwładny określił, czyż nie?

- Selistis spojrzała na Kapitana z uznaniem, co w jego oczach było chyba największym z możliwych komplementów, jakie mógł otrzymać. Zaczerwienił się trochę. - Pójdzie z nami jako twoja straż przyboczna.

- Straż... - Kapitan zawahał się na moment. Choć możliwość służenia u boku władcy była dla niego największym wyróżnieniem, nie na darmo wypowiedział te ostatnie słowa o zbyt słabych rękach do boju.

- Mhm, świetny pomysł - przytaknął Leoharl. - Księżę nie powinien pozostawać bez ochrony. Straż przyboczna z pewnością się przyda.

- No, w końcu zaczynasz myśleć jak władca - pochwaliła go Selistis.

- Będę zaszczycony. - Kapitan uklonił się przed księciem, przyjmując nową posadę.

Nie wyobrażał sobie siebie w roli ochroniarza, ale też tydzień temu nie wyobrażał sobie, że zostanie Kapitanem nadwornej straży księcia. Nie był z tych, których przeraża odpowiedzialność czy ciężka i niełatwa praca. Był gotów podjąć to wyzwanie. W latach swojej młodości otrzymywał niejedno trudne zadanie, a jakoś do dziś jedno, co mu po nich pozostało, to dziura w kolczudze po pice, którą za młodu został ugodzony. Rana z czasem się zagoiła, nie pozostawiając wyraźnego śladu. Wszystko to świadczyło o tym, że nawet z taką trudnością silny duch i ciało Kapitana zdołało sobie poradzić.

- Świetnie! A skoro to mamy już ustalone, mam na tę okoliczność doskonały prezent! - oznajmiła Selistis.

- Cukierki?

- A mianowicie...

Propozycja Kaktusa dotarła do Pani w Czerni z opóźnieniem. Zrodziła ona przez to pewien problem. To tak, panie, jakby w trybiki zegara złośliwie wsadzić gałąź. Minie chwila, zanim ktoś tę gałąź wydostanie i trybiki znów zaczną działać.

- N-nie, moja droga. Nie cukierki. - Selistis spojrzała na nią z rezygnacją. - Coś o wiele lepszego.

Kapitan klepnął Kaktusa w ramię, bo gotowa była wyskoczyć z kolejną sugestią. Wzrok Pani w Czerni wskazywał, że gdyby spróbowała, mogłaby po chwili wybrać się na poszukiwanie swej głowy. Konieczna była interwencja. Usypanie kurhanu to całkiem męcząca robota, która z pewnością właśnie jemu by przypadła. Wolał jej uniknąć.

- Tak więc mam prezent. Mam dla ciebie zastępcę na czas twojej delegacji. Co więcej, to osobnik, który doskonale nadaje się do obrony zamku przed wszelkimi najeźdźcami! Możesz być spokojny, że w razie kolejnego szturmu na twe księstwo on z łatwością obroni mury zamku. - O tym szturmie to mówiła chyba z nutką ironii.

Leoharłowi zajaśniały oczy i widać było, że nie mógł się już tej niespodzianki doczekać.

- Godny mnie zastępca? Prędko go tu przyprowadź! Chcę zobaczyć, co to za człowiek!

- Demon - poprawiła ewentualne nieporozumienie Selistis.

- Z-znaczy się, nie człowiek?

- A w życiu. Żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie zechciałby być twoim zastępcą.

Nastąpiła niewygodna cisza. Leoharl trawił tę wiadomość, ale nie był z tych, co łatwo się zrażają. Wypiął dumnie pierś i zgodził się.

- Racja! Rola zastępcy władcy mego wspaniałego księstwa nie pasuje do rąk byle człowieka! Demon! Oto odpowiednia istota, by mnie reprezentować!

- Cieszę się, że tak na to patrzysz - z niewinnym uśmiechem

odparła Selistis. Najwyraźniej sprzeciw byłby dla niej co najmniej niewygodny.

Trudno ocenić, kto z kogo się tu zgrywał, ale wiedz, panie, że nie wydawało mi się, by Pani w Czerni miała złe intencje. Leoharl słusznie wziął jej słowa za dobrą monetę, nie myśląc wcale, że próbuje go jakoś specjalnie obrazić. Zresztą po co miałyby to robić? Obrażanie innych nie leżało w jej naturze, o czym wszystkich przy różnej sposobności gorliwie przekonywała.

Uzgodniwszy zatem z księciem wspólne stanowisko, Pani w Czerni zrobiła dwa kroki w kierunku Leoharla, wyciągając zza pól swego płaszcza jakiś bloczek papierów. Z drugiej kieszeni wyciągnęła czarne pióro, po czym bez zastanowienia dźgnęła nim swego władcę w ramię.

- Ała!

- Nie maż się. Jeśli chcesz, by demon cię słuchał, musisz kontrakt swoją krwią podpisać.

- A-ale mogłaś zrobić to delikatniej. - Leoharl masował ramię.

Kaktus podbiegła do władcy z chusteczką.

Musisz zrozumieć, mój panie, że mimo powagi tej sytuacji nawet Kapitan, choć oczy zdziwione miał i gębę rozdziawił, wielce całym przyzwaniem demona się nie przejął. Pamiętajmy, że wiele już dziwów zobaczył. W obliczu samej Pani w Czerni demon wcale nie zdawał się tak straszny. Selistis skończyła piórem bazgrać, po czym uniosła kontrakt nad głowę.

- Mocą tego przyzwania, w imię Leoharla Mema stań przed moim obliczem! Wzywam cię, Rycerzu Błękitnej Wstęgi!

Kapitan mógłby przysiąc, że z bezchmurnego nieba piorun gdzieś uderzy w ziemię, wypełniając powietrze przerażającym dźwiękiem. Niebo poczernieje i wszelkie złe chmury zbiorą się nad zamkiem. Właśnie czegoś w tym stylu się spodziewał. Nic takiego jednak nie zaszło. Selistis wypuściła kontrakt z ręki, a wiatr poniósł ją gdzieś ku niebu.

- No i po kontrakcie - skomentował Leoharl, widząc, że niewiele więcej się działo.

- Cicho - upomniała go Selistis.

- Moja krew tam była, wiesz ? Trochę się do niej przywiązałem.

- Cisza! Czekać cierpliwie.

- Będą cu...?

Wprawdzie nie bardzo mu wypadało, ale mimo to Kapitan w pośpiechu zakrył Kaktusowi usta. Nie potrzeba geniusza, by domyślić się, o co chciała spytać.

Selistis wydawała się głęboko skupiona. Tempo, z jakim uderzała butem o ziemię, wskazywało, że dodatkowa irytacja mogłaby zadziałać na nią bardzo stymulująco. Nawet Leoharl zdawał sobie z tego sprawę, bo zamknął usta i cierpliwie czekał, co się wydarzy.

Słońce świeciło okazale. Wiaterek też smagał ich przyjemnie. Tak minęła chwila i Kapitan zaczął się już niepokoić, czy nie zgłodnieją, czekając. Tymczasem zaszła niepokojąca zmiana. W ciszę wdarło się przeciągłe i narastające... zgrzytanie zębami.

- Ile... jeszcze... ten dureń... każe... mi... czekać! - Selistis w irytacji cedziła słowa przez zęby. - Zabiję go, jak tylko się tu pokaże!

Mało zachęcające. Ja, usłyszawszy takie słowa, na miejscu tego owego rycerza w ogóle bym się tu nie pokazywał. Niemniej, jakby w odpowiedzi na jej irytację, do uszu tej czwórki dotarł dziwny szum.

Selistis spojrzała w górę. Pozostali podążyli za jej wzrokiem. Dziwny kształt tuż nad nimi zdawał się rosnąć i rosnąć do sporych rozmiarów.

- Co, jeśli spadnie nam na głowę? - spytała Kaktus, przysłaniając oczy ręką, coby słońce za bardzo jej nie oślepiało.

- Niech spróbuje. Wtedy zabiję go dwukrotnie - skomentowała Pani w Czerni.

Nawet nie drgnęli. W sumie nikt nie wiedział, gdzie to coś

spadnie. Mając do wyboru: uciekać na ślepo lub zostać, bezpieczniej było stać tuż przy Pani w Czerni. Na nią chyba nawet deszcz spaść się nie odważy, nie mówiąc już o tym niezidentyfikowanym obiekcie latającym. Kapitan przełknął ślinę w oczekiwaniu i zacisnął zęby, konstruując w myślach potężne zaklęcie: „Oby nie na mnie, oby nie na mnie, oby nie na mnie...”.

Stopy czwórki oczekujących oderwały się od ziemi. Zdarzyło się to równo z gromkim łupnięciem i nieregularnym dźwiękiem dzwonu, co doszedł do ich uszu z opóźnieniem. Ten ostatni odgłos mógł trochę zadziwić, ale jego źródło przykrył wzbity w powietrze tuman kurzu. Coś spadło. Po sile upadku wnioskować można było; że coś dużego. Gdy kurz zaczął opadać, wiadomo już było, że coś bardzo, ale to bardzo dużego. Cały kościół, żeby być bardziej dokładnym.

Całkiem mały kościółek, ale zawsze. Wbity tym upadkiem w ziemię dzwonił swoją dzwonnica tak głośno, że bębrenki w uszach mogło rozwalić.

- No wreszcie, do jasnej! Co tak długo?! - krzyknęła Pani w Czerni w stronę kościoła.

Kościół przywalił w ziemię z niemałą siłą, bo zakopane w ziemi wrota były nie do otwarcia. Ledwo widać było czubek witraży.

- Wyłaż stamtąd, zanim ja tam wleżę i ci tyłek złoję! - wydarła się Selistis.

Odpowiedział jej cichy, zmartwiony trochę, stłumiony szept z głębi kościoła.

- Wybacz mi tę zniewagę. Odpokutuję za swoje.

Proszę, panie, zbyt pochopnie nie sądzić, że to Selistis przeprasza. W żadnym wypadku. Ów głos przepraszał witraż, który właśnie zbił pięścią. Przez powstałą dziurę z wnętrza kościoła wypełził demon, ukazując swój kształt zupełnie podobny do człowieka.

Rycerz miał na sobie białą koszulę i spodnie, oba przecięte błękitnymi pasami na kształt odwróconego krzyża. Spod tego

stroju tu i ówdzie wystawała lśniąca zbroja, która dawała w oczy blaskiem odbitego słońca. Majestatu dodawał mu płaszcz z podobnym motywem co reszta stroju. Twarz za hełmem schował.

Reszta stała w osłupieniu. Serio? Toć nie można było czegoś lepszego zrzucić z nieba? Zaraz, zaraz. Jak w ogóle demon mógł spaść z nieba? Wraz z kościołem?! Nic a nic nie chciało zmieścić się w głowie.

Tymczasem ów jegomość wydrapał się z dziury i stanął, otrzepując z kurzu. Zamaszystym ruchem hełm zdjął z głowy, zarzucając pięknymi złotymi włosami. Zaprezentował przed wszystkimi swe nieskazitelnie błękitne oczy, powoli je otwierając.

- Jej! - Kaktus była wniebowzięta. Najwyraźniej blondyni ciągną do swoich. - Prawdziwy demon! Z krwi i kości! Mogę dotknąć?

- Ależ oczywiście - przytaknął nieznajomy z czarującym uśmiechem. Jego głos był mocny i ciepły. Spojrzał w oczy Leoharla. - Irransatil, neofita w zakonie Błękitnej Wstęgi, Piąty krąg piekieł. Przybyłem, mój panie, na twoje wezwanie.

Uklonił się, jak na rycerza przystało.

- Piąty krąg? Za coś tam trafił? - Leoharl tym pytaniem starał się przykryć zazdrość o imponującą czuprynę demona. Sam swoją, co już trochę włosów zdążyła potracić, pieszczotliwie pogładził.

- Niektórym nie spodobał się jego temperament. - Pani w Czerni zbyła temat machnięciem ręki.

- ...i z tego powodu przystąpiłem do zakonu Błękitnej Wstęgi, by medytacją swój temperament nieco uspokoić - dokończył Irransatil.

- To wymagało aż święceń? - Kapitan nie ukrywał zainteresowania.

Rycerz jakby dopiero teraz go zauważył. Stojąc dumnie z hełmem pod pachą, obrócił się nieco, by twarz do rozmówcy skierować.

- Na szczęście nie - zapewnił. - Błękitna Wstęga to zakon rycerski sławny z najwyższej klasy pokojowników.

- Pokojowników? Znaczy się... pokojujesz?

- Nie...

- Pokojowujesz?

- Nie...

- Pokójowywujesz?

- N...

Irransatil zagryzł wargę, starając się zachować spokój. Było to zrozumiałe, jeśli weźmie się pod uwagę, że pytania padały kolejno ze strony Kaktusa, Leoharla i znów Kaktusa. Do tego trzeba dodać, że Irransatil miał zwyczaj obracać głowę, a później rytualnie obracać ciało w kierunku swego rozmówcy, co zajmuje trochę czasu. Na koniec warto wspomnieć, że Kaktus i Leoharl wcale blisko siebie nie stali. Po tych wyjaśnieniach lepiej można zrozumieć frustrację demona. Zupełnie pomijając sens zadawanych mu pytań.

Irransatil wziął głęboki oddech i wyprostował się przed swoim władcą.

- Zaprowadzam pokój, panie.

- Siłą, jak mniemam?

- Nie siłą. Dyplomacją.

- Ho...

- Wybacz, Irransatilu, że spytam - zaczął grzecznie Kapitan. Rozumiał, że Irransatil znów będzie się musiał obrócić, żeby mu odpowiedzieć. Wprawdzie nie wiedział, czy powolność tychże obrotów wynika z ciężaru zbroi, czy doniosłej postawy, jaką chciał zachować demon, ale ją szanował. - Jeśli jesteś z piątego kręgu piekieł, to jakim sposobem spadłeś tutaj z nieba?

Irransatil obrócił się i uklonił. Najwyraźniej zrobiło mu się miło, że Kapitan zrobił tak cenną uwagę. Chyba cieszył się z zainteresowania, jakie wzbudził.

- Jak pewnie wiecie, demony to tak naprawdę upadłe anioły.

- Czy to nie dotyczy diabłów ? - wtrąciła się Kaktus.
- Demony to też diabły, tylko niższe rangą - wyjaśniła Selistis, by uniknąć przeciągłego obracania się Irransatila w tę i z powrotem.
- Tak - przytaknął Irransatil, będąc wdzięcznym Selistis za oszczędzony wysiłek. - Kiedyś i ja byłem aniołem, ale komuś nie spodobało się moje zachowanie. Powiedzmy, że miałem inny punkt widzenia na jedno z obowiązujących w niebie praw.
- Przywalił archaniołowi w nos - skomentowała Selistis ze złowieszczym uśmiechem na twarzy.
- ...za co zostałem zesłany do piekieł - kontynuował Irransatil niewzruszony. - Ale nie wszystkie demony podporządkowują się panującym na dole obyczajom - zaznaczył od razu. - Pozostałem wierny swojej ideologii i nie porzuciłem swojego kościoła. - Irransatil dumnie wskazał na kościół za swymi plecami, robiąc pauzę dla podkreślenia wagi swoich słów.

Kawałek szkła oderwał się od pękniętego witraża. Kościół był mały, stary i podniszczony, ale nie można było zaprzeczyć, że bił od niego pewnego rodzaju majestat. Bił takim dziwnym, głębokim uczuciem, jakby spędzone na tym świecie lata dały mu jego własną duszę.

- Z czasem moje oddanie własnemu kościołowi zostało dostrzeżone i zakon Błękitnej Wstęgi przyjął mnie w swoje progi. Większość naszych oddziałów rezyduje w niebie, prowadząc ciągle pertraktacje z aniołami. Oto odpowiedź na twoje pytanie.

Słyszając to wyjaśnienie, Kapitan oniemiał. Pomijając, że do dziś mógł jeszcze wątpić, czy demony istnieją, poza książkami czy opowieściami, to już myśl o tym, że mogą mieć swój posterunek w niebie, nigdy nie przyszła mu do głowy. Był pod prawdziwym wrażeniem postawy tego oto demona.

Jakoś tak trochę zrobiło mu się cieplej na sercu. Nawet wśród demonów można znaleźć kogoś takiego jak stojący przed nim

rycerz. Kogoś ze śladem dobra w sercu. Lub przynajmniej ze śladem dobrych chęci.

- Przedstawiłem się, a teraz przepraszam na chwilę, muszę zająć się swoim kościołem. - To mówiąc, Irransatil uklonił się ponownie.

Uklęknął, odkładając hełm na ziemię. Towarzyszył temu metaliczny stukot uderzających o siebie płatów zbroi. Irransatil sprawiał wrażenie, jakby każdej czynności, którą wykonuje, poświęcał się z największą uwagą, zachowując spokój i opanowanie. Z tego powodu nawet prosty ukłon zajmował mu więcej czasu, niż powinien. Za moment demon odłożył delikatnie hełm, powstał i obrócił się na pięcie. Podszedł do bramy kościoła, po czym złapał za cegły tuż przy niej i podobnie do znajomej nam pani, ciągnąc za nie do góry z szumem i przy rozsypującej się na bok ziemi, wyciągnął zakopany w połowie w ziemi kościół. Więcej! Zaraz za fundamenty złapał i tak trochę go przekrzywił, coby łatwiej mu było dźwigać go w powietrzu. Dzwon przy tym szalenie wydzwaniał za każdym razem, gdy zmienił swe położenie.

Tak, panie, dobrze mnie słyszysz. Irransatil, całkiem dosłownie, wziął kościół w swoje ręce.

- La! - kolejny raz z zachwytem w oczach wydusiła z siebie Kaktus.

- Gdzie mogę go postawić? - spytał Irransatil zupełnie niewzruszony.

Oczywiście dla niego to wszystko było całkiem normalne. Przychodziło mu wręcz naturalnie. Kapitan zaczął się zastanawiać, czy tylko ludzie na tym świecie zdają się tak słabi, że nawet swych domów w rękach przenosić nie potrafią. O kościołach już nie wspominając.

- Tam, pod murem. Niech nie przeszkadza - odpowiedziała mu Selistis.

Uklonił się i ruszył pod mury. Dzwon dzwonił jak podwieszka u krowy, co oznajmia o każdym jej kroku. Skala trochę nie ta, bo

kto widział większą od stodoły krowę, ale skoro takich rozmiarów konie dane było Kapitanowi oglądać, to mogłyby być też krowy. Dotarłszy pod mur, Irransatil pieczołowicie odłożył kościół na ziemię. Był drobny problem, bo fundamenty na ziemi postawił, ale nie byłoby to coś, czego nie dałoby się rozwiązać. Złapał znowu za cegły i tym razem ciągnął trochę do dołu, aż wejdą na odpowiednią głębokość w drżącą z wysiłku ziemię. Gdy skończył, poklepał kościół po ceglach jak przyjaciela.

- Witrazem zajmę się w wolnym czasie - dodał pod nosem.

- Świetnie! Znasz swoją rolę? - spytała Selistis.

- Mam pilnować zamku pod nieobecność księcia.

- Doskonale! Zatem nie potrzeba dodatkowych wyjaśnień.

- Nie potrzeba. - Irransatil podszedł i ukłonił się przed Leoharlem. - Możesz być pewien, panie, że pod moją opieką zamkowi nic się nie stanie.

- Dasz sobie radę? - spytał Leoharl trochę zaniepokojony.

- Bez obaw, panie. Jestem pokojownikiem. Przetrzynam każdy szturm i oblężenie.

- A właśnie, chyba nie dali ci jeszcze pełnego tytułu? - Selistis przypomniała sobie o tej dość ważnej sprawie.

Odpowiedź wymagała oczywiście odpowiedniego obrotu, więc szybko pożałowała, że się odezwała.

- Tak, pani. Jestem wciąż na szkoleniu, ale rada uznała, że jestem gotów przyjąć to zlecenie. Konieczność uzyskania od nich zgody to jeden z powodów, dla którego zeszło mi tak długo. Gdybym miał papierek, nie musiałbym do nich chodzić.

- Pewnie machnęli ręką i powiedzieli „A leż, gdzie chcesz!”, jak zwykle.

- Wolę myśleć, że uznali mnie za godnego. - Irransatil skrzywił się, słysząc ten komentarz. Selistis trafiła w sedno.

- Świetnie! - zakończył Leoharl, stając przed Irransatilem, by oszczędzić kłopotu związanego z kolejną zmianą rozmówcy. -

Więc zostawiam zamek w twojej opiece. Kiedy wrócę, złożysz mi pełny raport.

- Tak jest! - Irransatil ukłonił się. - Życzę owocnej podróży. Leoharl uśmiechnął się, klepnął rycerza w ramię i ruszył ku bramie.

- Uważaj na siebie. - Kaktus podskoczyła, by ścisnąć Irransatilowi rękę. Właściwie to chyba chciała tylko przyjrzeć się mu z bliska. Wszystko inne stanowiło pretekst. - Ha, ha! - zaśmiała się cicho, piszcząc z zadowolenia, i ruszyła za Leoharlem.

- Lepiej, żebyś się sprawdził. Spóźnienie mogę wybaczyć, ale jeśli mnie zawiedziesz... - Selistis patrzyła na niego posepnie.

- Możesz być spokojna, pani. Obrona takiego małego zamku nie sprawi mi problemów.

Uśmiechnęła się zadowolona i podążyła za pozostałą dwójką.

- Mam nadzieję, że nic złego się nie stanie. - Jako ostatni przyszedł się pożegnać Kapitan. - Jestem zaszczycony, spotykając... demona... twojego pokroju.

- To ja jestem zaszczycony - odparł demon, ukłoniwszy się. - Niewielu jest dostojnych i godnych szacunku ludzi na tej ziemi. Cieszę się zawsze, gdy przed kimś takim stoję.

Kapitan ukłonił się w podziękowaniu za ten komplement i poprawił uścisk na swej pice. Patrząc na plecy oddalającej się trójki, zastanawiał się, czy nie pozwoliliby mu zostać, by porozmawiać dłużej z tym demonem. Nie mógł jednak zrezygnować z powierzonej mu roli. Zresztą wcale nie chciał. „Na rozmowę będzie jeszcze okazja. Tymczasem trzeba ruszać w drogę”. Z tą myślą ukłonił się ponownie i w pośpiechu dołączył do reszty. Czekala ich długa droga. Im wcześniej wyruszą, tym lepiej.

Rozdział 5

Obleżenie

Młody, niezbyt przystojny i zdecydowanie niewystarczająco mądry na swą pozycję książę Wyrwiszczęka na wieść, że jego woje poddali się, uciekając w szeregi wroga, doznał szoku. Jego misternie skonstruowana, piękna, wspaniała i co najważniejsze: ekonomicznie sprzyjająca jego księstwu wojna dobiegła końca! Żal miał straszliwy, słysząc tę wiadomość z ust nowego księcia terenów okołokarczmowych. Ten tytuł dyplomatycznie nadał Leoharłowi kartograf księcia Wyrwiszczęki, za co został w trybie natychmiastowym wyrzucony z pracy. Przez okno.

- Dobrze, że szczęki nie stracił - skomentował Leoharl.

- Musisz przyznać, że termin nie był wcale fachowy - zauważyła Selistis.

- To jak będzie, książę, z tą wojną? - zapytała ich rozmówcę Katia.

Na ten podbój Kaktus przywdziała jeden ze swych bardziej reprezentacyjnych strojów. Swe nagie ramiona przykryła przezroczystą chustą w kolorze - jak sama go określiła - wrzosu skąpanego w popołudniowym słońcu. Jej sięgająca ziemi suknia była wąska i ciasna niby gorset, z takim sztywnym materiałem, że wcale nie potrzebowała ramiączek. Do tego była skromna, z dwoma tylko ozdobnymi liniami zwieńczonymi jakimś bliżej nieznanym klejnotem. Wykończenie jej stroju stanowiły sięgające

ramion rękawice bez palców. Rzec ci mogę, mój panie, że choć się nie znam na modzie, strój Katii niesamowicie się wszystkim wkoło podobał. Nawet Selistis od czasu do czasu z zazdrością na Katię spoglądała.

- Skąd ty w ogóle bierzesz te stroje? - mruknęła, stojąc za Katią, zupełnie ignorując należną wobec księcia Wyrwiszczęki etykietę.

- Mam swoje źródła - odszepnęła Katia. - Jak chcesz, ciebie też mogę w coś zaopatrzyć - dodała i mrugnęła zalotnie.

- Sama się zaopatrzę - fuknęła Pani w Czerni, krzyżując ramiona na piersiach.

- Niech no dobrze zrozumiem. Zagarnąłeś dla siebie te leżące przy karczmie ziemie? - zapytał Wyrwiszczęka.

- Zagarnąłem.

- I postawiłeś na nich zamek?

- Postawiłem.

- I wojów mi odebrałeś?

- Nieudolnie mury mego zamku szturmowali - zaznaczył Leoharl.

Wyrwiszczęka złapał się za serce. Tu Leoharl przychodzi i wojną mu grozi, a on stoi przed nim bez jednego woja. W dodatku jego własne wojsko miało teraz walczyć przeciw jego księstwu. Szok i zgroza!

Książę Leoharl patrzył w skupieniu na przechodzące w zieleń kolory na twarzy księcia Wyrwiszczęki. To był moment, w którym zgodnie z planem miał swą szczodroblivość ogłosić.

- Posłuchaj, książę. Do wojny wcale nie musi dojść. Wystarczy, że na jeden warunek przystaniesz.

- Twe ziemie pozostaną nienaruszone - wyjaśniała Katia. - Zostaną pod twoją władzą. Książę Leoharl zapewni ci ochronę przed twymi braćmi. Jedyne, co musisz w zamian zadeklarować, to że wyrażasz swoje poparcie Leoharlowi we wszystkich jego działaniach i że oddasz mu swoją armię.

Kaktus sprytnie ten układ przemyślała. Był sprawiedliwy i korzystny ekonomicznie. W ten sposób książę Wyrwiszczęka nie musiał się już więcej przejmować żadną - nawet tą fikcyjną - wojną, a Leoharl wsparciem księstwa Wyrwiszczeków będzie mógł się szczycić.

- Tylko tyle? - pytał książę Wyrwiszczęka, patrząc na nabazgrane na kolanie przez Katię pismo.

Zadziwiony zmierzył stojącą przed nim czwórkę podejrzliwym spojrzeniem. Oto Kaktus, której przez lata ufał, stała w rzędzie z nowym księciem, od którego bije majestat, lecz choć błyska on koroną, nikt nie zna za bardzo jego pochodzenia. W drugim rzędzie, za nim, stała przerażająco poważna dama i... no właśnie; jako czwarty stał przed nim Kapitan, którego książę Wyrwiszczęka rozpoznał od razu.

Jeden z tych, co przed laty zdradzili go, zażarcie się mu sprzeciwiając. Z tych, których hańbę zdrady w opowieściach przyćmiewała tylko chwała niesamowitego kunsztu walki i uporu, z jakim bronili woli króla. Jego obecność nie była dla Wyrwiszczęki bez znaczenia.

Spór, który lata temu rozpoczął, nawet w jego sercu już dawno stracił na znaczeniu. Nie wiedział, czy bezwiednie przez lata ciągnął go dalej wiedziony żalem po utraconym ojcu, czy może dziecinną zazdrością o starszego brata. Zadumał się wpatrzony w ostatnie zdanie pergaminu. Mówiło, że gdyby Leoharl przywdział królewską koronę, Wyrwiszczęka miałby bez oporu przyjąć jego zwierzchnictwo. Nikt mu o tym nie wspomniał. To jak tekst pisany w umowie drobnym druczkiem. Samemu trzeba go przeczytać.

- W porządku - przytaknął.

Jakkolwiek śmiesznie by mu ta klauzula brzmiała, nie budziła w nim niepokoju. Widać było, że cokolwiek przez ostatnie lata podrosł. Tylko dzięki tej dorosłości mógł znaleźć powód, by na tę umowę przystać. W duchu wierzył, że słowa Leoharla mogłyby

być prawdą. A jeśli tak... może w ten sposób mógłby choćby w małym wymiarze odkupić swoje winy? Może mógłby w końcu wrócić do swego rodzinnego domu?

Wyrwiszczęka, podjąwszy decyzję, pergamin w dłoni począł obracać.

- Coś nie tak? - podchwyciła Katia.

- Szukam miejsca na podpis.

- Tu. - Wskazała palcem.

- „Ja ni-ni...” a „niżej” - czytał. - „Ja niżej po-po...”.

- Nie moja wina, że jak się nie skupię, to kulfony piszę - obruszyła się Katia.

- Wezwę skrybę, by umowę jeszcze raz przepisał - zadeklarował Wyrwiszczęka.

- Cóż, przyznaję, że tak będzie dużo lepiej wyglądało, gdy z tym pismem zajdziemy w progi Urwiryja - zauważył Leoharl.

Wyrwiszczęka przytaknął. Gdy nowe pismo dostarczył, Katia potwierdziła, że treść słowo w słowo się zgadza. Podpis księcia Wyrwiszczęki przypieczętował umowę. Ukłoniła się i odeszła sprzed jego oblicza. Pozostała trójka opuściła za nią drewnianą chatę, którą książę Wyrwiszczęka nazwał salą reprezentacyjną.

- Poszło całkiem łatwo - skomentował Leoharl.

- Zgodnie z planem! - Katia uśmiechnęła się.

- Czego innego mogliśmy się spodziewać? Spójrzcie wkoło. - Selistis wskazała drewnianą palisadę. - Obym nie dostała kataru, bo kichnięciem zawaliłabym tę twierdzę.

- Dobrze zacząć od najprostszyc zadań. Tak buduje się wiarę w siebie i powodzenie całego przedsięwzięcia - optymistycznie zaintonowała Kaktus.

- Innymi słowy, tej wiary nie masz - Selistis poszła krok dalej w rozumowaniu Katii.

Zapadła niewygodna cisza. Choć wygodna może, bo dzięki niej w końcu minęli bramę twierdzy Wyrwiszczęki i ruszyli ku drugiemu na liście księstwu.

* * *

Katia, zmartwiona stanem swojej sukni, poprawiła zapinki, które miały podnieść końcówki sukni nieco wyżej, chroniąc je przed pobrudzeniem. Zdecydowanie jej strój nie był przystosowany do chodzenia wśród wysokich traw. No ale też na trawy się nie szykowała. Do Urwiryjów mieli iść solidnie udeptaną drogą, mijając przy tym zamek Leoharla, w którym ewentualnie mogłaby się przebrać, gdyby zaszła taka potrzeba. Selistis jednak wyznaczyła im inną, okrężną drogę. Można by pomyśleć, że z zazdrości o tę właśnie suknię Katii. Sama Selistis tak wyjaśniła fakt, że zdecydowała się zmienić trasę:

- Łóżeczko ciepłe w komnatach Leoharla czasem trochę zbyt silnie go do siebie tuli i nie chce ze swoich ramion wypuścić.

- Leoharl ma łóżko z ramionami ? - szeptem podpytywała Kapitana Katia.

- Więc będziesz nas targać okrężną drogą po polach? - Leoharl postanowił zgłosić sprzeciw.

- Widziałam cię w akcji - wyjaśniła. - To, co stracimy, omijając zamek, odzyskamy, nie wstając w południe - fuknęła.

- No, co ? Człowiek lubi sobie pospać - mruknął Leoharl pod nosem. - A zresztą ciekawe, kto ostatnim razem obijał się bardziej.

- To dlatego, że ja akurat wykonałam jakąś pracę - burknęła Selistis.

Kapitan i Katia przyglądali się im z zaciekawieniem. Mieli wrażenie, jakby patrzyli na stare małżeństwo.

- Łał. Sel, Leo, ile już lat jesteście parą? - Katia zbyt długo nie ukrywała swoich skojarzeń.

- Że co ? - Selistis zaintonowała jedno z ulubionych pytań jej władcy.

- Prawdę mówiąc, jak was tam, przed karczmą, zobaczyłam, od razu widziałam, że coś jest na rzeczy.

Selistis ze śmiertelną powagą przysunęła czoło do uśmiechniętej twarzy Katii, spokojnie cedząc słowa przez zęby:

- Jedyne uczucie, jakiego Leoharl może ode mnie oczekiwać, to troskliwy kopniak w tyłek, gdy z łóżka zleźć rano nie zechce.

- Jedyne ?

- Jedyne. - Selistis odchyliła głowę urażona, że ktoś mógłby ją o uczucie do swego władcy podejrzewać.

- Nie kupuję tego - wyszeptała do ucha Kapitanowi Katia.

- Selistis jest dla mnie za młoda - zauważył Leoharl. - Na żonę szukałbym kobiety w swoim wieku, co trochę już w życiu przeszła i nabrała nieco większej stabilności emocjonalnej - podkreślił.

- Tak jak ze mną. - Selistis, nieoczekiwanie, wcale na ten przytyk uwagi nie zwróciła. - Leoharl jest o parę stuleci za młody, by mieć mi czym zaimponować.

Kapitan i Kaktus znów patrzyli na twarze to jednego, to drugiego.

- Brzmia bardzo przekonująco - ironizowała Katia na głos, choć udawała, że mówi tak, jakby tylko Kapitan miał ją usłyszeć.

Selistis spojrzała na Leoharla, ten na nią, a Katia na nich oboje, wdychając, jak na nią całkiem nienaturalnie. Zobaczyła chyba w tych spojrzeniach, że jakieś uczucie tych dwoje z pewnością łączy. Jednak nie tak głębokie, jakiego się spodziewała.

- Wiesz, Kaktus, lojalność też jest rodzajem miłości - szepnęła jej do ucha Kapitan, widząc, że nos na kwintę zwiesiła.

Musiało podziałać, bo Katia zaśmiała się pod nosem, przytakując Kapitanowi.

Zajmuję cię, panie, historią tej drogi, bo prawdę mówiąc, u jej celu niewiele ciekawych rzeczy się działo. Może z tym wyjątkiem, że książę Urwiryj, uprzedzony o przybyciu zbrojnej grupy szturmowej, kazał wojom bramę umocnić drewnianymi palami. Na swą zgubę to zrobił, bo z braku solidnego surowca posłuszni podwładni wykopali pale z palisady. Tak z boku, licząc może na to, że nikt dziury nie zauważy. Pilnie przy tym tej wzmocnionej bramy pilnowali, jakby właśnie po to, by Leoharl mógł łatwiej wejść na zamek niezauważony.

Kartograf Urwiryja z nieznanego źródła też o księciu nowo powstałego zamku okołokarczowego słyszał. I on też z pracy wyleciał.

- Defenestracja w tych regionach jest całkiem modna - skwitowała tę sprawę Selistis, wyglądając za pokiereszowanym chłopem, co wylądował na trawie.

- Co ty na to ? - zapytała Katia, machając księciu dwoma papierami: tym z podpisem księcia Wyrwiszczęki i tym, który on miałby podpisać.

Uważnie przeczytał książkę zapis i podpis swojego brata. Po-badał, rozważył i przytaknął. Książkę Leoharl podbijał księstwa hurtowo - dwa za jednym zamachem. Warunkowo podbijał, bo klauzula mówiła, że podbite nie są, a będą dopiero, gdy stanie się królem, no ale zawsze. Gdyby tylko wszystko inne było tak proste...

Ale ta prosta część podbojów właśnie się skończyła, z czego cała czwórka zdawała sobie sprawę. Taki układ mógł bowiem podpisać tylko upadły szlachcic bez żadnej władzy. Władca, którego członków armii można było policzyć na palcach. Te księstwa, do których zliczenia wojów potrzeba już pracy zespołowej, wcale tak łatwo nie zechcą się na układy z Leoharlem godzić.

Tylko te dwa księstwa, których władcy stracili swe ziemie i w niełaskę popadli, były aż tak drobne. Już sam autorytet murowanych ścian zamku wystarczyłby, by im zaimponować. Gdyby tak na to spojrzeć, uśmiechy i radość Katii i Leoharla nie były wcale tak bardzo uzasadnione. Może właśnie dlatego, dla kontrastu, Selistis z Kapitanem zachowali na twarzy kamienny spokój.

Czas było im wracać. Po tak wielkim wysiłku - znaczy się: spacerze w tę i z powrotem - nadszedł czas na chwilę wytchnienia. Nic, tylko laba i wylegiwanie się w ciepłym słończku - oto rozciągająca się przed czwórką bohaterów perspektywa najbliższych dwóch dni. Tak zarządził Leoharl, jakby tylko na przekór markotnie patrzącej na to Selistis. Lecz poważniej mówiąc,

musieli odpocząć, by w ten sposób przygotować się na kolejną, już znacznie dłuższą podróż. Nawet Selistis dało się to wyperswadować, stąd długo się na lenistwo Leoharla nie dąsała, równie rada, że i jej dane będzie trochę poleniuchować.

* * *

Wszyscy byli w całkiem niezłym humorze. Nie, nie tylko w niezłym - wręcz w bardzo dobrym. Wszystko szło po ich myśli. Oczywiście prawa pewnego nieznanego w tym królestwie inżyniera były równie prawdziwe teraz, jak za jego życia: im lepiej człowiekowi idzie teraz, tym gorzej będzie za chwilę. Naturalne zatem, że w obliczu tak dobrego nastroju zaraz musiał nastąpić jakiś kataklizm. Mając wreszcie ukochany zamek w zasięgu wzroku, już z oddali mogli dostrzec, że coś jest nie w porządku. Przed zamkiem rozciągały się rzędy rozstawionych pospiesznie namiotów.

- A niech mnie - pierwsza w podziw została wprawiona Kaktus - Cyganie!

- C-co? - Tyle dni już minęło, a Selistis wciąż nie mogła się przyzwyczaić do fenomenalnej wyobraźni swojej towarzyszki.

- A kto inny rozłożyłby pod zamkiem namioty? - Uśmiechnęła się niewinnie. - Przyszli zaprosić nas do swych zabaw! Będą ogniska, grajkowie, wróżby z fusów i inne takie... ach! Wspaniale! Będzie zabawnie!

- Hmm... zbyt dużo namiotów. Zbyt równo poukładane -zauważył Kapitan.

- Zgadza się - przytaknął Leoharl - to żadni Cyganie.

- Cyrk? - spróbowała jeszcze Kaktus.

- Wojsko, moja droga, wojsko - ucięła sucho Selistis. Katia zamilkła. Potencjał na popis naiwności z jej strony był

spory. Mogła na przykład zasugerować, że przyszli przyłączyć się do armii Leoharla. Albo raczej, że przyszli zobaczyć, kto mieszka w tym zamku. Albo nawet, że przyszli zabawić się z Cyganami.

Ten ostatni pomysł świetnie reprezentowałby sposób jej myślenia. Jak mówię, potencjał był spory. Tym bardziej znaczący jest fakt, że zamknęła paszczę. Znaczyło to, że się uczy. Nauczyła się na przykład, że gdy dwa z jej pomysłów nikomu się nie spodobają, pozostałe pewnie wcale nie będą lepsze. Miała rację.

No dobrze, mój panie, trzeba przyznać, że nie był to jedyny powód jej milczenia. Nawet Kaktus zdawała sobie sprawę z powagi sytuacji - wielkości armii stojącej przed ich zamkiem. Zamek był bezbronny - szturm w nie więcej niż dwa tuziny wojów z jednym tylko taranem, jeśli w ogóle ktoś wpadłby na pomysł, by zamknąć bramy, wystarczyłoby, by go zdobyć. Ale nie było co naprzód spisywać zamku na straty. Gdyby wróg go zdobył, nie zatrzymywałby swego wojska przed murem. Można było z tego wyciągnąć całkiem znaczący wniosek: pokojownik zdołał obronić zamek. To z kolei prowadziło do innego spostrzeżenia. Te namioty to...

- Oblężenie - smutno zaintonowała Kaktus.
- Hmm... na to wygląda - przytaknął Kapitan.
- Cóż, jeśli tyle czekali, niech czekają dalej. - Leoharl wzruszył ramionami. - Nie będziemy się wcale do nich spieszyć.
- Poczekają?
- Mają co innego do roboty?

Leoharl ruszył przed siebie. Słusznie wywnioskował, że skoro siedzą w tych swoich namiotach i nic nie robią, to nic się nie stanie, jak jeszcze trochę poczekają. Sam z kolei był ciekaw, co Irransatil przedstawi mu w raporcie dotyczącym tej sprawy. W obliczu potencjalnego zagrożenia nie mieli zbyt dużej ochoty do rozmowy. W ciszy powoli zbliżali się do murów zamku.

* * *

Gdy podeszli bliżej, przed bramą zatrzymał ich mały oddział okutych w zbroje żołnierzy pod komendą udekorowanego orderami dowódcy. Czegoś w ich wyglądzie brakowało, ale trudno było tak od razu skojarzyć czego. Mieli nieszczególnie wyróżniające się

zbroje z nieznanym większości z nich symbolem głowy dzika na zielonkawym tle trawy. Tylko Kaktus z miejsca rozpoznała symbol:

- Ooo... armia Wielkopysznego! Jesteśmy w tarapatach! Leoharl zadumał się, słysząc to imię. Jak przez sen, coś sobie przypominał. Czy nie jego posłańca przyjął jakiś czas temu na zamku? Niewiele z tego pamiętał.

- Stać! W imię szanownego księcia Wielkopysznego wstęp do tego zamku jest zabroniony!

- Ale brama jest otwarta - zauważyła Kaktus.

- Zabroniony! - powtórzył niezrażony żołnierz. - Zamek jest obleżony! Odejdźcie stąd, zanim komuś stanie się krzywda.

- Ale brama...

- Czy wyrażam się aby przypadkiem niejasno?

- Gdzie przywódca tej armii? - wtrącił się Leoharl. - Chciałbym z nim pogadać.

Na pierwszy rzut oka widać było, że rozmawiał z nimi tylko niższej rangi dowódca jednego z oddziałów. Na pytanie o przełożonego spocił się nieco i przełknął ślinę, uciekając wzrokiem na bok. Idąc za tym spojrzeniem, można było dostrzec szpital polowy, rozłożone na nim nosze i - pod pięknym sztandarem z głową dzika, pod opieką dwóch medyków - leżącego w ozdobnych szatach kogoś, kto już znacznie łatwiej mógł za dowódcę armii uchodzić.

- Generał... jest niedysponowany - wyjaśnił dowódca oddziału. - Pełnię funkcję jego zastępcy.

- No, no. - Leoharl pokiwał głową, dochodząc pospiesznie do wniosku, że z pewnością to też było sprawką Irransatila. - Jestem Leoharl Mem, władca tego zamku.

- Ze co, proszę?

- Korona! - Wskazał palcem czubek swojej głowy. - Nie widać? Przepuść mnie, zanim moja straż złoży ci skórę!

Słyszając to wezwanie, Kapitan groźnie wystawił do przodu pikę. O dziwo to ostrzeżenie nawet podziałało i dowódca, wraz

z oddziałem, wzdrygnął się na jej widok. Ach, tak! W końcu stało się jasne, co w całym tym obrazie nie pasowało! Żaden ze stojących przed nimi żołnierzy nie trzymał broni. Przy jej braku nawet pika podstarzałego gwardzisty zdawała się groźna. Ale kto zagradza im drogę bez oręża? Rozejrzawszy się na boki, Kapitan zrewidował swoje pytanie: kto przychodzi na wojnę bez broni?

Nawet jeden z żołnierzy, siedząc przy swoich namiotach, nie miał miecza, piki, halabardy czy choćby sprawnego obucha. Wyglądali, jakby wychodząc rankiem z domu, zapomnieli je zabrać. Prezentująca się w ten sposób armia wyglądała wręcz absurdalnie. Jakby idea posiada broni była jej obca.

Mówimy o armii, która przyszła zdobyć zamek. Oto zagadka, której nawet najpotężniejsze umysły królestwa rozgryźć by nie zdołały.

- Suń się, że tak powiem, i daj nam przejść - powtórzył Leoharl.

- A-ale...

- Może zamiast piką wolałbyś oberwać mieczem? - zainsynuował książę, udając, że sięga ku rękojeści.

Żołnierz zrezygnowany opuścił ramiona wzdłuż ciała. Nie ukrywał swojej bezsilności. Mógł co najwyżej kazać swym ludziom bić się pięściami, co może miałoby cokolwiek sensu, gdyby szykowali się na jakąś bójkę w karczmie. Ale nawet do niej nie byli odpowiednio przygotowani. Brak alkoholu w organizmie i takie tam sprawy... Westchnął zatem i nakazał towarzyszom odsunąć się Leoharlowi z drogi.

Usunąwszy tę pierwszą przeszkodę, Leoharl z obstawą w spokoju wszedł w bramy zamku. Gdy go mijał, gwardzista, który akurat miał wartę przy bramie, głęboko mu się uklonił.

- A to nowość - zauważył Leoharl. - Już dawno nikt na moim zamku się przede mną nie uklonił.

- To nowy, od Wyrwischczęki - zauważył Kapitan. - Nie wyzbył się jeszcze starych nawyków.

- Albo zestresowany, że armia pod zamkiem stoi - rozważała Katia. Jakikolwiek był tego powód, dla Leoharla spotkanie z tak zachowującym się gwardzistą w progach własnego zamku było zupełnie nowym doświadczeniem. Wolał się jednak do takiego traktowania nie przyzwyczajać.

Rozejrzeli się po dziedzińcu za Irransatilem w nadziei, że wyciągną z niego jakieś odpowiedzi. Siedział nie dalej jak parę kroków od swego kościoła, przy dużym drewnianym stole. Na nim prócz hełmu leżało pióro, kałamarz i jakieś duże pokryte rysunkami zwoje. Pewnie mapy. Siedział nad nimi w skupieniu, zdając się intensywnie rozważać pewną ważną sprawę. Towarzyszyła mu przy tym grupa pilnie słuchających jego uwag gwardzistów.

To stanowiło pierwszą zagadkę. Była też druga. Tuż obok tego zbiorowiska leżał imponujący stos broni - mieczy, pik, halabard i łuków. Z kolei trzecia zagadka to równie imponująca, bo większa od samego kościoła, sterta ogromnych szarych kamieni leżąca tuż obok. Łącznie trzy zagadki. Zacznijmy od rozwiązania pierwszej.

- Czołem, Irransatilu! Jak leci? - Kaktus, machając Irransa-tilowi na powitanie, podskakiwała prawie że w miejscu, z szerokim uśmiechem na twarzy. Najwyraźniej sam widok demona wprawiał ją w dobry nastrój.

- Ach, kłaniam się uniżenie. - Irransatil majestatycznie powstał z siedzenia, skłaniając się. - Jak pewnie się zorientowałaś, o pani, jesteśmy pod oblężeniem.

- O, pani! - zachwyciła się usłyszonym z jego ust tytułem.

- Co zaszło? - podjął Leoharl.

- Nic wielkiego. Otóż armia Wielkopysznego przybyła pod mury, żądając audiencji. Zgodnie z prawdą odpowiedziałem jej generałowi, że jesteś, mój panie, na delegacji w sąsiednim księstwie i że pełnię twoje obowiązki. Rozkazał, bym poddał zamek.

- I co? - Kaktus wsłuchiwała się w napięciu.

- Oczywiście, skórom pokojownik, postanowiłem rozwiązać tę sprawę na drodze dyplomacji. Niestety, dowódca tej armii nie był skory do rozmów.

- Nie był skory? - Leoharl przypomniał sobie leżącego w namiocie medyków pacjenta.

- No nie był. Powiedział, że zamek szturmem weźmie i nie pozostawi nikogo przy życiu. Spodziewałem się takiej reakcji -dumnie zaznaczył Irransatil. - To jedna z takich, o jakich uczyli mnie na szkoleniu. Zażądałem więc, zgodnie z protokołem, by jego armia oddała mi broń.

- Pewno cię wyśmiali - mruknął pod nosem Leoharl.

- Rzeczywiście! Doskonale rozpoznałeś sytuację, mój panie! Szczerze mówiąc, nie było to zbyt trudne. Irransatil jednak zdawał się być w szczerym podziwieniu, jak dokładnie jego władca potrafił przewidzieć reakcję wroga. Na szkoleniu zapewne poznał wiele możliwych scenariuszy, stąd imponujące było dla niego to, że niewyszkolony w tej sztuce Leoharl tak wprawnie ocenił sytuację.

- Wyśmiali mnie, ale stałem niewzruszony - mówił dalej demon. - Nie ustępowałem, więc przystąpiłem do rozbrajania wojska.

- No tak... zaraz, zaraz, że co? - Leoharl wreszcie załapał, że padło to zdanie, które mogło pewne kwestie wyjaśnić. Warto było zatem, żeby Irransatil rozwinął ten wątek.

- No, zacząłem ich rozbrajać. Podeszedłem do dowódcy i poprosiłem o oddanie miecza.

- P-poprosiłeś, tak? - Leoharl wciąż uczył się terminologii pokojownika, więc nie był pewien, czy dobrze rozumiał to słowo.

Pamiętaj, panie, że przed oczami wciąż miał medyków i łoże.

- No, grzecznie prosiłem, jak to w takiej sytuacji wypada, ale nie chciałem oddać. Zgodnie z protokołem lekko go za to pacnąłem.

- Pacnąłeś? - upewniał się Leoharl.

- Tak, lekko. Zapadła wymowna cisza.

- Jak długo to wojsko stoi pod murami ? - upewniał się Leoharl.

- Trzy dni.

- Trzy dni. Kontynuuj. Więc go pacnąłeś?

- A tak, pacnąłem.

Musisz przyznać, mój panie, że w obliczu wyjaśnień Irransatila Leoharl słusznie w szczegóły się nie zagłębiał. Jak pacnął, to pacnął - i koniec. To trochę jak z Selistis. Gdyby ktoś zaczął zadawać jej głupie pytania, skąd miecz wzięła albo jak karczmy dach pozbawiła, zgłupiałaby doszczętnie. A demon? Demon tak samo. Nie ma po co pytać. Po co nerwy szargać? Po co cały ten obłęd? To jedna z pierwszych mądrości, którą posiadał Leoharl, gdy po raz pierwszy włożył koronę na swoją czuprynę. Ignorancja, zaiste, bywa momentami nieocenionym szczęściem.

- No więc jak go pacnąłem, to próbowali mnie trochę po-szturchać. Zabrałem kilku innym piki i też ich pacnąłem, aż pozostali przestali grymasić.

- Aha...

- No i tak od jednego do drugiego, pozabierałem im broń. Wyjaśniła się zagadka pierwszego stosu. Patrząc na drugi, Leoharl sam doszedł do rozwiązania.

- A te kamienie to do katapult?

- Właśnie tak! - znów z podziwem przytaknął Irransatil. - Mieli katapulty, ale że ręce miałem już pełne od broni, to miast katapult zabrałem im amunicję. Są mniejsze, łatwiej było się z nimi zabrać.

- Ba...

- Więc zabrałem naboje i wróciłem na zamek, gdzie skrupulatnie wszystko poukładałem.

- W dwa stosy.

- W dwa stosy. - Irransatil promieniał ze szczęścia, mogąc zdać tak dokładny raport.

Raport, który nie wymagał dodatkowych wyjaśnień. Gdy nosi się w dłoniach kościół - stos broni i kamieni to drobnostka.

Książę spojrział na owe stosy zamyślony. Irransatil mógłby je chociaż trochę lepiej posortować.

Ale Leoharl nie mógł tego od demona wymagać. Irransatil nie był klerykiem ani zbrojmistrzem. Nie znał się na selekcji inwentarza na różne podkategorie. Mógł nawet nie odróżniać jednej broni od drugiej. Podzielił je więc tak, jak uznał za stosowne: co nie kamień, na jeden stos, co kamień - na drugi. Leoharl zadumał się wielce. Rozumiał już całą sytuację, ale głowa odmawiała dłuższego skupiania się nad nią. Musiał sobie to wszystko poukładać.

Więc tak: armia przyszła, wezwała księcia, Irransatil wyszedł im naprzeciw. Armia zażądała kapitulacji, Irransatil odmówił, armia zagroziła użyciem siły. Irransatil strategicznie pozbawił armii dowódcy, po czym przystąpił do jej rozbrowienia. Wreszcie wiadomo, dlaczego armia stoi pod zamkiem. Czeka, aż jej generał się ocknie.

- Gratulacje! - Leoharl przybrał na twarz radosny uśmiech, klepiąc Irransatila w ramię. - Wyśmienita robota! Idealnie sprawdziłeś się jako pokojownik, pacyfikując najeżdżającą zamek armię!

Klepał go tak dłuższą chwilę, a Irransatil dziękował za pochwały. Nikt z towarzystwa nie zamierzał podawać w wątpliwość pokojowości pewnego kluczowego w całej tej historii pacnięcia.

- Wyśmienicie! No to chodźmy obudzić tego tam generała!

- Obudzić? - spytał pokojownik.

- No, tak! Czas zakończyć to oblężenie i odesłać armię z kwitkiem! - oznajmił. - Pozwól, że skoro wróciłem na zamek, teraz ja zajmę się dyplomacją.

- Jak najbardziej, mój panie. Prowadź!

Kroczyli za dumnym Leoharlem, zbierając po drodze gwardzistów. Leoharl zdjął z głowy koronę i polerował ją po drodze, coby się błyszczała. Wyszli przed zamek i swą garstką stanęli przed armią.

- Żądam audiencji u waszego dowódcy! - zagrzemiał książę. Żołnierze spojrzeli po sobie zakłopotani. Wiedzieli, że ich

generał żadnej audiencji sobie nie życzy. Niewzruszony Leoharl kroczył dalej w kierunku obozu medyków. Żołnierze, chcąc nie chcąc, schodzili im z drogi. Liczba pik po stronie przeciwników była przytłaczająco większa od tej, jaką mieli w szeregach. Towarzystwo zatrzymało się przed namiotem.

- Kapitanie! Ocuć szanownego pana!

Księżę wydał rozkaz, a Kapitan posłusznie uklonił się i wystąpił z szeregu. Lekarze z reguły nie pozwalali na wizyty poza godzinami urzędowymi szpitala, no i pacjentów w stanie krytycznym to zwykle tylko rodzinie wolno odwiedzać, ale żadnej z tych uwag zgłosić nie mieli odwagi. Kapitan oparł swoją pikę i zbliżył się do twarzy pacjenta. Obejrzał go z uwagą z jednej i drugiej strony. Przytaknął w zadumie i zabrał się do dzieła. Złapał go za kołnierz i otwartą dłonią obił mu oba policzki.

- Co?! Gdzie?!

Generał w cudowny sposób ocknął się ze swej śpiączki. Było to lekarstwo, które Kapitan znał dobrze i stosował niejednokrotnie. Już wielu leżących pod płotem pijaków wyleczył tym jednym, jakże skutecznym zabiegiem. Wymagał odpowiedniej precyzji i determinacji, by policzki obić sprawnie i całkiem dokładnie. Ale Kapitan, jak mówiłem, był już wprawiony. Kuracja zadziałała bezwarunkowo i natychmiastowo.

Nie wspomnę już, że lekarzom mina całkiem zrzędła. Ta terapia, której stosowanie bardziej przystoi znachorom niż szanującym swój zawód medykom, nawet przez myśl im nie przeszła. „Amatorszczyzna” - pomyślał Kapitan, rzucając im pobłażliwe spojrzenie.

- Księżę Leoharl. Miło mi. Wstawaj i mów, co tu jest grane! -zażądał księżę, zdawkowo się przedstawivszy.

- Leoharl! T-to... Co?... Co ja tu robię?

- Twoja armia została spacyfikowana przez mego zastępcę. -Wskazał na Irransatila, na co ten się uklonił. - Mniejsza o to. Co to wszystko ma znaczyć ?

Przywódca armii rozejrzył się wkoło. „Spacyfikowana” okazało się całkiem dobrym określeniem. W mig pojął, że jego piękna, dumna i wspaniała armia jest bezbronna.

- N-no... w-więc...

Dowódca armii poczuł presję ze strony stojącego za nim pół-okręgiem tłumu, który oczekiwał, że wygrzebie go z tarapatów. Jednocześnie chciał zachować twarz. Nie bardzo wiedział, jaki obrać kierunek w dyskusji z księciem najeżdżanego zamku.

Albo to, albo po prostu zabrakło mu słów. Scenariusz, w którym jego armia zmuszona jest do poddania, nie wchodził w rachubę w jego wcześniejszych planach. Ale to nic... to nic... trzeba zachować twarz.

- ...N-niespodzianka? - spróbował.

- Wspaniała! Jestem uradowany! - skomentował tę marną próbę Leoharl. - A teraz do rzeczy! Po coś tu przylazł?

- No... z rozkazu mego władcy podbić twój zamek.

- Marnie ci poszło, chłopie.

- Co ty nie powiesz - zawtórował smętnie dowódca, spuszczać trochę z dyplomatycznego tonu.

- Więc co teraz ?

- Cóż... - westchnął przeciągle.

Ceremonialnie stanął obok łóżka, poprawiając swój strój. Przybrał poważny wyraz twarzy. Nie potrzebował zbyt wiele czasu, by ogarnąć sytuację, w jakiej się znalazł. Armia rozbrojona. Grupa przeciwników stała o krok przed nim i gotowa była zadźgać wszystkich jego wojów. W walce dzidy kontra pięści jego armia ostatecznie wygrałaby ze względu na swoją liczebność, ale głupotą byłoby poświęcać na zwycięstwo życie setek ludzi, które wcale tego dnia ginąć nie muszą. Koniecznym było użyć sztuki dyplomacji, którą to umiejętnością szczycił się każdy generał. Zebrał się zatem w sobie i uklonił się, trochę gwałtownie, przed księciem.

- Wiele o tobie słyszałem, o panie. Słyszałem, o wspaniałym księciu Leoharlu, co na wsze strony rozślawia ród Memów.

- Ha! Więc słyszałeś o moim podboju Wyrwischczków?!

- T-tak. - Opamiętując się szybko, dowódca powstrzymał uśmiech, jaki dwa postawione obok siebie wyrazy: „podbój” i „Wyrwischczków” niemal automatycznie wypisywały mu na twarzy.

- Wyśmienicie! Więc wiesz też zapewne, że pod moim panowaniem są też ziemie Urwiryjów?

O tym dowódca jeszcze nie słyszał, ale skoro Leoharl był w delegacji, to pewnie właśnie w tym księstwie.

- Jak mniemam, właśnie powracasz ze swej zwycięskiej wyprawy?

- Tak, dokładnie! Doskonale! - Leoharl nie ukrywał radości, że jego dzieło zostało rozpoznane.

- Więc, jak mówię, wiele o tobie słyszałem. Wieści o rosnącej na pustkowiu potędze szybko się rozchodzą. Dotarły także do uszu mego władcy.

- A jakże! Chce się poddać?

- Raczej wątpię - zauważyła Katia. - Wielko pyszny jest na to zbyt dumny.

- Istotnie. Mój pan jest równie dumny i wspaniały jak legendy, które krążą o tobie.

Dowódca dyplomatycznie uniknął nazwania Leoharla potężnym i wspaniałym. To kunszt, który tylko wysublimowane ucho konesera krasomówstwa potrafi zauważyć. Nie trzeba chyba mówić, że księżę takiego ucha nie miał, toteż uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Skoro zatem, o panie, słysząc wcześniej o twej sławie, teraz jej fragment na własne oczy mogę zobaczyć, pragnę pertraktować.

Znów pominął, o jaki fragment może mu chodzić, ale uważny obserwator z łatwością zauważył nutkę szyderstwa w oczach i podniesiony jeden kącik ust. Z pewnością generał komentował strój księcia i to w niezbyt przychylny sposób.

Kaktus mogłaby się od niego wiele nauczyć. Zaraz, zaraz... gdy tknięty tą myślą Kapitan spojrzał w stronę Kaktusa, zauważył,

że śmiała się cicho pod nosem. Selistis i Irransatil natomiast stali niewzruszeni. Zdawało się, że tylko Kaktus przejrzała te sztuczki. Nie miała się czego uczyć. Doskonale już te lekcje знаła.

- Tak, tak. W porządku! - przytaknął Leoharl. - Co proponujesz?

- Pragnę prosić o łaskę i pozwolenie na powrót do mojego władcy.

- Ha! Tak za darmo?

- W żadnym wypadku. - Generał skłonił głowę. - Jak widzę, moja armia pozbawiona jest broni.

- Skonfiskowaliśmy ją. Leży w zamku.

Łatwość, z jaką wykształcony w dyplomacji generał wyciągał od księcia informacje, była żenująca, ale cóż ten marny książę, co to bez pomysłu na pustkowiu zamek wznosi, mógł wiedzieć o dyplomacji?

- Przyjmij ją zatem jako naszą daninę. Nie będziemy rościć sobie do niej praw.

- Hę?

- Jest twoja. Prócz tego przyjmij moją najszczerzą wdzięczność i przysługę jednego z czterech najwyższych generałów armii Wielkopysznego: wielce wielmożnego Lorda Apartacza.

Leoharl parsknął pod nosem z sobie tylko znanego powodu.

- Wiedz, że dotrzymanie generalskiego słowa leży w jego honorze - generał kontynuował niewzruszony. - Gdy zażadasz od niego przysługi, zostanie ci wyświadczona.

- Hmm...

- A na koniec, do tego, pozwól, że ofiaruję ci jeszcze większą sławę. Wiedz bowiem, że gdy armia moja powróci z boju do swego władcy, świat obiegnie kolejna niesamowita opowieść. Oto książę Wielkopyszny wysłał mu naprzeciw armię, a ta poległa w boju, zmuszona do odwrotu. Nie dość, że mająca czelność wyzwąć Księcia Leoharla do walki armia przegrała, to z woli Jego Łaskawości powróciła do swego kraju nietknięta.

Doprawdy, Potęga i Łaska Wspaniałego Księcia Leoharla Nie Zna Granic!

- Oooch! - Kaktus poczęła bić brawo.

Bynajmniej nie ze względu na wspaniałość księcia Leoharla, a ze względu na kunszt generała, co swobodnie w konwersacji przeszedł z mowy zwyczajnej, ku zwracaniu się do Leoharla wielkimi literami. Sztuka najwyższej klasy dyplomaty.

Swoim kunsztem lord Apartacz z powodzeniem przebił niemrawe w tej dziedzinie umiejętności Irransatila i zdołał szczerze zaimponować Kaktusowi. Nie dziwne zatem, że w ten właśnie sposób zdołał ocalić skórę swojej armii, nie oddając Leoharlowi niczego, czego ten już nie miał lub co mógłby na oczy zobaczyć.

- Sława, mówisz?... Hmm... tak... tak... - Leoharl rozważał jego słowa, po czym uśmiechnął się szeroko i promieniście. -Zgoda!

- Z-zgoda? - Generał nie dowierzał tak kompletnemu i bezceremonialnemu sukcesowi. Natychmiast wręcz ścisnął wystawioną przez Leoharla dłoń, chwytając w garść, całkiem dosłownie, okazję, która przed nim stała.

- To było wspaniałe! - Kaktus natychmiast podskoczyła do generała. - Czy mogę prosić o autograf? - Wyciągnęła do niego pióro i jakąś bliżej nieokreśloną księgę otwartą na pierwszej stronie.

- Pewnie. - Generał był w lekkim szoku, ale pospiesznie złożył podpis zaczerwienionej trochę damie. - Zatem ustalone - znów zwrócił się do księcia. - Nie będziemy zabierać ci więcej czasu, o panie. Jak tylko moje wojsko stanie w gotowości, zwiniemy namioty i odejdziemy.

- Doskonale! Do zobaczenia przy kolejnym oblężeniu. Tym razem pod waszym zamkiem! - zuchwale rzucił mu w twarz Leoharl.

Generał skrzywił się na te słowa, ale protokół kazał mu się uklonić i zakończyć rozmowę. Tak więc zrobił. Leoharl dał rozkaz odwrotu i dumnym krokiem ruszył w stronę zamku.

- Tyle ? - spytał Irransatil.
- Tyle. - Selistis wzruszyła ramionami. - Spodziewałeś się czegoś więcej ?

- Spodziewałem się... nie wiem, ziemi czy rekompensaty w złocie popartej niewolą generała. Albo może przyznania prawdziwego tytułu księcia, zależnie od tego, jak naprawdę ważny jest to generał. - Wskazał na niego palcem, nie bacząc za bardzo, że stał parę kroków od niego.

Selistis spojrzała na plecy oddalającego się księcia.

- Chciał wykazać się dyplomacją, to się nią wykazał - skomentowała melancholijnym tonem. - W sumie słusznie. Nagroda adekwatna do trudu, z jakim przyszło zwycięstwo.

Generał zacisnął zęby, przełykając ten „trud, z jakim przyszło zwycięstwo", i zajął się grzebaniem w swoich tobołkach, udając, że nie słyszy ni słowa.

Ale słyszał i był wściekły, że nie mógł tym słowom zaprzeczyć. W swej dość długiej karierze nawet raz nie spotkał się z przypadkiem, w którym jeden człowiek powstrzymałby całą armię. Nie był przy tym pewien, czy nie myślał przypadkiem o „karierze", która miała się właśnie zakończyć. Jedno było pewne. Oj, da on Leoharlowi sławę! Rozpowie wszystko co do jednego słowa! Rozpowie o księciu, co w pakty z demonami wchodzi!

- Chodźmy. Co tak będziemy tu sterczeć - ponagliła Selistis. - Kaktus, idziesz? Kaktus?...

Nim zrobili dwa kroki, Kaktus zatrzymała się, wlepiając oczy w podpis w księdze.

- Nie mów, że tak zafascynował cię ten oszołom, że nie możesz przestać gapić się na jego kaligrafię? - Selistis była zawiedziona.

- Nie. - Mina Kaktusa poczerniała, ukazując tak rzadki na jej twarzy, ale wyraźny wyraz stanowczości. Zamknęła księgę.

- Coś cię trapi? - Temat postanowił pociągnąć Kapitan.

- Nic wielkiego. - Kaktus błędziła oczami z dużo smutniejszą niż zwykle miną.

- To był setny podpis w tej księdze. Zdobywając go, ukończyłaś wieloletnie dzieło i czujesz wydzźwięk swego osiągnięcia -spróbowała znów Selistis.

Oto na moment wkroczyli do przedziwnego świata przeciwności, w którym Selistis, zamiast Kaktusa, gra tę głupią, co sypie durnymi pomysłami, a Katia patrzy na nią z pobłażliwością.

- N-no, co? Dobry strzał?

- Pomijając tę raczej... ekstrawagancką... teorię Pani w Czerni, ukróć nasze domysły, o pani - z pełnym dostojeństwem w głosie poprosił Irransatil. - Do czego był ci potrzebny ten podpis ?

- Nie była aż tak ekstrawagancka - obruszyła się Selistis.

- Do niczego wielkiego - zaczęła wyjaśniać Katia. - Chciałam sprawdzić, czy naprawdę nazywa się Apartacz. W końcu mówił o Lordzie Apartaczu w trzeciej osobie.

Na twarz trójki zgromadzonych wdarł się istny podziw, że ktoś wpadł na to, by podać w wątpliwość słowo generała.

- No i?

- Podpis zdaje się zgadzać, ale to nie problem. - Ponownie otworzyła swą księgę. - Znam to pismo - dokończyła.

Zapadła cisza, z której nikt nie chciał wybić się pytaniem. Kaktus, robiąc krótki wdech, postanowiła krótko im to wyjaśnić:

- To pismo człowieka, który podpisał wyrok skazujący mojego ojca.

- Skazujący?! Na śmierć czy więzienie? - ostrożnie spytał Kapitan.

- Na więzienie.

- Więc żyje?

- Tak... nie... nie wiem - posmutniawszy jeszcze bardziej, Kaktus dała wymijającą odpowiedź. - Dostał wyrok dwudziestu pięciu lat więzienia, z czego odbył już dwadzieścia dwa. Jestem prawie pewna, że nie żyje. Niemniej... - Oczy Kaktusa nabrały powagi.

- Chciałabyś poznać prawdę - trafnie odczytała ten gest Selistis.

- Tak.

- To zapytaj! Autor podpisu jest parę kroków od ciebie.

- On mi nie pomoże. - Kaktus potrząsnęła głową. - Dokument z tym podpisem powstał ćwierć wieku temu. Generał już dawno o nim zapomniał.

Selistis przytaknęła. Z pewnością tak właśnie było.

- Bez obaw. Coś jeszcze wymodzisz. Może nawet pomoże ci w tym Leoharl, jak tylko go o to poprosisz.

- Aha - Katia przytaknęła, trochę się rozchmurzając. - Trochę żal, że straciłam już swoją prośbę.

- Bez obaw, pomoże ci bez niej - pocieszał ją Kapitan.

- Jaką prośbę? - dopytywał Irransatil.

- Nic ci do tego - zbyła go Selistis. - Chodźmy wreszcie odpocząć. Za nami dopiero początek, a przed nami jeszcze kawał roboty!

- Istotnie - przytaknął Irransatil. - Cieszymy się każdą chwilą spokoju.

- Rozkażę karczmarzowi zorganizować imprezę na zamku. Oj, będzie się działo! - rozmarzył się Kapitan.

- Ha, ha! W porządku! Nie mogę się doczekać! - zawtórowała mu Selistis i uśmiechając się do Kaktusa, zachęciła ją, by poszła z nimi.

Kaktus jeszcze przez chwilę wpatrywała się w podpis w księdze. Odwróciła się nagle, jakby faktycznie chciała generała o coś zapytać. Zrezygnowała jednak wpatrzona w jego plecy, widząc pospiesznie wydawane do podwładnych rozkazy. Zamknęła księgę, pocieszając się słowami Selistis, i podążyła za resztą w stronę zamku.

Oślawiona na kartach wielu ksiąg, jakie możesz dziś znaleźć, panie, pierwsza wspaniała obrona zamku Leoharla dobiegła końca. Jeśli już wcześniej kroczący dumnie bohaterowie zasłużyli na odpoczynek, to z tym dodatkowym zwycięstwem ten odpoczynek zdawał się jeszcze bardziej należny. Nierozwiązaną sprawę

sterty broni łatwo będzie załatwić trochę później. Sprawa gładów mogła trochę jeszcze obok ich stosu poleżeć. Same nie uciekną. W najgorszym przypadku ktoś je rozkradnie.

Rozdział 6

Próśb wyłudzenie

- Konia z rzędem daję!

- A idź pan w cholerę!!!

Tą przemiłą wymianą zdań książę rozpoczął swój dwudniowy odpoczynek. Dla uściślenia dodam, że Leoharl to ten, co niby konia posiadał. Ten drugi to chłop, co mu drzwi swojej izby zatrzasnął przed nosem. A wszystko dlatego, że książę udał się do swych poddanych na żebry.

Musisz przyznać, mój panie, że też byś tak uciekał, gdybyś widział osobnika w przekrzywionej koronie, co wlecze się wolno po dziedzińcu, lekko się od kaca za głowę łapiąc i nerwowo od czasu do czasu pięścią wymachując ze złości, że go słuchać nie chcą. Nieomylnie, jak się można było spodziewać, Leoharl uznany został za wariata. Nie dość, że z koroną lata, jakby miał być jakąś ważną osobistością, to jeszcze cuda ludziom obiecuje, jeśli tylko by go o nie poprosić. Kontakt z tymże osobnikiem nieomylnie groził uszczerbkiem na zdrowiu.

- Czort z wami! - skomentował książę w niezbyt godny dla siebie sposób.

W jeden poranek książę zraził do siebie większość ludu swojego zamku. Sapnął i spoczął na jednej z ławek przed domem tego, co drzwi przed nim zamknął.

Kapitan rozważał, że gdyby taki nieznajomy pod jego drzwiami

się znalazł, ze strachu sięgnąłby pewnie po pikę, co to koło drzwi stała oparta, by napastnika przegonić. Tak dumał, stojąc z Kaktusem nieopodal kościoła Irransatila, przy swoim posterunku. Tak oficjalnie został nazwany stół, przy którym dzień wcześniej demon siedział z mapą, ostro coś po niej kreśląc. Szczerze powiedziawszy, Kapitanowi trochę spać nie dały te dwa stopy, co obok Irransatila stały, stąd tutaj przyszedł. Kaktusa natomiast fascynowały bazgroły pokojownika. Stojąc mu za ramieniem, co chwila wychwalała jego kreski, jakby jakieś dzieło na płótnie malował.

Tymczasem książę powstał! Obrzucił okolicę wzrokiem lwa, co ofiary wypatruje, i wbił swe ślipia w tę trójkę! Kaktus zadrżała zmrożona jego spojrzeniem. Zamaszystym krokiem, z piersią pełną nowej energii, odwagą w oczach i uśmiechem obiecującym, że tym razem będzie lepiej, ruszył w ich stronę.

Pełen optymizmu zatrzymał się przed Irransatilem, patrząc wymownie. Zajęty rysowaniem pokojownik zorientował się, że ktoś przed nim stoi, tylko po tym, że cień mu rysunek zasłaniał. Podniósł wzrok i natychmiast odsunął krzesło, stając na baczność, z całym dzwoniem i szczękiem zbroi, jaki temu towarzyszył.

- Jak leci? - zagaił książę.

- A... dobrze, mój panie.

- Co tam bazgrzesz?

- Cóż... takie...

- Hmm? - Książę rzucił okiem na stół. - A to niby co? Pokojownik westchnął, widząc, że nie uniknie wyjaśnień.

Zebrał się w sobie, by księciu swemu sytuację objaśnić.

- Otóż to, mój panie, plan zamku.

- Naszego?

- Szkic, prawdę mówiąc. Niezbyt dokładny.

- Nieźle... więc kazałeś go stworzyć, by obronę pod naszą nieobecność sprawnie zaplanować?

- No... tak... hmm... nie. Nie do końca. - Pokojownik unikał udzielenia jednoznacznej odpowiedzi.

- Nie do końca? Do czego innego może przydać się plan?

- Wolałbym nie zdradzać.

- To coś tak poważnego, że wolałbyś nie mówić? - Książę zbierał myśli.

- No...

- Czy aż tak głupiego? - odpowiedziała Selistis, stając nagle za plecami księcia.

- O by cię! - Książę odskoczył przerażony tym nagłym pojawieniem się znikąd. Nie pierwszym już w tej historii, ale nieodmiennie przerażającym.

- Tobie też dzień dobry - z uznaniem odwzajemniła powitanie. - To co z tym malunkiem?

- Cóż, chyba nie wypada już dłużej trzymać tego w sekrecie - mruknął pokojownik zrezygnowany. - Otóż oprócz mojego zawodu mam też inne zainteresowania.

- Zainteresowania? - Leoharl przestał panicznie wciągać i wypuszczać powietrze. Najpierw Irransatil tajemnicę tu tworzy, a teraz Pani w Czerni go straszy. Stwierdził, że to wszystko jest strasznie stresujące. - Jakież to zainteresowania?

- Ano... param się sztuką, panie. Dokładniej mówiąc, rzeźbą.

- Teraz to już całkiem się pogubiłem.

Pokojownik wyprostował się i zadumał, widząc, że musi wyłożyć sprawę jasno i ze wszystkimi szczegółami.

- Otóż, mój panie, przez te parę dni zdołałem zauważyć, że nigdzie na twym zamku nie ma nawet jednego znaku twego panowania. Nie ma nawet twojego posągu. O ile do tej pory niewiele w tej kwestii mogłem zrobić, o tyle oblężenie zamku dało mi większe pole do popisu.

Wzrok słuchaczy powędrował ku imponującej stercie kamieni do katapult leżącej koło stołu.

- Mając solidny budulec, postanowiłem, korzystając z chwili spokoju, oddać się swoim zainteresowaniom. Wybacz, mój panie, moją zuchwałość, ale uznałem, że godnie byłbym w stanie oddać

twój wizerunek. Rozkazałem zrobić plan zamku i od wczoraj dumam, gdzie najlepiej by pasowało twój postument postawić.

- Jak? Z kamieni? - Selistis wytrzymała głowę.

- Właśnie tak.

- Czy do tego nie trzeba jednolitej skały?

- Jest to problem, któremu zaradzę, stosując wstępną obróbkę kruszcu.

- Wstępna obróbka kawałków skały? Chcesz ją stopić i scalić w jedno, jak metal?

Zważ, panie, że skoro nawet Selistis się temu dziwowała, o zdziwieniu pozostałych wspominać nie trzeba.

- A... a... - Leoharl nie mógł wydusić z siebie słowa, dowiedziawszy się właśnie, że ten oto demon najwyraźniej dzień wcześniej znudził się był stojącą pod bramą armią i zabrał za sztukę. - To... to... hmm... całkiem miło z twojej strony. - Nie umiejąc wymyślić lepszej reakcji, zdecydował się na pochwałę.

Pokojownik wziął to za dobrą monetę i ukłonił się głęboko. Leoharl postanowił ukierunkować myśli kłębiące się w zmęczonej kaczce głowie ku mapie i wciąż zamyślony wskazał palcem punkt na wprost bramy. Przyjął wyniosłą pozę, jako człowiek, któremu pomniki stawiają, po czym odwrócił się i bez słowa odszedł.

Selistis została, dumając dalej. Trudno było ustalić, czy to problem z kruszcem nie mógł pomieścić jej się w głowie, sam pomysł stworzenia pomnika czy fakt, że ten pomysł został stworzony i był omawiany na przypominającym strategiczne spotkanie zgromadzeniu podczas oblężenia. Jakby nic ważniejszego - jak choćby kwestii zapasów jedzenia czy wciągania pospólstwa do armii dla obrony zamku - nie było w tamtej chwili do omówienia. Pokojownik zdawał się takimi kwestiami nie przejmować, przez co go tak wielki ból głowy, jak ten Pani w Czerni, nie dotknął. W końcu Selistis spuściła bezwładnie ręce i odeszła śladem księcia.

Irransatil trochę się zdziwił, ale uznał, że taka reakcja z jej

strony jest zupełnie na miejscu. Opuszczając go, Selistis zahaczyła o Kapitana, co podszedł wcześniej do drugiego ze stosów, badając go wzrokiem.

- Co robisz? - spytała, uznając, że każda inna sprawa, na jakiej mogłaby się skupić, będzie dla niej wybawieniem.

- Patrzę na broń, jaką włada nasz wróg.

Stał i patrzył na stos już od długiego czasu. Nawet obchodząc stos wkoło, nie sposób było zobaczyć wszystkich rodzajów leżących na nim broni. Może warto było coś z tym zrobić? Doprawdy, gromadzenie broni w jeden stos było zupełnie niepraktyczne.

Sięgnął w głąb, rzucając na bok kilka pik i mieczy. Jego dłoń drgnęła, gdy zobaczył, co odsłonił przed nim stos. Spojrzał na to „coś” i na trzymaną w dłoni pikę, z którą jako Kapitan straży zamkowej nigdy się nie rozstawał. Cóż, po prawdzie czasem ją gdzieś zawieruszył. Raz na przykład, gdy zostawił ją przed karczmą, jakiś strażnik, wychodząc, wziął ją za swoją. Nie baczył na to, że jedną rękę taką piką miał już zajęta. Do historii zamku przeszedł jako pierwszy woj, co dwiema pikami walczył.

- Pani, myślisz, że księżę będzie miał coś przeciwko, jeśli zmienię swoją służbową broń?

- Bierz to, z czym ci wygodniej. - Selistis wzruszyła ramionami. - W końcu od ciebie zależy życie samego księcia. Musisz być dobrze zaopatrzony.

Podrapała się po głowie. Koniec. Starczy dziwactw jak na przedpołudnie. Szczerze mówiąc, na ruganie podwładnych, na której to czynności miło spędziła poranek, też nie miała już ochoty. Dochodząc zatem do wniosku, że dzień wolny najlepiej spędzić, leżąc rozwaloną na łóżku, odwróciła się na pięcie i powolnym krokiem udała się na zamek.

- A-ha-ha! Wiem, co zrobię! - cichym chichotem znikąd oznajmiła Kaktus.

- Z jaką sprawą? - niepewnie spytał Kapitan, nie wiedząc, czy chce znać odpowiedź.

- Z dniem wolnym! - oznajmiła radośnie. - Piknik! - Klasnęła w dłonie.

Z tym planem w głowie Kaktus radośnie ruszyła za Panią w Czerni, zatrzymując ją, by go jej wyłożyć. Kapitan nieco się zafrasował. Wszyscy tak jakoś od rana targani różnymi myślami przychodzą, a później gdzieś znowu się rozbiegają. Nie sposób ogarnąć, co wszyscy robią. Skupił się zatem na swojej tylko sprawie.

Raz jeszcze spojrzął na stos w zamyśleniu. Nie nad piknikiem oczywiście się głowił. Choć ten pomysł brzmiał całkiem przyjemnie... Potrząsnął głową. Nie mógł sobie pozwolić, by przypadkowe uwagi Kaktusa rozproszyły go na więcej niż dwie chwile. Przecież w ważnej sprawie ślęczał nad stosem. Jak dla Pani w Czerni wzięcie broni ze stosu było całkiem proste, tak dla niego było trochę trudniejsze. Uważał, że zabierając coś ze stosu, uszczupli zasób broni dostępnych obrońcom zamku. Rozwagał też, jaka będzie reakcja księcia na nieautoryzowane podjęcie broni z magazynu. Prawdę mówiąc, te myśli zaprzętnęły jego umysł tylko na chwilę, z szacunku do swej dawnej pracy za czasów króla Henryka. W owych czasach każda sztuka broni była czasem na wagę złota. Jego nowy zwierzchnik nie zauważyłby dziury w murach, nie mówiąc już o brakującej broni. Ważniejsza jednak była inna sprawa: broń, którą chciał wyciągnąć ze stosu, miała dla Kapitana wydźwięk sentymentalny. Symbolizowała bowiem jego przeszłość.

Wyciągnął w końcu najwyższej klasy drzewiec, jakim w jego mniemaniu może władać żołnierz. Majestatycznie odrzucił pikę na wierzch stosu. Badał nowy oręż, zważył w dłoni, i machnął nim w powietrzu. Chwył poprawił, zrobił jeden wymach i drugi, ze świstem tnąc powietrze.

Od ciężaru broni strzyknęły mu w plecach kości. Ślad przeszłości z nostalgią powrócił do ręki i zamglonych oczu. Dłoń drżała, pozbawiona młodszej siły, ale wciąż sprawnie tym

orężem władała. Wyczyn, którego niejeden młodszy wojownik mógłby mu pozazdrościć. Przyjrzał się szerokiemu, jednosiecz-nemu, zagiętemu nieco w łuk ostrzu. Mocno się za nim stęsknił.

- Glewia? No proszę, tego się nie spodziewałem. - Poko-jownik, który jako jedyny został przy swoim posterunku, skinął głową z uznaniem, patrząc na nieprzesadnie imponujący, ale nieoczekiwany popis Kapitana.

- Mam do tej broni sentyment. - Kapitan stanął z drzewcem przy boku, jak zwykł robić to z piką.

- Czuję, że pod tym szyszakiem kryje się głowa nie samym alkoholem wypełniona - Irransatil uśmiechnął się.

Kapitan odwzajemnił uśmiech, spoglądając na glewię. Była to prosta, bardzo prosta broń o niewyszukanym ostrzu. Brakowało mu tego. Ta, którą trzymał, była świetnie utrzymana. W miejscu, gdzie ostrze łączyło się z drzewcem, rozpoznał mały wyryty w stali symbol. Jakby podpis zbrojmistrza lub jej właściciela. Ktokolwiek ją podpisał, traktował ją osobiście. Nie była niczym specjalnym, a jednak taka właśnie broń towarzyszyła Kapitanowi przez większość życia. Tylko jedną taką zauważył w całym stosie broni. Jej wygląd kazał mu się zastanowić, do kogo mogła należeć.

Znał tę broń doskonale i wiedział, do czego była zdolna. Pikę też znał dobrze, w końcu każdy w piechocie zaczyna z nią jako z podstawowym zaopatrzeniem, ale z glewią zżył się znacznie mocniej. To z nią w dłoni stawał w obronie króla, a później i jego najstarszego syna.

- Wiem, jak przerażający potrafi być to oręż - Irransatil zadumał się. - Bodajbym nigdy nie musiał przeciw niemu stanąć - rzucił całkiem poważnie.

Kapitan ukłonił mu się i odszedł. Zastanawiał się po drodze, czy ta wypowiedź demona kwalifikuje się jako zapowiedź mającej się zdarzyć bitwy, czy to tylko z dobrego serca złożony gest szacunku. Irransatil pozostał natomiast przed stosem, drapiąc się zagadkowo po głowie. Czyżby - o zgrozo! - zastanawiał się, czy

nie wypadaloby wreszcie tego stosu posortowac ? Na litość, niech chociaż powyciąga łuki! Są bezużyteczne bez strzał, których nie pomyślał zabrać, rozbijając wojsko. No, nie tyle nie pomyślał, ile nie brał pod uwagę zabierania strzał. W końcu, by rozbiorć łuczніка, wystarczy zabrać mu łuk, tak jak kamienie wystarczą, by rozbiorć katapulty. Brał, co pierwsze wpadło mu w ręce. Strzały tylko zbędnie by go obciążały.

W istocie wypadaloby coś ze stosem zrobić. Irransatil uznał w końcu, że zleci komuś zajęcie się nim. Ale później. Teraz miał ważniejsze sprawy na głowie. Miejsce na pomnik ustalone, trzeba brać się poważnie do roboty.

* * *

Leoharl się modlił.

No dobrze, lekką przesadą było wyciągać tak pochopne wnioski tylko po tym, że siedział w kościele i wymownie opierał łokcie o postument, splatając dłonie i chowając głowę w ramionach. Pewnie wciąż bolała, stąd przyszedł tu chwilę odpocząć, ale Irransatil miał prawo pomyśleć inaczej.

Zdumiał się, dostrzegłszy księcia w swoim kościele. Chwilę wcześniej zdjął ze stołu pergamin i miał go właśnie złożyć w zakrystii wraz z innymi planami. Za nic nie spodziewał się zastać tu księcia. Kapitana czy Kaktusa może, ale nie księcia.

Serce mu na ten widok urosło, bo oto kościół jego, który całe wieki pusty stoi, miał swojego pierwszego od długiego czasu gościa. Wprawdzie tylko jednego, ale za to jakże ważnego! Dumny z tego osiągnięcia Irransatil wkroczył w progi kościoła. Nie omieszkał przy tym zrobić odpowiedniego hałasu swą wykwinną, ale jakże irytującą zbroją.

- Do jasnej... czort wziął spokój i ciszę!

- Prze-przepraszam?... - Pokojownik otworzył usta. Nie oczekiwał, że pierwszy od lat gość tego kościoła zamiast się modlić będzie rzucał przekleństwami.

- Nie przepraszaaj, tylko chodź trochę ciszej - wymamrotał książę.
Irransatil zawahał się, zawieszając nogę w półkroku... Postawił ją na posadzce... Klank.

...Ostrożnie podniósł drugą nogę...

Klank.

Klank.

...i zrobił krok naprzód.

Klank.

Klank.

KLANK!

- Dlaczego ja?! - lamentował książę.

Gotów był powstać, by się całkiem stąd wynieść, gdy nagle poczuł na ramieniu zimną dłoń. Irransatil, w bliżej nieznany sposób, znalazł się tuż przy nim. Patrzył na niego ciepłym spojrzeniem, wyraźnie nalegając, by książę został w kościele jeszcze chwilę.

- Będę cicho, obiecuję.

Choć trudno w to uwierzyć, gdy szedł dalej, by pergamin odłożyć, w istocie nie wydał nawet jednego dźwięku. Książę westchnął przeciągle. Zdawało się, że to westchnienie odbiło się od ścian echem. Było nawet głośniejsze niż bezszelestnie otwierane i zamykane przez Irransatila drzwi zakrystii.

- Coś cię trapi, mój panie ? - powróciwszy, spytał go pokojownik. - Może będę w stanie pomóc?

- Wiele rzeczy - przyznał książę. - Jedną z nich jest zakład.

- Pieniądze na zakładach przegrałeś w karczmie ?

- Zakład z Selistis - pospiesznie wyjaśnił książę.

- O, nie! Odważyłeś się, panie, założyć z Panią w Czerni?!

- A bo wiedziałem, na co się piszę? - z żalem zapytał książę. Zapadła wymowna cisza. Irransatil był już w sprawach zakładów z Selistis obyty. Dreszcz przeszedł mu po plecach, gdy

przypomniawszy sobie parę tych straszniejszych. Zamknął oczy w nadziei, że wyobraźnia przestanie podsuwać mu te myśli.

- Powiedz, panie, czym musisz zapłacić za przegraną? - spytał ze współczuciem Irransatil.

- Czym? No, muszę spełnić dziesięć prośb moich podwładnych.

- Tylko tyle?! - nie dowierzał.

- No, tak.

- Mój panie, powiedziałbym, że wyszedłeś z tego zakładu bez szwanku!

Leoharl sposepniał. Od początku miał świadomość, że mogło być gorzej, a teraz nawet demon to potwierdzał. To wcale nie poprawiało jego sytuacji - podnosiło go jednak trochę na duchu.

- Wobec tego, mój panie, pozwól, że...

- Ani mi się waż! - w porę wykrzyknął książę.

- Ale...

- Ani słowa! Już ja wiem, do jakich prośb zdolne są demony! Nawet nie waż mi się o nic prosić, jasne?!

Książę powstrzymał pokojownika w ostatniej, zdawać by się mogło, chwili. Prośby, do jakich ów osobnik był zdolny, nie mieściły się księciu w głowie. Przerażony, gotów był zmusić demona do złożenia przysięgi, że takowej prośby nigdy nie wypowie.

- Ależ, mój panie, o nic nie zamierzałem cię prosić - uprzejmie oznajmił Irransatil. - Mam wszystko, czego mógłbym chcieć: mój kościół, może nie tak potężny jak dawniej, ale wciąż wspaniały, moją lśniąca zbroję, która dumnie błyszczy na mej piersi, oraz herb mego zakonu Błękitnej Wstęgi, który z dumą noszę i który chwały mi przysparza. Nic więcej mi nie potrzeba.

- Ach - książę uspokoił się nieco - no to ci zazdroszczę takiego szczęścia.

- Pragnąłem natomiast zaoferować ci pomoc.

- Pomoc w wypełnianiu prośb?

- Istotnie. Otóż, jak wiesz, mój panie, kościół jest miejscem, które wiele strapionych dusz odwiedza, by wyznać w nim swoje troski.

- No popatrz...

- Więc jak tylko takową troskę usłyszę i uznam, że w spełnieniu jest prosta, dam ci znać, panie, a ty owego osobnika odnajdziesz i na prośbę go naprowadzisz. Wiedząc, czego pragnie, łatwiej ci będzie do niego przemówić, nie uważasz?

- Sprytne. Całkiem sprytne.

- Dziękuję, mój panie.

- Tylko jedna sprawa nie daje mi spokoju. Czy jak księdzu się człowiek spowiada, nie obowiązuje czasem tajemnica służbowa?

Irransatil zbladł. Nie do końca dlatego, że go ksiązę za księdza uznawał, ale za to, że miał całkowitą rację.

- Czy to nie oznacza, że gotowy jesteś tajemnice, co rzeczą są świętą, zdradzać? - dopytywał dalej Leoharl.

Pokojownik był już blady jak ściana.

- Jesteś w tym nowy, nie? - zauważył ksiązę.

- Wiem! - Irransatil wpadł na nowy pomysł. - Bez obaw, mój panie. Twoje tajemnice, podobnie jak sekrety wszystkich innych gości tego kościoła, pozostaną bezpieczne. Wszakże te oto cztery ściany są pod moim panowaniem. - Rozłożył ręce, prezentując spowite kolorowym światłem witraży wnętrze niezbyt dużego, ale wciąż imponującego kościoła. - Każdy szept i najmniejszy dźwięk są mi tu uległe. Cokolwiek powiesz, nie usłyszysz tego nikt, jeśli ja nie zechcę.

To by wyjaśniało, czemu Leoharl nie słyszał przy każdym ruchu pokojownika metalicznego stukotu. Trzeba przyznać, że ta właściwość jego kościoła była bardzo użyteczna. Ksiązę pomyślał, że odtąd Irransatil powinien podczas obecności księcia na zamku mieć zakaz opuszczania kościoła, co by stukot tej zbroi już nigdy więcej nie męczył niczyich uszu.

- Zatem, mój panie, tak to będzie wyglądać - kontynuował

swój plan Irransatil. - Gdy usłyszę takową troskę, zapamiętam ją, i gdy przyjdę, by ci ją przekazać... podpowiem. Zasugeruję, o co chodzi, i wskażę palcem jakieś miejsce. Co ty na to, mój panie?

- Hmm... czemu nie. Lepsza taka pomoc niż żadna.

- Istotnie. Zatem tak zrobię. Bez obaw, w krótkim czasie spłacisz dług Pani w Czerni.

Na wspomnienie tego „krótkiego czasu” księciu przestawiły się trybiki w głowie. Spojrzał wymownie na swego rozmówcę. Nie był jeszcze w pełni gotów, by spytać, ale zbierał się do tego powoli, ustawiając brwi w odpowiedniej do zadania pytania pozycji. Nabrał w końcu powietrza w płuca i zaczął łagodnie:

- Irransatil? Powiedz no, proszę, kiedy ostatnio kto twój kościół odwiedził?

Irransatil zbladł. Ponownie. Coś te ciągłe pytania księcia nie służyły mu zbyt na cerę. Zająknął się, zawahał, ale wnet pośpiesznie udzielił odpowiedzi:

- Ostatni gość wciąż jest w kościele, mój panie.

- Słusznie, słusznie. Wymądrzaj się dalej - skomentował książę. - A przede mną?

- No...

Irransatil przełknął ślinę i w zupełnie nie pasującym do jego postawy tonie odwrócił się od swego rozmówcy i wzruszył ramionami. Pośpiesznie zrobił kilka kroków przed siebie i splótł ręce za plecami. Z powagą skupił wzrok na ołtarzu.

Chyba go Leoharl uraził.

Tak czy owak, to zakończyło dyskusję. Książę wstał z ławy, skłonił się w stronę ołtarza i stojącego przed nim Irransatila, dziękując mu w duchu za dobre chęci. Zebrał się do wyjścia.

Trafił przy tym na stojącą w progu kościoła Selistis. Zbladł, przerażony, że mogła podsłuchiwać.

- Długo tu stoisz? - spytał, nie tracąc fasonu.

- Trochę.

- Słyszałaś?

- Co? Waszą rozmowę? Ni słowa. Pewnie ci nie mówił, ale Irransatil ma dziwną polisę dotyczącą prywatności rozmów prowadzonych w jego kościele.

- Coś niecoś mi o tym wiadomo - przyznał Leoharl.

- Nigdy go nie rozumiałam, ale nie mam w zwyczaju wchodzić z butami na cudzą posiadłość. Jeśli o mnie gadaliście, to prędzej czy później i tak się wyda. - Uśmiechnęła się ostrzegawczo.

Książę przytaknął i wyszedł, machając Pani w Czerni na pożegnanie. Z tak samo zatroskaną miną, z jaką przyszedł do kościoła, również go opuścił. Selistis nie zdołała odgadnąć, co mogło go trapić. Pewnie zaraz się dowie. Wprawnym krokiem ruszyła do Irransatila.

- Jak leci ?

- Całkiem dobrze. - Irransatil trwał w zamyśleniu.

- Oho! Uznałeś w końcu, że głupio tak zawsze się odwracać, gdy ktoś coś do ciebie powie? - Selistis usiadła na jednej z podpórek przy ławie, pytając drwiącym tonem.

Irransatil obrzucił ją krótkim spojrzeniem.

- Jestem w domu, a ty jesteś moim gościem. Nie jestem ci winny tego samego szacunku co prawej ręce mego władcy, jaki winien ci jestem na służbie - odparł bez zastanowienia.

Selistis prychnęła. Znała go dość dobrze i wiedziała, że usłużna i przychylna część jego charakteru to zaledwie połowa.

- W porządku, w porządku. Przepraszam, że się wpraszam! -Pani w Czerni nos na kwintę zwiesiła, udając obrażoną. - Więc pewnie nie powiesz mi, o czym rozmawialiście ?

- O tobie - odpowiedział wprost.

- O... o... hmm... - Selistis nie potrafiła odpowiednio zareagować.

- Książę ma z tobą problem - doprecyzował Irransatil. Selistis spoważniała trochę w reakcji na niewzruszoną postawę pokojownika. Jego głos brzmiał co najmniej tak, jakby zaraz miał komuś łomot spuścić. Innymi słowy, Selistis spodziewała się draki.

Irransatil nie zamierzał wyprowadzać jej z błędu. Obrócił się w mgnieniu oka i zrobił dwa szybkie kroki w jej stronę. Ugięła się trochę, jedno oko przymknęła, jakby zaraz miał ku niej polecieć lewy sierpowy. Gdy oko już otworzyła, cios nadal nie nadchodził. Irransatil stał, patrząc na nią wymownie.

- Mogłabyś coś zrobić z tym waszym zakładem - oznajmił w końcu.
- Och... Ha, ha, ha... - Pani w Czerni odetchnęła, rozluźniając mięśnie.
- To o to chodzi? Sam jest sobie winien!
- Jest tylko człowiekiem. Daj mu spokój - skarcił ją pokojownik. - Od rana... - Irransatil ugryzł się w język. W końcu to miał być sekret.
- A więc za tym łaził od rana? - podłapała Selistis.
- Mogłabyś potraktować go trochę łagodniej - podsumował Irransatil.
- O, nie. Dostanie to, na co zasłużył.

Irransatil westchnął, spodziewając się takiego rezultatu mediacji.

- Dzięki za informację. Mam parę pomysłów, co z nią zrobić. - Na twarz Pani w Czerni wstąpił złowieszczy uśmiešek. Taki, którego nie powstydziliby się żaden rasowy czarny charakter.

- Nic nie powiedziałem. Wskazałem palcem i zasugerowałem, o co może chodzić - usprawiedliwiał się pokojownik. - W końcu... lepsza taka pomoc niż żadna.

- Pomoc?
- No, chciałem mu trochę pomóc.
- Spaprałeś sprawę - przyznała Selistis.
- Ech... - Irransatil wzruszył ramionami - przynajmniej szybciej będzie miał problem z głowy. - Postanowił wymówką złagodzić swoje wyrzuty sumienia.

Pani w Czerni energicznie zeskoczyła ze swego siedzenia. Zacierając ręce, z uśmiechem na twarzy ruszyła zrealizować nowo powstałe w jej głowie plany.

- Tylko z umiarem - rzucił jej na odchodne Irransatil.

- Umiar? Nie znam takiego słowa! - rzuciła za plecy Selistis. Irransatil odwrócił się i wrócił przed ołtarz, kontemplując, jak to sekrety, których tak pilnie jego kościół swą ciszą pilnował, jego kustoszowi się wymykają. Nigdy nie był dobry w trzymaniu gęby na kłódkę. To umiejętność, którą koniecznie musi podszlifować. Zaraz po opanowaniu wyższych technik zaprowadzania pokoju, które teraz tak bardzo by mu się przydały. Wątpił, że konflikt Selistis i Leoharla dałoby się zażegnać jednym tylko pacnięciem.

- Aha! - Selistis obróciła się jeszcze na progu kościoła. Przypomniała sobie, po co w ogóle tu przyszła. - Kaktus zaprasza na piknik. Jutro na zamku wczesnym popołudniem.

- Nie dziś? - Irransatil posłał jej zdziwione spojrzenie. - Zdawała się strasznie tym pomysłem uradowana.

- Miał być dziś, ale zamierzam uświadomić jej, ile jest roboty z przygotowaniem pikniku.

Selistis opuściła Irransatila w radosnych podskokach. Czekają ją dzisiaj jeszcze sporo roboty.

* * *

- Ciastka! - zauważyła Kaktus.

- A może wysoki na dwóch chłopów tort czekoladowy? - rozwinęła ten pomysł Selistis.

- Nie, nie. Ciastka wystarczą.

- No i koc, na którym można by spocząć - dodał Kapitan.

- Może taki jedwabny, ze złoceniami? - entuzjastycznie proponowała Selistis.

- Nie, nie. Taki zwykły, wełniany, wystarczy. - Katia zanotowała na swojej liście kolejną pozycję.

Selistis opadła na krzesło. Nikt nie chciał jej słuchać.

- Coś do picia. Sok może? - zasugerowała Kaktus.

- O, tak! Sok z jagód! - Selistis rozpromieniła się.

- O tej porze roku trudno o jagody.

- Ba!

- Nie, nie. Z malin wystarczy.

Selistis była wyraźnie niezadowolona. Ta lista zakupów była zdecydowanie zbyt zwykła jak na jej oczekiwania. Po raz pierwszy, odkąd blondyna zaczęła za nią łązić, jej rozsądek okazał się wręcz denerwujący.

- Wiecie co, u was natchnienia nie znajdę - przyznała Pani w Czerni.

- Natchnienia? - Kapitan nie nadążał za jej myślami.

- Nieważne. Sama coś wymyślę.

- Ale...

- Bez obaw - przerwała Katii, która chciała wyrazić sprzeciw. - Piknik jest twój, nie zamierzam się wtrącać. Myślę o czymś zupełnie innym.

Przyjęła pozę, jakby sztukę zamierzała kontemplować. To zresztą było nawet luźno związane z brakiem natchnienia i jego poszukiwaniem, więc można by w gruncie rzeczy pokusić się o stwierdzenie, że o sztuce właśnie rozmyślała. Ale nie, sztuka nie była w jej stylu. Jeśli wkłada w coś wysiłek, z pewnością musiał to być jakiś pomysł złowieszczy.

- Dobra! Myślcie dalej, ja idę - oznajmiła i wyszła z komnaty zamkowej, w której Kaktus, siedząc przy stole, spisywała niezbędne na piknik rzeczy.

Komnat takowych na zamku było wiele. Selistis wcale sobie ich nie żałowała, wyciągając zamek z ziemi. Kaktus natomiast wychodziła z założenia, że skoro są, to głupio byłoby je marnować. Każde spotkanie więc, czy to na śniadanie, czy obiad, czy -jak teraz - zwołane, by spisać to czy owo, odbywało się w innej komnacie. Nie rozważała, co zrobi, jak komnaty się skończą. Jak zostanie ich z dziesięć, to rozważy.

- Cukier. Do soku. - Kapitan, który przyglądał się jej z uwagą i od czasu do czasu coś podpowiadał, dołożył do listy jeszcze jeden przedmiot.

- To już mam. Zaopatrzyłam się jakiś czas temu - rzuciła z uśmiechem Katia. - Już raz żałowałam, że nie miałam go pod ręką - dodała z nutką smutku w głosie.

Kapitan przyglądał się jej, jak tak bazgra z uśmiechem na kawałku zwoju. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że przybita nieco mina, którą widział u niej po rozmowie z lordem Apartaczem, wciąż gdzieś się pod tym jej uśmiechem skrywa. Nie to, żeby Kaktus była bardziej przybita czy mniej energiczna niż zwykle... ot tak czuł, że coś chowa gdzieś w głębi serca. Coś, co być może nosi tam od zawsze. Od pierwszego jej spotkania z księciem. Tym niemniej piknik, jak mniemał, powinien pomóc jej o smutkach zapomnieć, więc z radością zgodził się jej pomóc.

- Pani miała rację, że trochę z organizacją tego wszystkiego zejdzie - przyznał.

- Aha. Całe szczęście, że nas przestrzegła, bo wszystkim bym rozgłosiła, że piknik dzisiaj, a nic niegotowe. Fajnie, że Sel zawsze o wszystkim pomyśli.

Kapitan przytaknął z uznaniem. Kto jak kto, ale Selistis miała głowę na karku. Wprawdzie nie wiedział, skąd przyszły jej do głowy te pomysły o jagodach i jedwabnym kocu, ale to mało ważne. Może chciała po prostu wprowadzić drobne urozmaicenie?

- Irransatil już zaproszony... Wiem! Zaprosimy jeszcze karczmarza! - ochoczo zaproponowała Katia.

- Myślę, że karczmarz wolałby nas jak najrzadziej oglądać.

- Ach, racja. - Jej entuzjazm trochę opadł w zderzeniu z rzeczywistością. - Zbyt wielu to nas na tym pikniku nie będzie, co ?

Teraz smutek w jej głosie był już wręcz namacalny. Kapitan z uśmiechem podszedł do niej i położył rękę na jej ramieniu.

- Będą najbliżsi przyjaciele. To wystarczy, by się dobrze bawić.

- Wystarczy, mhm - przytaknęła Katia, rozpromieniając się nieco. Jej mina zmieniała się z uśmiechniętej w smutną i z powrotem pięć razy w czasie jednej rozmowy. - Dodam jeszcze do listy bochenek świeżego chleba.

- No, najświeższy to on nie będzie - zauważył Kapitan. -Zapas mąki powoli się kończy, a tutejszym chłopom nawet pola zaorać się nie chce. Chleb na zamku jest tymczasem towarem importowym. Nie jest przez to najwyższej świeżości.

- Ciastka wystarczą - uznała w końcu Katia, kończąc listę wielką kropką. - Lecę. Zobaczę, co da się zorganizować.

Kapitan odprowadził ją wzrokiem. Zniknęła za drzwiami komnaty. Cieszyło go patrzeć, jak gotowa jest dla jednego pikniku po całym zamku skakać. Tej energii z oczywistych powodów brakowało jego poprzednim kompanom, co w pewnej nieistniejącej już karczmie się spotykali. Ich entuzjazm, zwłaszcza o poranku, nie bywał najwyższy. Część proponowała nawet, by poranki z listy pór dnia zupełnie wykreślić, coby nie przeszkadzały cieszyć się wieczorami.

Westchnął na wspomnienie tych starych dziejów. Rozważał w myślach, czy karczmarz nie zechciałby się jednak do pikniku przyłączyć. Warto było spytać. To przecież nic nie kosztuje. Wstał, czując, że entuzjazm Katii trochę mu się udzielił. Uśmiechnął się i miarowym krokiem ruszył w stronę karczmy. Obiecał sobie w duchu, że omawiając ową kwestię z jej właścicielem, nie pozwoli sobie na więcej niż jedno piwo. No, może dwa - nie więcej. W końcu jest na służbie.

* * *

Książę siedział w karczmie, popijając... wodę. O, tak. Gorzej już być nie mogło.

Czując tę podłą atmosferę, połowa patronów uciekła z baru, nie chcąc się księciu na oczy pokazywać. Reszta, tradycyjnie, sama wyjść nie mogła.

- Ech... - westchnął książę nad szklanką wody. - Co jak co, ale są rzeczy, które nigdy się nie zmieniają.

Prawdę mówiąc, nie przyszedł tu, by się napić. Pomyślał, że pogada sobie z karczmarzem i wyżali się, ale ten plan też porzucił,

gdy przypomniał sobie, że karczmarz i tak gęby do niego nie otworzy. Wzdychał więc nad kubelkiem z wodą.

Tymczasem Katia właśnie skończyła jakąś rozmowę i wyszła z karczmy. Gadała tu chwilę z jakimś podróżnym na tematy, które były księciu zupełnie obce. Z jakimś Jackiem. Gadali o jakichś podróżach czy coś. Wydawało się, że znali się od dawna. Katia poprosiła go, by zorganizował dla niej spotkanie z jakimś biurokratą. Zupełnie mało ważne sprawy. Z drugiej strony ciekawe, jak wielu znajomych zapewniła Katii jej praca?

Dumając nad tym, Książę nie omieszkał zauważyć, że jego „praca” przysporzyła mu znajomości z demonami i istotą, co to sama wiedźmą się nazywa. No, oczywiście, z nimi i z jednym całkiem porządnym gwardzistą. Tak, mój panie, jestem pewien, że o tym jednym gwardziście książę właśnie w tej chwili sobie przypomniał. Tymczasem do baru ktoś wejść się odważył. Niepewnie rzucił wzrokiem wokoło i usiadł bez słowa w stosownej odległości od księcia. Książę nawet nie raczył na niego spojrzeć.

A ten na księcia się gapił.

Książę westchnął i dopił swój napój, myśląc, czyby nie zamówić dolewki. Podrapał się po głowie, koronę przekrzywił, bo się była niechcący wyprostowała, i sapnął.

A ten dalej się gapił.

Myślał książę, coby - skoro ma dzień wolny - coś sensownego z nim zrobić. Może trening jakiś przeprowadzić, by wprawdy we władaniu mieczem nie stracić, ale nie miał na to zbyt ochoty.

Wciąż się gapił.

Scena była tak do bólu ustawiona, że już nawet książę nie mógł tego wytrzymać. Wyjrzał więc zza ramienia na gapiącego się na niego chłopca i spytał:

- Mogę ci w czymś pomóc?

- No...

Chłop trochę się wahał. Widać, że nie był pewien, czy naprawdę

wypada się odezwać. Po namyśle jednak doszedł do wniosku, że szlag go przez to nie trafi, i spojrzał księciu w oczy:

- Nie zaorałbyś pola?

- He?!

To pytanie tak zbiło księcia z tropu, że zamarł z wykrzywioną gębą i rozbieganymi oczami.

- No, pola czybyś sobie nie chciał zaorać?

- Przecież przed latem się pola nie orze.

- Jak się zimą nie dało, to trzeba teraz - sprostował chłop.

- Wykluczone!

- A jak ładnie poproszę?

Leoharl drgnął. Podstęp wisiał w powietrzu i już gotów był gromy z nieba wzywać, by w pewien całkiem mu znany kościół uderzyły. W mig pojął, skąd tu przyszedł ten koleś. Musiał jakoś zażegnać siedzące obok niego zagrożenie.

- Dziękuję, ale nie mam ochoty. - Leoharl odparł nad wyraz spokojnie.

- Ładnie proszę.

- Nic nie słyszałem! Znikaj mi z oczu!

Chłop powstał, całkiem niezadowolony. Czuł się wręcz oszukany, bo obiecano mu, że znajdzie się frajer, co mu pole zaorze, a tu klops. Sam musi się za to wziąć. Sfrustrowany byłby wyszedł już i wziął się za robotę, gdyby go księżę za rękaw nie złapał.

- Żartowałeś z tym polem, nie ? - spytał, wlepiając w niego swe zmęczone ślipy.

- Gdzież bym śmiał. Samo się nie zaorze.

- By cię szlag! - Księżę spuścił głowę.

Trzymająca chłopca dłoń zadrżała, gotowa szarpnąć, rwąc mu odzież. Właściwie gotowa była zrobić znacznie więcej, z wybijaniem zębów włącznie, ale od rwania ubrań musiałoby się zacząć. Księżę nie poddał się jednak tym jakże przyziemnym emocjom. Powstał, poprawił kołnierz swojej koszuli i z największą godnością, na jaką zebrać się zdołał, odparł:

- Prowadź do tego pola.
- Jak już przy tym jesteśmy, mógłbyś mnie tam zanieść.
- JAK TAK TEGO PRAGNIESZ, MOGĘ CIĘ TAM DOKO-
PAĆ!!! - Książę wydarł się wniebogłosy.

Karczmą zadrżało i chłop jak z procy wystrzelił, biegnąc, ile sił w nogach, ku temu nieszczęsnemu polu. Ze strachu prawie buty zgubił, przed tym wielkim gniewem swego władcy uciekając.

Prawdę mówiąc, pewnie nawet nie wiedział, że z władcą zamku rozmawiał. W końcu ta korona na głowie nikomu prawdziwą się nie zdawała. Ozdoba jakaś czy coś w tym stylu. Mówili mu z rana, że jakiś wariat w koronie po domach chodzi i nagabuje niczego niespodziewających się chłopów. Niebezpieczny podobno. O tak, po tym występie chłop już wiedział z pewnością, że o tego samego kolesia chodziło. Był głupi, że dał się namówić pewnej pani, by go o to pole zapytać.

Ale samo się nie zaorze.

Tak chłop zaprzągnął księcia do roboty. A to, jak można się było domyślić, był dopiero początek. Ten dzień był dla księcia pełen nowych niesamowitych atrakcji, których długo nie mógł zapomnieć. Doprawdy, powinien się cieszyć. Rzadko kto ma możliwość swych talentów spróbować w pięciu zgoła odmiennych zawodach. Doświadczenie, które w przyszłości może okazać się bardzo cenne. Na przykład, gdy już postanowi pozbyć się tej, och, tak, w tej chwili ciężkiej, korony.

* * *

Dzień minął i do następnego popołudnia nie wydarzyło się nic zbyt wartego uwagi. Nadejście owego popołudnia zaś oznaczało czas pikniku. Chyba się nie obrazisz, panie, jeśli resztę opisu owych dwóch dni pomnę, na samym pikniku się skupiając. A zaczął się on od konsternacji. Konsternacji na wzniesieniu przed zamkiem.

Posępne spojrzenia przelatowały nad koszem z kanapkami. Od wczoraj, od chwili, gdy padł pomysł tego pikniku, do realizacji -

wystarczyła doba. Biorąc pod uwagę, ile rzeczy należało przygotować, był to nie lada sukces. Kaktus była z tego sukcesu wielce zadowolona.

Lekki wiatr zagiął rogi koca. Dodam na wstępie, że koc był nowy, dopiero co utkany ze świeżo przeczesanych włókien, z runa ledwo co ostrzyżonych owiec. Wysokiej klasy robota, pozwolę sobie nadmienić. Książę wiedział o tym najlepiej. W końcu i wełnę sam ściał, i włókna w przędzę naczesał, i przy wyrobie koca pomagał. Nie jednego, a pięciu, pozwolę sobie zaznaczyć. Starsza pani, co go o te koce poprosiła, bo zimno jej po plecach ciągnęło, tak wielce była mu za nie wdzięczna, że mu jeden odstąpiła. Cztery starczyły jej z nadwyżką. Właściwie jeden by wystarczył, ale ktoś tak jej podpowiedział, by parę więcej na zapas u księcia zamówiła. Jeden mogła odstąpić.

Doprawdy, przemiała starsza pani. Kaktus żałowała, że nie mogła owej pani przekonać, by zechciała dotrzymać im na pikniku towarzystwa. A propos towarzystwa. Towarzystwo było tak wysokiej klasy, że nikt nie odważył się drugiej osobie więcej niż trzech słów powiedzieć w obawie, że tę klasę urazi. Stojąc z boku, tak właśnie można było przypuszczać. Wprawdzie powód tej ciszy był oczywisty, ale niewielu go znało. Kaktus, na przykład, zdawała się wcale tej wymownej ciszy nie zauważać.

- Życzysz sobie ciasteczko ? - spytała ochoczo.
- Ależ dziękuję bardzo - podziękował za ciacho Irransatil.
- Lepiej żeby smakowało - skomentował książę.
- Sam je zrobił - szepnęła do ucha Kapitanowi Selistis. Karczmarz, który na piknik również był zaproszony, niewiele się ową dyskusją przejmował. Siedział, popijając swój sok. Nie pomógł zatem przełamać ciszy, której ta krótka wymiana zdań zagłuszyć nie zdołała.

Nie ujmując nic ciastkom, które w istocie były pyszne, nawet one nie wystarczały, by poprawić nastrój jedyne go siejącego mroczną atmosferę towarzysza. Swoją drogą pieczenie ciastek,

jak się okazuje, wcale nie jest trudne. Wystarczy pracowicie podążać za instrukcją i sprawnie ugniatać ciasto. Czasem trzeba też popilnować pieca, doglądać, czy któreś ciacho się nie podpieka, biegać za mąką, odmierzać składniki, wyjąć spaloną porcję ciastek, o których już dawno się zapomniało... Ot, całkiem przyjemna robota.

Książę z uwagą przyglądał się ciastku, oceniając, czy aby nie pochodzi z jego pierwszych partii. O smaku tamtych wolałby się nie wypowiadać. Wiele ich spalił, zanim upiekł pierwsze, które dało się przełknąć.

Ponury nastrój pikniku nie ustępował, a blask odbijającego się w zbroi Irransatila słońca wcale w jego poprawie nie pomagał.

- Bijesz po oczach - zauważył książę, zasłaniając się ręką.
- Ładnie lśni, nie? - popisывał się Irransatil.
- Jak świeżo wypolerowana! - przyznała Kaktus.
- W rzeczy samej. - Selistis z uznaniem skinęła.

A karczmarz przesunął po towarzyszach wzrokiem i pociągnął łyk soku, swoich własnych trzech słów nie wtrącając.

Kaktus wiedziała, co mówi. Zbrojmistrz, co świeżo do zamku się zgłosił, miał trochę bzika na punkcie błyszczących zbroi. Jak tylko zobaczył, w jakim stanie jest wyposażenie armii księcia, omal się nie popłakał. Wiadomo, z artystami się nie dyskutuje. Jak powie, że nie weźmie się do roboty, póki zbroi nie wypoleruje, to się nie weźmie. Zlecił przeto, by nowo zaciągnięci woje, co jako jedyni jakkolwiek stal inną niż szyszak na sobie mieli, natychmiast się do niego zgłosili, by mógł ją wypolerować. Słyszając to, pokojownik nie mógł się oprzeć pokusie i z grosiwem w dłoni ustawił się w kolejce. Hu parobków do tej pracy ów zbrojmistrz zatrudnił, nikt nie spytał.

Warto przy tym zaznaczyć, że pełna zbroja płytowa Irransatila miała większą powierzchnię do wypolerowania niż wszystkie pozostałe zbroje razem wzięte. Zbrojmistrz wziął za tę robotę sowitą zapłatę. Gdy słyszysz, że tyle o tej zbroi mówię, nie muszę

ci już chyba, mój panie, wyłuszczać, kto naprawdę ową zbroję wypolerował. Nie muszę też wspominać, jak bardzo tej osobie zbrój mistrz był wdzięczny.

- Może trochę soku? - zaproponowała Kaktus.

- Dziękuję - odparł Kapitan. - Mam jeszcze - dodał, czując gdzieś w sercu, pod jego już znacznie wcześniej wypolerowanym szyszakiem, że dwóch słów mu brakuje, przez co nieporządek wprowadza.

- Mam tego dość! - oznajmił ksiązę, wstając energicznie.

Bynajmniej nie chodziło mu o zrywanie malin na sok, o którym mowa. Musiał przyznać, że wobec innych zadań, z jakimi do niego podwładni przybiegali, to było wręcz relaksujące.

- Ależ czego, panie? - spytał Irransatil.

- Przyznaj się, Selistis!

- Do czego niby?

- Do tego wszystkiego!

- Czyli do czego?

- To twoja sprawka!

- Ależ co, pytam?!

Książę wwiercał wzrok w Panią w Czerni, a Kapitan liczył słowa. Rachunek zgadzał się za każdym razem. Doszedł w końcu do wniosku, że trzeba coś z tym zrobić.

- Zechcesz, panie, wyjaśnić, o co w tym całym rozgardiaszu chodzi, tak, żebyśmy i my, tu na pikniku zgromadzeni, mogli zrozumieć całą zaistniałą obecnie sytuację?

Spojrzeli na niego z mniej lub bardziej rozdziawionymi paszczami. Karczmarz, odnotujmy, miał paszczę zamkniętą. Kapitan z tym swoim nagłym wystąpieniem chyba trochę przesadził. Ale przecież ktoś musiał zakończyć tę farsę, czyż nie?

Nie?...

Kapitan skulił się w sobie i ledwo rękę z kubkiem pod nos podstawiając, pociągnął łyk soku. Nagle wyobraził sobie, jak miło byłoby stać teraz na służbie przed bramą...

- Zbroja! - Palcem wskazał Irransatila. - Sok! - Skręcił w stronę Kaktusa. - Ciastka! - Zahaczył o Kapitana. - Koc! - Utkwił w końcu wzrok na środku. - I jedno chromolone póła-krowe po stokroć przekłute pole!!! - Wystawił ramiona ku niebu.

Nie było w dobrym tonie tak wyklinać bogom ducha winną żyzną ziemię, co zboże na chleb daje. Karczmarz zagryzł ciacho. Trwał niewzruszony. Zresztą słusznie. W całej wyliczance palec koło niego nawet raz nie przebiegł.

- To wszystko twoja sprawka! - wykrzyknął w końcu Leoharl w gniewie, w jakim dawno nikt go nie widział.

- Ho... - Wzruszyła ramionami. - Sam się o to prosiłeś.

- To! To!... - Książę chciał coś powiedzieć, ale w całym tym szale nie mógł odpowiednich słów znaleźć.

- Jakoś nie szło ci z tymi prośbami.

- Prędzej czy później bym sobie z nimi poradził!

- Nie narzekaj. Miałeś łatwo. Zupełnie brakowało mi weny. Kapitan przełknął duży łyk soku, gdy niezbyt popularne w jego

kręgu słowo już drugi raz o sztuce mu przypomniało. Nagle pewna krótką i wcale nie tak dawna rozmowa nabrała nowego sensu. W istocie, szczęście księciu dopisywało.

Leoharl usiadł, wciąż nieco wkurzony. Cały dzień, pół nocy i cały poranek był wodzony przez jednego z drugim za nos, by tę czy inną załatwić za nich sprawę. Dodam, panie, bo jeśli żeś z rolą nie bardzo związany, to nie wiesz, że pół akra pola woły koło pół dnia orzą. Znając jeszcze trochę tych rolników, co do karczmy często zaglądając, pługi mają tylko bezkoleśne - sporo pracy samemu trzeba dołożyć, by cokolwiek zaorać. Gdy wczoraj książę padł późną nocą, to ledwo zwłókł się dziś z łóżka na poranne zrywanie owoców na kompot.

A tak całkiem na marginesie... Przyznasz, mój panie, że zaskakujące jest, jak szybko ludzie potrafili odnaleźć swoje miejsce na zamku. Na pustej niegdyś równinie pojawiły się drewniane składy z przyrządami do pracy w polu. W dzień zrobiono zagrody,

w tydzień sprowadzono bydło i konie. Rzemieślnicy na zamku pracowali od rana do wieczora, jakby wcale się nie zorientowali, że zmienili miejsce urzędowania. Trochę tak, jakby - niezależnie od miejsca czy domu - jedynym, co tym ludziom do szczęścia wystarczało, był spokój. Roboty było całkiem sporo, ale nikt na nadmiar pracy nie narzekał. Tylko z tymi nieszczęsnymi polami, co trzeba było zorać, ciągle się ociągali.

Wobec tego natłoku przeróżnych zadań książę w istocie powinien być wdzięczny, że Pani w Czerni nie wymyśliła czegoś bardziej skomplikowanego. Mogła mu na przykład kazać podliczyć zyski i straty karczmy za ostatni okres rozliczeniowy. Ach, jak o tym teraz myślę, to akurat mu nie groziło. Ta prośba musiałaby paść z ust karczmarza, którego głos biorący udział w pikniku biesiadnicy już dawno zapomnieli. Z samym karczmarzem włącznie.

- Wiesz, mam dla ciebie jedną ciekawą uwagę - niewinnie zagadnęła Selistis.

Leoharl spojrzał na nią, czując gdzieś w głębi ściskającego mu się żołądka narastające napięcie.

- Ile próśb ci jeszcze zostało? - spytała równie niewinnie, zdradzając złowieszczy uśmiešek.

- T-trzy. A co? - bał się spytać książę.

- Trzy, powiadasz? Skoro już wiesz, jak działałam... - zbliżyła twarz do siedzącego tuż przy niej księcia, szepcząc mu prosto do ucha: - ...wiedz, że nie znasz dnia ani godziny, gdy pod twoją komnatą, za twoimi plecami, tuż przy twoim łóżku stanie ktoś!... KTOŚ!... gotowy, by cię o coś poprosić.

- Nnnnn... - wymruczał swój sprzeciw książę.

Dreszcz przeszedł mu po plecach. Wyobraził sobie, jak siedzi sobie na wygodce bez trosk i kłopotów, a wychodząc z niej cały szczęśliwy, otwiera drzwi, za którymi czeka na niego pojawiająca się w jego horrorach zhora: Chłop proszący, by mu pole zorać!

- Nnnnn... dlaczego mi to robisz?! - wybuchnął w końcu, pytając błagającym o litość głosem.

- Mwahahahahahaha! - roześmiała się Pani w Czerni. - Zapamiętasz na resztę nie jednego, a dziesięciu kolejnych żywotów, by nigdy, przenigdy nie zawierać zakładów z Selistis!!!

Jej okrzyk i śmiech rozniósł się po polu, obiegnął zamek i sięgnął jeszcze dalej, ku lasom i wzniesieniom. „Nie dziwne - pomyślał Kapitan - że pośród wielu imion, jakie jej nadano, a które sama swego czasu wyliczyła, Diabeł i Wiedźma były całkiem wysoko na liście”.

Kaktus tymczasem, nie bacząc zbytnio na całą tę zawiłą sytuację, spokojnie wcinała ciacho. Irransatil wbił wzrok w cierpiącego mentalne katusze księcia, czując w sercu, że i on jest za nie trochę odpowiedzialny. Zadumał się nieco i przytaknął sam sobie, a skończywszy ostatnie ciacho, spytał:

- Panie, czy mógłbym cię prosić... żebyś podał mi ciastko? Choć zawiesił głos w kluczowym momencie, to cała ta prośba

nie była warta dramatycznej pauzy, gorączkowego rzucenia okiem na przerażoną twarz księcia czy zerknięcia okiem na ukrytą wyszczerzoną w uśmiechu Panią w Czerni. Dobrze zatem, że tę scenę ostatecznie wycięto.

Leoharl zamrugał dwa razy, zanim dotarły do niego słowa demona. Oczy księcia zaszły mgłą i gotów był się popłakać, z troską sięgając po leżące przy nim ciastka. Czule podał jedno Irransatilowi. Złapał przy tym za wyciągniętą po ciastko dłoń pokojownika i złożył mu w niej owo ciastko z całą wdzięcznością, na jaką gotów był się zdobyć. Jeszcze nigdy w znanej mi do tej pory historii jedno ciastko nie dało człowiekowi tyle szczęścia.

- Pffff - prychnęła Selistis. - Z pozostałymi dwoma Irransatil ci nie pomoże.

Leoharl nie zwracał już na jej słowa uwagi. Nagle ciastka, które z takim trudem sam upiekł, zaczęły mu niesamowicie smakować. Oto pośród trudów tych jakże męczących dwóch dni, podczas których miał przecież odpoczywać, znalazła się odrobina szczęścia. Obdarzył Selistis uśmiechem. Bądź co bądź, dzięki niej był

dziś o krok od spełnienia tych nieszczęsnych dziesięciu próśb. W tej chwili niczego więcej nie pragnął. W jego sercu, gdzieś głęboko pod pokrywami optymizmu mówiącego, że wszystko będzie w porządku, boleśnie kłuły go jednak te znamienne słowa: „Nie znasz dnia ani godziny”.

Resztę popołudnia wypełniły dyskusje na dużo przyjemniejsze tematy. Kaktus mogła z radością uznać, że piknik był całkiem udany. Nawet bocząca się trochę na Irransatila Selistis rozchmurzyła się, gdy Kaktus poczęstowała ją sokiem. Był to najśłodszy sok, jaki Pani w Czerni kiedykolwiek piła. Kaktus musiała chyba wsypać do szklanki cały worek cukru. Ale Selistis taki właśnie sok odpowiadał najbardziej. Kapitan złapał się na tym, że w myślach zanotował pewną ciekawostkę. Skrajnie kwaśny sok Kaktusa, który wcale do niej nie pasował, i skrajnie słodki sok Selistis, co -zdawałoby się - nic ze słodyczą wspólnego mieć nie chciała: te dwie przeciwności były jedyną znaną dotychczas cechą wspólną tych kobiet. Ciekawe, że ich podobieństwo leżało nie w tym, co lubią, a w tym, że do obu coś nie pasowało.

Łyk owego cukru zmieszanego z sokiem niesamowicie Selistis ucieszył i już całkiem o wybryku Irransatila zapomniała. Pozostał im ten ostatni wieczór, nim ruszą w dalszą drogę. Kaktus snuła już plany, jak i jego zagospodarować. Choć wylegiwanie się na trawie i puszczenie latawców było całkiem w jej stylu, nie wszystkim się podobało. Książę na przykład planował zabunkrować się w swoim łożu, wydając dekret, że ktokolwiek z jego ludzi poza znaną z imienia listą ośmiu osób wejdzie w progi zamku, będzie mógł wyrzucić z domu wszystkie kapelusze, bo staną się mu zbędne.

Dekret wcale nie był planowany w związku z obawą, że ktoś nieoczekiwany mógłby go zaczepić w jakimś ustronnym miejscu. Bynajmniej. O tej trosce książę już dawno zapomniał.

Ale zamki w wygodkach kazał zamontować.

Na wszelki wypadek, jak sam stwierdził.

Spokój w wygodce jest sprawą bardzo ważną.

Rozdział 7

Filozofia istnienia kolca

Droga po równinach dłużyła im się niezmiernie. Czwarty dzień, a już mieli jej zupełnie dość. Tylko Kapitan, co do marszu był przyzwyczajony, mimo swego wieku wcale nie narzekał. Wręcz przeciwnie, nawet się cieszył. Póki szli, nic złego się nie działo. To postoje bywały niebezpieczne.

Nie to, że wolałby tylko chodzić i chodzić, ale szczerze mówiąc, trochę się obawiał. Nawet trochę bardziej niż trochę. Cała sprawa z tym obłączeniem uzmysłowiła mu w końcu powagę ich sytuacji. Gdyby nie Irransatil, Leoharl straciłby swój zamek. Co zrobiłaby Pani w Czerni, gdyby musiała go spod wrogiej władzy odbić?

Nie znał możliwości tej przedziwnej damy, ale wiedział, że jej moc nie jest nieskończona. To oczywiste. Gdyby nie istniały granice jej mocy, od ręki zrównałaby z ziemią wszystkie zamki, kończąc wszelkie spory. Jak by popatrzeć dalej, raz wozami sunęli z Kaktusem i Leoharlem po niebie, a teraz idą piechotą. Dlaczego? Czy nie mogła ot tak sobie machnąć ręką i oszczędzić wszystkim wysiłku łązenia w tę i z powrotem? Choć Selistis dąsała się za każdym razem, gdy Leoharl wytykał jej tę niewygodę, nie była skora nic w tej sprawie zrobić. Zdążyli się przyzwyczaić do jej wielkiej mocy, ale w głębi serca Kapitan czuł, że nie wolno im całkiem na niej polegać. Ta świadomość, wraz z poczuciem wagi ich podróży i ogromem całego przedsięwzięcia, przytłaczała.

Te myśli, kłębiąc mu się w głowie, zaowocowały znacznym pogorszeniem nastroju Kapitana. Nie tylko on zresztą nie był w swojej najlepszej formie. Kaktus od czasu oblężenia też w pełni nie wróciła do siebie. Częściej chodziła zamyślona. Była też trochę poważniejsza niż zwykle. Może to właśnie ona zaraziła Kapitana tym melancholijnym nastrojem?

Ale na tym nie koniec. Nie mogli sobie pozwolić na zostanie na zamku. Już dwa razy wróg jego mury szturmował. Im dłużej w miejscu stali, tym większe było ryzyko, że zjawi się pod nimi ktoś jeszcze. Ruszyli zaraz następnego ranka, bezpośrednio po pikniku, mimo protestów Leoharla, że dzień więcej odpoczynku mu się należy. Selistis zgodziła się tylko na taki kompromis, że dała mu przespać śniadanie. Zjadł je potem wraz z obiadem. Był przez to cały dzień markotny, ale do momentu opowieści, w którym jesteśmy, już mu przeszło. Zaczął dumnie kroczyć, by nadać swej postawie powagi. Trochę tak, jakby wczuwał się w swoją nową rolę.

Selistis też w końcu spoważniała, mając wreszcie przed oczami właściwy plan działania. Przed podróżą Katia rozłożyła mapę księstw i ich granic. Jej własną, bo - jak sama mówiła - granice mogły zmienić się w ciągu tygodnia, więc ciężko o aktualne mapy. To tylko podkreślało, jak nieprzyjemna była sytuacja w tym kraju. Irransatil przyglądał się z boku, ale nie był na tym polu żadnym ekspertem. W dodatku ciężko mu było pisane ręką Katii nazwy księstw odczytać. Kaktus natomiast dobrze wiedziała, które księstwo jak może zareagować na widok Leoharla, i stanowiła wielką pomoc. Była dziwna i momentami wszyscy się z niej tylko śmiali, ale już dawno pokazała, że potrafi być użyteczna. Nawet bardzo. W dotychczasowych i zaplanowanych przez Leoharla podbojach stała się nieocenionym strategiem i dyplomatą.

Tak powstał plan, który zakładał przemarsz przez trzy księstwa, które Leoharl miałby sobie zjednać. Razem w swoich granicach zamykały one dwukrotnie większy obszar niż ziemie ich

adwersarza Wielkopysznego i jego sojuszników. Niestety żadne z tych trzech księstw, jak mówiła Kaktus, nie miało przesadnie dużej armii. Plan Katii zakładał, że nie odmówią księciu Leoharlowi poparcia. Jeśli odmówią... cóż, przyjdzie czas obmyślić inny plan. Można było tylko zaciskać kciuki, że nie dojdzie to tego, iż to Selistis wyłuszczy księciu jej własny plan. Od samego słuchania mogłyby zwiędnąć mu uszy.

Ustalono, że jako pierwsze odwiedzą w podróży księstwo Nieogarnych. Poniekąd dzieliło ono los nieszczęsnych księstw, co już - warunkowo - pod sztandarem księcia Leoharla stały. Jego władca, książę Mrawy, już wiele w potyczkach z Wielkopysznym stracił. Przy czym księstwo Nieogarnych leżało trochę na uboczu, stąd Wielkopysznemu nie chciało się wcale pofatygować do niego z całą armią. Zadowalał się okazjonalnymi potyczkami, z których prawie zawsze wychodził zwycięsko. Choć sami oczywiście do tego nigdy się nie przyznają, wybita w ostatnich bojach armia władcy księstwa Nieogarnych była za słaba, by walczyć o odległe dzielnice. Z kolejnymi szturmami wroga tracili kolejne skrawki ziemi, skupiając się na obronie tych najważniejszych. Leoharl dobrze wiedział, że ci, co najbardziej po tyłku dostają, najchętniej rozważą zmianę tego stanu. O ile oczywiście ich duch nie został jeszcze stłamszony.

„Nie został. Inaczej książę Mrawy już dawno by się Wielkopysznemu poddał”. Z tą myślą Leoharl kroczył odważnie. Plan zdawał się całkiem szalony, bo jak czteroosobowa ekipa ma księstwa całe, jakkolwiek małe, podbijać? Szalony, ale już sama wizja wielkich podbojów i jednoczenia ludu czyniła oczy księcia jakimś takimi... szerszymi. Nie ze zdziwienia, ale z całej wspaniałości tej wizji. Cel, ku któremu kroczył, zdawał się tak odległy, wręcz nierealny. Ale zawsze, gdy spojrzał w oczy stojącej obok niego Pani w Czerni, czuł w duchu, że może nie jest nieosiągalny. Sama jej obecność dodawała mu wiary w siebie.

Było dobrze po południu. Choć zmęczenie kolejnym dniem drogi dawało im się już nieco we znaki, entuzjazm podróżników nie opadł. Wręcz przeciwnie. Wciąż pchał tę czwórkę do przodu. W nudnej podróży jakoś trzeba czas zająć. Najlepiej, urozmaicając ją dyskusją.

- ...Kto tą bronią umiałby dobrze władać, z powodzeniem pokona niejednego rycerza. - Kapitan deklamował już od dłuższego czasu. - Zasięg wymachu tego wspaniałego drzewca z automatu daje w walce istotną przewagę. Strach podejść do woja, co nim sprawnie włada. A inaczej: trzeba umieć podejść. Nie będę ci, pani, całej sztuki walki wykladał i mówił, jak w pełni wykorzystać miecz czy tarczę i jak zrobić krok, gdy przeciwnik grozi ci drzewcem. Wystarczy, jeśli pojmiesz, że stając z mieczem naprzeciw woja z takim orężem, trzeba całkiem inaczej spojrzeć na walkę.

- Ileż można o jednej głupiej glevii? - westchnęła Selistis.

- No a co, jeśli wróg podejdzie do ciebie z halabardą? - dopytywała Katia.

Od jej pytań zresztą ten wykład się zaczął. Kapitan już z uśmiechem otworzył jadaczkę, gotów kontynuować monolog, ale Selistis nie chciała już o jego nowym orężu nawet słowa usłyszeć.

- Przyjdzie z halabardą, to Leoharl trzonek broni wroga złapie w końcówki swojego miecza i złamie - odpowiedziała za Kapitaną. - Glevia zbędna.

- A jak przyjdzie z takim samym mieczem dwuręcznym?

- To już ja z nim pogadam.

- No, ale glevia... - próbował się wtrącić Kapitan.

- Czort z glevią! - zirytowała się Pani w Czerni. Kapitan posmutniał, że tak niegrzecznie jego wspaniały oręż traktują. Leoharl z Katią na Selistis w spokoju spojrzeli.

- A ty jaką bronią władasz? - szukała innego tematu Katia.

- Pięciami - burknęła na odczepnego.

- Ktoś jest wyraźnie nie w humorze - Katia pokręciła nosem.

- Nie żartuję. Przy mojej potędze kawałek metalu tylko by przeszkadzał - wyjaśniła Selistis z dumą. - W końcu jestem najpotężniejsza, najwspanialsza i w ogóle...

- A właśnie, jak to jest z tą twoją najwspanialszością?

- Najwspanialsz-co? - Selistis próbowała powtórzyć to słowo pytająco. Nie wyszło.

- Znaczy się, jak stwierdzić, że ktoś jest najwspanialszy? -poprawiła się Kaktus.

Mówiłem już, że ostatnio Katia dziwnie się zachowywała. Tak poważne pytanie całkiem do niej nie pasowało. Było całkiem ciekawe, ale niezbyt rozsądne, bo nie można było przecież na nie odpowiedzieć. Czy zdawała sobie z tego sprawę?

- No więc tak: biorę najsilniejszego chłopca na świecie i rozkładam go na łopatki. Tak deklaruję, że jestem najsilniejsza.

- To z siłą. A jak ze wspaniałością? - Katia drążyła temat z dziwnym dla niej uporem.

Selistis ten temat zdawał się ciekawić, więc odpowiadała.

- No to tak: daj mi eksperta w każdej dziedzinie, a ja go pokonam. Co ty na to?

- Hmm... dobry pomysł! Ale z tymi ekspertami to trudno będzie... Wiem! - Uśmiechnęła się. - Wszyscy mi mówią, że jestem bardzo sprytna...

- Wszyscy?! - Leoharl spytał prawie równocześnie z Selistis.

- No... wszyscy, których spotykam... No... większość. No... część, tak naprawdę. Ale tak mówią! Jestem sprytna!

- No i? - spytali, pomijając kwestię, czy się z tym stwierdzeniem zgadzają, czy nie.

- No i sama nie znam nikogo sprytniejszego ode mnie - ciągnęła. - Więc zrobmy tak: jeśli pokażesz, że jesteś sprytniejsza ode mnie, uznam, że jesteś z nas najsprytniejsza. Co ty na to?

Selistis zamyśliła się na chwilę. Brzmiało to jak dobry sposób na zabicie czasu podczas podróży. Przy czym wiesz, panie, w dyskusji na temat sprytu trzeba szukać podstępów już w samym

nawet pierwszym zdaniu. Tutaj wypowiedziała je Kaktus. Trzeba przepuścić je więc przez filtr Kaktusowego pojmowania świata. Czy sprytu, w tym akurat kontekście.

- A co tam, niech będzie - uległa Selistis. - Co proponujesz?... Tylko nawet nie próbuj wyskakiwać z zagadką z dwoma strażnikami, w której jeden zawsze mówi prawdę, a drugi wciąż kłamie. Jeśli coś takiego chodzi ci po głowie, to przyrzekam na wszystko, co mi drogie: postawię cię między tych strażników i powiem: „Ona zawsze kłamie, a ja mówię prawdę. Powiedziała wczoraj, że wasze mamy wcale nie są grube i stare!”. Zobaczysz! Będą cię za to bili obaj i obaj będą krzyczeć, że ich matki naprawdę wcale grube nie są!

Selistis z detalami przedstawiła Katii, co z nią robi, jeśli zada jej taką właśnie sztamponową zagadkę. Wyglądało przy tym, jakby wspominała prawdziwą historię, której była świadkiem. Albo uczestnikiem.

Leoharl z Kapitanem zaśmiali się pod nosem, rozumiejąc, czemu ten, co kłamał, krzyczał to samo, co ten, co mówił prawdę.

- Żadnych takich zagadek - zapewniła Panią w Czerni Katia. - Spryt to nie to samo, co myślenie. W tym bym pewnie poległa.

Przytaknęli z uznaniem. Nie chodziło o to, że mieli o Kaktusie złe mniemanie, ale... cóż, powiedzmy, w ten sposób: Katia wiele razy wykazywała się swoją pomysłowością, więc łatwo przełknąć stwierdzenie, że mogła być całkiem sprytna. Na tym zakończmy.

- Hmm... O, mam pomysł! Widzicie tę karcznię?

- Jeśli chcesz podstępem wymusić nocleg, zapomnij. Już ustaliliśmy, że ją mijamy - sucho zadeklarowała Selistis.

- Nie, nie. Daj mi skończyć! Zresztą wcale nie jestem tak zmęczona. - Kaktus wtrąciła jedną myśl w drugą, jak czasem jej się zdarzało. Problem w tym, że zwykle prowadziło to do zagadki: którą myśl miała zaraz kontynuować. Ta zagadka bywała czasem dość skomplikowana. - ...No... więc tak: Otóż dobrze

znam jej właściciela, bo byłam tu wielokrotnie. Wiem, że ma w salonie na półce dużą kolekcję takich faaaaajnych biaaałych królików!

- O, nie! - Selistis już domyśliła się podstęp.

- Nie! No... znaczy sam królik podstępem nie jest! Przysięgam!...
Znów nie dajesz mi skończyć! Daj skończyć! - zajęczała Katia.

- No dobra, dobra, byleby ten pomysł za bardzo nas nie opóźnił. Mów, co masz na myśli.

- Chodzi o kradzież królika.

- Już mi się podoba! - Selistis zatarła dłonie.

- Mamy nierówne szanse, więc zrobimy to w inny sposób. Ustalmy zasady. Która w krótszym czasie, nie alarmując przy tym właściciela, złapie królika w ręce, ta wygrywa. Drzwi do jego pokoju są zamknięte kluczem, który jest gdzieś w tym wyszynku. Trzeba zdobyć informację o kluczu i niezauważonym zdobyć królika. Co ty na to?

- Trochę łatwe. - Selistis wzruszyła ramionami. - Mogę przejeść przez ścianę i...

- Żadnego przechodzenia przez ściany!

- To zniknę i...

- Żadnego znikania! I niczego ci nie wolno rozwalić! I bez zastraszania! - wyliczała, co jej przyszło na myśl.

- W porządku, w porządku, rozumiem. Nikogo ani niczego nie skrzywdzę.

- To wyrówna szanse. Jesteś szybsza i silniejsza, ale ja znam wnętrze gospody i wiem, gdzie są klucze, więc mam dobry start. Będziemy mieć równe szanse.

- Selistis wciąż ma nad tobą przewagę - zauważył Leoharl.
-Karczmarz zauważy cię w drzwiach i od razu pozna. Będzie ci trudniej zakraść się do jego pokoju.

- Nie szkodzi. Poradzę sobie. Wierzę w swoje umiejętności -z ogniem w oczach oznajmiła Katia. - Więc jak? Może być?

Selistis przeleciała w głowie parę scenariuszy. Skoro znalazła karczmarza, Katia mogła go nawet o królika poprosić, a ten mógłby jej jednego oddać. To byłaby pewna forma sprytu - tak ustawić zadanie, by mieć pewną ukrytą przewagę.

- Hmm... brzmi tak ciekawie, że warte zakładu. - Selistis ze złowieszczym uśmiechem drapała się po swoich nieistniejących włosach na brodzie.

Katia przypomniała sobie zakład Selistis z Leoharlem i konsekwencje jego przegranej. Selistis ewidentnie należy do osób, które przegranych nie cierpią, ale też z natury w wielu zakładach wygraną ma zapewnioną. Trzeba było zaryzykować zaufanie, że grała uczciwie. Jest też na tyle roztropna, że nie stawia w zakładach niczego ważnego. Po prostu lubi wyzwania. Nie ma nic bardziej pasjonującego niż szczerą walkę z równym lub bardzo zbliżonymi możliwościami przeciwnikiem. Zadanie, które teraz przed nimi stało, wyglądało na takie, w którym mogły mieć całkiem podobne szanse.

- Nie, nie - rozważania bolesnych konsekwencji przegranej Kaktusa zakończyła sama Kaktus. - Walczymy już o tytuł najsprytniejszej osoby na świecie, prawda? Nie ma sensu się jeszcze dodatkowo zakładać.

- W porządku. Niech będzie. Kto odmierzy czas?

- Leoharl będzie liczył, odkąd wejdiesz do karczmy - wyłożyła Katia. - Zobaczmy, do ilu doliczy. Ufam, że i dla mnie, i dla ciebie będzie liczył z tą samą prędkością.

- Bez obaw, możesz mi zaufać! - Leoharl uderzył się w pierś, jakby swoją godnością chciał potwierdzić swe słowa.

- Po namyśle... niech Kapitan też liczy. Obaj zapamiętajają wynik i porównamy.

- H-hej! A co z zaufaniem?

- Możesz bezwiednie liczyć z różną prędkością. Tak będzie pewniej - wyjaśniła Kaktus, podając całkiem wiarygodny powód braku zaufania.

Z naciskiem na „wiarygodny” i z zaznaczeniem, że wiarygodność nie znaczy tego samego, co prawda. Selistis uśmiechnęła się na myśl o tym alternatywnym sposobie wyznaczenia upływu czasu i uśrednianiu dwóch wartości, na które wpadła Katia. To małe i nieznaczące pomysły, ale mimo wszystko wymagają twórczej inwencji. Sama pewnie tak szybko by na to nie wpadła. Katia, w istocie, była całkiem sprytna.

- Wciągnijmy do tego bezstronnego arbitra.

To powiedziawszy, machnęła w powietrzu palcem, a poły płaszcz rozchylając, przewertowała coś palcami, jakby stertę papierów. Wyciągnęła z płaszczu pismo i rzuciła w powietrze. O krok się cofnęła, żeby nie stać przy kępie trawy, na którą pismo upadło.

- Dziewięćdziesiąt cztery źdźbła trawy i mrówka - wyliczył jakiś głos dochodzący gdzieś z wnętrza zwoju.

- Nie zliczaj mi, co na powierzchni gleby pod pergaminem siedzi. Wyłaż! - krzyknęła Selistis.

- Myślałem, że się wymigam - mruknął głos. - Już cztery tysiące trzysta pięćdziesiąty trzeci raz mnie wzywasz! - zgłosił sprzeciw. Zwój drżał przy tym, jakby to on owe dźwięki wydawał.

Stanęli wpatrzeni na lekko uginany przez wiatr róg pergaminu. Selistis, nerwowo tupiąc, w końcu doszła do wniosku, że osobnik sam wyjść nie chce. Podeszła i dłoń przez zwój przekładając, za ucho siedzącego w nim osobnika złapała, gotowa go za nie wyciągnąć.

- Aj, dobra, dobra!

Jegomość zrezygnował i sam się ze zwoju wygrzebał. Niewielkich rozmiarów nicpoń, w przydużych jak na taką istotę butach i z wielkimi okularami na oczach, wygrzebał się z pergaminu, za sobą ciągnąc nieco większą od siebie księgę.

- Mogłeś ją na chwilę odłożyć - zauważyła Selistis.

- Kto wie, ile mi tu zlezie? Z tobą nigdy nic nie wiadomo - fuknął.

- Jeśli można wiedzieć...
- Wielmożny pan Darenestrasun - przedstawił się jegomości, ucinając pytanie Kapitana.
- We własnej, skromnej jak diabli, osobie - powiedziała pół-żartem Selistis.
Spojrzeli na karzełka, rozważając, czy ta skromność odnosiła się bardziej do charakteru jegomości, czy niezbyt imponującego wzrostu.
- Demon? - upewnił się Kapitan.
- Demon - przytaknęła Selistis.
- Czego chcesz, wiedźmo ? - spytał opryskliwie.
- Szacunku przede wszystkim, bo ci zaraz tyłek skopię! - warknęła na niego. - Będiesz czas liczył!
- Taką głupotę? - parsknął. - Na palcach nie policzysz?
- A od czego mam takie łajzy jak ty? - odwdzięczyła się pięknym za nadobne.
- W porządku! - burknął, zatapiając twarz w książce i w ten sposób ostentacyjnie pokazując, jak wielką do tego zadania przykładą wagę.
- Nieprzyjemny jegomość - wyszeptał księciu do ucha Kapitan.
- Wciąż przyjemniejszy od Selistis - odparł mu Leoharl. Trzeba było przy tym przyznać, że z takim stosunkiem do swej szefowej sprowadzony przez Selistis demon rzeczywiście mógł być nazywany bezstronnym. Nie było wątpliwości, że wcale nie będzie poprawiał Selistis wyniku. Z kolei dając fory konkurencji, mógłby po swoim występie zająć się liczeniem batów. Które poczuł na własnej skórze.
- No dobra. Zasady ustalone! Czas zacząć! - Selistis, problem dyskusji z demonem porzucając, entuzjastycznie ruszyła do karczmy. Stając w gotowości, dała znak, że można zacząć liczyć.
- Um... czy on...? - niepewnie zaczął pytać Kapitan.
- Już piąty raz mi takie spojrzeń rzucasz - mruknął demon.

Skoro to policzył, przyjęli, że czas też liczyć zaczął. Na wszelki wypadek Kapitan postanowił, że i tak w głowie zacznie liczyć. Ze skupienia na twarzy Leoharla wynikało, że ten też wpadł na podobny pomysł.

Nie było w stu procentach jasne, co zdarzyło się w karczmie, ale ze streszczenia, które Selistis przedstawiła im po powrocie, można było wywnioskować cały bieg wypadków. Weszła, rozejrzała się i podchodząc do baru, sprawdziła, czy karczmarz nie ma przy sobie kluczy. Mówiła tak, jakby sam akt sprawdzenia nie zależał od liczby kieszeni w spodniach czy marynarce, a równocześnie dawał jej pełną odpowiedź na pytanie: czy karczmarz ma klucze? Nie wnikali w tajniki jej postępowania, a słuchali dalej.

Weszła na górę i w trymiga sprawdziła, które drzwi są otwarte, a które zamknięte. Jak krótko znaczyło to „w trymiga”, można się tylko domyślać. Sprawdziła jedyne dwa otwarte pokoje, a zobaczywszy, że to pokoje gościnne, nie traciła na nie więcej czasu, dochodząc do wniosku, że nikt nie schowa królików w pokoju gościnnym.

Zostało jej zatem troje drzwi na parterze. Po parze unoszącej się z okna za ladą wywnioskowała, że była tam kuchnia. Stała bokiem do szynkwasu, przeglądając wszystkie jego półki w poszukiwaniu kluczy. Wtedy do jej uszu doszedł z kuchni kobiecy głos, oznajmiający, że następna potrawa jest gotowa.

Wtedy wszystko stało się jasne. Kluczy nie ma przy barze, ma je żona karczmarza siedząca w kuchni. Gdyby to był tylko jakiś pacholek - mała szansa, że karczmarz dałby mu klucz. Zonie mógł zostawić. Idąc za tą myślą, Selistis wskoczyła do kuchni, zabrała klucz z kieszeni żony i próbując się z zamkami przy obu drzwiach, znalazła w końcu pokój z królikami. Czmychnęła, wzięła największego królika w zasięgu wzroku i wyszła oknem, by oszczędzić czas.

Triumfalnie machała do Katii królikiem, stojąc z boku budynku. Leoharl i Kapitan przestali liczyć. Czekali, aż do nich podejdzie.

- Łaaaaa! Naprawdę ci się udało! - Oczy Katii zajaśniały jak oczy dziecka na widok ulubionej zabawki. Wystawiła ręce po pięknego królika, by go przytulić.

- A w ogóle wątpiłaś ? - Selistis wzruszyła ramionami, rzucając jej zabawkę, i nie bacząc na nią, podeszła do pozostałej trójki, wliczając demona. - Ile wyszło? - spytała.

- Dwieście! - oznajmił Leoharl.

- Dwieście trzydzieści — przedstawił swą wersję Kapitan.

- Trzydzieści siedem tysięcy dwieście osiemdziesiąt dziewięć - precyzyjnie podał Darenestrasun.

- Do tyłu zdołałeś doliczyć ? - nie dowierzał Leoharl.

- Nie liczę. Odmierzam ruchy gwiazd - parsknął.

- Jakich gwiazd? - Leoharl spojrzał w niebo.

- Patrzyłeś na nie znad książki ? - nie dowierzał Kapitan.

- Może wy wasze puste głowy tylko jednym możecie wypełnić zadaniem, ale ja mogę setką rzeczy naraz.

Leoharl spojrzał na niego wymownie. Miał straszną ochotę wypełnić za Selistis jej poprzednią groźbę z butem na tyłku związaną.

- Zaraz, zaraz... o tyle kroków zdołały się te gwiazdy ruszyć ? - zdumiał się Kapitan.

- Tak, jasne. Bo gwiazdy krokami odległość odmierzają. To ma sporo sensu - prychnął demon.

- On tak ironizuje, czy się prosi o guza? - upewnił się Leoharl.

- Chyba to drugie - stwierdził Kapitan, który też miał już jegomościa dość.

- Chodź no, podejdź w zasięg mojej ręki - uprzejmie zawezwał demona Leoharl.

- No, no, tylko mi się tu nie bić - przerwała im Pani w Czerni. Darenestrasun miał strasznie cięty język. Kapitanowi rzadko kiedy zdarzało się spotkać tak nieprzyjemnego jegomościa.

- Jak weszłaś do kuchni ? - spytała Katia, męcząc królika za ucho, gdy już Selistis opowiedziała im to, co wyżej przytoczyłem.

- Gdy karczmarz odszedł, przeskoczyłam bar, uchyliłam drzwi i stanęłam za nimi. Nie zabroniłaś mi robić tego szybko, więc trwało to mgnienie oka. Żaden z gości karczmy by tego nie zauważył.

- Punkt dla ciebie - zauważył Leoharl.

- Później przemknęłam skulona za plecy żony karczmarza i delikatnie, rękami, wyczułam, w której kieszeni ma klucz. Wyszłam z kuchni tak samo, jak weszłam. Chyba byłam trochę nieostrożna z drzwiami, bo ich nie domknęłam, ale nie zwrócili na to uwagi. Nie słysząc krzyków z karczmy i nikt nie wybiega, więc chyba wymknęłam się niezauważona. To albo na tych królikach nikomu wcale nie zależy. - Wzruszyła ramionami.

- To wykluczone! - wtrąciła Katia. - Są takie urocze i miękkie... - rozmarzyła się, gładząc futro królika.

- Dalej już łatwo. Do pokoju, złapać królika i przez okno. Klucz nadal mam w ręku, więc zanim zaczniesz, muszę go odłożyć.

- Cóż. Trzeba przyznać, że ciężko będzie Katii ten wynik pobić - przyznał Kapitan.

- Ale teraz wie już, gdzie jest klucz i pokój - rozważał Leoharl.

- Sama mówiła, że wiedziała o tym od początku.

- No, ale wie już, co i jak zrobić, i że można wyjść oknem. Ma łatwiej.

- Nadal musi zdobyć klucz. Nawet jak poprosi karczmarza, myślisz, że pobije mój rekord? - spytała Leoharla z ogniem w oczach Selistis. - Wiesz, Katia nie chce, ale my się możemy założyć.

- Dalej, głąby! Bijcie się! Bijcie! - podżegał ich demon. Leoharl obrzucił go gniewnym spojrzeniem, a Selistis tupnęła, jakby zaraz miała go rozdeptać. Uciekł schować się za nogę Katii.

- Hmm... w istocie, trudno będzie pokonać ten wynik - dodał Kapitan, by załagodzić nieco sytuację.

- Taka pewna jesteś swojej wygranej? Podziwiam cię za tę pewność siebie - przyznała Katia smutnym głosem.

Ten głos niósł w sobie coś więcej niż tylko smutek wywołany poczuciem tego zupełnego braku wiary w jej możliwości ze strony rywalki. Spojrzeli na nią, a ona zagryzła na moment wargę, po czym, wbijając wzrok w ziemię, oznajmiła:

- Darenestrasunie, możesz zacząć liczyć. Zaczynij... Zacząłeś?... To przestań. Jaki mam wynik?

Mówiła zdanie za zdaniem, robiąc między nimi całkiem krótkie przerwy. Gdyby Kapitan zaczął liczyć, nie doliczyłby nawet do trzech. Czy chciała im powiedzieć, że się poddała? Czy może...

- Dwa tysiące siedem - wyliczył demon.

Katia przycisnęła królika do brody. Królika, którego przez cały czas trzymała w rękach. Selistis zmierzyła ją zimnym spojrzeniem.

- Tak szukaliście podstępny, że zapomnieliście o całym jego sensie - rzuciła wyraźnie rozzłoszczona Katia. - Miał być spryt, nie refleks czy zdolność obserwacji. Spryt. Kto na zdobycie królika poświęcił mniej czasu? Kto jest sprytniejszy? Kto jest? - pytała z żalem w oczach. - Drwiliście ze mnie. Już na starcie nie dawaliście mi żadnych szans. Rozumiem, że w waszych podbojach mogę co najwyżej stać z boku, coś niecoś doradzając, ale to nie znaczy, że jestem bezużyteczna. Nie mogliście chociaż... udawać? Udawać, że mnie dopingujecie? Ze wierzycie, że coś mogę sobą pokazać? - ciągnęła z wyrzutem Katia.

Selistis nie odpowiadała. Z gniewem w oczach gapiła się na Kaktusa. Czowała się oszukana takim podstępem. Ale... czy podstęp był aż tak oczywisty i prosty, jak mogłoby się wydawać?

- Leocharl szybko uznał, że i tak nie mam szans - ciągnęła - a Kapitan nie wierzył, że pobiję ten wynik. Nie wspomnę o tobie. - Odwzajemniła Selistis jej lodowate spojrzenie. - Do ciebie mam żal największy!

Katia przemawiała stanowczym, silnym głosem, jakiego nigdy dotąd z jej ust nie słyszeli. Jakby na tę chwilę stała się zupełnie inną osobą. Osobą, która chyba zupełnie zapomniała, przed kim stoi.

- Przyzwyczyłaś się z arogancją podchodzić do wszystkich wokoło - ciągnęła Katia. - Z dumą przedstawiłaś rozwiązanie, mając przekonanie, że w niczym mi to nie pomoże. Nie raz, a dwa razy byłaś gotowa się zakładać. Szkoda, że się wtedy na to Leo nie zgodził. Odkułyby się za te dziesięć próśb, które mu na głowę włożyłaś!

Twarz Selistis, jak głos Katii, przeobrażała się nie do poznania. Selistis krzywiła się w gniewie, ale nie odpowiadała. A Katia wyraźnie chciała ją sprowokować. Przyznam ci, panie, że nikt w tamtej chwili nie wiedział, co w nią wstąpiło. Co wstąpiło w obie kobiety. Dlaczego Katia tak bardzo chciała wytknąć rywalce tę przegraną? A Selistis? Dlaczego była tak wkurzona? Czemu nie zaśmiała się i nie machnęła na to wszystko ręką? Tak bardzo ukłuła ją ta porażka? Tak bardzo zależało jej na wygranej?

Sytuacja była gorsza, niż wskazywałyby na to jedynie prosty podstęp Katii czy wygrana w niemającym większego znaczenia konkursie. Gdy wreszcie dotarło to do Kapitana, stanął przed Katią, by oderwać jej wzrok od Pani w Czerni. Naprędce szukał w głowie pomysłu, jak sytuację załagodzić.

- B-brawo, Katio. To był naprawdę udany podstęp.

- Niezły, niezły - przyznał Leoharl, podobnie krok robiąc, by stanąć przed Selistis.

- Niezły - przyznała Selistis, nie spuszczać z blondynki wzroku.

- Dziękuję - rzuciła Katia, z tym samym gniewnym spojrzeniem wytrzymując wzrok Pani w Czerni.

Patrzyły po sobie, jakby zaraz miały sobie skoczyć do gardeł. Ani Kapitan, ani Leoharl nie wiedzieli, jak mogliby je pogodzić. Jak bardzo poważna była to sytuacja, można poznać, gdy się pojmie, jak wielki naprawdę był to podstęp.

A podstęp był wielowarstwowy. Katia sprawnie przedstawiła zadanie i usilnie udawała, że wyrównuje z Panią w Czerni szanse.

Bez trudu przekonała pozostałych, że faktycznie zna jakiś sprytny podstęp, który da jej zwycięstwo. To zresztą okazało się prawdą. Zwycięstwo zapewniła sobie, używając sformułowania „z królikiem w rękach”, co było zdaniem, które Selistis powinna była uważniej zbadać. Pomięła je w natłoku innych aspektów zakładu, które potencjalnie kryły dużo większą pułapkę. Ale najważniejszym powodem, dla którego je pomięła... była sama Katia.

Sednem tego podstępu było to, że po tylu tygodniach wspólnego podróżowania dopiero teraz pokazała pozostałej trójce, co naprawdę przed nimi ukrywała. Jej spryt polegał na tym, co zbudowała między sobą a Selistis. Nić zaufania, którą tym jednym podstępem zupełnie zerwała. Zaufania, którego wcale ani Selistis, ani Kapitanowi czy Leoharlowi nie narzucała, a które przecież jednak między nimi zostało zbudowane. Prezentując im tylko część swojej osobowości, sprawiła, że zaufali, iż nigdy nie uciekną się do tego typu podstępu. Gdyby Selistis ten aspekt osobowości rywalki wzięła pod uwagę, jej niewinnie wystawione po królika ręce, gdy Selistis zwycięsko podeszła, pytając o swój wynik, wzbudziłyby jej oczywisty niepokój. Pomijając arogancję Selistis, oddała ona Katii królika dlatego, że nie podejrzewała, iż właśnie ten moment miałby być częścią jej planu. Była pewna, że Katia prędzej odstawi królika i pójdzie po następnego, zgodnie z regułami, niż uśmiechem grając na emocjach Selistis, podejdzie ją w tak podstępny sposób.

Taka była Katia, którą znali: była tą, która sięgała po królika, bo był uroczy, nie dlatego, że dawał wygraną. Selistis nie mogła odmówić jej tego zwycięstwa, a gdyby doszło do zakładów, musiałaby oddać to, o co się założyła. Katia w tym wyzwaniu okazała się od Selistis sprytniejsza, nawet jeśli zrobiła to kosztem tej delikatnej więzi, którą właśnie zerwała.

- Gratulacje - huknęła ostro Selistis. - Możesz cieszyć się ze swojego sukcesu. Przyznaję, z naszej czwórki jesteś najsprytniejsza - deklamowała przez zaciśnięte zęby.

Znów zapadła cisza. Ani Leoharl, ani Kapitan nie znajdowali słów, którymi mogliby ją przerwać. Padł na nich blady strach, że Selistis rozszarpie Kaktusa na strzępy. Ale wiesz, mój panie, gdy teraz patrzę na te wydarzenia, które przecież rozpoczęły się tak niewinnie, widzę całkiem wyraźnie, jak dokładnie Katia przemyślała swoje działania. Nie zmieniła swojej postawy nie dlatego, że nie obchodziło ją, co Selistis mogłaby jej za to zrobić. Tyle z charakteru Pani w Czerni zdołała już poznać: Selistis, wbrew wszelkim pozorom, nie unosi się gniewem bez potrzeby. Przynajmniej nie tym prawdziwym, za pomocą którego mogłaby komuś wyrządzić krzywdę. W zagranii Katii nie było cienia ignorancji, niedomówienia czy ryzyka, że coś pójdzie w złą stronę. Wykorzystywała całą swoją dotychczasową wiedzę. Wiedziała dokładnie, jaką wywoła reakcję.

Ale też całościowy jej obraz tak strasznym, jak mogłoby się zdawać, nie był. Ścisnęła teraz królika w dłoniach nie dlatego, że dawał jej zwycięstwo. Wtulała się w pluszową przytulankę, bo naprawdę lubiła miłe w dotyku, urocze rzeczy Mimo wszystko swą postawą wcale ich nie okłamywała. Co najwyżej ukrywała nieco inną część swojej osobowości.

Selistis odwróciła się bez słowa i odeszła. Kapitan głęboko odetchnął z ulgą. Po krótkiej chwili powietrze z płuc wypuściła też Kaktus. Zdawało się, że była całkiem bliska płaczu. Nie była zmartwiona. Nie miała wyrzutów sumienia wobec tego, co zrobiła. Jej oczy były tak samo stanowcze, jak jeszcze przed chwilą. Nie zrobiła przecież tego, by się z Selistis pokłócić. Zrobiła to, by całej tej trójce w końcu pokazać, że boli ją, gdy biorą ją za głupią i beużyteczną.

No, w tej chwili czwórce, bo gdy napięcie opadło, Darenestrasun w końcu puścił jej suknię.

- Aleś jej przywalila - przyznał. - Byłbym przysiągł, że się zaraz, skubana, popłacze! - drwił.

- Ona? Znaczą Katia czy Selistis? - pogubił się Kapitan.

- Ślepy byłeś?! Widziałeś, jak na Katię patrzyła? Muszę ci przyznać, kobieto, niezły fortel odstawiałaś. - Kiwał głową z uznaniem. - Większej krzywdy tej wiedźmie wyrządzić już chyba nie mogłaś.

- N-no, ale... - Katia nie rozumiała, czemu demon tak ją wychwala. Przykucnęła przy nim, już prawie że płacząc. - Przecież wcale nie chciałam!

- Ale tak wyszło - fuknął demon i wzrok odwrócił, nie mogąc patrzeć Katii w oczy. - Taki cios od kogoś, komu ufała, to jedna z niewielu rzeczy, które mogą ją ukłuć. Powiadam ci, sam kiedyś próbowałem się do niej zbliżyć tylko po to, by później moment znaleźć, żeby...

Nie dokończył wywodu, bo Katia energicznie za fraki go złapała i upuściła nad tym zwojem, z którego wylazł.

- No, kurna, już cztery tysiące dziewięćset szesnasty raz mi tak robią! Pogięło ich wszystkich czy co?! - Pergamin zadrżał.

- Siedź cicho! - Ze smutkiem Katia za róg zwój złapała, gotowa go podrzeć.

- Jedno tylko jeszcze ci powiem. Trochę ci zazdroszczę. -Mówiąc to, drżał dalej. - Rzadko kiedy widzę, by ta wiedźma znalazła sobie kogoś, na kim mogłoby jej zależeć. Może długo by się nie zastanawiała, gdyby miała cię psom na pożarcie rzucić. Ale bądź co bądź musiałaś zrobić na niej wrażenie, skoro tak ją dotknął twój wyczyn. Ty i ci twoi towarzysze macie powód do dumy - zakończył.

- Dzięki. - Zdołała zebrać się na mały uśmiešek.

- Ta wiadomość ulegnie samozniszczeniu - mruknął na odchodne.

Zwój zajął się ogniem. Katia wstała znad niego. Kapitan pocieszająco położył jej rękę na ramieniu.

- Chodźmy - zachęcił. - Jeszcze mamy kawałek do noclegu. Jest czas, by w głowie myśli poukładać.

Katia, z wbitym w ziemię wzrokiem, przytaknęła i dała się

Kapitanowi w dalszą drogę poprowadzić. Ostatni odcinek podróży przed zmrokiem spędzili, idąc w zupełnej ciszy i daleko przed sobą oglądając plecy Pani w Czerni. Nikt nie odważył się pisnąć nawet słowa. Nawet Leoharl. Szedł wyraźnie zadumany, jakby w głowie powtarzając sobie słowa demona oraz to, co zaszło.

- Nieźle - wymamrotał pod nosem, rzucając Katii ciepłe spojrzenie.

Przypomniało mu się bowiem, jak przy pierwszym spotkaniu dość szybko ocenił, że ten oto Kaktus nie jest dla nich żadnym większym zagrożeniem. Uśmiechnął się do niej, bo jak na ironię, właśnie teraz mógł być pewien, że miał rację. Nieoczekiwanie poklepał Katię po ramieniu i przyspieszył kroku, dołączając do Selistis.

* * *

Nastał wieczór i czwórka podróżnych rozbiła dwa namioty pod lasem. Wpadało po dwie osoby na namiot, z oczywistym podziałem ich mieszkańców. Ten podział niestety niektórym kazał się zastanowić nad wyciągnięciem z ziemi trzeciego. Selistis nie miała najmniejszej ochoty siedzieć z Katią w jednym namiocie. Zamiast tego postanowiła posiedzieć przy ogniu.

Wprawdzie nie było potrzeby pilnować obozu. Już dawno Selistis zadeklarowała, że wszelkie niebezpieczeństwo instynktownie przed nią ucieknie i nie poważy się w nocy spróbować jej zaskoczyć. Mimo tego na chwilę obecną warta przy ogniu zdawała się najrozsądniejszą wymówką. Kapitan i Leoharl położyli się spać, uznawszy, że tak będzie najlepiej. Kapitan liczył na to, że noc przemyśleń da mu jakiś pomysł, jak rozwiązać tę patową sytuację.

Ale Katia nie mogła zasnąć. Gdy już noc dawno zapadła, wyszła z namiotu opatulona kocem. Cały wieczór nie wypuściła z rąk królika. Wyszła i bez słowa usiadła tuż obok Selistis. Chwilę tak siedziały w ciszy, nie drgnąwszy nawet o włos.

- Bardzo się gniewasz? - spytała w końcu tak cicho, jakby nie chciała, by ktoś ją usłyszał. Nerwowo bawiła się przy tym uchem królika.

- Bardzo - przyznała Selistis.

- Masz - Katia podała jej królika - już go nie chcę.

Selistis trochę się zdziwiła, ale na widok wbitych w ziemię smutnych oczu Katii i całkiem miłego wystawionego w jej stronę królika nawet ona nie mogła pozostać niewzruszona. Uśmiechnęła się, lekko łapiąc królika w ręce. Teraz to ona maltretowała biedne zwierzę, bawiąc się jego oczami i uszami.

- Przepraszam - szeptała Katia. - Nie chciałam cię tak zranić. Selistis nie odpowiadała.

- Wiesz, gdy jak ja podróżujesz między księstwami, które tak długo już toczą między sobą spory, z konieczności musisz przed wszystkimi udawać kogoś, kim wcale być nie chcesz. - Katia przysunęła się do Selistis. - Buduję zaufanie, bo grając mało pojmującą rachmistrzynię, zdaję się całkiem niegroźna. Nie jestem przecież, w oczach władców tych ziemi, jak i do dziś w twoich, zdolna do tak przewrotnego planu, by móc swą wiedzę wykorzystać do obalenia tego czy tamtego trochę mniej zorganizowanego księcia. Gdybym pokazała im to, co dziś tobie, pierwszy lepszy mógłby z podejrzeniem szpiegostwa do więzienia mnie wsadzić. Dlatego muszę ciągle zgrywać małego niegroźnego Kaktusa. A przecież... kaktus po coś ma kolce - dodała ze smutkiem.

Selistis przekonała się, jak skuteczna była gra Katii. W jej pracy, w której zmuszona była zdobyć zaufanie szeregu ważnych osobistości, jej postawa musiała być na tyle przekonywająca, by zamydlić im wszystkim oczy, pokazując, że nie jest do oszustwa zdolna.

Pewnie już nie raz była o nie oskarżana.

Może nawet i słusznie.

Selistis pokiwała głową, przecząc własnym myślom. Nie lubiła, kiedy ludzie pochopnie projektują najczarniejsze scenariusze. Katia wcale nie musiała nikogo oszukiwać, by spełnić się w swojej

roli. Ta maska, którą stworzyła, to po prostu jej własny sposób wykorzystania jej unikatowych umiejętności. Sposób na życie, jaki sobie znalazła. Kosztem takiego życia była, jak na ironię, właśnie ta maska. To, że wobec nikogo, bez wyjątków, nie mogła pokazać prawdy. Śmiali się z niej, że jest rachmistrzynią, a zachowuje się tak, jakby nie umiała dodawać. Z pewnością każdy z nich podejrzewał, że może być szpiegiem czy oszustem, ale wszyscy, bez wyjątków, zignorowali te podejrzenia. Tego Selistis mogła być pewna. Inaczej Katia nie dożyłaby spotkania z nią.

Maska Katii była perfekcyjna. Ile Selistis by nad tą myślą siedziała, nie mogła zaprzeczyć, że dała się oszukać. Pod tym względem Katia była lepsza od niej. Najlepsza. Najsprytniejsza.

- Czemu to zrobiłaś? - spytała w końcu Selistis.

- Czy to nie oczywiste ?

- Byśmy mogli cię poznać. Byś nie musiała przed nami udawać - odpowiedziała sobie Selistis.

- Mhm - przytaknęła Katia.

Kaktus mogła wykorzystać swoją maskę zupełnie inaczej. Znacznie lepiej. Wybrała królika. Ktoś mógłby powiedzieć, że ten wybór był bez znaczenia, ale wtedy znów ubliżyłby jej inteligencji.

- Wiesz... - Selistis przyciągnęła Katię do siebie. - Jest taka opowieść o pewnej bardzo sprytniej wiedźmie...

- O tobie?

- Ach, chciałabym! Nie dorastam tej wiedźmie do pięt!

- Najwspanialsza, najpotężniejsza... - wyliczała Katia.

- Mniejsza o to. Jedną z lekcji tej opowieści było to, że jak w szachach, tak w życiu: za świadomym wyborem gorszego ruchu zawsze kryje się jakiś ukryty motyw. Niby oczywiste, ale ta sama opowieść pokazuje coś dużo ważniejszego.

Katia zamarła wsłuchana w jej słowa, a Selistis przytuliła ją do siebie.

- Nie każdy ukryty motyw pociąga za sobą złe intencje.

Katia nie chciała zrobić nic złego. Selistis wierzyła w to z całego serca. Wierzyła, że Katia zrobiła to nie po to, by stracić ich zaufanie, ale po to, by uzyskać je w pełni. Trzeba przyznać, zrobiła to trochę nieumiejętnie, ale Selistis nie mogła jej za to winić. W końcu Katia nie miała na tym polu zbyt dużego doświadczenia. Nie umiała bezpośrednio wyrazić komuś swoich najgłębszych emocji. Dlatego na co dzień skupiała się na tych niższych, których wyrażanie przychodziło jej z ogromną łatwością.

- Katio. - Selistis wyrwała się z zamyślenia.

- Tak?

- Obiecuj... że się to nie powtórzy.

Katia zamyśliła się na moment, a wspominając ostatnie słowa demona, wtuliła się w bok Selistis jeszcze mocniej.

- Obiecuję.

Selistis przytaknęła i wystawiła przed oczy spornego królika. Bez ostrzeżenia wrzuciła go w ognisko.

- N-n... - Katia wystawiła rękę w jego stronę. - Królik...

- Ot, puściłam go, by wrócił do lasu.

- Króliki nie żyją w lasach. Zajęcie...

- Czepiasz się! Więc pozbyłam się go bez powodu. Zresztą, daj mu spokój, to tylko pluszowa zabawka - oschle, ale bez złości przyznała Selistis.

- Ale był taki miły w dotyku...

Selistis zaśmiała się cicho i ścisnęła Katię wolną ręką. Nie mogła wątpić, że to właśnie była prawdziwa Katia. Od tej pory знаła ją całą. Wiedziała, że ten oto zielony Kaktus, co tak mocno ukłuł ją dziś w bok, nie ma powodu już przed nią niczego odgrywać. Leżąc teraz obok niej, zupełnie zrzucił z siebie swoje kolce.

Selistis mogła jej dać chociaż tyle.

Mogła dać jej swoje zaufanie.

- Wiesz, Kaktus ? Teraz wiem, dlaczego nazywasz się Kaktus.

- Mmm? - Katia zamknęła oczy. W ramionach Selistis było jej całkiem wygodnie.

- Masz kolce. Nie byle jakie, bo ostre!
- Przecież mówiłam... kolor zielony... - próbowała się bronić usypiającym głosem.
- A wiesz, dlaczego ludzie nie lubią kaktusów ?
- Mmm... mmm... - Katia wydała stłumiony odgłos niezadowolenia z tego ewidentnego psychicznego dręczenia.
- Bo kłują! Ha! Oczywiście, nie? A wiesz, dlaczego kaktusy rosną na pustyni ?
- Dlaczego mnie torturujesz...?
- Bo nikt nie lubi, jak go kaktus ukłuje! Dlatego rosną same, daleko od ludzi czy zwierząt. Dalej proste, nie? A teraz: wiesz, po co kaktus ma kolce ?

Katia nie odpowiedziała, ale Selistis wiedziała, że słucha.

- By bronić się przed wszystkim wokół. Przed wszystkimi istotami z zewnątrz. Bo każdy zwierz, który przejdzie obok, tylko patrzy na niego spragnionym wzrokiem. Gdyby nie kolce, już dawno by kaktusa otworzył i wypił z niego całą wodę - zakończyła swój wywód Selistis, opierając swoją głowę o jej.

Zamknęła oczy i wzdychając ze spokojem, z uśmiechem na twarzy wyrównała swój oddech.

* * *

Rano Leoharl i Kapitan zastali je śpiące przy zgaszonym ognisku. Siedziały wtulone w siebie. Nie mieli serca ich budzić. Po cichu złożyli namioty i dopiero wtedy, gdy trzeba już było ruszać w dalszą drogę, zebrali się na odwagę.

Po wczorajszym gniewie nie było już śladu. Widać to było w wesołej rozmowie i uśmiechach wymienianych między Selistis a Katią. Kapitan był z tego powodu wielce zadowolony, bo noc nie przyniosła mu żadnych pomysłów. Nie był pewien, czy sam zdołałby rozwiązać ten konflikt. Ale czasem w życiu tak właśnie się zdarza, że problem rozwiązuje się sam. Znaczy się, tak mogło

to wyglądać tylko z punktu widzenia Kapitana. Nie można było wątpić, że dla Katii i Selistis było to znacznie trudniejsze.

Drogę przez las na nowo umilali sobie ciekawymi opowieściami. Gdzieś po drodze Kapitan zwrócił uwagę, że nie widzi w rękach Katii królika. Całkiem mu z głowy wypadło, by spytać, co się z nim stało. Widząc Katię dzień wcześniej, mógłby przysiąc, że nie oderwie się od niego przez resztę życia. Trudno uwierzyć, że mogła go zgubić. Ale to nie miało większego znaczenia. W końcu jeśli Kaktus ładnie o to poprosi, Selistis zawsze może wykraść dla niej następnego.

Rozdział 8

Negocjacje

Podróżni opuścili przyjemnie chłodny las i z miejsca poraził ich nagły atak słońca. Czując na policzku gorące popołudniowe promienie, Kaktus ze smutkiem spojrzała na zacienioną ścieżkę w lesie za nimi.

- No i już sobie pochodziłam w mojej bukowej podkoszulce - burknęła pod nosem.

- Co z nią nie tak? - podłapał Kapitan.

- Za nic do słońca nie pasuje. Muszę zmienić na karmazynową - westchnęła.

Kapitan obadał wzrokiem rzeczoną koszulkę i sapnął pod wąsem. Kunszt doboru stroju do scenografii był mu całkiem obcy.

Na horyzoncie wyłonił się cel ich podróży. Niebieska flaga z wyszytą na niej nieco mniejszą srebrną flagą łopotąła z czworga wierzy zamku - zamku księstwa Nieogarnych.

- Ktoś u nich chyba sensu flagi nie ogarnął, hę ? Hę ? - Księżę silił się na dowcip.

Nie najlepiej mu poszło. Nie zebrał nawet jednego pobłażliwego spojrzenia. Rekursja jako forma sztuki nie była przez widownię tych ziem jeszcze doceniana, stąd flaga we fladze zbyt wiele uwagi nie skupiała. Nawet dowcipy o dowcipach o niej były nieśmieszne.

- Chyba jesteśmy - ciszę przerwał Kapitan.

- Cóż zatem, mój władco, jaki masz plan? - rezolutnie spytała Pani w Czerni.

- Hmm... plan jest taki: wchodzimy, tłuczemy wszystkich po łbach i wychodzimy!

- Oooo! Świetny! - Kaktus przyklasnęła z uznaniem.

- Tak, świetny. Gorzej, że do tych, którym łby chcesz tłuc, trzeba wliczyć tę armię, co mamy zebrać.

- Fakt. - Leoharl podrapał się po głowie, jakby zapomniał o celu swojej własnej podróży. Może gotów był przymknąć na niego oko w perspektywie prania na kwaśne jabłko? - Plan B zatem. Wchodzimy, grozimy księciu, by się do nas przyłączył, i wychodzimy.

- Jest postęp. To jaki jest plan C?

Leoharl zamyślił się, wcale niezrażony brakiem podania powodu, dla którego plan B nie wypali. Pewnie pojął go w chwili, gdy go wypowiedział. Może był nieco wolny w swoim myśleniu, ale nie głupi. Nie całkiem głupi, jeśli miałbym doprecyzować.... Nie zawsze głupi? Czasem niegłupi? Ach, z tym doprecyzowaniem to sam się, mój panie, wkopałem...

- Wchodzimy, negocjujemy sojusz i tylko wtedy, gdy plan zawiedzie, pierzemy na kwaśne jabłko. - Książę doszedł wreszcie do czegoś, co można nazwać by planem.

Dostał za to wyrazy uznania od Selistis.

- W porządku. Jak zamierzasz go przekonać?

- Słowem i czynem.

- Jakim słowem? - podłapała Katia.

- Jakimże znów czynem? - zaniepokoiła się Selistis.

- Myślałem o pojedynku.

- Takim jeden na jeden? Z Księciem?

- Tak, o takim! Honorowy pojedynek władców, by oszczędzić życia poddanych!

- Czuję się zignorowana - burknęła Katia.

Mimo tego zdawała się zgadzać z tym szalonym planem. Tak

naprawdę liczyła, że na negocjacjach sprawa się zakończy. Chociaż co czwórka nieznanymi bez armii i bogactw może zaoferować w układach?

- Trzeba go będzie przekonać, że ma się czego bać - dodała po namyśle.

- Coś wymyślimy. - Selistis zacierała dłonie, obmyślając w głowie co najmniej kilka scenariuszy.

Tak powstał pierwszy plan. Przyznaj, mój panie, że lepszy taki niż żaden. Z koroną na głowie Leoharl z powodzeniem mógł uchodzić za ważną figurę, która szuka u księcia audiencji. Ustaliwszy szczegóły, ruszyli ku bramie zamku. Pierwsze mury minęli bez przeszkód. Nikt nie przejmował się wielką małą grupą podróżnych. Z kolei zdobycie audiencji u księcia to już inna sprawa. Tu właśnie miała przydać się Kaktus. Nie to, żeby w tym celu ją ze sobą wzięli, czy coś... ot to było takie jej dodatkowe zastosowanie.

- Cześć, Rudolf! - zagadnęła z uśmiechem do jednego ze strażników przy bramie.

- O, Kaktus! Co tu porabiasz? - Odwzajemnił uśmiech.

- Ano, przychodzę z poważną propozycją biznesową.

- Bizne-co? - zagadnął drugi strażnik.

- No takie tam, książęce sprawy.

- Ach. Ale chyba jeszcze nie czas na twoją wizytę? Termin był...

- Przychodzę przed terminem. - Katia uśmiechnęła się. - Ta propozycja nie może czekać.

- Hmm... - Strażnik zdawał się zaniepokojony, ale jedno spojrzenie na niewinny uśmiech Kaktusa wystarczyło, by rozwiać wszelkie wątpliwości. - A to ?

- To ekipa, którą prowadzę. Dyplomata z dwójką ochroniarzy. - Wskazała na Leoharla. - Niesie bardzo ważny dokument. Nie wiem, czemu jest tak ważny, ale wszyscy mówią, że jest ważny. Jak jest ważny, to ważne, by nie puścić dyplomaty bez ochrony, nie ? - wprawdzie podkreślała ważność owego dokumentu.

- Kto was przysłał?
- Ach, to sekret! Wiesz przecież, że nie mogę zdradzać takich rzeczy.
- Uśmiechnęła się figlarnie.
- Trochę dziwna ta twoja ekipa - stwierdził, obrzuciwszy pozostałą trójkę spojrzeniem i zawiesiwszy wzrok na koronie Leoharla.
- Dziwna, nie dziwna, ale ekipa to ekipa. No, wpuść mnie już, bo księżę musi szybko usłyszeć, co dyplomata ma do powiedzenia!

Mówiła prosto, wyrazy powtarzając i ciągle rażąc strażników uśmiechem. Nie zmieniała przy tym swego miłego tonu. Na tym polegała cała jej zagrywka, by nikt dłużej się nad jej motywacją nie zastanawiał. Kto wie, do czego strażnicy mogliby dojść w tych swoich okrytych szyszakami głowach, gdyby uważniej przemyśleli zaistniałą sytuację? Tymczasem przytaknęli szybko i otworzyli bramę dla delegacji Katii. Katia spojrzała ukradkiem na Leoharla i z uśmiechem ukłoniła przed nim lekko głowę.

Ta prosta wymiana zdań między nią a gwardzistami świetnie pokazywała, jak dobrą pozycję sobie wypracowała, przez lata stukając do tych i tamtych bram zamkowych. Ale ten moment był wymowny z innego względu. Pokazywał, że dla Leoharla gotowa była tę pozycję stracić. W końcu, nadużywając swojego autorytetu, wpuściła na zamek trzy całkiem groźne osoby. Gdyby to wyszło na jaw, zrujnowałoby jej karierę.

Była gotowa tę karierę poświęcić. To był pierwszy krok w jej własnej deklaracji poparcia dla Leoharla. Pokładała w nim całą swoją nadzieję, że gdy księstwa na powrót zjednoczą się w królestwo, maska nie będzie jej już potrzebna. Dała dowód tej nadziei w tym jednym złożonym księciu ukłonie. Gest, który dla Leoharla był nieoceniony.

Weszli przed salę tronową. Kapitan zmuszony został do oddania swej broni straży. Selistis natomiast, zgodnie z prawdą, przyznała, że żadnej broni nie ma. Katia szybko jej słowa poparła,

tłumacząc, że broń oddała już gwardzistom przed zamkiem, zgodnie z obyczajami z jej kraju. Selistis w swym czarnym płaszczu wyglądała na zamku jak czerwona łata na niebieskich spodniach. Nikt by w nieuzbrojoną ochronę dyplomaty nie uwierzył, ale dało się uwierzyć, że nie była z tych ziem i znała inne zgoła obyczaje. Leoharl z kolei swój potężny miecz zachował, powołując się na immunitet białego pergaminu dającego mu status dyplomaty. Pergamin wręczony przez Katię miał niby mówić między innymi o tym, że dyplomata nie musi zrzekać się swojej broni. Podobno, bo w końcu co mogli wiedzieć gwardziści? Nawet miecze dwuręczne można przed oblicze księcia wnosić, jeśli tak mówi pergamin. Zwłaszcza jeśli nikt go przeczytać nie umie, by jego treść potwierdzić.

W istocie, Katia dobrze znała się na swoim rzemiośle. Strażnicy z oporem przełknęli jej słowa, ale przepuścili ich w końcu do sali tronowej. Sala była znacznie mniejsza i znacznie bledsza niż ta na zamku księcia Leoharla. Leoharl nie omieszkał uśmiechnąć się na myśl, że jego zamek jest dużo wspanialszy niż ta okropna rudera. Wystali się w sali całkiem długo, nim wreszcie, po całym tym oczekiwaniu i zmaganiach ze strażnikami, stanęli przed księciem Mrawym, obecnym władcą księstwa Nieogarnych.

Ten ostatni wszedł na salę, a gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, Katia uśmiechnęła się do swego księcia, szeptaając:

- Cóż, Leo, do ciebie należą dalsze negocjacje.

Leoharl przytaknął, nie ukrywając uznania dla kunsztu tej niepozornej, zawsze uśmiechniętej Katii. Przed zamkiem porzucił ostatnią z myśli o frywolnej naturze Kaktusa, która wplątała się w ich historię tak tylko dla towarzystwa. Od teraz brał ją za pełnoprawną uczestniczkę tej wyprawy. Ekspertkę od dyplomacji, rachunków i wszystkiego, co wymaga skomplikowanego myślenia z użyciem liczydła czy mapy. Wypiął dumnie pierś i stanął naprzeciw księcia Mrawego w oczekiwaniu, aż ten powie pierwsze słowo.

Salę zajmowała czwórka przybyszy, księżę i czterech strażników - dwóch przy drzwiach i dwóch tuż za księciem. Nikt więcej nie miał prawa słuchać ważnych słów, jakie miał wypowiedzieć dyplomata. Sam księżę Mrawy zasiadł na tronie kilka kroków przed swoimi gośćmi, z majestatem ukazując wszystkim swoją pozycję w księstwie. Był dość chuderlawy, zapewne strapiony losami księstwa, i z nieco podkrążonymi z braku snu oczami. Prawdę mówiąc, choć emanowała od niego aura władcy, jego wygląd tak jakoś nie sprawiał wrażenia, że jest księciem. Leoharl stał przed nim bez słowa, co skłoniło księcia Mrawego do obadania swoich gości wzrokiem.

Spojrzał na koronę, która coś jakby mu na głowie tego osobnika nie pasowała. Znaczy się: jeśli ktoś przychodzi do niego w koronie, oczekiwaliby, że owego jegomościa pozna, bo powinien być jego bratem. Ale tego nie znał. Wielu miał braci, ale był pewien, że z tym akurat nie dorastał. Zanim zdążył rozważyć tę sprawę, rozpoznał znajomą twarz Katii i westchnął, spoglądając jej w oczy.

- Panie, pozwól, że ci się przedstawię. - Leoharl, zniecierpliwiony, skupił na sobie uwagę. - Jestem księżę Leoharl Mem. Przybyłem złożyć ofertę przymierza.

Księżę Mrawy drgnął na swym tronie, odrywając plecy od oparcia. Podrapał się w brodę, obrzucając wzrokiem stojącego przed nim człowieka.

- Leoharl? Ten... Leoharl? Jakoś ciężko uwierzyć.

- Korona! - Leoharl wskazał palcem czubek swojej głowy.

Księżę Mrawy zamrugał dwa razy. Prawdę mówiąc, mój panie, podobnie jak on, ja również nie czułbym się przekonany argumentem samej korony. Gdyby włożenie jej na głowę czyniło księciem, świat ogarnąłby chaos.

- Cóż ma znaczyć twoje przybycie? - spytał księżę Mrawy.

- Nie szukam z tobą zwady. Proszę tylko, żebyś mnie wysłuchał - spokojnie oznajmił Leoharl. - Przybyłem w te ziemie, by zjednoczyć to niegdyś wspaniałe i potężne królestwo. Nim król

Henryk Wspaniały umarł, w swej woli pragnął między swymi dziećmi pokoju. Tylko z żądzы władzy i braku rozsądku kraj leży podzielony i nie ma nikogo, kto na powrót przywróciłby mu jedność.

Książę Mrawy słuchał bez emocji. Leoharl zrobił głębszy oddech i kontynuował:

- Jak wiesz, twoi bracia, zamiast wedle jego woli pozostać pod zwierzchnictwem najstarszego z was, przywłaszczyli sobie dane im przez ojca ziemie. Sam podobnie postąpiłeś, stąd sam jeden wiesz najlepiej dlaczego: zrobiłeś to ze strachu o swoje mienie. Gdy jeden brat skoczył do gardła drugiemu i zdobył siłą tron, trzeci zauważył, że to samo może zrobić czwartemu. W jednej chwili z braterstwa, przyjaźni i więzów krwi pozostały tylko wspomnienia, a w ich miejscu pojawiły się strach i podejrzliwość.

Książę Mrawy niemal niezauważalnie delikatnie skulił się na swym tronie. Nie zmienił wyrazu twarzy czy stanowczości spojrzenia. Tylko tym gestem wyraził swój żal.

- Wiem to wszystko - napomknął. - Czego ode mnie chcesz, mówiąc o moim ludzie i moich ziemiach, jakby należały do ciebie ?

- Chcę zawrzeć z tobą sojusz, byśmy razem mogli zaprowadzić na nich pokój - wyłożył stanowczym tonem Leoharl. - Zbyt wiele już lat minęło. Lud twych ziem i ziem twoich braci jest już zmęczony waszym sporem. Najwyższy czas coś z tym zrobić.

- Niebýwałe. Przybłąda z obcych stron będzie księżętom prawił, co przystoi, a czego nie przystoi robić ?

- Nie jestem na tych ziemiach bardziej obcy niż ci, którzy zapomnieli o dziedzictwie swych ojców.

Książę wstał z tronu, zirytowany mową Leoharla. Strażnicy zareagowali, stawiając broń w gotowości.

- Przyszedłeś ze mną negocjować, czy mi ubliżyć?

Leoharl wziął głęboki oddech. Jego szorstki język znów stanowił przeszkodę. Miał problem z tym, że częściej wolał gadać to, co myśli, niż to, co powinien.

- Nie znałem twego ojca, a jednak wiem o nim wiele. Wiem, że pragnął dla swego ludu pokoju.

- Nie jest twoim zadaniem, by mówić o pragnieniach nie swego ludu.

- Więc mówię o swoich pragnieniach. Mieszkałem na tych ziemiach prawie dziesięć lat. Czy to nie czyni mnie podwładnym jednego z jego wielu księstw ?

Książę wzdrygnął się nieco, ale zachował kamienne oblicze.

- Twój ród nie pochodzi z naszych ziem. Nie jesteś dla mnie ważniejszy od chłopca - rzucił oschle.

- Chłopi to większość ludu twojej ziemi. Nie zapominaj o tym - zrugął go ostro Leoharl.

Książę Mrawy nie zdołał ukryć wrażenia, jakie zrobiły na nim słowa Leoharla. Jego postawa była zaskakująco odważna i opanowana. Leoharl nie mówił niczego, czego książę sam nie wiedział, a jednak czasem najprostsze prawdy docierają do uszu dopiero wtedy, gdy się je usłyszy z ust kogoś innego.

Jednocześnie Leoharl zdawał się karcić Mrawego, jakby był jego ojcem. Mrawego drażniła ta impertynencja. Wiek nie znaczy wiele bez doświadczenia, którym powinien być podparty.

- Kim jesteś, że masz czelność stawać przede mną i mówić do mnie tym tonem?

- Reprezentantem woli moich przodków, twego ojca i ludu tych ziem. Spadkobiercą ich pragnień. Wolą pokoju.

- Skąd możesz wiedzieć, czego mój lud pragnie? - zadumał się Mrawy takim przedstawieniem się przez Leoharla.

- Czy nie przyrównałeś mnie czasem do chłopca? Choć o moim rodzie już dawno ucichły pieśni, w moich żyłach płynie krew królewska. Tym niemniej, jak raczyłeś zauważyć, to z chłopstwem tej ziemi najłatwiej mogę się utożsamić. Znam ich pragnienia spokoju i zmęczenie ciągłymi wojnami. Coś, co stamtąd, z ich tronów, ciężko jest dostrzec synom króla.

Książę sapnął zrezygnowany.

- Nawet jeśli zechciałbyś spełnić ich wolę, marzenia o zjednoczeniu księstw są wręcz niedorzeczne. Nikt inny nie byłby dla nich gotów nadstawić karku.

- Nikt „inny”? - Leoharl złapał go za słowo.

- Nie łudź się. We mnie też nie znajdziesz sprzymierzeńca. Ani ja, ani żaden z moich braci nie zgodziłby się posadzić drugiego na tronie.

- Po to jestem.

- Ty?! - parsknął książę. - Upadła szlachta z obcej ziemi?

- Dlaczego nie? Jedno, co mnie od was odróżnia, to brak piętna, które wy nosicie w sercu. Jeśli bracia nie przyjmą władzy kogoś, kogo mogą uznać za równego sobie, niech oddadzą ją komuś obcemu.

Książę Mrawy nie wierzył bezczelności, z jaką przemawiał do niego Leoharl.

- Powiedz mi, o wspaniały Leoharlu, jeśli masz tak szczytny cel zjednoczenia królestwa, dlaczego przychodzisz z tym do mnie, co najmniejszą może zaoferować ci pomoc?

- To proste. Najmocniej doznając od swych braci upokorzeń, najlepiej wiesz, jak czują się słabi, gdy dostają w kość od mocniejszych. Wiesz, co czują, gdy nie ma przy nich nikogo, kto mógłby ich obronić. To koncept, który warto by wam, władcom, nieco bardziej przybliżyć. W końcu ci, co na samym dole siedzą, głosu w sprawie waszych braterskich sporów nie mają. Gdyby mieli, okrzyki niezadowolenia chórem krzyczane przez setki gardeł zagłuszyłyby wasze myśli.

Leoharl odetchnął raz jeszcze i wyciągnął do księcia rękę.

- Staję przed tobą jako samozwańczy delegat tych, których woli nie jesteś gotów wysłuchać. Nic się nie zmieni, jeśli nadal będziesz siedział na tronie i patrzył, jak bracia odrywają twoje ziemie kawałek po kawałku. Twój lud pragnie tylko jednego: zakończenia sporów. Weź tę dłoń i stań ze mną, byśmy razem mogli zrobić ku temu pierwszy krok.

- Mówisz, jakby było to coś tak prostego, że wystarczy ot, tak sobie, zacząć kroczyć do celu.

- Tak zacząłem i tak krocząc, planuję do niego dotrzeć. Choćby nie było to aż tak proste, staniemy naprzeciw wyzwaniom. Ale jeśli nie zaczniemy przesuwając nóg, możemy tylko stać w miejscu. Jeśli chcemy cokolwiek na tych ziemiach zmienić, musimy kroczyć.

Książę Mrawy zaśmiał się pod nosem. Śmiał się tak chwilę, aż w końcu roześmiał się głośniej.

- Ha, ha! Pysznie! Samozwańczy książę, o którym gadają, że zamek postawił w dzień i demony zaciąga w swe szeregi, teraz podstępem zakrada się do mego zamku, chcąc zjednoczyć ze mną swoją armię. Co więcej, sam staje bez nawet jednego woja w nadziei, że samymi głodnymi kawałkami nakarmi ludy moich ziem. Śmieszne! - zakpił, lustrując Leoharla śmiałym spojrzeniem. - Doprawdy, Katio, nie kłamałaś. Przybyłaś do mnie z wyśmienitym przedstawieniem! Aż zwijam się po podłodze ze śmiechu! - ironizował z powagą na twarzy.

Na te słowa Leoharl wyciągnął z pochwy na plecach swą broń, prezentując jej dwubarwne ostrze. Dwóch gwardzistów z halabardami stanęło przed księciem Mrawym. Dwaj za Leoharlem też dwa kroki zrobili naprzód. Leoharl był otoczony, a mimo to jakoś nie uspokoilo to księcia Mrawego. Wiedział, że w każdej krążącej po karczmach legendzie tkwiło ziarno prawdy. Nie chciał wiedzieć, o jakie ziarno chodziło w tej konkretnej historii.

Broń Leoharla wyraźnie różniła się od innych, jakie kiedykolwiek widział. Podejrzewał, że plan jego i Katii zakładał taki właśnie bieg spraw. Jeśli tak, pewnie sam ten człowiek zdołałby pokonać całą jego straż. Niepewnym wzrokiem spojrzął na okute drewniane drzwi za nim. To była jego jedyna szansa ucieczki.

Tymczasem, mówiąc dalej, Leoharl zachował spokój, mimo obelg, jakimi traktował go książę Mrawy.

- Nie wyśmiewaj mojej postawy. Nie miałem na marne ozorem. Mam odwagę i determinację, co silnie wspierają moją sprawę. Dają mi prawo wierzyć w moje powodzenie.

- Jeden miecz nie wystarczy, by pokonać armię.

- Te słowa gotów jestem podważyć. - Leoharl spojrzął na księcia Mrawego z wyzywającym uśmiechem na twarzy.

Zapadła cisza. Mierzyli się wzrokiem, oceniając swoje postawy. Leoharl oceniał, czy był przekonujący. Mrawy oceniał, czy Leoharl jest wariatem.

Kapitan, podobnie jak księżę Mrawy, przyglądał się Leoharlowi z uwagą. Pierwszy raz słyszał taką mowę, ale też po raz pierwszy słyszał jakąkolwiek przemowę Leoharla. Kapitan musiał przyznać, że choć jego dowódca język miał cięty i zdecydowanie do rozmów politycznych by się nie nadał, umiał przemawiać. Jego mowa nie rozwiązywała sporów, ale ujmowała swą szczerością duszę i serce. Kapitan mógł się zastanawiać, czy ta mowa tylko do samego księcia była skierowana, czy może chciał w ten sposób również i jego, i Katię zapewnić, jak poważne idee stoją za tą postawą. Leoharl wziął kolejny wdech, by ze spokojem i powagą przerwać dość długo już trwającą ciszę:

- Nie ma na tym świecie człowieka, który stanąłby przeciw całej armii. Jak zatem takiego człowieka byś nazwał, gdyby taką potęgę posiadał? O tym zamku krążą niesamowite pogłoski, tak jak wiele o demonach, aniołach i innych stworach spisano już legend. Niedaleko jednym od drugich, nie uważasz, księżę? - Leoharl uśmiechnął się podstępnie. - Powiem więcej: pogłoski o moich wyczynach są do legend całkiem podobne. Są tak samo niesamowite, jak one. A jednak istnieją i stoją tu, przed tobą. Powiedz zatem: czy sama moja obecność nie każe dać wiary legendom?

Księżę Mrawy przełknął ślinę. Słowa Leoharla zawierały w sobie zaskakującą prawdę: jeśli ten władający demonami władca zbudowanego w ciągu jednego dnia zamku mógł istnieć naprawdę, równie dobrze można by uwierzyć we wszystkie inne

tak samo niewiarygodne opowieści przez lata spisane w księgach. Wszystko było możliwe, jeśli tylko uwierzyć w to pierwsze.

- Przyszliśmy pokazać ci, że pokój nie jest tylko nieosiągalnym marzeniem. Przyszliśmy, byś razem z nami weń uwierzył.

- I jak niby zamierzasz mi to pokazać ?

- Krok po kroku. Zacznę od determinacji.

Leoharl oparł miecz o ziemię i skinął na Selistis. Ta wyszczerzyła zęby z zadowolenia. Ten przydługi i zdecydowanie zbyt poważny jak dla niej dialog zaczął ją już nużyć, ale teraz wreszcie i ona miała okazję do zabawy. Och, cóż to musiała być za radość! W mgnieniu oka przyskoczyła do gwardzisty stojącego za ich plecami i szarpnięciem wyrwała mu z rąk halabardę. Zdziwił się, gdy jego dłonie, zginając palce, nie namacały drzewca, który przed chwilą w nich trzymał. Pani w Czerni z niezmiennym uśmiechem oparła swą rękę o jego ramię i pchnęła go do tyłu tak, że z hukiem wylądował na ścianie.

Salą zatrzęsło.

Pięknie walnął, zostawiając na ścianie satysfakcjonujące wgniecenie. Nie za duże, by widzowie nie obawiali się, że chłopakowi coś się stało, a na tyle widoczne, by było co naprawiać. Nim drugi strażnik zorientował się, co się dzieje, Selistis już przy nim stała i już dwie halabardy trzymała w ręce. Przyjęła przy tym nieco inną pozę, z której łatwiej było jej kopnąć niż pchnąć, toteż drugi wylądował dużo dalej i na całkiem innej ścianie. Banan na twarzy Selistis na wieki utrwalił się w jego pamięci.

Chwilę wcześniej książę Mrawy rzucił się do drzwi, a jego straż przednia na Leoharla. Ten nawet nie drgnął, podobnie zresztą jak bezbronni Kapitan i Kaktus. No, nie do końca nie drgnął, bo głośno odchrząknął i gestem nakazał gwardzistom, by się obrócili. Książę Mrawy, dobiegłszy do drzwi, chciał już położyć rękę na klamce. Dłoń jednak zatoczyła łuk w powietrzu. Klamka w niewyjaśniony sposób spod dłoni mu uciekła. Znaczy się, w wyjaśniony sposób, ale książę nie chciał tym wyjaśnieniom

wierzyć. Otóż, trzymając w jednej dłoni dwie halabardy, drugą ręką Selistis ciągnęła go za fraki.

- Książę!!! - Gwardziści rzucili mu się na pomoc.

Pani w Czerni obróciła nieszczęsnego księcia przodem do nich tak, że padł krok przed swą strażą na czworaka. Ostrze jednej z trzymanyh przez nią halabard wymierzyła mu w kark. Bez słowa, wyczekująco wyciągnęła wolną dłoń do gwardzistów.

Nie załapali, że mają oddać jej broń. Musiała ponaglić ich wzrokiem. Zebrawszy wszystkie cztery halabardy, wyprostowała się i odsunęła na bok, uśmiechając się do swoich towarzyszy.

- Jeszcze raz! Jeszcze raz! - domagała się Kaktus.

Selistis wzruszyła ramionami, wyciągając do zdeorientowanego strażnika trzonek halabardy. W szoku już prawie wyciągnąłby po nią rękę, gdyby coś w głowie nie podpowiedziało mu, że ten gest równoznaczny jest z ryzykiem zebrania ciągów, jakie dostali ci dwaj wlepieni w ściany. Byłby zresztą siłą do powtórki zmuszony, gdyby nie karcący wzrok Kapitana, który mówił, że to jedna z tych sytuacji, w których Katii słuchać nie należy.

- Mmm... brakuje ci subtelności pokojownika - skomentował Leoharl.

- Cóż, racja. Ten pierwszy gest wcale nie przypominał pacnięcia - dorzucił swą pełną wyrachowania ocenę Kapitan.

Selistis wzruszyła ramionami i wypuściła z rąk halabardy. Upadły z hukiem objającego się o posadzkę metalu, tworząc mały stosik. Był znacznie mniej imponujący niż stos pokojownika, ale za to porządnie posortowany.

- C-co zamierzacie ze mną zrobić? Zabić? - Książę Mrawy przełknął ślinę, leżąc na czworakach.

- A gdzie tam. Fatygowałbym się z całą tą przemową, gdybym miał cię zabić? Siedź i słuchaj. Pojedynek! - Leoharl wskazał palcem sufit, jak gdyby jedno słowo miało rozwiązać wszystkie problemy na ziemi.

- He? - Książę Mrawy zareagował całkiem znajomo.

- Szukałeś człowieka, co w pojedynkę armię byłby w stanie zgładzić. Oto jestem. Staniesz na czele swej armii przeciw mnie jednemu.

-Ja?

- Któżby inny? Od zarania dziejów władcy okrywają się sławą, prowadząc swe ludy do boju!

- N-no... ale ja nie umiem walczyć.

Leoharlowi z miejsca mina zrzędła. Zadumał się. Tego nie brał pod uwagę. Wychowany na opowieściach o heroicznych bojach przywykł myśleć, że władca zawsze sam staje przed swoją armią, by swym przykładem pobudzić zapał wojska i wskazać żołnierzom słuszną drogę. Po co miałby to robić, jeśli nie umiałby walczyć ?

- Sławę szlag trafił - skomentował Leoharl, machając przy tym z pogardą. - Wyznacz najlepszego woja, swoją prawą rękę, by stanął w boju w twoje miejsce.

- Ale...

- Albo to, albo powalczę ja sobie z tobą tu i teraz. Co wolisz ?

Leoharla irytował ten opór. Owszem, książę Mrawy był przyparty do muru i pewnie przerażony do ostatniego sterczącego na jego plecach włosa, ale przecież był księciem. Powinien trzymać pewien poziom, jak choćby zaskakująco opanowany dowódca armii Wielkopyszego, co nie tak dawno szturmował zamek Leoharla. Wstyd mówić, ale nawet na tym polu ich wróg był od nich lepszy.

Tyle że ten chuderlawy książę to jedyny sprzymierzeniec, na którego w tej chwili Leoharl mógł liczyć. W swojej głowie uznał więc, że sam musi nadrabiać za niego siłą i odwagą. Na szczęście dla Leoharla był to najłatwiejszy z problemów i był gotów sprostać mu bez trudności.

- Każę spisać protokół - Katia zachowała przytomność umysłu, nie bez podstaw sądząc, że książę może w międzyczasie zechcieć zmienić zdanie i nakaże wrzucić Leoharla do lochu.

- Nie, nie - zatrzymał ją Leoharl. - Chcę ufać moim sprzymierzeńcom.
- Spojrzał księciu w oczy. - Chcę tylko, byś wykorzystał czas tego pojedynku na przemyślenia. Nie wymuszę na tobie żadnej decyzji. Masz moje słowo.

- W porządku.

- Ale...

Kapitan zatrzymał Katię w pół słowa, uspokajając ją ciepłym spojrzeniem. Z oczywistych powodów chciała zgłosić swój sprzeciw, widząc, jak Leoharl znów zaprzepaszcza szansę, mając dogodną dla siebie pozycję w rozmowach. Nie protestowała. Uśmiechnęła się tylko do Kapitana i przytaknęła, pokładając nadzieję w planie Leoharla. Niech robi, jak uważa. Jeśli pojedynku potrzeba, by wynegocjować pokój, niech i tak będzie. Kto w tamtym momencie wiedział, jakie tak naprawdę trzeba będzie podjąć kroki, by zjednać serca skłóconych przez zawiść braci?

* * *

Pojedynek miał się odbyć następnego ranka. Książę Mrawy nie zamierzał wycofać danego słowa. Bądź co bądź, był w tym względzie honorowy. O świcie Leoharl z resztą ekipy poszedł obejrzeć arenę, na której miało się odbyć widowisko.

Wstali wcześniej, bo Leoharl nie mógł spać. Za radą Katii, by zebrać audytorium, posłańcy rozgłosili zamkowemu chłopstwu, że będzie widowisko. Oczywiście Leoharlowi zależało na tym, by pojedynek zobaczyło jak najwięcej osób, bo w ten sposób jego idee nabrać mogły większego rozgłosu. Tym niemniej czuł z tego powodu pewien dyskomfort.

- No bo do tej pory pojedynkowałem się bez gapiów! - wyjaśniał.

- Panie, musisz się przyzwyczajać do tłumów. Potraktuj to jak trening przed przyszłymi publicznymi wystąpieniami - zachęcał go Kapitan.

- Właśnie! A poza tym, jak coś ci nie pójdzie i tamten osiłek

ci rękę utnie, to pewnie nawet nikt z trybun nie zauważy. Stoją całkiem daleko - oceniła Katia.

Leoharl zbladł jeszcze bardziej. Nie dlatego, że obawiał się rękę stracić, ale dlatego, że ten jakże żywy opis Kaktusa nałożył się na obraz areny, przed którą stali. Teraz w pełni uświadomił sobie rozmiar audytorium, przed jakim wystąpi. Cztery rzędy drewnianych ław mogły bowiem pomieścić przerażająco wielu chłopów, bo pewnie aż ze setkę.

Ach, tak, arena była całkiem mała. Nie miała nawet pasów do wyścigów konnych. Była to zwykła mała arena z udeptanej ziemi, z widownią po jednej stronie. Miała przy tym uduchowienie w postaci wielkiego dębu rosnącego na samym jej środku. Dąb był iście okazały i tak wielki, że swym cieniem zasłaniał połowę areny. Przy tym był na tyle gruby, że ze dwóch chłopów z powodzeniem mogłoby się za nim schować. W dobrym tonie było jednak tego nie robić, żeby widowiska przed trybunami nie ukrywać.

Ławy powoli zaczęły wypełniać się chłopstwem. Widać reklama była na tyle skuteczna, że co poniektórzy postanowili odpowiednio wcześniej zająć sobie miejsce. Leoharl przełknął ślinę.

- Czek... Czekajcie tu na mnie.

- Jesteś pewien, panie ? - z troską spytał Kapitan, widząc, jak Leoharlowi z całej tej tremy zasycha w gardle.

- Tak. To mój pojedynek. Siadźcie w ławie z księciem Mrawym.

- A jeśli nas oszukają? - zmartwiła się Kaktus.

- Tym lepiej, jeśli przy nim będziecie. Sama wasza obecność wywrze na niego presję.

- W porządku - przytaknęła Selistis. - Chyba wiesz, co robisz.

- Zawsze wiem, co robię - fuknął Leoharl, nieco obrażony. - Gdybym przy tak prostej przeszkodzie poległ, nie byłbym godzien stawać przed ludem tych ziem. Mam przecież poprowadzić ich ku drodze, która, jeśli pewne rzeczy pójdą nie po naszej myśli, równie dobrze może zakończyć się wojną. - Oparł rękę

o drewnianą poręcz przed trybuną wpatrzony w dąb na arenie. - Tak mizerny władca nikomu nie jest potrzebny - wyszeptał pod nosem.

Leoharl zacisnął pięści, zbierając się na odwagę, i bez słowa przeskoczył przez poręcz, stając w cieniu dębu. Wyciągnął swój miecz z pochwy na plecach i zamachnął się nim parę razy dla próby. Musiał się rozgrzać.

Przyznam ci, mój panie, że z początku całe to przedstawienie było zagadką. Z punktu widzenia podboju księżę lekkomyślnie narażał swoje życie w walce. Kapitan mógł się jednak domyślać, po co Leoharl to robił. Chciał, by jego sprzymierzeńcy z własnej woli złożyli w nim swoją nadzieję na pokój. Chciał pokazać, że ma siłę i odwagę, by ich ku niemu poprowadzić. Jak ty, panie, gdyby zawiodły cię słowa, wyraziłbyś swoją wolę?

Kapitan z drżącymi kolanami oparł się o poręcz, spoglądając pustym wzrokiem na swych towarzyszy. Spojrzał na Kaktusa, która bez ogródek rozważała możliwe scenariusze. Najciekawszy zdawał się być ten, w którym - będąc niezbyt zainteresowany kobietami - przywódca armii księcia Mrawego rzuci się w ramiona Leoharla zauroczony rozmiarem jego mięśni. Spojrzał też na Selistis, która z uśmiechem rozwijała i wzbogacała scenariusze Katii o sceny, o których Kapitan wolałby nie usłyszeć, a na które Kaktus mogła się tylko czerwienić. W końcu spojrzął na swoje ręce. Wciąż wątpił, że Leoharl jest gotów sprostać swemu zadaniu. Niech i temu podstarzałem już wojowi księżę pokaże swoją wolę. Niech pokaże, że Kapitan może bez strachu ze swą glewcią stanąć za nim w szeregu.

Rozdział 9

Podbój właściwy (W przeciwieństwie do tych poprzednich pseudopodbojów, w dodatku warunkowych)

- Paaaaaaanaanie i paaaaaanooooooooowie! Wznieśmy brawa dla wielmożnego księcia rodu Nieogarnych! Książęeee Mraaaaaawyyyyyyyy!

Pojawiły się zdawkowe oklaski. Było ich tak niewiele, że sprawniejsze ucho mogłoby zliczyć wszystkie. Ci, których księżę Leoharl wziął za lud tak bardzo zainteresowany walką, przyszli wcześniej, bo nie mieli nic innego do roboty.

Na łożę wszedł księżę Mrawy.

- Zebraliśmy się dziś na wezwanie wielmożnego księcia naszego, by podziwiać nieeeeeeeeeesamowite widowisko!

Wodzirej tego widowiska przeciągał każde zdanie w nieskończoność, jakby od tego zależała jego płaca. Księżę, wraz ze swoją przyboczną strażą, usadowił się na środku pierwszego rzędu. Selistis z Katią i Kapitanem stanęli o krok przed nim, opierając się o drewnianą poręcz. Pani w Czerni gapiła się na niego posępnie. Ów wzrok miał budować tę presję, o której Leoharl wspomniał. Chyba działała skutecznie, bo księżę Mrawy wyglądał na nieco wystraszonego.

- Żadnych numerów, jasne? - napomknęła go presja.

- J-jasne - potulnie zgodził się księżę, zdradzając swoje zakłopotanie.

- Myślisz, panie, że ten koleś ma jakieś szanse? - kpiąco spytał

jeden gość z przybocznej straży. Nie wiedział chyba za wiele o pojedynku ani czemu książę się tak owej kobiety stracha.

- Może się założymy? - podstępnie spytała Selistis.

- N-no...

- Dziś, proszę państwa, niebywała okazja! - przerwał im namolny głos roznoszący się po trybunach przez szeroką tubę stojącą przy jego stanowisku. - Oto dane wam będzie patrzeć, jak swym mieczem włada sama książęca krew! Przywitajmy gorąco...

Leeeeeeooooooooohaaaaaaarlaaaaaaa z rooooooduuuuuuu
Meeeeeeeemóóóóóóóów!!!

Przeciągły głos zdającego relację komentatora dzwonił w uszach. Tłum dołączył się swoimi pięcioma oklaskami. Selistis straciła zainteresowanie zakładem, wracając wzrokiem na arenę.

Z lewej strony trybun nadszedł książę Leoharl. Nie miał sakwy ani torby, z którymi zwykł chodzić. Jedynym jego wyposażeniem był jego dwuręczny miecz schowany w skórzanej pochwie na plecach. Ale też na coś swój pozostały ekwipunek wymienił. Jego lewe ramię pokrywała lśniąca we wschodzącym słońcu stalowa zbroja. Złożona z czterech płyt solidna stal pokrywała bark i ramię, kończąc się tuż za łokciem.

Taka zbroja miała bardzo wąskie zastosowanie, ale też nie można było liczyć, że wybrał ją tak od niechcienia. Tarczą i dwuręcznym mieczem nie da się władać, stąd ta najprostsza forma ochrony wydawała się najrozsądniejsza, bo nie krępowała ruchów. Pewnie była też konieczna, bo skoro nie miał pojęcia, przeciw komu przyjdzie mu walczyć, lepiej dodatkowo się zabezpieczyć.

- Proszę państwa! Naprzeciw temu wspaniałemu wojowi stanie nie pół chłopca, nie jeden, a cała książęca armia!

To był moment, w którym entuzjastyczny głos wodzireja powinien był wzbudzić falę westchnień uznania wobec tak niesamowitego wyzwania. Widownia jednak chyba coś więcej od Leoharla o tym wyzwaniu wiedziała. Ogłoszenie spotkało się bowiem najwyżej z leniwie podniesionymi brwiami.

- Przewodził jej będzie dobrze wszystkim znany, nieugięty w bojach, nieustępliwy i niepokonany pierwszy generał wojsk księcia Mrawego! Przywitajmy go gorącym okrzykiem! Baaaaaaaark „Niiiiiszczyyyyyyyicieeeeeeeeeei" Pooooosęęęęępnnyyyyyyyyyy!!!

Wrzawa zdawała się siedem razy głośniejsza niż ta wzbudzona dla Leoharla. Oczywiście tylko taką się zdawała. Pamiętajmy: las rąk. Zresztą nawet i tę garstkę widzów komentator zaczął już irytować.

Zza dębu wyłonił się cień wojownika. Nie był zbyt imponujący. Nie był olbrzymem dwa razy większym od księcia ani nie miał parszywej twarzy, na którą nie dało się patrzeć. Wobec tego braku stereotypowych cech stojącego na arenie przeciwnika można poczuć się zawiedzionym, widząc, że wyglądał jak zwykły woj w lekkiej półpłytowej zbroi. Wszedł na arenę z otwartym z przodu hełmem na głowie, tarczą w lewej dłoni i dwiema pochwami umieszczonymi po obu stronach tułowia i kryjącymi dwa krótkie miecze.

Lśniący zbroja i błękitne wykończenia stroju oraz dumna mina sprawiły, że wyglądał na dystyngowanego, co samo w sobie miało siał w przeciwniku grozę. Wyhaftowana na piersi flaga oznajmiała wszystkim, że należy do armii księcia Mrawego. Insygnia na ramionach informowały o jego randze pierwszego generała. To wszystko nie współgrało zbyt z samym osobnikiem, który chodził w tym stroju. Krótkowłosy młodzieniec za nic nie pasował na generała. Na oko mógłby być od Leoharla ze dwa razy młodszy.

Wodzirej podniósł głosem prawil wojowi komplementy, podczas gdy ten zbliżał się do Leoharla. Walka miała się rozpocząć lada moment.

- Ty jesteś moim przeciwnikiem, Bark? - bez emocji spytał go książę.
- Baark - poprawił go generał.
- No Bark, nie ?

- Baark.

- A... to przez tego durnia, co to tak przeciągle gada. Więc Baark jesteś, tak?

- Baark Posępny. Cieszę się, że mogę stanąć z tobą w boju, książę Leoharlu.

Baark uklonił się głęboko. Widać, że nie był pierwszym z brzegu wojem, co bez uznania dla przeciwnika mieczem machać tylko potrafi. Leoharl odwzajemnił pokłon.

- Dobrze... wszystko fajnie, ale... czy nie było mowy o jakiejś tam armii ?

- Była, masz rację.

- Aha, czyli się nie przesłyszałem. No bo wiesz, pamiętam, że tak się wczoraj z księciem Mrawym umawiałem...

- Dobrze pamiętasz, mój panie.

- Aha, to dobrze.

Leoharl był nieco skonsternowany. Nie bardzo wiedział, jak inaczej mógłby o tę sprawę zapytać.

- No więc... armia? - spróbował.

- Jest w drodze. Proszę o cierpliwość.

Odetchnął z ulgą. Na szczęście nikt o niej nie zapomniał. Bał się, że nic z jego planu popisowego boju nie wyjdzie, bo książę zapomniał postawić przeciw niemu armii. Tymczasem żołnierze byli tylko trochę spóźnieni.

Leoharl podrapał się w przykryte zbroją ramię. Chyba go swędziało. Czekanie trochę zaczęło go już nużyć i był gotów zaproponować Baarkowi jakąś grę, dzięki której mogliby zabić czas, ale zrezygnował. W oddali poczęła się do nich zbliżać jakaś grupka ludzi. Leoharl oparł swój oręż o ziemię, wbijając w nią jego rozdwojone ostrze, i sapnął, kładąc obie dłonie na rękojeści. Rozumiał już, dlaczego armii tak wiele czasu zajęło przybycie.

- To ich armia? - Kapitan sapnął zrezygnowany.

- W całej swej okazałości - radośnie przytaknęła mu Katia.

- Nie kłamał, mówiąc, że niewiele jest w stanie wesprzeć w boju Leoharla. - Selistis spojrzała wymownie na księcia Mrawego.

Powoli, mozolnie, armia doczłapała się wreszcie przed trybuny. Prezentując nową modę, żołnierze dumnie eksponowali zdobiące większość ich ciała piękne idealnie białe, świeżo założone... bandaże.

- Co wyście mi tu przyprowadzili? - Leoharl był wyraźnie zbulwersowany.

- To... armia księcia Mrawego. Dopiero co powróciłem z nią z boju z księciem Wielkopysznyim o ziemie północne - wyjaśnił sytuację Baark, trudząc się, by swą godność zachować.

- Przez maszynkę ich przemielił czy co?

- Można to tak nazwać - mruknął Baark pod nosem. - Bitwa, jak się domyślasz, panie, nie wypadła najlepiej.

- Nie ma tu miejsca na domyślanie się. Jej wynik stoi przede mną czarno na białym.

Baark zmarszczył nieco czoło i spojrzał na swoich podwładnych. Koło setki woja, jęcząc, stękając i stosownej pozycji, która bólu by im nie sprawiała, szukając, miny miało całkiem posępne. Widząc, że kpiny Leoharla wcale nie poprawiają już i tak nadwątlonego morale wojska, wystąpił przed Leoharla odważnie.

- Może w kość dostali, ale na wezwanie swego władcy stają. To dumni wojownicy, godni powierzonej im funkcji obrony księstwa. Choćby nogi połamali czy nadgarstki zwicznęli, jeśli tylko broń mogą utrzymać w ręce, będą walczyć dalej, a ja na ich czele.

- To prawda! Ała! - poparł go jeden z podwładnych.

- Póki stać możemy!

- Ała...

- Drżysz przed armią księcia Mrawego!

Okrzyki zagrzewające do walki mieszały się nieco z bolesnym pojękiwaniem, ale i tak dało się w nich wyczuć nieugiętą wolę, którą Baark tak dumnie opisywał. Leoharl odchrząknął

zmieszany. Co mógł odpowiedzieć? Nie będzie przecież bił się z wojami, których silniejszy podmuch wiatru przewróci na plecy.

- W porządku - w końcu znalazł rozwiązanie. - Zatem stań na ich czele i walcz ze mną, a dopiero gdy ty polegiesz, stanę przeciw twojej armii.

- Niech tak będzie, panie.

Leoharl uśmiechnął się złowieszczo i zamaszystym ruchem wyciągnął miecz z ziemi i uniósł go przed siebie.

- Ooooooch! Leeeeoooohaaaarl szykuje się do walki!!! - Komentator zareagował prawie natychmiast. - Proszę państwa! Oto rozpocznie się...

Głos umilkł, jakby jego właściciel został trzepnięty obuchem w głowę.

Ta analogia, mój panie, okazała się całkiem trafna. Selistis uznała bowiem, że dość już się tego głosu nasłuchiwała, i łapiąc w ręce pałkę jednego ze strażników areny, posłała ją w powietrze, celując w łeb wodzireja. Wprawne oko, muszę przyznać, bo trafiła idealnie. Jednoosobowa obsługa stojącej przy trybunach wielkiej tuby padła na płask i nie zamierzała powstać.

- Kontynuować! - zakomenderowała Selistis.

- Twoja podwładna ma temperament - zauważył Baark.

- Ba!

- Przyznaję, że mnie też ten gość już działał na nerwy. Baark wyciągnął krótki miecz z pochwy. Choć miał przy sobie

dwa, w drugiej ręce trzymał tarczę, więc władał jednym. Drugi służył zapewne do zmiany stylu walki, gdyby zaszła konieczność. Tarczę mógł przecież odrzucić, kiedy zechce. Leoharl skinął głową, uznając walkę za rozpoczętą. Stanął w półkroku, ale z nieco opuszczonym mieczem, nie inicjując żadnej próby ataku. Baark zdziwił się nieco. Spodziewał się, że wojownik z cięższym od jego mieczem będzie starał się wywierać na niego presję albo chociaż stanie tak, by móc się wprawnie bronić. Leoharl nie

próbował ani jednego, ani drugiego. Baark, nie oceniając pochopnie Leoharla, ostrożnie zrobił krok naprzód.

Ciosy Baarka były proste i dobrze wyuczone. Jego wprawę było widać wyraźnie. Za każdym prostym cięciem szło następne, a za szerokim zamachem szedł odruch wystawionej przed pierś tarczy. Przeciwnik nie próbował kontratakować, co mogło znaczyć, że będzie próbował Baarka zaskoczyć. Wyuczona pozycja obronna w pewnym stopniu chroniła młodzieńca przed nieznaną taktyką wroga. Świadek dobrej szkoły walki.

Każde cięcie Leoharl przewidywał, robiąc krok w lewo, uginając ciało lub odskakując. Choć robił to wprawnie, z konieczności przez cały czas się wycofywał. W tym układzie Baark miał nad nim przewagę.

Baark zatrzymał się na jeden długi oddech. Tłum zawrzał, bijąc brawa. No dobra, mój panie, nie dałeś się nabrać. Chciałem podnieść nieco dramatyzm pojedynku, stawiając na widowni wiwatujące tłumy, które powinny były przecież się zjawić, ale się nie udało. Tak naprawdę tylko Katia zawrzała, kibicując wojom. Do dziś nikt nie ustalił, któremu.

- Nieźle! Nawet jednej szansy mi nie dałeś. Twoja obrona jest perfekcyjna - przyznał Leoharl.

- Nie trudno zdominować przeciwnika, który nie oddaje.

- Nie oddaje? Więc dlaczego chowałeś się za tarczą? Leoharl rozluźnił ramiona i miecz przed nos podnosząc, stanął gotów do ciosu. Zważ, mój panie, że Leoharl włada kupą ciężkiej stali, a pomimo tego kolejne ciosy zadawał prawie tak szybko, jak będę o nich wspominał:

Zatem... ciął po skosie w lewo. Krok zrobił i miecz przestawił, by ciąć nim w prawo. Obrócił w dłoniach rękojeść i ciął poprzecznie. Znów dłonie na rękojeści przestawił i ciął w górę, by z kolejnym wy krokiem z impetem spuścić miecz na dół. Ząbkowane ostrze zawisło dwa palce nad ziemią.

Widownia zamilkła w skupieniu. Te pięć podstawowych ciosów uczą w każdej szkole walki. Ich zaliczenie, wraz z innymi przedmiotami, zajmuje wojownikom pierwszy rok studiów, albowiem nie same ciosy mają tu znaczenie, a ich wykonanie. Perfekcja każdego obrotu, siła i czas wymachu. Gdybym Leoharla egzaminował, mój panie, dostałby zaliczenie z wyróżnieniem.

Zatrzymując miecz tuż nad ziemią, Leoharl okazywał kontrolę, jaką miał nad siłą swoich ciosów. To sztuka, która wymaga lat praktyki. Ciosy Leoharla były potwornie proste, ale i widownia, i Baark stali w osłupieniu. Leoharl odwzajemnił prezentację kunsztu generała swoją własną. Baark nie mógł ukryć zdumienia. Był pod wrażeniem.

- No to skoro już się sobie przedstawiliśmy, możemy zacząć na poważnie - oznajmił spokojnie Leoharl, wracając do swej poprzedniej pozy.

Baark nie odpowiedział. Poprawił chwyt na mieczu i zrobił wykrok. Nie był gotów zaatakować. Nie wiedział, jak podejść do Leoharla. Czekał zatem na ruch z jego strony.

Metaliczny odgłos parowanych ciosów dźwięczał w uszach siedzących na drewnianych ławach widzów. Każdy jeden, jakkolwiek było ich niewielu, patrzył na tę walkę w osłupieniu. Ktoś w końcu przełamał ciszę i zaczął krzyczeć, zagrzewając przeciwników do boju. Nie kibicowali żadnemu z walczących, a samemu widowisku, którego byli świadkami.

Baark zwinnie parował ciosy Leoharla. Jego krótki miecz wprawnie wirował w powietrzu, ale równie wprawnie wokół niego skakał sam Leoharl. Teraz wreszcie walczył tak, jak Baark tego oczekiwał, co jednak oznaczało, że generał nie miał wiele miejsca do ataku. Leoharl zamachnął się mocno, tnąc szerokim łukiem. Ten potężny cios byłby gotów złamać wrogą tarczę, gdyby Baark wystawił ją do bloku. Zamiast tego odskoczył i wygiął ciało do tyłu tak, że ostrze miecza minęło go kilka palców od zbroi. Teraz księżę był zupełnie otwarty na jego atak.

Baark natychmiast wyprowadził cios znad głowy. Kapitan w napięciu zacisnął palce na drewnianej belce, widząc, że młodzieniec dał się wciągnąć księciu w pułapkę.

Widziałeś pewnie, panie, ten manewr na wielu pokazach kunsztu miecza, ale czy wiesz, jak trudno jest go wykonać w walce? Gdy generał swój cios zadał, Leoharl oderwał na moment piętę od ziemi i wykorzystując bezwładność miecza, momentalnie obrócił się wokół własnej osi. Gdy oręż Baarka sięgnął swego celu, zamiast w ciało czy bok uderzył w wystawione ku niemu lewe ramię Leoharla. Ramię, które książe przed walką roztropnie pokrył stalą.

Miecz, iskrząc, prześlizgnął się po płytach zbroi. Leoharl w śmienicie zaplanował swój manewr. Złapał rękojeść swojej broni drugą ręką i wydając z siebie okrzyk odpowiedni do wysiłku, jaki włożył w to zagranie, dokończył obrót. Baark nie mógł już nic zrobić. W pośpiechu wystawił tylko tarczę w nadziei, że obroni go przed tak silnym ciosem.

Tępy huk odbił się od murów zamku. Widownia zaszemrała w podnieceniu i zamilkła. Pod siłą ciosu z obrotu przyjętego źle ustawionym do niego ciałem Baark obrócił się wokół własnej osi i padł na ziemię. Jego hełm spadł mu z głowy i przetoczył się po ziemi, odsłaniając oblicze młodego wojownika. Chwilę później trochę dalej upadła też jego tarcza. Broń Leoharla wgięła ją do wewnątrz i zerwała z ręki Baarka zbitą stalą skórę, która trzymała tarczę w miejscu. Leoharl oparł miecz o ziemię i ciężko wypuścił z płuc powietrze.

- Co ty na to? - Z uśmiechem satysfakcji spoglądał na leżącego na ziemi przeciwnika.

- Imponujące. Naprawdę... imponujące.

Baark pozwolił sobie chwilę poleżeć na ziemi. Wstał z niej w końcu, badając swoje lewe ramię. Musiało go mocno boleć. Ale ku zdumieniu Leoharla, nawet upadając na ziemię, nie wypuścił z ręki swego oręża. Nie był z tych, co łatwo dają się powalić. Stał

przed nim i bolącą, ale sprawną ręką sięgnął do pochwy, dobywając drugiego miecza. Wzbudził tym gestem wrzawę audytorium.

- No proszę. To również całkiem imponujące. - Leoharl nie krył podziwu.

- Jeśli dane mi było ten cios przeżyć, moja walka nie dobiegła końca - oznajmił odważnie Baark.

- Nasz Baark nie poddaje się nigdy! - krzyczał ktoś z tłumu.

- Dalej, dalej! Pokaż mu, co potrafisz! - dopingował ktoś inny.

- Łał! Baark ma wielu fanów. - Katia przyklaskiwała. Kapitan rzucił okiem na jej zafascynowaną twarz. Nie wiedząc czemu, cieszył się, że Baark nie był blondynem.

- Wprawny w boju. Jego wojsko musi go uwielbiać - zauważył.

- Nie bardzo widać tę jego wprawę - przycięła Selistis.

- Czego od niego oczekujesz, pani ? Walczy z Leoharlem - zauważył Kapitan. - Poza tym, jak mówił, chwilę wcześniej wrócił z boju z księciem Wielkopyszny. Widzisz, w jakim stanie jest jego armia? A czy widzisz na jego ciele chociaż jeden bandaż?

Selistis rozważyła słowa Kapitana. Miał rację. Fakt, że z boju z przeważającą liczebnie armią wroga wyszedł bez szwanku, wiele mówił o jego sprawności w walce.

Baark zrobił zamach na Leoharla, wznawiając pojedynek. Walka dwoma mieczami drastycznie różni się od walki z tarczą. Przede wszystkim teraz młodzieniec mógł ciąć znacznie szybciej i w wielu różnych postawach, wyprowadzając szereg złożonych ciosów. Ale rzucił się do ataku nie po to, by pokazać wachlarz swych umiejętności. Wiedział, że walcząc teraz bez tarczy, nie mając zatrzymać potężnego wymachu dwuręcznego miecza. Jeśli da Leoharlowi szansę do ataku, rozdwojonego ostrza nie powstrzyma żadna siła ani lekka zbroja. Nie mógł mu na tę swobodę pozwolić.

Problem z walką pomiędzy równorzędnymi przeciwnikami jest taki, że przez pół walki obaj wojowie się męczą, nie raniąc się nawzajem. Baark uważnie wyprowadzał każdy cios, a niedokładność ciosu pierwszą ręką poprawiał ciosem z drugiej. Przewaga,

którą dwa ostrza mają nad jednym, odwróciła poprzednią sytuację. Teraz to Leoharl nie mógł wyprowadzić ciosu. Co nie znaczy, że trwał w impasie.

Intensywność i tempo wymachów Baarka sprawiały, że walcząc, wylewał dziesiąte poty. W dodatku ciosy lewą ręką były znacznie słabsze. Leoharl obserwował je uważnie, planując, jak mógłby je skontrolować. W końcu jednym gwałtownym krokiem zamarkował atak, a gdy Baark z powodu tej finty odskoczył, Leoharl zrobił to samo, tworząc między nimi przepaść prawie dwóch kroków.

Baark zrobił więc coś, czego nie wolno mu było zrobić. Dał Leoharlowi dystans potrzebny do wyprowadzenia dowolnego wymachu. Przełknął ślinę, wiedząc, że kolejny błąd może być jego ostatnim.

Leoharl spoważniał.

- Możesz się poddać, wiesz?

- Jeśli chcesz mi ubliżyć, musisz bardziej się postarać - stanowczo oznajmił młodzieniec.

- Wcale nie chciałem nikomu ubliżyć - mruknął pod nosem nadąsany książę.

Zrobił krok i zamierzył się z silnym cięciem. Ciął raz i drugi. Baark był gotów i wiedział, jak odpowiedzieć. Miecz Leoharla przeciął powietrze, ale zanim generał zdążył wykorzystać tę szansę, dostrzegł cofniętą nogę Leoharla. Za późno zauważył tę pozę. Leoharl nie stworzył dla niego szansy, a raczej ponownie w tym starciu wciągnął Baarka w pułapkę. Robiąc krok do przodu, Leoharl naparł na niego swym okutym zbroją ramieniem. Zwycięskim dla księcia okazał się więc cios zbroją.

Baark stracił równowagę, bezwładnie stawiając krok do tyłu. W tym czasie Leoharl wyprowadził pchnięcie na wprost. Takie, które gdyby nadać mu odpowiednią siłę, z powodzeniem przebiłoby na wylot i zbroję, i ciało. Baark nie miał już ani czasu, ani możliwości, by cokolwiek zrobić. Przymykając oczy, wystawił swoją broń przed pierś w nadziei, że w jakiś cudowny sposób zbije

ten cios. Czubki ostrza Leoharla zatrzymały się na zbroi Baarka, a jego krótki miecz utkwił w szczelinie pomiędzy nimi. Leoharl uraczył go miłym, jak na tę sytuację, uśmiechem i sięgając do wydłużonej części rękojeści, przekręcił ją w bok.

Pamiętasz, mój panie, jak mówiłem, do czego księciu tak skonstruowany miecz? Otóż właśnie do tego. Krótki miecz Baarka wyleciał mu z dłoni i wylądował na ziemi. Wybite przez broń Leoharla ostrze wygięło się w łuk, tak silnym chwytem generał trzymał je w dłoni.

Leoharl odsunął swe ostrze od piersi przeciwnika. Baark oniemiał, wpatrzony w leżący na ziemi, wygięty w pół kawałek bezużytecznego metalu. Wzrokiem sięgnął do drugiego, równie bezużytecznego już, choć wciąż jeszcze prostego kawałka stali, który trzymał w lewej dłoni. Był to ostatni oręż przeciw temu przerażającemu przeciwnikowi. Przełożył miecz do prawej dłoni i obrócił, przeglądając się w jego ostrzu. Nie dawał mu już niczego. Żadnych szans w starciu z wielkim żelastwem w dłoniach Leoharla. Gdyby miał chociaż odpowiednią zbroję, ale biorąc pod uwagę, że była to tego typu walka, można by powiedzieć, że odziany był w łachmany. Miał na sobie skórę i kolczugę, tu i tam pokrytą płatami stali. Idealną na naprawdę wiele okazji.

Ale nie do takiej walki. Nie do starcia z siłą, której nie może podolać, ze zwinnością, której nie może przechytryć, i taktyką, której nie znał i nie rozumiał. „Kto walczy w ten sposób? Kto pozwala sobie wystawić bezbronne ciało w pełnym obrocie? Kto robi zamach, zostawiając nogę z tyłu? Kto?!” - Baark zawzięcie pytał się w myślach.

- Poddaję się, książę. Wygrałeś. - Baark spuścił ze smutkiem głowę.

- Wyśmienicie! - uradował się książę.

Rozbrzmiały okrzyki i oklaski widowni. Przez moment ta garstka gapiów zdawała się robić hałas zaiste godny tego przedstawienia. Leoharl podszedł do Baarka i poklepał go po ramieniu.

- Znieważyłeś mnie, książę, wiesz o tym? - pytał Baark z wyrzutem.
- W jaki sposób?
- Mogłeś zabić mnie dużo wcześniej. Tymczasem pozbawiłeś mnie tarczy i miecza i nadal drwiąc ze mnie, czekałeś, aż desperacko rzucę się na ciebie po raz trzeci. Przykro mi, że nie dałem ci tej satysfakcji - prychnął.

- Przykro mi, że tak to odebrałeś.

Książę był wyraźnie zasmucony. Od początku zwycięstwo było dla niego tylko środkiem, nie celem tego pojedynku. Zupełnie jednak pominął w głowie kwestię tego, że ten pojedynek przed armią, tłumem chłopstwa i księciem Mrawym pokazywał, że najlepszy generał tego księstwa nie potrafi stawić Leoharlowi czoła.

- Przepraszam. - Książę skruszył się, zostawiając ramię Baarka w spokoju. - Za młodu miałem uczniów w twoim wieku, co parali się sztuką walki. Z czasem nawet byłem wśród tych, co ich egzaminowali. Przywykłem w trakcie walki oceniać i dawać więcej niż jedną szansę. Wybacz. Twój wiek... trochę mi o tych czasach przypominał - frasował się książę.

Baark zadumał się nad tymi przeprosinami, ale nie odpowiedział. Usiadł tylko na ziemi, dając mięśniom odpocząć.

- Wiesz... chciałem tą walką coś twemu księciu przekazać. - Leoharl próbował się wytłumaczyć. - Ale nie wiem, czy nieobeznany w boju laik zrozumie, że nie wygrałem z tobą siłą, a rozwagą i opanowaniem.

Spojrzał na siedzącego w swej łoży księcia Mrawego, który drapał się po swej nieowłosionej brodzie. Ten popis w żaden sposób nie zmieniał jego sposobu myślenia. W końcu ta część dzisiejszego wystąpienia w dużej mierze była, mimo wszystko, tylko tym: przedstawieniem. Proponując to wyzwanie, Leoharl prezentował pewność siebie. Można było odgadnąć, że nie stanąłby na tej arenie, gdyby nie był pewien, jak się pojedynek zakończy. Książę Mrawy wiedział o tym tak samo, jak Leoharl.

- Do perfekcji opanowałem swoje umiejętności i jestem z tego dumny
- przyznał Baarkowi Leoharl. - Być może nawet czasem jestem i pyszny. Ale przecież pycha jest niezbędną cechą każdego władcy. Bez niej nie jest gotów sprostać silniejszemu od siebie przeciwnikowi, na którego rozsądny wzrok woja spojrzałby inaczej. Bez pewności siebie wojownik z jednym krótkim ostrzem nie stanie do walki z lepszym od siebie rycerzem, co włada mieczem dwuręcznym. A przecież prawdziwego wodza rozpozna się właśnie wtedy, gdy zmuszony do tej nierównej walki zdoła otaksować przeciwnika spojrzeniem i prychnąć mu w twarz z ironicznym uśmiechem.

„Prychnąć w twarz” - Baark powtórzył w myślach słowa Leoharla. Nie był gotów na taką zuchwałość. A Leoharl? Baark był pewien, że ten człowiek nie cofnie się przed niczym. Przecież właśnie z tą pozą i tym uśmieszkiem stanął na arenie gotów z całą armią w pojedynkę walczyć.

Baark zrozumiał, jak wielka jest między nimi przepaść. Choć za generała uchodził, w duchu musiał przyznać, że wobec postawy tego samozwańczego księcia był zaledwie zwykłym szeregowcem.

- Walczyłeś wysmienie - przyznał mu Leoharl. - Jeśli zechcesz do mnie dołączyć, będę zaszczycony.

Stojący za Baarkiem tłumek zaczął się niepokoić. Leoharl sapnął przeciągle. Wygląda na to, że i z nimi będzie się musiał rozprawić.

- Tylko nie bij mocno - jęknął któryś z pierwszego szeregu.

- W zasadzie to mógłbyś nas już za pobitych potraktować - stwierdził drugi.

- Nie to, żebyśmy się od walki chcieli wymigać...

- Nie, wcale.

- My tak tylko...

- No co, ponarzekać nie wolno?

- Będzie boleć, nie?

- Ała... - lamentowali.

Leoharl szeroko zamachnął się mieczem. Kilku wojów cofnęło się, pojękując. Nieskładnie wystawili przed siebie piki.

- Przedstawiłeś nam całkiem imponujące widowisko, Leoharlu Memie! - krzyczał za nim z trybun książę Mrawy. - Ale jeśli myślisz, że tym popisem nakłonisz mnie, bym rzucił się za tobą w ogień, to się mylisz.

Leoharl zamachnął się raz jeszcze. Odczekał przy tym, aż woje zdołają się ustawić tak, by uniknąć i tego ciosu.

- Oczekujesz od tego postronnego księstwka, by otwarcie ruszyło na Wielkopysznego - ciągnął Mrawy. - Czy nie widzisz, że bez twoich głupich pomysłów i tak mamy na głowie już wystarczająco dużo problemów?

Leoharl machał z jednej i z drugiej strony, robiąc kolejne kroki. Walnął przy tym tego czy owego, który nieco się do niego zbliżył, w zbroję czy tarczę. Powalał ich na ziemię jednym ciosem. Liczebnie mieli nad nim sporą przewagę. Gdyby Baark, który dalej na trawie siedział, wydał im taki rozkaz, z powodzeniem mogliby go otoczyć. Ale ich generał wiedział, że nawet gdyby stanęli kołem, nie daliby mu rady. Zdołałby ściąć sporą liczbę wojów, nim mogliby spróbować cokolwiek mu zrobić. Miał zwinność i wprawę, której w tym stanie nie umieli się przeciwstawić.

- Jeśli oddałbym ci choćby jednego woja, jeden mniej zostanie, by bronić żyznej ziemi, która chleb daje mojemu ludowi -ciągnął Mrawy.
- To coś, na co nie mogę pozwolić.

Leoharl po wykonaniu kolejnego zamachu stanął, miecz przed sobą wznosząc. Armia zwarcie, w szyku, schowała się za drzewo.

- Moja armia nie jest zdolna stawić czoła Wielkopysznemu. Tylko na marne potraciłbym w boju wojów. Nie zamierzam się ośmieszać i narażać w ten sposób reszty mego ludu na gniew brata.

- To gnij dalej na tym swoim tronie! - wybuchnął Leoharl. - Sam stanę do boju, choćbym zamkowe skały miał mieczem kruszyć! - krzyczał. - Nie ma wroga, przed którym się zatrzymam. Problemu, któremu nie sprostam!

To mówiąc, Leoharl wymierzył wzrokiem odległość do armii i przyjął stosowną pozę, grożąc wojom ciężkim kawałkiem stali trzymanym jedną tylko ręką. Zrobił zamach, a korzystając z siły swego rozpędu, zakręcił piruet. Przebierając nogami, z jednego obrotu od razu przeszedł w drugi. Następnie zrobił trzeci i czwarty, a z każdym obrotem przesuwał się nieco do przodu, coraz bliżej armii. Woje widząc, że wirujące ostrze nieustannie się do nich zbliża, oszacowali, że drzewo wcale nie daje im tak bezpiecznego schronienia, jak by myśleli. Jeden z drugim poczęli się wycofywać. Inni z fascynacją wpatrywali się w Leoharla.

Tymczasem był już mniej niż pięć kroków, mniej niż cztery od celu. Za chwilę ostrze miecza dotknęłoby kory drzewa. Będąc już tak blisko, Leoharl rozpoczął właściwy manewr. Idealnie przygotowanym ruchem przyciągnął miecz do ciała, w wyskoku odbijając się od ziemi. Te ruchy w połączeniu ze sobą sprawiły, że zaczął obracać się z ogromną szybkością. Opadając, skrzywił ciało na bok. Skok był krótki i niski, ale pęd tych obrotów oraz masa miecza sprawiły, że gdy Leoharl z ogromnym wysiłkiem wystawił oręż przed siebie, wstrząsnął całą trybuną! Miecz uderzył o drzewo pod kątem i z charczącym chrzęstem zatrzymał się w ziemi.

Żołnierze wpadli w popłoch pełen jęków, popchnięć i strachu, w którym dało się wyczuć zakłopotanie. Stojący najbliżej drzewa woje spojrzeli ze strachem na Leoharla, aż wreszcie niepokojący dźwięk przekrzywiającego się na bok pnia przywrócił im zmysły. Tu, mój panie, armia zobrazowała trzy możliwe szkoły ucieczki przed niebezpieczeństwem. Ta pierwsza, którą znajdziesz w teatrze, to taka, gdy bohater ucieka przed potężnym, ciężkim, lecącym na niego drzewem w kierunku opadania jego pnia ku ziemi. To technika, dzięki której widownia najdłużej nie może być pewna, czy bohater przed drzewem uciec zdoła. Tak uciekało wielu i choć kilku faktycznie uciec się udało, kuśtykająca część armii była o wiele za wolna, by poradzić sobie z tym

wyzwaniem. Druga szkoła to ta rozsądniejsza, której uczniowie biegli na bok, stosunkowo szybko wychodząc poza zasięg rażenia konarów drzewa. Była jeszcze trzecia - zrzeszała tych, co się nie dostali do tych dwóch poprzednich. Ci w spokoju patrzyli na majestat wolno opadającego dębu, nie ruszając się z miejsca. Nieszczęśnikom z tej szkoły potrzeba było zarezerwować największe zapasy bandaży. Nieprędko zdejmą je z głowy.

Przy euforii podnieconego zdarzeniem audytorium, wrzaskach uciekających wojów, zgrzytach i szeleście drzewa majestatyczny wielki dąb opadł z hukiem na ziemię, swoimi gałęziami przygniatając znaczną część wojów, resztę rozganiając na wszystkie strony. Tym jednym fenomenalnym posunięciem Leoharl, jak obiecał, rozgromił armię księcia Mrawego.

- Toż to kpina! Miecz takich rzeczy nie robi! - podniesionym głosem zaoponowała Selistis. - Ładnie wykuty czy nie, nie robi i już! W dodatku równania potrzebne, by to wszystko opisać, nie zostały jeszcze wymyślane!

Zdawała się mocno poruszona i mamrocząc coś o momencie bezwładności i momencie pędu, obeszła drewnianą podporę, mierząc ku Leoharlowi. Gestykulowała przy tym namiętnie przed oczami, jakby sama sobie chciała coś wyjaśnić.

Kapitan nie mógł uwierzyć w to, czego Leoharl zdołał dokonać. Ale przecież cała widownia wraz z nim widziała na własne oczy, jak Leoharl jednym cięciem powalił wiekowe drzewo. Sam Leoharl wydawał się swoim wyczynem niewzruszony. Powstał z ziemi i spojrzął w stronę księcia Mrawego. Odnalazł swój miecz, który na koniec był mu w całym zamieszaniu z rąk wypadł, i wyciągnął go z ziemi. Złapał za rękojeść lewą ręką i wymierzył nim w siedzącego na trybunach księcia. Siła uderzenia wgniotła ostrze miecza, wyginając jedną z rozdwojonych końcówek na zewnątrz. Wyglądało to dość pokracznie, niczym niezbyt wprawnie wykonane widły. Leoharl wziął oddech i krzyknął, ile mocy miał w gardle:

- Twoja armia poległa. Jeśli się nie mylę, to oznacza, że przegrałeś ze mną bitwę! - krzyczał. - Sam jeden podbiłem twe księstwo i podbiję następne, jeśli taka zajdzie potrzeba. Jak długo ten miecz leży w mojej dłoni, tak długo starczy mi sił, by nim władać! Będę ścinał nim całe legiony wojów!

Tłum zawrzał od wiwatów. Ten niezbyt liczny, przypomnijmy, co siedział na trybunach za księciem Mrawym. Nikt wcale się nie przejął, że o jakimś podboju była mowa. Najważniejsze było niezapomniane widowisko, którego byli świadkami, i ta bijąca majestatem postać, co dumnie stała, mierząc w ich stronę swym mieczem.

Księżę Mrawy oniemiał. Choć retorycznie pozwolił Leoharlowi wyzwąć jego armię na pojedynek, nie spodziewał się, że ten zuchwały wojownik przekuje te słowa w czyny. Trzeba było Mrawemu zobaczyć to na własne oczy, by rozumiał, jak silna jest wola Leoharla. Chwilę zeszło, nim odzyskał mowę.

- Tak, Leoharlu... osiągnąłeś, co chciałeś. Nie został mi na zamku żaden człowiek, który mógłby stanąć naprzeciw ciębie. Możesz uznać się za zwycięzcę - oznajmił.

Z powagą spojrział na niego, Kapitana i Katię, po czym odszedł bez słowa, zmierzając ku swym komnatom.

Leoharl opuścił miecz. Choć wygrał, nie czuł oczekiwanej satysfakcji. Było tak, jak się obawiał. Farsa, którą odstawił, była zupełnie bez znaczenia.

- To było wspaniałe! - w końcu Baark ośmielił się wygłosić swój zachwyt. - To ostrze chyba demony ci podarowały!

- Chciałbym, żeby tak było. Wtedy za nic by się nie zgięło. - Poważniejąc, Leoharl przyglądał się swojej broni.

- Bez obaw. Oddamy je naszym zbrojmistrzom.

- To pomoże, ale jak pewnie wiesz, gdybym drugi raz spróbował tym mieczem dokonać tego samego wyczynu, osłabione ostrze złamałoby się w pół.

To prawda. Jakkolwiek łatwo było miecz wyprostować, tak

metal jest takim dziwnym tworem, że kształtować go można do woli tylko wtedy, gdy płynie. Gdy stwardnieje zupełnie, raz stworzona konstrukcja pozostaje niezmienna na wieki. Uszkodzona nigdy w pełni nie może być naprawiona. Temu może zaradzić tylko przekucie miecza na nowo. Niestety, nie było już na ziemi zbrojmistrza, który potrafiłby przekuć miecz z dwóch stopów, oddając mu tę samą masę, równowagę i kształt, z którymi Leoharl lata przetrenował. To sztuka zbyt wielka dla przeciętnego człowieka. Przodek Leoharla potrzebował światowej sławy mistrza, by ten oręż wykonać. Nie sposób znaleźć drugiego takiego.

Pani w Czerni przysłuchiwała się tej rozmowie, tupiąc o udeptaną ziemię nogą. Najwyraźniej jakiś czas temu zaszła księcia od tyłu i wcale nie zamierzała się z tym ogłaszać. Jednak jej trochę przygłośnie tupanie dało w końcu o sobie znać i Leoharl odwrócił się, by zobaczyć, kto śmie mu przeszkadzać.

- Hmm? - spytał wciąż pogrążony w swych myślach.

- Co to było ?

- Co, co było ? - Nieskładna odpowiedź Leoharla kazała wątpić, czy był to ten sam człowiek, który przed chwilą przemawiał do księcia Mrawego.

- Ten popis.

- Ach, drobna sztuka, której nauczyłem się lata temu. Widzisz, za młodu pomagałem ojcu rąbać drewno na zimę i...

- Skończ z tym kitem!

Selistis była na coś ewidentnie wkurzona. Znowu. Który to już raz? Z mocą klepnęła Leoharla w ramię. Ten syknął cicho, wytrzymując nacisk jej ręki.

- Coś boli?

- Nie, nie, skądże znowu - blefował Leoharl.

- Przyznaj się, gdyby woje Mrawego byli w nieco lepszym stanie, złoiliby ci skórę.

- Być może... Może i masz rację... ale... mam nieco ważniejszą sprawę... - Leoharl zaciągał trochę, robiąc przerwy na dłuższe

oddechy. Spojrzał Pani w Czerni w oczy. - Selistis... umiesz może... złamania leczyć?

- Tym się nie param. To domena tych tam, z góry. - Wskazała palcem ostentacyjnie.

- Szkoda...

Słaniając się, Leoharl prawie upadłby na kolana, lecz w ostatniej chwili Selistis podparła mu ramię i tułów. Przy czym nie zrobiła tego wcale zbyt delikatnie.

- Au! - wyraził swoje niezadowolenie.

- Zwichnąłeś rękę.

- I połamałem żebra - dodał.

Leoharl złapał się za bok, na który wcześniej upadł na ziemię. Wszystko stało się jasne. Gdy wstał, złapał miecz lewą ręką, bo prawą miał niesprawną. Upadając na ziemię, pod siłą własnego ciosu połamał kości. Jego twarz była blada jak ściana. Zdawał się całkiem bliski omdlenia.

Sytuacja była teraz bardzo poważna. Duma nie pozwalała Leoharlowi okazać bólu wobec tłumu. Baark podbiegł i złapał go ostrożnie pod zdrowy bok, pomagając mu utrzymać się na nogach. Żadnej z ran nie zadał mu w pojedynku. Wszystkie wynikały z tego nad wyraz głupiego popisu z drzewem, którego się podjął. Jednocześnie połamane żebra były w pewnym sensie przejawem jego determinacji. Głupoty oraz naiwności, ale też determinacji. Symbolizowały, choćby tylko dla kilkorga z obserwujących go istot, że gotów jest dla osiągnięcia swego celu do skrajnych poświęceń. Nawet takich, które kosztują go zdrowie.

- Zabiorę cię do medyka - oznajmił Baark.

- Dzięki. A później do zbrój mistrza. A później do księcia. A później z górki na sankach. A na koniec usypiesz mi mogiłę, co ?

Żebro musiało przebić mu skórę. Spod skórzanej zbroi krew nie uciekała, ale jej utrata sprawiła, że zaczął bredzić. Chwilę później całkiem stracił przytomność. Pani w Czerni zostawiła go

Baarkowi i Kapitanowi, który podbiegł pomóc znieść Leoharla z areny. Nie mówiąc ni słowa, patrzyła, jak go odnoszą.

Choć prezentowała kamienną twarz, fakt, że nic nie mówiła, pozwalał odczuć, że i ona była zaniepokojona stanem zdrowia Leoharla. Popatrzyła, jak wnoszą go do domu medyka, później na ścięte drzewo i wygrzebujących się spod niego wojów.

- Durny popis! - Skrzywiła się z dezaprobatą.

Ze złością kopnęła leżący obok kamień. Miała ochotę zrównać widownię z ziemią. Prawdę mówiąc, była wkurzona, że Leoharl zostawił ją z tyłu, nie dając jej się wykazać. To ona powinna była stać tutaj w jego imieniu. Wzdychając, kopała ziemię pod nogą. Jej popis ze strażnikami w zamku przy tej walce wypadł całkiem blado. Ta myśl tylko pogłębiała jej irytację. Bezwiednie drażyła nogą dziurę w ziemi. Czowała, jakby przestała już cokolwiek rozumieć. Jakby nikogo już nie rozumiała. Najpierw Kaktus niezmiernie ją zaskoczyła, a teraz to. Przecież... Skąd w nim taki upór? Dlaczego tak mocno zależy mu na czymś tak błahym jak podbój królestwa?

Błahym - pozwól wyjaśnić, panie - tylko dla Pani w Czerni. W końcu dla niej była to bardziej zabawa niż wyzwanie. Dlatego tak wielki ogień w oczach Leoharla był dla niej niezrozumiały. Niezrozumienie prowadziło z kolei do irytacji. Teraz, gdy we wykopaną przez nią dziurę z powodzeniem można już było zmieścić stopę, przewrócić się i złamać kostkę, tupnęła jeszcze raz stanowczo i poszła prosto przed siebie, uznając, że nie jest w stanie zrozumieć i koniec. Zrozumie, kiedy będzie trzeba.

Rozdział 10

O zgoła innych światach

Do domu, gdzie położono Leoharla, nie mieli wstępu. Medykowi i jego asystentom nie wolno było przeszkadzać. Zamiast martwić się na zapas, podjęli temat, którym byli się w stanie zająć bez Leoharla. Kaktus w obstawie Kapitana stanęła przed księciem Mrawym, żądając od niego pisemnej kapitulacji. Ten westchnął i przytaknął, wzywając skrybę.

Kapitan z całą tą sprawą czuł się całkiem nieswojo. Rozumiał, na czym polegają podboje, ale przecież księżę Mrawy do tego układu został, bądź co bądź, przymuszony siłą. Kapitan zastanawiał się, czy czasem nie warto by było na Leoharla z tą decyzją poczekać. Nie jemu jednak było o kierunku podboju decydować i nie był z tych, którzy paszczę otwierają nieproszeni, więc czekał w spokoju z zamkniętą.

Tylko problem nowy powstał, bo skryba gdzieś się zapodział. Księżę Mrawy nakazał każdy kąt zamku przetrząsnąć, myśląc, że zawieruszył się może gdzieś w komodzie albo pod dywanem. Na wieść, że nigdzie nie da się go znaleźć, księżę popadł w zakłopotanie.

- Co jest? - Selistis wpadła zbadać sytuację.
- Skrybę wcięło - podsumował sytuację Kapitan.
- Zwiął?
- Być może. Trochę szumu w końcu narobiliśmy...

- A do czego potrzebny?
- Żeby dekret spisać oficjalnie.
- „Ja, niżej podpisany, będąc zdrowy na ciele i umyśle...”.
- Dekret, nie wolę - skarciła ją Kaktus.

Choć przyznać trzeba, że treść owego dekretu rozważając, wcale bardzo nie byłoby dziwne, gdyby od takich słów się zaczął.

- Więc nie ma kto spisać ?
- Ja bym mogła, ale strasznie bazgrołę - przyznała Kaktus. -Moje pismo da się czytać, ale tu potrzeba skryby z prawdziwego zdarzenia. To przecież całkiem oficjalna sprawa.

Selistis westchnęła. Nie widząc innego rozwiązania, rękawy zakasała i wielce się zgarbiła, rękę na dywanie kładąc. Wtem, na oczach księcia Mrawego, Kapitana i Kaktusa, jej ręka przez dywan przeszła i głębiej sięgać zaczęła. Selistis przykucnęła i po łokieć rękę w dywanie zagłębiła.

- C-co się dzieje ? - wydukał osłupiały książę, słysząc wrzaski.
- To spod spodu. Pewnie szlachta zamkowa zdziwiła się widokiem tej ręki - wydedukował Kapitan.
- Za czym sięgasz? - rezolutnie spytała Katia.
- Muszę wkopać się głęboko pod ziemię - mruknęła Selistis, wodząc ręką w podłodze na boki.
- Ależ jesteśmy dwa rzędy schodów nad nią! - zauważył książę.
- Stąd przykucnęłam.

Zamknął się, bo choć chciał stwierdzić, że kucanie w tej sprawie niewiele było w stanie pomóc, w swej roztropności zdołał zauważyć, że przecież na kwestii grzebania ręką w ziemi się nie zna. Lepiej, by się nie wypowiadał. Tymczasem Selistis uśmiechnęła się wrednie, bo zdawało się, że na coś ową ręką trafiła. Mocno za to coś łapiąc, poczęła powoli wyciągać to z podłogi i dywanu. Koniec jej ręki okazał się trzymać jakiś wielki, czarny kształt.

Ależ co, do jasnej!!!? Puśćże wreszcie!!! - Kształt machał czymś na boki i krzyczał chropowatym głosem.

- Och, przestań się rzucać. - Selistis poczęła strzepywać z delikwenta czarny kurz, odkrywając wpierw głowę, a później ramiona i resztę osoby.

- Puszczaj, no! - krzyczał nieznajomy.

- Mówię: przestań się rzucać! - uspokajała go Selistis.

- Czego ode mnie chcesz ?

Pozostali patrzyli na tę scenę bez zrozumienia. W końcu Selistis całą czerń z tamtego strzepnęła, ukazując młodzieńca jasnej karnacji ze skórzaną torbą przy pasie i zwojem w ręce. Rzuciła go na ziemię. Upadł na kolana, ale zebrał się z nich w pośpiechu i obrócił się do niej przodem, mierząc ją poirytowanym wzrokiem. Ta z kolei raczyła go całkiem przyjemnym uśmiechem.

- Zwój masz mi spisać.

- Po to mnie tu zatargałaś?!

- To ważne. Bierz się za pisanie.

Nieznajomy rozejrzał się po sali, zatrzymując wzrok na trzech osobistościach, które stały nieco dalej.

- Co w treści?

- Ze ten oto książę wojsko oddaje i wspiera mojego władcę. Nieznajomy zamrugał dwa razy i spojrzał raz jeszcze. Rozpoznał po stroju osobistość, o której mowa.

- Czy mam zacząć od „Ja, niżej podpisany, będąc zdrowym...”.

- Masz zacząć, jak ci każą, głąbie! - zrugowała go Selistis. -Książę Mrawy treść ci podyktuje. Wyciągnij najładniejszy zwój, jaki masz w zanadrzu.

Młodzieniec zajrzał do swej torby i sięgnął po zwój, który wcale specjalnie pięknie nie wyglądał. Rękę jednak w drodze zatrzymał, by dopiero po chwili z ciężkim sercem kolejny zwój wyciągnąć. Kapitan łatwo z tego gestu odczytał, że ów młodzieniec nie dość, że był skrybą, to jeszcze własnoręcznie musiał swoje zwoje tworzyć. Tylko ktoś, kto wie, jak wielki wysiłek w wykonanie takiego zwoju włożyć trzeba, tak spojrzysz na niego, gdy zmuszony będzie go komu za darmo oddać.

- W porządku - mruknął w końcu i na księcia spojrzął. -Gdzie mogę usiąść ?

Książę drżącym palcem wskazał na stół w rogu sali, gdzie stało stanowisko skryby. Poznać je można było po szeregu zapisanych już zwojów, stojącym na nim kałamarzu i wielu innych związanych z piśmiennictwem akcesoriach złożonych wokoło. Kapitan natomiast zanotował w głowie, z jaką uległością ów młodzieniec podszedł do całej tej sprawy. Owszem, na początku kopał i wierzgał, ale postawiony przed zadaniem zabrał się do niego bez zwłoki. Widać było, że był do tak nagłych zawezwań w wykonaniu Selistis przyzwyczajony.

- Problem z głowy - oznajmiła Selistis z satysfakcją i nie tracąc więcej czasu, opuściła salę.

Gapili się po sobie, rzucając od czasu do czasu okiem na nieznajomego i na drzwi, przez które wyszła Pani w Czerni. Coś mówiło Kapitanowi, że to wszystko wyglądało całkiem sensownie i całkiem naturalnie, gdyby na to odpowiednio spojrzeć. Skądinąd jednak było mu wiadome, że mózg ludzki działa tak, że gdy czegoś pojąć nie może, w miejsce tego czegoś głupstwa i kłamstwa wstawia, byle tylko dłużej danej rzeczy nie rozważać. 'Ib był właśnie jeden z tych momentów.

* * *

- Zechcesz nam się przedstawić ? - Kapitan zagadnął w końcu do nieznajomego, gdy książę skończył dokument mu dyktować, pieczęć w laku odgniółł i zwój podpisał.

Młodzieniec wielce obco nie wyglądał, choć miał wyjątkowo młode rysy twarzy i szczupłą sylwetkę. Jego strój nie przypominał żadnego, z jakim do tej pory spotkał się Kapitan. Skryba miał niebieskie spodnie i kontrastującą z nimi biało-niebieską koszulę z materiału, który zaskakująco mocno miał się i wyginał. Nie widział jeszcze koszuli szytej z dwóch kolorów materiału u nikogo innego poza szlachtą. Młodzieniec tymczasem na szlachtę wcale

nie wyglądał. Brązowa skóra torby była całkiem znajoma, lecz to, czym była obrobiona, nadawało jej krawędziom połysk. Takiej to już nawet u szlachty nie widział. Miał do tego włosy postawione w dziwną fryzurę. Jak mówię - wyglądał dziwnie, ale gdyby go rozebrać i włosy mu spuścić, nikt by nie mógł stwierdzić, że go ktoś wyciągnął z ziemi.

- Zwą mnie Shan. Jestem białym z miasta Keltz, trzy i pół tygodnia drogi na północny wschód od Centry.

- Białym?

- To coś jak ranga. - Shan podrapał się w skroń.

- Wojskowa?

- Nie, trochę o co innego chodzi. Gdzie jest Selistis? Musi zabrać mnie z powrotem.

Shan nagle poczuł się całkiem niepewnie. Opcja, że Selistis mogła zniknąć i na zawsze go tu zostawić, nie należała pewnie do dłań najprzyjemniejszych, a widząc, jak poważnie ją rozważał, domyślić się można było, że wiedział, jak wielce jest prawdopodobna.

- Na dziedzińcu. Widziałem ją z Baarkiem pod namiotem księcia Leoharla.

- Mógłbyś po nią pobiec ? - spytał Shan, uspokajając się nieco.

- Pewnie - przytaknął Kapitan i poszedł.

Kaktus tymczasem podeszła do Shana, zaciekawiona wlepiając w niego swój wzrok. Znaczy się, już wcześniej się w niego wga-piała, więc każdy detal i pisma, i jego stroju, i twarzy zdołała już zbadać. Widać jednak wciąż było jej mało.

- M-mam coś na czole ? - Shan zdawał się nieco rumienić.

- Nie, ale pierwszy raz widzę tak bladą twarz - oznajmiła bez ogródek Kaktus. - Jesteś demonem, nie?

- Nie jestem - burknął.

- Kim zatem?

- Białym, jak już mówiłem. Nazywanie nas demonami to obraza - burknął raz jeszcze.

- Ach, przepraszam. Niewiele mi o was wiadomo. A Selistis ? Ona też jest białą?

- Nie. Ona wykracza poza ten podział.

- Ale znasz ją? - Katia była wyraźnie podekscytowana.

- Ciężko to tak nazwać - westchnął Shan. We wzdychaniu mieli z Selistis coś wspólnego.

Chłopak miał dziwną tendencję do nieodpowiadania na zadane mu pytania, tylko do zbywania rozmówcy półsłówkami. Coś, co kazało czytać między wierszami i tym samym tylko bardziej ciekawość Katii pogłębiało.

- Jak się poznaliście ?

- To dłuższa opowieść. Z nie najlepszym zakończeniem -skomentował, nawiązując do swej obecnej sytuacji.

- Mamy czas.

Schowawszy do torby swoje przybory, Shan obrócił się na siolku i spojrzał na opartą o biurko Katię. Znów drapnął się w skroń, westchnął i rozłożył w rezygnacji ręce. Tak Katia usłyszała pierwszą swą opowieść o świecie, w którym żyła Selistis. Słuchała każdego zdania z fascynacją i rosnącą ciekawością, uzupełniając swoimi własnymi domysłami niedopowiedzenia, które Shan raz po raz w swą opowieść wtrącał.

* * *

By usłyszeć, jak poznałem Panią w Czerni, musisz zrozumieć, w jakich czasach doszło do tego spotkania. Były to czasy ostrych starć między nami a wami. Szczerze przyznam, że z tych starć niewiele rozumiałem, bo też z walką niewiele mam wspólnego, a nie chcę mieć nic wcale. Jednak fakt, że obejmowałem pozycję Białego, na co wpływu nie miałem, zobowiązywała mnie do tego, bym przewodził powstaniu nowego miasta. To rola, którą musiałem przyjąć, nawet jeśli wcale się do niej nie nadawałem.

Gdy nadszedł mój czas, wszedłem w rolę Pierwszego, za którym mieli podążać mieszkańcy nowego miasta. Na swych towarzyszy

wybrałem ośmiu Szarych i dwudziestu dwóch Czarnych. Szarzy i Czarni byli ode mnie niżsi rangą. Z czasem zrozumiałem, że to tak klątwa, jak błogosławieństwo. W zamian za to, że decydowałem o ich przeznaczeniu, zdejmowałem z nich odpowiedzialność i konieczność podejmowania własnych decyzji. Doprawdy, w tamtych dniach już bym wolał być właśnie takim Szarym czy Czarnym.

Za naszą Przewodniczkę wybrałem Sashi, moją przyjaciółkę, którą znałem od osiemnastu lat. Mieszkaliśmy w Centrze, tuż obok siebie. Przybyliśmy do niej prawie w tym samym czasie. Bardzo dobrze się znaleźliśmy. Serce mi się krajało, że to właśnie ja zadecydować miałem o jej losie, ale tak być musiało. Gdybym ja nie zabrał jej ze sobą, prędzej czy później zabrałby ją kto inny. W pewnym sensie samolubnie wolałem, by gdy wszystko szlag trafi, była właśnie przy mnie. Samolubnie też łudziłem się, że ona także by tego chciała. Nie mogła odmówić. Bez wahania ruszyła za mną z uśmiechem, jakby w ten sposób chciała mnie zapewnić, że wcale nie ma do mnie żalu z powodu tego, że zdecydowałem się ją zabrać.

Założyliśmy miasto dwa tygodnie drogi na północ od Centry. W tamtych czasach niedane nam było zapuścić się dalej. Wasi ludzie byli całkiem potężni i z łatwością wypychali nas ze swych ziem. Postawiliśmy obóz i nazaczyliśmy okrąg, szykując plany postumentu, który zamierzaliśmy zbudować na jego środku. Postument był dla niej. Od niego zależało jej bezpieczeństwo. Włożyłem w jego budowę ogrom pracy, robiąc go wyższym i solidniejszym, niż był nam potrzebny. Tak rozkazałem: miał to być najsolidniejszy postument, jaki kiedykolwiek rozkazał zbudować Pierwszy. Każdy z jego pięciu stopni był tak wysoki, że by na nim stanąć, trzeba było się po nim wdrapywać. Nawet jeśli budować go musieliśmy długimi dniami i nocami bez odpoczynku, był wart tej pracy. Dopiero gdy okrąg i postument były gotowe, wolno nam było zacząć myśleć o własnych domach i o drugim kręgu znaczącym granicę naszego miasta.

Na skraju miasta powstał filar wstawiony pod kątem w kierunku Centry. Miarą jego długości była średnica okręgu miasta. Służył do

uzyskiwania łączności i przekazywania rozkazów. Każdy Szary mógł wejść po nim, ostrożnie stawiając stopy w wyżłobieniach, by szeptać i słuchać podszeptów z Centry. Wreszcie gdy i on powstał, dokończyliśmy budowy dwunastu domów. Nasze miasto powstało w pół roku.

Nie musisz znać świata, w którym żyjemy, by wiedzieć, że jak w każdym innym świecie nikt przy zdrowych zmysłach bez przyczyny własnego życia w boju ryzykować nie chce. Nikt z nas nie chciał. Byliśmy do tego zmuszeni. Gdy nadszedł odpowiedni rozkaz, zebraliśmy się w wewnętrznym kręgu, ułożonym z czarnych solidnych kamieni przed wysokim postumentem, na którego pierwszym stopniu stanęła Sashi. Nawet nie wyobrażasz sobie żalu, z jakim wydałem jej swój pierwszy rozkaz. Tak zaczęła się nasza długa i żmudna walka o istnienie.

Nie potrafilismy walczyć. Może właśnie dlatego już po pierwszej bitwie z dwudziestu dwóch Czarnych pozostało nam tylko ośmiu; z ośmiu Szarych - czworo. Sashi, z jej bokiem przebitym rzuconą w nią włócznią, spadła z postumentu na plecy. Jej upadek oznaczał koniec walki i naszą przegraną. Choć upadek z wysoka, a rana głęboka, nasze ciała nie są tak nietrwale jak wasze. Jej rany nie były śmiertelne. Podbiegłem do niej i wziąłem ją w ramiona, wyciągając włócznię. Natychmiast kazałem złożyć Centrze raport o porażce.

Każdy z nas wiedział, jaka padnie odpowiedź. Póki ja i Sashi żyjemy, walki się nie skończą. Rolą Przewodników jest wysłać nas do boju i czuwać nad starciem. Rolą Pierwszych jest dowodzić w boju, decydując o przebiegu walki. Po krótkim odpoczynku dostaliśmy nowe rozkazy. Po kolejnym starciu zostaliśmy już tylko w ośmioro -z dwójką Szarych i czwórką Czarnych. Ale Centra przysłała nowych Czarnych i Szarych w zastępstwo. Gdy dotarli do miasta, otrzymaliśmy kolejne rozkazy.

Sporo czasu minęło, nim w końcu zrozumiałem, że nie unikniemy swego przeznaczenia. Nieważne, ile bitew przed nami - dopóki wciąż żyjemy, dopóty będziemy walczyć. Zrozumiałem to,

a patrząc na Sashi, która najbardziej w tych bojach cierpieć musiała, zrozumiałem, że najlepsze, co mogę zrobić, to dać jej chociaż odrobinę spokoju. Stając w kolejnym boju i kolejną porażkę mając przed oczami, porzuciłem nadzieję i zawróciłem z frontu, stając przed postumentem, na którego szczycie z góry patrzyła na mnie Sashi. Jego rolą było ją chronić, by ciężko było innym ją zranić. Zamachnąłem się z mocą, by rozciąć postument na dwoje.

- Co robisz? - Selistis krzyknęła na mnie, zatrzymując moją rękę. - Chcesz ją zgładzić?

- N-niel Wżyciu!

Pchnęła mnie na ziemię. Rozejrzała się po polu walki - walki, którą wyraźnie przegrywaliśmy. Prychnęła, patrząc na mnie z pogardą.

- Wezwij ich z powrotem.

Skąd się wzięła? Co robiła w tych stronach? Wszyscy w Centrum znali ją i gdy tylko mogli, schodzili jej z drogi, unikając utarczki. Nie mieliśmy obowiązku jej słuchać ani powodu, by jej zaufać. Ja też wcale jej nie ufałem, ale w tamtej chwili mój los i tak był już przesądzony. Nie miałem nic do stracenia.

Nakazałem Sashi zakończyć walkę. Posłuchała bez słowa. Otoczyli nas i Czarni, i Szarzy. Tu pomógł ich zbawczy brak wolności. Nie musieli wiedzieć, dlaczego rozkazałem odwrót. Nie podawali w wątpliwość mojej decyzji. Nie musiałem się przed nimi tłumaczyć. Selistis bez słowa spojrzała na mnie i Sashi, dłuższą chwilę mierząc nas wzrokiem.

- Nikt, kto żyje, nie może cię zmusić, byś podniósł rękę na drugą istotę. - Skarciła mnie wzrokiem. - Nawet jeśli czasem na drugiej szali leży tylko śmierć, decyzję zawsze podejmujesz za siebie. - Zjechała wzrokiem ze mnie na Sashi, później znów popatrzyła na mnie. - Twój błąd polegał na tym, że wciąż stawałeś w tym kręgu, w którym jedyny wybór to spuścić głowę i ruszyć do walki.

Oniemiałem. Nie chciałem tego, ale przecież - jak mówi - za każdym rozkazem stawałem w tym kręgu, by stanąć przeciw wrogiej armii. Nawet, jeśli nie wiedziałem, w jakim biję się celu.

- Nie chciałem. Chciałem dać jej spokój. - Wskazałem na Sashi.

- Więc jesteś bardziej ślepy od Czarnych! - warknęła na mnie. - Spójrz na nią. Myślisz, że pozwoliłaby odejść ci samemu?

W oczach Sashi strach mieszał się z ciepłym spojrzeniem i troskliwością, jaką otaczała mnie. Widziałem ją w jej oczach, bo tę samą ja czułem względem niej. Aż dziw, że wcześniej tak w jej oczy nie spojrzałem.

- Dlaczego nie uciekliście? - Selistis pytała, łagodniejąc. - Dlaczego ktoś taki jak ty, biały, co w pełni trzyma w garści swoją własną wolę, wciąż słucha Centry?

Jej słowa odbiły się echem w mojej głowie. Uświadomiły mi, że przecież moje ostatnie działania były właśnie takim sprzeciwem wobec roli wyznaczonej mi przez Centrę. Miałem swoją wolę, należałem do tych, którzy mogli nie wykonać rozkazu. Od zawsze myślałem, że skoro Szarzy i Czarni takiej woli nie mają, ja również mieć nie powinienem. Od zawsze bycie białym stanowiło dla mnie tylko rangę, która wyznacza, kto mnie słucha. Nikt mi nie powiedział, że nie muszę, jak Szarzy czy Czarni, ślepo słuchać rozkazów.

Spojrzałem na Selistis, która dawno temu wyrwała się spod władzy Centry. Wiedzieliśmy, że choć kiedyś była jednym z nas, odeszła, by za karę na zawsze zostać z niej wygnaną. Centra pozbawiła ją swojej opieki. To najwyższa kara, jaką mogła jej wymierzyć.

Dzięki Centrze przeżyłem osiemnaście lat w spokoju i ciszy, mając wszystko, czego mogłem zapragnąć. Ale nawet ta opieka i te lata spokoju nie mają znaczenia, jeśli miałbym tu teraz zginąć, podążając za rozkazami. Może to niewdzięczne, ale słowa Selistis głęboko do mnie przemówiły.

- Ucieknijmy - rzuciłem do Sashi.

- Czy to możliwe? - spytała swym cichym, spokojnym głosem.

- Ziemia jest okrągła. - Selistis uśmiechnęła się do nas ciepło. W sposób, jakiego wcale bym się po niej nie spodziewał. - Idźcie wciąż na północ, aż przez chmury nie będziecie już widzieć Centry, lam będziecie bezpieczni.

- Ale... tak daleko?

- Albo to, albo zostanieie tu aż do śmierci.

Choć ostre, jej słowa były bezsprzecznie słuszne. Machnęła rękami w powietrzu i jeden po drugim nasze domy stanęły w płomieniach. W ogniu stanął też filar i postument, na który patrzyliśmy w ciszy. Nic nie znaczył, gdy Sashi stała na ziemi, wtulona w moje ramiona. Mógł splanąć do reszty.

Odeszliśmy. Za nami, nie znając lepszego wyboru, poszli i Czarni, i Szarzy. Ale z czasem odeszli, gdy tęsknota za Centrą zmusiła ich do odwrotu.

Minęło pół roku, nim doszliśmy do granic ziemi, do których sięgał wzrok Centry. Tu każdy oddech kosztował nas wysiłek. Nasze życie jest z nią bowiem nierozłącznie związane. Nie umiemy przeżyć bez niej. Ale tam, na krawędzi naszego oddechu, nie musieliśmy oglądać się za siebie w obawie, że ktoś nas śledzi. Byliśmy bezpieczni. Kamieniem oznaczyliśmy miejsce na skraju lasu, w którym miało powstać nasze nowe miasto. Tym razem jego budowę zaczęliśmy od fundamentów naszego domu. Nigdy więcej nie ułożyliśmy już okręgu.

* * *

Kaktus słuchała z zapartym tchem. Zawsze uwielbiała takie opowieści. Zwłaszcza te, które kończą się pozytywnie. Może dlatego, że zbyt często miała do czynienia z rzeczywistością, w której historie miały tendencję kończyć się odmiennie. Osobiście wołałaby, żeby - jak w bohaterskich książkach, tak w życiu - księżniczka zawsze szczęśliwie lądowała w ramionach rycerza.

- Kiedy już wszystko ucichło, powróciliśmy prosić Centrę o przebaczenie - kończył opowieść Shan.

- Chciałeś powiedzieć: wróciłeś błagać ją na kolanach - dorzuciła Selistis, która wraz z Kapitanem wróciła na górę chwilę wcześniej.

- Czasy się zmieniły. Nie musieliśmy już więcej walczyć - rzucił Shan w swojej obronie.

- Pfff! - prychnęła na niego. - Bunt to idea! Idea, która ma trwać wiecznie!

- Bardzo dorosła postawa - przyciął jej młodzieniec.

- A co ty tam wiesz o buncie. - Machnęła na niego ręką.

- Kończąc temat, ta oto naburmuszona nieco istota, chcąc nie chcąc, ocaliła mi i Sashi życie. Jestem jej za to wdzięczny. Tę wdzięczność, jak to ma w zwyczaju, przekuła na dług, który mam jej spłacić.

- Zostało jednomyślnie postanowione, że najodpowiedniejszą spłatą będzie konieczność przybycia na każde moje wezwanie. - Selistis dumnie wypięła pierś.

- Przez „jednomyślnie” masz na myśli, że komisja orzekająca w tej sprawie była jednoosobowa - burknął Sashi.

- Ma się rozumieć! - Selistis ponownie dumnie wypięła pierś. - Ale dość tych opowieści. Wszystko załatwione?

- Załatwione.

- Świetnie! Jesteś wolny.

To mówiąc, Selistis pospiesznie obróciła się na pięcie z zamiarem wyjścia z sali.

- H-hej!

- Chcesz mnie o coś poprosić?

- N-no... możesz mnie rzucić z powrotem?

- Ładnie poproś.

- Ładnie proszę - westchnął.

- Nie ma sprawy.

Shan westchnął zrezygnowany. Było jasne, że tą wymuszoną prośbą Shan zaciągnął u Selistis nowy dług.

Było bardzo prawdopodobne, że taką właśnie wymianą zdań kończyło się każde ich spotkanie.

- Mogłabyś dać mu spokój - zasugerowała Katia, gdy Selistis przeciągnęła już Shana z impetem przez podłogę. Grzebała ręką pod dywanem, celując zapewne, by znalazł się tam, skąd go wyciągnęła.

- Mogłabym, ale po co? - spytała frywolnie.
- Nie myślisz, że to nie w porządku? Selistis spojrzała na Katię zagadkowo.
- Zawdzięcza mi życie. Razem z Sashi mieszka teraz w Keltz. Zawdzięcza mi spokój i przyszłość. Te drobiazgi, po które go wołam, są wobec tego niewielką uciążliwością.
- Gdybyś naprawdę była miła, nie chciałabyś nic w zamian.
- No i widzisz, trafiłaś w końcu w sedno. - Selistis uśmiechnęła się do niej złowieszczo.

* * *

Nastał nowy ranek, a wcale nie zapowiadało się, że Leoharl wstanie z łóżka. Zawsze lubił spać, to prawda, a teraz trochę z tym spaniem przesadzał.

Siedzieli przed drzwiami domu, w którym ugościł go medyk. Kapitan, dumnie prezentując głewię, stał wpatrzony w dal jak porządny strażnik. Katia, nieco zasmucona, co chwila spoglądała w otwarte drewniane drzwi domu. Selistis nogą kopała drugą dziurę w ziemi.

W tej grupie znalazł się też zaniepokojony stanem zdrowia swego partnera w boju Baark. Siedział na ławce, co chwila podrzucając do gardła zawartość małej sakiewki.

- Co wcinasz ? - zagadnęła Katia.
- Suszone winogrona.
- Rodzynki? - podłapała Selistis.
- No, jeśli tak się u was nazywają.

Baark całkiem trafnie przyjął, że Selistis nie jest z tych ziemi. Ubiera się inaczej, czasem dziwnie mówi i ma zdecydowanie inne maniery, które to na przykład pozwalają na swojego pana się wydzierać. Przyjął zatem, że i słownictwo może znać różne.

- Dasz trochę ? - Katia wystawiła rękę w prośbie.
- Skąd je masz ? - dociekała Selistis.

Baark czuł się trochę niezręcznie całą tą uwagą, którą skupiały

jego rodzinke. Raz, że zapas miał niewielki, więc z lekkim ociąganiem odliczył parę i wręczył Katii. Dwa, że był to w tych stronach nie lada rarytas. Nie chciał wyjść na burżuja, chwając się, że go na nie stać.

- Przyjeżdża tu czasem jeden taki...

- Gerwazy, nie ? - Katia wepchnęła do gęby od razu cztery.

- No, tak, Gerwazy. - Baark w sumie nie powinien się dziwić, że Katia go zna. - Podrzuca mi czasem worek.

- Mmm... - Selistis zwiesiła głowę w zamyśleniu. Podkraśla Katii jedno ususzone winogrono i gapiąc się na

nie, prowadziła poważne rozważanie nad pewną jej tylko znaną kwestią. Zrobiła przy tym tak poważną minę, że reszta momentalnie zamilkła. Baark podrzucił rodzinke na kciuku i wstrzelił sobie do gęby bezszelestnie.

- Rodzynki... genialne!

Z tymi dwoma słowami ruszyła przed siebie żwawym krokiem. Oczywiście, mój panie, nikt nie wiedział, co w rodzinkach mogłoby być tak genialnego. Wymieniwszy zatem porozumiewawcze spojrzenia, rzucili się za nią, by rozwikłać zagadkę.

Selistis zatrzymała się kawałek dalej, na środku pola, na którym chłop jakiś siał zboże. Coś pod płaszczem grzebnęła, a że znaleźć nie mogła tego, czego szukała, sfrustrowana schowała w nim całą rękę. Z dumą w końcu pewien zwój znalazła i czytając go prędko od góry do dołu, w powietrze rzuciła, w locie palcem na dwoje go rozcinając.

Chmura dymu zawisła i rosła w powietrzu, powoli na ziemię opadając. Selistis odeszła na parę kroków, dołączając do wpatrzonych w widowisko towarzyszy. Urosła w końcu na tyle, że cały środek pola zdołała już pokryć. Mrużąc oczy, Kapitan dostrzegł kształt, który wewnątrz dymu zaczął się pojawiać. Jak tylko pojawił się w całości, chmura znikła całkiem, zostawiając na środku...

...Wygódkę.

Najpierw kościół, teraz to. Doprawdy, ciekawe środki transportu wymyślają sobie te demony. Kapitan z miną weterana takich widowisk klepnął Baarka po ramieniu, coby szczękę z ziemi pozbierał. W końcu młody wojownik pierwszy raz miał z Selistis do czynienia. Jeszcze niewyuczony, że takie i temu podobne ekscesy to dla niej norma. Selistis tymczasem, jak zwykle wkurzona, krzyknęła:

- Werendnahil! Skończ, co tam robisz, i wyłaź!

- Ze czego kto za mną woła, do jasnej?! - Skrzekliwy, głęboki głos zadudnił w wygodce. Na wezwanie drewniane drzwi rozwarły się z hukiem. - Ja cię! Ze ja tak się zasiedziałem, że już ranek?! - Zmrużył oczy, wychodząc na słońce.

- Znów zasnąłeś nad jakim dylematem?

- Nad dylematem... tak... - przyznał. - A ty co tu robisz? A ja co tu robię, do jasnej?! - Orientował się w sytuacji jak każdy inny wywalony z wygodki na środek pola: krok po kroku, fakt po fakcie.

Jegomość był nad wyraz dziwnie ubrany i ukształtowany. Spodnie, pokrywające prawie dwa razy szersze od tułowia nogi, sięgały mu za kolana. Na olbrzymich wręcz stopach miał wysokie gumiaki. Wrednie patrzyło mu z oczu i co chwila musiał się po swym całkiem okazałych rozmiarów tyłku podrapać. Niemiłosiernie przy tym wyklinał, co ze zrozumiałych względów, mój panie, musiałem nieco ocenzurować.

- Powiedz no mi, będą rosły tu winogrona? - Selistis od razu przeszła do tematu.

Werendnahil rozejrzał się po polu.

- Na pewno nie w zbożu.

- Nie zgrywaj cwaniaka. Mów, czy ta ziemia się nada. Spojrzał w słońce, obejmując je dwoma palcami. Zacharczał

raz i drugi, aż pomyśleć by można, że coś jest nie tak z jego płucami. Splunął przy tym pod nogę tak mocno, że aż dziurę zrobił.

- Się nada - wydedukował, widząc, jak z dziury przy nodze powoli zaczyna wyrastać pnącze.

- Śpię i zwidy oglądam w majakach. - Baark nie mógł uwierzyć własnym oczom. - Toż to śliną rośliny się zasadza?

- Nic szczególnie wyszukanego. - Selistis wzruszyła ramionami. - Za młodu Werendnahil trochę sobie u ojca przechlapał, za co ten zamknął go na noc w spichlerzu. Z nocy dzień się zrobił i drugi, i trzeci, bo ojcu się o chłopaku zapomniało. Gdy już jakiś czas później ojciec w końcu drzwi spichlerza otworzył, ten był pusty. Wszelkie ziarna i sadzonki chłopak z głodu opędzłował. Teraz, od czasu do czasu, gdy mu jakie ziarno potrzebne, wyciąga je sobie z żołądka. Ślina tylko pomaga we wzroście, czy nie tak, Werendnahilu?

- W rzeczy samej, pani. - Splunął, podkreślając prawdziwość tych słów.

- Dobra, Werendnahil. Idź im obsiej winogronami pola i wyjaśnij chłopom, jak mają z nich rodzinę robić.

- Się da zrobić, pani - przytaknął osobnik i do chłopca, co najbliżej stał, podszedł.

Nie trzeba przy tym wyjaśniać, że chłop równie był całym wydarzeniem wstrząśnięty, jak Baark. Zwłaszcza że w tym zamieszaniu ktoś wygodkę mu na środku pola postawił.

Baark wciągał powietrze krótkimi, urywanymi oddechami. Pomagały mu one dostarczyć do mózgu odpowiednią ilość tlenu, i oby ten mógł w pełni strawić te informacje, do szaleństwa go nie doprowadzając. Było to przy tym wszystko, co był w stanie zrobić, by trzymać jako taki fason. Spoglądając na Katię i na Kapitana, zauważył, że z obecności Werendnahila nic a nic sobie nie robili. Wiedźmy i demony - oto z kim przywykli przebywać.

- To... nienaturalne - wymamrotał.

- Nienaturalne? - zdziwił się nieco Kapitan.

Baark chyba się nie zorientował, że mówił na głos. Zebrał się w sobie od razu i wyprostował, odzyskując nieco godności.

- Ile ksiąg o historii tego świata bym przeczytał, nie znajdę w nich wzmianki o istotach, co znikąd się w nim pojawiają. A tymczasem odkąd twój pan przyszedł w te ziemie, już niejedną taką historię poznałem. Teraz nawet sam jednej byłem świadkiem. Jak to w ogóle możliwe?

- Cóż - zadumał się Kapitan. - Na tyle, na ile zrozumiałem, przychodzą tu ze zgoła innych światów.

- Innych światów ?

- No... takich, na przykład, co gnieźdzą się gdzieś pod ziemią.

- Pod ziemią?

- Sam za wiele nie wiem. Myślę, że jeśli odpowiedzi szukasz, to powinieneś o to spytać Panią w Czerni.

Baark spojrzał na Selistis, która tak z pomysłu z rodzynkami była zadowolona, że nie mogła się powstrzymać i od razu kazała się Katii przed oblicze księcia Mrawego prowadzić. Spojrzał on w swój trzymany wciąż w ręce worek z rodzynkami. Bezwiednie sięgnął po jedną i powoli, majestatycznie umieścił ją między zębami. Przyglądał się przy tym Werendnahilowi, jak wykladał swą wiedzę właścicielowi pola. Pluł przy tym na boki tak namiętnie, że po tych wyjaśnieniach pole trzeba było odchwaszczać.

- Rodzynki... kto by pomyślał? - mruknął pod nosem Baark i ruszył za Kapitanem.

* * *

Książę powstał z łóżka. Przespał cały dzień. Nadszedł kolejny ranek i Selistis miała już drzwi wyważać, by go siłą z wyra zrzucić, gdy ten sam w drzwiach stanął i przywitał się słowami:

- Dobrze mi się spało.

- Leń jeden! Roboty huk, a ten śpi w najlepsze! - burknęła Selistis.

- Co zrobić. Łóżko było całkiem wygodne.

- Oj, bo jak cię...

- Co z Mrawym? - przerwał jej, od razu przechodząc do poważnych tematów.

Wiedział, że choć formalnie księstwo księcia Mrawego podbił, wciąż musiał jeszcze samego księcia do siebie przekonać. Selistis odpowiedziała uśmiechem.

- Twoja bystra, niesamowita i w ogóle najwspanialsza na świecie podwładna...

- Która?

- ...zajęła się tą sprawą za ciebie. - Selistis powstrzymała nagłą chęć walnięcia Leoharla w czachę.

- Zajęła?

- Sam zobaczysz.

Odwróciła się na pięcie i bez słowa ruszyła przed zamek.

Kapitan całkiem trafnie zauważył, że zagadując Selistis, Leoharl sprytnie uciął temat jego przedłużonego pobytu w domu medyka. Uważnie obadał zbroję księcia wzrokiem, ale nie znalazł żadnych śladów bandaży. Leoharl musiał wszystkie pieczołowicie pod ubraniem ukryć.

* * *

- Zebrałem wszystkich wojów z granic mojej ziemi. Oddaję ci ich większość. Część zostanie do obrony zamku. - Książę Mrawy oznajmił Leoharlowi swoją decyzję, wręczając mu do rąk zwój z jego pieczęcią.

- Przyznaję, że twój upór, zaradność twej podwładnej i talent kupiecki Katii w końcu mnie przekonały. Rozwijając produkcję suszonych winogron na ziemiach wokół mojego zamku, zapewnię sobie dochód, który da moim ludziom żywność, choćby Wielkopyszny odebrał mi większość pól uprawnych.

- Suszonych winogron?

- O, tak, Leoharlu. Jak mi wyniszczyła sprawę Katia, jest to towar, który może z czasem stać się cennym produktem eksportowym księstwa. To ważne. Problemy królestwa na sporach jego

władców tylko się zaczynają, ale wcale się nie kończą. Zbudowanie silnej ekonomii jest równie ważne. Cieszę się, że twoi najbliżsi współpracownicy to rozumieją.

Leoharl zmierzył wzrokiem wcinającego rodzinę Baarka, później zaczerwienioną nieco od tych pochwał Katię, aż w końcu uśmiechniętą od ucha do ucha Selistis. Książę Mrawy podszedł do Leoharla, jedną rękę kładąc mu na ramieniu. Choć Leoharl bandaż pod ubraniem schował, ból pozostał, więc nieznacznie się na ten gest skrzywił.

- Nie daję wielkich szans twemu przedsięwzięciu, ale w tym, co mówisz, jest sporo racji. Nie chciałbym niczego więcej niż pokoju między moimi braćmi. Wierzę, że jak mówisz, tak samo myślą moi poddani. - Książę zerknął ukradkiem na Baarka. - Daję ci połowę armii i swego najlepszego generała. To niewiele, ale mam nadzieję, że w ten sposób pomogę ci zrobić krok naprzód.

Stojący u jego boku Baark wyciągnął swoje miecze przed siebie, prezentując je ostrzem pionowo do góry. Ukłonił się głęboko.

- Mój oręż jest na twe rozkazy. Dla ciebie poprowadzę naszą armię, dokąd zechcesz.

- Chylę czoła. - Leoharl ukłonił się.

- Stanowisz istotne, bo nieznane zagrożenie - zauważył książę Mrawy. - Musisz bacznie uważać na ruch Wielkopysznego. Chcę wierzyć, że zadbasz o życie żołnierzy, których ci oddaję.

- Możesz być pewien, że bezsensowna walka nie jest moim celem. Będę jej unikał za wszelką cenę.

- W porządku - przytaknął książę Mrawy. - Rozgłoszę moją wolę braciom. Choćby tym, którzy jeszcze od czasu do czasu słuchają, co mam do powiedzenia. Jedność myśli, jak sam to powiedziałaś, jest silniejsza od siły oręża.

- W istocie.

- Niewiele więcej mogę dla ciebie zrobić.

- Zrobiłeś już wystarczająco wiele. - Leoharl ukłonił się szczerze.

Całkiem szczerze, bo ten ważny krok był pierwszym tak istotnie zwiększającym szanse powodzenia. Po opuszczeniu zamku i stanięciu naprzeciw wyznaczonej przez księcia armii na usta Leoharla, choć miał mieszane uczucia, wszedł uśmiech, gdy wreszcie mógł ogarnąć wzrokiem swą zdobycz. Baark rozkazał wojsku stanąć na baczność, a sam ustawił się na jego czele, kłaniając się Leoharlowi.

- To moje wojsko?

- Tak, panie!

- Wyśmienicie!

- Dokładnie sto osiemdziesięciu sześciu wojów.

Selistis złapała się za czoło. Kapitan posmutniał. Kaktus z kolei okazała swój nieklamany podziw dla poczynań Leoharla długim i przeciągłym „łaaaaaa!”. Leoharl z kolei tylko się uśmiechnął. Wiedział, że liczba wcale nie miała znaczenia. Liczyło się to, co reprezentowała armia: jego pierwsze poważne zwycięstwo, żadne bolące ramię, bandaże wokół tułowia czy niezbyt zgrabił ie wyprostowane przez zbrojmistrza ostrze miecza nie mogły pogorszyć jego humoru.

- Wspaniale! Zyskaliśmy nie tylko armię, ale też generała! -Spojrzał na Baarka. - Do tej pory nie mieliśmy nawet jednego. Martwiłem się, co sam zrobię z wojskiem, nie mając o nim wielkiego pojęcia. Cieszę się, że tak dobry wojownik jak ty jest razem z nami.

- Ja też się cieszę, mój panie. Twoje wystąpienie przed księciem otworzyło mi oczy. Jeśli naprawdę jesteś nadzieją tego upadłego królestwa, to każda cząstka mojego ciała pragnie ci pomóc. Masz we mnie lojalnego sługę i generała.

- Nadzieją królestwa... - Leoharl drgnął porażony tym tylulem. Klepnął Baarka po ramieniu. - Nie mogę jej zawieść! - odwrócił się do swych towarzyszy. - Idziemy dalej!

- Może najpierw wyniszczysz nam plany? - westchnęła Selistis. - Jak mówi Kaktus, ci tam... jak im... Wybitni, do których teraz idziemy, mają dwa zamki.

- Tak, tak... - Leoharl zamyślił się. - Jeśli podejdziemy pod zamek, w którym nie ma księcia, nici z zaskoczenia.

- Chcą zaskoczyć księcia Wybitnego ? - szeptem spytał Katię Baark.

- Ciii! Planują! Nie przeszkadzaj! - uciszyła go Katia.

- No, ale...

- Więc nie mamy wyboru, zdobędziemy oba na raz! - oznajmił księżę i uderzył pięścią w dłoń.

- Wyśmienicie! - przytaknęła entuzjastycznie Kaktus.

- Jak, panie, zamierzasz tego dokonać ? - spytał Baark nieśmiało.

Leoharl spojrział na niego, po czym powoli, wymownie, obrócił głowę ku Selistis. Ta natomiast gapiała się gdzieś na bok, dając do zrozumienia, że nie chce mieć z tym wszystkim nic wspólnego. Westchnęła, rozumiejąc, jak wygląda plan.

- W porządku. Ja wybiorę się na ten drugi, a ty z tą twoją... „armią”... na ten bliżej. - Nie omieszkała podkreślić tego ważnego przecież wyrazu.

- Świetnie! Zatem postanowione! - ucieszył się księżę.

- Chwileczkę. Jedno tylko pytanie - zagadnął Baark. - Jak jedna osoba zdobędzie zamek?

Zapadła cisza.

Było trochę tak, jakby wyszedł na scenę, mając zagrać skecz, i powiedział dowcip, który uraził był połowę audytorium. Zastanawiali się teraz, czy wstać i go zlinczować, czy może uznać, że nie wypada oburzać się z powodu głupiego występu komika. Nawet jeśli był wybitnie nieudany. Kapitan szczerze mu współczuł, bo do niedawna byłby gotów podobne głupstwo powiedzieć. Niemniej, swoim zwyczajem, trzymał język za zębami.

- N... no co?... Poradzi sobie?... Tak... sama? - niepewnie dopytywał Baark.

- Chcesz się założyć ? - zaproponowała Selistis.

- Poradzi, poradzi - wyratował go księżę.

- Z pewnością wprawniej niż pewien osiłek, co kości połamał, bijąc się z drzewami.

- Ona chce mnie obrazić?

- Nie chce. Obraża! - odparła Katia z uśmiechem. Książę spojrział na Selistis całkiem poważnie.

- Chcesz w nos?

- O nie, chłopcze, lata miną, zanim zdołasz do niego dosięgnąć.

- Co to miało znaczyć?

- A tyle, że...

- Ten... no... przepraszam - cicho głos zabrał Baark - ale czy nie zechciałbyś, panie, nieco przyciąć tej kłótni? Woje patrzą.

Selistis wymieniła z Leoharlem zdziwione spojrzenie, po czym razem spojrzeli na Baarka. Ten przełknął ślinę ceremonialnie. Rozwahał, czy dla jego dalszej egzystencji nie byłoby lepiej, gdyby zaszyć mu paszczę.

- Ma rację - odchrząknął Leoharl.

- Przyznaję - odchrząknęła Selistis.

- Chyba głowę chce stracić - podszepnęła Katii Kapitan. Przytaknęła z uznaniem, ale i z podziwem, że Baark był gotów tak kark nadstawić.

- No dobra. Więc ja pójdę na jeden zamek, ty na drugi -podsumowała Selistis - w sumie dobrze. Ta cała „armia” tylko by mnie spowalniała.

- Cóż począć. To naturalne, że z wojskiem idzie się wolniej. Leoharl poczuł się dumny, że Selistis nazwała armią tę garstkę piechurów, która przy nich stała. Najwyraźniej nie wyczuł w jej głosie sarkazmu.

- Ale... no... jeśli mogę wtrącić... - Najwyraźniej Baark na dobre już postanowił rozstać się z głową. - Książę Wybitny znany jest z tego, że niewiele przechodzi przez oczka siatki jego informatorów. Nie spodziewałbym się, że tak prosto uda się go zaskoczyć.

Znów spojrzeli na niego wymownie. Rozważał wsadzenie sobie nożyc w gardło, celem pozbawienia się tego mlaskającego języka.

- Przejdę niezauważona - zbyła problem Selistis.

- Zdołasz? - Baark spytał raczej tak z automatu.

- Chcesz się może...

- Zdoła. - Leoharl znów musiał jej przeszkodzić.

Baark przytaknął i odszedł przekazać rozkazy żołnierzom. Wiedli za nim wzrokiem jak za jakim dziwadłem. Chyba pierwszy raz widzieli na oczy chodzący na dwóch nogach głos rozsądku. Selistis nie spodobał się od razu. Spojrzała na pozostałą trójkę niepewnie. Chyba rozważała, czy powinna już odejść. W jej wzroku Kapitan odnalazł coś nieoczekiwanego.

- Kto... idzie ze mną? - spytała w końcu, zupełnie ich zaskakując. W dodatku lekko się przy tym zawahała.

Jej pytanie było na tyle nieoczekiwane, że gapili się na nią bez słowa, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Czy to podstęp, czy zagadka? Na chwilę rozstrzygnięcie tej wątpliwości odkładając, Leoharl spojrział na swoich towarzyszy. Wiedział, że pytając, nie brała go pod uwagę, bo jego zadanie było już ustalone. Z kolei ani Kaktus, ani Kapitan nie wyobrażali sobie, by mogli się jej do czegokolwiek przydać. Spojrzeli po sobie bez słowa. Selistis wyciągnęła z kieszeni srebrną monetę.

- Kaktus!

- Tak? - Dziewczyna drgnęła.

- Miasto czy schronienie?

- S-schronienie - zająknęła się Katia.

Z wystawionej dłoni Selistis Katia wywnioskowała, że chodzi o awers i rewers monety, którą tamta miała podrzucić. To też Pani w Czerni uczyniła, a złapawszy monetę w locie, rzuciła ją na przedramię. Twarz monety ukazała coś, co w zarysie przypominało miasto. Selistis zmroziła Kapitana wzrokiem.

- Idziesz ze mną.

Te trzy słowa, wypowiedziane zimnym jak lód tonem, brzmiały jak wyrok śmierci. Kapitan przytaknął, przełknął ślinę i zdobył się na wykrok.

- Rozumiem, że straż przyboczna chwilowo ci zbędna, skoro masz armię? - spytała jeszcze Leoharla.

- Chwilowo, ale wolałbym, żeby cało wróciła z tej akcji. Leoharl uśmiechnął się, patrząc na Kapitana, jakby chciał go pocieszyć wzrokiem. Nie powinien był się bać. W końcu to Selistis, najpotężniejsza istota, jaka stąpała po ziemi. Z nią będzie bezpieczny.

Tak sobie powtarzał. Uznał, że jeśli tak zupełnie przestać bać się nie może, to przynajmniej postara się nie dać poznać po sobie tego strachu. Zwłaszcza że gdy Selistis patrzyła na niego, zdawała się nieco smutniejsza. Tylko nieco, i tylko się zdawała. Jej nastroju zwykle nie sposób było odgadnąć. Spojrzała jeszcze na Leoharla i ruszyła w drogę. Kapitan truchtem pogonił za nią.

- Więc tak wygląda zapowiedź nieuniknionego kataklizmu. -Katia z uwagą zanotowała w głowie.

- Już druga, jeśli dobrze liczę - zauważył ksiązę.

- Z tych, o których wiesz, Leo. - Katia uśmiechnęła się do niego.

Patrzyli na znikającą w dali dwójkę. Mieli dobre parę dni marszu, by zastanowić się nad planem dalszych działań. Oby tym razem wyszedł im taki, który nie wymagał łamania żeber czy niszczenia ostrzy.

Leoharl pomasaował bok. Ból pewnie prędko nie przejdzie. I tak dobrze, że w ogóle wyszedł z tego cało i że przy tak poważnych ranach mógł o własnych siłach chodzić. Kaktus natomiast wciąż w głowie miała opowieść Shana o wojnach i istotach nieskorych do walki. Gdzieś w głowie tłukła jej się myśl, że być może, jak tamtym dwoje, Selistis pomoże Leoharlowi, by finałem jego losów były szczęście i spokój.

Rozdział 11

Podróż przez mrok i nieudolna dyplomacja

W tym czasie, jak dowiedziałem się później od jednego ze szpiegów księstwa Wybitnych, na zamku Wielkopyszynego rozegrała się taka oto scena:

* * *

Lord Apartacz, wiesz, ten, co jakiś czas temu wraz z armią szturmował zamek księcia Leoharla, wrócił w końcu z boju. Na wieść o jego klęsce został w pośpiechu wezwany na zamek, by sprawę wyjaśnić. Mówię ci, chłopie, afera była na całe księstwo! Siedzę ci ja za tronem i skrobię w notatniku, a tu krzyki i wrzaski!

- Więc chcesz mi powiedzieć, że nie dość, że zamku nie zdobyłeś, to jeszcze wracasz bez swego oręża?! - zagrział księżę Wielkopyszyny.

- Tak... panie...

- Zechcesz mi zatem przybliżyć, co się tam stało?

Lord Apartacz był bardzo wybitnym przywódcą i w niejednym wygrał już boju, stąd ta klęska była całkiem nieoczekiwana. Nie mógł jej ukrywać zbyt długo, stąd nie miał innego wyjścia, jak przyznać się do porażki. Wyklinał Leoharia za to, że wygrał był starcie, podstępnie chowając się za plecami demonów. Gdyby jednak z jego ust księżę taką opowieść usłyszał, wyśmiałby go, wyklinając od tchórzy, co w trakcie walki uciekli. Nikt rozsądny nie dałby mu wiary.

- Panie... Leoharl włada dużo potężniejszą armią, niż możesz to sobie wyobrazić - łąał, ile wlezie, na co ksiąęę wytrzeszczył szeroko ślipia. - Gdy zobaczyliśmy jej ogrom, woła walki w żołnierzach zgasła. Nie byli gotowi stanąć jej naprzeciw. Gdy mówię, że jego armia jest ogromna, mam na myśli: gigantyczna. Nie mogłem objąć jej wzrokiem, ale tak na oko na jednego naszego woja przypadło dziesięciu.

- Tak wielu? Czort jeden! Dlaczego nic o tym nie wiem? Ksiąęę, nie mając żadnych informacji innych niż te, które dostawał od swych lordów, z miejsca kupił tę historię.

- Powiadają, panie, że z tym zamkiem, co go w dzień wybudował, to jedno wielkie oszustwo - pogrązał się dalej w odmętach kłamstw.

- No proszę! Czulem, że to jakiś przekręt!

- Rozstawił swoich ludzi wokół. Co rusz zabijał posłańców czy innych sługusów, więc nie miałem jak dowiedzieć się prawdy. Dopiero od pijaków ta historia wyszła. Tych, co do tamtejszej karczmy przychodzili, przekupywał, by zamknęli paszcze. Tylko jeden jakoś musiał mu umknąć i z zapitej gęby wpierw coś tam mamrotał, a gdy doszedł do siebie, sam nam objawił, że coś prawdy jest w jego słowach. A prawdą było, że Leoharl ma tak dużo chłopa, że zamek... wznosił w dwa miesiące.

- W dwa miesiące?! Toż to lat potrzeba, by zamek ukończyć!

- Jak mówię, ludzi miał wielu. Każdy żołnierz w budowie pomagał. Tak powiadają.

- Niebawale!

Ksiąęę powstał, wyraźnie poruszony. Chodząc w kółko, zastanawiał się, co z tą wiadomością począć. Lord Apartacz nie myślał, co zrobi, gdy kłamstwo wyjdzie na jaw. Za przegraną groziła mu przyszłość w Urwisku, gdzie choć widok ładny, cele zimne, a podłogi twarde. Uciekając się do kłamstwa, przynajmniej odwlecze gniew Wielkopyszego, zanim wpadnie na to, jak sprawnie z królestwa ujść.

Tę ucieczkę, muszę ci powiedzieć, Apartacz planował już jakiś czas temu. Nigdy bowiem nie był wobec Wielkopyszynego całkowicie lojalny. Wiesz, że Wielkopyszyn odbił Apartacza siłą wojskom Wihajstrów? Nawet mój pan myślał był już parę razy, jak by podejść i skusić Apartacza, żeby się do nas przyłączył. Ale teraz już na to za późno.

Mniejsza o to, słuchaj dalej.

- Panie, ten człowiek doskonale wie, co robi. - Lord Apartacz kontynuował zmyślanie. - Dyplomatę, którego do niego posiałeś, przyjął, ugościł i wysłuchał. Byłby zabił, to prędzej ruszylibyśmy na zamek, a tak przyjął i odpowiedź wysłał, że się stawi na twoje wezwanie. O panie, sam wiesz najlepiej, jak dobre było to zagranie.

- Istotnie - przytaknął książę.

- Wyczuł nas dobrze. Wiedział, że skoro wysłaliśmy posłańca, to się na nim poznaliśmy. Przebiliśmy się przez zaporę mylnych informacji, którą wokół siebie zbudował! A mimo to i tak nas przechytrzył. Przeciągał sprawę, udając dobrą wolę, by w tym czasie armię zebrać. Był na nasze przybycie przygotowany. Zaiste, mój panie. Ten, kto wpadł na ten pomysł, dobrze rozgryzł całą sytuację.

Wtem, słuchaj, gdzieś w oddali ktoś kichnął tak głośno, że kichnięcie echem się od gór i lasów odbiło i do zamku przez otwarte okiennice dotarło. Mówię ci, nie wiem, skąd ten huk nadszedł, ale wstrząsnął całą salą tronową.

- Skąd tu przy laźł?! Co tu robi, do czorta?!

Co się tak na mnie gapisz? Nie o kichnięcie pytał, a o Leoharla!

- Z gór, panie. Swą armię sprowadził przez góry.

- Tyle chłopca?! Przez góry?!

- Tak, panie. Podobno... przybył pomścić króla i objąć po nim władzę.

W końcu to ostatnie zdanie, które wypowiedział, najbliższe było prawdy. Najwyraźniej jednego Apartacz nie zamierzał ukrywać -zagrożenia, jakie stanowi ów samozwańczy książę.

- Pomścić, powiadasz? Pomścić...

Księżę Wielkopyszny zadrżał, lecz szybko odzyskał swą godną postawę. Miał świadomość swojego udziału w rozpadzie królestwa i wiedział, jak wielu przysporzył sobie wrogów, ale do tej pory owi wrogowie byli bezradni. Ta nowa... zaraza... mogła być znacznie gorsza...

- Wytępić! - zakończył myśl głośno. - Natychmiast rozesłać posłańców, by wojska zbierali. Wysłać gońców do Gromowładnych i Szaroburych. Wysłać moich najlepszych szpiegów, by obserwowali jego poczynania. Prędko!

Tu, przyznam, prawie się zaśmiałem, na stryczek się narażając, bo gdy ten o swoich szpiegach wspomniał, ja w notatniku miałem wszystkie ich imiona. Miał ich bowiem całych ośmiu. Wiesz przecież, że nasz pan ma najpotężniejszą siatkę informatorów w królestwie. Nikt obcy żadną nowinką nas nie zaskoczy. Wielkopyszny nie stanowił w tej kwestii wyjątku od reguły.

Leoharl też nie, żebyś nie myślał, że twój księżę się jakoś na tym tle wyróżnia. Ale znów odchodzę od istoty rzeczy. Chociaż w sumie niewiele więcej zostało do opowiedzenia. Apartacz uklonił się nisko i wyszedł, pospiesznie zamykając za sobą drzwi. Oj, rozpoczął coś, czego konsekwencji wcale nie mógł przewidzieć. Ale z drugiej strony, jeśli tenże księżę gotów jednym demonem powstrzymać całe armie, strach pomyśleć, do czego jest zdolny. Całe wojsko Wielkopysznego może nie być w stanie go powstrzymać. A wtedy? A wtedy?...

Wcale źle być nie musi. Tak pewnie myślał lord Apartacz. Komu jak komu, ale jemu wcale nie zależało na tym, by zwycięzcą był jego zwierzchnik. Wręcz przeciwnie. W jego głowie myśl, że znalazłby się ktoś gotów się mu przeciwstawić, nie należała do nieprzyjemnych. Przyjmował ją nawet z radością.

** * **

- Słyszałaś, pani, to kichnięcie ? - Kapitan niepewnie oglądał się za siebie, szukając źródła tego dźwięku.

- A, tak. Coś czuję, że Kaktus się mocno przeziębił.

- Raczej... przeziębła - poprawił ją Kapitan, dumny, że sam się już do przydomka Katii przyzwyczał.

Selistis rzuciła mu wredne spojrzenie, nie przerywając marszu. Już wcześniej była cokolwiek podirytowana, więc ten komentarz, który pociągnął za sobą falę mamrotania odnośnie do frustrującej gramatyki przezwiska, które wskazuje na osobnika innej płci niż właściwa, był zbędny.

- Pani, jeśli mogę spytać...

- Byle nie o coś głupiego - ucięła krótko.

- Do czego mógłbym ci się przydać ?

Selistis opuściła głowę. Klęła pod nosem, że w ogóle zachciało się jej brać ze sobą Kapitana.

- Nie marudź, tylko się przygotuj. Mamy podejść niezauważeni, więc przejdziemy... przez świat, z którego pochodzę.

Kapitan podniósł jedną brew. Druga była zbyt zaskoczona, by się podnieść.

- Gdybyśmy szli tą drogą, zesłoby nam z tydzień. Obawiam się, że jeśli Leoharla zostawić na tak długo bez opieki, złamie więcej niż zebra. Wolalabym się pospieszyć. - Selistis dumiała, mówiąc jakby sama do siebie.

Wlepiła oczy w Kapitana. Przełknął ślinę, nie wiedząc, co go czeka. Z ust Pani w Czerni wychodziła jedna myśl po drugiej, będąc wcale jakby ze sobą niezwiązane. Sytuacja szybko się zmieniała, a Kapitan nie miał pojęcia, co zdarzy się wkrótce. W dodatku wyglądało na to, że będzie to coś niebezpiecznego.

- W porządku - oznajmiła Pani w Czerni, wystawiając rękę przed siebie.

Prawdę mówiąc, do tej pory Kapitan widział tylko skrawek tej jej rzekomej mocy, którą jako samozwańcza najpotężniejsza istota na świecie miałyby posiadać. Częściej mógł widzieć, jak wysługuje się swoimi podwładnymi. Teraz za to miałby zobaczyć coś zgoła innego.

Rękę, którą wystawiła, otoczyła czarna maź, co jakby gdzieś

z jej palców się wzięła. Kapała od czasu do czasu na ziemię, zostawiając pośniedziałe plamy. Rzuciła tą mazią przed siebie. W miejscu, gdzie ta uderzyła o ziemię, zaczęła formować się dziura. Dziura rosła i rosła, aż wytopiła spory kawałek ziemi, tworząc tunel. O, tak, panie, jakieś dwieście kroków przed Kapitanem rozwarła się w ziemi dziura, prowadząc w jej głąb, skąd nie dochodziło żadne światło. Tunel kończył się w nieskazitelnej czerni.

Ta ciemność sprawiała, że nie sposób było ocenić, czy tunel ciągnął się za nią, czy na tej czerni się kończył. Kapitan przeszedł te dwieście kroków i już parę w dół zrobił, gdy w końcu zawahał się nieco. Mieli właśnie wkroczyć w całkowitą ciemność.

- Rezygnujesz? - podchwytliwie spytała go Pani w Czerni.

Potrząsnął głową. Wprawdzie bał się do tego stopnia, że zaniemówił, ale gotów był iść dalej. Selistis, zaintrygowana nagłą ciszą ze strony Kapitana, wzruszyła ostentacyjnie ramionami. Oznajmiała tym gestem wszem i wobec, że nie bierze odpowiedzialności za to, co miało się wydarzyć. Podała mu rękę. Chwilę trwało, nim pojął, że ma za nią złapać. Selistis spoważniała i mechanicznym krokiem weszła głębiej w tunel. Kapitan, z lekkim opóźnieniem, podążył tuż za nią. Odwrócił jeszcze na moment głowę, jakby w geście pożegnania ze słońcem za jego plecami. Spodziewał się, że nieprędko je zobaczy.

* * *

- AAAAAAAAAAPSIIIIIIIIIIIIIIIIIIIIIIIIIIIIIK!!!

Zamarli, ściskając uszy, coby im bębenki nie popękały. Oczy im zasły bielmem od huków, tak że byłiby prawie pomdleli. Było to kichnięcie, co w drzenie wprawia całe królestwa.

- Jasny!... Co to było? - spytał w końcu książę, gdy odzyskał już świadomość na tyle, by wiedzieć, gdzie się znajduje.

- Prze-przepraszam - zająknęła się Kaktus, wyciągając z kieszeni chusteczkę.

Było to kichnięcie, co gotowe byłoby zagiąć czas i przestrzeń. Gdyby bodaj Kaktus drugi raz kichnęła, realne byłyby szanse, że czas cofnie się do pierwszego kichnięcia, tworząc pętlę, w której bohaterowie na zawsze już będą uwięzieni. Oby zatem już do końca życia nie kichała...

Skutecznie przy tym to kichnięcie wyznaczyło chwilę, od której podejmuję się przedstawić podróż na drugi zamek. Wybacz, panie, jeśli trochę ci w głowie namieszam, skacząc między jedną a drugą historią, ale to nie moja wina. To Kapitan z Selistis tę kłopotliwą sytuację wprowadzili, od reszty się odłączając. Będę zatem musiał tak snuć opowieść, byś się nie pogubił, a wiedział, co u jednych i drugich się działo.

Książę uspokoił rozkojarzoną głowę, goniąc wojsko, coby się zbierało i w dalszą drogę ruszyło. Sam nasłuchiwał jeszcze, czy aby huk ten świata już nie obiegił i nie powrócił. Leoharl rozważał, że gdyby tak Katię postawić pod murami zamku, gotowa byłaby go obalić tą przerażającą bronią. Biorąc to pod uwagę, książę ochrzcił ten zamysł w myślach jako „plan E” i potrząsnął lekko głową z uznaniem.

- Nic ci ? - spytał w końcu.

- N-n-n... - Katii chyba odebrało mowę. - Nie, w porządku - powiedziała wreszcie po chwili, wpatrzona w leżącą na ziemi chusteczkę, co jej z drżących rąk wypadła.

Baark podskoczył, by podać jej drugą.

- Wracając do tematu...

- Czort z tematem! - zbył sprawę książę. - Żadnych mi tam grajków na zamek nie sprosisz.

Katia wyraźnie posmutniała.

- No ale... jednego chociaż, coby serenady przed knajpą wygrywał.

- Słyszałaś ty kiedy, jak śpiewa lutniarz ? Tego nawet zarzynaniem kota nazwać nie można!

- No... - opuściła głowę - lutniarze z Karion grali przepięknie.

- Karion? Karion... - Szukał nazwy w głowie.
- To na wschodzie, na innym kontynencie - zauważył Baark.
- Byłeś ? - rzucił zaskoczony Leoharl z wyczuwalną zazdrością w głosie.
- Nie. Czytałem w księgach.
- Gdy byłem młoda, dużo podróżowałam - podjęła temat Katia. - Ojciec uciekał przed władzą w tę i z powrotem, więc zostawił mi parę kontaktów. Zanim tu wróciłam, odwiedzałam te i owe państwa. W końcu tu tylko spory i wojny o ziemię. Szczerze mówiąc, wcale nie chciałam tu wracać. W Karion... widzieliśmy się po raz ostatni - dodała ze smutkiem.
- Ostatni raz z ojcem? - Leoharl zadumał się, przypominając sobie los pewnego piwowara, którego za siedmioma górami zostawił. - Ile lat temu?
- Będzie z siedem.
- Siedem? Nie mówiłaś czasem, że dwadzieścia dwa lata odsiedział?
- No... odsiedział. Na szczęście nie przeszkadzało mu to od czasu do czasu spotykać się z córką.
- Możesz mnie wziąć za głupca, ale znam trochę inną definicję więzienia.
- Dla człowieka takiego jak on, z jego wpływami i rzeszą ludzi, którzy winni mu byli przysługi, nie było to trudne. Do czasu.
- Katia zamilkła, nieco przygnębiona. Liczyła się z tym, że ojca może już nie spotkać, i przez lata z pewnością zdołała się z tym pogodzić, co nie znaczyło, że myśli o jego śmierci nie były dla niej dręczące.
- Przestał cię odwiedzać, więc wróciłaś, by dowiedzieć się, co się z nim stało ? - wydedukował Baark, podając jej na pocieszenie sakiewkę z rodzynkami.
- Aha. - Poczęstowała się jedną.
- Wiesz, gdzie jest przetrzymywany?

- Wiem to i owo. W niegdysiejszym królestwie było tylko jedno więzienie o takim rygorze. Zwane było Urwiskiem nad Jeziorem Beztroski. To całkiem blisko stąd: cztery dni na wschód, na ziemiach Wielkopysznego. - Wskazała palcem kierunek, ale wzgórze zasłaniały horyzont, ukrywając jezioro. - Ale jeśli go stracili, nikt nie kwapiłby się, by sprowadzać jego ciało z powrotem do Urwiska.

- Ano. Tylko dodatkowe koszty - zauważył książe, trochę nietaktownie. - Za to jeśli żyje, będzie dalej w Urwisku.

- No właśnie. Dlatego muszę o to spytać Terencjusza, obecnego kustosa Urwiska. Prowadzi zapis losów każdego z więźniów. Łącznie z wpisem o tych, których już tam nie ma.

- Brzmi, jakbyś dokładnie wiedziała, co robić.

- Bo tak jest, ale załatwienie u niego audiencji nie jest proste. Książe podrapał się po głowie. Raczej oczywiste, że gdyby to

było proste, tyle lat by z tym wszystkim nie zwlekała. W końcu i on o Urwisku znał niejedną opowieść. Ba, każdy, kto choć raz wszedł w konflikt z prawem, wiedział, co to Urwisko. Ale karczmiani awanturnicy wcale się go nie boją. Urwisko to luksusowy pensjonat, którego progów brudne stopy byle gałganiarzy nie przestąpią, niezależnie od tego, co przeskrobali.

Zwykle bywa tak, że moglię łatwiej znaleźć niż człowieka żywego. Z ojcem Katii było zupełnie na odwrót. Martwego ojca mogła szukać wszędzie, bo nie sposób byłoby określić, gdzie go stracono i w którym nienazwanym grobie porzucono, ani czy grób takowy w ogóle istnieje. Trzeba byłoby wszystkie zapisy w księgach prawnych prześledzić, a i to niekoniecznie pomoże. Za to jeśli wciąż żyje, była jeszcze nadzieja, że ktoś wie o nim więcej. Wystarczyłoby wiedzieć, kogo o to spytać.

- Urwisko to twierdza broniona lepiej niż stolica królestwa - zwrócił uwagę Baark. - Na jego straży stoi imponująca liczba żołnierzy.

- To dlatego, że trafiały tam wszystkie najważniejsze figury - wyjaśniła Katia. - Wliczając w to szlachtę, która miała dość kontaktów, by zwyczajne więzienie przerobić na atrakcję turystyczną. W takim cyrku na śniadanie winogrona podają, a strażnicy tańczą na zawołanie. A gdy pobyt w nim komuś się znudził, szlachcic zbierał wojsko i zmazywał takowe więzienie z mapy. Dlatego zamiast do zwykłych więzień, król wrzucał takich ludzi do Urwiska. Stamtąd żadna siła nie mogła ich wyciągnąć.

- Aż tak ciężko było jego mury sforsować? - podpytywał Leoharl.

- Nie w tym rzecz. To kwestia polityki, jaką król wobec tego więzienia ustanowił. Gdy któryś z więźniów Urwiska miał być szturmem odbity, ten, o którego sprawa się rozchodziła, miał z miejsca zostać stracony. Było to bardzo sprytne zagranie, które skutecznie odstraszało przed wszelkimi zbrojnymi napadami. Takie stosuje się metody, gdy więźniowie są cenni na tyle, że by ich odbić, gotowa byłaby stanąć armia z machinami oblężniczymi i trebuszami. Groźba śmierci tego, po którego przychodzą, zwykle wystarcza, by skłonić do negocjacji. Co z tego, że zrównają Urwisko z ziemią, jeśli wielmożnego pana, po którego przyszli, nie uwolnią? Ten strach był bardzo skutecznym narzędziem. Do dziś nawet raz nie doszło do spełnienia tej groźby. Nikt nie był gotów sprawdzić, czy król spełniłby to, czym zagroził.

- Do Urwiska trafiają tylko ludzie wpływowi. Ci, na których więzieniu można coś zarobić. Skoro wrzucili tam mojego ojca, jego wiedza i kontakty musiały mieć dla króla jakąś wartość. W dodatku zmiana władzy sprawiła, że część szlachty nie miała już więcej powodu przebywać w Urwisku. Objąwszy nad nim władzę, Wielkopyszny miał możliwość wyznaczyć, kto zostanie w Urwisku, a kogo należy stracić. Skoro zadał sobie trud, by mojego ojca zostawić przy życiu, też musiał czegoś od niego chcieć.

- No, a ten Terencjusz? Wiesz może, jak go podejść?

- Jest zaledwie trzecim szlachcicem, który objął pieczę nad Urwiskiem. Poprzednich dwóch, jak można się domyślić, straciło życie w zamachu. Terencjusz jest ostrożniejszy. Nie ma rodziny ani bliskich znajomych, których można by wykorzystać w celu szantażowania go. Przychylność króla zaskarbił sobie lojalnością i bezwzględnością, jaka potrzebna jest na tym stanowisku. Nigdy nie opuszcza Urwiska i nie przyjmuje gości, jeśli nie musi. No i, jak już wspominałam, nie odpowiada na przemoc.

- Czyli z obalaniem murów kichnięciem nici - sapnął Leoharl.

- Kichnięciem? - Katia nie załapała.

- A... tak tylko sobie pomyślałem... Masz jakiś plan, Kaktus?

- Miałam, ale też nie wypalił. Mam jeszcze parę osób, z którymi mogę pogadać.

- No, dobra... - Leoharl przytaknął, czując, że niewiele jest w stanie w myśleniu nad tą kwestią pomóc. - Jeśli mógłbym ci jakoś pomóc, to się odezwij.

- Ach, dzięki! - Katii załśniły oczy. - Kto wie, czy pomoc sławetnego księcia Leoharla kiedyś mi się nie przyda?

Pożałował, że tak ogólnie sformułował tę swoją ofertę. Ale teraz miał na głowie ważniejsze sprawy, a mianowicie: jak sprytnie podejść zamek bez zbędnego obrzucania się obelgami między jego armią a potencjalnymi sojusznikami? Rozważał przy tym w głowie plany od A do E. Ten E, po rzuceniu okiem na uśmiechniętą twarz Katii, zdawał się najbardziej atrakcyjny. Książę zastanawiał się, czy nie uda mu się gdzieś po drodze zaopatrzyć w pieprz. W celach taktycznych, oczywiście. Zawsze dobrze jest być przygotowanym na każdą ewentualność.

* * *

Tempo, jakie Selistis narzuciła, schodząc pod ziemię, było znacznie szybsze niż marsz, do jakiego przywykł Kapitan. Nie wiedział on zresztą nawet, w którą szli stronę. Przyjął za to, że skoro jest to tunel, to musi prowadzić w jedną określoną stronę. Powinien

też mieć jakieś zakończenie. Fajnie by było, gdyby kończył się wyjściem. Kapitan pocieszał się, że do tunelu bez wyjścia Selistis by nie wchodziła. Taką żywił nadzieję.

Szli już ładny kawałek czasu, a do tej pory Kapitan, prócz trzymanej w dłoni ręki Selistis, niewiele był w stanie zobaczyć. Ciekawe, że akurat tę dłoń i całe swoje ciało wciąż widział, jakby rozświetlał je jakiś blask. Miarowy stukot czworga nóg zdawał się nie odbijać od żadnej ściany. Nie było też zimno, jak by tego oczekiwał.

- Zamknij oczy, to ci się wzrok przyzwyczai.

- Nie powinien sam z siebie? - Kapitan zebrał się na odpowiedź.

- No, w ciemności, w której jest jakiegokolwiek źródło światła, powinien. To nie jest taka ciemność. To tylko czerń.

Nie wiedział, jak to rozumieć, ale posłusznie zamknął oczy. Przez moment rozważał, jak to mu się będzie z zamkniętymi oczami chodzić, ale przecież i tak nic nie widział, więc uznał, że nie będzie różnicy. Musiał zdać się na to, że Selistis nie wprowadzi go w jakąś ścianę tylko po to, by się z niego pośmiać.

Czerwono-czarne ogniki, jakie zwykle pod powieką pływają, mąciły się i biegały. Bardziej niż na nich skupiony był jednak na miarowym kroku i uścisku Selistis. Jej dłoń była ciepła, choć zdawało mu się, że drżała.

Było to dziwne wrażenie. W końcu otworzył ślipia. Od razu dostrzegł, że buty stawiał na szarej drodze. Selistis miała rację - teraz widział już znacznie lepiej. Po chwili stwierdził, że chyba jednak wolałby nie patrzeć, bo gdy tylko dostrzegł spowity ciemnością uśmiech Pani w Czerni, natychmiast zaczął szukać innego punktu, na którym mógłby skupić spojrzenie.

Po tunelu nie było nawet śladu.

Stąd aż po horyzont rozciągała się szara ziemia z ciemniejszym od niej niebem. Znaczy się myślał, że to niebo, bo przywykł, że to w górze o innym niż to na dole odcieniu tak nazywają. Chociaż

wcale nie wiedział, czy przypadkiem nie mogła to być ziemia, a oni nie stąpali czasem po niebie.

Chyba już całkiem wariował. Szarość rozsiana wokół nich wiała się w pagórki i wzniesienia, jakby cała kraina schowana była pod ziemią. To było niezwykle i... przerażające. W ciemności nie widać było nawet jednego koloru, a i tak mógł odróżnić wszelkie kształty. Choć sufit był zupełnie czarny, widział wyraźnie, gdzie się zaczyna.

Sufit - to określenie pasowało lepiej niż niebo czy ziemia.

- Ach, tak. Trochę tu ciemno - przyznała Selistis.

- I pusto - zauważył Kapitan, badając okolicę wzrokiem. Prócz wzniesień niewiele więcej otaczało kroczących, a i te zdawały się formować tak bez większego powodu.

- Uwierz mi, lepiej, że nie ma w pobliżu nikogo ani niczego. -Selistis skrzywiła się nieco.

Nie pierwszy raz widział u niej ten odruch. Kapitan miał wrażenie, że za każdym razem, gdy coś przypomni Selistis o jej przeszłości, jakaś igła wbijała jej się w stopę.

- Spójrz za siebie. Ale uważaj, nie zwalniamy tempa! Kapitan przytaknął. Myślał, że dostrzeże wejście, którym tu zeszli, co nieco by go uspokoiło. Niezbyt długo się tą myślą łudził. Bacząc, coby nadal sprawnie nogami przebierać, obrócił głowę.

I zobaczył. Tam, w oddali, na horyzoncie, wśród czarnego sufitu, ponad szarą ziemią, wznosił się ogromny słup wszystkich odcieni szarości. Trudno opisać coś, co składa się tylko z czerni i bieli zmieszanej w różnych odcieniach, ale tak właśnie to widział - szarawy słup otoczony jaśniejszą nieco chmurą. Słup wznosił się wysoko pod sam sufit, aż w końcu, tam gdzie Kapitan patrzył już prawie zupełnie pionowo w górę, ponad siebie, słup zniknął w ciemności.

- To Centra - oznajmiła Selistis. - Niegdyś zwałam ją swoim domem. Teraz... Ciężko nazwać domem miejsce, z którego pies wygania cię, jak tylko wejdiesz na podwórko.

Centra. Kapitan przypomniał sobie opowieść Shana, której słuchał na zamku księcia Mrawego. Więc to... to jest „ta” Centra? Naprawdę zeszli pod ziemię, skąd Selistis wyciągnęła Shana? Zgłupiał już zupełnie.

Musiał pewnie zrobić bardzo dziwną minę, bo Selistis nie odpowiedziała na nią ani sarkastycznym uśmiechem, ani smutkiem. Była pełna gniewu. Potrząsnął głową. Nie mogła się przecież złościć na niego. Jej gniew musiał być spowodowany czymś innym.

- Chyba starczy - oznajmiła - tylko się nie zatrzymuj! - dodała i podążając za sobą tylko znaną myślą, puściła jego rękę.

Kapitan nie zwolnił nawet o krok, a wręcz przyspieszył w obawie, że zostanie w tyle. Już po kilku krokach był obok Selistis. Spojrzała na niego z iskierką satysfakcji, jak mistrz patrzy na ucznia, co podstawy zaczyna pojmować i zbiera pierwsze żniwa szkolenia.

- Pamiętaj, coby się nie oddalać, a jak w głowie zaczniesz ci się kręcić, nie zwalniasz, tylko idź dalej i zamknij oczy. Zrozumiano?!

- Zrozumiano - przytaknął Kapitan. - Mógłbym wiedzieć... ?

- To po to, byś przetrwał podróż bezpiecznie.

Kapitan przełknął ślinę. Owszem, chciał wiedzieć, ale teraz to może już jednak wolał, by pozostało to tajemnicą.

- Takie jest to miejsce - powiedziała Selistis z uśmiechem. - Gdy masz nieprzyzwyczajoną głowę, łatwo o to, byś poczuł się skołowany. Choć jesteśmy od Centry daleko, może zdarzyć się, że zaczniesz do ciebie szeptać. Może ci się od tego w głowie zakręcić.

- Tobie nic nie będzie?

- Nie martw się o mnie. - Za tę troskę nagrodziła go ciepłym uśmiechem. - Spójrz - przedstawiła swój czarny płaszcz - zlewam się z otoczeniem.

Kapitan przytaknął ze zrozumieniem. On w całej tej ciemności zdawał się prawie że świecić. Gdyby się wysilił, może nawet kawałek srebra własnej kolczugi czy błękitnej naszywki mógłby

zobaczyć w ich prawdziwym kolorze. W porównaniu z nim strój Selistis był bardzo bliski sufitowej czerni.

- Ciekawe, że nie bałeś się ciemności - zauważyła.

- Mój ojciec był górnikiem. Za młodu pomagałem mu w kopalni.

- Ooo... więc wojownicy też mają normalne dzieciństwo?

- Ciężko nazwać je normalnym, pani. Ojciec z trudem zarabiał na nas czworo, a matka z wysiłkiem doglądała pola. Cenna była każda pomoc.

Kapitan, rozmawiając, chciał odsunąć myśli od tego ściskającego go w sercu poczucia niebezpieczeństwa, które zrodziło się po słowach Selistis. Nie bał się wspomnieć o swoim dzieciństwie, byleby tylko na chwilę zmienić temat.

- Normalne. - Pani w Czerni trzymała się swojej interpretacji. - Luksusem jest siedzieć i nic nie robić, gdy starsi za ciebie pracują.

- Być może... tak... - zafrasował się Kapitan. - Chyba za długo przyglądałem się życiu szlachty - rzucił, jakby na usprawiedliwienie.

- Zaraz, zaraz: czworo?

- Tak, czworo - pośępnie przyznał Kapitan. - Miałem brata, ale... nasze drogi rozeszły się, gdy wcielili nas do armii.

Nastąpiła krótka cisza, ale kilkuletnie doświadczenie, jakie Kapitan zdobył w karczmie, snując opowieści przybyszom, co za chwilę wytchnienia i krótką historię gotowi byli piwo postawić, podpowiadało mu, by mówić dalej. Wiedział, że opowieść, którą zaczął, wymaga dokończenia. Był przy tym wyrobiony i w tych zabawnych, i w tych mniej przyjemnych historiach. Oba rodzaje miały przecież swoją wymowę i wartość.

- Gdy w końcu na dobre rozgorzała wojna i król szukał chłopca do obrony królestwa, zgłosiliśmy się na ochotników. Ja i mój brat Walerych, trzy lata młodszy ode mnie. Los szybko nas rozdzielił. Ja wspinałem się, osiągając coraz wyższe stopnie, bo talent

do machania glewią miałem, a o jego powodzeniu niewiele mi było wiadomo.

- Ach! Więc jest tam gdzieś i czeka, byś go odnalazł?! Pewnie nawet walczy po przeciwnej stronie! Staniesz w boju przeciw swemu bratu w epickiej walce! - Selistis poniosło.

- Chciałbym, o pani, żeby tak było - odrzekł smutno Kapitan. - To by oznaczało, że Walerych wciąż żyje. Niestety poległ w jednej z pierwszych potyczek.

Kapitan westchnął przeciągle, ubiegając w tym Selistis.

- Wojny są głupie - oznajmiła jakby od niechcienia. - Pomyśl, zbiera się kupa chłopa po jednej i drugiej stronie i biją się do upadłego. - Selistis kręciła głową z dezaprobatą. - Mądrzejsi czasem zwiewają, ale tylko czasem. A gdy kurz opadnie, tylko rzędy ciał na ziemi pozostają. I po co? - spytała zupełnie poważnym tonem. - Wiesz, po co się biją te chłopy? By ustalić, kto na kogo z góry będzie patrzeć.

Kapitan był gotów otworzyć usta w sprzeciwie, ale zamilkł. Nie mógł zgadnąć, skąd u niej taka postawa.

- Słyszałam kiedyś, że wojny są po to, by chronić życie twojej żony i dzieci. - Posmutniała. - Ale to głupie, nie uważasz? Gdy umierasz, twoja żona i dzieci przestają być żoną i dziećmi. Możesz zwać ich rodziną tylko póki żyjesz. Jeśli chcesz walczyć o spokój rodziny, to walczyć musisz o spokój jej całej, nie tylko tej części, co zostaje w domu i czeka w nadziei, że ominie ich tragedia.

Kapitan zafrasował się nieco. Selistis malowała bolesny obraz, który nie był mu obcy. Choć nie miał własnej rodziny, wiedział, że jego matka i ojciec z pewnością czuli to samo, gdy wraz z bratem ruszali do boju.

- Czy da się inaczej, gdy wróg u bram staje?

- Zawsze się da - mruknęła, trochę jakby do siebie. - Nikt nie każe ci stać w tym durnym kręgu i czekać na śmierć. Zawsze możesz uciekać.

Kapitan przypomniał sobie opowieść Shana. Podobną radę dała jemu i Sashi.

- Co robić, gdy nie będzie już dokąd pobiec?

- Wtedy staniesz do walki i umrzesz, jeśli to ci pisane. Nie wcześniej. Nie dopóki jeszcze możesz biec dalej.

- Całe życie uciekać ?

- A co, może śmierć lepsza?

Kapitan przytaknął ze zrozumieniem. Dom to nic innego jak drewno. Ziemia - nic innego jak gleba. Nie widział w tym poglądzie niczego złego. Ale słowa Selistis nie trafiały do niego. Jego serce nie zniosłoby tej ciągłej ucieczki. Nie mógł porzucić tej ziemi i posterunku przy boku swego władcy, co o dobro jego rodziny walczył. Nikt nie zmuszał ich, by stawać do walki. To była ich własna decyzja. Może istniał lepszy wybór, ale to bez znaczenia. Mniemał, że i on, i jego brat podjęli decyzję zgodną z ich własnym sercem. Nie miał czego żałować.

- Jeśli jesteś pewien, w porządku - mruknęła, gdy wyłożył jej swoje myśli. - To głupie, jak mówię, ale co się mnie będziesz słuchał. Ostatecznie mamy przecież z wojną zgoła inne doświadczenie.

Ale jedno jest ważne: jakkolwiek decyzję podejmiesz, zawsze spytaj sam siebie, czy naprawdę, z całą szczerością, zgadza się z nią twoje serce. Spędziłam lata, eony, walcząc u boku Centry. Czas, którego nie jesteś sobie w stanie wyobrazić. Przez ten czas nawet na chwilę nie przyszło mi do głowy, by spytać po co albo dlaczego. Nie zastanawiałam się, kto zarządził takie działania. Dlaczego w ogóle musiałam walczyć. Biłam się bez celu, ufając ślepo zapewnieniom Centry, że to dla naszego dobra i spokoju. Szkoda tylko, że to dobro i spokój nie dotyczyły tych, co zginęli w boju.

Gdy to zrozumiałam, zaprzestałam walki. Choć nikt nie mógł mnie pokonać, zrozumiałam, że ten, co naprzeciw mnie stoi, tak samo na tę wojnę patrzy. Stałam się wojownikiem, który nie był gotów walczyć, nie widząc w tej walce celu. Przestałam spełniać

funkcję bezwarunkowo posłusznego żołnierza. Stałam się tym samym dla Centry bezużyteczna.

Te słowa Kapitan rozumiał w pełni. Wojowie nie mogą po prostu zająć miejsca w szeregu. Muszą wyjść z niego i sami walczyć o to, co uznają za godne stawiania swojego życia na szali. Uśmiechnął się. W postawie Selistis nie było nic wyraźnie sprzecznego z jego własną. Jedyne, czym się różnili, to listą rzeczy, o które ich serca kazały im walczyć. Był ciekaw, jak wysoko na liście Pani w Czerni był Leoharl. Zdziwiłby się, gdyby się dowiedział, że daleko za mocno osłodzonym sokiem porzeczkowym serwowanym na polanie w cieniu drzewa.

- Więc nie stanęłaś przeciw Centrze? - spytał z ciekawości.
- Widziałeś kiedy, żeby jeden woj stawiał czoła armii?
- Całkiem niedawno - wspomniał Kapitan.
- Jeśli zwać to armią... - Selistis zbyła wyczyn Leoharla machnięciem ręki.

Gdzieś w dali ktoś znów kichnął, ale nie na tyle mocno, by warto było o tym wspominać dwa razy.

- Uciekłam najdalej, jak mogłam - wyjaśniła. - Do dziś nie mogę się do Centry zbliżyć, by ten czy ów się na mnie nie rzucił.

Kapitan zaśmiał się cicho. Zrozumiał przy tym, co Selistis -wspominając o tym, że wybrała ucieczkę, pomimo tego, iż była tak potężną istotą - chciała Kapitanowi przekazać: ucieczka jest zawsze jednym z wyborów, który należy rozważyć.

Selistis rozchmurzyła się nieco, widząc uśmiech na twarzy Kapitana. Zdawało się, jakby tylko jej słów wysłuchując, zdołał on jakoś spowodować, że poprawił się jej nastrój.

- Schowaj się za mną - szepnęła pospiesznie.

Kapitan posłusznie skoczył tak, by znaleźć się tuż za nią. Szli, nie zwalniając, aż minęli cień, który pojawił się gdzieś niedaleko.

- Mieszkańcy tej przestrzeni to skrajnie tępe istoty, co niczego nie potrafią bez rozkazu zrobić. Może dlatego właśnie tak bardzo ich nienawidzę - wtrąciła. - Gdy cię zobaczą, od razu zaszepczą

do Centry, by im powiedziała, co mają robić. A ona, równie tępa, jak pozostali, z nieznanym problemami radzi sobie w jeden sposób. - Zrobiła gest ścinania gilotyną głowy.

Kapitan przełknął ślinę, z zazdrością patrząc na płaszcz Pani w Czerni. Nie to, że uwierzył, iż sam płaszcz nietykalność jej daje. Przypomniał mu on tylko, że w istocie jest się czego - będąc nieznanym mieszkającym w tej krainie istotom - obawiać. Wprawdzie ona od początku go ostrzegała, ale kto tam takie luźne uwagi bierze na poważnie? Poczł nagłą ochotę zobaczenia choć skrawka prawdziwego nieba...

- Cóż, jeszcze spory kawałek drogi przed nami. Lepiej przyzwyczajaj się do otoczenia - rzuciła, jakby czytając w jego myślach.

Kapitan przytaknął, rozglądając się wokoło za pagórkami. Bez przewodnika nie dałby rady się tu odnaleźć. Skąd w ogóle wiadomo, że idą w dobrą stronę?

- Selistis... zechcesz mi opowiedzieć coś jeszcze o tym przedziwnym świecie ?

- Wciągnęło cię, co ?

- Lubię opowieści - przyznał.

- Ale ja nie lubię opowiadać.

- Może chociaż jedną? Długa droga przed nami.

Selistis uśmiechnęła się, słysząc, jak Kapitan usilnie stara się, by ją podejść. Wzruszyła w końcu ramionami. Miał rację. Czas, ot tak po prostu, nie zabija się sam.

* * *

Baark od dłuższego już czasu podziwiał strój Katii. Misterny haft przewlekany wiosennymi kwiatami łagodnie komponował się z kolorowymi rzemykami opinającymi jej talię. Takie same rzemyki zdobiły końcówki rękawów, a inne, podobne kolorystycznie, Katia wplotła we włosy.

Zdobienia na dole jej sukni miały jej ulubiony kolor zieleni. Podobno ten odcień, zbliżony do trawy, dało się uzyskać dzięki

przewiewności sukni, w której ciemne odcienie rozjaśniał krój zostawiający między nićmi odpowiednich rozmiarów dziurki. Niewiele z tego Leoharl i Baark rozumieli, ale zgodnie przyznali: razem z hartem kwiatów ta zieleń sprawiała, że kucająca Katia mogła całkiem nieźle udawać klomb kwiatów. Katia uznała to za komplement.

- Co ty masz z tymi swoimi strojami ? - skomentował Leoharl, który też już od jakiegoś czasu gapił się na nią.

Prawdę powiedziawszy, i on, i Baark już wcześniej się tej jej sukni przyglądali, ale tak jakoś nie było okazji, by ją skomentować. Nie to, że tak się na nią gapili dla samego gapienia. Ot, strój sam swoim wyglądem ich oczy przyciągał. Co zresztą w ocenie Katii oznaczało, że suknia spełniała swoje zadanie.

- Lubię wtapiać się w barwy krajobrazu.

- Barwy krajobrazu?

- No, tak. Na przykład: widzicie te pola wrzosu? Zastanawiam się, czy bardziej pasowałaby do nich żółta, czy fioletowa chusta.

Spojrzeni po sobie, a później po swoich ubraniach. Z pewnością kolor chusty najmniej ich obchodził. Ich mało wyszukane gusta nie domagały się zwracania uwagi, czy w tej sytuacji lepiej było Katii dobrać kolor komponujący się z wrzosem, czy z nim kontrastujący.

- No, ale gdzie ty mieścisz te wszystkie chusty, rzemyki, o samych sukniach nie wspominając... - dumął Leoharl, bo jeszcze Kaktusa z wielką torbą, która wiele różnych strojów mogłaby zmieścić, nie widział. Chyba że ta mała przyboczna torebka była jedną z tych magicznych kobiecych toreb, o których mówią, że można w nich pół domu zmieścić.

- Nie noszę ich ze sobą - przyznała. - Jak tyle co japo wszystkich tych księstwach podróżujesz, Leo, to z czasem w każdym miejscu sobie znajdujesz, w którym prócz noclegu parę rzeczy możesz przechować.

Leoharl podrapał się po głowie. To zaskakująco przemyślane i rozsądne rozwiązanie. Lubi co rusz zmieniać stroje, więc szafy

w domach na zamkach wynajmuje, by w każdym mieć parę w zapasie. Pomysłowe.

- No, a ty, Baark, na błękit pod zbroją jak wpadłeś? - zagadnęła Katia. Zrobiła to po części dlatego, że gdy do niej mówił, mogła skorzystać z jego nieuwagi i podkraść mu trochę rodzynek.

- Ach... to z miesięcznika, który swego czasu czytałem. „Dobry Dowódca”.

Katia uszu nastawiła, nie będąc pewną, czy dobrze słyszy.

- Czytam, by na bieżąco być w temacie najnowszych strategii. Wiesz, w dzisiejszym świecie generał, który swojej wiedzy nie poszerza, zostaje w tyle. Nie chcę być gorszy od konkurencji - wyłuszczył temat.

- Każdy szanujący się generał powinien mieć w swoim repertuarze pełną gamę umiejętności i stosowną do każdej sytuacji wiedzę - cytował z pamięci. - Tak swego czasu w tym miesięczniku napisano, że niebieski kolor budzi zaufanie.

Katia przytaknęła ze zrozumieniem. Jeśli chciał, by żołnierze mu zaufali, strój w kolorze niebieskim był dla niego najlepszym wyborem.

- Te nowomodne techniki pozyskiwania wiedzy... - mruzczał pod nosem Leoharl. - My mieliśmy tylko księgi i dobrze, gdy w ogóle były. Dzisiejsza młodzież... Za bardzo was rozpieszczają - zrzędził.

Tu pozwól, panie, że wtrącę parę słów, bo żal by mi było nie wspomnieć, że i Kapitan, którego przy tej rozmowie nie było, znał dobrze ów całkiem poważny miesięcznik. Był nawet jednym z jego autorów. O, tak! Swego czasu, w kolumnie o technice broni, publikowano jego wywody i analizy. Tam też pojawiła się całkiem sławna w niektórych kręgach polemika o wyższości glewii nad piką. Wiem, że trudno uwierzyć, ale tak właśnie było: Kapitan zatrudniał nawet pisarza, żeby jego wykłady spisywał. Wiązało się to oczywiście z tym, że sam pisać nie umiał.

Niestety z czasem kolumnę z miesięcznika wycięto. Wyjaśniano mu w pismach, że ze względu na monotematyczność.

Powiadali, że już wszyscy mają dość czytania o drzewcach. Kapitan natomiast wiedział lepiej. Był to wybieg nieuczciwej konkurencji, która chciała pozbyć się z miesięcznika tak szanowanej kolumny o glewiach. Znaczą się o technice broni, przepraszam. Ale wracając już do dyskusji Baarka i Katii...

- Słyszałam, że to twoja armia nadała ci tytuł „Niszczyciel”. -Katia znalazła jeszcze jeden wątek, który mógł jej zapewnić parę rodzynek.

- Szczycę się wśród moich wojów opinią wspaniałego wojownika. - Baark dumnie wypiął pierś.

- Przegrana z Leoharlem musiała nieco tą opinią zachwiać.

- Tylko trochę. - Nie dał po sobie poznać, jak ukłuła go ta uwaga.

- Nie pasuje do ciebie ten tytuł - zauważyła.

- Jaki byś mi nadała?

- Cóż... posepny już jesteś...

- To nazwa mojego rodu, nie przydomek - westchnął Baark.

- Mógłbyś być „Nieugięty” - wpadła w końcu na sensowny pomysł, a pod jej spojrzeniem na twarz Baarka wkradł się rumieniec.

Szybko wcisnął w paszczę garść rodzyneków, by wymigać się od dalszej dyskusji.

Tymczasem książę Leoharl wdrapał się na wzniesienie. Zatrzymał wojsko ruchem ręki. Zgodnie ze wskazaniem Katii stali na ostatnim zakręcie na drodze do zamku. Zza wzniesienia mógł już dostrzec flagę: złotem szyty rumak na jaskrawoczerwonym tle.

- Marnie to widzę - wyartykułował swoje przeczucie książę.

Znaczą się, bardziej mu chodziło o symbol zlewający się z kolorem flagi niż o przewidywania dotyczące dalszego ciągu zdarzeń, ale niech będzie, że chodziło tu o złe przeczucie.

- No to jaki plan? - przypatrując się łopoczącym na wietrze Hagom, spytała Katia.

Książę rozejrzał się wokoło. Spojrzał na zamek, na armię i na Katię.

- Rozbijemy obóz tu, poza zasięgiem wzroku. Pójdiesz na zamek sama.

- Sama?

- No... o mnie krążą legendy. Pewno wiedzą mniej więcej, jak wyglądam. No i korona mnie zdradza. - Dumnie wskazał na nią palcem. - Więc pójdiesz i zbadasz, czy pod dobrym zamkiem stoimy. Jeśli nie, to tym szybciej ruszymy pod drugi zamek.

- Sprytne! - Katia kiwnęła głową. - Jeśli coś pójdzie nie tak, to przynajmniej straty będą małe. Tylko mnie pozbawią głowy. Dobre zagranie! - przyznała.

- No... ten... tego... bardziej bym się spodziewał, że nic ci nie zrobią - zająknął się książę - w końcu byłeś tu już parę razy.

- Ba! Ale w końcu jesteśmy nierozłączni. Jak o tobie legendy krążą, to słyszeli i o mnie. Choć może mnie nie znają? W końcu nie jest to księstwo, którego władca ma na utrzymaniu rzeszę szpiegów i informatorów.

- Errr... taaak... właśnie... - Książę nagle przestał być pewien tego planu.

- W porządku. To idę. Jak nie wrócę w ciągu doby, to nie czekaj. Możesz posłać kogoś, by sprawdził, czy przed zamkiem jakiego nowego pała nie wbili w ziemię, ale to nie całkiem konieczne - rzuciła, z uśmiechem ruszając przed siebie.

Książę wytrzeszczył oczy. Już gotów był wystawić rękę i ją zatrzymać, ale ostatecznie zrezygnował, dochodząc do wniosku, że tylko się z nim droczy.

- Czy to rozsądne, panie ? - spytał Baark, dołączając do księcia na wzniesieniu. Z obawą patrzył na odchodzącą Katię. Machała teraz do nich zamasyście, jakby mieli się widzieć po raz ostatni.

- Nic jej nie będzie. Pewne niepisane prawo mówi, że jak o kimś opowieść snuje się tak długo, to małe szanse, że umrze w jaki głupi sposób.

- Obyś miał rację, mój panie - zgodził się Baark, nie do końca rozumiejąc. - Jakie są twoje rozkazy?

- Hmm? A... rozkazy dla mojej armii! Bo przecież mam armię! - przypomniał sobie księżę. - Każ im zejść z drogi i rozbić obóz.

- Tak jest. - Baark ukłonił się.

- Nieładnie. Wojownik zostaje w tyle, a na wojnę posyła damę?

Zaszeleściła wysoka trawa po drugiej stronie wzniesienia. Baark w oklepanej nieco reakcji na głos nieznanego pochodzenia wyciągnął miecz i wystawił zęby, rozglądając się na wsze strony. Leoharl podniósł jedną brew. Czuł, że powinien odeprzeć te słowa czymś mądrym.

- Roztropny władca kończy wojnę sprytem, nie orężem. Któż sprytniejszy od setki wojów niż niegroźna kobieta? - wydeklamował z niemałym przekonaniem.

- Ha! Ujdzie - odparł nieznanomy głos, wystawiając księciu ocenę.

Ciche dźwięczenie metalu nabrało nieco siły i właściciel owego głosu wychylił się zza trawy, wdrapując na wzniesienie.

- Więc ta dama, powiadasz, niegroźna? - spytał.

- Tak pomyślą woje. Za prawdziwość tego domysłu nie ręczę.

- Ha, ha! - roześmiał się rycerz. - Mam nadzieję, że to nie ta, co zamki w jedną noc wznosi, bo inaczej będę miał spory problem na głowie! - rzucił z uśmiechem.

Leoharl podniósł w końcu drugą brew i odwrócił się w stronę przybysza. Był to rycerz w pełnej płytowej zbroi i z ciężkim mieczem przypiętym u boku. Jego zbroja dla komfortu była od wewnątrz wykładana skórą, a jej płyty podłożone były cienką tkaniną, by rycerz, chodząc, nie robił tak dużo hałasu jak Irransatil i by zgrabniej wyglądał przed damami. Na piersi lśnił złoty koń, herb księstwa Wybitnych, oraz mniejszy nieco symbol zaciśniętej pięści znajdujący się tuż pod nim. Symbol rodowy.

Był to rycerz szlacheckiego rodu w pełnej okazałości. Tylko taki na tak wykwintną zbroję mógł sobie pozwolić i tak dumnie z wypiętą piersią swój herb prezentować.

Oderwawszy wreszcie wzrok od wspaniałej zbroi, którą można by długo podziwiać, książę spojrział nieznajomemu w oczy.

- Z kim mam przyjemność?

- Proszę, proszę. Byłbym przysięgł, że ktoś tak ważny, jak książę Leoharl, z łatwością mnie rozpozna.

- Mój informator jest właśnie w delegacji służbowej. - Mimowolnie rzucił okiem w stronę oddalającej się Katii.

- Ciekawe, że akurat w tej chwili go tu nie ma, nie? - zrobił kąśliwą uwagę. - Ja z kolei nie mam przy sobie swojego pachołka, więc wychodzi na to, że sam będę się musiał przedstawić - przyznał z żalem.

Sięgnął obiema rękami, by się hełmu pozbyć, ukazując swoją czuprynę. Niezbyt okazałą, należy zaznaczyć. Był to rycerz w kwiecie wieku, z bujnym wąsem i niejedną zmarszczką na czole. Hełm pod pachę włożył i palcem wskazał na herb na swej zbroi.

- Jestem Galant Stalowy z rodu Wielkiej Pięści. Obecny władca księstwa Wybitnych. Chylę czoła przed księciem Leoharlem.

Uklonił się głęboko. Książę odwzajemnił ukłon. Chylił czoła przed sprawniejszą od swojej siatką informatorów.

- Co cię tu sprowadza tak osamotnionego?

- W zasadzie to nie byłem sam, ale tak jakoś się rozbiegliśmy, gdy nam konie spłoszono.

- Spłoszono?

- Ano, pouciekały po tym wielkim łąpanięciu.

- łąpanięcie?... A, tak, wiem coś o nim. - Książę przypomniał sobie plan E. Doprawdy, poznał dopiero zaledwie skrawek mocy broni, jaką posiadała Kaktus.

- Koń mnie zrzucił i uciekł, a obstawa moja pobiegła gonić swoje. Znaczący tak się zdawało. Nie wiem, bo walnąłem tak mocno, że na moment przytomność straciłem. Ha, ha! - Galant

był wyraźnie rozbawiony, bo odkąd przyszedł, nie przestawał się śmiać.

- Może, może... ale to już jakiś czas temu było. Do tej pory się koń nie odnalazł?

- Prawdę mówiąc, podejrzewam, że oni wszyscy puciekali mi ze strachu, że się świat kończy.

- Fakt, można się było aż tak przerazić... Więc mówisz, że jesteś władcą tego zamku? - zagadnął księżę trochę z innej beczki.

- A, tak.

- Więc jesteś księciem?

- Nie do końca. Otóż Baark pewnie o tym nie słyszał, ale Katia pewnie by ci wyjaśniła, gdybyś ją o to spytał: księżę Wybitny poległ miesiąc temu w potyczce z jednym z lordów Wielkopyszynego.

- Ach... - Leoharl zmieszał się nieco, słysząc, jak Galant beztrąsko nazywa jego podwładnych z imienia.

- Ano tak. Nie było to zbyt przyjemne, ale pocieszeniem było to, że starcie wygraliśmy i pozbawiwszy wroga większości armii, odparliśmy atak. Zostałem wtedy mianowany zastępcą księcia, jako najbliższy mu szlachcic. Jak się pewnie domyślasz, Leoharlu z rodu Memów, było to dla mnie i dla mojego rodu wielkie wyróżnienie.

Księżę zadrzał. Przewaga informacji, jaką posiadał Galant, była zaiste wielka i musiał się mocno zastanowić, jak w tej sytuacji skutecznie zawalczyć. Rozważył ściemnianie, ale to by nie przeszło przy tak dobrym doinformowaniu, jakie cechowało Galanta. Zanotował zatem w duchu, by na przyszłość pogłębić swoją wiedzę. To zresztą sprowadzało się do tego, że zamierzał o więcej rzeczy pytać Kaktusa.

- No dobrze, Galancie, skoro jesteś tak dobrze poinformowany, to wiesz pewno, po co tutaj jestem?

- Hmm? A... no pewnie. Ale wolę, jak sam mi to powiesz.

- Ha! - Księżę wypiął pierś. Słowa Galanta można było interpretować dwojako. Wolał przyjąć, że rycerz tak naprawdę nie

znał powodów ich przybycia, co napawało go nieuzasadnioną radością. - Otóż przybyłem z armią, by oznajmić ci swoją wolę. Moim celem jest zjednoczyć królestwo. Siłą, jeśli zajdzie taka potrzeba! - Zacisnął pięść przed oczami rycerza dla podkreślenia wagi swoich słów.

- Zechcesz to inaczej powiedzieć, bo widzi mi się, jakbyś chciał mnie pobić. - Rycerz zamrugał oczami.

- Aaaa... no... khmm... - odchrząknął książę. - Mój dyplomata jest w delegacji...

Galant pobiegł wzrokiem w kierunku znikającej za horyzontem sylwetki Katii, po czym posłał księciu współczujące spojrzenie.

- No więc jak to jest z tym zamkiem, co to w noc wzniesiony? Prawda? - spytał jakby od niechcienia.

- Prawda. - Dumnie wypiął pierś.

- Chciałbym pogadać z demonem, który tego dokonał. Książę wypuścił z piersi powietrze. Najwyraźniej był mało interesującym obiektem rozmów, co nieco zbiło go z tropu.

- Nie ma jej chwilowo... i wolałbym, byś tak jej nie nazywał, bo oberwiesz w ucho.

- O... a czy nie jest demonem?

- Nie jest. Widziałem demony. Są miłsze od niej.

- No, proszę. Ha, ha! To ci dopiero! Mówisz o tym, co to armię Wielkopyszynego zatrzymał?

- Między innymi...

- Więc to też nie plotka?

- Ba!

- Ha, ha! Świetnie, świetnie! Wyśmienicie wręcz, powiem. Ale wiesz - w mgnieniu oka spoważniał - pośród tylu plotek są też takie, którym trudno uwierzyć.

- Pewno też prawda. - Leoharl nie wyczuł tej zmiany nastroju.

- Powiadają, że książę Leoharl umie całkiem nieźle walczyć.

Jego pokaz walki miał miejsce zaledwie parę dni temu. Informatorzy Galanta musieli być naprawdę sprawni. Albo to, albo lepiej znali jego przeszłość. Leoharl zbladł. Szykował się zwrot akcji, w którym adwersarz zdradza, że zna rodzinne miasto bohatera i wziął w niewolę jego ojca, grożąc jego zgładzeniem. To naturalnie doprowadziłoby do konfliktu zakończonym heroicznym pojedynkiem i odbiciem zakładnika, ale zdawało się, że strasznie dużo byłoby z tym roboty.

- Chcesz sprawdzić, czy to tylko plotki?

- Hmm. - Rycerz zasepił się. - Ha, ha! W sumie nie mam planów na ten wieczór. Trochę rozrywki mogłoby mi pomóc pogodzić się ze stratą konia - odparł z uśmiechem. - Znaczy się... jeśli sił ci starczy.

Spojrzał na księcia przenikliwym wzrokiem. Leoharl gotów byłby uznać, że i możliwość wypowiedzenia tej uwagi Galant zawdzięcza swoim informatorom, gdyby nie fakt, że dla pierwszego lepszego woja postawa Leoharla od razu zdradzała, że coś jest nie tak z jego bokiem. W końcu jedynym, co strój w pełni ukrywał, były bandaże.

- Pozwól, że ja przeciw tobie stanę. - Trwający do tej pory w milczeniu Baark zrobił krok przed księcia, mierząc rycerza surowym wzrokiem. - Jako pierwszy generał księcia Leoharla z radością przyjmę to wyzwanie w jego imieniu.

- No, no - Galant podkręcił węża - masz lojalnych podwładnych, książę. W tych czasach ciężko znaleźć kogo, kto zasłoniłby cię swoim ciałem.

- Jestem Baark Posepny spod sztandaru Nieogarnych, sprzymierzeńców rodu Memów. - Młodzieniec skupił na sobie uwagę. - Słyszałem... że ród Stalowej Pięści to upadła szlachta. Czy to prawda?

- To... cóż... to stara historia. - Rycerz zafrasował się. - Widzę, że o mnie słyszałeś...

- Istotnie. Z przyjemnością zatem sprawdzę, czy prawdę o tobie mówią, żeś jednym z najlepszych wojów, jacy po królestwie chodzą.

Galant zmierzył go wzrokiem. Baark był co najmniej z piętnaście lat młodszy i dwa razy lżejszy od niego, wliczając zbroję. Przynależeli do zupełnie innej klasy wojów. Władca księstwa Wybitnych zdołał wyłapać, że mimo tej odważnej postawy w głosie Baarka pobrzmiwała nutka niepewności. Chłopak usilnie ukrywał swój strach.

Wprawdzie plan był inny, ale w duchu Galant wiedział, że nie może odmówić temu chłopcu honoru, jakim była walka z nim. Przedstawił się i w ogóle... nie wypadałoby mu odmówić. Przytaknął przeto, hełm na ziemię odłożył i zrobił kilka kroków przed siebie. Uśmiechnął się na wspomnienie zaczepki Baarka. Chłopak, choć młody, sporo wiedział. Dla rycerza, co na co dzień ze zbieraniem informacji z całego królestwa miał do czynienia, to całkiem miła odmiana. Znał wielu dużo starszych od niego, co nie wiedzieli nic o jego pochodzeniu. A powinni. Zwłaszcza że teraz pełnił przecież funkcję księcia.

- Jeśli tak chcesz... znaj moją uprzejmość - odparł w końcu.

- Jestem za nią bardzo wdzięczny.

* * *

Selistis jeszcze długo prowadziła Kapitana po mrocznej krainie, którą zwała niegdyś swoim domem. Kapitan zdołał przez ten czas wydobyć z Pani w Czerni jeszcze kilka opowieści. Jak natrętne dziecko wciąż pytał ją o to czy o tamto. Cieszyło ją przy tym, że tak pilnie jej słuchał. Było potrzebne sporo wysiłku, by się przełamała i zgodziła na jakąkolwiek opowieść, ale Kapitan zdołał ją do ich snucia zachęcić. Co ciekawe, wbrew jej słowom najwyraźniej lubiła opowiadać. Nawet bardzo.

Znała wiele ciekawych opowieści. Tak wiele, że Kapitan ledwo mógł je spamiętać. Dowiedział się przy tym, że nie wszystkie

istoty, które mijali, są tak skrajnie tępe, jak je wcześniej malowała. Część jest bowiem „prawie” tak inteligentna jak ona, z wyraźnym naciskiem na „prawie”. Sam świat nie jest też tak szary, jak mogłoby się wydawać. Nie jest również tak pusty. Choć szli po bezdrożach, były tu tętniące życiem miasta i całe metropolie. Jedną nawet mijali w oddali. Kapitan jednak takich rzeczy nie widział, bo jak Selistis to określiła, krzywo na to wszystko patrzył. To pewnie znaczyło, że dało się patrzeć inaczej, ale na to pytanie odpowiedzi nie uzyskał. Drugi raz zapomniał zapytać, bo uwagę zajęła mu inna zgoła opowieść.

Nie musiał wszystkiego rozumieć, by czerpać radość z poznawania tej nieznannej ziemi. Ziemi, o której istnieniu do dziś nie miał nawet pojęcia. Nietrudno odgadnąć, że targaly nim dwa obecne w podobnych sytuacjach sprzeczne uczucia: lęk i fascynacja. Ale w końcu przypomniał sobie, że zeszli tu, by skrócić sobie podróż. Jak Selistis starała się mu wyjaśnić: to tak, jakby zeszli tunelem bardzo, bardzo głęboko pod ziemię. Była to nieprawda, jak od razu wyjaśniła, ale skrót myślowy. „Skrót, czaisz? Bo skracamy sobie drogę”. Kapitan wysłuchał dowcipu i spojrzał na nią jak ona na Leoharla, gdy z tą flagą we fladze żartował. Im dłużej z nią przebywał, tym więcej widział zbieżności w ich poczuciu humoru.

No więc, jak mu wyjaśniała, tą samą odległość znacznie szybciej przejdzie się pod ziemią, bo ziemia jest okrągła, i im głębiej, tym krótsza droga. Trzeba chwilę w zamyśleniu wokół tego konceptu podreptać, ale da się to pojąć. Pewnym minusem tego podróżowania była niewygodność i poczucie nieustannego zagrożenia, bo Selistis już parę razy musiała go chować. Te przerwy w podróży z jakiegoś powodu całkiem nieźle zgrywały się z jej opowieściami. Czasem Kapitanowi zdawało się, że w ten sposób Selistis dosłownie wplatała w opowieść dramatyczne pauzy.

Często taka pauza kończyła się zmianą kierunku marszu. Doprawdy, mój panie, jak ona się w tej trasie odnajdywała, było nie lada zagadką. Kapitan czasem nocą nie potrafił z karczmy do

łóżka trafić, a co mówić o ciemnościach, w których ledwo but można zobaczyć ? Na koniec wymieńmy jednak niedogodność ze wszystkich najtrudniejszą do zniesienia, jaką było szybkie tempo podróży. Selistis wyjaśniła, że podszepty Centry podszeptami, ale czerń potrafi doprowadzić do zawrotów głowy samą swoją obecnością. Nie wolno było stawać za długo w jednym miejscu, by nie rozboleła od tego głowa. Kapitan do marszu był przyzwyczajony, a księżę z pewnością też by nadażył, ale Kaktus na przykład miałyby pewnie z tym problem.

W końcu, gdy Selistis oznajmiła, że czas wychodzić, i znów dłoń przed siebie wystawiła, formując tunel ku powierzchni, Kapitan odetchnął z ulgą, że wreszcie zobaczy słońce.

Akurat, słońca mu się zachciewa! Schowało się było, skubane, za horyzontem. Nie wiedział nawet kiedy, a już nastał wieczór. Czarny sufit skutecznie utrudniał orientację w porach dnia i nocy. Szli w szarości przez cały dzień, ale zgodnie z obietnicą pod wieczór stanęli tuż przed zamkiem. Niesamowite! Tak bardzo, bardzo głęboko przechodził ten tunel, odwołując się do metafory Pani w Czerni, że tydzień wędrówki udało się przebyć w jedno popołudnie.

Kapitan padł na trawę pod małym skupiskiem drzew nieopodal drogi, zmęczony marszem i bolącą głową. Selistis z uśmiechem na twarzy oparła się o drzewo nieco dalej. Spojrzał na jej płaszcz zdobiony odbijającą blask księżycy nicią. Dopiero teraz zrozumiał jedną rzecz, której nie mógł w pełni pojąć od dnia, gdy ją zobaczył. Jej czarno-biały strój za nic nie pasował do tego otoczenia. Od zawsze wyróżniała się na tle zieleni. Ale teraz poznał świat, w którym czerń jej stroju była idealnie na miejscu. Dotarło do niego, że Selistis naprawdę nie pasowała do rzeczywistości, z której on pochodzi.

- Pani, muszę ci przyznać, że nie pojmowałem, iż możesz być tak odmienną od nas istotą. - Kapitan popadł w zadumę, gapiąc się w niebo. - Nawet mimo tego, co nam pokazałaś, dopiero dziś

zrozumiałem, że są wokół mnie dziwy ponad moje pojęcie. Wiele więcej światów, których zobaczyć pewnie za życia nie zdołam. Pojąłem, że i ty, Pani, i Irransatil, i Shan, i wiele innych istnień, jak je nazywasz, jesteście ich częścią. Ale powiedz, Pani, jak to jest, że nikt inny przedtem o was nie słyszał? Nie ma was na kartach żadnej opowieści.

- Słyszeli o nas nie raz i nie dwa. Problem z wami, ludźmi, jest taki, że gdy ktoś taki jak ja stanie na waszej drodze, gotowi jesteście zrzucić wszystko na omamy po zbyt dużej liczbie opróżnionych kufli. To, co dziwne i niezrozumiałe, traktujecie wręcz jak zło wcielone. Z miejsca szykujecie się, by usunąć je z waszej drogi, a wtedy...

- ...będzie jakby się nic nie stało - pociągnął Kapitan.

- No właśnie. Ten, co widział, opowie drugiemu, a tamten go wyzwie od wariatów. Innym opowieć się spodoba i rozpowszechni dalej. Pieśniami osnują, na zwojach spiszą i przeczytasz o nich w baśniach i legendach. Staną się opowieściami, których nikt nie weźmie poważnie. Przekazywana z ust do ust opowieć się zmieni, aż sam autor po latach nie rozpozna własnego dzieła. Nikt nie będzie już wiedział, co zdarzyło się naprawdę.

- Istotnie - przytaknął Kapitan. - Opowieści, których miło się słucha, to te, w które najtrudniej uwierzyć.

Sam wielu takich historii się nasłuchał. Tak niewiarygodnych, a mówionych z taką powagą, że za sam zapal warto było mówcy piwo postawić. Wspominając je teraz, zastanawiał się, jak bardzo mogły być przeinaczone. Która z nich mogła mówić o Pani w Czerni. Albo o Irransatilu. Albo o kimś jeszcze. Wszystkie? Żadna? Było ich tak wiele...

- Tak jest lepiej - dodała Selistis. - W końcu ja się o siebie bać nie muszę, ale jak już sam się domyślić możesz, nie jestem jak inni. Nieraz już widziałam istnienia prześladowane za swoją odmienność. Lepiej już, gdy nikt o nich nie pamięta. Lepiej, gdy istnieją tylko w legendach.

- Ale ty, Pani... wybacz bezpośredniość, ale o twoich wyczynach trudno zapomnieć. Twoich i Irransatila. Wzniesić zamek, powstrzymać armię... żołnierzom Wielkopyszego trudno będzie sprawić, by ta zniewaga odeszła w niepamięć.

- Ze mną... to trochę inna historia. - Selistis spoważniała nieco, spoglądając w księżyc.

Jej następne słowa przez lata były dla Kapitana zagadką, której nikt nie umiał rozwiązać.

- Ja jestem skazana na zapomnienie.

- Skazana? Dlaczego?

- Jak mówię, to inna historia.

- Ale nie zaprzeczysz, Pani, że wyczyn Irransatila widziały tysiące!

- Zapomną.

- Zapomną?

- I to, i wszystko, co jeszcze nastąpi. Czas ma taką właściwość.

- Ale jak to? Zamek stoi! Jest doskonałym dowodem!

- Świat też stoi, a do dziś trwają spory, jak w ogóle powstał. Miną lata i nikt nie da już wiary, że mógł istnieć ktoś, kto wyciągnął cały zamek z ziemi.

To było całkiem trafne spostrzeżenie. Każdy wie, jak powstają zamki. Kto da wiarę, gdy się temu czy innemu powie, jak powstał naprawdę? Znasz, mój panie, może takiego, co uwierzy, że powstają inaczej jak zbudowane ludzkimi rękami? Zaraz sam ci kufel postawię, jeśli szczerze przyznasz, że ty z miejsca w moje słowa byłeś gotów uwierzyć.

- Stwórz kolejny zamek - zaproponował Kapitan. - I trzeci. Będzie ich tyle, że nikt nie będzie mógł już zaprzeczyć ich istnieniu.

- I po co? - spytała bez emocji.

- No przecież...

Myśl Kapitana także w jego umyśle została przerwana. W końcu jeszcze przed chwilą Selistis wyjaśniła, że tak jest lepiej. Nikt

nie uwierzy żołnierzowi, gdy w karczmie o Irransatilu opowie. Zwłaszcza temu, co potyczkę przegrał i zrzuca winę na jakieś tam demony. O, tak, mój panie, gdybym Pani w Czerni nie znał, sam bym wyśmiał żołnierza, co tak by się tłumaczył. Taka już natura człowieka.

- Ach, coś czuję, że jutro będziemy mieć niemały problem -sapał Kapitan, spoglądając na zamek.

Otaczały go szeregi równo ułożonych namiotów. Był to widok, który miał przed oczami całkiem nie tak dawno. Uśmiechnął się pod nosem na wspomnienie Katii, która różne hipotezy o tych namiotach stawiała. Tym razem też nie miałyby racji.

- Pani, jeśli masz ochotę, może opowiedziałabyś mi jeszcze jakąś ze swoich historii? - Zignorował problem zamku, odkładając jego rozwiązanie na najbliższy poranek.

- Hmm? Jeszcze ci ich mało? Chcesz mieć co kolegom przy kuflu rozpowiadać czy może mieć czym za piwo zapłacić? A może wojska uniknąć, bo cię wezmą za wariata?

- Chcę posłuchać - odparł sucho. Głupio mu było, że w myślach prześledził był przecież już każdą z tych ewentualności.

- Posłuchać. Ha! Czemu nie. W końcu ty, jak niewielu, przynajmniej w te opowieści uwierzysz.

Selistis, jak rzadko, uśmiechnęła się szczerze i bez większych złośliwości rozpoczęła opowieść. Ten uśmiech zdradzał jednak coś innego, co Kapitan zdołał w nim odczytać. Choć Pani w Czerni wołała pozostać w zapomnieniu, nie zdołała ukryć, że przyjemność sprawia jej, gdy ktoś w jej opowieść uwierzy. A podwójną - gdy uwierzy i ją zapamięta.

Rozdział 12

Zapowiedź burzy

W tym miejscu warto byłoby wspomnieć, co stało się z Katią. Odkąd w naszej historii cała ekipa po księstwie Wybitnych na wszystkie strony się rozeszła, sam gubię się już, o kim mówiłem, a o kim jeszcze nie.

Katia energicznie otworzyła drzwi karczmy. Zamaszystym ruchem głowy obrzuciła wszystkich spojrzeniem.

- Kaktus! - Ktoś z dali machnął na nią ręką.

- Jacek! - Katia rozpoznała go - kopę lat!

- Właściwie to widzieliśmy się nie tak dawno temu. Pamiętasz? Prosiłaś mnie o przysługę, gdy byłem na zamku księcia Leoharla. Książę pił wodę dwa stoliki od nas. Pamiętasz, nie? Pamiętasz?

- Kopę lat, jak mówię! - powtórzyła Katia, ignorując jego próby nadania większego znaczenia krótkiej scenie opisanej szmat czasu temu. - Co porabiasz?

- Ano... wiesz, w delegacji jestem. Siadaj, pogadamy.

- Pewnie! - Katia podeszła do jego stolika, nucąc pod nosem jakąś wesołą melodię. Zdawała się najszczęśliwszą istotą na świecie. - Karczmarzu! Fred ci było, tak? To co zwykle, poproszę! - rzuciła i zasiadła przy stole.

- To co zwykle? - Jacek zamyślił się na moment. - Co ty właściwie pijasz?

- A! Tu pijam sok z tych kwaśnych pomarańczy. Książę Wybitny swego czasu nawiązał kontakt z dostawcami z pól słonecznych. Uwielbiam ten sok. Jest prawie tak kwaśny jak cytryna!

- Kwaśne pomarańcze? Mówisz o grejpfrutach?

- No, no! - przytaknęła. - Grej... grej... no, o kwaśnych pomarańczach!

- Aha...

- To „p” w ich nazwie jest wkurzające.

- Ale przecież...

- Mniejsza o to! - przerwała, spodziewając się jakiejś czepliwej uwagi. - No więc, są strasznie kwaśne, ale trochę za mało. Więc mieszam je z cytryną. To mój drink! - zakończyła z uśmiechem, gdy karczmarz podał jej bijący po oczach żółcią napój.

- Wiesz, nawet trochę mnie korci, by spróbować... - Jacek zawahał się - ...ale boję się, że wypali mi gardło - uznał w końcu i opróżnił jednym haustem kubek z winem, który podał mu karczmarz.

- Twoja strata! - Katia upiła dwa łyki swojego soku, rozkoszując się jego smakiem. - Więc mów, Jacek, co tu porabiasz?

- Tyle razy prosiłem, żebyś nie mówiła mi Jacek. Jestem „Jack”, nie Jacek.

- No, Jacek. Tylko bez „e” w środku.

- Ależ...

Jack gotów był otwarcie sprzeciwić się logice, za którą podążała Katia, ale kolejny raz rozsądek nakazał mu zamknąć usta. W końcu Katia była ostatnią osobą, z którą można było przedyskutować różnice między pismem a fonetyką. Westchnął w geście rezygnacji.

- Wielkopyszny postanowił zorientować się w sytuacji.

- Ach, więc wreszcie zamierza wykonać swój ruch? - Twarz Katii spoważniała prawie niezauważalnie.

Jack spojrzał uważnie w jej uśmiechnięte oczy. Nie spieszyła się zbytnio z opróżnianiem kubła z żółtym kwasem, który tak

lubiła. Zresztą nie dziwił się temu wcale. On sam starałby się wlewać go w gardło jak najostrożniej.

Wiedział, jak bystra potrafiła być Katia. Kontrast między jej uśmiechem a powagą tematów, na jakie zwykli rozmawiać, kazał mu zawsze mieć to na uwadze. Mieli za sobą długą wspólną historię. Była jedną z tych osób, którym mógł zaufać. Zwłaszcza że zawsze mógł liczyć na to, że odwzajemni mu jego przysługi.

- Wygląda na to, że w końcu zamierza coś z Leoharlem zrobić - przyznał. - A ty, Kaktus, co tu właściwie robisz?

- Miałam umówione spotkanie z pewnym biurokratą.

- W sprawie Urwiska?

- Jej! Skąd wiedziałeś?! - spytała Katia wyraźnie zaskoczona tak trafny domysłem.

To był jeden z tych momentów, w których Jack musiał wybitnie się wysilić, by ocenić, czy się z niego zbija, czy po prostu jest sobą.

- ...bo to ja załatwiłem ci to spotkanie - odpowiedział spokojnie po krótkiej, acz wymownej chwili ciszy. - To ta przysługa, o której wspomniałem. Ta, o której dyskutowaliśmy nie tak dawno na zamku księcia Leoharla. Serio, nie nadążasz za własnym wątkiem fabularnym?

Wzruszyła ramionami i upiła łyk soku.

- Jak poszło? - spytał, uznając, że lepiej nie drążyć tematu.

- W porządku... tak sędę - przyznała niepewnie.

- Zgodził się pomóc?

- Nie za darmo.

- To raczej oczywiste.

- Zgodził się list do Terencjusza dostarczyć, ale treść muszę obmyślić sama. Muszę znaleźć coś, czym mogę go zainteresować.

- Cóż... to niełatwa sprawa. - Jack zamyślił się razem z Katią.

- Ale mniejsza o to. Powiedz najpierw, co chcesz wiedzieć. Kaktus uraczyła go uśmiechem na pół twarzy. Mimowolnie

odwzajemnił jej uśmiech. Jednak nie zapomniała, komu to spotkanie z biurokratą zawdzięcza.

- Powiedz, ta armia Leoharla... - zaczął niepewnie. - Jak byłem u was na zamku, nie widziałem nikogo.

- Bo nikogo nie ma - przyznała otwarcie.

- Więc to prawda? Ale jak...?

- Musisz zacząć wierzyć, gdy ci mówię, że demony istnieją - rzuciła z uśmiechem.

- Dobra... - Zrezygnował. - A teraz? Gdzie twój książę?

- Mmm... tu. - Po namyśle wskazała palcem stół.

- Tu?! - Jack zerwał się w panice z krzesła gotów uciekać.

- Ha, ha! Bez obaw! - uspokoiła go Katia. - Raz, że cię z tamtego baru i tak nie zapamiętał, a dwa: nie jest z tych, co zabijają szpiegów. W najgorszym przypadku sprząbą cię po tyłku i tyle - oceniła, upijając soku. - Poza tym jesteś tu pod opieką Galanta, a on jest pod tym względem jeszcze łagodniejszy.

- A, tak. Ten stary przyk wyznał o moim przyjeździe ze dwa dni wcześniej - burknął Jack pod nosem. - Na wejściu delegat uprzejmie oznajmił mi, gdzie mi wolno, a gdzie nie wolno wstąpić i że miło by mu było, gdybym był uprzejmy w dwa, trzy dni się ze swoją wizytą służbową wyrobić. Zresztą siedzi tam i mnie obserwuje. - Wskazał palcem osobnika w rogu karczmy.

Katia rzuciła na niego okiem, na co on wznosił kufel w geście toastu i pomachał ciepło. Odmachała mu z uśmiechem.

- Galant niezbyt lubi, jak ktoś go szpieguje.

- Nawet nie wiem, po co tu przyjeżdżałem. Zmęczyłem konia i tyle. Chociaż... - zawiesił głos, obdarzając Katię ciepłym spojrzeniem - nie mam co żałować. W końcu spotkałem ciebie.

- Ach! - Katia była zachwycona tym komplementem. Byłaby nim całkiem zauroczona, gdyby nie to, że Jack nie był blondynem, co sprawiało, że Katia w ogóle nie była nim zainteresowana.

- Więc co z tym księciem?

- Jest pod zamkiem, z armią.

- Z armią? Więc jednak ma armię?

- Nie, nie. Tak z przyzwyczajenia mi się powiedziało.

Tym razem to Jack nie nadążał za tempem dyskusji i potrzebował głębokiego oddechu, by się uspokoić.

- Więc?

- Przyszedł pogadać z Galantem. Ma ze sobą wojów od księcia Mrawego, by pokazać, że nie jest tak zupełnie sam.

- Ach. Więc co, chce Galanta siłą do siebie przekonać?

- Nie, nie sędzę. - Kaktus zamyśliła się. - Ja to widzę tak, że wcale nie będzie musiał.

- Czemu?

- Ha! Całe szczęście, że nie jestem szpiegiem, bo nic na temat Galanta bym nie wiedziała! - Wyszczrzyła zęby w uśmiechu i upiła łyk soku.

Jack tymczasem rozważał, czy obrazić się, czy nie obrazić. Znaczący się: czy Kaktus chciała go tą uwagą obrazić, czy mówiła szczerze. Z nią naprawdę nigdy nic nie było wiadomo.

- Galant, jak wiesz pewnie, był jednym z najlepszych wojów Króla. - Kaktus przycichła nieco, wiedząc, że porusza temat, który do najprzyjemniejszych nie należał. - Był mu wielce oddany. Jest z tych, co stojąc u boku księcia Wybitnego, byli gotowi pomóc mu zjednoczyć królestwo. Nie bał się iść za nim w bój. Teraz, skoro sam księstwo przewodzi, nie zdziwiłabym się, gdyby postawił się w tej samej roli co księżę Leoharl.

Katia upiła soku. Jack słuchał w skupieniu.

- Nikt tego nie chciał, nie? - spytała smutniejszym nieco głosem. - Skakać sobie do gardeł...

- Byli ci, co chcieli. Wielkopyszny, na przykład - przyznał Jack.

- No właśnie. Z nim zawsze był problem - zauważyła, wzdychając przeciągle. Bezsilnie opadła na stół, oparłszy głowę na rękę. - Jeśli dojdzie do tronu, nie wróżę temu królestwu świetlanej przyszłości.

- To... - Jack rozważył jej słowa. - Trudno się nie zgodzić.

- Prawda? A jednak mu służysz.

- Praca jak każda inna - przyznał otwarcie.

- Nawet Galant to rozumie. - Kaktus zapatrzyła się w kubek w swoich dłoniach. - No bo zobacz, nierozsądne przecież zostawić wrogiego szpiega żywego.

Jack zamarł. Mięśnie napięły mu się w spazmie nieopanowanego przerażenia. Wyobraził sobie, jak komitet powitalny, co go w bramie zastał, zamiast do knajpy prowadzi go na szafot.

- W-wie, że n-niczego się nie dowiem, więc dał mi spokój -wydukał.

- A tak - przyznała Katia. - Ale, wiesz, jesteś dla Galanta wrogiem. Zostawić cię przy życiu... mówię tylko, że to zdaje mi się nierozsądne.

Jack przełknął ślinę i machnięciem palców w stronę karczmarza zamówił więcej wina. Wypił bez słowa, gdy tylko kubek pojawił się przed jego oczami. Katia tymczasem, leżąc na stole, wodziła po nim palcem. Jack zamówił następny kubek.

- Tak. To już ustaliliśmy. Galant jest nierozsądny - podsumował.

- No właśnie. Wielkopyszny by sobie na to nie pozwolił. Weź to pod uwagę.

- Mhm - przytaknął Jack. Doskonale wiedział, o co jej chodzi.

- Hej... ten Marek, z którym mnie umówiłeś.

- Ma na imię Mark.

- No, przecież mówię.

- ...co z nim?

- Można mu zaufać?

- Nie oszuka cię, za to ręczę. Czy złożył ci uczciwą propozycję, tego nie wiem.

- Oszustwo a nieuczciwość to dwie różne rzeczy?

- Tak jak z kupnem koni. Jak zamówisz u sprzedawcy i zapłacisz całą kwotę, oszust weźmie pieniądze i ucieknie; nieuczciwy konie ci przyprowadzi, choć policzy za nie większą cenę, niż są warte.

- Ach - westchnęła Katia. - Ludzie wyrobili się przez lata we wzbogacaniu kosztem innych, nie uważasz?

- Ano, tak. Nie zapominajmy w tym kontekście o lichwiarzach.

- Prawda. - Katia, jak się zdawało, straciła cały entuzjazm, z jakim weszła do knajpy. - Muszę cię kiedyś przedstawić księciu. Padniesz, jak opowie ci o sytuacji kredytowej karczmy, przy której go spotkałam.

- Zabawna historia?

- I to jak! - zaśmiała się Katia. - Wiesz, karczmarz tamtej knajpy był swego czasu prawnikiem, więc wyobrażasz sobie, jak dyskusja z lichwiarzem wyglądała?

- Niezbyt przyjemnie - zaśmiał się Jack.

- Ale za to zabawnie. No i fortuny się na tym dorobił. Mówię ci, musisz kiedyś posłuchać.

- Ty mi opowiedz - zasugerował.

- Nie... nie umiem opowiadać.

Jack pociągnął łyk wina, dając jej spokój. Jeśli nie ma ochoty, nie ma co jej zmuszać.

- Hej, Jack. - Katia była już całkiem poważna. Widać to było po tym, że poprawnie wymówiła imię swojego rozmówcy. - Powiedz no mi... jak jest teraz na wschodzie?

- Na wschodzie?

- No, wiesz... Karion na przykład. - Podniosła głowę ze stołu, wpatrzona teraz w oczy Jacka. - Słyszałam, że byłeś tam w delegacji.

- Cóż, sporo się pozmieniało. Zresztą fajna sprawa z tym ryneczkiem, co to zawsze ściągał masę grajków.

- Co z nim?

- Mmm, nie spieszy ci się czasem z powrotem?

- Mam czas. Nawet lepiej, jak się spóźnię. - Z uśmiechem dopiła ostatni łyk soku. - Niektórym dobrze robi, jak się trochę pomartwią.

Jack nie załapał, ale uśmiechnął się i przytaknął, rozpoczynając swą opowieść o dalekich ziemiach. Taką, która gdzieś głęboko pod uśmiechami i przytakiwaniami Katii łamała jej serce.

Miasto, które teraz było dla niej już tylko odległym wspomnieniem, spotykał równie trudny los, jak królestwo, po którego ziemiach podróżowała. Świat zdawał się bić o wszystko, o co tylko bić się dało. Wyszło na to, że choć spokojne ziemie opuściła, nie miała już po co do nich wracać. „Tak trudno teraz o pokój” -pomyślała ze smutkiem.

* * *

Tymczasem kilku wojów z armii Leoharla, co namioty już rozłożyło, przystanęło zaciekawionych, co dzieje się na wzniesieniu. Widząc, że Baark i jakiś nieznany rycerz miecze wyjmują, lekko się poruszyli. Jednak pokojowe nastawienie tych dwóch od razu dawało im do zrozumienia, że to pojedynek, nie napaść. Nie było czego się bać. Było za to czemu się przyglądać. Skrzyknęli chłopą i podeszli ochoczo pod wzniesienie, by podziwiać walkę.

Księżę, znalazłszy sobie dogodne miejsce, rozwalił się na trawie pod drzewem. Drapał się teraz po głowie, rozważając postawy stojących przed nim wojów. Hełm Galanta, leżący kawałek od niego, zdawał się szydzić z obu tych wojów, wymigując się od walki. Niby był częścią zbroi, ale hełm tak naprawdę przydaje się jedynie w boju z armią - pomaga uniknąć przypadkowych ciosów czy zagubionych w powietrzu strzał. W walce jeden na jeden z wykwalifikowanym przeciwnikiem cios mieczem w głowę z hełmem czy bez kończy się jednak. Nie można jednak zaprzeczyć, że hełm dodaje rycerzowi dostojęstwa, dlatego niewielu wojów z nim się rozstaje. Galant uważał jednak, że w hełmie jest mu za gorąco.

- Powiedz, Baark, służba u księcia Mrawego ci nie służy? -zagadnął Galant, ważąc swój miecz w dłoni.

- Nie odszedłem ze służby. Wciąż jestem lojalny memu księciu - ze spokojem odparł Baark.

- Trudno mi uwierzyć, że Mrawy tak po prostu się poddał. Znamy się od dawna. To nie w jego stylu.

- Nie poddał się. Został pokonany a później z własnej woli przyłączył się do Leoharla - uciał Baark. Widać było, że Galant chce go sprowokować.

- Ach, tak, prawda. Dziwi mnie tylko, co widzicie w tym człeku. - Kiwnął głową na Leoharla.

Leoharla skręcało w bolącym wciąż boku, by wtrącić się do dyskusji, ale wiedział, że ma trzymać gębę na kłódkę. Rozmowa, podobnie jak pojedynek, były sprawą między Galantem i Baarkiem. Gdyby się wtrącił, ubliżyłby swemu podwładnemu.

- Myśl, co chcesz, rycerzu, ale nie do ciebie należy ocena decyzji mego pana.

- Akurat tak się składa, że oceniać go mogę, mój chłopcze. Mrawy to mój kumpel. Zrugam go, gdy następnym razem spotkamy się w karczmie. - Galant uśmiechnął się.

- To jest, o ile mój pan nie będzie miał poważniejszego powodu, by zrugać ciebie za tę porażkę.

- Ha, ha! Umiesz przyciąć! No dobra! Widzę, że poważnie za tym księciem stajesz. Nie mnie oceniać, czy to słuszna, czy głupia decyzja.

Dla rozgrzewki obrócił miecz w dłoni i stanął w pozycji bojowej. Jego miecz stanowił masywny i dość okazałych rozmiarów miecz półtoraręczny. Był on przy tym w swym wykonaniu całkiem prosty. Wielu rycerzy ozdabia swe pociechy wyszukanymi wzorami i ozdobnikami, inni z kolei chełpią się kunsztem wykonania rękojeści. Galant należał natomiast do tych, co uważają, że miecz służy do walki, nie do pokazywania. Poza herbem rodowym na jego mieczu niewiele więcej można było znaleźć.

Baark podskoczył, ruszając do ataku. Galant nie drgnął, tylko gardę podniósł. Tamten zwiódł go i na bok odskoczył. Galant bez emocji obrócił się nieco ku niemu. Baark podskoczył na nowo. Rycerz cios sparował, a potem również następny, wyprowadzony drugim mieczem. Było jasne, że Baark go badał.

Przewińmy nieco te podchody, mój panie, bo Baark skakał wokół rycerza czas jakiś, a ten wiele z miejsca, w którym stanął, nie poruszył się podczas tych ataków. Baark szybko się przekonał, że Galant za nic nie zamierza zmienić swojej postawy. Jak na rycerza z wieloletnim stażem przystało, robił pełny użytek ze swojej zbroi, która najlepiej mu służyła, gdy za dużo w niej kroków nie robił. Była za ciężka, by tak wszędzie z nią chodzić.

Baark niejedną fortel miał przygotowany. Wymierzył rycerzowi cios z obrotu, a gdy ten go sparował, zamiast zmienić postawę Baark obrócił się do niego plecami, drugim mieczem uderzając go w zbroję. Galant zdołał ciało dobrze ustawić, tak że miecz trafił w sam środek płyty zbroi, w ten sposób cios nie bolał go wcale. Chłopak, kończąc obrót, odskoczył tak sprawnie, że Galant nie zdołał wyprowadzić żadnej odpowiedzi. Baark na powrót ustawił się do niego przodem z uśmiechem satysfakcji na twarzy.

Galant odchrząknął i poprawił swoją postawę. Nie dało się po jego oczach poznać, czy ten manewr zrobił na nim jakiegokolwiek wrażenie. Nie od dziś wiadomo, że połowę wymachów rycerze opierają na swojej zbroi. Uderzenia o stal nic nie znaczą, póki nie są na tyle celne lub na tyle mocne, by wyrządzić krzywdę. Tym niemniej, gdy rycerz pozwala się uderzyć w swą zbroję, zwykle robi to po to, by samemu zyskać przewagę. Doskonale swego czasu pokazał to sam książę Leoharl. Galant natomiast na tej wymianie stracił. Niewiele, bo zaledwie oddał chłopakowi przywilej przyklejenia na twarz uśmiechu, ale zawsze.

Baark dobrze znał teorię dotyczącą sztuki walki. Przyswajał ją sobie latami. W niejednym też pojedynku brał udział, przekuwając tę wiedzę w całkiem niemałe umiejętności. Problem w tym, że w obliczu takiego rycerza jak Galant to wciąż było za mało.

Tak jak z grą na instrumencie - jak szarpać za struny, prędzej czy później nauczy się każdy. Tylko ten jednak, co na tyle zapалу ma i cierpliwości, by ten sam układ powtarzać i powtarzać w nieskończoność, wyuczy się, jak zrobić, by każde szarpnięcie

brzmiało doskonale. Różnica między mistrzem a niezaprawionym w boju aspirantem: doświadczenie.

Galant przeszedł do ofensywy, coraz rzadziej pozostając w jednym miejscu. Choć zdawało się, że kolejny zadawany przezeń cios i kolejny nie sprawiały mu kłopotu, to skrzywiony nieco miecz i nieco niżej wyprowadzone pchnięcie wybiło Baarka na bok bardziej, niż oczekiwał. Baark całkiem dobrze oceniał postawę jego przeciwnika i był biegły w mierzeniu siły i dystansu, lecz nie wszystko zdołał wziąć pod uwagę. Gdyby spędził w boju tyle lat, co jego przeciwnik, wiedziałby, jak ułożyć nadgarstek.

Kolejny z ciosów przygwoździł go do ziemi. Baark stracił równowagę i jak uczeń, co na trening do fechtmistrza przyszedł, runął tyłkiem na trawę. Chcąc wykorzystać swą ostatnią szansę, spróbował zrobić zamach mieczem, ale już w tej chwili ostrze broni Galanta opierało się na jego gardle. Stojący obok żołnierze zachłysnęli się powietrzem. Baark siedział na trawie, opuściwszy miecz na ziemię. Schylił głowę, akceptując porażkę.

Nastąpiła chwila wymownej ciszy.

- Kurde, Baark. Nie najlepiej ci poszło - zauważył książę.

- W rzeczy samej. - Galant złapał się za wąs, chowając swoje ostrze do pochwy.

Baark, ociągając się nieco, powstał z ziemi.

- Zaczynam się zastanawiać... Jak to jest z tym twoim szkoleniem? - podpytywał książę.

- No i z byciem pierwszym generałem Mrawego - rozważał Galant.

Baark nie podnosił głowy. Czarna chmura zbierała się nad czubkiem jego włosów i lada chwila gotowa była lunąć deszczem. Być może nawet groziła burzą.

- No bo, wiesz, w wojsku wymagany jest pewien poziom ogłady.

- Nie mówiąc już, że od tych, co stają przy boku księcia, wymaga się znacznie więcej.

Baark był w depresji.

- To jak jest z tobą? Umiesz coś walczyć czy nie?! - spytał w końcu książę.

- Ty, tam! - Baark stanął jak piorunem ze swej chmury nad głową rażony, odwracając twarz w stronę losowo wybranego z przyglądających się im żołnierzy. Tego, który akurat wszedł na zbocze z tarczą i piką.

- J-ja?

- Tak, ty! Broń się!

Zupełnie bez ostrzeżenia nabrał rozpędu, wystawiając miecz nad głowę z okrzykiem bojowym „Hyaaaa!”. Baark zawył, spuszczając miecz na ledwo przygotowaną do obrony tarczę żołnierza.

Zadzwonił metal.

Coś świsnęło.

Pół ostrza miecza zawirowało i wbiło się z impetem w glebę. Ktoś odchrząknął cicho.

- Musisz złożyć zażalenie - zauważył Leoharl. - Oręż, jaki ci książę Mrawy daje, coś nazbyt często się krzywi i łamie.

- Ano - przyznał Galant - ciężka sprawa. Baark był już gotów się popłakać.

Wyprostował się i przemknął po cichu obok swoich żołnierzy. Jedyne, co mógł w tej sytuacji zrobić, to odejść z honorem. Znaczy się, wyszłoby mu to lepiej przed tym wybrykiem, ale lepiej późno niż wcale.

- Ma chłopak pecha - zauważył Galant.

- Cóż począć. Widać, że się stara. Ma potencjał do wielkich czynów. Głupio byłoby, gdyby się po tym wszystkim załamał.

Westchnęli, prawie że równocześnie. Leoharl odprowadził Baarka wzrokiem ze wzniesienia. Mimo wszystko trochę było mu go żal. Dwa razy stanął przeciw dużo lepszym od siebie wojom. Nie miał czasu, by nabrać do tych walk ogłady.

- No to jak z tym naszym pojedyńkiem? - podjął temat Galant.

- Wiesz, Galant ? - sapnął Leoharl. - Nie obraż się, ale przeszła mi na niego ochota.

Leoharl zebrał się z trawy i wstając, bratersko poklepał Galanta po ramieniu, a następnie podążył za Baarkiem. Przez to wszystko i Galant zaczął się zastanawiać, czy nie potraktował chłopaka zbyt ostro. Znaczący się, honor nie pozwoliłby mu przegrać, ale mógł mu przecież odstąpić jedną czy dwie heroiczne sceny, w których Baark trzyma go w szachu i jeden ruch zdaje się decydować o wyniku pojedynku. Tymczasem zmielił go na proch. Nie to, żeby zrobił to z jakiejś specjalnej złośliwości. Tak wyszło. Złapał się za wąż, rozważając, czyby nie pójść tam i nie dać się pokonać w rewanżu, ale słusznie doszedł do wniosku, że w ten sposób jeszcze bardziej by Baarka obraził. Może tłum by się nie zorientował, ale przynajmniej trzech widzów, w tym uczestnicy starć, wiedzieliby, że coś jest nie tak.

- Ech... to dlatego nie mam dzieci - oznajmił w końcu, mówiąc jakby sam do siebie. - Nigdy nie wiadomo, jak z nimi postępować.

Schował miecz do pochwy i podążył za księciem z myślą kupienia Baarkowi ciastek. Podobno gdy chodzi o prezent na pocieszenie, ciastka sprawdzają się zawsze.

* * *

Następnego dnia rankiem, daleko od wzniesienia, na którym stali Leoharl i Galant, Kapitan i Selistis podeszli bliżej drugiego z zamków księstwa Wybitnych. Tu, między namiotami, żołnierze posiłki sobie na ogniu przygotowywali, zajmując czas rozmową i grami. Inni wylegiwali się na wschodzącym słońcu. Stojące przy niektórych namiotach flagi ukazywały dziwny czarny kształt na szarawym tle.

- Co to, ktoś koszulę zaplamił? - Selistis próbowała odgadnąć znaczenie tej flagi.

- To głaz - wyjaśnił Kapitan. - Ma symbolizować twardą jak skała wolę.

- A nie tępą jak kamień głowę?

- Nie, jestem prawie pewien, że o wolę chodziło - rozważył tę uwagę Kapitan.

Była to flaga księstwa Szaroburych, którego wojska oblegały zamek. Jeden z bardziej znudzonych żołnierzy, w bok się drapiąc, podszedł do nich sprzed swojego namiotu.

- Wy tu czego?!

- Chcemy rozmawiać z waszym przywódcą - stanowczym głosem oznajmiła Selistis.

- Jeszcze śpi. - Żołnierz zaczął całkiem gdzie indziej się drapać.

- To go obudź.

- Sami go sobie obudźcie - odburknął. - Tamten namiot. - Wskazał.

- Tak po prostu, uzbrojeni mamy wejść do waszego obozu? - spytała Selistis podirytowana, wskazując na glewię Kapitana. Kapitan dumnie zaprezentował swe ostrze.

- Leżcie sobie, gdzie chcecie - odburknął im żołnierz i odszedł, drapiąc się tym razem tam, gdzie nie przystoi wymieniać.

- Gbur! - fuknęła Pani w Czerni.

- Musisz się przyzwyczaić, o pani. Silna wola żołnierzy Szaroburego sprawia, że niełatwo jest ich zdyscyplinować - wyjaśnił Kapitan. - Nie sposób ich zakrzyczeć czy zastraszyć. Z kolei do kar cielesnych książę Szarobury czuje wielką awersję. Nie chciał siłą swego wojska do posłuszeństwa skłaniać, więc musiał na nich znaleźć inny sposób. Jest sławny z techniki, którą opracował, a która pozwala mu „sugerować” żołnierzom różne działania. Takie, które niby miałyby przysłużyć się ich własnemu dobru. Jest w tym na tyle wprawny, że jego podwładni dobrowolnie się owym sugestiom poddają.

- Bezstresowo wychowuje swoje wojsko - stwierdziła ze

zrozumieniem Selistis. Wzruszyła ramionami i podeszła do najwyższego z namiotów. Skoro pozwalają...

- Nie, nie, nie! Otóż, jak ja na to patrzę, dla wojska byłoby roztropniej, gdyby zamek jak najwcześniej szturmować i mieć sprawę z głowy - powolnym, łagodnym głosem argumentował ktoś we wnętrzu namiotu.

- E, głupoty gadasz. Nam się fajnie siedzi - burknął drugi rozmówca.

- Nie mógł im ktoś zasugerować, by zwracali się do ludzi z nieco większym szacunkiem? — pytała Selistis pod nosem.

Weszli do namiotu. Nikt im nie przeszkodził, bo też nie stały przed nim żadne straże. Niełatwo byłoby im wmówić, że powinni tam sterczeć dla swojego własnego dobra. W namiocie księżę Szarobury stał przed jednym ze swoich podwładnych, który miał chociaż na tyle godności, by część zbroi na siebie założyć. Tę górną. Stał przed wodzem bez spodni.

- Przepraszam, ale w tej chwili nie udzielam nikomu audiencji. - Księżę skrzywił się, że ktoś ośmielał się mu przeszkadzać.

Przygarbiony, niskiego wzrostu księżę Szarobury zaprezentował nieznanym swe pomarszczone od wysiłku oblicze. Już dłuższy czas negocjował ze swym wojskiem, szukając argumentów, które mogłyby przekonać żołnierzy do wymarszu. Był przez to nieco podłamany, nie mówiąc już o zmęczeniu.

- My tylko na chwilę. Zechcesz nam wyjaśnić, co tu robisz? - Selistis od razu przeszła do rzeczy.

- Zechcesz się najpierw przedstawić, pani? - powoli deklamował księżę.

- Jestem Sel, to Kapitan. No to co tu robisz?

- Cóż... jestem księżę...

- Domyśliłam się, kim jesteś. Odpowiesz w końcu? Trochę się nam spieszy.

- Pozwól, pani, zauważyć, że przydałoby się w rozmowie z księciem zachować nieco więcej szacunku dla...

- Ej, no to co z tym szturmem! - przerwał mu wtykający głowę do namiotu żołnierz.

- Się zaraz ustali - odpowiedział mu drugi, co stał przed księciem.

Księżę głowę spuścił, oczy zamknął i zatoki dwoma palcami ścisnął, by się uspokoić. Selistis tupaniem przypomniła mu, że wciąż w namiocie stoi.

- Jak pani widzi, jesteśmy w trakcie szturmu na...

- Widzę. Księżę jest na zamku?

- Zechce pani...

- ...Dać ci skończyć? Nie mam czasu. Jest czy nie?

- Nie zastaliśmy...

- No to nic tu po nas. - Selistis machnęła na niego ręką i pośpiesznie wyszła z namiotu.

Kapitan spojrzął za nią, po czym znów popatrzył na księcia. Głęboko mu się uklonił i wyszedł. Był jednym z tych rzadkich gości księcia Szaroburego, któremu cokolwiek na manierach zależało.

- No ładnie - skomentowała sprawę Selistis, spoglądając na sporadycznie obstawione łucznikami mury zamku. - Ten tam, z namiotu, jest sojusznikiem Wielkopysznego, tak?

- Zgadza się - przytaknął Kapitan. - Myślisz, pani, żeby coś z tym szturmem zrobić ?

- Nie ma czasu - westchnęła. - Myślę raczej, że Wielkopyszny jest co najmniej tak samo inteligentny jak Leoharl.

- To... źle czy dobrze? - Kapitan się wahał.

- To znaczy, że nie miałby w planach wysłać wojska tylko na jeden zamek.

Kapitan przytaknął i zadumał się zaniepokojony. Zrozumiał, że Leoharl, Baark i Katia mogą mieć kłopoty.

- Co możemy zrobić?

- Ruszyć z powrotem. I to zaraz. - Zerknęła na Kapitana od boku. - Chyba będę musiała nauczyć cię latać.

Kapitan mrugnął dwa razy. Ślinę przełknął i do glewii swojej się przytulił w nadziei, że ta go ochroni przed złowieszczym uśmiechem Pani w Czerni. Jej uśmiech nigdy nie wróżył niczego dobrego. W najlepszym wypadku tylko sprowadza czarne chmury.

* * *

Baark oddychał ciężko. Pot spływał mu z czoła. Ręce drżały z wysiłku. Zdawało się, że w każdej chwili może osunąć się ze zmęczenia na ziemię, ale się nie poddawał. Kolejny raz rzucił się przed siebie, tworząc ostrzem swego miecza zamaszysty łuk. Zatrzymał miecz i w pośpiechu uderzył z drugiej strony, by zaraz z okrzykiem ciąć od góry. Krótki miecz, targany obiema rękami, zatrzymał się dwa palce przed czołem ofiary. W tym przypadku: stojącego przed Baarkiem drzewa.

Baark wziął dwa głębokie wdechy. Miał ochotę pójść do obozu, spytać, czy ma kto siekierę, coby mógł ściąć tę jabłoń, jakby mu ona ojca spadającym owocem zabiła. Nie musi być duża ta siekiera. Może być mała, malutka. Jemu się nie spieszy. Wręcz przeciwnie, mały toporek byłby lepszy, bo dłużej by mu zeszło. W ten sposób zadałby drzewu więcej cierpienia.

- Twoje wymachy nie są złe. - Leoharl odezwał się z za jego pleców. - Są w porządku.

- N-nowy miecz, więc go w dłoniach ważę, panie. - Baark poczuł nagłą potrzebę wytłumaczenia zaistniałej sytuacji.

- Widzę - książę potwierdził z uznaniem. - Uparłeś się machać dwoma. Jeśli chcesz usłyszeć moje zdanie, lepiej ci jest z tarczą.

- Dwa miecze są najbardziej agresywnym połączeniem, jakie znam, panie.

- Sama agresja, uważasz, powinna wystarczyć?

- Zdecydowanie - przyznał Baark z mocą. - Potrafi zdominować każdą wrogą postawę. Gdybym miał w walce tymi mieczami ogładę, nikt nie stanąłby mi na drodze.

- Święta prawda - przytaknął książę. - Ale żebyś do uzyskania tej ogłady dożył, musisz przetrwać jeszcze niejedno starcie. Jak zdołałem ocenić, z tarczą jesteś dobrze obeznany. Trenuj z dwoma mieczami, a do walki stawaj z tarczą. To moje zdanie.

Baark przytaknął, rozumiejąc przesłanie. Był skłonny je rozważyć. Książę uśmiechnął się, widząc myśli malujące się na twarzy chłopaka.

- Jesteś do walki świetnie przygotowany. Ogłada przyjdzie z czasem. Baark uklonił się, dziękując za pochwałę.

- Ha! W porządku. A teraz myśl, co zrobimy z tym tamtym Galantem.

- Upiec na rożnie i podać w potrawce - rzucił od niechcienia Galant.

Wzięłyby się książę odwrócił spanikowany i rozdziawił japę, zaskoczony tym, że Galant parę kroków od niego stoi, gdyby nie było to aż tak przewidywalne.

- Dobry pomysł, ale przyznam, że za koniną nie przepadam - podjął książę.

- A-ha-ha - śmiech rycerza był cokolwiek wymuszony - że niby konina, bo rumaka mam w herbie? Dobry dowcip.

- Staram się.

- Mój panie - przerwał im Baark - nim ten temat poruszymy, pozwól, że udam się po pannę Katię.

- Pannę Katię? - Książę był wyraźnie zdziwiony.

- No... nie ma już czego na zamku szukać, a niebawem zajdzie słońce.

Poza tym...

- Tak, tak, sam miałem cię tam wysłać, bo przydałoby się nam tutaj jej wsparcie, ale... „pannę Katię”? - Książę powtórzył pytanie. - Poważnie?

- No...

- „Kaktus”. Tego się trzymajmy, bo do reszty z tymi jej imionami zgłupiejemy. Idź już, nie ma co zwlekać - ponaglił.

Wodząc za nim wzrokiem, złapał się za brodę. Myśl mu przeszła przez głowę, co wyraził, wznosząc palec w górę.

- Baark! - rzucił mu na odchodne. - Tak, żebyś wiedział: Kaktus preferuje blondynów. Weź to pod uwagę.

Baark ukłonił się i odwrócił w pośpiechu, by dłużej na jego twarz książę nie patrzył. Odszedł nieco żywszym krokiem.

- Blondynów, powiadasz? - Galant pogładził się po swoich nieistniejących włosach.

- Ot, tak coś z nimi ma. - Książę wzruszył ramionami. -Kobiety - kto je tam zrozumie?

- Ach, tak...

- Wracając do tematu. To co, nabijamy na rożen? Czy po dobroci pogadamy?

- Myślałem, że nie jadasz ko...

- HA, HA - przerwał mu Leoharl dwoma głośnymi, całkiem wyraźnie wyartykułowanymi sylabami. - Ten sam dowcip dwa razy nie przejdzie. Sam żeś rożen proponował i nie udawaj, że nie wiesz czemu. Jesteś w środku obozu armii wroga, który zadeklarował, że gotów podbić twoje księstwo siłą.

- To było na poważnie ? - Galant zafrasował się.

- Jak najbardziej! Znaczy się... jeśli taka zajdzie potrzeba... jak mówiłem... bo wolałbym tego uniknąć. - Książę nieco się zmieszał.

- Więc nie żartowałeś też, że bez swego dyplomaty sobie nie poradzisz?

Leoharl sapnął przeciągle. Naprawdę, zupełnie sobie w takich rozmowach nie radził. Galant dostrzegł to w jego oczach i podkreślił wąsa, dając Leoharlowi spokój. Przynajmniej na razie.

- Mniejsza o to. Mamy ważniejsze sprawy na głowie - zauważył. - Czy byłbyś otwarty na tymczasowy sojusz?

Leoharl spojrzał na niego nieufnie. Znał fortel, w którym jeden z targujących się kupców składa drugiemu tę samą ofertę,

co ten drugi pierwszemu, ale na innych warunkach. Z takich układów nigdy nie wychodziło nic dobrego.

- Już wyjaśniam. - Galant odchrząknął. - Otóż... tak się składa, że wyjechałem z zamku tylko dlatego, że dowiedziałem się, że sam do mnie zmierzasz. Wyjechałem naprzeciw. Mój problem polega na tym, że gdy mój książę zginął w boju, Wielkopyszny postanowił pójść za ciosem. W tej chwili Szarobury oblega mój drugi zamek, a armia Gromowładnego wynurza się zza horyzontu. - Galant wskazał palcem czarną plamę gdzieś w oddali.

Leoharl wzdrygnął się, słysząc o tym, jak mają się sprawy z drugim zamkiem Galanta. W końcu ku niemu ruszyła Selistis z Kapitanem. Nie był jednak wielce tą sprawą zaniepokojony. Był pewien, że jeśli zajdzie taka potrzeba, Selistis upora się z całą armią jak Irransatil, choć może nie będzie przy tym aż tak delikatna.

Sam za to nie bardzo wiedział, jak mógłby wrogiej armii się przeciwstawić, ale nie zamierzał tracić z tego powodu rezonu. Miał przecież parę zapasowych planów w głowie.

- Chciałbyś mojej pomocy przy obronie zamku?

- Prawdę mówiąc... liczyłem, że będzie przy tobie pewna dama... - Galant podrapał się po brodzie.

- W porządku. Pomogę. - Leoharl wystawił dłoń bez wahania.

- Jestem wdzięczny. Sama twoja obecność pomoże. Naszą dyskusję zawsze możemy dokończyć później.

- Liczę na to - przytaknął Leoharl.

Obejrzeni się na połamanych i pobandażowanych wojów, co za nimi stali. Czarna chmura, która wcześniej krążyła nad Baarkiem, teraz zdawała się przysłaniać również oblicze Leoharla. Niewiele ci wojownicy mogli zdziałać w prawdziwym boju, ale Galant miał rację: sama obecność Leoharla wiele mu przy obronie zamku pomagała. Skłaniała chociażby do tego, by przeciwnik zgodził się na pertraktacje.

Rozdział 13

Dyplomacja

Baark ostrożnie przestąpił próg karczmy, do której skierował go jeden z chłopów. Wystarczyło, że niewielki fragment wyglądu Katii opisał, a chłop jednoznacznie ocenił, o kogo chodzi. Jedną z zalet tych jej przedziwnych strojów. Jak szukasz Katii, szukasz pstrokatej sukni z dziwnymi dodatkami. Każdy rozpozna ją z daleka.

Najwyraźniej każdy też chętnie z nią pogada. Mina - nie wiadomo dlaczego - zrzędała nieco Baarkowi, gdy zobaczył, że w najlepsze gada sobie z jakimś innym patronem karczmy. Podszedł do nich żwawo.

- Leoharl mnie przysyła... - zaczął.

- O, Baark! To Jacek - z miejsca mu przerwała, wskazując na swojego kompana. - Siadasz?

- Ale książę...

- Niech czeka. Spiesz mu się dokądś ?

Baark ocenił sytuację i wzruszył ramionami. Jeśli do tej pory Leoharl z Galantem jeszcze się nie poćwiartowali, nic gorszego nie może się zdarzyć.

- Jacek właśnie opowiadał mi o Ketlos.

- Opowiadał, ale iść już musi. - Posępnie wyglądający towarzysz Katii postanowił opuścić lokal.

Baark rozważał, czy przypadkiem czymś go nie wystraszył.

- Szkoda. Miło mi się z tobą gadało.

- Mnie również. - Jack ukłonił się. - Mam nadzieję, że jeszcze będzie okazja.

Katia pomachała mu na odchodne. Odprowadzili go wzrokiem aż do wyjścia.

- Siadasz? - Katia ponowiła zaproszenie.

Baark zamówił piwo i usiadł. Przydałoby mu się trochę odpoczynku, uznał, zwłaszcza po tych ostatnich dość nerwowych wydarzeniach.

- Trawa między kółkami kolczugi, nowy lśniący oręż i zafrasowana mina. Biłeś się i znowu dostałeś w nos? - bezbłędnie odgadła Katia.

- Nie chcę o tym mówić - rzucił, przyginając się nad kuflem.

- Co jest z wami, facetami, że od razu sięgacie po miecz, zamiast tak po prostu sobie pogadać? - Pociągnęła łyk soku. Była wyrobiona w powolnym opróżnianiu trunków. Bardzo cenna umiejętność, użyteczna przy długich negocjacjach.

- Broniełem honoru Leoharla - wyjaśnił.

- Maltretując swój. Zakrył twarz kuflem.

- W sumie jak to się stało, że przywódcą armii zostałeś? Nie obraż się, Baruś, ale nie uwierzę, że za talent w walce.

- „Baruś”?

- Brzmi lepiej. Za bardzo mi się z psim szczeknięciem twoje imię kojarzy. - Rozpromieniła się radośnie.

- Psim szczeknięciem?

- Oj, już nie zmieniaj tematu!

- Przyjęli mnie, bo miałem na to stanowisko najlepsze kwalifikacje w całym księstwie.

- Naprawdę?! - Katia zrobiła okrągłe oczy.

- Skończyłem... szkołę generalską.

- Naprawdę?!

- Tak się jakoś złożyło.

- Z jakiej szkoły dyplom?

- Mało znane miasto na wschodzie...

- Na wschodzie ? - zadumała się Katia. - Więc byłeś poza ziemią królestwa.

- No... znaczy...

Baark westchnął. Chyba już zapędził się w kozi róg. Nie było wyjścia. Musiał się wytłumaczyć.

- Kurs ukończyłem korespondencyjnie - wyjaśnił.

Katia, wgapiona w niego z kamienną twarzą, zrobiła pauzę, by podnieść dramaturgię sytuacji.

- Ach, to wiele tłumaczy - stwierdziła w końcu z uznaniem.

-Użyteczna forma podnoszenia kwalifikacji, nie uważasz?

- N-no... - Baark zawahał się zaskoczony, że Katia przyjęła tę wiadomość z takim spokojem.

- Sama mam pięć dyplomów. Krawcowej, stylistki mody kur, wypasaczki bydła ze specjalnym ukierunkowaniem na pasanie krów w górach, lutniarki i oczywiście rachmistrzyni - podliczyła. - Ale podsunąłeś mi świetny pomysł. Dyplom generała też chętnie bym sobie wyrobiła.

Baark załamał się nerwowo. Jednym haustem opróżnił swój kufel i o nowy wołał. Obiema łokciami głowę podparł, by mu czasem o stół ze zmęczenia nie walnęła.

- Wiesz... miałem być kucharzem...

- A! Kucharki dyplom też mam! - Nagle ją oświeciło. - Sześć razem!

- ...No więc, miałem dostać przydział na zamkowej kuchni -westchnął

- ale gdy obejrzelili moje kwalifikacje, przydzielili mnie do innego zespołu. Z powodu tych wszystkich sporów mieli znaczące braki w wykwalifikowanej kadrze.

- Mama z tatą dumni, że syn taką rolę dostał, nie ?

- Nawet nie wiesz, jak bardzo. Ojciec - rzeźnik, matka -

piekarz, a i moi dziadkowie, wujkowie, ciotki i wiele z ich dzieci: wszyscy z jedzeniem związani. Nim dostałem ten przydział, markotnie na mnie patrzyli, że im będę konkurencję robił. Gdy tylko tę dobrą wiadomość usłyszeli, od razu z domu wypchnąć mnie chcieli. Ciężko było zawieść ich oczekiwania. Powietrze w pierś wciągnąłem i poszedłem robić to, do czego mnie wzywają. Z czasem przyuczyłem się do zawodu.

- Skąd w ogóle się na tym kursie wzięłeś ?

- Przypadek. - Baark machnął ręką. - Z kuchni mnie wyganiano, to siedziałem w miejskiej bibliotece. Dużo o historii się naczytałem i mnie wzięło, że przecież gdybym był generałem i znał błędy ze wszystkich poprzednich wojen, może lepiej zdołałbym wojskami dowodzić.

- Żałujesz, że przyjąłeś tę posadę?

- Ani trochę - rzucił stanowczo. - Może nie byłem do niej całym sercem przekonany, gdy ją przyjąłem, ale z czasem moje serce do niej urosło. Jestem dumny, że mogę w ten sposób przysłużyć się memu panu. Chociaż... ciężko pełnić tak odpowiedzialną funkcję bez doświadczenia.

- Lepiej nie mogłeś trafić. - Jednym haustem opróżniła swój kubek z sokiem. - Tyle doświadczenia przy Leoharlu nabierzesz, że ci na dwa życia starczy! - Energicznie odstawiła kubek na stół, rażąc Baarka uśmiechem od ucha do ucha.

Ten spojrział na jej roześmiane oczy i sam uśmiechnął się do swojego kufla. Nieuzasadniony optymizm był mu całkiem obcy, ale czasem miło tak po prostu zapomnieć o wszystkich problemach świata. Chmur nad głową w ten sposób rozgonić się nie da, ale da się przed nimi na moment schować pod dachem. Upił znów łyk piwa.

- Pasanie krów w górach? - Baark wrócił do urwanej myśli.

- Myślałam ruszyć w górzyste ziemie. - Katia wzruszyła ramionami.

- Lutniarka?

- Otóż, słuchaj, od zawsze mi się marzyła taka lutnia...

Wysłuchiwał, jak mu Katia swe marzenia przedkładała, wpatrzony w jej zaraźliwy uśmiech. Miała rację. Leoharl mógł sobie jeszcze na nich trochę poczekać.

* * *

- Jak leci ? - beztrąsko zagadnęła Katia, wychodząc z Baarkiem przed zamek.

- W porządku, dziękuję, że pytasz - uprzejmie odpowiedział jej Galant.

- Mamy ładną pogodę. Idealną na piknik - zauważył Leoharl.

- O! To się dobrze składa, bo gadałam z takim jednym...

- Przepraszam, że się wtrączę - niegrzecznie przerwał jej Baark -ale czy przypadkiem nie była mowa o jakiejś bitwie ?

Galant wymienił z Leoharlem spojrzenia. Pogładził wąsa i odchrząknął. Ta dzisiejsza młodzież... za grosz taktu.

- Wojska Gromowładnego już tu są. - Leoharl skupił wzrok na stojącej na wzniesieniu armii.

- Wysłałem im naprzeciw posłańca, ale na wszelki wypadek wystawię też przed zamek trochę woja. - Galant zadumał się, wydając swoim sługom odpowiednie rozkazy.

Baark z trwogą spojrział w dal, a później na wojska, które powierzył mu jego władca. Jak on, patrzyli na zbliżającą się armię ze strachem, że przyjdzie im stoczyć bardzo nierówną walkę. Spojrział też na Katię, która za nic nie chciała przestać się uśmiechać. Nie mógł wiedzieć, czy szczerze niczego się nie obawiała, czy chowała lęk za tym uśmiechem. Wiedział tylko, że z braku Kapitana i Selistis, gdy Leoharl stanie u boku Galanta, tylko on pozostanie, by zatroszczyć się o jej bezpieczeństwo.

Baark zacisnął wargę i stanął, dumnie wypinając klatę. Czuł, że swoją mową musi zmotywować ich do walki.

- Żołnierze! Księżę Mrawy, oddając nas pod władzę księcia Leoharla, przekazał nam tę ważną misję, byśmy właśnie w takiej

chwili stanęli za nim naprzeciw Gromowładnego! - wydeklamował pewnym, pozbawionym strachu głosem. - Choć wróg ma nad nami liczebną przewagę, naszym nieugiętym duchem zmiażdżymy jego wolę walki. Ramię w ramię, murem staniemy za słowem naszego przywódcy!

- Cóż, jeśli tak trzeba...

- Skoro każą...

- Niech będzie - szemrało wojsko. Nie podzielali jego entuzjazmu.

- Bez obaw, zrobimy, co się da, by uniknąć walki - zapewnił ich Leoharl.

- Naprawdę?

- Tak już lepiej!

- Niech żyje książę Leoharl! - wiwatowali radośnie.

- No, ale... - Baark czuł, jak negatywne nastawienie armii miażdży jego wolę walki.

Katia na pocieszenie klepnęła go w ramię.

- Mnie zmotywowałeś. - Uśmiechnęła się promieniście.

Baark pociągnął nosem, dobywając z sakiewki rodzyna na pocieszenie. Armia Galanta stanęła przed zamkiem. Baark i Katia dołączyli do niej z wojskami Leoharla. Galant z Leoharlem stanęli wyczekująco parę kroków przed nimi.

Trzech jeźdźców wyłoniło się z szeregów armii Gromowładnego. Podjechali pod sam zamek, przed Galanta i Leoharla. Gromowładny nie obawiał się z ich strony niczego i nie wahał się tego pokazać. Niesione przez jego obstawę czarne flagi przecięte białymi bazgrołami, co niby błyskawice miały przedstawiać, dumnie trzepotały na wzmagającym się wietrze. Słońce chowało się za chmurami. Zbierało się na deszcz.

Okuty w stal rycerz zatrzymał wierzchowca tuż przed twarzą Leoharla. Klapę od hełmu podniósł, odchrząknął i zapytał otwarcie:

- Co mam do was tyle człapać? Na konie was nie stać?

- Prawdę mówiąc, mam do nich awersję - tłumaczył się Leoharl.
- A mój gdzieś mi uciekł. - Galant pogładził swój zarost.
- W porządku. - Księżę żwawo zeskoczył z konia. - Artur Gromowładny, dumny władca ziemi na północny wschód od Jeziora Beztroski. Sprzymierzeniec księcia Wielkopysznego.

Artur huknął jak grzmot z nieba i stanął, oba boki dumnie podpierając rękami. Ciężko było odgadnąć, co leżało pod zbroją, ale sama zbroja miała imponujące kształty. Jeśli wiernie oddawała muskulaturę tego, który ją nosił, Artur z powodzeniem mógłby straszyć nie tylko donośnym głosem, ale i mięśniami.

- No właśnie... my w sprawie twojej delegacji - zaczął niepewnie Leoharl.

Najwyraźniej i jemu klata księcia Gromowładnego pobudziła wyobraźnię, pozbawiając nieco odwagi. Niemało krzepy potrzeba, by zeskoczyć z konia w takiej zbroi.

- Pozwól, że się przedstawię - kontynuował księżę.
- Leoharl z rodu Memów - wyręczył go Gromowładny.
- Poprzedza mnie sława...
- Wasz poseł mi powiedział.
- Ach, racja. - Leoharl zmieszał się. - Cóż, pewnie już coś niecoś o mnie słyszałeś?

- Trochę bajek od trzęsących portkami ze strachu uciekinierów - prychnął Artur.

- Więc nie wierzysz, że zdołałem przed armią Wielkopysznego obronić zamek?

Gromowładny spojrział na Leoharla z góry. Prawdę mówiąc, miał nad nim niemałą przewagę wzrostu, więc z konieczności tak na niego patrzył.

- Słyszałem, że masz armię gotową wiele zdziałać, ale to -machnął ręką na wojsko stojące za Leoharlem - przy mojej armii to zaledwie garstka.

- Mam prócz armii inne atuty, których nie zawaham się przeciw tobie użyć. - Leoharl uśmiechnął się podstępnie.

- Tak? Jakie? - Artur powątpiewał.

Blef się nie udał. Leoharl do udzielenia odpowiedzi na takie pytanie nie był przygotowany. Te deszczowe chmury, o których wspominałem, zdawały się coraz bardziej zbierać nad zamkiem. Całe szczęście, że Leoharl miał wśród swoich podwładnych dyplomatkę, która była w stanie wyratować go z tej opresji. I nie była to Katia.

Zza horyzontu za jego plecami na niebo wzleciała czarna kula. Jak rzucona trebuszem, szeroki łuk rysowała, ciągnąc za sobą smugę dymu. Przecięła niebo nad zamkiem i choć ciężko było kierunek jej lotu przewidzieć, zdawała się mierzyć prosto w Leoharla. Prewencyjnie ruszył się z miejsca o dwa kroki.

Czerń z impetem wymierzyła w środek zgromadzenia. Spłoszeni konwojenci proporce z flagami pogubili i rozbiegli się, gdzie ich konie poniosły. Sam Gromowładny, ręką twarz zasłaniając, twardo stał naprzeciw całej tej czerni. Podobnie Galant z Leoharlem wciąż stali naprzeciw niego.

Gdy kurz i kawałki ziemi opadły, w samym centrum tego uderzenia zjawiała się istota o wiele straszniejsza niż lecąca z impetem ku ziemi kula. Żywa czerń o czerwonych jaśniejących oczach wyszczerzyła zęby w gniewie i mrozącym krew w żyłach głosem oznajmiła:

- Zarządzam koniec spotkania.

Gdzieś po drodze na ziemi wylądował też Kapitan. Zapewne Selistis, planując swoje lądowanie, już wcześniej go była upuściła. Czerń, która i jego spowiła, złagodziła jego upadek. Leżał teraz na trawie z glewiami w jednej ręce, a drugą dłonią troskliwie przytrzymał swój szyszak. Wyciągając z brody kawałki ziemi, spojrział w górę na stojących nad nim zatroskanych o jego zdrowie Katię i Baarka. Uśmiechnął się na ich widok. Cieszył się, że ich drużyna znów jest w komplecie.

- Dzień dobry - przywitał się grzecznie.

- Hej. - Katia uśmiechnęła się do niego.

- Jak leci ?

- W porządku. Pogoda trochę się psuje.

- Grad zapowiadali.

- Chyba już zleciał. - Uśmiechnęła się do niego raz jeszcze. Kapitan powstał z ziemi i pieczołowicie z kurzu się otrzepał.

Rozejrzał się wkoło rozkojarzony, odnajdując wreszcie to, czego szukał.

- O, nie, dopiero zaczniesz lecieć - mruknął pod nosem.

Selistis, wkurzona jak nigdy dotąd, wbiła w Leoharla mordercze spojrzenie. Czoło opuściła przy tym tak nisko, jakby zebrać się miała do skoku, chcąc pazurami pociąć go na plasterki.

- Co to za jeden? - fuknęła, wskazując na Galanta.

- Jestem Galant Stalowy z rodu...

- Co się tu wyprawia? - Nie dała mu skończyć.

Prawdę mówiąc, ostatnimi czasy niewielu rozmówcom na to pozwalała. Ten ciągły pośpiech był bardzo niepokojący. Zdecydowanie już zbyt długo usuwano ją na drugi plan. Cierpliwość zupełnie już jej się skończyła. Rozumiesz chyba, panie, że wobec tego ta następna uwaga, która padła zza jej pleców, była niczym próba własnoręcznego odebrania sobie życia.

- Kim jesteś, że śmiesz przerywać nasze spotkanie ?! - huknął Gromowładny.

Trzeba przyznać, że gdy czerń wokół Selistis opadła, od strony pleców tak znów straszna się nie wydawała. Artur nie mógł wiedzieć, że w tej chwili nie należy się do niej odzywać.

Selistis nieznacznie obróciła głowę za siebie, a gdy kątem oka dojrzała osobnika, który śmiał się do niej odezwać, mechanicznym machnięciem ręki wzbija poły swego płaszcza. Wszyscy wkoło, co do jednego, poczuli nagły poryw wiatru. Przeleciał pod jej płaszczem, z mocą napierając na okutego w stal nieszczęśnika. Gromowładny jak stał, tak, nie wiedząc czemu, na plecy poleciał.

- Więc? Czy się dowiem wreszcie, co się tu wyprawia?

- Otóż, pani, w dyskusję z tym oto Gromowładnym się wdaliśmy. - Galant szybciej niż poprzednio przeszedł do rzeczy.

- Dyskusje? Takie, co całymi armiami się przeprowadza?

- To złożona sprawa. - Leoharl w końcu usta otworzył.

- I nie raczyłeś z nimi na mnie poczekać?

- Jak mówię, złożona.

- Taki żeś odważny, że przed armią stajesz beze mnie?! Czy może stężenie procentowe metalu między żebrami stało się dla ciebie za niskie i postanowiłeś to zmienić? Myślisz, że możesz sobie na to pozwolić?! Iść do walki beze mnie?! Kto stanie przed tobą, by zasłonić cię swoim ciałem?

Leoharl nie odpowiadał. Wiedział, że gdy jest tak zagniewana, do Selistis nie przemówią żadne słowa. Sama zresztą nie umiała powiedzieć, o co jej naprawdę chodzi. Był ciekaw, czy za jego przykładem Selistis też postanowi przejść do czynów, gdy zawiodą ją słowa.

- Ty tam!

- Galant - zgłosił się wskazany palcem.

- Stawaj do walki!

- Ale...?

- Czyż nie jesteś spośród tu zgromadzonych najsprawniejszy w boju?

- J-ja przepraszam - cichym szeptem wymamrotał ktoś zza pleców. - J-jeśli pani pozwoli, m-mógłbym wtrącić słowo? - dukał Gromowładny, półsiedząc na ziemi.

Selistis zmroziła go swym spojrzeniem.

- Stawaj! - krzyknęła raz jeszcze do Galanta, ignorując te ciche podszepty.

Galant nie rozumiał, czemu to na nim miała zamiar wyładować swą złość. W końcu wściekała się na Leoharla. Wymienił z nim pytające spojrzenie. Zrozumiał, zauważywszy, że Leoharl wciąż za bok się trzymał. Nie chciała walczyć z rannym. Wybrała go, bo był jedynym w pobliżu, kto mógłby w miejsce Leoharla walczyć.

Galant przytaknął i stanął przed Leoharlem. W sumie lepiej, że władca nie będzie musiał własnoręcznie dyscyplinować swojej podwładnej. On z kolei będzie miał dzięki walce okazję trochę z Selistis podyskutować. W końcu wiedział, że podczas pojedynku można sobie przekazać całkiem sporo rzeczy. Oczywiście, woje po szkole zamiast słów do rozmowy często używają mieczy. To dlatego, że bogata gama emocji zawarta w ich ruchach tworzy swoistego rodzaju ekspresję. Taką całkiem podobną do tej, co malarze zawierają w obrazach, poeci w wierszach, a bardowie w pieśniach. W końcu walka nie bez powodu również zwana jest sztuką. Tak właśnie stojący w bezpiecznej odległości od całego tego zamieszania Kapitan próbował sobie wytłumaczyć tę sprawę. Spojrzał na swoją głewię, zastanawiając się, czy jego własne słownictwo nie jest czasem zbyt ubogie. Umiał tylko dwa słowa: „kłuj” i „ciach”. Może dlatego, że nie skończył żadnej szkoły.

* * *

Można się było spodziewać, że mowa Pani w Czerni będzie nader wulgarna, a delegat wyznaczony przez księcia nie bardzo będzie do ich rozmowy w stanie wtrącić choćby dwa słowa. Nie był bowiem zaznajomiony z jej ciętą ripostą tak, jak książę. Nie należy się więc dziwić, że tej dwójce trudno było się dogadać. W efekcie dyskusja Selistis z Galantem, jakkolwiek interesująca, niewiele wniosła. Nie wypada jednak owego dialogu pominąć.

Galant w pełnej zbroi płytowej stanął naprzeciw odzianej w płaszcz Selistis. Hełm przygiął i półtoraręczny miecz wyprostował. Pani w Czerni spod pół swego płaszcza powoli, w skupieniu, jednoręczny miecz wyciągnęła i wystawiła go przed siebie niezgrabnie.

Kapitan zmarszczył czoło. Czemu taką broń do walki wybrała, skoro widać było już po samej jej postawie, że nie umie nią władać? Domyślił się, że pewnie dlatego, by na równi ze swym

przeciwnikiem stanąć. Szkoda tylko, że w ten sposób teraz to Galant miał nad nią przewagę.

Galant ostrożnie zrobił pierwsze dwa wymachy, Selistis od obu odskoczyła. Przy trzecim tak sprawnie się ustawił, że machnąć musiał z niezbyt dużą siłą, by przypadkiem zbyt mocno swego przeciwnika nie zranić. Tymczasem Selistis znów uciekła, odlatując na pięć kroków od niego. Zamrugął, by sprawdzić, czy oczy wciąż mu odpowiednio działają.

- Ta... - wymamrotał przez zęby.

- Coś nie tak? - zaszydziła z niego Pani w Czerni.

- Nie dawaj jej forów, Galant! - huknął zza niego książę. - Jest dużo szybsza, niż myślisz!

Galant zacisnął powieki, zastanawiając się, jak się zachować w tej nowej sytuacji. „Ze spokojem, najpewniej” - uznał w końcu i przygotował się na jej natarcie.

Machnęła na niego parę razy - bardzo szybko, lecz nieumiejętnie. Jej miecz z łatwością zatrzymywał się na gardzie Galanta, a że jego miecz miał całkiem pokaźną masę, samym pchnięciem tak ją na bok wybił, że rycerz bez trudu mógł przeprowadzić kontrę. Znów jednak w ostatniej chwili zwolnił swój wymach, dając jej szansę na ucieczkę.

Nie skorzystała. W mgnieniu oka obróciła się, by mieczem zbić miecz Galanta. Trochę się przeraził, że sama zrobi sobie w ten sposób krzywdę, ale bez powodu. Jej chwyt był tak mocny, że ciężki miecz Galanta wciął się w stal miecza jednoręcznego, zatrzymując się zupełnie.

Galant wybałuszył oczy. Selistis odskoczyła.

- C-co? - wydukał Galant.

Jego umysł nie potrafił zrozumieć tego, co się stało. Stwierdził, że zaczął egzystować w jakimś innym świecie, wobec czego należy się chłasnąć w twarz i obudzić.

- Może wreszcie przestaniesz jej folgować? - burknął książę zza pleców.

Selistis zrugła go spojrzeniem, wciąż będąc pogrążoną w tym samym gniewie, w jakim rozpoczęła całe to spotkanie. Galant spojrział na swój miecz, potem na nią i na jej wyszczerbione ostrze. Pani w Czerni przyjrzała się owemu wyszczerbieniu, wzruszając ramionami. Rzuciła miecz na ziemię, wyjmując zza pasa kolejny. Nowy miecz miał tym razem wygięte w łuk jednosieczne ostrze, znacznie szersze od poprzedniego.

- Krzywy - mruknęła, rzucając go na ziemię, i wyjęła spod płaszcza trzeci. Ten był fajniejszy. Był dłuższy i dużo węższy od tego pierwszego. Miał do tego ciekawie zdobioną rękojeść, co od razu się Selistis spodobało.

Rapier. Galant mentalnie się poddał. Rycerska duma nie pozwalała mu opuścić miecza, ale nie walczył już z Panią w Czerni duchem i ciałem, a tylko tym samym ciałem. Selistis była przerażająco szybka, ale jeśli spojrzeć na nią z innej strony, o walce wiedziała niewiele. Miał czas, by pomyśleć o jednym czy dwóch fortelach, poprzez które mógłby jej niewiedzę wykorzystać. Przygotował się na kolejny atak. „Najważniejsze - pomyślał - to przestać się dziwić, a działać”.

Selistis rzuciła się na niego z daleka. W porównaniu do jej poprzednich ataków ten był całkiem wolny. Galant zatrzymał jej rapier przy ciele, na rękojeści swojego miecza. Zrozumiał, że jego przeciwniczka sama nie wie, co robi, skoro taką bronią zadawała cięcia. Długo zatem się nie zastanawiał i dość mocno napał na nią od boku. Jak przewidział, wystawiła miecz do bloku.

Rapier złamał się pod siłą tego ciosu jak zapalka w palcach. Ostrze miecza Galanta z impetem wbiło się w płaszcz Pani w Czerni. Spośród wszystkich ciosów, jakie mógł w tej sytuacji wyprowadzić, cios od boku w tułów był najłagodniejszym. Przeraził się jednak, bo w obawie, że cios za wolno wyprowadzi, wcale się ze swoją siłą nie hamował. Ale to nie był trening. Uznał, że jeśli krzywdę jej robi, to dlatego, że rycerza do boju wyzwala, nie mając żadnych bojowych umiejętności. Zgięła się

pod siłą ciosu i odleciała z impetem na bok, upadając ostatecznie na ziemię.

Zmierzył ją zimnym spojrzeniem. Opuściła głowę, wlepiając oczy w klingę złamanego miecza. Druga połowa upadła gdzieś za jej plecami.

- Nie wiem, czym ci księżę Leoharl zawinił, ale i ty pewno nie jesteś bez winy - zauważył Galant. - Widać to jasno po arogancji, z jaką podchodzisz do tej walki. Nic nie zdziałaś samym gniewem.

- Cieszę się, że to zauważyłaś - rzuciła bez emocji.

Wstała w końcu, ukazując swój rozdarty płaszcz i rozcięty kawałek skózanego stroju, który krył się pod nim. Wystające z tej skóry czerwone nici zdawały się ukazywać jej zranione ciało. Wstała z trawy bez oznak bólu na twarzy i bezceremonialnie odrzuciła klingę złamanego miecza.

- Powiedz zatem, czy księżę, ignorując nieobecność swego najlepszego woja i samotnie ruszając do walki, nie wykazał się równie wielką arogancją?

Zrobiła krok naprzód. Choć nie miała broni, Galant przygotował się do bloku.

- Tylko ja ochronię go przed armią. Tylko ja! - krzyknęła, skacząc naprzód.

Trzymał miecz bokiem, licząc się z otrzymaniem ciosu pięścią, choć nie widział w próbie wyprowadzenia takiego ciosu większego sensu. Tymczasem ona zamierzyła się na niego samymi otwartymi rękami. Była szybka, to wiedział, ale nie mógł wiedzieć, jak walczy bez broni. Wystawił ramię, by ją odepchnąć.

Zatrzymała jedną dłoń na mieczu, drugą wyciągając, by dosięgnąć zbroi. Gdy jej twarz znalazła się tak blisko niego, poznał w końcu, że w jej oczach kryło się coś więcej niż pusty gniew, który do tej pory prezentowała. Nawet jeśli to właśnie ten gniew sprawił, że zacisnąwszy zęby, okryła swoje dłonie czernią.

Z impetem runął na plecy. Czarny płomień z wielką siłą uderzył o zbroję, czerniąc jej płaty. Nim zdołał się otrząsnąć, Selistis

już stała nad nim. Rękę z mieczem przed siebie wyciągnął, ale ta zdała mu się nieoczekiwanie lekka. Jakoś nagle ubyło trzymanego w niej ciężaru. Jak się okazało, w odwecie za złamany rapier Pani w Czerni drugą dłonią stopiła ostrze jego miecza. Galant spojrział na swą zbroję. Osmolona dziura odkrywała ubranie i poczerwieniałą skórę. Żołnierze Galanta poruszeni pytali między sobą, co się dzieje z ich wodzem.

- Powiedz mi, rycerzu, czy staniesz przed tym księciem, gdy wróg mu zagrozi? Czy obronisz go swoją zbroją? - spytała, nogę mu kładąc na zbroi.

Rozgorzała wszechobecna wrzawa. Ktoś zakrzyknął, by ruszyć do ataku. Choć Kapitan starał się ich uspokoić, nie miał szans przemówić do każdego. Rzucili się do przodu, by otoczyć Selistis i stanąć przed rycerzem. Ta jednak wystawiła jedną rękę nad siebie, wzbijając z ziemi kurz w powietrze. Zmieszane z wiatrem płomyki czerni otoczyły tę tymczasową arenę, wprawiając zgromadzonych w osłupienie. Przerazona Katia przytuliła się do Baarka. Sytuacja zdawała się dramatycznie zmierzać do tego, że zostaną dokonane zniszczenia na nieopisaną skalę. Tylko Kapitan nie był tym wszystkim przesadnie wzruszony. On jeden przyglądał się tej scenie ze spokojem i opanowaniem, choć nie wyglądało, żeby miał ku temu powód.

Czarne płomienie rozrzuciły tych, co podbiegli bliżej, na wsze strony. Ci, co stali dalej, runęli na ziemię. Innych wiatr przetoczył po ziemi parę metrów dalej. Nikt poza Galantem, Selistis i Leoharlem nie miał wstępu na arenę. To był moment, w którym Gromowładny mógł się cieszyć, że został wcześniej tak doszczętnie przez Panią w Czerni zignorowany.

- No i proszę! Na co ci ta zbroja? - spytała łapiącego się za bok Galanta. - Nawet gdybyś stanął w czyjejs obronie, nie byłbyś w stanie go ochronić! - drwiła.

- Starczy. Powiedziałaś już swoje - oznajmił w końcu książę Leoharl.
- Teraz moja kolej.

- Co, zamierzasz przeprosić?

- A gdzie tam. - Machnął na nią ręką.

Nie wkurzyła się bardziej, bo już chyba nie byłaby w stanie. Niemniej zmieniła cel swojego świdrującego wzroku, zdejmując swą nogę z Galanta.

- Jesteś głupia! - zaczął dyplomatycznie księżę.

- Ho... - Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Tak, głupia. Powtórzę, jeśli za pierwszym razem nie usłyszałaś. Po pierwsze, jesteś moją podwładną i jeśli tak ci rozkażę, będziesz siedzieć i czekać jak długo zechcę, jasne ?

Wymazała uśmiech ze swej twarzy, nie odpowiadając.

- Po drugie, do kroćset, już jeden kuśtykający woj wystarczy, nie trzeba było ranić drugiego! - Wskazał palcem Galanta, który tak był już skonfundowany, że nie wiedział, czy tych dwoje zamierza się rozmówić, czy skoczyć sobie do gardeł. - A głupia jesteś wyjątkowo, jeśli sądzisz, że w ogóle przez myśl by mi przeszło, żeby odstawić cię na boczny tor! - wyznał w końcu. - Powinnaś wiedzieć, że przed każdą armią zwiewałbym tak szybko, że kurz nie zdążyłby z ziemi powstać! - dodał z dumą.

Kilku słuchaczy z uznaniem pokiwało głowami, doceniając istotę posiadania takiej umiejętności. Sprawny odwrót był bodaj jedną z pierwszych technik, jakich uczą na szkoleniu.

- Nie staję z garstką woja przeciw armii. Nie jestem tak głupi. Stałem tu z Galantem, by rozmówić się z tym tam Gromowładnym. - Uderzył w przysłowiowy stół.

- M-mnie tu nie ma - odezwały się nożyce.

Selistis mechanicznie obróciła głowę za owymi nożycami, fen był prawie tak zielony jak Kaktus ze strachu, że na niego cały gniew Pani w Czerni spadnie. Ale jej napięta twarz trochę jakby zelżała, a ogień we wzroku przygasł nieco tak, że dało się już na te oczy patrzeć.

- Nie poszedłbyś beze mnie ?

- Życie jeszcze mi miłe.

- A po kiego żeś na zamek beze mnie wchodził?

- Toć mówiłem, że to bardziej skomplikowana sprawa. Nawet nogi w środku nie postawiłem! - wyrzucał z siebie Leoharl. - Galant, którego tak pięknie potraktowałaś, jest obecnym władcą tego księstwa. Spotkaliśmy go przypadkiem pod zamkiem.

- Przypadkiem? - Selistis gubiła się w tym wszystkim. - Tak po prostu?

- Tak po prostu - naciskał Leoharl. - Więc jak widzisz, przed nikim bez ciebie nie stawałem.

- Nie stawałeś?... No to... po jakiego ja się tak na ciebie wściekam? - spytała, trochę jakby nie wiedząc kogo.

- A czort cię tam wie! - odparł książę, uznawszy, że jest odpowiednią osobą, by jej odpowiedzieć. - Ludzi mi tu maltretujesz i zbroje palisz. Wzięłaś się w końcu opamiętała.

Zdawał się nie żartować. Selistis natomiast rozmyśla w końcu czarny płomień, który ich otaczał, i opuściła nieco głowę niezadowolona. Żołnierze nie wiedzieli, czy uciekać, czy profilaktycznie stać w miejscu i nie dawać znaku życia. Napięcie jednak wyraźnie opadło.

- No! Przepraszasz w końcu czy nie? - pytał książę.

- Za co?

- Za...?!

- Ty tam, Galant, tak? - Pani w Czerni rzuciła rycerzowi niemrawe spojrzenie. - Żywisz do mnie urazę?

- Ja? - Galant rozważał różne odpowiedzi. - Skądże znowu.

- A wy? Ktoś tam poturbowany? - spytała tłumy.

- A, nie, nie!

- U mnie spoko!

- Nawet stłuczenia!

- Okaz zdrowia!

Rzuceni dalej lub bliżej woje odzywali się kolejno.

- Więc wszystko w porządku. Nie mam za co przepraszać.

- A ja? Mnie to nie łaska spytać?! - zapytał w końcu książę, bo go już krew zalewała.

- A ty... - Zmierzyła go wzrokiem. - Ty się nie odzywaj. Ciesz się, że ci armii w pył nie zmieliłam. Właściwie to powinieneś mi nawet za to dziękować.

- Rozkazuję ci mnie przeprosić!!! - próbował desperacko.

- Chcesz w łeb?

Gdzieś w tle, w tej nagle powstałej ciszy, zaśmiała się Kaktus. Kapitan zachichotał cicho pod wąsem i na twarz Leoharla również wstąpił uśmiech. Wszyscy dobrze wiedzieli, że Selistis nie ustąpi. Dało się wyczuć, że dalsza kłótnia skończyłaby się spełnieniem jej groźby. Selistis uśmiechnęła się ucieszona, że ten punkt był przynajmniej jasny.

- Ech - książę westchnął, akceptując porażkę na tym froncie. - Wy tam, pozbierajcie Galanta z ziemi.

Dwóch żołnierzy posłusznie pomogło wstać ich władcy. Kilku innych zaczęło zbierać porzucane w całym tym zamieszaniu piki i tarcze. Tylko Selistis wciąż stała w miejscu, jakby niegotowa się ruszyć. Leoharl przyglądał się jej ze spokojem.

- Nie rób tego więcej, jasne? - rzuciła w końcu.

- Nie zrobię, ale i ty musisz dać mi spokój.

- Spokój?

- Wiem, że gorąco pragniesz pomóc mi w podboju, ale nie takie są moje plany - wyjaśnił.

Leoharl podszedł do niej, przez cały czas nie odrywając wzroku od jej oczu. Przedziwny obraz, jaki malował się na jej twarzy, był nieodgadniony. Uciekała wzrokiem, jakby w strachu przed jego słowami.

- W tym sporze nie potrzeba wojów, a dyplomatów - kontynuował. - Choć jesteś tak wspaniałą podwładną, muszę radzić sobie bez twojej pomocy.

Zamarła, jakby co drugie słowo uciekło gdzieś na bok, a z tych, które usłyszała, usilnie starała się poskładać całość jego wypowiedzi. Zadrzała w całkiem nienaturalny dla siebie sposób. Słowa, które wyszły z ust Leoharla, w nieskończoność odbijały się

echem w jej głowie. Upadła na kolana, wbijając rozbiegany wzrok w ziemię.

- Poradzisz sobie, prawda? - szeptała. - W końcu do tej pory tak dobrze sobie beze mnie radziłeś... - mamrotała jakby sama do siebie. - Założę się... że nie podołasz.

Leoharl patrzył na nią niepewnie. Nie rozumiał, jakim cudem jego słowa mogły wyrzucić na niej tak duże wrażenie. Rozumiał jednak sens tej ostatniej propozycji.

- Przyjmuję zakład - przytaknęła stanowczo.

- Wiesz, że teraz z pewnością ci nie pomogę? Nie jestem z tych, co poddają zakład dla jakiegoś widzimisie.

- Mam tego świadomość. - Wyciągnął do niej rękę. Złapała za jego masywną dłoń, zaglądając mu w oczy. Były

szczerze. Mogła zobaczyć w nich uczciwość, z jaką do niej mówił, i jeszcze coś więcej. Jego wdzięczność. Pociągnęła go za rękę z całej siły, zamieniając się z nim miejscami. Teraz to ona stała, a on leżał z niezbyt zadowoloną miną na twarzy. Słabo było zresztą tę minę widać, bo ugrzęzła była nieco w ziemi.

- Muffiałaś to ffobie? - wycedził, plując grudkami ziemi.

- Właściwie nie - stwierdziła, odwracając wzrok. - Zbieraj się. Nie masz co leniuchować - rzuciła, zmieniając temat.

- Nie. Ffobrze mi tu. PofFeżę ffobie - oznajmił i poparł swoją decyzję, podpierając głowę ramieniem w marnej próbie zademonstrowania, że całkiem mu z twarzą w ziemi wygodnie.

Zaśmiała się cicho. Ten znajomy obraz księcia przywoływał wspomnienie z odległych już czasów ich pierwszego spotkania. Wzruszyła ramionami i odeszła zobaczyć, w jakim stanie jest Galant. Bądź co bądź, za ów stan czuła się nieco odpowiedzialna. Ale tylko trochę. Jego wina, że przypałał się do Leoharla.

- P-przepraszam! - Ktoś odważył się odezwać do nich zza pleców. Jęknął zresztą zaraz, gdy tylko poczuł na sobie karcący wzrok Pani w Czerni. - T-to ja może już sobie pójdę?

- To kto ? - spytała Selistis od niechcienia.

- Książę Gromowładny - wyjaśnił Baark, podchodząc do nich z Katią i Kapitanem.

- N-no, więc?...

- On tak zawsze zaciągał?

- Jakoś wcześniej mu się to nie zdarzyło - zauważył Baark.

- Może brak mu witamin? - zadumał się Kapitan. - Wygląda dość marnie.

Istotnie, z trupioblada twarzą Gromowładny wyglądał, jakby zapadł na jakąś chorobę.

- Chcesz się bić? - upewniała się Selistis.

- N-Nie, nie, skądże znowu! - zaparł się od razu.

- Szkoda. Mam ochotę komuś przywalić. - Selistis rozbijała ramię. - Znikaj mi z oczu!

Gromowładny uklonił się głęboko i powoli odszedł w kierunku swojej armii. Patrząc, jak odchodzi, wciąż masując obolałą klatę, Galant rzucał wzrokiem raz na cień człowieka, który tak bardzo go przerażał jeszcze przed chwilą, raz na całkiem realną istotę, która przerażała go teraz.

- Jeden kłopot z głowy - mruknął Baark trochę zawiedziony. Mimo że cieszył go wynik tego spotkania, w duchu liczył, że juzy Leoharlu i Selistis nauczy się choć trochę dyplomacji. To w tej właśnie kwestii głęboko się zawiódł.

Wolę walki Gromowładnego można było z powodzeniem uznać za złamaną. Gdy wrócił na wzniesienie, nakazał odwrót. Demony demonami, ale gdy pomyślał, że znów miałby stanąć w obliczu tych szalonych czerwonych oczu, zwątpił w jakiegokolwiek szanse podbicia zamku, przed którym stała Pani w Czerni. W drodze do swojego zamku skrupulatnie układał w głowie historię, poprzez którą miałby się z tego odwrotu wytłumaczyć swemu sojusznikowi Wielkopysznemu.

Rozdział 14

W roli króla

- No więc tak wam pofiem w szekrecie, że s nią tfo tfak sawsze jakoś dzifnie fychodzi - seplenił ledwo do kufla z piwem dłonią sięgający skarłały osobnik, którego Selistis do towarzystwa im podrzuciła.

A zrobiła to... przez cegły w ścianie zamku. Możesz, panie, rozważyć, ile chcesz, skąd ona te wszystkie istoty wyciąga, a nigdy nie zgadniesz, gdzie znajdzie następną. Otóż ten podobno siedział za kratami w więzieniu, toteż razem z celą go była na ten zamek przytargała. Przy czym tak trafiła, że mur celi złał się z murem zamku, dlatego też musiała parę cegieł wyjąć, by przez tak powstałą dziurę karzełka wyciągnąć.

Ceregwin wyglądał poczwarnie. Człowieczek połowy wzrostu Leoharla miał większe od głowy uszy i sięgający ziemi język, który wypełniał mu całą paszczę. Miał przy tym równie wielki czerwony kinol, którym raz po raz ostro pociągał.

Sama Selistis zniknęła im sprzed oczu, przebąkując coś pod nosem o tym, że biorąc pod uwagę tak zapalczywy charakter Leoharla, musi trochę lepiej się do dalszej drogi przygotować. Wcale przy tym nie ufała, że gdyby jej zabrakło, na pewno nie wpadłby znów na jakiś głupi pomysł. Zostawiła zatem Ceregwina, coby za Leoharlem łąził i przysłuchiwał się jego rozmowom. Później miałyby je w dwóch zdaniach streścić swej szefowej.

Innymi słowy, zatrudniła szpicla.

Leoharl nie był z tej sytuacji zadowolony. Wiedząc, że jego działania są poddawane inwigilacji, postanowił za bardzo się nie wychylać. Mógł za to spróbować przekabacić agenta obcego wywiadu na swoją stronę, racząc go piwem. Wyszło przy tym od razu, że Selistis rozważyła już taką ewentualność.

Agent ów słuchać potrafił, ale przez ten jego język z mową nie szło mu tak łatwo.

- Jakie są twoje dalsze plany? - spytał w końcu Galant Leo-liarla, pociągając łyk piwa z kufła.

Siedzieli pod murem na ławie przy wyciągniętym z zamkowej karczmy stole. Galant uznał całkiem słusznie, że na zamek lepiej nie wchodzić. Zbyt dużo tałatajstwa teraz po nim łązi - wyjaśniał. Katia przytaknęła od razu, osobiście z tymże tałatajstwem się zetknąwszy.

- Przyznam, że jestem pełna podziwu - zagadnęła, zmieniając temat. - Nie spodziewałam się, Leo, że sam zdołasz do sojuszu z Galantem doprowadzić.

- Zbyt wieloma pochwałami go nie uraczaj - zaśmiał się Galant. - Wcale tak dobrze się nie sprawił.

- Bo mnie bok bolał. Nie mogłem się skoncentrować - znalazł wymówkę książę.

- Więc na czym stanęło? - Baark przywrócił rozmowę na właściwe tory.

Galant spojrział na Leoharla i przytaknął.

- Nie mamy wiele czasu. Jeśli Wielkopyszny był gotów tak otwarcie na mnie ruszyć, jest gotów pójść jeszcze dalej - przyznał. - Ruszę do moich sprzymierzeńców Wihajstrów. Przekonam ich, że czas działać.

- Czyli gotów jesteś wesprzeć mnie w realizacji moich planów? - zapytał Leoharl.

- Powiem szczerze... nic innego mi nie pozostaje. - Galant westchnął i zmęczonym wzrokiem zlustrował Leoharla. - Nim

przybyłeś na te ziemie, mój władca był jedynym, który miałby jakiegokolwiek szanse stawić czoła rosnącej potędze Wielkopyszynego. Gdy on odszedł, odpowiedzialność za to zadanie spadła na moje barki. - Pogładził swoją dość wiekową brodę. - Poczyniłem kroki, by mój plan zrealizować. Wysłałem nawet posła do księstwa Cał-kiemspororozmiarowych... ale teraz widzę, że to wszystko na nic.

Galant upił łyk piwa. Towarzystwo wyczekiwało, czy sam z siebie rozwinie myśl, czy zaczeka, aż ktoś go zapyta, dlaczego z wysłania posła zrezygnował.

- Gdy pierwszy raz usłyszałem o tobie i twoich celach, sam chciałem wyruszyć pod twój zamek, by wybić ci je z głowy -podjął. - W końcu jak ktoś taki, co o władzy ma niewielkie pojęcie, mógłby myśleć o królewskiej koronie? Byłem wściekły, że przyszedłeś do księcia Mrawego i miałeś czelność z taką impertynencją głosić, że przynosisz lekarstwo na wszystkie nasze problemy! - fuknął gniewnie. - Wybacz mi ten wybuch, ale tak właśnie myślałem. Teraz zrozumiałem, że nie miałem racji.

Galant uciekł wzrokiem, patrząc teraz na Katię. Ta zaczerwieniła się nieco.

- Tak wielce się od siebie nie różnimy. - Wrócił do Leoharla. -Jak i ja, nie jesteś gotów, by zawładnąć tymi ziemiami. A jednak... z Katią i Selistis przy boku masz szanse dokonać czegoś wielkiego. No i z Baarkiem, i Kapitanem, oczywiście - wymienił pozostałych chyba bardziej przez grzeczność niż z przekonania. - Wasza rola jest równie ważna, jak tej trójki - zapewnił, łechtając ich ego.

Katia nieco się przy tym zmieszała, nie bardzo wiedząc, czemu tak ją wyróżniał. Rozumiała, dlaczego Selistis i Leoharla, aleją? Teraz jeszcze nie pojmowała, ale Galant, co przez swoich szpiegów przez lata śledził jej poczynania, doskonale wiedział, jak bardzo ważna w planie Leoharla była Katia. Leoharl przytaknął Galantowi, kiwając głową porozumiewawczo. Rozumieli się w tej kwestii bez słowa.

Galant powstał żwawo i wznosił kufel, pijąc ich zdrowie.

- Jesteś nowo powstałą legendą, Leoharlu. By wywalczyć pokój, właśnie takiej legendy potrzeba. Legendy, w którą uwierzą tłumy, za którą staną, wierząc, że przynosi im wybawienie.

- Nadzieją królestwa - Leoharl powtórzył słowa wypowiedziane wcześniej przez Baarka.

- Chodźmy. Każ zwołać tę swoją „armię”. Niech ruszą ze mną w drogę - ogłosił swą decyzję Galant.

Książę i tutaj nie zauważył użytego z sarkazmem słowa „armia”. Można było odnieść wrażenie, że Galant i Selistis dowcipów o jego armii od jednego trefnisia się uczyli.

- A co ze mną? - upewniał się Leoharl.

- Ty ruszysz za mnie do księcia Szerokiego Piątego.

Słusznie powiadają, że władca jest tylko figurą, co za swoje przyjmuje rozkazy podyktowane przez kogoś mądrzejszego. Leoharl przytaknął i słowom Galanta, i tej myśli. Był rad, że zdobył kolejnego sprzymierzeńca. Uroczyście wychylił na tę okoliczność kufel.

* * *

- Au!

- Au!

- Ala!!!

Wbrew pozorom wszystkie te jęki pochodziły od jednej tylko osoby. Kaktus mianowicie urozmaicała sobie podróż wozem, kłując księcia Leoharla w bok, który bolał go przeraźliwie. Uśmiechała się przy tym przy każdym jęknięciu, jakby bawiąc się pluszową zabawką, co piszczy, jak się ją ściśnie w ręce.

- Aaaaaa! Dość już tego! - Leoharl wyraził w końcu sprzeciw. Do tej pory usilnie zgrywał twardego. Niby, że rana wcale go nie bolała i takie tam.

- Nie mogę się oprzeć...

Gdy Kaktus już palcem zmierzała ku celowi, Leoharl zrobił raptowny unik, wyginając ciało w niewygodny sposób.

- AL.

- Ja też mogę postfukac? - „splunął mową” Ceregin, przypominając wszystkim o swojej obecności.

Spojrzeni na niego w ciszy. Ceregin poczuł się urażony, że tak go ignorują. Prawda, nikt nie lubił szpiegów, ale też co mógł począć, skoro Selistis do takiej właśnie najęła go roli?

Leoharl odsunął się poza zasięg ręki Katii. Był wyraźnie markotny. Może był to efekt uboczny tych ostatnich wydarzeń i rosnącej wagi jego misji, a może po prostu był nie w sosie. Wyraźnie patrzył na wszystkich spode łba. Kapitan, pełniąc funkcję woźnicy, raz po raz spoglądał przez ramię na to, co na wozie się dzieje. Robił to na tyle często, że co chwila musiał konie prostować, bo mu na bok lały. Siedzący obok niego Ceregin takiego problemu nie miał, tyłek ku niemu wystawiając, a nos ku towarzystwu na wozie kierując. Siedzieli w ciszy. Nastrój nieco ograniczał zakres różnych tematów do dyskusji.

- Nie miałam jak spytać. Jak minęła wam podróż? - Katia zagadnęła w końcu Kapitana.

- W porządku. Groziło, że się pogubimy lub że drogi nie przetrwam, ale tak poza tym to całkiem miło.

- Selistis chciała pozbawić cię głowy?! - nie dowierzał Baark.

- Skądże znowu. To czerń wokół Centry jest trochę niebezpieczna.

- Widziałeś Centrę?! - Katia prawie że skoczyła na niego.

- No... miałem okazję.

- Opowiadaj!

- Może innym razem - wtrącił się Leoharl. - Mnie bardziej ciekawi, co Selistis odbiło, by tak wszystkim od razu do gardeł skakać. Wiesz może ?

Kapitan podrapał się w kawałek włosa pod szyszakiem. Zdawało mu się, że ta wybuchowa natura Pani w Czerni nie powinna już zaskakiwać. Może pytanie Leoharla było trochę szersze i wcale nie do niego skierowane. Spojrzeli prawie równocześnie na wysłannika, który miał niby ich podsłuchiwać.

- Ssze co proszę ?
- Wiesz coś może ?
- Ffiem nieffiele.
- Idealny do swej roli - zauważył Baark.
- Daj mu spokój. Jest demonem. Jak mówił Shan, to nie to samo, co istnienia zamieszkujące Centre - zauważyła Katia.
- O niej ffiem tffoche - wypluł z siebie. Wypluł w przenośni i przy niektórych słowach całkiem dosłownie.
- Co wiesz?

Ceregwin rozejrzał się po wpatrzonych w niego twarzach.

- NapfafFde chsecie mnie ssłuchać ?

Miny zaraz im zrzedły. Było jasne, że nie chcieli.

- Może ja się tu przydam? - zaoferował Leoharlowi Kapitan. -Już nieraz miałem okazję wysłuchiwać historii różnych panów, co zbyt długo siedząc w karczmie, nabrali akcentów lokalnej mowy. Wprawdzie dialekt Ceregwina od tamtejszych cokolwiek odbiega, ale myślę, że mógłbym się pokusić o przyjęcie roli tłumacza.

- Rewelacyjnie! - Leoharl nie ukrywał swej radości. Kapitan obrócił głowę i uklonił się, na ile biegnące od razu na

bok konie mu pozwoliły, po czym spojrzał porozumiewawczo na Ceregwina. Ten wzruszył ramionami i swój wielki jęzor do ucha Kapitana nieprzyjemnie blisko podsunął. Tak, słuchając na bieżąco, Kapitan przekładał jego opowieść, ubarwiając ją przy tym nieco, byście i ty, panie, i reszta pasażerów na wozie, słuchając jego mowy, nie postanowili czasem kogoś zamordować.

* * *

Centra. Gigantyczna wieża o dziesiątkach tysięcy okien. Tak obszerna, że chowa w sobie niezliczone liczby domów. Tak wysoka, że zdaje się ginąć w niebie. Stoi tam od zawsze i od zawsze skrywa się w nieprzeniknionej czerni, która rozplywając się w powietrzu, zaciemnia wszystko wokół niej.

Były czasy, gdy ten jilar nie budził w nikim strachu. Potęgę, która

pozwalala jego tworam stanac przeciw ludziom, zdobywal bardzo dlugo. Prawde mowiac, tylko dzieki waszym, ludzkim, dzieciom to dzieło mu się udało.

To, co musicie zrozumiec, to to, ze dawniej czas mial inne znaczenie niz dzisiaj. Wy rodzicie się już z wiedzą i umiejętnościami. Marnymi, bo marnymi, ale zawsze. Umiecie na przykład oddychać i kopnąć, jeśli zajdzie potrzeba. Nikt nie musiał was tego uczyć. Dawniej każde, nawet tak proste problemy, ktoś musiał wcześniej rozwiązać. A pewnie nie jest wam obce spostrzeżenie, że gdy nie wiesz, jak problem rozwiązać, próbujesz wszystkiego, co ci wpadnie do głowy. Szukając sposobu, dzięki któremu mogłaby przepływającą swą moc opanować, Centra przeszukała niezliczone liczby rozwiązań. Niestety, aż tak mądra, żeby sobie z tym problemem poradzić, nie była. Nie zdołała sama z siebie wpaść na dobry pomysł.

Niczym student, co do testu podszedł nieprzygotowany, widząc, że wszyscy wkoło niej umieją swoją własną siłą dysponować, Centra zaczęła podkradać ich rozwiązania. Ale tu też nie szło jej za łatwo. Albo źle spisała, albo z innego zestawu zadań spisywała. Tak na nieudanych próbach minęły jej kolejne niezliczone ilości czasu. Centra za nic nie umiała nadać formy otaczającej jej czerni, którą mogłaby władać.

Od podwładnych oczekujesz przede wszystkim posłuszeństwa. To najważniejsza cecha, bez której nic nie zdasz. Posłuszeństwo wymaga bezwarunkowego oddania albo niezdolnego do sprzeciwu rozumu. Centra długo szukała, nim znalazła wzorzec, który pozwoliłby nadać jej podwładnym taką rolę. W końcu odnalazła wzorzec dziecka, dla którego mogłaby być matką.

Żadne dziecko nie sprzeciwi się swej matce, gdy ta huknie na nie ze zdecydowaniem. Każde wróci do niej, gdy zawoła, by schować się w jej ramiona. Mogła zmyślić grę i określić w niej cele, by przełożyć rozkazy na zabawę. Wzorzec dziecka był dla Centry w istocie idealnym rozwiązaniem. Odtąd Centra nadawała czerni kształt i rozum na wzór ludzkich dzieci, prowadząc do boju przerażające

nieznające strachu armie, gotowe za wszelką cenę zdobyć jeszcze jeden punkt w zmyślonej przez Centrę grze. Bez skrupułów, bez moralnych zahamowań i bez zrozumienia konsekwencji ich czynów twory Centry szły za jej rozkazem, dokąd tylko wskazała im palcem.

Selistis była jednym z takich dzieci. Powiadają, że u samych początków, nie umiejąc rodzić własnych, Centra porywała ludzkie dzieci z domów. Były to jednak tak dawne czasy, że nie mogę za te słowa ręczyć. Nie mogę wam powiedzieć, czy Selistis była jednym z tworów Centry, czy też takim pożyczonym dzieckiem. Wiem już za to, że z pewnością była pierwszym z dzieci, które rozumiały, że nie muszą wykonywać jej rozkazów. Pierwszym i najpotężniejszym.

Chodzą słuchy, że ktoś jej w zrozumieniu tych rzeczy pomógł, ale osobiście nic o tym nie wiem. To nie nasze sprawy. Centra jest dla nas wystarczająco przerażająca tam, gdzie stoi. Nie mieszamy się w jej sprawy, a już na pewno z własnej woli się do niej nie zbliżamy.

Tymczasem, jak to bywa z dziećmi, gdy już swoją wolę mają i sprzeciwić się umieją, a ty zechcesz je surowo ukarać, gotowe są uciec od gniewu matki. Centra wiele ze swych dzieci straciła, nie umiejąc do nich przemówić lub inaczej ich sobie podporządkować. Tego też z czasem musiała się nauczyć od prawdziwych matek.

Selistis uciekła, a że Centra nie mogła wyrzucić jej żadnej krzywdy - wymierzyła jej jedyną możliwą karę. Dla dziecka surowszą od każdej innej. Na zawsze pozbawiła ją swego matczynego ciepła.

* * *

Kapitan pogonił skręcające znów na bok konie. Oczy Baarka na moment zapomniały o mruganiu i musiał je zmuszać, by mu się zamknęły. Czyli dokładnie odwrotnie niż księżę, gdy wstaje zaspany z rana. Katia gapiała się na mijane przez nich pole, potakując sama sobie. Leoharl zaskakiwał natomiast zupełnie pozbawionym emocji wyrazem twarzy. Z jednej strony prezentował

w ten sposób wytrenowaną już technikę ignorowania wszystkiego, czego pojąć nie umiał, a z drugiej - słuchał w naprawdę wielkim skupieniu.

- Więc... Selistis jest dzieckiem? - zadumała się Katia.

- Była nim kawałek temu - zauważył Leo-harl - zdążyła już chyba dorosnąć.

- Pomyśl, Leo, to by wiele wyjaśniało - zauważyła Katia. -Kapryśna, markotna, wybuchowa i co chwila się z kimś droczy, ale jakby na nią krzyknąć, to słucha od razu! - streściła charakter Pani w Czerni jednym zdaniem.

- A jakby na ciebie krzyknąć, co zrobisz?! - ostro warknęła Selistis.

Zjawiała się nagle tuż przy księciu, niezmiernie go tym przerażając. Za serce się złapał i na bok osunął, sprawiając, że wóz nieco się zatrzęsł. Prawie się z niego zsunął, tak silnie się wzdrygnął.

- By cię jasny... Zakazuję! Do jasnej, zakazuję!

- Czego zakazujesz?

- Pojawiać się tak znikąd! Zawału dostanę! Ostrzegać! W róg trąbić! Zrozumiano?!

- Słyszę, że mnie obgadujecie. - Selistis zignorowała krzykacza, lustrując Ceregwina morderczym spojrzeniem.

- Tylko tffoche - mruknął demon.

- Miałeś słuchać, nie gadać!

- Nadęła policzki jak mała dziewczynka - podszepnęła Leo-harlowi Katia, za co z miejsca dostała w czoło.

Książę powstał, poprawił koronę i usiadł ciężko na swoim miejscu tuż obok Selistis. Robił to powoli i wymownie, jakby chciał, by wszyscy zapomnieli, jak z wozu próbował prawie że zeskoczyć.

- Załatwiłaś, co miałaś załatwić? - Zmienił temat, zwracając dyskusję na właściwy tor.

- Już o moje sprawy to ty się nie martw - zbyła go, machnąwszy przy tym ręką. - Co z twoimi?

- Jedziemy do tych tam Grubych...
- ...Całkiemsporo rozmiarowych... - poprawił księcia Baark.
- ...No właśnie, by się z nimi rozmówić.
- Dyplomata będzie niezbędny - mruknął Baark.
- A ten... jak mu tam... Galant? Gdzie poszedł? - Selistis nadrabiała zaległości. Podobno po to właśnie, by takie rzeczy wiedzieć, Ceregwina zostawiła. Widać jeśli mogła, chciała uniknąć czyszczenia płaszcza ze śliny.
- Na dyskusje z sojusznikiem. Armię zebrać - wyjaśnił Baark.
- Czyli bitwa jednak nieunikniona?
- Leoharl sapnął, nie chcąc podejmować tego tematu. Nie był illa niego wygodny.
- A właśnie, miałem cię o niego spytać, Baark - podła-pał. - Co z tym Galantem? Zdaje się, że coś niecoś wiesz w tej sprawie.
- Galant to dobry człowiek.
- Widać było, że niejeden bój stoczył. Nieźle macha tym swoim mieczykiem - przyznała Selistis z nutką zazdrości.
- Co ci do łba strzeliło, by bić się z nim mieczem? Nie masz o tej broni pojęcia - zrugął ją Leoharl, korzystając z okazji.
- Co, spróbować nie wolno? - mruknęła markotnie.
- Galant ma za sobą niekrótką historię - podjął Baark. -Wiele lat spędził u boku króla. Ma zresztą spore poszanowanie wśród szlachty.
- Byłby dobrym królem - zasugerowała Katia.
- Raczej nie. Wiele ważnych osobistości wciąż żywi do niego urazę. Porzucił swój własny ród, depreczując tym samym swoje korzenie. Dla szlachty korzenie są bardzo ważne.
- Doprawdy, tylko chwilę mnie nie ma, a już w moje miejsce jakieś postacie z zawikłaną historią wstawiają - westchnęła Selistis.
- Możesz nam coś więcej powiedzieć? - Leoharl zignorował ją, zwracając się do Baarka.

Ten zamilkł, rozważając, czy powinien się odzywać. Nie była to ani miła historia, ani taka, którą koniecznie chciałby opowiadać. Uznał jednak, że mógłby w ten sposób oddać cześć Galantowi za ten pojedynek na wzgórzu. Rycerz z pewnością by tego chciał.

- Zona Galanta, Gracja z rodu Żelaznej Pięści, zmarła w gorączce ponad dwadzieścia lat temu. Galant Stalowy z rodu Lśniącej Stali był jedynym człowiekiem w królestwie, który cierpiał z powodu jej odejścia. Jej ród wymarł na nieznaną chorobę, przez lata straciwszy całą ziemię w daninach dla sprowadzanych z dali specjalistów, którzy mogliby pomóc lekarstwo znaleźć.

Tak Gracja została ostatnią przedstawicielką upadłej szlachty z rodu, o którym już dawno każdy zapomniał. Z tego powodu ród Lśniącej Stali odmówił jej pochówku na rodzimym cmentarzu. Wyparł się jej, jakby nigdy nie istniała, i kazał Galantowi o niej zapomnieć. Ten jednak, targany bólem po jej stracie, w odwecie za zniewagę wobec jego żony wyrzekł się swego rodu i przejął herb Gracji, głosząc odrodzenie rodu Żelaznej Pięści.

Od tamtej pory cokolwiek czyni, czyni na jego chwałę. W ten sposób postanowił uczcić jej imię. Latami pielęgnował swój kunszt walki, by zdobyć rozgłos wśród ludu, aż w końcu jego wspaniała charyzma, rozsądek, rozwaga i talent zapewniły mu najwyższe miejsce u boku księcia Wybitnego. Z jej herbem rodzimym przy piersi, przy sercu, stanął na czele jego armii. Wychwała jej ród, by Gracja nigdy nie została zapomniana.

- Jejku! - Katia pociągnęła nosem zasmucona.

- Nie chciał, by świat o niej zapomniał - szepnęła pod nosem Selistis.

- Przysporzył sobie tym wiele sympatii, ale i licznych wrogów, co na tak lekkomyślne czyny nie patrzą przychylnie - zakończył Baark.

Kapitan spojrzał ukradkiem na Selistis. Jej wyraz twarzy był nieodgadniony - na wpół drwiący, na wpół zamyślony. Stało się jasne, dlaczego Galant poruszył się na słowa Baarka

wypowiedziane na wzniesieniu. Baark nie należał do szlachty, która potępia decyzję Galanta. Nazywając ród Żelaznej Pięści upadłym, nie obrażał Galanta, a po prostu stwierdzał fakt. Jego słowa świadczyły o tym, że znał jego historię i losy tego rodu. Tym, co malowało się wówczas na twarzy Galanta, była radość, że są tacy, którzy wciąż pamiętają, dlaczego nosi ten herb na swojej zbroi.

Znów zapadła cisza. Nie dało się na tym wozie wzbudzić ducha radości, który porozwijałyby wszystkim języki. Selistis westchnęła przeciągle, jakby targana falą uporczywej melancholii. Rzuciła okiem na horyzont.

- Z jakimś planem do tej rozmowy podchodzisz ? - wysapała do Leoharla.

- Bez pacnięcia może się nie obyć - rozważał Leoharl.

- Twój plan A już znamy. Jakies inne?

- Stary, dobry Irransatil. Ciekawe, co on teraz porabia ? -Katia odleciała myślami.

Gdzieś daleko, daleko ktoś kichnął z mocą. Musiałem, mój panie, o tym wspomnieć w kontekście uprzedniego kichnięcia, które bez znaczenia nie było. Wprawdzie ten ktoś teraz nie kichnął tak głośno, żeby kichnięcie miało świat obiegać czy choćby do uszu Kapitana dotrzeć, ale na tyle głośno i z taką werwą, że rozsypał kawał konstrukcji, co przed nim rosła. Biedak, który nad ową konstrukcją pracował, zmartwił się nieco i pociągnął nosem, upewniając się, że na drugie kichnięcie wcale mu się nie zbiera. Podniósł z ziemi narzędzia, co przy tym kichnięciu z rąk mu wypadły, i powrócił do swojego dzieła. Musiał się postarać, by ukończyć je, zanim jego pan powróci na zamek.

* * *

- No! Najwyższy, że tak powiem, czas! - donośnym tonem przywitał ich wyjątkowo reprezentacyjny przedstawiciel księstwa Całkiemspororozmiarowych.

Przez „wyjątkowo reprezentacyjny” mam tu oczywiście na myśli fakt, że konie, co wóz z księciem i pozostałą trójką ciągnęły, gdy go zobaczyły, wymieniły między sobą spojrzenia w przerażeniu, że być może targać go na swoich plecach będą musiały. Wóz też spojrzał przerażony, że na niego wsiąść może. Jeszcze nigdy nie widziałem przerażonego wozu, ale ten na taki właśnie wyglądał.

- Z kim mam zaszczyt? - Książę zeskoczył z wozu i uścisnął dłoń jegomościa.

- Zważ mnie Belchior Beczułka. Ha! Mojego rodu wcale przedstawiać nie muszę, ta oto beczułka sama go przedstawia! - Pieszczotliwie pogładził się po beczułce.

- Ze niby piwny brzuszek? - szeptem podpytywała Baarka Katia.

- Khmm... tak. - Książę wstrzymał się od komentarza. - Zapewne ja nie muszę się przedstawiać.

- Ano, coś niecoś już o tobie słyszeliśmy. Twoja sława, że tak powiem, cię wyprzedza, o panie. Książę Leoharl Mem, czy mam rację?

- W rzeczy samej. Wiesz też pewnie, w jakiej jestem tu sprawie?

Tu Belchior zmierzył go surowym spojrzeniem i ręce na beczułce skrzyżował. Odczekał chwilę, wąsa podkręcił i odsapnął teatralnie głośno.

- Ano, wiem. Książę Szeroki Piąty już na ciebie czeka. - Wskazał namiot rozłożony przed zamkiem. - Chociaż przyznać muszę, że nie wiem, czyś, przyłóżąc tu, na marne, że tak powiem, butów nie zdzierał.

Konie poczuły się nieco urażone. Z drugiej strony fakt, że Belchior je ignorował, dobrze im wróżył.

- Cóż, sam się o tym przekonam.

- Wiedz, że gdyby nie słowa Galanta Stalowego w liście przez gońca dostarczonym, książę nawet by ucha w twą stronę nie wystawił. Masz komu za tę audiencję dziękować.

- Może mam, a może to książę Szeroki Piąty ma komu być wdzięcznym, że Galant go do tej audiencji przekonał - odważnie odciął się książę Leoharl.

- A może to ty, Belchiorze Beczułko, tak swego księcia nie doceniasz, że nie jesteś gotów chwalić roztropności swego władcy? -X wozu zeskoczyła Katia. Całkiem w porę, bo jeszcze trochę i znów musiałaby Leoharla z opresji ratować.

- Hmph! Żadnego wychowania - prychnął Belchior. - Gadajcie tak z księciem, a w mig was ze swoich progów wyrzuci. Może nawet dobrze się stanie. - Przeleciał wzrokiem po całej czwórce. - Pójdę was zapowiedzieć. Nie ruszajcie się stąd, póki nie dostaniecie sygnału.

- Długo czekać nie będziemy - odburknął książę. Belchior prychnął raz jeszcze i odwrócił się napięcie. Zatrzymał się jednak w pół kroku i łeb tylko do nich odwrócił.

- A ta wiedźma ma zakaz zbliżania się do namiotu. - Wskazał palcem Selistis. - Zrozumiano?

Leoharl zacisnął pięści. „Ta wiedźma” wciąż była nieco naburmuszona po tym całym jej niedawnym wystąpieniu. Wcześniej, roztropnie, odesłała Ceregwiną z kwitkiem do domu, by nikogo swoim wyglądem nie straszył. Teraz okazało się, że sama straszy swoim, a raczej rozróbami, które wokół siebie wszczyna.

Z tym kwitkiem to całkiem dosłownie, mój panie, bo papier Ceregwinowi podpisała i oddała. „Usprawiedliwienie za nieobecność w celi” - rezolutnie wyjaśniła Pani w Czerni. Podobno Ceregwin nie miał wcale w planach wymigać się od swej kary, a taki zarzut mogliby mu zrobić. Selistis musiała wyjaśnić ewentualne nieporozumienie.

Nie czekając na odpowiedź, Belchior ruszył przed siebie.

- Nieprzyjemny jegomość - skomentowała Katia, odprowadzając Belchiora wzrokiem.

- Co o tym myślisz, panie ? - Baark zeskoczył z wozu, by rozchodząc zdrętwiałe nogi.

- Niewiele myślę! - oznajmił bez ogródek, nie wyjaśniając, czy tylko w tej sprawie, czy tak całkiem ogólnie.

- Książę Szeroki Piąty wie, że to nie przelewki, i jest w tej chwili w nie lada kłopotach. Czy tego chce, czy nie, od jego decyzji zależą losy królestwa. Jeśli stanie po twojej stronie, wypowie wojnę Wielkopysznemu. Jeśli nie, to jakby otwarcie ogłosił, że go wspiera. W obu przypadkach po tym spotkaniu balans na stałe przechylił się na jedną czy drugą stronę. - Baark zasepił się nad powagą tej sytuacji.

- To wszystko stawia księcia Szerokiego w niełatwej sytuacji - zauważyła Kaktus. - Będzie wobec ciebie bardzo ostrożny.

- Domyślam się.

- Być może nawet będzie chciał rozmawiać z tobą na osobności.

- To... nie wróży zbyt dobrze naszym planom.

- Bez obaw. Poradzisz sobie. Może na króla się nie nadasz, ale w przemowach jesteś całkiem niezły. - Pocieszyła go ciepłym uśmiechem.

Wciągnął powietrze w płuca, jakby dumnie tym samym pokazując, że jak najbardziej: zadatki na owego przywódcę ma. Na pewno na takiego wygląda, a to już jakiś początek.

- Trochę martwi mnie ten namiot - wtrącił Baark.

- Jak i mnie. Trudno odgadnąć powód, dla którego nie chciał przyjąć nas na zamku. - Leoharl podrapał się po głowie.

- Przychodzi mi do głowy jeden. - Katia zamyśliła się. - Chyba nie jesteśmy jego jedynymi gośćmi.

Książę spojrział na nią nieco zaniepokojony, ale nie miał czasu głębiej drać temat. Rozległ się dźwięk rogu i chorągiew wywieszona przed namiotem oznajmiła, że książę jest już w środku. Leoharl spojrział wymownie na Selistis, która cicho siedziała na wozie.

- Ucz się. Tak ogłasza się swoje nadejście: dźwiękiem rogu. Nie odpowiedziała. Chyba ją ta kąśliwa uwaga Beczułki ugryzła. Książę westchnął i bez dalszej zwłoki wskoczył na wóz.

Ruszyli dalej. Po raz trzeci już w tej jednej podróży zamilkli, nie umiając powiedzieć nic sensownego.

* * *

Wysiedli tuż przed namiotem. Kapitan przywiązał wóz do bala. Nie mógł przy tym nie zauważyć, że prócz jego wozu stał tam zdobiony w bogate szaty biały koń. Na sztandarze wbitym przy nim w ziemię widniał herb księstwa Wielkopysznych. Posłaniec. Porównując jego wierzchowca z obdartym drewnianym wozem i dwoma przywykłymi do pola końmi, Kapitan pożerał z zazdrości białego rumaka dyplomaty. Dołączył do pozostałych, lecz strażnicy zatrzymali ich przed namiotem.

- Tylko księżę Leoharl ma prawo wstępu.
- No i masz. - Księżę podłamał się.
- Bez obaw. Będzie dobrze - raz jeszcze pocieszyła go Kaktus.
- Co, jeśli zabiję tam tego, co tym białym koniem przyjechał?
- Będzie dobrze - pocieszała tym razem samą siebie.
- Po namyśle: zostaw też miecz - dodał strażnik.
- Udam, że tego nie słyszałem. - Księżę machnął na niego ręką i bez słowa wdarł się do namiotu.

Strażnik ramię wystawił, by drogę Leoharlowi zastawić, ale Baark mu to ramię zatrzymał.

- Nie sądzę, żebyś miał rozkaz broń księciu odbierać - zauważył.
- Właśnie. Słyszałam, że księżę Szeroki Piąty bardzo dużą wagę przykładła do orzeczeń i protokołów. Jeszcze niechcący by ci się oberwało, że poza ramy rozkazów wykraczasz, i po co? - niewinnie dołożyła swoje Katia. - Niech się biją między sobą, jeśli zechcą. To nie nasze sprawy, nie uważasz?

Coś w tym było. W końcu jeśli nikt nie wprowadził procedury usuwania oręża z rąk dyptomatów, strażnik nie powinien próbować takiego nieistniejącego prawa egzekwować. Za nadgorliwość mogłaby spotkać go kara. Zrezygnował więc i wrócił na

swoje stanowisko. Dołożył w ten sposób swoją własną cegiełkę do przyszłych pokoleń, co protokół przedkładają nad zdroworozsądkową ocenę sytuacji. Katia uśmiechnęła się w podziękowaniu. Wiedziała, że broń w rękach Leoharla jest niebezpieczna, ale wiedziała też, że ta broń dawała mu poczucie spokoju. A jego spokój był w tej chwili najważniejszy.

Leoharl obrzucił namiot wzrokiem. Z zewnątrz widać było, że był dłuższy niż szerszy, a tymczasem, gdy się weszło do środka, zdawał się co najmniej o połowę krótszy, niż należało przypuszczać. Przed nim, na podniesieniu, stał zdobiony tron, a tuż za nim namiot kończyła kotara. Nie zostało wiele miejsca dla gości.

Leoharl obadał klęczącego przed wzniesieniem osobnika, znajdującego się po jego lewej stronie. Twarz zdawała mu się znajoma.

- Jego wielmożność lord Graham! - zapowiedział wychodzącego zza kurtyny mężczyznę strażnik.

- Witam zacnych gości, lorda Apartacza i księcia Leoharla.

- Ach, Apartacz! - Leoharl przypomniał sobie szturmującą jego zamek armię. - Czy nie jesteś przypadkiem generałem? - zagadnął do klęczącego dyplomaty.

- Jestem.

- To czemu pełnisz funkcję posłańca?

- To ważna sprawa. Mój pan postanowił wysłać właśnie mnie, bo najlepiej nadaję się do rozmów z księciem Szerokim Piątym - wyjaśnił.

- Mnie się widzi, że mu podpadłeś i zrzucasz na ciebie najnudniejszą robotę - wyłożył swoje myśli na głos Leoharl.

Lord Apartacz nie skomentował. Po minie jednak Leoharl odgadł, że coś było na rzeczy.

- Musicie wybaczyć księciu Szerokiemu Piątemu - kontynuował lord Graham - ale uległ on ostatnio wypadkowi i stan jego zdrowia nie pozwala mu uczestniczyć w tej rozmowie osobiście. Jako jego prawa ręka podjąłem się go reprezentować. Bądźcie

jednak pewni, że decyzje, które tu zapadną, będą traktowane jak jego słowo. Książę leży w łóżku za kotarą, przysłuchując się dyskusji. Gdy zajdzie potrzeba, zapytam go o jego zdanie. Czy taki układ panom odpowiada?

- Jak najbardziej, lordzie Graham - natychmiast odparł mu lord Apartacz.

- Czyli... dobrze zrozumiałem... jest tu i słucha, ale nie chce, byśmy mu w oczy patrzyli ?

- Tak jest, książę. Mam nadzieję, że wybaczysz mu ten uszczerbek na etykiecie.

- Jest księciem, czyż nie? Gdyby o przyszłość mojego księstwa chodziło, choćbym na łożu śmierci leżał, spojrzalbym w oczy mojemu rozmówcy. - Wypiął dumnie pierś. - Nie, jak dla mnie, wybaczyć mu ciężko.

Nastąpiło lekkie poruszenie. Strażnicy szeptali coś do siebie, a lord Graham nos do góry wystawił, jakby podniesienie, na którym stał, było niewystarczająco wysokie, by spojrzeć na Leoharla z góry. Wsunął głowę za kotarę. Najpewniej, by wymienić parę słów z księciem.

- Świetnie. Pobawimy się w głuchy telefon - zamruczał pod nosem Leoharl. Zdrowie księcia Szerokiego Piątego było dość oczywistą wymówką. Ciekawe tylko od czego.

- Wybacz, książę Leoharlu, jeśli czujesz się urażony, ale książę Szeroki Piąty woli zadbać o swoje zdrowie niż nadmiernie je wysilać, stając przed tobą. Zdrowym bardziej się swemu księstwu przysłuży niż w chorobie, dlatego pragnie jak najszybciej odzyskać siły.

Lord Apartacz odchrząknął dość głośno.

- Siedzisz cicho i klęczysz? To siedź cicho i klęcz! - zrugął go Leoharl. - W porządku! Na początek żądam wyjaśnienia: co ten osobnik tu robi? - Wskazał na niego palcem.

- Lord Apartacz również zażądał widzenia z księciem, a że w planie książę ma tylko jedno spotkanie dyplomatyczne dziennie,

kazał orzeczenie sporządzić w tej sprawie, by was obu mógł przyjąć równocześnie.

- Jeśli pozwolisz. - Lord Apartacz postanowił ukrócić te pogawędki. Powstał i obrócił się do Leoharla, kłaniając się przed nim. - Mój pan, książę Wielkopyszny, przybył, by ogłosić, że twoje działania, książę Leoharlu, są zapowiedzią wojny. Książę Wielkopyszny ostrzega, że jeśli ich nie zaprzestasz, nie będzie miał wobec ciebie litości. Wobec ciebie i każdego z twoich sprzymierzeńców.

Mężczyzna, który stał przed Leoharlem, był nad wyraz dostojny, odważny i przystojny. Nie przypominał tego lorda Apartacza, którego książę spotkał przed swoim zamkiem.

- Gdzie jest twój władca?

- Jest w drodze.

- Nie mógł zebrać się wcześniej ?

- Słyszałem, że rozmawia z księciem Gromowładnym - wtrącił się lord Graham. - Czy to prawda, że nakazał jemu i księciu Szaroburemu gromadzić armie?

- Nie mylisz się, panie - przyznał lord Apartacz.

- Więc nie bardzo mowa o ostrzeżeniu. Szykujecie się do otwartej wojny! - Leoharl zacisnął pięść.

- Kwestia ostrożności. Mój władca pragnie być przygotowany na wszystkie okoliczności.

- No ładnie. Co na to twój książę ? - Leoharl spytał lorda Grahama.

Ten nieco się zmieszał. Schował łeb za kotarę, a gdy nos już wyściubił, odchrząknął i odpowiedział:

- Sytuacja w istocie jest dość niepokojąca. Książę Szeroki Piąty pragnie spytać, w jakim celu naprawdę gromadzi się ta armia. Proszę, lordzie Apartaczu, byś odpowiedział rozważnie. Książę Szeroki Piąty wolałby zbędnie się nie niepokoić.

Lord Apartacz odchrząknął, odwołując się do swych sławnych już umiejętności dyplomatycznych.

- Doszły nas słuchy, że książę Leoharl przybędzie w te ziemie. Z tego samego powodu pragnę ostrzec księcia Szerokiego Piątego, by nie poddał się pokusom demonów i nie myślał o zjednoczeniu się z Leoharlem.

- Chcesz powiedzieć, że nas też za wrogów weźmiecie?

- W myśl moich poprzednich słów zalecam rozagę - odpowiedział, jak na polityka przystało, nie odpowiadając wprost.

Ale wątpliwości nikt nie miał, że Wielkopyszny księciu Szerokiemu Piątemu groził. Widać minął już czas na łagodne dogadywanie się i nadszedł moment, by sięgnąć po miecze. Nie dosłownie, oczywiście, a słowami. Nawet jeśli Leoharla całkiem dosłownie ręką miecza świerzbiła.

Lord Graham schował głowę za kotarę. Zwykle w takiej chwili Leoharlowi nerwy by już puściły, ale wybitnie się tym razem hamował. Odczekał, aż głowa lorda Grahama powróci do ich części namiotu.

- Cóż, lordzie Apartaczu, czy masz coś jeszcze do przekazania memu władcy?

Lord Apartacz drgnął niezauważalnie. Oczekiwał, że dyskusje na tej wypowiedzi się zakończą, a przynajmniej że zakończą się te, które odbywają się w jego obecności. Odchrząknął. Najwyraźniej był to gest, który nadawał słowom dyplomaty powagi.

- Mój pan pragnąłby usłyszeć z ust twych zapewnienie, że do przymierza z księciem Leoharlem nie dojdzie - wydeklamował.

- Usłyszysz odpowiedź w swoim czasie.

- Nalega, by usłyszeć ją jak najszybciej.

- Dobrze, zatem. Jeszcze sam mu ją zanieasz.

- Czy aby, lordzie Grahamie, nie powinienes tej odpowiedzi skonsultować z księciem? - naciskał posłaniec.

- Nie widzę takiej potrzeby. Straż, proszę dopilnować, by posłaniec poczekał na list z dekretem od księcia.

Lord Apartacz spojrział surowo na Leoharla. Ukłonił się wyuczonym gestem i obrócił się plecami do tronu.

- Mój pan nie będzie zadowolony, gdy usłyszy, że bratasz się z demonami, książę Szeroki Piąty! - rzucił głośniejsz, niż mu wypadało.

- Niech zatem nie wyciąga wyssanych z palca wniosków - odparł mu lord Graham.

Wysłuchawszy tej odpowiedzi, posłaniec Wielkopyszego opuścił namiot. Leoharl odetchnął z ulgą.

- W porządku. To skoro jesteście sami...

- A czy ty, książę Leoharlu, masz mojemu księciu coś jeszcze do powiedzenia?

- Owszem, mam całkiem sporo, ale wcale mi się nie podoba, że mam mamlać językiem, nie mogąc spojrzeć mojemu rozmówcy w twarz.

- Już mówiłem...

- Czy twój pan jest naprawdę tak dumny, że nie odważy mi się na oczy pokazać? Nie musi zasiąść przede mną na tronie. Chcę stanąć przy jego łożu, jeśli sił wstać nie ma. Widzę, że ma jeszcze na tyle sił, by mówić, zatem cóż na przeszkodzie stoi, bym wszedł tam i spojrzał mu w ślipia? - nie wytrzymał Leoharl.

- Prawdę mówiąc, aż tak dumny nie jest - oznajmił mu głos zza kotary.

W drugiej części namiotu coś zaszemrało i zaszurało, aż w końcu, wspierając się na lasce, wyszedł z niej podsiwiałły starzec w bogato zdobionych szatach. Lord Graham odsunął się na bok, robiąc mu *miejsce*.

Korona na głowie starca błyskała złotem. Zachodziła mu przy tym na czoło. Sam staruszek był zaskakująco chudy. Było to coś, co trochę Leoharlowi w jego wyglądzie nie pasowało, choć nie bardzo umiał powiedzieć dlaczego. Rzucił okiem na lorda Grahama, ale ten też był tylko odrobinę zaokrąglony. Ciekawe, że wcześniej tego nie zauważył. Obawy Katii i Baarka o to, że nazwie swego rozmówcę grubym, były nieuzasadnione.

- No więc? Teraz możesz mi spojrzeć w oczy. Zamierzasz mnie wyzwąć na pojedynek, jak Mrawego? - rzucił gniewnie starzec.

Jego głos był zaskakująco wątpy jak na kogoś, kto przed ludem księstwa miałby przemawiać. Księżę nie wyglądał przy tym na wielce schorowanego. Tak jak Leoharl przypuszczał, za całą tą farsą musiało ukrywać się coś więcej.

Szybkim ruchem wyciągnął miecz z pochwy na plecach. Jeśli spytasz mnie o zdanie, mój panie, to przyznam ci rację, że za często się nim popisował. Zanim jeszcze strażnicy zdążyli go otoczyć, równie sprawnym ruchem co poprzednio wystawił miecz w poprzek przed piersią i puścił rękojeść. Miecz z tęnym stukotem uderzył o ziemię. Leoharl przekroczył go, by zostawić go za plecami.

- W przeciwieństwie do Wielkopyszego nie przychodzę ci grozić. Mówisz, księżę, że pokojem mamie, ale jakoś nie słyszę, żeby ktoś inny o nim mówił. Może jestem wobec tego prorokiem, co w obliczu wszelkiego zła na świecie głosi wybawienie?

- Hmm... he, he - surowa twarz księcia Szerokiego Piątego trochę zelżała - w porządku. Niech będzie. Mój gniew był nieco nieuzasadniony. Masz prawo w końcu głosić, co zechcesz. Sprawa tych, którzy słuchają, czy pójdą za tobą, czy nie. Ale przyznasz, że wobec wszystkich krążących po królestwie pogłosek mam prawo podchodzić do twych słów z rezerwą.

- Przyjąłeś, jak słyszałem, posłańca księcia Galanta?

- Przyjąłem, ale nie mówmy o nim. Zacny człowiek, choć za dużo ma w głowie wspaniałych idei i bohaterskich bojów, by rozsądnie myśleć o sporach, które dzielą nasze ziemie.

- No i jak sam rzekłeś, słyszałeś, że i księżę Mrawy jest po mojej stronie.

- Słyszałem. Nawet gotów jestem uwierzyć, że sam jeden siłą go sobie podporządkowałeś. Nigdy nie był zbyt wprawny w szkoleniu swoich wojów. Nie miał ich zresztą zbyt wielu.

- A o zniesławionych, lecz wciąż żywych, księciu Urwiryju i Wyrwiszczęce słyszałeś ?

- Znam wszystkie twoje podboje. Ilu jeszcze ludzi zamierzasz wymienić?

- Ile wlezie. Wszystkich, którzy za mną stoją. Może wtedy zobaczysz, że stoimy po tej samej stronie?

- Po tej samej stronie ? - Oczy księcia mroziły swoją stanowczością. - A gdzież, jeśli możesz mnie oświecić, jest ta strona?

- Tam, gdzie księgi piszą o odrodzeniu królestwa.

- O, tak. Tak właśnie myślałem. - Wziął głęboki oddech. - Na litość, co upadła szlachta ze wsi zza gór, gdzie nawet kruki i wrony nie chcą latać, może mówić o odrodzeniu naszego królestwa?! - huknął z mocą, jakiej Leoharl po starcu by się nie spodziewał.

Leoharl odczekał chwilę, aż księżę uspokoi oddech.

- Prawda, jestem tylko prostym wojem bez sławnego pochodzenia, ale nie wiem, czy zasłużyłem, byś traktował mnie jak obcego.

- Twój ród, choć panował tu przed wiekami, z dawien dawna opuścił te ziemie. Nie masz prawa mówić, że należysz czy że kiedykolwiek należałeś do tego królestwa.

- Masz rację, panie. Te ziemie od dawna nie należą do rodu Memów. Coś jednak nie daje mi zapomnieć, że przecież były kiedyś moim domem. Domem rodu Memów. Tu żyły pierwsze jego pokolenia. Nawet jeśli po latach wszystko przeminęło, pozostało to jedno: moja wdzięczność krainie, która dała mi życie.

Przybyłem tu, śledząc zapisy w księgach mojego pradziadka, który spisywał losy swojego pradziadka po jego pradziadku. Nie wiem, ilu pradziadków temu stąpaliśmy po tych polach, ale wiem, jak bardzo los mego rodu był z tą ziemią związany. Od pierwszego Mema aż do ostatniego. Może dla ciebie nie ma to znaczenia, ale gdy znalazłem swoje miejsce w małej karczmie na samych obrzeżach królestwa, które w tak nieszczęśliwy sposób się rozpadło, nie czułem w sercu niczego innego jak smutek. Smutek, że te ziemie,

którym tyle zawdzięczam, teraz w starciach pomiędzy braćmi cierpią. Choć sam niewiele mogłem zdziałać, tylko jedno miałem w sercu pragnienie: by zrobić coś, cokolwiek, żeby pomóc temu królestwu. Ha! Jeśli trzeba, nawet same demony o pomoc poprosić! Czemu nie, jeśli tylko zechcą?

- Więc co, pragniesz odbudować potęgę swego rodu?

- A gdzie tam! - Leoharl znajomym zwyczajem machnął na księcia ręką. - Nie słuchasz, więc powtórzę: jakkolwiek pusto by to w twoich uszach brzmiało, chcę pokoju. Chcę, by ludzie, którzy żyją na tej ziemi, nie cierpieli. Nie czekali w strachu, kto i kiedy przystawi im nóż do gardła. Los twych ziemi jest przesądzony, jeśli pozostawisz go własnemu biegowi. Rosnącej wciąż władzy twego brata nikt nie stawi oporu. Wielkopyszny okrzyknie się królem wbrew twej woli, wbrew woli większości ludu tych ziemi. Nawet jeśli szansa na zmianę tego losu jest niewielka, to istnieje, a ja stoję przed tobą, tę właśnie szansę ci dając. Powiedz, czy ten pokój, koniec strachu, że za tydzień własny brat najedzie twe ziemie, nie jest wart twego starania?

- Ale by osiągnąć ten pokój, musisz dać temu ludowi króla.

- To jedyny powód, dla którego tu jestem.

- Mam nadzieję, że widzisz, w którym miejscu twe słowa są sprzeczne.

Leoharl westchnął, błędząc wzrokiem gdzieś po ziemi. Spojrzał jeszcze raz na księcia ze spokojem. Chyba to był właśnie moment, w którym przyjął ostatecznie przeznaczenie, które nieuchronnie już od dłuższego czasu sam sobie szykował.

- Choć nie chcę... jestem gotów przyjąć tę koronę. Złote piętno króla, co jednoczy myśl ludów jego ziemi. Ale gdy tę rolę odegram, odejdę, zostawiając po sobie władcę godnego tych ziemi. Takiego, który przyjmie swoją rolę nieskażony moim pochodzeniem.

Starzec poprawił uchwyt na lasce, która byłaby mu spod ręki wypadła. Nie mógł uwierzyć w to, co słyszy.

- Jesteś gotów odejść ? Tak po prostu porzucić tron?

- To królestwo nie potrzebuje mnie jako swego władcy. Potrzebuje mnie jako legendy. A znasz kogo, kto widział kiedy żywą legendę ?

Książę Szeroki Piąty wsparł się na lasce drugą ręką. Choć rozumiał doskonale wypowiedziane przez Leoharla słowa, te słowa nie chciały pomieścić mu się w głowie. Odbijały się od czaszki jak orzeszki rzucone w niego przez niesforne bachory, gdy zdarzyło mu się czasem zasnąć pod drzewem.

- Słyszysz zatem, z czym do ciebie przychodzę. Bądź tak miły i przekaz te słowa swemu władcy. - Leoharl wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Ale...?

- Wiem, że różne o mnie pogłoski krążą, ale nie jestem aż tak głupi, jak o mnie opowiadają - pochwalił się dumnie. - Prawdę mówiąc, nie jesteście z lordem Grahamem tak dobrymi aktorami, jak myślicie. Po pierwsze: twój lord ci się nie uklonił.

Starzec przeszył lorda Grahama zimnym spojrzeniem, na co ten skulił się, chowając się za kotarą.

- Po drugie, nie usiadłeś na tronie. Być może przez szacunek dla twojego władcy, a być może dlatego, że nie umiesz się wczuć w jego rolę.

Teraz z kolei sam starzec chciał schować się za kotarę.

- Ale najważniejsza była korona. Jest na ciebie za duża, co widać, bo zsuwa ci się na czoło.

Starzec wybadał koronę ręką i poprawił ją nieco.

- Widzisz - Leoharl wskazał palcem swoją przekrzywioną koronę - taki z ciebie książę, jak i ze mnie.

Starzec odchrząknął zmieszany i spuścił wzrok.

- Jesteś całkiem bystry, Leoharlu. W istocie jestem tylko prawą ręką księcia. Lord Graham grał moją rolę.

- Zechcesz mi wyjaśnić dlaczego?

- Zapewne rozumiesz, w jakiej sytuacji znajduje się mój pan?

Tylko w tym tygodniu przeprowadzono na niego trzy zamachy. Nie ukrywam, że przynajmniej jeden był dość solidnie przygotowany, zaś złapany zabójca wskazał ciebie jako swego władcę.

- Ja nie...

- Nie bój głowy. Lord Galant udzielił nam swoich szpiegów, by pomogli ustalić prawdę. Choć względem ciebie mam prawo być nieufny, jemu ufam całkowicie. Przyznasz jednak, że w tej sytuacji mój pan jest nieco... poddenerwowany.

- Daj mi z nim pomówić. Chcę, by usłyszał z moich ust to, co i ty usłyszałeś.

- Nie, nie, mój drogi - starzec złagodniał już całkiem - to zbyt niebezpieczne. Zresztą nie ma potrzeby. Księżę bez swojego dyplomaty jest całkiem nie do dyskusji. Podobnie zresztą, jak i inny księżę, o którym słyszałem.

- Dlatego nie pozwoliłeś wejść Katii?

- Zgadza się - starzec uśmiechnął się - ale też musisz przyznać, że jej mowa daleko inna byłaby od twojej. Nie miałyby twojej pasji.

- To prawda.

- Więc ten twój następca?...

- To byłaby Katia.

Starzec zmarszczył czoło, przytakując ze zrozumieniem.

- Naturalnie. Jest w tym sens. Ktoś z taką wiedzą o finansach ziem tego kraju, z taką siatką kontaktów we wszystkich księstwach i przychylnych relacjach z wieloma z braci króla... No i - nie zapominajmy - doskonale wyszkolony w ekonomii i dyplomacji... Ktoś taki byłby znacznie lepszym władcą niż, bez obrazy, nieznajomy woj z za gór, co brata się z demonami.

Starzec zadumał się wielce, wpatrując się gdzieś w dal. Patrzył tak na tyle długo, że Leoharl gotów był przysiąc, że zasnął. Niby stał wprawdzie, ale Leoharl podejrzewał, że starsi ludzie mają zdolność zasypiania na stojąco. Ba, powiedziałby, że sam nieraz widział coś takiego. Zazdrościł im nawet, że wszędzie i o każdej

porze potrafią zasnąć. Spanie na stojąco, zdawać by się mogło, to naturalna ewolucja umiejętności natychmiastowego zapadania w sen.

- Wiesz, jak wiele leży na szali ? - spytał w końcu starzec.

- Mam tego świadomość.

- Naprawdę wierzysz, że zdołasz zaprowadzić pokój, nie rozpoczynając wprawdzie wojny ?

- Nie ukrywam, że bez bitwy może się nie obejść. Ale zapewniam cię na honor mojego rodu: Zapewniam cię, nie będzie żadnej wojny.

- Co daje ci tę pewność?

- Lud, który żyje na tych ziemiach. Ten, który przez wieki cieszył się opieką życzliwych mu władców. Nikt nie chciał podziału ziem. Nikt nie chce tych sporów, a teraz bracia twego władcy wykorzystują tę słabość, strachem popychając swe ludy do walki. Wmawiają im, że każdy chyłkiem chce pozbawić ich domu. Ten lud potrzebuje kogoś, kto mu pokaże, że nie ma się czego obawiać.

Starzec przytaknął.

- Chyba czas dać odpowiedź lordowi Apartaczowi.

- Czy aby nie powinienes tej odpowiedzi skonsultować z księciem? - spytał Leoharl z ironicznym uśmiechem.

Staruszek odwzajemnił uśmiech. Leoharl uklonił się starcowi i opuścił namiot. Starzec wiódł za nim wzrokiem, patrząc, jak odchodzi.

- Nawet nie wiesz, Leoharlu, jak bardzo temu królestwu potrzebny jest pokój. Teraz i ja widzę, co Galant w tobie dostrzegł. Być może... może naprawdę będę wśród tych niewielu, którym dane było widzieć na własne oczy, jak powstaje legenda.

* * *

Ledwo głowę z namiotu Leoharl wystawił, już podszedł do niego lord Apartacz, gapiąc się wyczekująco.

- Masz mój list może? - spytał jakby od niechcenia.
- Bez listu dam ci twoją odpowiedź. Rozkaż swemu panu, by za cztery dni stawiał się pod wioską Rejk, w pobliżu granicy księstw Wihajstrów i Gromowładnych - rzucił mu w twarz z mocą.

- Rejk? U Wihajstrów?
- To rodzima wioska twego zmarłego przed dziesięcioma laty króla. W tej wiosce, w obecności wszystkich sprzymierzonych ze mną stronnictw, odbędzie się koronacja. Ten dzień i to miejsce znaczyć będzie odrodzenie królestwa.

Lord Apartacz spojrział na Leoharla szerokimi oczami. Padły słowa, których za nic nie spodziewałby się usłyszeć z ust Leoharla. A jednocześnie przecież były to słowa, na które od wielu lat czekał. Choć nie mógł tego okazać, uśmiechnął się do swych myśli. Tak i w jego sercu rodziła się szczerza nadzieja.

- Nie masz poparcia Wielkopyszego, Gromowładnych i Szaroburych.

- Nie szkodzi. Mam za sobą pozostałe księstwa. Znacznie więcej ziem, niż wam pozostaje.

- Wielkopyszny stanie przed wioską zbrojnie.
- Choć wiem, że to złudne pragnienia, chciałbym widzieć troje książąt, którzy przyjdą pokojowo na moją koronację.

- Będiesz widział rządy pik i mieczy.
- Niech i tak będzie, jeśli musi.
- ...Daj nam siedem dni - dodał po namyśle.

- Zgoda. - Leoharl uścisnął Apartaczowi rękę. Spojrział na niego łagodnie, nieoczekiwanie kładąc drugą dłoń na ich ściśnięte ręce. - Jeśli kiedykolwiek, choć raz, zadałeś sobie pytanie, o co tak naprawdę chcą walczyć twoi woje, spytaj ich samych. Zastanów się, co znaczy ich odpowiedź. Tak spłacisz dług, który jesteś mi winien.

Lord Apartacz przemyślał te słowa i przytaknął stanowczo. Nie miał wątpliwości, co mu odpowiedzą prowadzeni przez niego wojowie. Ze nie chcą żadnej walki.

Leoharl odnalazł wzrokiem swoją ekipę i podszedł do niej z tryumfalnym uśmiechem na twarzy. Niestety, nie wzbudził nim żadnej reakcji. Selistis ślęczała z Katią nad jakimś papierem, a Baark dyskutował z Kapitanem o jakiejś zgoła innej sprawie. Nikt nawet nie rzucił na niego okiem.

- Wróciłem! - Leoharl postanowił zaznaczyć swoją obecność.

- Tak, tak, zaraz. Nie przeszkadzaj. - Selistis machnęła na niego ręką. Z miejsca werwę i uroczystą minę stracił. On z tak poważnego spotkania wychodzi, a tu takie przyjęcie ?!

- Co macie ? - podpytywał dwie zgięte nad papierem głowy.

- Nie twoja sprawa. - Selistis zasłoniła papier ciałem. - Wcale mi się to nie podoba - zagadnęła do Katii całkiem poważnie.

- Wiem, Sel, że tak to wygląda... ale to może być nasza jedyna szansa.

- Może mnie dacie zdecydować ? - Leoharl wyłapał, że o jakąś ważną decyzję chodzi.

- Ty się nie wtrącaj - znów zbyła go Selistis. - To jak?

- Chyba warto spróbować - zdecydowała Katia.

- Nikt nie spyta o zdanie wielmożnego księcia Leoharla?! - huknął ten zbywany, machnąwszy ręką.

Spojrzeli na niego wymownie, później znów na siebie i przytaknęli sobie tylko znanym myślom, po czym oficjalnie stanęli przed Leoharlem.

- Panie! - nerwowo zaczęła Katia. Nieprzyjemne mrowienie przeszło po plecach Leoharla. Nie pamiętał, kiedy ostatnio był przez nią nazwany panem. Wandala wciąż pamiętał, ale pana? -Otóż mamy propozycję, która mogłaby wesprzeć cię w twoich planach - mówiła oficjalnie, co dla Kaktusa było zupełnie nietypowe.

- Może zacznij od tego, gdzie jest haczyk?

- E, tam, Leo, od razu z haczykami! - Selistis wykrzywiła usta w przesadnym uśmiechu. - Będzie dobrze! Nie masz co się martwić na zapas! - Rezulutnie klepnęła go w ramię.

Leoharl zaniemówił. Jakby stał przed dwiema kompletnie nieznanymi mu kobietami. Albo Katią w skórze Selistis i Kapitanem w skórze Katii. Z miejsca chciał się przekonać, kto w takim razie siedzi w skórze Kapitana. Plan, który taką mowę ze strony tej dwójki implikował, musiał być tak przerażający, że Leoharl wahał się, czy w ogóle chce go wysłuchać. To zniechęcenie go do słuchania, jak się okazało, było celowe, bo Selistis i Katia za nic się owym planem z Leoharlem nie chciały podzielić. W szoku przystał na to, że uda się z nimi w drogę, nie bardzo wiedząc, dokąd, po co i dlaczego.

Rozdział 15

Podstępny

- Czyli przed wieczorem wyruszamy w drogę powrotną - szacowała Katia.

- To nam daje sześć dni, z czego trzy na powrót - liczył Baark.

- Starczy. - Katia uśmiechnęła się.

- Może dowiem się w końcu, gdzie nas ciągniecie, po co i dlaczego ?

- Leoharl długo nie wytrzymał w niepewności.

- Przyznam szczerze, że i ja bym się chętnie dowiedział - poparł prośbę Leoharla Kapitan.

- I ja - przyłączył się Baark.

- Wszystko w swoim czasie. - Selistis powróciła do swego naturalnego, lekko podirytowanego wyrazu twarzy.

- Pamiętasz, jak wspominałam ci o Terencjuszu? - upewniła się Katia.

- Kustoszu Urwiska nad Jeziorem Beztroski - przypomniał sobie Leoharl.

- Tak, o nim. Idziemy go odwiedzić.

- Aha.

Leoharl człapał nadąsany za Kapitanem i Selistis. Baark i Katia szli przodem. Wciąż nie usłyszał z ich ust pochwały za wyczyn, jakiego dokonał w namiocie dyplomaty księcia Szerokiego Piątego. Widać czasem nawet Leoharl potrzebował, by ktoś poklepał go po plecach.

Prowadziła ich wąska wyłożona kamieniami ścieżka wijąca się po równinach. Do murów więzienia mieli dojść jeszcze przed zachodem słońca.

- Daleko jeszcze ? - zapytał natrętnie już po raz dziesiąty.

- Kawalek.

- Nic więcej mi nie powiecie?

- Nie - ucieła dyskusję Selistis. - Im mniej wiesz, tym lepiej. Mniejsza szansa, że pokrzyżujesz nam plany.

- Nie uważasz, przypadkiem, że jako twój przełożony powinien owe plany poznać i zaakceptować?

Selistis spojrzała na niego kątem oka.

- Nie, nie uważam.

- No i proszę. Tyle znaczy dziś książęca władza - mruknął niezadowolony.

- Oj, Leo, słuchaj. Terencjusz jest gotów pomóc nam w walce z Wielkopysznym. - Katia zlitowała się nad nim. - Zaoferował, że w dyskusje z Szaroburym wejdzie, by go odwieść od sojuszu z Wielkopysznym.

- Byłby w stanie ? - Baark powątpiewał. - Ta dwójka od zawsze była razem. Urodzili się równo rok po sobie. Aż dziw, że ten rok dał im tak odmienne charaktery. Jeden żądny władzy jak żaden z braci, a drugi zdecydowanie na odwrót. Tak naprawdę to wolałby już w żadnym konflikcie nie brać udziału, byleby ktokolwiek zakończył spory.

- Jak i wielu innych władców, mieszczan i chłopów tej ziemi -sapnął Kapitan.

- No... powiedzmy, że z tymi dyskusjami to tak trochę podkoloryzowałam - tłumaczyła się Katia.

- Znaczy?

- Znaczy, że da się sprawę załatwić inaczej niż dyskusjami -wyratowała Katię Selistis.

- Lepiej w szczegóły nie wchodzić - przyznała Katia. - Ale właśnie o to chodzi. Zaoferował się pomóc.

- Sam z siebie ? - znów Baark próbował włożyć kij w szprychy maszyny Katii i Selistis, za co zebrał surowe spojrzenie tej drugiej. Postanowił zamknąć swoją paszczę rodzynem.

- No... nie, oczywiście, że nie tak za darmo.

- Gdzie jest haczyk? - Leoharl w tej dyskusji wcale nie planował być oryginalny. Zużył całą swą wenę w czasie poprzedniej mowy. Tej, za którą ciągle nie dostał pochwały, i zamierzał o tym przypominać swą naburmuszoną postawą, póki jej nie dostanie.

- Tyle starczy - ucięła Selistis. - Więcej się od nas nie dowiesz.

- Rozkazuję...!

- Lepiej nie kończ zdania, bo jak sobie rozbujam ramię...

Leoharl zamarł z palcem w górze, co ten rozkaz miał mu pomóc wygłosić, ale zrezygnował. Niech im będzie. Jeśli nie chcą gadać, niech nie gadają. W końcu, jakby się tak zastanović, skoro Selistis się na ten plan zgadza, nie może być aż tak groźny. Zawiesił przy tym wzrok na Katii, która tym spotkaniem zdawała się nieco poddenerwowana. Nie mógł się dziwić. Z Terencjuszem chciała spotkać się już od bardzo długiego czasu. Choć miała się z nim teraz rozmówić w zgoła innej niż jej ojca sprawie, były spore szanse, że zdoła o niego spytać. Z pewnością nie przepuści takiej okazji. Leoharl przyznał w duchu, że ten drugi powód jest równie wart tej podróży.

- Daleko jeszcze? - mruknął, tak wielce na nerwach Selistis grając, że zęby zaczęła ścierać, coby komuś tylko w porywie gniewu nie przywalić.

Nikt nie miał ochoty odpowiedzieć. Kapitan w duchu tylko zauważył, że gdyby ktoś Leoharla jednak trochę po brzuszku pogładził za uzyskane przez niego przymierze z księstwem

Całkiemsporo rozmiarowych, może bardziej byłby w tej podróży znośny. Może. Sam nie był tego pewien.

Selistis schowała w połach swego płaszcza glewie Kapitana, dwa miecze Baarka i masywny miecz Leoharla. Ten najtrudniej było pod tym płaszczem zmieścić, bo ciągle wystawał, ale w końcu i jego wepchnęła do środka obiema rękami. Gdybyś spytał, panie, to odpowiem, że nie wiem, ile miejsca tak naprawdę w nim miała. Cokolwiek w nim chowała, zdawało się wsiąkać w materiał jak deszcz, żadnego śladu nie zostawiając. To było nader wyraźne przy przeszukaniu, przy którym dwójka stojących przed murami Urwiska strażników wszystkich całkiem szczegółowo obmacała. Tylko Katii udało się obmacywania uniknąć. Oczarowała strażników swym uśmiechem i nader zwiewnym strojem, który wiele broni ukryć pod sobą nie pozwalał.

Do spotkania z Terencjuszem założyła szarawą koszulę, kładąc na nią swą oficjalną kamizelkę z barwionej na zielono skóry. Choć była wygodna, idealna na dłuższą drogę, wcale za nią nie przepadała. Wzdychała, że przecież już na pierwszy rzut oka widać, że malachitowa zieleń absolutnie nie współgra z zielieniami organicznymi mijanych co chwila drzew czy otaczającej ich trawy. Nie muszę chyba wspominać, mój panie, że było to oczywiste jedynie dla Katii. W końcu kto powinien wiedzieć więcej na temat odcieni zieleni, jeśli nie Kaktus? Wyjaśniła, że nawet rośliny charakteryzujące się zimnymi, wpadającymi w ultramarynę odcieniami nie wyglądały tak kamiennie blado jak ta kamizelka. Niemniej sproszkowany malachit był niestety jedynym dostępnym barwnikiem w kolorze zieleni, który zdołała zdobyć. Do żywej zieleni kaktusa sporo temu odcieniowi brakowało.

Więc w zielonej kamizelce, w niewiele różniącej się odcieniem spódnicy i szerokim skórzanym pasie zdobionym dużą metalową sprzączką jednoznacznie prezentowała swym strojem, że nie kryje pod nim żadnej broni. Strażnicy poprzestali na wzrokowej ocenie prawdziwości jej słów, mając przy tym oficjalną wymówkę, by móc tyle czasu się na nią gapić.

Przeszli przez bramę, gdzie w obstawie aż sześciu innych strażników zostali zaprowadzeni do prawego skrzydła murowanej budowli, która wiele od zamku się nie różniła. Mieli wkroczyć do oficjalnej części Urwiska, przeznaczonej dla dyplomatów i rzadko odwiedzających więzienie gości.

Katia wyciągnęła z torby odświętnie zapakowaną amforę wykwitnego wina. Jak po drodze wszystkim wyjaśniła, zaopatrzyła się w nie na zamku Galanta, spotykając się z pewnym sprzedawcą, z którym od lat była w dobrych kontaktach. To bardzo cenne wino i z pewnością będzie doskonałym prezentem na rozpoczęcie rozmów. Kapitan zaoferował się ponieść ozdobioną jedwabnymi kokardami butlę. Czuł się trochę niezgrabnie, nie mając niczego w ręce. Amfora wypełniła tę lukę.

Leoharl bez broni też czuł się nieco niespokojny, ale pójść na rozmowy musiał. Jak mu Katia wyjaśniła, miał w rozmowach odgrywać znaczącą rolę jako figura polityczna. Tytuł ten niewiele mu mówił, ale brzmiał dumnie. Poprawił więc nieco koronę i marszowym krokiem wszedł do sali, przed którą zaprowadzili ich strażnicy.

W sali zastali wysokiego, szczupłego mężczyznę. Terencjusz powstał dopiero, gdy do sali wszedł ostatni z gości. Tak akurat wyszło, że tym gościem była Pani w Czerni. Stała razem z czwórką pozostałych gości Terencjusza na końcu ławy. Przyglądała się z zaciekawieniem, jak Terencjusz z trudem odrywa od niej wzrok i speszony nieco znów spogląda na Leoharla.

- Witam serdecznie wielmożnego księcia Leoharla! Cóż za honor witać go w moich skromnych progach!

Skinął na strażników stojących za plecami gości. Wyszli, zamykając za sobą drzwi. Sala pełniła funkcję pokoju obrad i jadalni. Dwa rzędy krzeseł ułożone wzdłuż długiej ławy mieściły dziesięć osób. Na końcu ławy stało jedno wykwitnie przystrojone krzesło, zarezerwowane dla gospodarza. Wysoki, szczupły mężczyzna witał ich z niego zamasztywym ruchem dłoni, prezentując

niewyszukanego kroju, choć budzącą szacunek szatę. Pomimo tego, że jego twarz była już nadszarpnięta zębem czasu, wciąż zaskakiwał całkiem bujnym włosiem i błyszczącą skórą, która tętniła młodością i której i Kapitan, i Leoharl mogli mu tylko pozazdrościć. Najwyraźniej lubił prezentować swoją urodę. „Pewnie setka różnych sprowadzanych ze świata specyfików pozwala mu zachować ten urok” - z zazdrością myślał Kapitan, gładząc się po swojej zanikającej czuprynie.

- Na imię mi Terencjusz. Wybacz, książę, że rodu swego nie zdradzę ze względu na pełniony przeze mnie zawód. Jak się zapewne domyślasz, niejeden wielmożny pan pragnąłby spotkać bliższych i dalszych członków mojego rodu. Wolałbym im w tej sprawie nie pomagać. - Uśmiechnął się wymownie.

Bardzo przy tej mowie ekspresyjnie dłońmi i głową różne gesty wykonywał, raz po raz wzrokiem uciekając ku Pani w Czerni. Zwracam na to uwagę, mój panie, żebyś później nie był zaskoczony, gdy powiem, że Leoharl tak naprawdę z tej piątki najmniej go obchodził. Katia tylko tak księciu o tej ważnej figurze wspomniała, by go udobruchać, aby chętniej drzwi sali otworzył.

Leoharl złapał się za głowę, sprawdzając, czy korona wciąż na niej leży. Prawdę mówiąc, czuł się całkiem niepewnie. Był przekonany, że strażnicy, którzy ich tu przyprowadzili, choć salę opuścili, to stoją tuż za drzwiami. W dodatku dwóch innych, choć daleko za plecami Terencjusza, gapiło się na niego uważnie. Węszył drakę.

- Dzięki, panie Terencjuszu, że zechciałeś nas wysłuchać - podjęła temat Katia. - Pozwól, że zanim przejdziemy do ważniejszej sprawy, uraczymy cię tym oto winem z odległych ziem królestwa Auresów. Skapane w słońcu winogrona nadają winu wspaniałego smaku. Z pewnością przypadnie ci do gustu.

Terencjusz zbadał ją wzrokiem. Miała na twarzy najpiękniejszy ze swych uśmiechów, ale stojący bliżej niej Kapitan widział wyraźnie, że drżała. Bała się powiedzieć cokolwiek niestosownego.

Terencjusz nie był jak inni dyplomaci. Choć daleko było mu do władzy książęcej, wpływy jego rozciągały się daleko poza ziemie dawnego królestwa. Był figurą, której za nic nie można było lekceważyć.

- Katia Suska, jeśli się nie mylę?

- Nie inaczej, panie Terencjuszu.

- Prawdę mówiąc, gdy na twój list odpisywałem, nie myślałem, że książę Leoharl wraz ze swoją podwładną tak ochoczo przystanie na me zaproszenie. - Uważnie zaznaczył ukłonem ową podwładną. Do Leoharla nie raczył się skłonić.

- Treść pańskiego listu wielce go zainteresowała, panie Terencjuszu.

- Możliwość poznania księcia Leoharla osobiście cieszy mnie niezmiernie - oznajmił niezbyt przekonująco.

Książę nie za bardzo tę wymianę zdań rozumiał. Jako adept sztuki dyplomacji, za którego po ostatnim sukcesie mógł się uważać, powinien był z niej cokolwiek wyłapać, niestety jego poziom był wciąż poziomem uczniowskim, więc niewiele mógł z tych zdań i gestów odczytać.

- Proszę zatem, spocznijcie - zaoferował Terencjusz. - Skosztujmy tego wina. Zobaczymy, czy jest tak dobre, jak je przedstawiasz, panno Katio.

Strzelił palcami na strażników. Jeden z nich otworzył drzwi i skinął na kogoś ręką. Już po chwili dwie wykwintnie wystrojone damy przyszły z tacą, sześcioma szklanymi kieliszkami i dzbanem.

Terencjusz nie ukrywał się ze swym majątkiem, prezentując przed gośćmi srebrne tace, szklane naczynia i czarujące służące. Katia wskazała pozostałym, by usiedli, przy czym - co i Baarka, i Kapitana trochę zdziwiło - Selistis wskazała miejsce na równie przyozdobionym krześle jak to, na którym siedział Terencjusz, stojącym na wprost niego. Leoharla wielce to nie wzruszyło, bo na etykietce za bardzo się nie znał, ale pozostała dwójka oczekiwała, że to miejsce zostanie puste. Ewentualnie, że zajmie je Leoharl lub Katia.

Katia poczekała na służące. Te, kłaniając się, odebrały od niej wino. Otworzyły amforę i nalały do kieliszków, pięć z nich rozkładając przed każdym z gości na serwetce. Katia usiadła na swoim miejscu. Czekali, aż kobiety w ten sam sposób obsłużą Terencjusza. Był dość daleko, więc trochę musiały podreptać, by do niego dotrzeć.

- Mmm... pachnie wyśmienicie - oznajmił gospodarz, delektując się aromatem wina. - Zatem - majestatycznie podniósł szkło - za zdrowie moich gości!

Podążając za Terencjuszem, jego goście sięgnęli po swoje kieliszki. Wino, jak im później wyjaśnił Kapitan, który z tego towarzystwa najwięcej w tym temacie mógł powiedzieć, było nieco czerstwe. Przyzwyczajony był on jednak do trunków dużo niższej klasy, więc może po prostu kunsztu tegoż wina docenić nie potrafił. Skomentował w każdym razie de gustację tego wina dwoma słowami: pijałem lepsze.

Łyk, który upiła Katia, był niezauważalny. Leoharl upił połowę kielicha, krzywiąc się nieco z niesmakiem. Widać też mu nie podchodziło. Selistis, jak na damę przystało, też upiła tylko dwa łyki i też jedno oko przymrużyła niezbyt zadowolona ze smaku. Baark jako jedyny nie dał po sobie poznać, jak wino oceniał. Upił łyk i odstawił kielich, wgapiiony w gospodarza. Sam Terencjusz z kolei początkowo również nie ułatwiał oceny, czy wino mu smakowało.

Odstawił kielich z pomrukiem, który równie dobrze mógł oznaczać zachwyt, jak dezaprobatę. W końcu w przesadnie energicznym geście przystawił dwa palce do ust, cmokając głośno. Znaczy się, chyba mu smakowało.

- Wyśmienite! - ogłosił w końcu.

Palcem służbę zawezwał, by mu amforę podała, zbadawszy ją następnie wzrokiem, jakby szukał w niej listy składników czy innego sekretu przyrządzania. Książę tymczasem powoli zaczynał tracić cierpliwość do całego tego procederu. W końcu ileż

czasu i przygotowania potrzeba, by napić się odrobiny alkoholu? W jego towarzystwie nikt normalny się w takie rzeczy nie bawił. Żadnych serwetek, żadnego tam szkliwa. Drewniany kubek, wino i chlebek.

- Istotnie, wyśmienite - powtórzył gospodarz w chwili, w której Leoharl już miał mu napomknąć, że nie widzi na stole chleba. - Otrzymawszy taki prezent, nie spałbym spokojnie, nie odwzajemniwszy się osobie, która mnie nim uraczyła.

Patrzył przy tym na wprost, na siedzącą po drugiej stronie ławy Panią w Czerni, szarmancko się przy tym uśmiechając.

- Ma zeza? - podpytywał Leoharl Baarka. - Przecież Katia mu wino dała.

Nie uzyskał odpowiedzi. Terencjusz natomiast zawezwał stojącego w rogu sługę, co z grubym tomem wiązanych stronic w dłoni czekał na swoją kolej.

- Ten tom zawiera zapis wszystkich jeńców Urwiska i ich losów - wyjaśnił Terencjusz.

Katia powstała poruszona.

- Ukazuję go tobie, Katio, byś wiedziała, że nie biorę tej informacji z powietrza - zaznaczył Terencjusz z powagą głósie. - Twego ojca... nie ma w Urwisku - uderzył wprost, bez ogródek.

- Ale...

- Według ostatniego zapisu uciekł i wciąż jest poszukiwany.

- Znaczący... żyje? - Oczy Katii zajaśniały.

- Tego nie wiem. Mógł zginąć przy próbie ucieczki. Jak wiesz, niełatwo stąd uciec.

- Ale... czy wtedy...

- Zapisy mówią tylko, że uciekł - ubiegł ją. - Niewiele więcej ponad to mogę ci powiedzieć.

Katia opuściła głowę zrezygnowana. Targały nią sprzeczne emocje. Wprawdzie niczego nowego się nie dowiedziała, ale... cóż, Terencjusz nie pozbawił jej nadziei.

- Wiesz, że nie był waszym wrogiem? - spytała smutno. - Ścigaliście go po całym świecie, jakby nie wiadomo jakie krzywdy wam wyrządził, a on tylko... tylko królowi Henrykowi Wspaniałemu pomagał utrzymać was w porządku.

- Wiem o tym, Katio - odpowiedział całkiem spokojnie. - Wiem najlepiej, bo przecież wiele lat na dyskusjach z nim tu, w Urwisku, spędziłem. Ale ty też musisz wiedzieć, że potencjał do spełnienia danych czynów jest równie niebezpieczny jak same czyny.

- Walczyliście z nieistniejącym wrogiem - rzuciła z wyrzutem.

- Z wrogiem, który mógł się objawić w każdej chwili - wyjaśnił Terencjusz.

Katia nic już nie miała mu do powiedzenia.

- Przejdźmy zatem do kwestii głównego celu waszej wizyty. - Terencjusz, zmierzwszy towarzystwo ciepłym spojrzeniem, powiedział to z nieskrywanym, choć miłym uśmiechem.

Leoharl przyjrzał się Katii z uwagą. Ona z kolei spojrzała na niego wzrokiem, jakiego jeszcze w jej oczach nie widział. Przepełniał ją żal, jakby za coś chciała go przeprosić. Zrozumiał za co, dopiero gdy usłyszał dochodzące z boku tępe uderzenie.

- Ta dzisiejsza młodzież. W ogóle nie ma głowy do alkoholu - skomentował Kapitan, widząc, jak Baark boleśnie przywalił głową w stół.

- A, tak. Nie mają - przyznał książę, bezwiednie opadając na oparcie krzesła. Zamknął oczy, wykrzywając kark do tyłu, a ręce opadły mu wzdłuż ciała.

- No proszę. Nie on jeden, widać - zauważył Kapitan.

Ale gdy jego spojrzenie spoczęło w końcu na Pani w Czerni, istotnie się zafrasował. Ta rękami podtrzymała głowę, łokcie o stół oparłszy. W tej pozie trwała bez ruchu. Za dobrze to nie wyglądało. Spojrzał w kieliszek, w którym jeszcze połowa wina została, i zmarszczył czoło.

- Żal, żeby się zmarnowało - stwierdził, jednym haustem dopijając je do dna.

Skrzyżował ramiona na stole i łagodnie ułożył na nich głowę w dobrze opracowanej pozie. W końcu najważniejsze, żeby głowa miała miękko. Resztą nie ma co się przejmować.

* * *

- Przepraszam... przepraszam... przepraszam... - szeptała Katia, zwieszając głowę nad stołem.

- Świetnie się spisałaś. - Terencjusz powstał z krzesła. - Tak otruć swoich towarzyszy... tylko ktoś tak przewrotny jak ty mógł sprostać temu zadaniu. Nie kłamałaś w liście, że właśnie po to tak pieczołowicie budujesz sobie ich zaufanie.

Katia nie odpowiadała. Gospodarz strzelił palcami. Zza drzwi wyszedł dość okazałych rozmiarów osiłek. Podeszedł do leżących na stole gości.

- Przepraszam... przepraszam... - szeptała wpatrzona w martwe ciała swoich towarzyszy.

- Miałaś świetny pomysł z tym krzesłem na końcu sali - zauważył. - Jest tak wielkie, że nikt nie zauważył, że siedzącej na nim damie inny trunek niż pozostałym podaję.

Katia zamknęła usta.

- Zgodnie z obietnicą załatwię sprawę z Szaroburym. Możesz być o to spokojna. Jeśli dojdzie do bitwy, doświadczony w bojach Galant na przedzie zjednoczonych armii czterech księstw powinien sobie z Wielkopysznym i Gromowładnym poradzić -podsumował plan Katii.

Katia przytaknęła. Terencjusz w ciszy przyglądał się, jak osiłek, wedle rozkazu, delikatnie pociągnął Panią w Czerni za ramiona, a odsunawszy ją z krzesłem od stołu, przerzucił ją sobie przez ramię.

- Lekka jak piórko - skomentował ten widok Terencjusz, wzroku nie mogąc od Pani w Czerni oderwać. - Miałaś rację,

Katio. Jest zaiste wspaniała. Dokładnie taka, jaką ją sobie wyobrażałem.

Katia milczała dalej. Terencjusz odprowadził wzrokiem osiłka, który wnosił Selistis z sali. Ostatni raz zwrócił się do Katii.

- Przyślę kogoś, by trochę tu posprzątał - powiedział, patrząc na leżące na stole ciała. - Możesz odejść, kiedy zechcesz. Znasz drogę.

To mówiąc, wyszedł za osiłkiem, palcem nakazując służbie i strażnikom, by poszli za nim. Katia, zostawszy samotnie w sali, usiadła na krześle, podparwszy brodę ramionami.

- W ogóle go nie rozumiem. Przecież jestem od niej pięć razy ładniejsza - burknęła sama do siebie.

- Nie potwierdzam, ale i nie zaprzeczam - taktownie zamruczał pod nosem Kapitan. - Już poszli?

Katia momentalnie zerwała się z krzesła, niechcący je przy tym przewracając.

- Ale... jak?! - pytała zszokowana.

Kapitan wzruszył ramionami. No... przyznam ci się, panie, że z tymi martwymi ciałami, po których to Katia swoim wzrokiem jakiś czas temu patrzyła, to tak po prawdzie trochę przesadzałem. Znaczący się, były one martwe, a dokładniej mówiąc zmartwiałe, podobne słowo, co znaczyło, że były nieruchome. O, to właśnie miałem na myśli. Nie martwe, czyli nieżywe, a nieruchome. To tak, żebyśmy mieli jasność.

- No, jak? Żołądek mam z hartowanej stali - wyjaśnił Kapitan. - Ten twój trunek, jakkolwiek wzmocniony jakimś w ogóle niesmacznym zielskiem, na takiego weterana jak ja wcale nie podziała.

- Ależ przecież miałeś... Rety! Musimy ocucić Leo i Barkusia!

- Kogo?

- Zaraz będą tu strażę!

- No, no, niedobrze. Gdybym miał swoją glewię... - Kapitan westchnął z tęsknotą.

- Pal licha giewię! Trzeba działać! - ponaglała go Katia, targając Baarka za ramię.

Tak otwarta niechęć wobec ukochanego drzewca Kapitana nie powinna w jego obecności być pozostawiona bez komentarza, ale Katia miała rację. Nie było czasu, by robić wykład na temat szacunku do broni. Kapitan zwlekł się z krzesła i począł cucić Leoharla.

Katia, widząc, że Baark znaki życia daje, podbiegła do drzwi, którymi wyszedł Terencjusz. Wyjrzała przez nie. Strażnicy, którzy drzwi pilnowali, odeszli z Terencjuszem. Korytarz był wolny. Inaczej było z wejściem po drugiej stronie sali.

- Więc to tak? - podniósł alarm wchodzący do sali pacholek. -Straż!!! Do mnie!!! - krzyknął na całe gardło i wybiegł, słusznie się obawiając, że tyłek zaraz zostałby mu za ten wrzask skopany.

- Jasny!...

Baark zerwał się ze swojego krzesła, ale zaraz opadł na stół. Kręciło mu się w głowie.

Kapitan, będąc drzwi najbliżej, z miejsca skoczył, by drzwi zawrzeć. Baark, potykając się nieco o krzesła i ścianę, runął na podłogę parę kroków dalej. Chyba nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Lepiej, żeby szybko je zdyscyplinował. Kapitan drzwi podparł plecami.

- Czterech człapie z końca korytarza - oznajmił zaskakująco spokojnie. Jedyne sposoby, w jaki owo wino na niego zadziało, to dając mu pewien względny brak woli do większego przejęcia się zaistniałą sytuacją.

- Jak człapią, nie bieżą, to trochę im zejdzie - mruknął Baark z podłogi.

- No i gdzie ten chlebek? - Potrząsany przez Katię książkę przypomniał sobie ostatnio urwaną myśl.

- Wstawaj! Wstawaj! - krzyczała na niego Katia. Obrócił do niej głowę rozkojarzony. Złapała go za rękę, próbując pomóc mu wstać. Ledwo zdołał. Wspierany przez Katię stanął

na nogi. Wzrok powoli przestawał mu wirować. W końcu ziola w tym winie rozpuszczone nie były zbyt mocne, a już z pewnością, mój panie, nie były trucizną. Taki zamysł nawet przez chwilę nie przeszedł Katii przez głowę.

- S... Sel? - Leoharl rzucił okiem na puste krzesło, które zajmowała wcześniej Pani w Czerni.

Jak łatwo się było zorientować, z trójki, co wino wypila, książę był w najgorszym stanie. Rozsądek czy raczej może lekka głowa oszczędziły Baarkowi picia zbyt dużo owego nieszczęsnego trunku. Księżciu natomiast wino owo, prócz zwykłego dla tego rodzaju napoju efektu kręcenia się w głowie, dołożyło jeszcze kilka dodatkowych atrakcji. Wszystko, co dotyczyło rozgrywającej się obecnie sceny, wchodziło do skołowanej głowy księcia bardzo, bardzo powoli. Jedno zrozumiał od razu: nie mogli bez broni tu i w takim stanie walczyć.

Strażnicy poczęli o drzwi uderzać, lecz Kapitan, nadludzką siłą dysponując, zdołał ten opór powstrzymać. Ta siła, mój panie, mógłbym przysiąc, siedziała w nim od zawsze, tylko do tej pory nie miał kiedy jej wykorzystać. Z pewnością nie było inaczej. Na przykład tak, że strażnicy z początku z pełną mocą nie napierali. To wykluczone. Leoharl spojrzał na Kapitana, co tak heroicznie bronił wrogom dostępu do sali. Wzruszony tym widokiem z miejsca się w nowej sytuacji odnalazł. Gdy w końcu Kapitan zmuszony został do tego, by drzwiom ulec, Leoharl był gotów ze wsparciem.

Spojrzał na drugie drzwi po przeciwnej ścianie. Spojrzał na Baarka, co się z ziemi zebrał i do pochwy miecza usilnie sięgał, licząc, że znajdzie w niej swój oręż. Zmierzył wzrokiem krzesło, co stało tuż przed nim. I tak w głowie wykoncypował rozwiązanie.

Złapał za krzesło i rzucił prosto w stojących w drzwiach strażników. Rzucił drugie i trzecie. Odsapnął, bo się nieco tym zmachał, i z satysfakcją podparł się w pasie. Zgodnie z jego

zamierzeniem woje, zamiast zbrojnie na nich napierać, skupić się musieli na krzesłach, co im się pod nogami walały. Uśmiechnął się usatysfakcjonowany.

- No, a teraz zwiewamy - oznajmił dumnie.

Świecąc przykładem, przeskoczył nad nogami klęczącego na ziemi Baarka i wyskoczył tylnymi drzwiami sali. Całkiem wprawnie to zrobił, choć nieco nim zarzucało. Baark potrząsnął głową, by ją nieco otrzeźwić, i odnajdując obok siebie Katię, złapał ją za rękę. Z miejsca stanął i pchnął ją przed siebie. Machnął ręką na Kapitana i podążył za Katią. Tak oto krzesła księcia Leoharla okazały się najskuteczniejszą z jego dotychczasowych bojowych strategii.

* * *

Tymczasem w komnatach Terencjusza zatrudniony przez niego osiłek pieczołowicie zdjął Selistis z ramiona i ułożył na wysokim, szerokim łożu z baldachimem. Terencjusz uśmiechnął się i gestem nakazał osiłkowi odejść. Zamknął za nim drzwi na klucz. Z daleka patrzył na leżącą na łóżku istotę.

- Nie obrazisz się, jeśli poleję sobie odrobinę wina? - rzucił pytanie w powietrze.

Podszedł do gabloty, gdzie chował szkliwo. Sięgnął po kieliszek i bogato zdobioną amforę o szerokiej stopie. Przechylił ją nieco, nalewając wina do kieliszka.

- Wino, które przyniosła Katia, z pewnością było wyśmienite... ale nie zdziwisz się chyba, że nie miałem ochoty go kosztować. - Uśmiechnął się, przystawiając kielich do nosa, by zaciągnąć się aromatem wina. - To, które podałem tobie, było równie zacne. Mam nadzieję, że to docenisz. Ciężko dzisiaj o dobrej klasy wino - wytłumaczył, odkładając amforę na miejsce.

Powoli, ciesząc się chwilą, podszedł do łoża i usiadł na jego brzegu. Stąd mógł w pełni podziwiać piękno leżącej w nim dziewczyny.

- Jedwabista jasna skóra. Ach! Ta twarz! Jakby była bez skazy! - opisywał jej oblicze z zachwytem. - Czy prawdziwa? Czy to może tylko złudny obraz? - pytał półgłosem.

Wyciągnął palec do jej policzka. Nim zdołał go pogładzić, Selistis złapała go za nadgarstek, otwierając oczy.

- Wiesz, Terencjuszu, jesteś dla mnie o parę stuleci za młody - oznajmiła z zupełnym spokojem.

Terencjusz spojrział na nią nieco zaskoczony, ale uśmiech szybko powrócił na jego twarz. Selistis odrzuciła jego dłoń, siadając na łożu.

- Wiedziałem, że wino na ciebie nie podziała. - Terencjusz upił łyk ze swojego kieliszka. - Gdyby było inaczej, nie byłabyś warta swej sławy.

- Przyznam, że byłam nieco zaskoczona, gdy Katia pokazała mi twój list.

- Pokój za to, że przyprowadzi Leoharla, i za twoje oblicze naprzeciw mnie - wspomniał Terencjusz. - Czyż to nie uczciwa oferta? - Uśmiechnął się ciepło.

- Wiedziałeś, że nie pozwoli ci skrzywdzić Leoharla.

- Oczywiście. Ale doceniam jej pomysłowość. Chciałem zobaczyć, co robi - przyznał z uśmiechem.

- Chciałeś się zabawić?

- Coś za coś. Rozrywka dla mnie, informacja dla niej. Poza tym zamierzam wypełnić swoją część umowy. W końcu mowa była o samej waszej obecności, którą mi zapewniła. Znam ją chyba lepiej niż ona sama - przyznał. - Wiedziałem, że przekona was, byście zrealizowali jej plan.

- A mnie? Jak dobrze znasz mnie?

Selistis spuściła nogi po drugiej stronie łoża. Stała, poprawiając swój płaszcz i rękawy swego skózanego stroju. Terencjusz przyglądał się jej, podziwiając majestatyczność jej ruchów. Czerń jej szat zdawała mu się jaśnieć w świetle słońca wdzierającego się przez okiennice.

- Ciebie... nie znam wcale - przyznał. - We wszystkich słowach, które o tobie usłyszałem, nie zdołałem odnaleźć nic, co mógłbym uznać za prawdę. Ale nawet barbarzyńskie słowa moich podwładnych i przeciekający przez ich usta strach, co wykrzywił opis twojego oblicza, wystarczały, by uchylić wrota mojej wyobraźni. Musiałem zobaczyć cię na własne oczy, by przekonać się, kim jesteś naprawdę.

- Więc chciałeś mnie uspić i do swoich komnat zaprowadzić ?

- Nie chciałem, by ktokolwiek przeszkadzał nam w rozmowie.

- W rozmowie - prychnęła, krzyżując ręce na piersi. Terencjusz wstał urażony.

- Nie miałem wobec ciebie złych intencji. Jak mówiłem, wiedziałem, że nie śpisz.

Patrzył na nią, by mogła dostrzec szczerłość w jego oczach. Pokiwała głową ze zrozumieniem. Podeszła pod drzwi.

- Nie zostaniesz, choćby na chwilę, by napić się ze mną wina? -spróbował ją zatrzymać.

- Nie zostanę. - Zanurzyła dłoń w kieszeni płaszcza. - Cenię twoją szczerłość i uczciwość, Terencjuszu. Wiem, że dotrzymasz słowa, które dałeś Katii.

Odłożyła na komodę kilka pośniedziałych monet, ostatni raz odwracając się do Terencjusza. Przytaknął, upijając łyk wina. Otworzyła drzwi i wyszła z komnaty.

- Nawet zamki jej nie zatrzymają. - Terencjusz uśmiechnął się, dopijając swoje wino.

Spojrzał na komodę. Monety, które mu zostawiła, nie przypominały żadnych z wielu walut, które znał z różnych regionów świata.

- Za uczciwość i szczerłość, którą cenisz. - Uśmiechnął się do samego siebie. Westchnął do pustego kieliszka. - Za młody, co ? Ech... gdybym tylko miał parę stuleci więcej...

- Dokąd biegniemy? - padło pytanie gdzieś z przodu czteroosobowej grupy uciekinierów.

Zważ, panie, że gdy takie pytanie pada od tego, co stoi na przedzie, tego, co biegnie ostatni, zwykle skręca w boku. Korytarz, którym biegli, zakręcał gdzieś w oddali w lewo. Jeśli dokładnie plan posiadłości sobie wyobrazić, prowadził on do drugiego skrzydła tej rezydencji, a stamtąd na główny dziedziniec. Tam z pewnością czekała ich miła niespodzianka. Cały komitet powitalny zapewne wyszedłby im naprzeciw. Nie bardzo chcieli się z nim widzieć.

- Katia! Gdzie teraz? - spytał Kapitan. Mając obecnie najświeższy umysł, postanowił, że do jego obowiązków należy tymczasowe przejęcie władzy.

- W prawo. I w dół. Potem w lewo - odparła, przypominając sobie w głowie plan posiadłości.

Książę posłusznie skręcił w prawo. Biegąc wśród szeregu zdobionych drewnianych drzwi, można by nawet korytarza nie przyuważyć. Zwłaszcza gdy rząd drzwi zlewa się przed oczami w jedno, co non stop prześladowa księcia, goniąc go wzdłuż ściany. Tym niemniej skręcił. I nawet z zakrętem się wyrobił! I biegł dalej! Przy jego obecnym stanie uznać to trzeba było za nie lada osiągnięcie.

Na końcu korytarza trafili na schody. Z góry schodziło po nich właśnie dwóch pacholków. Zdumieli się nieco, widząc całe to zamieszanie.

- Hej! To te zwłoki, co mieliśmy pomóc wynieść?

- Dziękuję bardzo, wyniesiemy się sami - odburknął Kapitan. Katia rzuciła im przelotne spojrzenie, a niewiele sobie z nich

robiący książę skierował uciekinierów ku schodom na dół. Zbiegli, o mało sobie nóg na nich nie łamiąc. Na dole, skręciwszy w lewo, książę bez uprzedzenia zatrzymał się w pół kroku. O dziwo trójka za nim zdołała na czas wyhamować, unikając komicznego, acz wielce w tym pośpiechu niepożądanego ułożenia

się w stos na podłodze. Książę z troską wystawił dłoń, by zbadać znajdujący się przed nim obiekt.

- Drzwi - oznajmił błyskotliwie.

Na schodach słyhać już było odgłosy pościgu. Powstała panika, że zastaną ich właśnie pod tymi drzwiami. Kapitan, gotów walczyć do ostatniej kropli krwi, obrócił się na pięcie i pięści groźnie przed siebie wystawił, w głowie przywołując całe swe doświadczenie z karczmowych bójek. Do walki wręcz był przygotowany. Szkoda tylko, że wróg nie zechce porzucić swej broni, by walczyć jak równy z równym. Znów z łezką w oku wspomniiał swoją giewię.

Tymczasem książę złapał za klamkę. Powoli, wręcz majestatycznie, pociągnął ją na dół, drzwi otwierając. Bo drzwi, mój panie, wcale na klucz zamknięte nie były. Panika powstała, bo książę w swym obecnym stanie miał straszny problem, by przypomnieć sobie, jak drzwi działają. Zwracam na to uwagę, byś zrozumiał, jak wielce zatroskaną minę miał książę, gdy zobaczył, że za tymi drzwiami cały rząd nowych mu się objawił. Teraz problem dotyczył nie tylko tego, jak drzwi działają, ale także tego, które z nich należy otworzyć. Książę załamał ręce, zdruzgotany.

- Ależwleźże do środka... panie! - krzyknął Kapitan z za pleców, od mieczy wojów łapą się odganiając.

Z tego też powodu prawie zapomniąłby o należytej etykiecie. Dobrze, że w ostatniej chwili sobie o niej przypomniiał. Książę wlażł posłusznie i stanął jak wcześniej. Postęp, ale zgoła niewielki. Baark i Katia stanęli za nim. Kapitan przez próg przeskoczył, przepychając głębiej pozostałych i natychmiast drzwi za sobą zawierając. Drugie już w ciągu chwil paru drzwi musiał plecami podpierać.

Baark żwawo pospieszył mu z pomocą. W tym nowym pomieszczeniu, o podłodze z kamienia, istotnie stały długie rzędy drewnianych drzwi. Pomieszczenia za tymi drzwiami, jak Katia później wyjaśniła, służyły zarówno jako spichlerz, jak i do

przechowywania różnych zbędnych rzeczy. Był tu też rząd stalowych drzwi z kratami, które prowadziły do pomieszczeń do tymczasowego przechowywania więźniów. Więźniowie, którzy mieli w Urwisku zostać na dłużej, przebywali w zgoła innym miejscu.

- Ależ gdzieś nas zawiodła, Kaktus! To piwnice! Nie ma gdzie uciekać! - Kapitan szybko ocenił sytuację.

- Mmm... - Katia zamyśliła się. - Jest gdzie uciekać, ale nie wiem, czy to poprawi naszą sytuację.

Kapitan tylko dlatego się nie załamał, że nie wiedział, czy mówiła poważnie, czy tylko sobie z niego żartowała. Nie ma co wprzód się załamywać, jeśli nie ma pewności, że potrzeba. Lepiej sprawę dogłębnie przy kuflu przebadać. To jedna z wielu filozofii życiowych Kapitana, która teraz pomogła mu zachować spokój. Ikz kufla nie było co sprawy rozważać i koniec.

Katia wyciągnęła gdzieś głęboko z pół swoich szat duży mosiężny klucz i ruszyła przed siebie. Książę spoważniał nieco w obecności istoty, co wiedziała, do których drzwi podejść, i podążył za nią. Kaktus podeszła do największych ze stalowych drzwi i wsadziła klucz w zamek. Przekręciła klucz z trzaskiem i odsunęła się od drzwi o krok. Książę podłapał i złapał za metalowy uchwyt. Pociągnął za nie z całej siły. Zza okien piwnicy doszedł ich dźwięk dzwonów. Drzwi były podłączone do drewnianej zapadki, która teraz zwolniona uruchomiła system alarmowy. Katia zwróciła na ten system uwagę. To zmiana, o której nie wiedziała. Pewnie Terencjusz postanowił ją dodać po ostatnim razie, gdy ktoś miał czelność te drzwi otworzyć. Chciał mieć pewność, że dowie się o następnej takiej próbie.

Choć książę trud niemały wkładał, drzwi otwierały się dość wolno. Niemniej ukazała się już szpara. Były to najgrubsze drzwi, jakie świat kiedykolwiek widział, mój panie. Były do tego tak ciężkie, że gdyby nie były w specjalny sposób założone, otworzyć nie zdołałby ich żaden człowiek. A jakby tego było mało, książę wciąż musiał trzymać je otwarte, bo same zamykać się chciały.

- Co to za mechanizm?

- Są wstawione pod kątem, więc się zamykają - wyjaśniła Katia. Zmarszczyła nieco brwi i skupiła wzrok na powstałej w drzwiach szparze. Wyciągnęła z zamka klucz i skinęła na pozostałą dwójkę, przemykając przez szparę do tunelu.

Kapitan i Baark spojrzeli po sobie. Wyczuwszy rytm napierających razem na drzwi wojów, wybrali odpowiednią chwilę, coby od drzwi odejść. W drzwiach utworzył się przeto mały stosik tych, co to nie oczekiwali, że drzwi się przed nimi otworzą. Byliby tam Kapitan i Baark we dwóch stali i się z nich śmiali, gdyby nie to, że następnych kilku już całkiem sprawnie nad stosem przeskakiwało. Machali przy tym mieczami, a to wyglądało co najmniej groźnie. Kapitan z Baarkiem biegli zatem co sił w nogach, ciągnąc za sobą peleton. Gdy tylko do księcia dobiegli i w szczelinę zdołali się wcisnąć, książę sprawnie zrobił za nimi obrót i sam jako ostatni przez dziurę się przecisnął.

Od wewnątrz za uchwyt drzwi złapał i ciągnąć zaczął. Drzwi zawarły się dokładnie w tej samej chwili, w której pierwszy z wojów zdołał do nich dobiec. Czyli w ostatniej. Cała czwórka stała teraz w świetle pochodni, którą zapaliła Katia.

W piwnicach było całkiem widno, bo słońce wdzierało się przez liczne okratowane szpary wychodzące na dziedziniec i okolice. Tu natomiast, gdzie zaprowadziła ich Katia, nie dochodził najmniejszy promień światła.

Książę napiął każdy mięsień swego ciała. Zapał się. Poza, którą przyjął, nie była ani piękna, ani wygodna. Była jednakże skuteczna, bo trzymając za stalowe koło przy drzwiach, książę sam jeden stał przeciw sile dziesięciu chłopów, co za drzwi od drugiej strony ciągnęli. Wyczyn, z którego mógł być niesamowicie dumny

- Możesz je już puścić - mimochodem rzuciła mu Katia.

- ...Mogę? - upewnił się książę, co już heroiczną mowę ułożył w głowie, że niby reszta uciekać ma bez niego, a on sam pościg

powstrzyma, jak długo tylko sił mu stanie. Katia przytaknęła. Nieufnie zelżył mięśnie. Puścił jedną rękę, potem drugą. - No proszę.

- Zatraskują się same. Bez klucza ich nie otworzą - wyjaśniła Katia.

- Gdzie my jesteśmy? - Kapitan rozglądał się wkoło, na ile pozwalało mu światło pochodni.

- W tunelu prowadzącym na spacerownik.

- Nad sam brzeg urwiska? - próbował dobrze zrozumieć Baark.

- Niestety - przytaknęła Katia. - Główną bramą i tak już byśmy nie uciekli. Na razie nic nam nie grozi. A potem?... potem...

- Potem pomyślimy - dokończył Baark. Mogli trochę odsapnąć, skoro wedle zapewnienia Katii nikt nie mógł wejść za nimi. - Skąd wiedziałaś o tym tunelu?

- W dzieciństwie chodziłam tędy odwiedzać ojca. Klucz dał mi jego przyjaciel. Później sam tu skończył...

- I sama drzwi otwierałaś?

- To nietrudne. Są bardzo ciężkie, ale zawiasy mają dobrze wprawione. Są bardzo dokładnie wyważone. Każdy zdołałby je otworzyć, choć nie da się tego zrobić szybko.

- Ha! - prychnął ksiązę, wciąż wodząc wzrokiem po drzwiach z góry na dół i z dołu do góry.

- I nie mogłaś wtedy uciec z ojcem? - pytał dalej Baark.

- Te drzwi można otworzyć tylko z zewnątrz.

- A gdyby je przytrzymać?

Katia uśmiechnęła się, spoglądając na niego nieobecny wzrokiem. Gdyby to Selistis tak wypytywano, pewnie właśnie w tej chwili zrugaby go porządnie za to, że ją za głupią bierze.

- To nie takie proste. Zresztą sam się przekonasz. Kapitan rzucił okiem w głąb tunelu, ale jego wzrok był mocno ograniczony zasięgiem pochodni Katii.

- Nie ma co tu stać. Idziemy - zadeklamował Kapitan, pozostając przy roli tymczasowego przywódcy.

Baark i Katia, ociągając się nieco, ruszyli za nim. Książę prychnął na drzwi i odwrócił się od nich na pięcie. Dumnie kroczył na samym końcu.

Na drugim końcu długiego wąskiego tunelu znaleźli kolejne stalowe masywne drzwi. Potrzebowały tego samego klucza. Na nich tunel wcale się nie kończył. Za nimi, znów idąc i idąc pod lekkim kątem w dół, trafili na trzecie i czwarte drzwi. Łącznie było ich ośmioro.

Terencjusz był całkiem rozsądnym człowiekiem. Wiedział, że może zdarzyć się sytuacja, iż będzie musiał bronić się przed napaścią. Tunel miał mu służyć do ucieczki, ale nie mógł pozwolić na ucieczkę więźniom. Potrzeba by było nie lada organizacji, by kogokolwiek stąd wyprowadzić, co w połączeniu z alarmem w postaci dzwonów zdawało się wręcz niemożliwe.

Gdy otworzyli ostatnie drzwi, przywitał ich szereg zdziwionych oczu. Drzwi, o czym Katia nie raczyła im wspomnieć, otwierały się na sam środek kantyny, w której przesiadywali strażnicy więzienia.

- Dzień dobry - uprzejmie przywitał się Kapitan.

- Ach... zapomniałam. - Katia pacnęła się w czoło. Nie przesadnie, nie mieszajmy do tego Irransatila.

- Oj, kłopot - zauważył Baark.

- Witam towarzystwo! Można na jednego? - zaintonował Leoharl, widząc, że w kantynie także piwo podają.

Pomrugali na niego i na pozostałych, jakby zastanawiając się, co robić. Już dawno nikt z tu zgromadzonych nie widział, żeby ktoś przez te drzwi przechodził. Część ze świeższej zmiany pewnie nie wiedziała nawet, że to drzwi są. Katia, roztropnie oszczędzając dostępne im materiały, zgasiła pochodnię i kłaniając się lekko, ruszyła ku jednej z dróg wyjściowych, gdzieś po prawej stronie.

- Ej! - W końcu ktoś postanowił palcem na nich wskazać.

- Brać... ich? - zaproponował drugi.

- Brać ich! - powiedział trzeci, rzucając się.

Poczęło robić się niezgrabnie, bo kupa chłopów rzucała się na trzech z damą na przedzie. Uciekający byli przy tym w na tyle komfortowej sytuacji, że wielu z siedzących w kantynie wojów przychodziło tutaj odpocząć. Raz, że nie brali ze sobą broni, a dwa, że po jednym czy dwóch głębszych siedzieli. Czyli była to sytuacja, którą Kapitan z Leoharlem z powodzeniem umieliby opanować, gdyby tylko chłopów nieco mniej było. Przepychając się zatem i pojedyncze tylko pięści w szczękę wymierzając, we trzech z Baarkiem utorowali drogę Katii, za nią na schody na powierzchnię wskakując.

- Ten element zaskoczenia nas uratował - sapał Baark w biegu, wciąż masując obolałą od zbyt wielu prawych sierpowych dłoni.

- Raczej to, że sami po sobie deptali - rozważał sytuację Kapitan. - No i nie zapominajmy o zbroi. - Założył trzymany w ręce szyszak, który był mu po ciosie mieczem spadł z głowy.

- A myślałem, że zdołamy się z nimi dogadać - sapnął Leoharl, znów biegnąc na końcu.

- Wyjście... przed... nami... - dyszała Katia, nieprzyzwyczajona do ciągłego biegu.

Drzwi na końcu schodów otwierały drogę do kamiennego korytarza. Uderzyło ich jasne słońce wdzierające się szerokimi okiennicami. Tu też, zaraz po lewej stronie, stały zamknięte na klucz, wzmocnione stałą drewniane drzwi, przed którymi się zatrzymali. Pogoń z dołu nie dawała za wygraną.

- Całe szczęście, że kości mam jeszcze zdrowe - sapnął Kapitan, po raz trzeci drzwi plecami wspierając.

Katia przegrzebała zawartość swojej torby. Wyciągnęła z niej klucz i błyskawicznie wsadziła go w zamek. W pośpiechu uciekli z kamiennego korytarza.

Książę przymrużył oczy, uderzony jeszcze jaśniejszym blaskiem. Wciągnął głęboko powietrze, ciesząc się świeżym powiewem wiatru. Podróż przez podziemia, choć krótka, do najprzyjemniejszych

nie należała i można się było w czasie jej trwania raczyć tylko dość zątecznym powietrzem. Teraz, gdy odetchnął, mógł wreszcie całkiem trzeźwym wzrokiem ocenić sytuację.

Stali na trawie, na otwartej przestrzeni, patrząc wprost na jezioro. Stali dość daleko od krawędzi urwiska, za którą rozciągały się połacie głębokiego błękitu, jedynie na moment na horyzoncie znów przechodzące w zieleń, by wreszcie przejść w jasnoniebieskie niebo. Mając całkiem wysokie mury po jednej i po drugiej stronie, więźniowie musieli się cieszyć, że przynajmniej było im dane oglądać taki piękny widok.

Część z nich zresztą właśnie go podziwiała. Lochy podzielone były na kilka sekcji, każda miała oddzielną strażnicę i wejście. Więźniowie z różnych sekcji wychodzili z podziemi o różnych porach. Ci, którzy teraz przechadzali się po dość rozległych polach czy zasiadali na ławach pod murem lub na trawie tuż przed urwiskiem, wyglądali na całkiem uśmiechniętych. Może pobyt w tym więzieniu nie był jednak aż tak bardzo nieprzyjemny? Były przecież znacznie gorsze miejsca, w których mogli skończyć. Leoharl, co w kilku takowych znaleźć się miał okazję, dobrze o tym wiedział. Mimo wszystko musiał przyznać, że Urwisko zasługiwało na swe miano więzienia luksusowego.

Z zamyślenia wybił go dźwięk dzwonu, który rozległ się znad koszar. Bił na alarm. Więźniowie spojrzeli po sobie, a później na czwórkę nieznanym. Posłusznie rozeszli się na bok, stając na baczność pod murami Urwiska. Widać tę rutynę mieli opanowaną.

Z koszar wybiegła do intruzów rzesza wojów.

- Niedobrze - wymruczał książę.

- Biegniemy! - oznajmił Kapitan i rzucił się przed siebie. Może głupio robił, biegnąc wprost nad urwisko, ale z bólem

ocenił, że to jedyne, co może odwlec moment, w którym ich otoczą. Choć to marne pocieszenie, nad urwiskiem przynajmniej jedną z czterech stron świata mieliby zabezpieczoną. Nawet jeśli bardzo, bardzo głęboką przepaścią.

Zatrzymali się parę kroków od brzegu urwiska. Strażnicy mieli do nich jeszcze kawałek, ale nie byli zbyt daleko. Katia pospiesznie rozejrzała się wkoło. Mury zakręcały, idąc trochę w ich stronę. W miejscu, gdzie zaczynało się urwisko, z murów wystawały gęsto rozmieszczone długie, pieczołowicie naostrzone kolce, wyszczerzone we wszystkie strony. Kolce owe wbite były również w skałę urwiska, tak że nie było nawet jak wyciągnąć dłoni, żeby się nie zranić. Wszystko na wszelki wypadek, gdyby ktoś pomyślał o wspinaczce.

- Wiesz, Kaktus, to całkiem dobry moment, żebyś pochwaliła się, jak w dzieciństwie stąd uciekałaś - ze spokojem zaproponował jej Leoharl.

- Wiesz, Leo, Kaktusy nie boją się kolców. - Zebrała się na uśmiech.
- Widzisz te z prawej strony? Jak dobrze przestawisz rękę i skoczysz, możesz się na nich zwiesić. Zwisając pod nimi, możesz dojść do murów. Tam, między ceglami, są całkiem niezłe wyżłobienia, ale trzeba zdjąć buty, bo się stopy z butami nie zmieszczą.

Gdy tak to mówiła, zdawało się to całkiem proste. Trzeba tylko sobie wyobrazić, że człek zwisa nad przepaścią, łapiąc za kolejne wystające nad głową metalowe pręty tylko po to, by później jeszcze przejść całkiem spory odcinek drogi, trzymając się szpar w murach palcami rąk i krawędziami bosych stóp. Książę spojrział na swoją dłoń. Z jej sylwetką i jej drobnymi dłońmi pewnie nie było to niemożliwe. W dodatku, jak mówiła, minęło trochę czasu od chwili, gdy ostatni raz tu była. Wtedy było to pewnie jeszcze łatwiejsze.

Ileż wysiłku musiała włożyć, by spotkać się z ojcem? Jak wiele musiała zaryzykować? Książę westchnął przeciągle i obrócił się do nadchodzących wojów. Zakładając nawet, że sam miałby na tyle sił, by wytrzymać zwisanie na tych prętach, był prawie pewien, że palce w szpary mu nie wejdą. Ostatnia, choć złudna szansa ucieczki właśnie zniknęła mu sprzed oczu.

- Katio, potrafiłabyś stąd uciec jak dawniej? - otwarcie spytał Leoharl.

- Pewnie tak, ale...

- To uciekaj! - rzucił stanowczo.

- Ależ nie!

- Posłuchaj: Z naszej czwórki ty jesteś najważniejsza.

Dobrze słyszysz, mój panie. W końcu sam Leoharl zdołał przyznać to wprost przed Katią, Kapitanem i Baarkiem. Tych dwoje ostatnich przytaknęło, spoglądając na Katię, by mogła zobaczyć powagę w ich oczach. Zdumiona otworzyła oczy tak szeroko, że o mało nie zajęły jej całej twarzy.

- Nie mogę was tak zostawić.

- To rozkaz!

- Nie jestem żołnierzem! - rzuciła łamiącym się nieco głosem. - Nie umiem wykonywać rozkazów!

- Nic innego nam zatem nie pozostaje. - Księżę westchnął przeciągle.

- Musimy wytrzymać, aż Selistis do nas dołączy.

- Przyjdzie zawsze na twoje wezwanie - szepnął głos ukryty w powietrzu.

Z powietrza tuż za Katią wyłonił się czarny obłok. Choć nikt z tej czwórki nie mógł go zauważyć, pełne poruszenia reakcje strażników, co podbiegli i przed nimi się zatrzymali, kazały Leoharlowi obejrzeć się za siebie. Z obłoku wyłonił się płaszcz Pani w Czerni. Majestatycznym ruchem ręki położyła dłoń na ramieniu Katii. Nieco tylko tym gestem wystraszona, Katia spojrzała w zadziorną twarz Selistis.

- W co tym razem się beze mnie wpakowałeś? - spytała, zaczepnie witając Leoharla ciepłym uśmiechem.

Odwzajemnił się równie ciepłym spojrzeniem, jakby z miejsca wszelkie problemy uznał za rozwiązane. Pani w Czerni palec w niebo nad urwiskiem skierowała, a zataczając nim koło, znajomy wiatr wokół siebie wzbudziła.

Strażnicy bali się podejść, widząc, jak palcem coraz mocniejszy wichur wzmaga.

- Zangia! Moris! - zawezwała.

Na jej rozkaz, jakby z pędem tego wiatru krążąc, z powietrza wyłoniły się dwie postacie. Dwie istoty, trochę wyższe wzrostem od księcia, stanęły przy nim i osłoniły go swym ciałem. Okręcone były lekkimi, swobodnie trzepoczącymi na wietrze szmatami pozbawionymi wszelkich zdobień. Nawet twarze miały całkiem zwyczajne. Jedyne, co mogło wyróżniać je z tłumu, to długie, nienaturalnie posiwiałe włosy. Bardzo zatem od zwykłych ludzi nic ich nie odróżniało. Ze się znikąd pojawiły - nic nadzwyczajnego. Czasem przecież i tobie, mój panie, musiało się zdarzyć, że się człowiek tak zjawił przy twoim boku, strasznie cię przy tym przerażając. Ot, żaden wyczyn.

- Ewakuujemy się stąd. Natychmiast! - rozkazała Pani w Czerni.

- Rozkaz! - odparły równocześnie zjawy.

Mężczyzna uniósł dłoń i zatoczył nią kręgi, zastępując w tym Selistis. Wir powietrza nie ustawał, a silniej dał, odpychając nieco otaczających ich żołnierzy. Osłaniali oni oczy w obawie, że oślepią ich grudki ziemi. Tymczasem Selistis złapała Leoharla za rękę i z uśmiechem energicznie... zrzuciła go z urwiska.

Nim sama za nim skoczyła, spojrzała jeszcze w okno pokoju, z którego wyglądał za nią Terencjusz. Uśmiechnęła się do niego, skoczyła za Leoharlem. Zangia podobnie, jak Selistis z Leoharlem, uczyniła z Kapitanem. Złapała go za rękę i szarpiąc za nią, skoczyła z nim z urwiska. Baark, widząc, co się dzieje, bez namysłu objął Katię w pasie i za przykładem pozostałych zeskoczył z nią z urwiska.

* * *

Leoharl delektował się chwilą. Zbliżał się zachód słońca, który nad jeziorem wyglądał niesamowicie. W dodatku wiatr tak

przyjemnie muskał go po policzku. No i Selistis, jak rzadko wcale na niego nie wkurzona, obejmowała go mocno w pasie. Ot, spokojny, cichy wieczór nad jeziorem. Cóż przyjemniejszego mogłoby mu się w życiu przydarzyć ?

- Co cię podkusiło, by biec nad urwisko? - spytała. - Nie mogłeś spać, zgodnie z planem?

- Tak jakoś... Myślałem, że się nam uda uciec.

- To głupie - ujęła trafnie. - Jesteś głupi - dodała, dochodząc do wniosku, że ta puenta wymaga podkreślenia. - Znów chciałeś iść beze mnie.

- Nieprawda - zaznaczył. - Przecież na ciebie czekałem.

- Mhm - przytaknęła. - Dziękuję, że o mnie nie zapomniałeś.

- Nie zapomniałem nawet na moment.

- Ty jeden, Leo. - Selistis uśmiechnęła się do niego.

Kapitan, spadając w objęciach Zangii, przyglądał im się z ciekawioną. W sumie można było teoretyzować, skąd nagle Selistis z takim uczuciem Leoharla obejmowała, ale jak się z czasem od Terencjusza dowiedział: Leoharl był dla niej zdecydowanie za młody. Nawiasem mówiąc, z zupełnie niezwiązanego z uściskiem Selistis powodu to był moment, w którym Kapitan przekonał się, że jedna z tych dwóch pomagających im istot jest kobietą.

Spojrzeni na Baarka, który kurczowo obejmował Katię.

- Myślisz, że Baark umie latać? - spytała Selistis.

- Jeśli już, to Kaktus.

Selistis poważnie rozważyła te słowa.

- Kaktus! - krzyknęła. - Umiesz latać?

- Chyba?... - Zadumała się na moment. - Chyba nie - poprawiła się w porę.

- Chyba nie, jak słyszysz.

Książę wzruszył ramionami, jakby chcąc wyrazić „trudno, bywa”.

Selistis wymieniła spojrzenia z Morisem, który został na górze trochę dłużej. Teraz ułożył ręce wzdłuż ciała, by nadrobić

odległość do Baarka i Katii, co powinni byli na niego poczekać, a nie głupio z urwiska skakać.

Bez obaw, w porę ich złapał. Z doświadczenia, mój panie, mogę ci powiedzieć, że czas zawsze płynie względnie do zagrożenia. Im większe, tym wolniej.

Selistis obróciła siebie i Leoharla głową ku górze. Zwolniła lot. Przestali bezwładnie opadać, a zaczęli lądować, kierując się na kawałek skalistej plaży przy samej skarpie. Podobnie Zangia z Kapitanem i Baark z Katią, ciągnięci za fraki przez Morisa. Leoharl bił się ze słowami, co mu przez gardło przejść nie chciały, aż w końcu otworzył paszczę:

- Dz... dziękuję - zająknął się.

- Drobiazg. Choć przyznam, mógłbyś nieco rzadziej pakować się w kłopoty

Leoharl przyjął z radością jej cieplejszy niż zwykle uśmiech. Wtem panicznym ruchem pomacał się po głowie. Selistis wyciągnęła spod płaszcza koronę, którą złapała w locie. Energicznie położyła mu ją na głowie. Jeszcze tylko palcem szturchnęła, przekrzywiając ją nieco na bok, bo zbyt prosto leżała. Uśmiechnęła się przy tym do niego najcieplejszym uśmiechem, jaki u niej widział. Byli zgodni - z prostą koroną na głowie nie było mu do twarzy.

- No dobra! - Odeszła w końcu od księcia, rozglądając się za pozostałymi. Wyglądało na to, że nikomu nic się nie stało. -Wycieczka turystyczna po urwisku zakończona! - ogłosiła, otrzepując płaszcz z broni. Dosłownie: wytrzepała z niego dwa krótkie miecze, giewię i miecz Leoharla, a następnie odsapnęła, jakby z wysiłku, siadając na kamieniu. - Przynajmniej udało nam się osiągnąć nasz cel. - Selistis zamyśliła się wpatrzona gdzieś w górę, skąd zlecieli.

- Terencjusz pogada z Szaroburym ? - Wieczny sceptyk Baark znowu szukał, gdzie by swój kij wsadzić.

- Pogada - rozwiąła jego wątpliwości Katia. - Terencjusz to

porządny człowiek. Jego gusta pomijając - dorzuciła, rzucając Selistis zazdrosne spojrzenie.

- Przyznaję. Porządny. - Selistis zrewanżowała się za to spojrzenie zadziornym uśmiechem.

Mężczyźni obserwowali tę wymianę zdań w ciszy. Jak to zwykle bywa, kobiety pilnowały swych wspólnych sekretów, z nikim innym się nimi nie dzieląc.

- Mam nadzieję, że ktoś w końcu wyjaśni mi, co tu się stało -burknął Leoharl.

- Może ktoś... w końcu... - zbyła go Selistis. - Teraz wracamy na zamek. Musimy się spieszyć, jeśli chcemy dotrzymać terminu.

Leoharl prychnął niezadowolony. Miecz z ziemi podniósł i wskazał nim kierunek marszu. Katia, wzruszając ramionami, poszła za rozkazem. Za nią Baark i Kapitan. Ostatnia, ociągając się, poszła Selistis, gestem odsyłając Zangię i Morisa. Ukłonili się grzecznie i odeszli, znikając w powietrzu. Leoharl prychnął za nimi raz jeszcze i poszedł - jak przez cały dzień prawie - ostatni, zamykając pochód. Co jak co, ale po tej wycieczce tak wielu atrakcji się nie spodziewał, z powodu czego przez całą drogę powrotną był nieco naburmuszony całym tym natłokiem wrażeń.

Te myśli przeszkadzały mu w rozważeniu nieco ważniejszej sprawy. W końcu już za sześć dni miały zadecydować się losy ziem tego królestwa. Zrobił wszystko, co było w jego mocy, by idąc za wolą ludu tych ziem, zakończyć spory bez walki. Nie mógł jednak być pewien, że ten cel ostatecznie osiągnie.

Rozdział 16

Odpowiedzialność

Eksplozja, jaka nastąpiła, z impetem wyekspediowała z karczmy połowę jej patronów. Druga połowa zebrała się z ziemi sama i posłusznie wybiegła z lokalu na złamanie karku.

- No i szlag trafił drzwi - zauważył księżę.

- I okna! - dźwięcznie zaznaczyła Kaktus.

Niezbyt zresztą precyzyjnie sytuację opisali, bo trafili je wypadający przez nie ludzie, nie szlag.

- Czort z drzwiami i oknami! Piwo jest ? Ława jest ? Chciałeś' pić w spokoju, to masz, czego chciałeś. - Selistis dumnie podparła się pod boki, zadowolona ze swojego sukcesu.

Nastąpiła cisza.

Kapitan milczał, bo siedział daleko i miał szczęście, że kufel, który trzymał w ręce, przetrwał całe to zamieszanie. W przeciwieństwie do stołu, co fikołka zrobił i zatrzymał się był na ścianie. Kapitan zapatrzył się w kufel, upił łyk piwa i sprawnie, jedną ręką, postawił stół na swoje miejsce.

Kaktus milczała, bo swój napój też kurczowo w ręce trzymała, więc nic mu się nie stało. Tylko przeciąg się zrobił, więc trochę chłodem powiało, co bardzo jej nie przeszkadzało. Uśmiechała się dalej. W końcu przyszła tu oblewać ostatnie sukcesy Leoharla! Nie ma powodów do zmartwień!

Baark milczał, bo siedział tuż za Panią w Czerni, stąd nieco wgniotłogo w ścianę karczmy. Całe szczęście, że akurat nic nie pił, bo trunek ów wgniotłoby z kolei w niego. Milczał więc, bo wolał nie skupiać na sobie uwagi, zanim nie wpadnie na pomysł, jak ramiona wyciągnąć z belek, pomiędzy którymi się znalazł. Nieproste zadanie.

Książę też milczał, bo w takiej chwili nie należało Pani w Czerni zwracać uwagi, że bardziej mu chodziło o to, żeby ona sobie stąd poszła i dała mu spokój, niż żeby wyrzucała stąd pozostałych. Wcale mu nie przeszkadzali. Ona tymczasem tylko wrednie się uśmiechała i przycinki robiła. Teraz jeszcze do tego pozbawiła go piwa.

Wreszcie - na koniec - i karczmarz milczał, bo tak miał w zwyczaju. Choć miał tym razem więcej powodów niż zwykle. Teraz na przykład patrzył tępo w porozbijane okna, a potem na kufel, który trzymał w rękach i wycierał szmatą. Stwierdził w końcu, że tak naprawdę czyszczenie kufła nie miało już sensu. Właściwie nic go nie miało. Odłożył kufel, odłożył na miejsce szmatę i wyszedł zza baru, a potem między poprzewracanymi stołami przeszedł i przez dziurę, w której zwykle drzwi stały, wy dostał się na zewnątrz. Wysz edł i poszedł wprost przed siebie bez większego entuzjazmu.

Wszyscy obserwowali jego ruchy w napięciu.

- Jużem się napił - westchnął książę.

- Nie moja wina, że karczmarz gdzieś polazł. - Selistis wzruszyła ramionami.

Książę wzrokiem przypomniał jej, że tak, to właśnie jej wina. Tymczasem karczmarz wcale w dramatycznych okolicznościach lokalu nie porzucił, jak i sensu wszelkich rzeczy nie zatracił. Jak zawsze praktyczny, poszedł po prostu od razu do rzemieślników nowe drzwi i okna zamówić. W końcu wiedział, że na realizację zlecenia trzeba będzie poczekać. Im szybciej je wstawią, tym lepiej. Najlepiej jak zrobią to jeszcze przed jesiennymi chłodami.

Tak oto - bez patronów, bez piwa i bez karczmarza - wewnątrz karczmy na zamku Leoharla panował skrajnie wręcz przygnębiający nastrój. Na szczęście całkiem szybko przerwał go dosadnie głośny dźwięk rogu dochodzący do uszu byłych biesiadników gdzieś z oddali. Leoharl wyjrzał przez dziurę w ścianie zwaną kiedyś oknem, wypatrując źródła dźwięku.

- Melduję swoje przybycie. - Zangia pojawiła się na ławie tuż obok księcia.

Księżę nerwowo zacisnął dłoń, którą wspierał się był o brzeg stołu, kawałek drewna niechcący w ten sposób odłamując.

- Chyba nie bardzo sprawdza się ten koncept oznajmiania swego nadejścia rogiem, o którym wspominałaś. - Moris pojawił się przy jego drugim boku, zagadując Selistis.

- Ch-chyba nie - przyznał księżę, rozumiejąc, że prawdziwy autor tego konceptu musiał zniknąć w przekazie między Selistis a jej podwładnymi.

- Wykonaliśmy zleczone nam zadania - oznajmili przybysze.

- Zadania? - podłapała Selistis. - Jakie zadania?

- A... ten... - Księżę zmieszał się. - Poczekajcie na mnie na dziedzińcu. Zaraz do was przyjdę.

- Rozkaz! - zawtórowali mu chórem i zniknęli tak szybko, jak się pojawili.

- No, no. Więc nawet im rozkazy wydajesz? - Twarz Selistis nabrała nieco czerwieni.

- To ja już sobie pójdę. - Kapitan wprawnie odczytał sytuację i wyszedł z knajpy nieco szybszym krokiem.

- Zostawię was w spokoju. Dawno się nie widzieliście, pewnie macie wiele rzeczy do obgadania! - z uśmiechem pożegnała ich Kaktus.

- Mmmmmf! - próbował coś powiedzieć wbity w belki Ilaark.

Co zaskakujące, Kaktus chyba go zrozumiała, bo pomogła mu się spomiędzy belek wydostać i razem wyszli z knajpy.

- No więc co to za rozkazy?
 - Nie muszę ci mówić - bronił się książę - ty mi o swoich sprawach nie opowiadasz.
 - Ach, tak? Jesteś pewien, że tak chcesz się ze mną bawić?
 - T-tak. - Głos Leoharla przeczył jego słowom.
 - Rozumiem, rozumiem. Dałam ci zły przykład. - Zdawała się uspokajać, kiwając głową do swoich myśli. - W końcu JA pracuję dla ciebie za darmo, więc powinnam się domyślić, że TY, wyteżając całą swoją inteligencję, wpadniesz na to, że MOI podwładni też pracują dla MNIE za darmo - artykułowała, akcentując co po niektóre wyrazy.
 - Nie no, aż tak tępy nie jestem. - Książę podrapał się po włosach przy koronie.
 - Ach, tak? - Co zaskakujące, głos Selistis stawał się coraz miłszy. - To bardzo dobrze. Zatem, uściślijmy sobie: wydawałeś im rozkazy, WIEDZĄC, że to JA zapłacę za ich wykonanie? -Z tym coraz miłszym głosem to chyba się jednak przeliczyłem, mój panie.
 - N-no, jeśli tak na to spojrzeć...
 - Wybacz, mój wspaniały książę, ale czy mógłbyś mi wyjaśnić, jak można by spojrzeć na to inaczej?
- Z tym ostatnim pytaniem zbliżyła się nieco do niego i łokieć o stół oparła, głowę dłonią wsparłszy. Nadmiernie przy tym wszystkim mrugała i gdyby ktoś tylko na tę chwilę do baru zajrzał, mógłby przysiąc, że słodkie oczy do księcia robi. Ten natomiast był tym jej spojrzeniem przerażony.
- No, więc słuchaj! Miałem ważną sprawę, a nikt lepiej się do jej załatwienia nie nadawał. No i pomyślałem sobie... pomyślałem...
 - ...że się trochę porządzisz moim kosztem?
- Książę przełknął ślinę i przytaknął. Selistis uśmiechnęła się i walnęła go łapą w czachę.
- Jeszcze raz mi tak zrobisz, a wynajmę Irransatila, coby w łeb cię pacnął. Takim ironicznym pacnięciem, zauważ, bo wedle

kontraktu jest tu na twoich usługach, nie na moich. - Naburmuszyła się całkiem poważnie, wskazując Leoharlowi, do kogo powinien był się ze swoimi zleceniami udać.

- Ala! W porządku! - Leoharl poprawił koronę na głowie. - Zdawało mi się, że podwładni powinni wobec swego księcia okazać szacunek, nie walić po głowie!

Selistis wstała z ogniem w oczach, jakby księżę właśnie zażyczył sobie, by go piorunem porazić, a ona gotowa była wykonać ten rozkaz. Zamiast tego odwróciła wzrok i odetchnęła spokojnie.

- Masz rację. Przepraszam. Dawno nie byłam czyjąś podwładną. Brakuje mi wprawy.

Spojrzała na niego z boku i ruszyła ku drzwiom. Zdawało się, że im bliżej było koronacji Leoharla, tym nastroje u wszystkich gorsze się stawały. Jakby w zapowiedzi czegoś strasznego, co miało się wydarzyć. Tak, mój panie, wiem, że już któryś raz tak przepowiadam, a nic jeszcze z tych przepowiedni nie wyszło. Wszystko dlatego, byś nie odgadł zbyt łatwo, które z tych przepowiedni mogą się sprawdzić.

- Hej! - zatrzymał ją księżę. - Mam nadzieję, że bardzo się nie gniewasz?

- Tylko trochę - mruknęła. - W końcu to ja jestem od wykonywania twoich rozkazów.

Uśmiechnął się do niej. Zanotował w głowie, że gniewała się bardziej z zazdrości, iż do kogo innego z rozkazami poszedł, niż i) cokolwiek innego. I pomyśleć, że zwykle podwładni przywykli od otrzymywania rozkazów uciekać, nie o nowe się dopraszać. I Leoharl mógł się cieszyć, że miał taką podwładną.

* * *

Ciekawe, że jak na nią Selistis na Leoharla długo nie potrafiła się gniewać. Nie dziwne, że różne pogłoski o tej dwójce krążą.

- Kłóć się, jakby byli małżeństwem - rzucił Baark.

- No, popatrz! Ta myśl sama na usta się rzuca, nie? - Katia uśmiechnęła się. - O tym samym myśleliśmy z Kapitanem już jakiś czas temu. Ale podobno to tylko takie sobie przekomarzania - rzuciła bez przekonania.

Tymczasem przewencyjnie uciekłszy z karczmy, jak przed burzą, którą zwiastowały chmury, Kaktus z Baarkiem przechadzali się przed zamkiem. Podziwiali zmiany, jakie w nim zaszły od ich ostatniej wizyty. Właściwie to bardzo się nie różnił, ale coś jednak zdawało się w nim wyglądać inaczej. Ich uwagę przykuła ogromnych rozmiarów skalna figura, którą teraz dopiero dostrzegli.

- Jej! Irransatil naprawdę się postarał! - Katii aż zaparło dech w piersi.

- Trzeba przyznać, podobni z księciem Leoharlem jak dwie krople wody.

Stojąca przed zamkiem figura prezentowała księcia wznoszącego swój miecz ku niebu. Była naprawdę piękna. Zdawało się, jakby wykuta była w litej skale.

- I to wszystko z kamieni ?

- A tak - przytaknął Irransatil, pojawiając się zniemacka za ich plecami.

- Czy oni wszyscy tak muszą? - szeptała sama do siebie zmieszana nieco Katia.

- Irransatil, jak mniemam? Baark Posępny. - Baark wystawił rękę, żeby się przywitać. - Wiele o tobie słyszałem.

- Doprawdy?

Generał miał tu oczywiście na myśli opowieści o przystojnym, wysokim, umięśnionym rycerzu, które czasem opowiadała mu Katia. Stojąc na wprost tego blondyna, Baark mógł teraz podziwiać go w pełnej krasie i w całej okazałości. Prychnął na niego pod nosem z zazdrości, której nie zdołał do końca ukryć.

- Ten pomnik to twoje dzieło ?

- Ma się rozumieć!

- Chylę czoła. - Baark ukłonił mu się głęboko.

- Och... to, doprawdy, nic wielkiego. - Irransatil nieco się speszył.
- Zechcesz mi tylko wyjaśnić, jak z tych kamieni zdołałeś stworzyć tak idealną formę?

W odpowiedzi w tej właśnie chwili nad ową figurą przeleciał gołąb. Nie, mój panie, wzmianka o nim nie wprowadzi do historii taniego dowcipu z gołębimi odchodami w roli głównej. Ten gołąb był znacznie grzeczniejszy. Jedyne, co zrobił, to usiadł na barku obok wzniesionego ku niebu ramienia figury Leoharla, owego ramienia tym samym ją pozbawiając.

Cała trójka wprawnie odskoczyła, widząc, jak ramię kruszy się i odrywa od reszty figury. Uderzając o ziemię, rozbiło się na dziesiątki małych kawałków. By upewnić cię, panie, że wszyscy bohaterowie tego zdarzenia wyszli z tego bez szwanku, dodam, że ów gołąb wciąż całkiem spokojnie na barku księcia siedział. Widać nie jego waga a drżenia, w jakie wprawił figurę, lądując na niej, pozbawiły ją ramienia.

- Ja cię! - Katia posmutniała, obracając w dłoniach odłamki posągu.
- No i sprawa się wyjaśniła - zauważył Baark. - Czym te kani ienie kleiłeś? Mąką?

Hmm. - Irransatil pogładził brodę zamyślony. - Cóż, są pi wne wady konstrukcyjne, ale nic, czego nie dałoby się rozwiązać.

- Powodzenia! - zachęciła go Katia.

Baark natomiast odnotował w głowie, że odkąd podróżuje z owym księciem, którego kamienny miecz leżał w kawałkach u jego stóp, już kolejny raz ma duszę na ramieniu. Może ryzyko poważnych obrażeń tym razem było niewielkie, ale kamień to Li mień. Jakby ten miecz na głowie mu wylądował, nie byłoby czego po nim zbierać. Zaczął więc rozważać, czyby środków wspomagających na swoje zszargane serce nie zażyć. Mógłby, na przykład, częściej zaglądać do karczmy. Nie do tej, z której wyszedł oczywiście, bo ta wymagała remontu. Wspomnienie tego

bliskiego, intymnego wręcz, kontaktu z belkami jej ściany kazało mu jak najszybciej rozejrzeć się za nową.

- Hej, Irransatil, mam pytanie - zagadnął.

- Nie, nie wiem jeszcze, jakiego użyję kleju - Irransatil uprzedził pytanie zadumany.

- Ja nie o to. Ceregwin, jeden z podwładnych Selistis, opowiedział nam trochę o czasach, gdy Pani w Czerni była jeszcze dzieckiem. Rozumiem, że od tamtej pory bardzo się zmieniła. Wiesz może, jaka była wcześniej ?

Irransatil spojrział na niego z ukosa.

- Nic o tym nie wiem. - Wzruszył ramionami, co w jego wykonaniu było wymownym, i głośnym, gestem.

- Serio ? Nie interesuje cię to nawet trochę ? - podłapała Katia.

- Nie, wcale. Nikt nie chce takich rzeczy wiedzieć. To, co działo się za czasów panowania Centry, jest historią, której żadne księgi nie chcą pamiętać; żadne usta nie chcą rozgłaszać. Dlatego i ja nie będę o tym dyskutował.

- Nie powiesz nawet słowem?

- Zamiast pytać, co było, nie wolicie wiedzieć, co jest teraz? Kaktus przytaknęła pospiesznie i z zainteresowaniem wlepiła

w Irransatila okrągłe oczy. Ten odchrząknął, odwracając wzrok od tak natarczywego spojrzenia. Czuł, że właśnie sam się wrobił w opowiadanie.

- Cóż... nie mnie opowiadać o Pani w Czerni.

- Jeśli nie chcesz nic mówić, to zrozumiemy - upewnił go Baark.

Przebiegł po nich wzrokiem. Wyczekiwali jak dzieci wieczorem na bajkę od taty. „Tylko cóż takim starym ludziom po bajkach? - zdawało się pytać jego spojrzenie. - Ta historia nie powinna ich wcale obchodzić". Zgodził się jednak, przypomniawszy sobie, że są ludzie, którzy takie opowieści lubią. Ba, zawzięcie się wręcz w nie wsłuchują lub wczytują, zależnie od upodobania. Jemu, co całe życie tylko w pismach uczonych spędził, nie za

bardzo to się w głowie chciało pomieścić. Cóż, jeśli chcą, mógłby podzielić się z nimi jakąś opowieścią.

* * *

Poznałem Panią w Czerni w lochach. O, tak, to naprawdę fajna opowieść, w którą nikt mi nie wierzy. Kto poznał Selistis, wie, że to nie jest istota, która w lochach chciałaby siedzieć. Wierzcie zatem lub nie, właśnie tak ją poznałem: w celi.

Co tam robiła? Mówiła, że komuś podpadła i dostała karę. Coś chciała ukraść. Nieco później dopiero dowiedziałem się, że próbowała podkraść jeden z ośmiu Medalionów, co władzę mają nad demonami. Poważna sprawa, jak się domyślacie. Bez dwóch zdań, zasłużyła na karę. Tyle że tam, skąd pochodzę, nie więzi się obcych. Zwłaszcza z Centry. Ich się... cóż... nie trzyma się ich w lochach. Lochy były bardziej dla takich jak ja, co pokój pragnęli zaprowadzić. No... znaczy dla tych, którym zdarzyło się raz, wyjątkowo, pokój chcieć zaprowadzić tam, gdzie pokój nie był nikomu potrzebny. Czyn, za który podobno należała się reprimenda. O, tak, to był jeden z tych razów, gdy przez głowę mi przeszło, że jeśli sprowadzanie pokoju ma być moim zawodem, muszę szukać pracy z dala od domu. Gdzieś, gdzie docenią moje talenty.

No, ale wracając: Gdy zobaczyłem, kogo do mojej celi wrzucono, byłem w lekkim szoku. Raz, że obca, a dwa, że przecież była to Pani w Czerni. Pewnie nie jest to dla was oczywiste, więc zaznaczę, że sława Pani w Czerni rozciągała się bardzo daleko. Wszyscy w naszym kręgu wiedzieli, że mają jej unikać. Niewielu jednak spotkało się z nią osobiście. I ja do takowych nie należałem, ale same krążące o niej opowieści wystarczały, bym wyrobił sobie o niej zdanie. Szybko zresztą z jej stroju, postawy i wymienionych z nią kilku zdań wywnioskowałem, że w istocie właśnie Pani w Czerni, o której słyszałem, siedzi w mojej celi. Nie słysząc nawet jej imienia, zdołałem potwierdzić jej tożsamość.

- Za co siedzisz? - spytałem.

- Za kradzież -przyznała.
- Za kradzież? I cię nie zabili?
- Nie dałam się zabić.

Tak, dobrze słyszycie. Wlepiacie w nią oczy razem ze mną i przetwarzacie te informacje słowo po słowie. Nie dała się zabić, więc zamknęli ją w lochu. Czy teraz rozumiecie, czemu nikt nie chce mi w tę historię uwierzyć?

- Powiesz mi, jak cię złapali?
- Nie.
- Dlaczego? Mamy mnóstwo czasu.

Spojrzała na mnie, jakbym jej konia zabił, do życia przywrócił i zabił raz jeszcze.

- Za małą szkatułką na taką opowieść - mruknęła w końcu i uciekła wzrokiem.

Podrapałem się nieco po głowie, ale nie próbowałem pytać o nic więcej. Selistis siedziała przez chwilę pod ścianą, a w końcu westchnęła i z pół swego płaszcza wyciągnęła notatnik i pióro. Z uwagą zaczęła coś pisać. Powiem jeszcze, żeby się usprawiedliwić, że cela, w której rażę?n byliśmy, była całkiem mała. Może ze trzech chłopa dałoby się na podłodze ułożyć. Następnych trzeba by już kłaść warstwami. Chcąc nie chcąc, w tak małej celi nie miałem nic innego do roboty, jak tylko gapię się na nią i na jej notatki. Choć spisywała je w nieznanym mi języku, urozmaicała je czasem ciekawymi szkicami. Tak wpatrując się już kawałek czasu, zebrałem się w końcu na odwagę, by jeszcze raz do niej zagadnąć.

- Czemu jeszcze tu siedzisz?
- A co, już mnie wyganiaasz?
- Ależ nie, możesz czuć się jak u siebie w domu! - Spanikowałem. - Znaczą się... z pewnością w twoim domu jest znacznie ładniej. Miłsze zapachy i w ogóle... - Mielilem ozorem jak dureń. - Znaczą, zawsze miło jest mieć kompana. - Zamknąłem się wreszcie.

- Zaraz sobie pójdę. - Selistis odpowiedziała bez entuzjazmu. Wręcz oschle, jakbym tylko ją drażnił.

Ale że jestem z natury nieustrasliwy, a byłem bardzo ciekaw poczynąń tej istoty, postanowiłem spróbować raz jeszcze. W końcu co złego mogła mi zrobić? „Nie chciałaby pewnie - my ślałem - do listy przestępstw dokładać sobie morderstwa”. Przytaknąwszy na to sam sobie, spytałem:

- Czemu w ogóle dałaś się im złapać?

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Jestem ciekaw.

- To bądź dalej - burknęła.

- No, ale...

- To nie twoja sprawa.

- Ale też niejakiś wielki sekret, prawda?

Zmierzyła mnie lodowatym spojrzeniem. Przełknąłem ślinę, ale wytrzymałem jej rażąco czerwone oczy. Bądź co bądź, zawsze byłem twardy. Wiem, wiem, co wam teraz przez myśl przechodzi. Wytrzymałem spojrzenie Selistis - kolejny powód, dla którego nikt nie chce mi wierzyć...

- Niby nie. - Wzruszyła ramionami i wróciła do swojego notatnika.

- Więc?

- Aleś ty uciążliwy - skomentowała mój upór.

- Więc? - naciskałem.

- Jest dla mnie bez znaczenia, czy mnie wrzucą tu, czy będę leżeć gdzie indziej - sapnęła. - A teraz się zamknij! Przeszkadzasz! - fuknęła.

Zadumałem się nad tą odpowiedzią. Tu warto, byście sobie uświadomili, że tę uśmiechniętą Selistis, jaką czasem przy Leoharlu widzicie, bardzo ciężko mi w mojej pamięci znaleźć. Taki jej obraz jest dla mnie wręcz tak obcy, że momentami przeraża. W mojej głowie zawsze ma te same oczy, które widziałem w tej celi. Te, które miała, gdy ze spuszczoną głową siedziała pod ścianą. Zimne, skupione i nieco przygaszone, jakby czegoś w nich brakowało.

Wtedy wpadłem na genialny pomysł: wymyślę, jak tu by sprytnie

ją podejść, żeby pomogła mi się wydostać z lochów. Taki sprawdzian, jak dobryjestem w dyplomacji, która miała być jedną z moich kluczowych umiejętności. Na szali wolność lub śmierć. Idealna sytuacja na praktyczny test umiejętności dyplomacji.

- Jeśli bez znaczenia... to kiedy ci się już tu znudzi, może rozwalisz te kraty, jak będziesz wychodzić?

Spojrzała na mnie ukradkiem.

- Znaczy chcesz, żebym cię stąd wyciągnęła?

- Trochę... - Speszylem się.

Była w tym niezła. Mój misterny plan ukrycia przednią moich motywów nie wypalił.

- Czemu nie, ale coś za coś - oznajmiła, jakby od niechcienia, mimochodem wracając do notatek.

- Co chcesz w zamian?

- Kontrakt.

- Na jak długo?

- Dożywotni.

- Hę?! - zaintonowałem, jak pewnie każdy, co choć raz się z Selistis spotkał.

- Chcesz, bym odmieniła twoje życie. Chcesz, bym cię stąd wyciągnęła. Mogę to zrobić. Zabiorę cię, dokąd zechcesz, a jeśli zawrzesz ze mną kontrakt, nikt nie będzie cię ścigał. Dla twojego własnego bezpieczeństwa lepiej, żeby kontrakt nigdy nie wygasł.

- No, ale przecież wtedy...

- Jak mówiłam: coś za coś.

No więc widzicie, to był taki moment, w którym człowiek zwykle siada w karczmie przy piwie, by na nowo przemyśleć swoje życie. Przysiadłem i przemyślałem. Bez piwa niestety, bo karczmę w lochach trudno znaleźć.

Wyzywają nas od demonów, a w tamtej chwili to ja czułem się, jakbym miał zawrzeć pakt z diabłem. Fakt, kontrakty tego typu to nasza specjalność i Pani w Czerni z pewnością dobrze o tym wiedziała. Pewnie właśnie dlatego taki kontrakt proponowała.

Gdy przez głowę przelatowały mi różne scenariusze, jak mój los w jej służbie mógłby wyglądać, na płacz mi się zbierało. Jednocześnie coś podszeptywało, że jak na to spojrzeć inaczej, to przecież tego szukałem. Chciałem się sprawdzić. Zmienić życie. Odnaleźć swoje powołanie.

- Chcę zostać pokojownikiem - oznajmiłem dumnie.

- Zostaniesz, kim zechcesz - rzuciła, zamykając notatnik i chowając go pod poły płaszcza.

- Serio?

- Co niby miało by mnie obchodzić, kim będziesz? Nie odbieram ci życia. Chcę, byś wykonywał moje rozkazy. Czy wykonasz je jako pokojownik, czy jako żebrak, to bez znaczenia.

- Czyli mógłbym...?

- Z, nam kogoś, kto mógłby cię wciągnąć do ich cechu. Selistis wyciągnęła spod płaszcza poduszkę i ułożyła się na niej, wygodnie odwracając się do mnie plecami. Mnie tymczasem szczęka opadła i oczy zaświeciły z radości. Owa służba, której tak się bałem, mogła być wszystkim, co mi było potrzebne do szczęścia.

- Zgadza się - oznajmiłem w końcu po ostatniej chwili wahania.

- W porządku. Jutro.

- Ale...

- Twój pierwszy rozkaz ode mnie: idź spać.

- Ale jeszcze nie podpisaliśmy...

- Spij albo ciepacnę!

Zamknąłem japę. Wprawdzie jeszcze pokojownikiem nie byłem, ale z ksiąg, które do tej pory przeczytałem, doskonale tę groźbę rozumiałem. Przytaknąłem do samego siebie i ułożyłem się wygodnie na podłodze. Myślałem, że nie zasnę. Tymczasem po obolałej rano głowie wiedziałem, że spałem. Selistis walnęła mnie po niej łokciem, gdy zacząłem chrapać. Podobno poskutkowało.

- Reszty możecie dojść sami - Irransatil kończył swoją opowieść. - Jak widzicie, pokojownikiem zostałem, i jak widzicie, na jej wezwanie przybyłem. Wszystko zatem poszło według jej planu.

- Czyli wszystko skończyło się dobrze ? - Baark pomachał mu przed oczami swym kijkiem podejrzliwości. Nie materialnym kijkiem, mój panie. Tak tylko ochrzciłem ten jego chroniczny sceptycyzm.

- Właśnie niezupełnie - przyznał Irransatil. - Zawarliśmy kontrakt. Bezterminowy. Znaczący się technicznie to do jej śmierci, ale nikt o zdrowych zmysłach nie myśli, że ta kiedykolwiek nastąpi.

- Ale dała ci w zamian wolność i życie, jakiego pragnąłeś.

- I właśnie to jest przerażające. - Irransatil spojrzał w dal głęboko zmartwiony. - Posłuchaj, gdy żyjesz już tak długo jak ja, wiesz, że nic na tym świecie nie dzieje się bez celu. Bywają takie dni, gdy w głęboką zadumę popadam, do czego tak naprawdę jest Selistis ten kontrakt potrzebny? Co chce ze mną zrobić? Nawet nie wiem, czy chcę się tego dowiedzieć.

- A tymczasem wypełniasz jej rozkazy - podsumował Baark.

- Służba zobowiązuje.

- Nie myślisz czasem, że tylko o to chodzi? - Katia zamyśliła się.

- Znaczący?

- Ze nic więcej od ciebie nie chce?

- Niemożliwe.

- Ale przecież spotkała cię przypadkiem. To ty poprosiłeś ją o pomoc, nie ? Nie mogła tego zaplanować.

Irransatil zmarszczył czoło.

- Nie jestem pierwszy ani nie ostatni. Selistis ma bardzo wielu podwładnych. Nie tylko demony, jak mnie. W tym wszystkim musi być coś więcej - zauważył. - Musi mieć jakiś cel, o którym nie mam pojęcia. Nikt nie ma, dlatego ta myśl bywa czasem tak przerażająca.

Irransatil, z charakterystycznym dla niego głośnym szelestem uderzających o siebie metalowych piatek zbroi, wstał z ławki postawionej obok figury Leoharla.

- Pytaliście mnie o jej przeszłość. Ja mówię: patrzcie na to, kim Selistis jest teraz. Opowiedziałem wam tę historię, byście wiedzieli, że jak za dawnych czasów dowodziła posłusznym jej legionem istnień Centry, tak i teraz podobnym legionem dowodzi. 'I yle że teraz na ów legion musiała sobie zapracować. Każdy z jej podwładnych ma powód, dla którego za nią kroczy. Nie wszyscy są jej posłuszni z powodów tak prostych jak mój. Nie dla wszystkich spotkanie z nią zakończyło się tak, jak moje. Jedno tylko jest pewne. - Spojrzał na nich z powagą, jakiej jeszcze na jego twarzy nie widzieli. - Jako pokojownik, który naprzeciw wielu legionów stawał, wiem dobrze, że nie gromadzi się armii bez celu.

Irransatil odszedł w kierunku swojego kościoła, zostawiając ich z tym ostrzeżeniem. Baark i Kaktus popatrzyli po sobie. Rozważali w głowie, czy Selistis naprawdę mogłaby gromadzić armię podwładnych w jakimś wyższym celu. Jeśli tak, to w jakim? Jaką funkcję w tym planie pełni jej służba u Leoharla?

- Za dużo myślisz, Irransatil. - Katia wpatrywała się w plecy odchodzącego pokojownika.

- Myślisz, że nie ma racji? - Baark rozważał, co zrobić z tym swoim kijkiem.

- Nie ma. - Katia uśmiechnęła się. - A nawet jeśli ma odrobinę racji, co z tego? Myślę... myślę, że Sel po prostu nie lubi być sama. Pod pretekstem kontraktów znajduje sobie nowych przyjaciół.

- Chyba trochę zbyt naiwnie do tego podchodzisz.

- Tak myślisz? - Spojrzała na niego swoimi uśmiechniętymi oczami. Speszył się oczywiście, gdy tak na niego popatrzyła. Odwrócił wzrok.

- Może też masz rację, ale moja wersja jest dużo fajniejsza. - Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. - Bierz przykład z pokojownika. Co nam po domysłach, jeśli i tak nie możemy ich sprawdzić? - Podniosła palec, podkreślając rangę tej myśli

filozoficznej. - Ach! To mi przypomniało! - Katia wstała z ławki w popłochu. - Najwyższy czas na jego przemowę!

- Przemowę?

- No, mówiliśmy o zbieraniu armii, nie ? Księstwo Leoharla też musi ruszyć do boju!

- Ach, jasne. W końcu po to przyszliśmy na jego zamek. -Baark wbił wzrok w ziemię, zamyślony.

Katia pomachała mu na pożegnanie, zostawiając go z jego myślami. Musiała przedyskutować z Leoharlem tę jego przemowę. Patrzył za nią, jak beztrąsko w mig przeskakuje od jednej sprawy do następnej. „Za dużo myślisz, Irransatil” - powtórzył w głowie jej słowa. Miała rację. W końcu od przesadnego myślenia łatwo może rozboleć głowa.

* * *

- Wszystko zrozumiałe ? - tonem generała pytała księcia Katia.

- Tak jest! - odparł żwawo.

- Formułka nauczona?

- Tak jest!

- Gotów do przemowy?

- Za nic! - oznajmił z tym samym entuzjazmem co wcześniej. Stanęli w okolicach kościoła, gdzie Irransatil wcześniej stał z mapą nad stołem i gdzie sterta broni leżała. W głębi zamku powstało jakieś poruszenie.

- Świetnie. Widzę, że nasze wojska już dostały rozkaz zebrania się na placu przed pomnikiem - zauważył księżę.

Kapitan spojrział w kierunku skalnego rycerza bez ręki. Kilka słów w wypowiedzi księcia dziwnie mu zabrzmiało; były to: „nasze wojska,” „pomnik” i „plac,” który tak naprawdę stanowiła ubita ziemia. Rzeczywistość opisywana słowami księcia zdecydowanie bardzo różniła się od tej, którą obserwował Kapitan.

Tylko napomknę, że ów pomnik księciu straszliwie się spodobał. Z jednym tylko zastrzeżeniem, że wolałby, coby nieco mniej

się rozwał. Irransatil zapewnił, że nim go królem zrobią, pomnik naprawi i usprawni. Ruszyli ku prowizorycznemu placowi, gdzie książę miał wygłosić przemówienie.

- Za mną. - Wskazał na Kapitana i resztę. - Mam do was sprawę. Jest jeszcze jedna rzecz, którą muszę zrobić, nim wyruszamy.

- Co, mój panie? - spytał Kapitan.

- Spłacić dług. Musicie mi kogoś odpowiedniego do tego zadania znaleźć - wyjaśnił.

Spojrzeli po sobie porozumiewawczo, a później za Leoharla, nieco za jego ramię. Stojąca tam Selistis, której obecności można się było spodziewać, poklepała księcia po ramieniu, szepcząc mu tuż nad uchem.

- Jeśli myślałeś, że tak łatwo wymigasz się od odpowiedzialności za swoje czyny, to się przeliczyłeś. - Nabrała powietrza w płuca. - Proszę - krzyknęła mu do ucha - abyś walnął się dziesięć razy w pysk z całą siłą, na jaką tylko potrafisz się zebrać!

- Ala! - Książę, tracąc słuch w jednym uchu, zareagował z lekkim opóźnieniem. A może zrobił to wprzód, na myśl o tychże dziesięciu uderzeniach? - Ty się nie liczysz - burknął w końcu.

- Tak właściwie, to jeszcze ci swojej prośby nie składała - zauważyła Katia.

- Faktycznie - potwierdził Kapitan.

- No... ale przecież jest moją podwładną!

- Przecież o to chodziło, nie? - Kaktus uśmiechnęła się.

- Ale jak podwładna może swemu księciu rozkazy wydawać?

- Nie rozkazuje, a prosi. - Kapitan podrapał się po brodzie, dumając nad źródłem tych zupełnie nieudolnych prób wymigania się od odpowiedzialności.

- No, ale... ale...

Książę zbladł, ciesząc Selistis niezmiernie tym jakże znajomym obrazem twarzy. Panicznym wzrokiem wodził po Katii, Kapitanie i Baarku. Złapał tego ostatniego za kołnierz i nieco

podrzucił go w powietrze. Twarz blisko nosa mu podsunał i wymamrotał dwa zdania, będąc bliskim płaczu.

- Baark, mój przyjacielu, ja już tego nie zniosę! Proś o coś, bo ta kobieta gotowa jeszcze kogoś innego sprowadzić i wymyślić mi katorgę jeszcze innego rodzaju!

- Ależ proszę, księżę Leoharlu, uspokój się, bo za nic nie rozumiem, o co ci chodzi.

Księżę, mimo szalonego wyrazu twarzy, z drżącymi wargami i jedną powieką bezwiednie skaczącą w dół i w górę, zdołał się uśmiechnąć. Powiem jeszcze, mój panie, że z taką miną na twarzy ten dodany do niej uśmiech wyglądał nie inaczej, jak jawna oznaka pogarszającego się stanu jego zdrowia psychicznego. Powoli, bardzo powoli, Leoharl obrócił głowę, by spojrzeć na Panią w Czerni.

- Dobra - wzruszyła ramionami - niech ci będzie. Mam, co chciałam. Reszta jest bez znaczenia.

Leoharl powoli powrócił wzrokiem do Baarka. Zrobił dwa głębokie wdechy. Zamknął oczy i odłożył Baarka na ziemię. Zrobił trzeci wdech i czwarty, po czym z całej siły otwartą dłoń przywalił sobie w twarz.

- Ja cię! - jęknął.

- Niezaliczone! - fuknęła karcącym tonem Selistis.

- Jak to ?

- Za słabo.

- Że co?!

- Mówiłam: z całej siły, na jaką możesz się zebrać!

Księżę dwa wdechy zrobił i póki jeszcze adrenalina w mięśniach się mu dokładała, próbę powtórzył.

- Za słabo.

- By cię!

Zawziął się, stęknął i znów się zamachnął.

Chwila ciszy. Selistis nie rzekła słowa, a Baark już parę kroków w tył zrobił w obawie, że szal księcia mógłby być zaraźliwy. Leoharl patrzył Selistis w oczy, czekając na wyrok.

- ...raz - padło wreszcie.
- By cię pieron. - Książę odetchnął z ulgą. - Przyjdzie mi do tego zatrudnić Irransatila.
- Obawiam się, mój panie, że do tego zadania go nie oddelegujesz - zmartwił się Kapitan. - Irransatil nie dysponuje twoją siłą, a większą.
- Leoharl spojrział na Selistis krwiożerczym wzrokiem. Odpowiedziała mu złowieszczym bananem na twarzy. Przeszło mu przez głowę, by kogoś zamordować, coby nieco odreagować.
- Jeszcze dziewięć - oznajmiła oschle. - A teraz chodź, musisz przemówić do tłumu. - Machnęła na niego ręką, ruszając w stronę placu.
- Wszystko w porządku, książę Leoharlu? - spytał Baark, wciąż nieco z dystansu.
- W-w porządku - odparł książę.
- On raczył pytać, czy z twoją głową wszystko w porządku - podchwycił Irransatil, co podszedł do nich ciągnięty energicznym pełnym emocji plaskaniem. Skrzywienie zawodowe. Lubił delektować się jego dźwiękiem.
- Tego nie wiem. W uszach wciąż mi dzwoni. Zostawiając resztę towarzystwa, Leoharl podążył w stronę studni. Przed swą mową musiał się trochę otrzeźwić. Katia dołączyła, ochoczo służąc chusteczką.
- Więc co, książę poważnie szykuje się do walki ? - spytał Baarka Irransatil, gdy zostali sami.
- Poważnie, choć wolałby jej uniknąć.
- Należy mu się tytuł honorowego pokojownika. Zwłaszcza po tym pokazie samokontroli. Widać gotów konflikt zażegnać, nawet samemu w plecy się kopiąc.
- A ty, idziesz z nami?
- Nie, nie. - Pokręcił głową. - Nie umiem walczyć.
- Nie umiesz?

- Nie umiem. Jestem z nieco innej szkoły. Jestem pokojow-nikiem. Zamiast walki uczyli nas, jak do walki nie doprowadzić.

- Całkiem słusznie. Szkoda, że w naszym królestwie nie ma takiej szkoły.

- Nikt by się nią nie interesował - kiedy pacnąć, a kiedy nie pacnąć. Nie każdy jest gotów młodość na taką szkołę stracić.

Baark słuchał uważnie, choć terminologia Irransatila była mu obca. W końcu jeszcze nigdy w życiu nikogo nie pacnął. Irransatil natomiast wpatrzył się w Baarka, który śledził wzrokiem Katię. Spojrzał mu głęboko w oczy, potem na Kaktusa, i znów na Baarka. Baark westchnął cicho w inny zgoła sposób od jakiegokolwiek wzdychania, co do tej pory występowało w tej historii.

- Wiesz ? Chyba mam coś, co mogłoby ci pomóc.

- Pomóc. Pomóc ? W czym ? - Baark odwrócił do niego głowę, jakby pokojownik wyrwał go z transu.

- Przyjdź do mojego kościoła, nim ruszycie w drogę. Baark zdążył już tylko przytaknąć, gdy donośny głos Selistis

ogłosił, że postument będą budować. Irransatil obrócił się do niej i uklonił, ogłaszając, że natychmiast bierze się do roboty. Baark również podskoczył zebrać kilku chłopca. Nie miał już czasu zastanawiać się, w czym potrzebna mu była ta oferowana przez demona pomoc.

Rozdział 17

Pod błękitnym niebem

- Będzie lało - krakał Leoharl.

- A te białe chmurki to cisza przed burzą? - pytała Katia.

- Teraz są białe, ale zaraz sami zobaczycie. Poziom dramatyzmu rośnie, więc i chmury szernieją - zauważył.

Trudno się było z tą uwagą nie zgodzić. Zwłaszcza że wypowiadał ją powłóczący ledwie nogami człowiek w przekrzywionej koronie z obitymi na czerwono oboma policzkami. Z ust takiego szaleńca każde zdanie powinno być potraktowane poważnie. Przynajmniej póki ów szaleniec znajduje się wciąż w zasięgu wzroku.

Swoją drogą, im więcej razy Leoharl w twarz się wałnął i im więcej przysporzył tym Selistis radości, tym bardziej łagodniała. Zaliczyła mu już większość z dziesięciu „wyproszonych” plaśnień. Tych „nieproszonych” dostarczył sobie znacznie więcej.

- A wracając do problemu uciekającej z kraju ludności, nie macie się o co martwić. Już ja znajdę rozwiązanie. - Leoharl podjął poddany przez Baarka temat. - Nie słyszeliście pewnie o tym, ale mam w tej dziedzinie doświadczenie.

Baark, nie bardzo jeszcze wiedząc, w których momentach traktować księcia poważnie, wymienił z Katią spojrzenia. Selistis była w ocenie tej kwestii najbardziej ekspresywna, przez co mam na myśli bicie księcia w czoło, gdy głupoty gada. Niestety, była

nieobecna. Chwilę wcześniej odłączyła się od nich, by wyjść naprzód i wy badać sytuację.

- Zechcesz, książę, wyjaśnić, o co ci chodzi? - Baark spytał ostrożnie.

Ostrożnie, bo armia Leoharla szła tuż za nim, więc część woja całą rozmowę słyszała wyraźnie. A wobec żołnierzy raczej rozchwianego stanu psychicznego księcia nie należało ujawniać. Wśród nich była przecież tylko całkiem nieliczna grupa weteranów, którzy Leoharla znali.

Książę wziął z zamku wszystkich swoich zbrojnych. Do obrony został tylko Irransatil. Mimo tego zdecydowaną większość idącej za nim armii stanowili woje, których oddał mu książę Mrawy. Warto przy tym zaznaczyć, że większość zdążyła się już ze swych bolączek wyleczyć. Bez bandaży wyglądali całkiem dumnie. Jak prawdziwa armia.

- Ha! Słyszeliście, jak przyczyniłem się do poprawy sytuacji demograficznej pewnej bardzo znanej karczmy? - podjął książę.

Idący za nim żołnierze nastawili uszu. Ciekawiło ich, jak karczma może mieć swoją demografię. Jeden z drugim słusznie podejrzewali, że książę nie za bardzo wie, co to słowo znaczy, inni z kolei starali się połączyć ten wyraz z innymi znanymi im terminami i też zachodzili w głowę, o co może chodzić. O zgonach w karczmie słyszał chyba każdy i pewnie niejeden taki zaliczyli sami słuchający, ale z narodzinami szło im już gorzej. Nikt natomiast nie domyślał się nawet, w jakiej relacji jest karczma z populacją królestwa. No ale byli w końcu tylko wojami. Większych głów potrzeba - myśleli - by to wszystko ogarnąć. Rozglądali się zatem po weteranach w słuchaniu opowieści księcia Leoharla, którzy teraz z uznaniem przytakiwali jego słowom.

- No więc tak: Gdy przybyłem do karczmy, sprawa miała się całkiem kiepsko. Nikt nowy nie przychodził, a zdarzało się, że jeden czy drugi z karczmy musiał odejść. Brak funduszy na dalszy pobyt.

- Ujemny przyrost naturalny - ochoczo podchwyciła Kaktus.

- Właśnie tak! To, jak wszyscy wiedzą, spory problem, z którym należało sobie poradzić. Pewną poprawę sytuacji stanowiły dotacje z księstw Urwiryjów i Wyrwiszczeków.

- Dla ścisłości: mówisz o wdrożonym w życie planie dotyczącym obrotu ekwipunkiem wojów? - mówiąc szyfrem, dopytywała Katia.

- W rzeczy samej. Jak się lud o owym planie dowiedział, ten... no... przyrost naturalny zdecydowanie się poprawił. Ale tylko trochę.

- Niech zgadnę, plan zakładał ograniczoną populację i nie mógł przyjąć większej ?

- Tak właśnie! Widzę, że doskonale się na tych sprawach znasz, Kaktus. - Książę poklepał ją po ramieniu.

Ich wymiana zdań, poparta reputacją Katii jako tej, co za księgi wielu księstw jest odpowiedzialna, musiała robić na żołnierzach niemałe wrażenie. W końcu takie księgi z pewnością coś z demografią miały wspólnego.

- No więc ludność knajpy wzrosła - kontynuował Leoharl -ale zatrzymała się na pewnym poziomie. Poziom ten, niestety, nie był wystarczająco wysoki, by zapewnić karczmię utrzymanie. Jej budżet znacznie nadszarpywały stale rosnące podatki i inne wydatki.

- Jak naprawianie szkód. Częste były przypadki złamania nogi od stołu, notorycznie druzgotano krzesła; okazjonalnie wybite zostały szyby lub wyrwane zawiasy w drzwiach. - Kapitan włączył się w rozmowę, dostarczając cennych szczegółów technicznych i statystycznych.

- Właśnie. Więc trzeba było wymyślić kolejne rozwiązanie. Długo nad nim z karczmarzem myśleliśmy, a była to tak ważna sprawa, że warto było ją dogłębnie zbadać. Tak dogłębnie, że picie przy myśleniu nad tym piwa można było wręcz nazwać pracą. Tak któregoś wieczoru z pustego już kufla wziął się pomysł: co, jakby piwo było za darmo?

Nastąpiło lekkie poruszenie. Żołnierze spojrzeli po sobie, bo każdemu ta myśl zdała się całkiem nierealna - tylko w niebie karczmy mogłyby za darmo piwo serwować; na ziemi coś takiego by nie przeszło.

- No więc, mówię do karczmarza: „Dawaj piwo za darmo, a będziesz miał tylu klientów, ilu tylko zechcesz”. Ten zaś tylko spojrzął na mnie jak na głupa. Niewdzięcznik. Jak się później okazało, sam mój pomysł rozważył i w życie wcielił. Tak za moją sprawą sytuacja karczmy została uratowana.

- Ummm... ale... - Katia szukała odpowiedniego pytania.

- Karczmarz oznajmił, że każdemu nowemu klientowi pierwsze piwo stawia - pospiesznie uzupełnił Kapitan.

- Przecież mówię - zachnął się książę. - Do dziś mi za ten pomysł nie podziękował.

Kapitan nie śmiał porządkować, która część pomysłu do kogo należała. Najważniejsze się zgadzało: gdyby nie książę, karczmarz pewnie na ten pomysł by nie wpadł. Za pomysł, trzeba przyznać, szacunek księciu się należał.

- Ach, no jasne! - rozważyła ten pomysł Kaktus. - Jak podróżni usłyszą o karczmie, w której piwo za darmo rozdają, natychmiast przyjadą sprawę wy badać. Wszyscy wiedzą, że nikt rozsądny na jedno piwo do karczmy na końcu świata nie pójdzie. Świetny pomysł!

- Dziękuję. - Książę nie miał złudzeń, że cała zasługa należała do niego. - Nastąpił wzmożony ruch klientów w karczmie, bo podróżni byli gotowi tak sobie odpoczynek zaplanować, by w tej karczmie nocować, byle tylko sprawdzić, czy naprawdę piwo za darmo leją. Ci ambitniejsi szli z planem, że tylko to darmowe wypiją. Oczywiście, jak to bywa, niewiele z tych planów wychodziło. Na szczęście nowi klienci rozrób nie robili, bo im stali bywalcy od razu nosa ucierali, że grandę robią na nie swoim podwórku. Wszystko w tym planie było wręcz doskonałe. Nawet najwierniejsi patroni karczmy, co trochę narzekali na tę

sytuację, zdołali się do niej przekonać. Choć darmowe piwo, jak wszystkim, przysługiwało im tylko raz, karczmarz koił ich gniew, ogłaszając, że od czasu do czasu którejś twarzy zapomni. Dzięki temu będzie mógł z rana, gdy znów ją zobaczy, poczęstować jako nieznanego przybysza obiecany gratisowym piwem. W ten sposób za moją sprawą wszyscy w karczmie byli szczęśliwi - podsumował. - Oczywiście do czasu.

- Co się stało ? - spytał ktoś z tyłu.

- Dach się na karczmę zawalił.

Nastąpiła grobowa cisza. Taka, którą, gdy już trwa za długo, przerywa się kurtuazyjnym odkaszlnięciem.

- Zaraz, czy to nie ta karczma, co stoi teraz na zamku, panie? - Ktoś w końcu skojarzył ze sobą dwa fakty.

- Nie, to inna karczma - zauważył Leoharl. - Tamta była „Bliżej niż Dalej”. Na moim zamku jest „Niemi Utkana”.

- Była - poprawił go Kapitan.

- A, racja, była. Teraz nie wiem, jaką mamy karczmę. Drzwi i okna z niej powypadały, a jak złożyłem w tej sprawie zażalenie odpowiedzialnej za to istocie, to się wkurzyła i belkę mocującą wyrwała, próbując się nią na mnie zamachnąć - wyjaśnił nieco rozżalony. - Powiem wam, że czasem nic nie myśli ta istota. Przecież jasne, że jak coś zepsuje, to każe jej naprawić.

W ten sposób wrócili do grobowej ciszy ze stukotem butów o ubitą ziemię w tle.

- No, a nie mogła tej karczmy naprawić już z szyldem? - pod-szepnął Baark.

- Ech, powiem ci: nie jest zbyt kreatywna. By wymyślić szyld, potrzeba nieco wyobraźni...

Baark przytaknął ze zrozumieniem. Nie to, że zgodził się z księciem, ale powrócił do uprzedniej myśli o szaleńcach i ich racjach. Ucieszył się zatem niezmiernie, gdy w końcu na horyzoncie zobaczył pierwsze domy wioski Rejk. Cel ich podróży był w zasięgu ręki. Z jednej strony się cieszył, z drugiej czuł we

krwi, że owe przepowiadane przez księcia chmury już całkiem niedługo mogą przesłonić to niebo. Nie lubił deszczów.

* * *

Podjechali pod namioty czekających już na nich armii Galanta i Wihajstra. Sprzymierzeniec Galanta okazał się niewysokim, choć tego zbudowanym wojem zbliżonym do rycerza wiekiem. Szyszak, z zaskakująco wysokim ogonem na czubie, dodawał mu wzrostu, choć wyglądał nader dziwnie. Zakończony był flagą księstwa, co ukazywała kształt takiej... no... takiej dziwnej broni, na którą słowa w tej chwili zapomniałem, mój panie.

- Miło wreszcie spojrzeć na tego tam naszego przyszłego króla. - Wihajster uklonił się. Miał głęboki, dosadny głos, w którym teraz stanowczość mieszała się z niepokojem o to, co miało nadejść.

- Mnie również miło spotkać sprzymierzeńca. - Leoharl wyciągnął do niego rękę, racząc go szerokim uśmiechem.

Ścisnęli dłonie w przydługim nieco powitaniu, w czasie którego to Wihajster badał Leoharla wzrokiem, a Leoharl robił, co w jego mocy, by nie patrzeć na sterczącą wprost przed jego oczami flagę.

- A to zapewne osławiona prawa ręka księcia. - Wskazał wzrokiem na zmierzającą ku nim Selistis.

- Zapewne. - Leoharl ucieszył się, że zdążyła wrócić przed koronacją.

- Wiele o niej słyszałem. - Wihajster podkreślił węża, patrząc na Galanta. Ten za bok się złapał na wspomnienie ostatniego spotkania z Panią w Czerni.

- Same dobre rzeczy, jak sądzę? - podłapała Katia, podchodząc do towarzystwa.

- Same... Tak, same - zafrasował się Wihajster.

- Cóż, panie. Szykujemy się na najgorsze? - smutno zauważył Kapitan.

Leoharl sapnął, ogarniając wzrokiem długie rzędy namiotów zjednoczonych wojsk jego sprzymierzeńców. W oddali widział już zarys ciągnących do niego armii.

- Tak, mój drogi Kapitanie. Czarne chmury znów się nad nami zbierają.

Kapitan spojrział w piękne słoneczne niebo. Wzruszył ramionami.

- Jesteśmy gotowi, książę Leoharlu - oznajmił Baark. - Przedstawiciele pozostałych księstw są już w kościele.

Leoharl przytaknął i chwilę odczekał, wpatrzony w dal. Nadeszła w końcu chwila, która przypieczętuje jego dzieło. Chwila, ku której z takim zapalem dążył. Na którą tyle czekał. Westchnął, myśląc o roli, jaką przyjdzie mu odegrać. Spojrział na Selistis. Jej niemrawy uśmiech był w tej chwili jedynym pocieszeniem, jakie miał. Ale też jedynym, jakiego potrzebował.

Uroczystość koronacji była krótka i pospieszana. W małym wioskowym kościółku zebrały się głowy wszystkich siedmiu księstw stojących po stronie Leoharla i trzech przedstawiciele księstw opozycji. Książę Capigęba, ze swoim czerwonym nosem i nieodłączną glinianą butlą z winem w dłoni, udawał, że słucha, jak mu książę Wyrwiszczęka o swej heroicznej walce z czteroosobową drużyną Leoharla opowiadał. Urwiryj równie ekspresyjnie wyjaśniał, jak to imponujący orszak księcia do niego zajechał i z bramą jego fortecy się zmagają. Słuchając uważnie, książę Mrawy z daleka przyglądał się Leoharlowi, Katii i blisko przy niej stojącemu Baarkowi. Uśmiechnął się ciepło. Jego pupil wdrapywał się na szczyty swoich możliwości. W końcu będzie jednym z generałów w królewskiej armii. Czegóż mógłby pragnąć więcej? Czego więcej Mrawy, jako jego były zwierzchnik, mógłby mu życzyć? Galant z Wihajstrem po drugiej stronie kościoła z powagą, nawet słowa nie zamieniając, całemu towarzystwu się przyglądali. W końcu obok nich starzec, co za księcia Szerokiego Piątego z Leoharlem rozmawiał,

stał z przymkniętymi nieco oczami. Wcale nie spał. Tak tylko trochę sobie poddrzemywał.

W samym rogu kościoła, na jego tyłach, stała trójka zupełnie nieznanych rycerzy z flagami Wielkopysznego, Szaroburego i Gromowładnego. Patrzyli nieco przerażeni na niewiele dalej od nich stojącą Selistis, co nogę oparłszy o ścianę kościoła, baczenie się im przyglądała. Pilnowała, coby jakiej rozróby nie wszczęli.

Leoharl w spokoju czerwony płaszcz o złotych zdobieniach na plecy włożył i majestatycznie dywanem się przeszedł pod ołtarz, gdzie biskup koronę mu na głowę włożył. Kapitan, wzruszony, łezkę otarł z policzka. Nie mógł wcale uwierzyć, że ta chwila, której nie miał nadziei za życia swojego doczekać, w końcu nadeszła. Oto powrócił do swej starej roli przybocznej straży króla. Niczego więcej do szczęścia nie potrzebował.

Nim księżę opuścił mury świątyni, trzech posłanników stanęło mu naprzeciw.

- Rozumiesz, że ten gest oznacza wojnę, Leoharlu? - oświadczył wprost posłaniec Wielkopysznego.

- Rozumiem. Przekaż swemu panu mój rozkaz.

- Rozkaz?

- Tak. Królewski rozkaz! - Leoharl dumnie wskazał palcem ciężką złotą koronę zdobiącą jego głowę. - Niech stawi się przede mną osobiście. Podobnie jak księżę Szarobury i Gromowładny - rzucił pozostałej dwójce.

Przytaknęli we trzech i wyszli, zostawiając go w otoczeniu uradowanej Katii, Kapitana i trzymającego fason Baarka. Selistis poczęstowała go uśmiechem z oddali i wyszła za posłannikami.

Przed kościołem zebrał się niewielkich rozmiarów tłumek chłopów. Mieszkańcy miasteczka pragnęli przywitać tę ważną osobistość, co do ich wioski zajechała. Król Leoharl wyszedł z kościoła, dumnie prezentując swą koronę i berło. Czacha nieco

go pod tą koroną uwierała. Drapiąc się po głowie, trochę koronę znowu przekrzywił, a że znacznie cięższa była, zmuszony był ją sobie poprawić, by mu z czoła nie spadła. Berło natomiast za pas przypiął, by mieć rękę wolną. Płaszcz z kolei ciągnął się po ziemi i trochę tak za bardzo się świecił. Zdjął go zatem i oddał w ręce jednego z chłopów. Ten, zaskoczony, w płaszczu się schował, by uniknąć zazdrosnych spojrzeń sąsiadów.

Leoharl miecz na plecy przypiął i tak przygotowany ruszył na wyznaczone miejsce spotkania, każąc Baarkowi, Kapitanowi i Galantowi, jako trójce jego nowych generałów, jechać naprzód konno. Selistis miała czekać wraz z Katią w kościele. Zakazał im zbliżyć się do miejsca spotkania. Kapitan spoglądał od czasu do czasu w niebo. Brak czarnych chmur nieco go uspokajał. Do złowieszczej burzy było bardzo daleko.

Przywódcy obu stronnictw zebrali się na wzniesieniu pomiędzy swoimi armiami. Książę Wielkopyszny, książę Gromowładny i książę Szarobury, zasiadłszy na błyszczących czarnych rumakach, czekali na wprost stojących na własnych nogach Kapitana, Baarka i Galanta, aż król Leoharl podejdzie do nich pieszo. Cóż zrobić, niechęć do koni trudno wyleczyć.

- Jeśli dobrze się orientuję, jeździć na nich umie, bo miał w szkole obowiązek się nauczyć - ratował go Kapitan, zajmując trzech książąt opowieścią, nim król do nich dojdzie - ale za często jakoś udaje się skubanym w brzuch go zdzielić. Wcale przy tym celowo nie zachodzi ich od ogona. Same się do niego tyłem obracają i kopią. Wredne bydłeta.

- Technicznie koń to nie bydło - zauważył książę Szarobury.

- Zaraz nazwę pewnych bydlaków z imienia - burknął podirytowany książę Wielkopyszny.

- Technicznie to bydło nie nosi imion.

- Chociaż może. Na moją krowę wołam Madzia - podłapał książę Gromowładny, głaszcząc brodę.

Zadumali się nieco nad tym wielce ważnym tematem.

- Panowie, wyjdźmy z zagrody i przejdźmy do nieco poważniejszych tematów - wtrącił książe Leoharl, dotarłszy w końcu na miejsce spotkania.

- Więc to ty jesteś tym chłystkiem, co z gór przyszedł i królestwa mu się zachciewa?! - Wielkopyszny zmieszał Leoharla na dzień dobry z błotem.

Leoharl obadał towarzystwo wzrokiem. Siedzący na koniu z lewej książe Szarobury wyglądał na całkiem normalnego. Zadumany, trochę rozkojarzony. Był od końca trzeci wiekiem, po dwójce najmłodszych, co konflikt zaczęli. Dużo młodszy od Leoharla. Odziedziczył całkiem wartościowe ziemie, stąd niemalą armię mógł utrzymać. Jak jednak wyjaśniła Leoharlowi Katia, a Selistis markotnie potwierdziła, relacjonując jej własne spotkanie z księciem Szaroburym, za nic nie umiał on swojego wojska ogarnąć. Przyłączył się do Wielkopysznego, szukając kogoś, kto mógłby wesprzeć go swoim doświadczeniem.

Po prawej, jakby w ramach kontrastu, prezentował swą wspaniałą zbroję książe Gromowładny, znacznie przewyższając wiekiem swego brata. Był pod tym względem pierwszy po najstarszym z braci, więc zgodnie z dekretem miał po nim włączyć królestwem. Miał zatem powód stawać Leoharlowi na drodze. Choć przy obecnych konfliktach dekret zmarłego króla niewiele już znaczył, Wielkopyszny mógł mu wiele obiecać w nowym królestwie, gdyby Gromowładny pomógł mu zasiąść na tronie. Dumnie patrzył na Leoharla ze swego konia. W jego wzroku chowała się gdzieś jednak nutka strachu, gdy co chwila uciekał głową na boki w poszukiwaniu pewnego znajomego czarnego kształtu.

Na koniec Leoharl zmierzył wzrokiem samego księcia Wielkopysznego. Wreszcie miał okazję przyjrzeć się przyczynie wszelkich jego problemów. Oto ten, który spory rozognił i przez lata swą agresywną postawę podtrzymywał. Centrum konfliktu. Jak na czarny charakter przystało, straszliwie wrednie patrzyło mu z pyska. Nie raczył zejść z konia, więc go król Leoharl z dołu

musiał badać, co tylko pogorszyło tę ocenę. Na oko był w wieku Leoharla. Może trochę młodszy.

Zwróciwszy uwagę, że na gapienie się po nich trochę czasu stracił, Leoharl odchrząknął wreszcie i odpowiedział:

- Tak, to ja. Ten, co z gór przychodzi. Ciekawie się złożyło, że ten właśnie chłystek przed wami dziś staje, nie uważacie, panowie ?

- Po co w ogóle w te ziemie przychodziłeś ? - pytał książę Wielkopyszny.

- Miałem swoje plany. Jednak choć włożenia korony na głowę nie obejmowały, musiałem je trochę zmienić. Ale wam już nie muszę ich przytaczać. Już tyle razy je przecież słyszeliście.

- Wiesz, przyświecają nam wspólne cele - zauważył książę Wielkopyszny. - Oddaj mi koronę, a nastanie pokój, którego szukasz.

Król Leoharl sapnął, zdejmując żelastwo z głowy. Nadszedł moment, w którym Kaktus, gdyby obok niego stała, mogłaby wciągnąć w przerażeniu powietrze, myśląc, że król gotów był ulec silniejszym od siebie wrogom. Stojąca za tą trójką armia, której kawał na wzgórzu, w oddali, można było zobaczyć, była przerażająca, ale Leoharl był daleki od tego, by zgiąć przed nią kolana.

- Nie mogę ci jej oddać - oświadczył. - Nawet bez niej masz już dużą władzę. Tu, gdzie na nowo powstaje królestwo, to cudo ma sens tylko w rękach tego, kto jej nie posiada. - Leoharl spojrzał Wielkopyszniemu w oczy. - Tobie korona jest zbędna. Potrzebna jest słabym, których głosu bez niej byś nie usłyszał.

- Dobrze słyszę ? Dałbyś nosić ją chłopom? - wtrącił się książę Gromowładny.

- Gdyby chłop umiał władać ludem...

Uśmiechnął się do wyciągniętej przed sobą korony. Po raz pierwszy od długiego czasu poczuł ulgę, że żadna korona nie spoczywa na jego głowie. Jest ciężka. Jeszcze cięższa niż ta, którą nosił do tej pory. Za ciężka dla jego głowy. W dłoniach prawie jej nie czuł.

- Dałbym ją Katii. - Włożył ją z powrotem na głowę. - Albo Galantowi, albo Baarkowi, albo nawet Kapitanowi. Dałbym nawet Irransatilowi. Selistis korona jest zbędna. Ona już panuje nad światem - dodał z uśmiechem. - Oddałbym temu, kto jej nie chce, bo ten, decydując się wziąć ją na swoją głowę, wraz z nią wziąłby na siebie całą odpowiedzialność, która się wiąże z królowaniem. Nie mając żadnej władzy, zmuszony byłby własnymi rękami nadać kształt nowej.

- Tą głupotą sprowadziłbyś bunt i bezkrólewie - zrugął go Wielkopyszny.

- Być może. Ale dziad dziada mojego pradziada wierzył, że póki bunt trwa, istnieje powód, by dążyć do zmiany. Mój dość dawny przodek na jednym z kilku zwojów, spośród setek, które próby czasu nie przetrwały, zapisał dość znaną, ale przecież ważną myśl: Póki coś nas boli, wiemy, że coś jest nie tak, i możemy to leczyć. Gdy przestanie, to dlatego, że nie boli, lub dlatego, że nie żyjemy.

- Mówisz tak, jakbym siłą miał wymusić na ludziach milczenie.

- Siłą chcesz wymusić, by dali ci tron?

Wielkopyszny prychnął, słysząc to bezpośrednie oskarżenie. Nie mógł, niestety, zaprzeczyć.

- Wolą ludu jest moja władza - oznajmił Leoharl. - Mam poparcie siedmiu z dziesięć księstw o powierzchni ziem i z ludnością ze trzykrotnie większą od tej, która zamieszkuje twoje i twoich sojuszników.

- Kpisz sobie ze mnie? Myślisz, że każdy z tych chłopów godzi się z twoją wolą?

- Nie każdy, ale przecież to samo pytanie mogę zadać tobie - skarcił go Leoharl. - Dziesięć lat temu każdy z was tak ochoczo za koroną skoczył, że rozerwaliście królestwo na strzępy. Każdy z was nosi ten sam grzech! - huknął. - Ja nie mam go na sumieniu. Nawet jeśli tylko w tym byłbym od was lepszy, spójrz sam: to jedno wystarczyło, bym dziś stanął tobie naprzeciw!

Książę Wielkopyszny tracił nad sobą panowanie. Nie umiał mu odpowiedzieć. Niepojęte dla całej trójki dumnie siedzących na swych koniach książąt było, jak Leoharl zdołał tego dokonać - jak głupi woj z za gór mógł zyskać tak wielką władzę ? Przez ostatnie tygodnie opowieści o demonach i wiedźmach z dnia na dzień stawały się coraz bardziej wiarygodne, ale nawet gdyby odłożyć na bok te bajki - ten oto człowiek staje dziś przed nim w koronie. W koronie, o której Wielkopyszny mógł tylko marzyć, że ktoś dobrowolnie włoży mu ją na głowę.

Leoharl sapnął, kontynuując swoją przemowę:

- Jestem pionkiem, jak książę Gromowładny i książę Szarobury, którzy stają tu dzisiaj z tobą. Nie jestem królem, a zaledwie jego symbolem. Gdy nastąpi pokój, nastąpi czas, by symbol wykuć w złocie, a wtedy nie będzie to już moja twarz.

- Ta rola cię zadowala? - Książę Gromowładny nie mógł powstrzymać pytania.

- To odpowiedzialność, którą na siebie wziąłem. Ta pożyczona korona już i tak za bardzo ciąży na mojej głowie. Nie byłbym w stanie długo jej nosić.

Wielkopyszny nie rozumiał, co stojący przed nim człowiek mówi. Jak można stać w koronie i nie być królem? Jak można, tak po prostu, rzucić ją w kąt ?

- Nie zasługujesz na nią! - parsknął ostentacyjnie.

- Ty również. Różnica między nami jest taka, że ja mam tego świadomość. Z łatwością zdołam się z nią rozejść, gdy nastanie pokój.

- Korona to nie świecidełko, którym można się bawić i przerzucać je z rąk do rąk. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zaufałby komuś z taką filozofią.

- A jednak niektórzy zaufali.

- Omamiełeś ich swoimi utopijnymi ideami. Bez obaw, gdy zmieleę je w proch i rozwieję, przekonają się, czym były naprawdę. Nastąpi pokój, ale ty nie przyłożysz do tego ręki.

- Żałuję, że nie udało mi się ciebie przekonać.

Wielkopyszny wskazał na pozostałych głową i zawrócił konia. Pozostała dwójka spojrzała po sobie i ociągając się nieco, pojechała za nim.

- Co teraz ? - spytał Galant, gdy odeszli.

- Cóż... - Leoharl zamyślił się.

Nie miał czasu odpowiedzieć, a raczej sytuacja pozwoliła mu z odpowiedzią zaczekać. Oto gdzieś z boku pędem gnał do nich pewien jeździec. Galant zmrużył oczy, by dostrzec herb na jego koniu.

- Lord Apartacz ? - zdziwił się nieco.

- Apartacz - król Leoharl powtórzył z nadzieją w głosie.

Odczekali, aż koń dowiózł go na miejsce. Lord Apartacz z trudem łapał oddech, jakby wysiłek tej podróży był udziałem jego, a nie jego konia.

- Znów się widzimy. - Zeskoczył z konia, kłaniając się Leo-harlowi.

Lord Apartacz spojrział za trójką jeźdźców, co w pół drogi się zatrzymała i stała w oddali, gapiąc się na niego.

- Trochę się spóźniłem - przyznał.

- Nic, czego naprawić by się nie dało. - Leoharl uśmiechnął się.

- Wiesz, Leoharlu... rozważyłem w pełni twoje słowa - zaczął. - Gdy śledziłem twe losy, gdy słuchałem opowieści o twych czynach, gdy szukałem źródeł twojej postawy, zrozumiałem, że choć szczerze oddanych ci ludzi masz niewiele, każdy z nich wierzy, że poprowadzisz ich ku lepszej przyszłości.

Nie dowierzałem, gdy mówili mi, że nie siłą, a mową i czynem zjednujesz sobie sprzymierzeńców. Gdy dla kontrastu z ust mojego władcy usłyszałem, że mam zbierać łuczników i pikinierów spod granic, by tylko jak najwięcej woja przeciw tobie wystawić, zrozumiałem: księżę Wielkopyszny tak bardzo boi się, że ktoś inny niż on mógłby władać królestwem, że nie baczy na konsekwencje swoich czynów. Gotów księstwo ku klęsce

poprowadzić, byle tylko nie oddać ci tej należnej mu, w jego mniemaniu, korony.

Apartacz upadł na jedno kolano i skłonił się nisko.

- Zgubiłem swoje powołanie z dniem, gdy Wielkopyszny wciągnął mnie w swoje szeregi. Pod jego władzą zapomniałem, co znaczy tęsknić za pokojem, omamiony wizją, że ten właśnie pokój pomagam zaprowadzić. Dopiero spotkanie z tobą, twoja wola walki, pozwoliło mi raz jeszcze na tę postawę spojrzeć.

Zapytałem, tak jak chciałeś, każdego z moich wojów. Każdego, o tych w pierwszym szeregu nie zapominając. Spytałem, czy naprawdę chcą do walki stanąć. Kręcili nosami, bo nikt prawdy swemu generałowi w twarz nie zechce powiedzieć, ale przecież tym samym już dali mi odpowiedź. Wtedy właśnie pojąłem: lud Wielkopysznego, tak jak ludy jego braci, wcale nie chcą wojny. Król odszedł od nas już wiele lat temu, ale jego lud wciąż żyje na tych ziemiach. Zrozumiałem, że nie Wielkopysznemu, a woli ludu króla muszę pozostać wierny.

Leoharl rozczulił się, słysząc tę mowę. Podeszedł i podniósł lorda Apartacza z kolan, ściskając mu dłoń.

- Bardzo się temu ludowi przysłużysz.

Poklepał go po ramieniu i nakazał całej trójce wracać pod namioty. Sam jak przybył, tak wrócił na piechotę.

Nikt nie wiedział, czy stając tego dnia w boju, oddadzą na tym wzniesieniu ducha. Czy chwalebna, acz idealistyczna wizja Leoharla przetrwa, czy wraz z nimi zostanie w ziemi pogrzebana. Dla lorda Apartacza te pytania były bez znaczenia. Stając w namiocie obok króla, rozejrzał się po swoich nowych sprzymierzeńcach i zrozumiał, że po słusznej stronie konfliktu stanął.

Księżę z całym jego rozsądkiem odesłał najlepszą dyplomatkę w królestwie Katię Suską do bezpiecznego schronienia. Była to ekspertka, która nawet Wielkopysznemu nieraz księgi poprawiała i pokazywała, jakie błędy w swoich decyzjach popełnia. Najwspanialszy doradca, jakiego król mógłby sobie wymarzyć.

Jak i inni przed nim, Apartacz wcale nie zdziwił się, gdy Leoharl ogłosił mu, że to właśnie Katii pragnie oddać swoją koronę.

Armią dowodzić miał Galant Stalowy. Miesiącami nieustannie stawał on przed liczniejszymi od swoich oddziałami Wielkopysznego. Swym kunsztem walki przewyższał każdego z generałów, jaki mógł stanąć im naprzeciw. Tak wspaniały generał jest ciężkim głazem, który przechyla szale wojen.

Był tu też Baark Posępny. Swą sprawność w boju nieraz pokazał, dowodząc armią księcia Mrawego. Choć rozmiar jego armii nie pozwalał mu na zwycięstwa w boju, do każdego starcia podchodził z tą samą nieugiętą odwagą i niezniszczalną wolą walki. Niezachwiana odwaga. Charakter, za który żołnierze go uwielbiają.

Jest jeszcze starzec, co w osobistej gwardii króla sprawował niegdyś władzę. Elita wśród wojowników. Głęboko oddany zarówno staremu królowi, jak i nowemu. Kapitan króla Leoharla z giewią w dłoni będzie czuł się wśród pikinierów, którymi ma dowodzić, jak ryba w wodzie.

W końcu lord Apartacz stanie przed wojskami, które poszły za nim z ziem Wielkopysznego. Poprowadzi też konnicę księcia Szerokiego Piątego. Wprawione w boju wojsko, co przez ostatnie lata przemierzało ogromne połacie ziemi księstwa Całkiemspo-ro rozmiarowych, chroniąc miasta i wioski przed bandyckimi łupieżami. Wysoce wyszkolona jazda to największa przewaga armii Leoharla. Ten sojusz, te wojska i przywódcy, którzy staną na ich czele, dają szansę wierzyć, że armia Leoharla zdoła pokonać wojska Wielkopysznego. Pragnął wierzyć, że przyłożył swoją cegielkę pod fundament nowego królestwa. Jeśli mógł to zrobić, może część win zostanie mu przez to odkupiona. Z tym zapałem w oczach lord Apartacz przeglądał z pozostałymi plany, gdy do namiotu wtargnął nagle trębacz.

- Panie! Musisz to zobaczyć!

- Nagły zwrot akcji? - Leoharl był nieco podenerwowany.

- Nagły!
 - Jasny pieron, tego się obawiałem. Zawsze coś... zawsze coś...
 - Spokojnie, bez paniki - starał się uspokoić króla Galant. -Przecież nie popsuje nam to nagle wszystkich planów, nie ?
 - Obawiam się, że popsuje, mój panie - zasmucił go trębacz.
 - Idź mi stąd, zanim się na ciebie wkurzę.
- Leoharl, nie chcąc sobie dziury w głowie palcem wydrapać domysłami, poprawił koronę i wyszedł przed namiot. Spojrzał na horyzont, gdzie wskazał mu trębacz.
- Przyznaj się, dramatyzowałeś?
 - Wybacz mi, panie. Tak, dramatyzowałem.

Rozdział 18

Wola ludu

Sytuacja była tak wyjątkowa, że król musiał się zgodzić dać Kapitanowi ponieść się na ciągniętym przez konia kłusem wozie. Jechałeś, panie, kiedykolwiek na wozie po wertepach? Jeśli tak, to pewnie wiesz, że żadna liczba trzymany pod tyłkiem poduszek nie pomaga w takiej sytuacji. Nim Leoharl dojechał, w obstawie lorda Apartacza i Galanta, tyłek już całkiem mu odpadł. Lecz w tej chwili jego tyłek był bez znaczenia. Na miejscu czekała go najwspanialsza informacja, jaką mógł dostać:

- Chcę, byś wiedział, Leoharlu, że postanowiłem... że nie wezmę udziału w tej walce.

Księżę Gromowładny stanął przed Leoharlem osobiście, by oznajmić mu tę właśnie wiadomość. Leoharl nie był w stanie nawet ust otworzyć. Widokiem, na jaki trębacz go zawołał, był odwrót prawie jednej trzeciej wojska.

- Zechcesz mi wyjaśnić, dlaczego?

- Cóż... - Gromowładny nieco się zmieszał.

Leoharl zdołał już zapomnieć, że ten dumny, wysoki, świetnie zbudowany rycerz z początku nawet jego swą postawą przerażał. Złagodniał od tamtego czasu i już wcale nie wyglądał tak strasznie. Powietrze z klaty pewnie dawno już spuścił, ale kształt zbroi doskonale ten fakt ukrywał.

- Powiedzmy, że się z Wielkopyszny nie dogadałem - mruknął książę Gromowładny, zdejmując z głowy hełm. - To nie jest bitwa, do której można podejść nieprzygotowanym, a Wielkopyszny rzuca się do niej, jakby dla samej żywionej do ciebie zawiści.

Leoharl koronę na głowie poprawił, jakby przypomnieć chciał księciu Gromowładnemu, że zwracać się do niego powinien z należnym mu tytułem. Nie to, że był próżny czy coś, ale wiedział, że za długo tym tytułem szczylił się nie będzie. Chciał napawać się nim, ile może.

- W obliczu zdrady lorda Apartacza, którą całkiem jawnie zaprezentował, odjeżdżając z tobą z równiny, Wielkopyszny powinien być kazać się wycofać. A tak przy okazji, strasznie lord Apartacz nakłamał nam w kwestii rozmiaru twojej armii - mruknął.

- Nie przyszedłem z nią, by walczyć i wygrać - podjął Leoharl. - Jeśli słuchałeś, co mówiłem do tej pory, to wiesz, że nie chcę wojny.

- Tak, słyszałem - wspomniał książę. - Ale nawet wiedząc, że dojdzie do bitwy, nie wycofałeś się z pola walki.

- Nie mogłem. Moim obowiązkiem było stanąć i doprowadzić moją rolę do końca.

- Istotnie. Też tak pomyślałem. Twoi woje są zawzięci i do ostatniego szeregu gotowi walczyć. Zwycięstwo w tym starciu opłacone będzie ogromnymi stratami po jednej i po drugiej stronie. Wobec tego powiedziałem Wielkopysznyemu, że jako jego sprzymierzeniec radzę mu zawrócić. „Cofnij się pod zamek, a jeśli Leoharl postanowi podążyć za tobą, to złączona armia pod zamkiem na proch go zmieli”. Wtedy mielibyśmy woja, z grubsza licząc, dziesięć do jednego.

- D-dziesięć? - Leoharl przełknął ślinę.

- Z grubsza licząc. Więc mu powiedziałem: „Jeśli tu zostaniesz, nie stanę z tobą do boju. Nie przywykłem beztrako szastać życiem moich wojów”.

Leoharl przypomniał sobie taktyczny odwrót Gromowładnego spod zamku Galanta. Gdyby wtedy zamek szturmował, również musiałby się liczyć ze sporymi stratami. Galant był na niego całkiem dobrze przygotowany. O Selistis, stojącej przed zamkiem, nie wspominając.

- Co Wielkopyszny na to ?

- Ze ci jednej nocy nie da z tą koroną przespać.

- Dzieciak! - prychnął Leoharl.

- Cóż zrobić. Spytałem go: „Myślisz, że możesz sobie pozwolić moje wojska odrzucić? Zastanów się nad tym dobrze”. Za to zmieszał mnie z błotem.

Leoharl słuchał i dumał nad tym, jak temperament może zaważyć o losach bitwy.

- Tłuczcie się sami, ile sobie chcecie - podsumował swą decyzję Gromowładny. - Gdy nic już z was nie zostanie, sam wezmę tę symboliczną, jak mówisz, koronę i zobaczymy, co się wtedy stanie.

- Chciałbyś tego?

- Skądże znowu. - Machnął na Leoharla ręką i zawrócił konia. - Myślisz, że dlaczego szedłem za Wielkopyszny, nie przed nim?

Leoharl uśmiechnął się przenikliwie. Doskonale Gromowładnego rozumiał. Ten uklonił się przed nim i pogalopował ku swojemu wojsku. Leoharl uśmiechnął się raz jeszcze, rozumiejąc, że ten konflikt charakterów i fakt, że między sprzymierzeńcami istnieje dość słaby związek, objawiły się w najbardziej nieoczekiwanym dla Wielkopysznego momencie. Król planował wysłać na Gromowładnego Selistis, by samą swoją obecnością zmiękczyła nieco jego zapał do boju, ale wyszło na to, że wcale nie musiał tego robić. Patrząc na odchodzącą armię, napawał się tą chwilą.

- Wiesz, słyszałem, że Szarobury też większą część armii w tyle zostawił. - Galant podchwycił temat, gładząc się po brodzie. -

Któregoś wieczoru ktoś przedstawił im opowieść gdzieś z ziem daleko na wschodzie. Tam władzy nie dierży jednostka, a zbiorowisko. Decyzje nie zapadają na górze, a przechodzą przez głosowanie, co pozwala każdemu zgłosić swój sprzeciw. Tak wojom się ta opowieść spodobała, że postanowili przekonać księcia, by taki sam system w swym księstwie zastosował. Jak się pewnie domyślasz, Leoharlu, rozmowom w tej sprawie nie było końca. Każda sugestia Szaroburego wchodziła pod głosowanie. Wnet głowa dwa razy bardziej go rozboleła i zawiesił obrady. Nie miał na nie czasu. Zostawił swą armię i ruszył po wojska, które jeszcze coś niecoś go słuchały.

- Więć pewnie za tymi dwoma rzędami na wzniesieniu niewiele ich pozostało - zauważył lord Apartacz.

- Wspaniale! Terencjusz spisał się na medal! - Leoharl był wniebowzięty. - Galancie Stalowy, powiedz mi, czy masz plan, który byłby w stanie szybko zakończyć to starcie?

- W istocie, mój panie. Jeden właśnie przychodzi mi do głowy. - Galant zakręcił dwoma palcami końcówkę wąsa.

- Wyśmienicie! - Król zatarł ręce zadowolony. - Idźmy zatem przedstawić go wojsku.

* * *

Kapitan wyszedł z namiotu przed Leoharlem, rozglądając się wkoło, jak na straż królewską przystało. Dopiero gdy uznał, że król może kroczyć bezpiecznie, odsłonił kotary namiotu.

Leoharl zrobił krok przed siebie, prezentując swą lśniącą stalową zbroję. Zamierzał wystąpić przed swoim wojskiem jak na prawdziwego władcę przystało. Nie mógł sobie, niestety, pozwolić na wyruszenie w skórzanych szmatach. Zbyt łatwo w nich o przypadkowe zranienie. Musiał się zatem zmusić do założenia jednej z lżejszych rycerskich zbroi z płatami stali przeplatanymi kolczugą. Krojem zbliżona była do zbroi Baarka, choć była znacznie piękniej zdobiona.

Tumult był w wojsku niemały, bo coraz bardziej zbliżał się wymarsz, a tu ciągle nie wszyscy na swoim miejscu stali. Po lewej stały rzędy pikinierów. W drugim pułku rzędy łuczników raz po raz mierzyły w dal, sprawdzając swe łuki i poprawiając naciąg cięciw. Za nimi formację tworzyła konnica. Po prawej małe oddziały rycerstwa i wojów z tarczami i korbaczami od Wihajstra omówienia taktyki słuchali.

Lord Apartacz podjechał na koniu i pospiesznie z niego zsiadając, na dwóch nadjeżdżających dyplomatów wskazał.

- To od Szaroburego - zauważył Galant.
- Pewnie chcą pertraktować - ocenił Leoharl.
- Nie przystawałbym na ich propozycje.
- Zobaczymy, czego chcą. Najwyżej wrócą ze skopanymi tyłkami.
- Bądź pozdrowiony, królu Leoharlu. Jestem lord...
- Tak, tak, witaj - przerwał mu Leoharl. - Twojego imienia i tak już nikt nie spamięta. Mów, z czym przyszedłeś ?
- Przyszedłem, by wręczyć ci ten oto pergamin.

Chociaż lord Apartacz rzucił się, by po niego sięgnąć, Leoharl sam podszedł i za zwój złapał.

- To pieczęć księcia Szaroburego, nie księstwa. Osobisty list zatem, nie oficjalny - wyjaśnił Apartacz.
- Chce się spotkać na szczycie tamtego wzniesienia? - mrucał pod nosem Leoharl, patrząc w prawo, z dala od pola walki.
- Podstęp zapewne.
- Zapewne podstęp - Leoharl powtórzył po Apartaczu. Dyplomaci kręcili się w miejscu niepewnie, słysząc te ostre oskarżenia. Woleli nie wyciągać pochopnych wniosków, że powinni się o swoje tyłki obawiać.
- Niech będzie. Przekaż księciu, że będę na wzniesieniu, jak tylko rozkażę wymarsz.
- Będiesz?! - równocześnie spytali i dyplomaci, i lord Apartacz.

- Będę.

- Dureń! - skwitowała sprawę Selistis, która wyszła za Leo-harlem z namiotu.

Posłańcy uklonili się i odeszli. Lord Apartacz poczekał, aż odjadą, nim wzrokiem zaczął domagać się od króla wyjaśnienia. Nie był skłonny z miejsca od durni go wyzwąć, jak co poniektórzy.

- Nie przepuszczę okazji do rozmów - wyjaśnił.

- Już dawno nikt ci boków nie obił, co? Nic innego cię tam nie czeka - upewniła go Selistis.

- Być może. Ale muszę się sam o tym przekonać. Szarobury pisze, że póki rozmowy trwają, nie ruszy ze swoimi wojskami -doczytał Leoharl. - Choćby nic miało z rozmów nie wyjść, będę ciągnął je w nieskończoność.

Selistis prychnęła, jak miała w zwyczaju, gdy ktoś jej nie słucha.

- Czy ty, pani, nie możesz nic z tym wojskiem zrobić? - spytał lord Apartacz.

- Może - wyręczył ją król - ale nie zrobi. To nie jej walka. To nie są sprawy demonów czy innych białych czy czarnych istnień. To walka ludzi. Głupich ludzi, którzy muszą radzić sobie sami - mruknął. - Wracaj do swych wojsk. Ruszam na spotkanie.

- Sam?

- Z Selistis. Nie dowodzi żadnymi wojskami, a i ty, i inni spokojniejsi będziecie, gdy wezmę ją ze sobą. W końcu z nią nic mi się nie stanie, prawda? - Wymownym spojrzeniem podkreślił te bardzo ważne, mój panie, słowa.

Lord Apartacz zawahał się na chwilę, nie będąc w stanie ocenić, czy król mówi szczerze. Przytaknął w końcu, po czym wsiadł na konia i ruszył ku konnicy.

Selistis podeszła do Leoharla, bez słowa szykując się do drogi. Była w tych ostatnich zdarzeniach zaskakująco spokojna. Prawie jakby jej nie było. Mimo tego Leoharl cieszył się z jej obecności. Może nawet wolał ją taką cichą i spokojną, stąd starał się nie wpływać na zmianę jej nastroju.

Baark tymczasem wyłazi w końcu ze swego namiotu, wprawiając w osłupienie wszystkich, co zatrzymali na nim swój wzrok. Wszystkich, bez wyjątku. Stał bowiem w pełnej krasie, w swej na blask wypolerowanej zbroi, z dwoma mieczami u pasa i tarczą na plecach, podpierając się w boki. No i najważniejsze: na swej głowie prezentował piękne, lśniące złote włosy.

- Jemu co? - spytał Leoharl Kapitana, co z uśmiechem obserwował młodzieńca.

- Jeszcze się nie domyśliłeś, panie ? To dla Katii.

- Przecież jej tu nie ma.

- Miłość nie zna granic. Gdy wygramy, z pewnością poleci do niej wprost z placu boju. Ach, czyż młodość nie jest wspaniała?

- Raczej głupia. To szmat drogi stąd. Trochę mu ta podróż zajmie - zauważyła Selistis.

Kapitan zaśmiał się pod nosem i skłoniwszy się tej dwójce, ruszył przed rząd pikinierów, którymi miał dowodzić. Tam też zaskoczył go jakiś głos z tłumy.

- Kapitanie! Kapitanie!

- O co chodzi ?

- Czy mogę wystąpić z szeregu?

- Wyłaż i mów prędko.

Wygramolił się zatem i przed Kapitanem stanął, a był to niemłody wojownik, więc trochę mu z tym zeszło. Zbliżony był wiekiem do Kapitana, więc gdy przez tłum w końcu się przebił i przed Kapitanem stanął, musiał nieco odsapnąć. Ale tylko nieco. Głowę w końcu podniósł i Kapitanowi prosto w oczy zajrzał.

- Mów, czy mnie poznajesz.

- Maciek, druhu! - Kapitan wytrzeszczył oczy. Rozczulił się nieco, widząc starego przyjaciela, i ścisnął go

mocno. Razem stali u boku króla Henryka Wspaniałego, razem byli przy nim do ostatniej chwili. W takim momencie znaleźć przyjaciela, co od lat nie dawał znaku życia, to naprawdę szczęście.

- Jak się tu znalazłeś?

- Przybyłem wraz z wojskami lorda Apartacza. Do tej pory byłem w armii Wielkopysznego.

- Tyle lat ? Toż to mnie już dawno z armii wyrzucili, bom nieco posiwiał. - Kapitan podrapał się po szyszaku, pod którym chował swoją łysinę.

- Fałszowałem dokumenty, gdy o to pytali. Każdy widzi przecie, że młodszy, niż piszą, nie ? - Maciek uśmiechnął się swoją bezzębną łysą czaszką.

- Ale co cię podkusiło, żeby iść do Wielkopysznego ?

- Los tak pokierował. Wiesz sam, jakie to były czasy. Nas, wciąż wiernych królowi, wyłapywano i siłą do armii wcielano. Tobie udało się uciec, ale mnie złapali. Nie sprzeciwiałem się. Przestało mi zależeć, pod którym rozkazem służyć będę. Szukałem tylko, kogo mógłbym wesprzeć w odnowie królestwa. Byłem nawet gotów stanąć za plecami Wielkopysznego. Później, gdy poznałem, że wcale takiego władcy bym nie chciał, było już za późno, by odejść.

- Cały czas pod lordem Apartaczem byłeś ?

- Cały. W szturmie na wasz zamek też udział brałem - pochwalił się z promiennym uśmiechem.

- A więc...

Kapitan spojrział na pikę w dłoni Maćka, a później na swoją glewię. Obrócił jej ostrze w dłoni, spoglądając na niewielki symbol wykuty w ostrzu.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo się uradowałem, gdy zobaczyłem tę glewię w twojej dłoni. Jeszcze bardziej, gdy zobaczyłem, kto nią teraz włada. Gdy pewien drągal z rąk mi ją wyrwał, już myślałem, że nigdy jej nie zobaczę.

- Więc stąd jedna glewia w stosie samych pik. - Kapitan posmutniał nieco. - Co z resztą?

Na twarzy Maćka też pojawiło się przygnębienie. Obaj wie dzieli, że spośród wszystkich gwardzistów króla pozostało bardzo

niewielu, a i z tych niewielu większość pisanego im wieku dożyła lub uciekła z ziemi królestwa.

- Trzymaj zatem. - Kapitan wyciągnął glewie przed siebie. - Jest twoja.

- Nie mogę odebrać ci oręza. Jesteś naszym kapitanem! Nie możesz stać z piką w dłoni!

- Trzymaj, mówię. Nie będę walczył nie swoją bronią, wiedząc, że za mną stoi jej właściciel. To prawie jak kradzież.

- Kto kogo okrada i jak mogę pomóc? - Selistis pojawiła się za nim znienacka.

Prawdę mówiąc, podeszła była zupełnie spokojnie, ale zaaferowany dyskusją Kapitan po prostu jej nie zauważył. Teraz natomiast, gdy tak nagle usłyszał jej głos, każdy włos na ciele mu się zjeżył. Poczul się jak Leoharl, co takie właśnie wtargnięcia znienacka kazał wcześniej rogiem uprzedzać.

- N-no nikt tutaj nikogo nie okrada. Tylko... pamiętasz, jak znalazłem tę glewie ?

- W stosie broni zebranej przez Irransatila wypatrzyłeś.

- Tak właśnie. Znalazłem jej właściciela.

- Maciek Serf, do usług, moja pani - zasalutował jej starzec.

- Hmm... Więc to jego? Zrugaleś go już, że w armii przeciwnika walczył?

- Nie zrugalem.

- To czuj się zrugany! - fuknęła na Maćka Selistis. Przytaknęła, zadowolona z tego zrugania, i sięgnęła pod poły swojego płaszczka, mocno tam za czymś grzebiąc. Grzebała chwilę całą, aż w końcu wyciągnęła z niej jakiś drzewiec.

- Halabarda? - spytał Maciek, patrząc na rzuconą na ziemię broń.

- Cicho! Było blisko - mruknęła, szukając dalej.

Po chwili obok halabardy rzuciła też dwie piki, aż w końcu, jako czwartą, rzuciła i glewie.

- Ha! Widzisz? - Triumfalnie zaprezentowała oręż jedną ręką, drugą grzebiąc dalej.

Tak i druga, i trzecia glevia na stosie wylądowała, nim Kapitan dał znak, że już starczy. Po prawdzie jedna by wystarczyła, ale Selistis postanowiła przywalić tymi glewiami pierwsze trzy nietrafione bronie. Tak, by honoru przed wojami nie stracić.

- No! Nikt mi tu bez właściwego oręża do walki nie będzie stawał. A ty - wskazała na Maćka palcem - idziesz do Galanta. Mamy jeszcze parę pułków wojów, którym brakuje przywódcy. Któryś dla ciebie wybierze.

Maciek drgnął lekko. Natychmiast zasalutował i odbierając swoją glevię z rąk Kapitana, ukłonił mu się raz jeszcze. Pospiesznie podążył za rozkazem. Pani w Czerni z kolei wróciła do Leoharla, szykując się, by pójść z nim na umówione miejsce spotkania.

Kapitan tymczasem z uśmiechem i nutką zazdrości patrzył na plecy kumpla, co tak łatwo się na promocję załapał. Podniósł jedną z leżących na stosie glevii i wyważył ją w dłoni. Była znakomita. Będzie się nią walczyło równie dobrze, jak tamtą. Prawdę mówiąc, cieszył się, że odnalazła swojego właściciela. Już od chwili, kiedy tamtą glevię znalazł, smucił się, że zgubiła tego, do kogo należała.

Z sentymentem spojrział na pozostający na ziemi mały stosik broni. Coś jednak z tymi istotami jest nie tak - z tym ich przedziwnym nawykiem do tworzenia nieposortowanych stosów.

* * *

Leoharl i Selistis stanęli pod drzewem na szczycie umówionego wzniesienia. Czekać na korowód księcia Szaroburego, przyglądali się wymarszowi ich wojsk. Leoharl ze spokojem i nieskrywanym szczęściem wciągnął w nozdrza ciepłe letnie powietrze. Zgodnie z obietnicą księcia Szaroburego przez czas rozmów jedynie wojska Wielkopysznego brały udział w walce. Leoharl

mógł nawet przez chwilę myśleć, że może jednak coś jeszcze da się w tej sytuacji wynegocjować. Niedane było mu jednak długo się tą myślą ludzi. Trzy odziane w czarne płaszcze postacie wdrapały się na wzniesienie z twarzami zakrytymi kapturami.

- Przyszedłeś? Jestem pod wrażeniem - rzucił stojący pośrodku mężczyzna, zdejmując kaptur z głowy.

- Zawsze jestem skory do rozmów o pokoju. - Leoharl wielce się nie dziwił, że w miejsce księcia Szaroburego zastał księcia Wielkopysznego. - Rozumiem, że złudnie na nie liczyłem?

- Myślałeś, że jak jednego z moich sojuszników zdołałeś omamić, to i drugi od razu się podda? - Nakazał ręką chowającym się u dołu wzniesienia żołnierzom, by wyszli z za drzew i krzaków.

- Raz ostatni proszę, byś sprawę zostawił i się poddał. Tą bitwą niczego nie zdołałeś.

- Nie muszę. Twoje życie wystarczy, by zakończyć całą tę farsę. Leoharl uśmiechnął się szeroko, widząc, jak niewiele księżę

Wielkopyszny pojmuje z sytuacji, w jakiej się znalazł. Z westchnieniem zdjął z głowy koronę. Zaprezentował Wielkopyszniemu i wojom, co przy nim stali, najszczerzy z uśmiechów, jaki miał w repertuarze. Odtąd bowiem już żadna korona nigdy nie będzie mu głowy przytłaczać.

- Teraz mogę ci ją oddać. - Rzucił koronę na trawę przed siebie. - Moje życie już nic dla tego ludu nie znaczy. Odegrałem swoją rolę. Teraz mogę już odejść.

- Poddajesz się bez walki ?

- Zgłupiałeś?! Za szansę przywalenia w ten kwadratowy łeb nawet życie bym oddał! - Leoharl dobył miecza.

- Twoja strata, głupcze. Teraz!

Na ten okrzyk przykryci płachtami maskującymi i trawą czterech łuczniczy wyskoczyli na Leoharla z dwóch stron. Wypatrzywszy ich wcześniej, król był już na ich atak przygotowany. Nim jeszcze stanęli i łuki napięli, do dwójki z jednej strony doskoczył i ciał jednego. Strzała drugiego otarła się o jego zbroję. Od tyłu

natomiast Selistis do pozostałej dwójki przyskoczyła, pozbawiając ich broni i na plecy rzucając.

- Miałaś mi nie pomagać! - krzyknął do niej z uśmiechem.

- W wojnie, mój drogi, w wojnie. Nie w walce. - Uśmiechnęła się porozumiewawczo.

W tym czasie wzniesienie poczęły otaczać rzędy pikinierów. Dwaj inni zeskoczyli z drzewa tylko po to, by w mig dostać od króla po łbie. Książę Wielkopyszny schował się za rzędem wojów.

- Chodź i walcz jak mężczyzna! - krzyknął na niego król.

- Wybacz, wolę tu posiedzieć.

- Tchórz - prychnął na niego Leoharl, sadząc szerokie kroki ze wzniesienia.

Bez trudu, jednym pchnięciem, powalił pierwszego woja, który idąc pod górę, próbował szarżującego w dół króla zatrzymać. Dwaj kolejni upadli od miecza, którym wymachiwał. Choć wielu wojów stało wokół niego, Wielkopyszny zaczął wątpić, czy pędzącego na niego króla ktokolwiek zdoła powstrzymać. Przedarł się już całkiem spory kawałek, ale i z boku, i z tyłu wciąż nowi nadbiegali.

Przed Leoharlem stał rząd i jeszcze dwóch wojów, nim o audiencję u księcia Wielkopysznego mógłby się ubiegać. Jeden z boku smagnął go mieczem o zbroję, a drugi zdołał nawet o udo zahaczyć. Leoharl skrzywił się, że ktoś zdołał go drasnąć, i wybił mu broń z dłoni. Drzewiec drugiego złapał między końcówki swojego miecza i sprawnie obrócił rękojeścią, pozbawiając pikę ostrza.

- Czy on tak serio ? - zapytał Wielkopyszny swoich dwóch najlepszych wojów, co ciałem go chronili gotowi do boju. - Toć nikt nie walczy w ten sposób.

- Nie walczy, panie, ale też nie znam takiego, co tak wprawnie jak on z tłumem sobie radzi - zauważył jeden z nich.

Z Selistis u boku, co temu czy owemu broń podkradała i następnych na ziemię przewracała czy w paszczę z pięści im przywalała, zrobili kolejny krok do przodu. Jakiś łucznik gdzieś całkiem

z tyłu dobrze przymierzył i w księcia by trafił, gdyby Selistis strzały w łocie nie schwyciła i nie odrzuciła do właściciela. Ten, drząc cały, rzucił się na ziemię, licząc, że zbłąkana strzała nie zdoła go trafić. Do walki z przeciwnikiem w ręce łapiącym strzały nie był psychicznie przygotowany.

Już tylko trzech wojów, w tym jeden z piką, przed Wielkopysznym zostało, za to tak gdzieś z dwudziestu wokoło.

- Jesteś głupi! - warknął na księcia król Leoharl. - Głupi jak but u lewej nogi! Tępy, ślepy i głuchy! Nawet słowa nie zrozumiałeś z tego, o czym tyle gadałem - z wyrzutem krzyczał poirytowany. - Ta twoja zasadzka, na twe własne nieszczęście, jest twoim ostatnim błędem. Twoje imię okryje się niesławą.

Wielkopyszny wzdrygnął się, słysząc te obelgi, a król, tnąc pikiniera w bok, zrobił krok naprzód.

- Nie zyskasz ni krztyny - dodał. - Nawet jeden woj z mojej armii nie przestanie walczyć. Nawet jeden miecz nie opadnie. Przeciwnie, z jeszcze większą siłą rzucą się na ciebie do walki. Zupełnie zignorowałeś przecież, gdy ci mówiłem: nie walczą dla mnie, a dla siebie.

Selistis złapała za pikę jednego z wojów. Od tyłu był on księcia zaszedł i w bok ugodził. W całym tym zamieszaniu nawet go nie dostrzegła, więc w porę nie zdążyła go broni pozbawić. Ściskając drzewiec w garści, złamała mu broń na dwoje. Było tych wojów cokolwiek za dużo jak na to jedno wzniesienie. Ogarniając wzrokiem rosnący wciąż szereg wojów wokół niej i Leoharla, wzniosła rękę przed siebie. Jednym gestem na wsze strony wojów rozmiotła.

Pchnięci siłą na plecy poupadali i potoczyli się po trawie. Selistis stanęła u boku króla i dłoń na jego ramieniu oparła. Wymieniając z nią szczerze spojrzenia, król Leoharl uśmiechnął się i przytaknął.

- Selistis, pokaż temu niedowiarkowi swoją potęgę. Pokaż, jak przeciw woli całego królestwa niewiele znaczy próżna żądza władzy jednego człowieka.

- Z przyjemnością.

Selistis uniosła dłoń ku niebu. Powoli, z wysiłkiem zaciskając palce dłoni w pięść, wprawiła ziemię w drżenie. Księżę Wielko-pyszny podparł się o swojego podwładnego. Opuściła rękę przed siebie, rozluźniając palce. Każdy z jej ruchów woje Wielkopysz-nego oglądali z narastającym przerażeniem. Skierowała dłoń na pole walki, rozczapierzając palce.

Ziemię przed wojskiem Wielkopysz-nego ogarnęła czerń. Z jej wnętrza słup nieprzeniknionego dymu począł powoli unosić się nad ziemią. Czarny jak popiół tuman kurzu zawisł w powietrzu, naznaczając idealny okrąg. W jego centrum, wśród ciągle drżącej ziemi, wyłonił się postument z klęczącą na nim na jednym kolanie postacią. Postać wstała, a dłonie nad głowę unosząc, wyniosła postument ku niebu. Rósł w oczach na taką wysokość, że niemożliwym się zdawało na szczyt jego wdrapać.

Wojska Wielkopysz-nego stanęły jak wryte. Te, które czerń zdołała ogarnąć, prędko zaczęły uciekać, gdzie pieprz rośnie. Popiół przerodził się we mgłę, a z mgły, jak pod jakimś rozkazem, stojące w rzędach owiane czernią istoty ruszyły na wrogą armię.

Terror uderzył na wojska Wielkopysz-nego, niszcząc formacje i rozrzucając wojów na wsze strony. Tych, którzy mieli więcej szczęścia i stali z boku, poraziła zaćma. Generałowie Wielkopysz-nego drżącym głosem nakazali utrzymać pozycje i walczyć, a wojska Leoharla pod komendą Kapitana, Baarka, Galanta i lorda Apartacza z okrzykiem biegły naprzód, bez obaw zanurzając się w chmury czerni.

Każdy, kto w tę czerń wkroczył, gdy wyszedł z niej z drugiej strony, smugę mgły ze sobą pociągnął. Nawet słońce nie było w stanie przebić się przez jej osnowy. Woje Wielkopysz-nego nie widzieli ciał, broni czy choćby kawałka zbroi wychodzących z tej czerni wrogów. Choć te opary powoli zaczęły się rozmywać, ukazując całkiem ludzkie ręce i nogi, przerażenie w oczach

drżących żołnierzy nie ustępowało, zamieniając wojów armii Leoharla w bestie.

W jednej chwili pole walki przeobraziło się w otchłań czerni, która bezustannie przemieniała rycerzy króla w owiane ciemnością bestie miażdżące szeregi wojsk Wielkopysznego.

- Nie... to nie może być prawda! - Książę Wielkopyszny nie był w stanie pojąć tego, co widzi. Przerażony, rzucił się do ucieczki.

Epilog

Jak powstaje legenda

- Tyle czerni, a niebo wciąż białe - burknął Leoharl.
- Wołałbyś, by padało ? - Selistis spojrzała w naćkane małymi zupełnie niegroźnymi chmurkami niebo.

- Tak by pasowało...

Leoharl, mając wreszcie chwilę spokoju, ułożył się pod drzewem. Zraniony w pojedynku bok wciąż bolał go niemiłosiernie, ale zdołał ten ból zignorować. Przez moment z fascynacją przyglądał się polu bitwy i pędzącym po nim mrocznym wojom. Było to widok, który zapierał dech w piersiach. Żołnierze wroga w popłochu opuszczali formacje, druzgotani przez pojedynczych wojów.

- Patrz, to Baark. - Pokazał palcem przed jeden z oddziałów, gdzie z czerni wystawał kawałek białej czupryny. - Walczy z tarczą, jak mu poradziłem. Zuch chłopak.

- Niezbyt strategicznie się w ten fryz zaopatrzył. Świeci się. Łatwiej go trafić - zauważyła Selistis.

- A tam Galant. - Wskazał rzędy wolno idących cieni. Wyróżniali się swym powolnym tempem. W zbrojach pewnie nie szło im się najlepiej.

- Straszy samym istnieniem - zaśmiała się Selistis. Leoharl podziwiał pośpiech, z jakim wroga armia zwiewała z wzniesienia przed rycerzami Galanta.

- Jest też i Apartacz, przed konnicą. - Selistis wskazała na wyciągnięty przed podłużną chmurę czerni miecz.

- Myślę, że można mu te lata pod Wielkopysznym wybaczyć. Spisał się dziś na medal - przyznał Leoharl.

- Kapitan też sobie nieźle radzi - dodała Selistis, z uznaniem patrząc, jak grupka rozkojarzonych wojów z mieczami i pikami nie może dać rady dwóm tylko walczącym bok w bok królewskim gwardzistom z glewiami.

Leoharl przymknął oczy, rozkoszując się przyjemnym słońcem świecącym na niego przez liście drzewa. Wsłuchiwał się w odległe okrzyki zagrzewające do walki i pobrzękiwania metalu o metal. Jakby się w nie tak wsłuchać, były całkiem przyjemne dla ucha.

Wpatrzył się w stworzony na polu walki postument, z którego już czerń zdołała opaść. Stojąca na nim postać raz po raz palcem wskazywała kolejne cele.

- Ten postument... czy to przypadkiem nie Sashi?

- Skąd wiedziałeś ?

- Przerost formy nad treścią - ocenił jak znawca. - Zamiast w górę Shan powinien iść w grubość. Wtedy miejsca zrobiłby na tyle, że sam mógłby stanąć przy niej, chroniąc ją swoim ciałem.

- Czasem najprostsze pomysły bywają najlepsze - przyznała Selistis.

Leoharl przytaknął, wygodniej się pod drzewem rozwalając.

- Ach... teraz wreszcie mogę odpocząć. Nawet nie wiesz, jaki po tym wszystkim jestem zmęczony - przyznał.

- Odpoczywaj - przytaknęła Selistis. - Jestem tu, by cię chronić.

Leoharl spojrział w twarz istoty, której zawdzięczał ten spokój. Nadszedł czas, by właściwie jej za to podziękować. Sięgnął do płatów zbroi na nogach i wyciągnął ze schowka między nimi kilka zwojów.

- Co to?

- To notatki mego pra-pra-pra-pra-pradziadka, Munmonmera drugiego.

- Tak bardzo pra?

- Tak bardzo.

Pani w Czerni obruszyła się, widząc, że Leoharl odwet na niej bierze za jej pierwsze kłamstwo z dziadkiem pradziadka o jedno „pra” młodszym niż ten jego Munmonmer.

- Skąd je wzięłaś ?

- Z moich rodzimych stron. Przekazywane są z pokolenia na pokolenie.

- Cały czas z nimi w spodniach chodziłaś?

- Skądże znowu. Pomięłyby się i zniszczyły. Zostawiłem je w domu, wraz z ojcem.

- No to skąd się tu wzięły?

- A to ciężko te góry w tę i z powrotem obejść ?

- Trochę ciężko.

- No, dobra. Nająłem do tego jednego z twoich podwładnych.

- To były te ich tajne rozkazy? - Selistis westchnęła. - Więc co z tymi notatkami?

- Wiesz, jaki ich tytuł?

- Niech zgadnę...

- „Selistis”. Ich tytuł to „Selistis” - ubiegł ją. - Mówią o potężnej istocie, co jest w stanie zrównać góry z ziemią i co mroczną armię ma pod swoją władzą. O tej, co ogniem paliła księstwa i głowy pozbawiała każdego, co stanął jej naprzeciw. A gdy już nikt żywy nie pozostał, co wierzył, że sprzeciwić się jej zdoła, porzuciła te ziemie, szukając kolejnych wyzwań.

- Głupie te notatki.

Leoharl uśmiechnął się do niej ciepło.

- Jesteś marnym kłamcą. - Selistis spuściła głowę. - Te zwoje mają tytuł „Wiedźma z Piekieł” i mówią o dziejach, które nigdy nie miały miejsca. Jedna z opowieści, które krążą o mnie od wieków. Jedna z gorszych, niech jeszcze zaznaczę.

- Więc nie można im wierzyć?
- ...Znikąd się nie wzięły - mruknęła.
- Nie wątpiłem, że mają w sobie ziarno prawdy. Wiedziałem o tym nawet, gdy przed łąty przeczytałem je po raz pierwszy. Jak myślisz, po co te góry przebyłem?

Selistis spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. Uśmiechnął się, bo rzadko udawało mu się czymś ją zaskoczyć.

* * *

Nawet nie wiesz, jak wiele różnych opowieści przez lata spędzone w moim małym mieście przeczytałem. Jedyne historie, w jakie wczytywał się mój ojciec, to heroiczne opowieści o rycerzach i legendarnych władcach, za których słowem podążały legiony. Księgi i zwoje, które sprowadzał, mówiły o konfliktach, co targaly całe nacje; o potyczkach, które pozwalały wygrywać wojny; o mężnych, chwalebnych bohaterach, których niezachwiany charakter prowadził do zwycięstwa. Zafascynowany ich treścią wczytywałem się w te historie, kształtując w sobie zapal równy takim właśnie bohaterom.

Z wiekiem zapal przekułem w rzemiosło, oddając się nauce sztuki walki, którą każdy rycerz musiał znać bardzo dokładnie. Wciąż czytałem, lecz po śmierci mojej matki zmienił się nieco charakter sprowadzanych przez ojca opowieści. Coraz częściej ginął w nich główny bohater. Czasem całkiem przypadkiem swój ród do upadku doprowadzał. Czasem całe królestwa. Prawdę mówiąc, gdybym nie wyruszył w drogę, chyba sam, jak ojciec, w depresję bym popadł. Dobrze się więc stało, że gdy nadszedł następny dzień moich urodzin, ojciec z lezką w oku w moje dłonie złożył dziedzictwo całego naszego rodu.

Był nim miecz, który targam za sobą, były księgi i szeregi zwojów. Doceniając rzemiosło, które za sprawą uwielbianych przez niego opowieści podjąłem, rozumiał, że i w te przez lata z rąk do rąk przekazywane historie naszego niegdyś wspaniałego rodu zagłębię się z przyjemnością. W duchu wierzył, że dzieło, którego

on nie zdołał na nowo podjąć, ja wypełnię. Odtworzę utraconą chwałę mojego rodu.

Ród Memów, choć niegdyś tak wspaniały, podzielił los wielu innych, które ciężkie czasy pozbawiły ziemi i jakiegokolwiek władzy. Zapomniani chowali się w miastach, szukając zawodu, który zdołałby zapewnić im utrzymanie. Choć moi rodzice pamiętali lata świetności ich rodu, ja nie miałem czego szlachcie zazdrościć. Myślę, że właśnie z tej zazdrości wyrosła fascynacja mojego ojca. Tego, co utracił, szukał w opowieściach, by móc sobie wyobrazić, jak żyli jego i moi przodkowie.

Przeczytałem te zwoje. Tak okrutne historie o wiedźmach i demonach za nic nie chciały zgodzić się z moim ograniczonym pojmowaniem świata. Jednocześnie były względem innych przeczytanych przeze mnie historii tak odmienne, że w kartach ksiąg i treści zwojów zaczytywałem się dniami i nocami. Z bólem przebijałem się przez zawile strofy starego języka tych kronik. Szukałem w tych słowach prawdy, nie umiając jeszcze rozpoznać, co było w nich zmyślane.

Tej sztuki musiałem nauczyć się z czasem. Tak już bywa, żejak autor dobry, prócz słów opowieści bezwiednie zapisuje też to, co czuje, gdy te słowa pisze. Czytałem, jak mój przodek o najstraszliwszej z wiedźm tego świata legendę spisuje. Czytałem, jak wielkim była potworem i jak wszystko wokół niej płonęło pod samym jej wzrokiem. Suche, puste, pozbawione emocji zdania. Brzmiały trochęjak niewyszukane kłamstwa. Opisy całkowicie się zmieniają, gdy autor opowieści sam przed wiedźmą stawał. Każde zdanie, w którym ją opisywał, przepelnione było gestami, sarkastycznymi uśmiechami, chronicznymi westchnieniami i zmianami nastrojów. Były to dwa zupełnie odmienne nastroje opowieści. Jak mówisz, słowa znikąd się nie biorą. Te zwoje nie mówiły o nieistniejącej przerażającej wiedźmie z piekieł. Mówiły o kimś, kto istniał naprawdę.

W swej najstarszej opowieści mój przodek opisał, jak niszcząc wszelki opór na tych ziemiach, zostawiłaś je w jego rękach, by mógł od podstaw zbudować na nich swoje królestwo. Zrozumiałem wtedy,

że choć dałaś mu tak wiele, on nie miał jak ci się za to odwdzięczyć. Nie mógł dać ci niczego, czego sama nie mogłabyś zdobyć. Zrobił zatem jedyne, co było w jego mocy. Unieśmiertelnił cię w swojej opowieści. Przepisywane przez dziesiątki rąk zwoje z czasem zachowały jedynie wypaczony obraz niezwykle okrutnej, przerażającej bestii. Nie dałem się tym słowom omamić. Przeniknąłem przez ten opis i zrozumiałem, co naprawdę kryje się w tej opowieści. Selistis. Taka, jaką - dziś wiem to już na pewno - istniała naprawdę. To przez te opowieści opuściłem moje małe miasteczko. Bodaj bym szczęśliwie, naprawdę nie wiem, ile tych gór było, ale w końcu przez nie przeszedłem. Wróciłem na moje rodzime ziemie. Nie mogłem być pewien, czy kiedykolwiek cię tu odnajdę, ale wiedziałem, że zostając w nieznanym nikomu dziurze zabitej dechami, nie miałbym na to żadnych szans. Musiałem zrobić krok w twoją stronę.

Gdy poznałem losy tego rozbitego królestwa, odnalazłem prawdziwy cel mojej wędrówki. Postanowiłem, że odtworzę to, co na kartach tych zwojów nakreślił mój przodek. Jak ty przedtem, tak terazja w twoim imieniu zjednoczę te ziemie. W ten sposób odtworzę twoją legendę. Byłem pewien, że gdy rozpoznasz moje dzieło, gdy usłyszysz -gdzieś, kiedyś - moje imię, sama wrócisz i mnie odnajdziesz. Ta istota, której duszę zamknął w zwojach mój przodek, właśnie tak by zrobiła. Wierzyłem, że przez lata nie zmienisz się ani trochę.

* * *

- To wiele tłumaczy - mruknęła Selistis. - Z tych ksiązek wyciągnęłaś heroiczne mowy, bohaterskie ideały i kompletną ignorancję sztuki dyplomacji.

- O, tak. Nic się nie zmieniłaś - burknął Leoharl.

- Przybyło mi parę zmarszczek na czole. - Selistis obróciła głowę zawstydzona.

Leoharl, wiedząc dobrze, że żadnego śladu upływu czasu na jej twarzy nie da się odnaleźć, mógł ten gest skomentować tylko tłumionym śmiechem.

- Mógłbym wierzyć, że mój przodek cię zmyślił, ale wolałem sam się o tym przekonać - mówił dalej. - Wolałem sam spróbować cię odnaleźć. Chciałem znaleźć to ziarno prawdy, co w tej historii, jak w każdej, musiało być przecież ukryte.

- Dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziałeś ?

- Cóż... niełatwo to wyjaśnić.

- Spróbuj. - Spojrzała na niego stanowczo.

Westchnął, odczytując z wyrazu jej twarzy, że mu nie popuści.

- Wiesz, od naszego spotkania w karczmie poznałem wielu twoich podwładnych. Choć sama o sobie nie byłaś gotowa szepnąć nawet słowem, od nich udało mi się wyciągnąć trochę informacji. Trochę też mi Kapitan opowiedział, trochę Katia.

- Gaduły! - Selistis burknęła niezadowolona.

- Wiem, na przykład, że bardzo często udajesz kogoś innego, niż jesteś naprawdę. Kogoś zdecydowanie bardziej dorosłego.

Selistis posmutniała. Chyba nie chciała jednak słuchać tych wyjaśnień.

- Szybko zrozumiałem, że gdy opowiem ci wszystko, co wiem, nie ukazesz mi się taką, jaką jesteś naprawdę - dodał.

- Tak bardzo chciałeś mnie poznać?

- Czy nie po to po górach łąziłem?

- Już raz mnie spotkałeś i wcale tak miło tego nie wspominasz - westchnęła Selistis.

- Spotkałem?

- Ta opowieść, którą przeczytałeś... to twoja opowieść, Leo.

- M-moja?

- Nie ty ją spisałeś i nie tymi słowami ją opowiadałeś, ale to ty nadałeś jej treść.

Leoharl powrócił do swojego pierwotnego stanu wiecznego zdziwienia. Jak widać i on od początku tej opowieści wiele się nie zmienił. Minął moment, nim zdołał wreszcie koncept w głowie odnaleźć i uraczyć Selistis swoim sztampowym tekstem:

- ...Ze co?

Selistis uśmiechnęła się, robiąc w głowie porównanie jego twarzy z tą, która nie tak znów dawno przed karczmą, tkwiąc w błocie, po raz pierwszy swoje „że co?” pytała. Usiadła pod drzewem i oparła bok o bok Leoharla. Zamknęła oczy z ciepłym uśmiechem. Była to twarz, której nikomu innemu wcześniej nie pokazała. Nawet jemu. Pierwszy raz zebrała się na to, by i jemu ją pokazać.

- Jak człowiek, który żyje już zbyt długo, z czasem ze świata odchodzi, tak z czasem i na świat przychodzi pora, by odszedł. Gdy ostatnia z gwiazd spadnie, księżyc zniknie, a słońce zgaśnie, zmęczony świat zapadnie w długi, bardzo długi sen. Właśnie w taki, w jaki zapada każde istnienie, gdy nadejdzie już jego pora.

Ale świat jest tak wspaniały, że życie jego nigdy do końca nie gaśnie. Gdy zaśnie, z czasem znów otworzy oczy i na nowo zapełni swe ziemie nowymi istnieniami. Tak już oczy zamykał i otwierał wiele razy. Przed tym światem, w którym żyłeś, był poprzedni, a po nim nastąpi kolejny.

Światy te są tak bardzo do siebie podobne, że często odróżnić je nie sposób. W każdym nowym każdy człowiek, co żył wcześniej, jeśli tylko dane mu będzie narodzić się na nowo, odnajdzie swoje nowe miejsce. Ty też, Leoharlu, jeśli zdołasz, będziesz po nim chodził. Nawet jeśli tym razem zamiast woja, co za mrzonką przez góry wędruje, pozostaniesz w mieście, przejmując po swym ojcu zawód piwowara i własną karczmą rozporządzając.

- Nie kręcisz ?

- Nie kręcę.

- Nie kręcisz z tą karczmą? Bo jak co, to ja bardzo chętnie...

- Och, nie przeszkadzaj! - Pacnęła go w głowę.

Choć już pewnie nie muszę, dla porządku jednak zaznaczę, że nie o takie pacnięcie chodzi, jakie po usłyszeniu całej tej opowieści w pierwszej kolejności przychodzi na myśl. Chodziło o to całkiem zwyczajne pacnięcie, co wcale nikogo nie pozbawia przytomności.

- Skąd możesz wiedzieć o zasypiającym i budzącym się świecie ?

- Jakbyś trochę pomyślał, nie musiałbyś pytać - westchnęła. - Jestem jednym z bardzo niewielu istnień, które poznały, jak przetrwać sen świata. Patrzę, gdy poprzedni odchodzi i gdy nowy otwiera oczy. Widziałam twoje życie i patrzyłam, jak odchodzisz, równie wiele razy, jak ty w jednej znanej nam karczmie zaliczyłeś zgonów.

- To wiele.

- Ma się rozumieć - dumnie oznajmiła.

- Selistis... jesteś naprawdę niesamowita.

- Ha, ha! Jestem ponad wszystkie światy! Jestem najwspanialsza w całym...

- Dobra, dobra, starczy - przygasił jej entuzjizm.

Selistis uśmiechnęła się, zamykając gębę. Król zachłysnął się powietrzem i odkasłał. Bok wciąż mu po tym boju dokuczał.

- Powiedz, jakim cudem oddałaś się we władzę takiemu... istnieniu... jak ja? - zapytał, używając słowa, jakim ona określała i ludzi, i siebie, i jej sługi. Zrozumiał już przecież, że tym słowem chce wyraźnie dać znać ludziom, że istnienie niekoniecznie musi być człowiekiem.

- Sam mnie sobie podporządkowałeś - rzuciła, jakby od niechcienia.

- Czym? Batem?

- Obyło się bez niego - mruknęła. - Wystarczyło, że spojrzaleś na mnie tak, jak należało. Wystarczyło, że potraktowałeś mnie jak dziecko.

* * *

Za tych starych czasów, gdy Centra kojarzyła się tylko z trwogą i płaczem, nikt nie był w stanie zrozumieć, co dawało jej tę potęgę. Skąd brały się tak posłuszne, a jednocześnie tak potężne przeciw istnienia? Jak zmusiła je do posłuszeństwa? Rządziła światem, nie wiedząc nawet, jak władza powinna wyglądać. To przecież jedna z wielu rzeczy, której musiała nauczyć się od zera.

Trzymała umysły swych istnień na krawędzi, na której nie mogły sprzeciwić się jej rozkazom, a na której jednocześnie wciąż w pewnym względzie były zdolne do samodzielności. Nie zabraniała im myśleć i podejmować decyzji. Mogły bez jej nadzoru realizować jej cele. Nie istnieje Wiedźma z Piekieł. Ta, o której piszą w zwojach, to mała nieokrzesa dziewczynka, która nie umiała powiedzieć swej matce, że nie chce już krzywdzić innych dzieci.

Rozkazy były dla nas tylko niewinną zabawą. Śmiałyśmy się i skakaliśmy, zliczając, kto szybciej i więcej głów innych dzieci pozbawi. Nikt nie mówił, co naprawdę to wszystko znaczy. Ludzi postrzegaliśmy tak, jak i oni nas postrzegali - jak bezkształtne cienie spowite obłokiem czerni. Nikt nie płacze, gdy znika jakiś obłok czerni. Ba, nam, stworzonym przez Centrę istnieniom, niedane było nawet wiedzieć, co znaczy płakać.

- Co tu robisz? - spytałeś.

- Przyszłam się pobawić!

- Durnia ze mnie robisz?

- Ależ skąd! Stój spokojnie, zaraz sam zobaczysz!

- Nie przyszło ci do głowy, że nie chcę się z tobą bawić?

- Dlaczego?

- Muszę mieć jakiś powód?

Tak mniej więcej zaczęła się nasza pierwsza rozmowa. Byłeś pierwszym, który wyzwał mnie od smarkuli i pierwszym, na którego poważnie się obraziłam. To silne emocje jak dla dziecka, nie uważasz? Obrazić się, poczuć żal, że ktoś cię obraża. Zostawiłeś po sobie całkiem nieprzyjemne wspomnienie. A jednak w twoich słowach i twoich pytaniach było coś dziwnego, co ciągnęło mnie do ciebie za każdym razem, gdy Centra wyznaczała cię jako cel naszej gry. Coś musiało być w twoim charakterze, bo od razu cię polubiłam.

Widywałyśmy się wiele razy. Może nigdy nic by się nie stało, gdyby za każdym razem wyznaczała do ciebie inne istnienie. Sęk w tym, że tylkoja miałam tyle mocy, by sobie z tobą i twoimi podwładnymi poradzić. Grę z tobą wygrywałam za każdym razem.

Tak, bezwiednie, Centra popełniła błąd, dając ci możliwość wpłynięcia na jedno z jej istnień. Im dłuższe prowadziliśmy dyskusje, tym więcej miałaś czasu, by wymyślić na mnie jakiś sposób. Nawet jeśli przy kolejnym spotkaniu już o poprzednim nie pamiętałaś, przypominałam ci o nim, przytaczając nasze rozmowy. Jak tak na to spojrzeć, sama byłam sobie winna, że w końcu i ty, jak Centra, podstępem mnie sobie podporządkowałaś.

- Nie jestem dzieckiem - rzuciłaś pewnego razu.

- Nie jesteś?

- A widzisz, żebym był jakimś małym biegającym bachorem?

- Co wzrost ma do tego?

- Ma wiele! Widziałaś inne dzieci?

- Patrzę na jedno teraz.

- Nie patrzysz, do jasnej! Nie jestem dzieckiem!

- Tak mówisz? Niby czym się różnisz od dzieci?

Jedną z najtrudniejszych rzeczy, jaką dziecku jest wytłumaczyć, to pojęcie fałszu. Pokazanie, że wiedza, którą dziecko poznało już wcześniej, tak naprawdę może nie być prawdą. Dla istnień Centry każde żywe istnienie było dzieckiem. Istotą, która razem z nimi gotowa była się bawić. Była tylko jedna dorosła na świecie - Centra. A jak wiedzą wszystkie dzieci, dorosłych trzeba zawsze i bezwarunkowo słuchać.

Żadne z nas nie umiało spytać, co się dzieje z dziećmi, które przegrały grę. Nikt nie zwracał na to uwagi. Przybrana matka kazała nam myśleć, że zmieniają grę igrają w zupełnie co innego. Przeróżające, jak przy użyciu kilku kłamstw dorośli mogą manipulować dziećmi. Gdy w końcu to zrozumiałam, pojęłam, jak potężne są więzy, którymi trzymała nas Centra.

- Przepraszam, ale muszę już iść.

- Dlaczego?

- Bo Centra tak każe.

- Więc co, zamierzasz mnie zabić i odejść?

- Mhm. Piętnaście punktów dla mnie.

- Nie możesz mnie tu zostawić?
- Dać punkty komu innemu? Wżyciu!
- Tak bardzo zależy ci na tych punktach.
- Nie chcę rozgniewać Centry.
- Bez obaw, Centra cię nie ukarze.
- Kłamiesz! Już nieraz widziałam, jak karze inne dzieci!
- Ciebie nie byłaby w stanie zranić.
- Nie wierzę!
- A chcesz się ze mną założyć?

Oczywiście kłamałeś, ale prawda nikogo już teraz nie obchodzi. Najsprytniejsze w twoim zakładzie było to, że by go wygrać, musiałam się Centrze przeciwstawić. Znalazłeś sposób, bym sama zaczęła cię przed nią bronić. Gdy przysłała po ciebie i po mnie kolejne swoje istnienia, broniłam cię, by dokończyć zakład. Musiałeś przetrwać, byś mógł mi dać nagrodę za wygraną. Jak Centra, tak i ty mnie wykorzystałeś.

Stałeś się moim władcą, choć sama o tym nie wiedziałam. Tym jednym zdarzeniem zapoczątkowałeś upadek Centry. Pierwszy świat, który otwierając swe oczy, zmienił wszystkie następne. Twój lud, pod twoim panowaniem i z moją nieświadomą pomocą, nauczył się walczyć z Centrą. Rozmawiałeś ze mną jak z każdym innym dzieckiem, ucząc się, jak myśleć i jak formułować zdania, by wykorzystać mnie i moją wiedzę. Nieświadomie działałam się z tobą swoją wiedzą. Wykorzystałeś największą ze słabości pomysłu Centry. W końcu każdy dorosły potrafi zawładnąć umysłem dziecka, jeśli tylko dać mu na to szansę. Jej schyłkiem była właśnie ta szansa.

Aż do twojej śmierci nie rozumiałam konsekwencji naszego zakładu. Dopiero tuż przed nią odwdzińczyłeś mi się za całą pomoc, którą ci dałam, przepraszając za wszystkie kłamstwa, którymi mnie karmiłeś. Powiedziałeś wtedy słowa, które wzbudziły we mnie pierwszą zmianę: Wiesz, co różni dorosłego od dziecka? -spytałeś. - Dorośli doskonale umieją kłamać.

Tak pokazałeś w końcu, że nie byłeś dzieckiem. Tak sprawiłeś, że zaczęłam podawać w wątpliwość słowa jedyne innego dorosłego, jakiego znałam - Centry. Przegrałeś zakład, bo krzywda, jaką wyraziła mi Centra, odcisnęła we mnie piętno, którego nie zdoła zmasać nieskończona liczba narodzin i snów świata. A jednak gdyby nie ten zakład, być może do dziś wciąż byłabym dzieckiem.

W końcu sama Centra z konieczności musiała się zmienić. Zrozumiała, że na umysłach dzieci nie może polegać. Nie może też obdarzać pojedynczych istnień tak wielką mocą, jak zrobiła to w moim przypadku. Dwie solidne lekcje, które każdy z pewnością pojąłby znacznie wcześniej. Taka już niestety była i jest natura Centry. Jedyne sposoby, w jakie potrafi się uczyć, to próbując i popełniając błędy. Te dwa błędy, jak tysiące innych wcześniej i setki tysięcy po nich, też musiała popełnić. Odtąd w jej szeregach prócz dziecięcych umysłów znaleźli się też młodzieńcy i istoty bliskie dorosłości, podzielone względem mocy i odpowiedzialności na czarnych, szarych i białych. Wyciągając wnioski z drugiej lekcji, już nigdy nikogo nie obdarzyła tak wielką mocą, jak moja. Ale mojej mocy nie zdołała mi w pełni odebrać.

** * **

- Hej, ty mi tu nie zasypiaj. - Selistis trąciła policzek Leoharla palcem.

- Mmm... ale tak mi przyjemnie...

Odsunęła się trochę, by osunął się na nią, niewygodnie wykrzywiając kark.

- Wredna! - burknął. - Nie mówiłem, że jestem trochę zmęczony ?

Wyciągnęła z pół płaszcza poduszkę i kładąc ją na swoich udach, pchnęła go za głowę, by upadł w odpowiednią stronę.

- Ala - wymamrotał przez poduszkę.

- Wiesz, jak się to wszystko skończy?

- Katia zasiądzie na tronie z Baarkiem u jej boku. - Leoharl przekreślił twarz, by mógł mówić normalnie.

- A dalej?

- Nic bardziej nie jednoczy kraju niż dramatyczny opór i walka do samego końca. To siła, która tłąc się w sercu, jednoczy i przez lata pozostaje niezwyciężona. To królestwo już nigdy nie będzie w niezgodzie.

Leoharl spojrział na obalające chorągwie wroga cienie.

- Niestety, spokój nie będzie wiecznym - westchnęła Selis-tis. - Za stulecie czy dwa nadejdzie nowa wojna. Świat już tak jest ułożony, że człowiek będzie po kres czasu bił się z drugim człowiekiem.

- A wszystko, by ustalić kolejność siadania przy stole. Selistis uśmiechnęła się, że Leoharl czyta jej w myślach.

- Wiesz co ? Jak już ten świat umrze, weź przyucz nieco ten następny, by tak tępy nie był - zaproponował.

Selistis pogładziła go po głowie w odpowiedzi na tak dziecinną prośbę. Gdyby świat mógł ludziom cokolwiek powiedzieć, już dawno by to zrobił. Niestety, jak większość tego typu problemów, nie da się ich rozwiązać jednym prostym słowem.

- Niech się biją. - Machnęła ręką. - Gdy już nawet światu nie będzie się chciało na nowo odradzać, zastąpię go nowym. Takim, w którym miejsce dostaną tylko te istnienia, które na bicie się między sobą nie będą miały ochoty.

- A ty staniesz na ich czele.

- Widzę, że łapiesz. - Urażyła go ciepłym uśmiechem.

- Świat stworzysz, powiadasz ?

- Wątpisz, że potrafię? - Selistis rozgorzały oczy, gotowe do nowego zakładu.

- Nie wątpię. - Leoharl szybko rozwiał jej nadzieje.

- Choć twoja opowieść tu właśnie się kończy, moja dopiero ma się rozpocząć.

Leoharl uśmiechnął się i zamknął oczy, zbierając się na drzemkę.

- Twój świat... nie będzie w nim żadnych wojen? - spytał zaspanym głosem.

- A pewnie! Raj w każdym kącie! Nikt nikomu do gardła nie skoczy. Zobaczysz!

Leoharl chciał ją skarcić za ten dziecinny pomysł, ale zrezygnował. Przecież każdy powinien móc sobie pozwolić, by na moment stać się znów dzieckiem.

- Wiesz co, Selistis ? Tak myślę i myślę, i... nie chcę nic więcej. Chcę, byś nadal o mnie pamiętała, byś odnalazła mnie w każdym nowym świecie i bym nigdy cię nie zapomniał, jak od zawsze o tobie pamiętałem. Niech nic się nie zmieni.

Czasem człowiek musi właśnie to sobie powiedzieć: jestem tu, gdzie stoję, i nie chcę iść nigdzie indziej. Niczego więcej nie potrzebuję. To ważne, by człowiek zrozumiał, że takie chwile w ogóle mogą nastąpić. Może wtedy pojmie, że wcale nie musi zawsze sięgać po więcej.

Patrzyli, jak czarne legiony ścigają rycerzy, rzucając ich na ziemię. Jak ściągają żołnierzy z koni i jak łamią łuki na dwoje. Patrzyli, jak jedna bitwa kończy całą wojnę. Król Leoharl ze smutkiem wzdychał na wspomnienie przegranego zakładu. Do końca wierzył, że ludzka wola zapewni mu zwycięstwo bez walki. Nie martwił się jednak zbyt długo. W końcu dobrze wiedział, podobnie jak ten Leoharl z opowieści Selistis, że czasem trzeba taki zakład przegrać, by zyskać coś znacznie wspanialszego.

Tytułem zakończenia

Jak wprawnie nie domknąć szkatułki

Starzec, co przy ławie siedział, snując całą tę opowieść, z westchnieniem wypił ostatnią kroplę piwa. Ciżba ucichła. Nawet energiczna dama siedząca trochę z dala popadła w zadumę. Nikt nie musiał słuchać o dalszych zdarzeniach. Znali je całkiem dobrze. W końcu trzeba przyznać, że historia przez niego opowiadana wielce dawną nie była. Z pewnością każdy ze zgromadzonych w karczmie patronów niejedną plotkę o królu Leoharlu na własne uszy usłyszał z ust tego czy innego starca. Niejeden też, z tych, co w bitwie udział brali, z dumą zdołałby opowiedzieć cały jej przebieg. Ale każdy milczał lub szeptem wypowiadał ostatnie słowa zapisane na kartach historii. Być może zatem dobrze się stało, że starzec zakończył opowieść, tych zdań nie wypowiadając.

Starzec, choć sam zmartwiony smutnym wspomnieniem, uśmiechnął się, widząc, że opowieść wywarła odpowiednie wrażenie.

- I jak, mój panie, czy wiesz już teraz, skąd się zamki biorą?

- Ano...

Podróżny o zamku, co wyrósł z ziemi, już dawno zdołał zapomnieć. To opis tej ostatniej bitwy przysparzał mu zmarszczek na czole. Była to część historii, którą sam znał dobrze. Tyle że w zupełnie innej wersji.

- Powiedz, czy pamiętam dobrze, że w tej bitwie zginął król Leoharl? Starzec zmarszczył czoło. Spodziewał się, że jednak o to spyta. A przecież to właśnie była ta część historii, której wcale nie chciał opowiadać.

- Tak zapisano w księgach - odparł stanowczo. - Tak zeznali woje i sam książę Wielkopyszny, że śmiertelną ranę Leoharl otrzymał i że w boju poległ. Dowodem w tej sprawie miała być korona, którą Wielkopyszny na wzniesieniu odnalazł. Czy to prawda, że król zginął, nikt ci nie odpowie. Nikt nie widział jego śmierci, nie odnalazł ciała. Rola Leoharla z góry zakładała, że odejdzie, by jego następca mógł włożyć na głowę koronę nie-obciążoną piętnem jego legendy. Właśnie tak miał odejść: jako żywa legenda. Jak tu stoję, tylko tak opowieść zakończyć mogę, jak zakończyłem - oznajmił stanowczym tonem. - Widziałem ich z oddali, jak siedzieli przy drzewie na wzniesieniu, gdzie widziano ich po raz ostatni. Stamtąd Selistis mogła króla wziąć pod ramię i unieść go w przestworza, odlatując gdzieś całkiem daleko. To, że nigdy do królestwa nie wrócili, nie oznacza, że Leoharl zginął w walce.

- Hmm... - sapnął podróżny wgapiony w uchylane przez starca wieko prawie że całkiem domkniętej już szkatułki. Najwyraźniej starzec ów nie wybaczyłby sobie, gdyby ktoś do końca ją zamknął. - Zacna to opowieść, oj zacna - przyznał w końcu podróżny, opróżniając swój kufel. - Szkoda, że nie mogłem jej usłyszeć z ust samego króla Leoharla.

- Nie umiał opowiadać - zbył go starzec. - Wyolbrzymiał i przekręcał fakty.

- Ach, tak? Trudno. Szkoda, że tej pani w czarnym płaszczu, o której tyle się rozpowiadasz, też na oczy już nie zobaczę.

- Nie zobaczysz - przyznał ze smutkiem starzec. - Nie miałyby już do czego tutaj wracać.

Podróżny westchnął zawiedziony. Starzec zmarszczył czoło.

Też sam z chęcią jeszcze raz zobaczyłby tę dwójkę. Z tej tęsknoty nieraz prawie by się popłakał, ale wiedział, że tak miało zostać. Król poległ w zasadzce, w którą sam się zapędził - zapisano. Wszystko po to, by do końca wypełnić swoją funkcję.

Król, co przez życie szedł zawsze z tą samą postawą, która tak bliska była sercu starca: oddać życie za pokój ludu tego kraju. Walczyć w ich obronie i umrzeć, jeśli tak mu przyjdzie. Jemu, starcowi, nie było to dane. Za uzyskanie tego pokoju potrzebne było położenie głowy przez króla.

Starzec otarł łzę z policzka. Jednak nie mógł się powstrzymać. Starzał się, by nikt tego nie zauważył. Przydałoby się coś, co odwróciłoby od niego uwagę.

Wtem, jak na komendę, za oknem rozdarł się przeraźliwy jęk. Ale to tak przeraźliwy, że mocno po uszach dawał. Jękowi owemu towarzyszyła też pewna melodia, co to fałszywą jej nazwać nie można. Nie można, bo też nazwanie tego w ogóle melodią to znaczna przesada.

- Och, to już tak późno ? - Energiczna pani otrząsnęła się z zamyslenia, wyglądając za okno. - Dzięki za opowieść. - Ukłoniła się staruszkowi i pospiesznie wyszła z karczmy.

W zmęczonych oczach spokojnie popijających piwo patronów karczmy pojawiło się zwątpienie. Znali bowiem ten jazgot bardzo dobrze. Karczmarz wyuczonym krokiem ruszył pozamykać wszystkie okna. Jedyne sposoby, by hałas nieco ograniczyć.

- Cóż, na mnie będzie już pora. Słońce wszędzie niebawem, a przede mną jeszcze daleka droga - sapnął podróżny.

Nie bardzo wiadomo, czy to sprawa tego zawodzenia, czy faktycznie musiał się zbierać. Pewnie musiał, w końcu rzadko kto planował przy opowieści w karczmie spędzić całe popołudnie i wieczór, aż do późnej nocy.

- Cieszę się, panie, że wysłuchałeś mojej opowieści. Zajrzyj innym razem, opowiem ci kolejną.

- Mmm... zobaczymy, gdzie mnie droga zawiedzie - oznajmił

wędrowiec. - Rad byłbym posłuchać. Masz do tych opowieści talent. Starzec ukłonił się i odprowadził wędrowca wzrokiem do drzwi. Gdy te się rozwarły, wewnątrz wyciszonej już trochę karczmy wypełniły zdwojone jęki i jazgoty z zewnątrz. Pijące piwo towarzystwo przymrużyło z wysiłku oczy. Jazgot był tak głośny, że siadał im na wzrok.

Odetchnęli z ulgą, gdy drzwi się zawarły.

- Z każdym dniem coraz gorzej - przyznał jeden ze stałych bywalców.
- Poczekaj, aż zaczną się serenady - dopowiedział drugi z rezygnacją.
- No ale dlaczego zaczyna on wyć o tak późnej porze ?
- Zdradził mi kiedyś, że wynalazł, że to pora, o której wszyscy z karczmy wychodzą. Tak podobno ma większe szanse jakiś grosz zarobić.

- Nikt go nie uświadomił, że przez niego wychodzą?

- Tak wyszło.

Wymienili między sobą zafrasowane spojrzenia.

- Cóż, piękna opowieść, mój panie - rzucił jeszcze ktoś z samego rogu karczmy. - Szkoda tylko, że niewielu gotowych jest w nią uwierzyć.

Starzec obejrzał się, a widząc, od kogo ten głos pochodzi, uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Irransatilu, mój druhu, co tutaj porabiasz? Nie słyszałem, żebyś wchodził.

Zza zacienionego stolika, z metalicznym pogłosem noszonej na barkach zbroi, powstał rycerz, co mienił się pokojownikiem. Hałas, jaki przy tym zrobił, usprawiedliwiał pytanie, jak zdołał się zakraść do karczmy po cichu.

- Byłeś zajęty opowieścią, więc ci nie przeszkadzałem. - Uśmiechnął się, wiele nie wyjaśniając. - Widzę, że nadal sprawujesz służbę na zamku?

- Ach, tak. - Starzec poklepał się w szyszak, przypominając sobie, że wciąż ma go na głowie.

- Przyszedłem, bo o czymś zapomniałem.

- O czym?

- Ano, zgubiłem gdzieś tutaj swój kościół...

Irransatil wyglądał na wyraźnie zmartwionego. Wlepione w niego oczy patronów karczmy zamaryły. Karczmarz niestrudzenie polerował kufel. Ktoś z tyłu odchrząknął.

- Cóż, widziałem go chyba tam, koło piekarni - przypomniał sobie starzec.

- Dzięki. To ja będę się zbierał. - Irransatil podziękował mechanicznie i prędko ruszył do drzwi, chcąc pozbyć się dziwnych spojrzeń zawieszonych na jego zbroi.

- Tylko po to przyszedłeś? - spytał jeszcze starzec.

- Prawdę mówiąc... - pokojownik zatrzymał się wpół kroku - miałem się dowiedzieć, jak się wam powodzi - wymamrotał. - Kościół był tylko pretekstem - przyznał szczerze.

- Powiedz, twój kontrakt z Leoharlem się skończył, mam rację ?

- Zgadza się. Miałem zamku bronić do czasu zjednoczenia królestwa.

- Całkiem odważnym było z twojej strony przyjąć kontrakt o tak niejasnym terminie zakończenia - zauważył starzec.

Pokojownik wzruszył ramionami.

- Kontrakt jak kontrakt - oznajmił. - Wolałem na niego przystać niż klócić się z pewną naburmuszoną osobistością, która go zapisała.

Starzec przytaknął z uśmiechem. Doskonale ten dylemat rozumiał. Sam też wolałby już na wszystko się zgodzić niż klócić się z Panią w Czerni.

- Lecę. Muszę jeszcze dorwać królową. Trochę mnie zaskoczyła, tak szybko wychodząc.

Wyszedł. Ci, co za ciągiem zdarzeń tej opowieści podążyc nie zdołali, dopiero teraz się zorientowali, że w obliczu królowej

siedzieli. Mieli jednak albo zbyt dużo wrażeń, by to przetrwać, albo po prostu zemdleli. Znaczący się, tylko część z nich tak naprawdę zemdlała z wrażenia. Bądźmy poważni. W końcu mówimy tu o karczmie późnego wieczora.

Tak. Ową energiczną panią, co wybiegła wcześniej w popłochu, była Katia, królowa tych ziem. Tak świeżo ukoronowana, że wielu wcale jej jeszcze jako królowej nie rozpoznaje. Zwłaszcza jeśli bez szat i korony po zamkowych knajpach chodzi. Od zmiany stanowiska z osobistego doradcy księcia na królową wcale tak bardzo się nie zmieniła. Spoważniała trochę, ale całkiem niewiele. Jest za to zdecydowanie bardziej zabiegana, bo też spraw znacznie więcej ma na głowie. Teraz dodaje rzędy kolumn odpowiedzialnych za całe królestwo, a nie za jedno czy dwa księstwa. Niektórym może to różnicy nie robi, bo kolumny kolumnami, ale na słowo uwierzyć trzeba, że czasu za wiele dla siebie nie miała. Nie miała, a mimo tego od czasu do czasu do karczmy przychodziła posłuchać opowieści starca.

Będąc wreszcie w pozycji, w której sam Terencjusz, który wciąż zarządzał Urwiskiem, był skłonny na jej prośby przystać, nawiązała z nim współpracę przy poszukiwaniach jej zaginionego ojca. Nie było między nim a Katią zadawnionej urazy. Królowa dobrze rozumiała jego rolę na jej ziemiach. Nie widziała powodu, dla którego miałaby Terencjusza pozbawić funkcji. Choć do dziś nic jeszcze o ojcu nie usłyszała, nie traciła nadziei, że znajdzie go całego i zdrowego.

Patrząc za wychodzącym z karczmy Irransatitem, starzec nawet nie zwracał już uwagi na zgiełk, jaki docierał do jego uszu przez otwarte drzwi. Nie obchodziło go też, że wykorzystując tę sytuację, całe stado chłopów wylazło na zewnątrz. To wszystko było mało ważne. Uradowało się jego serce na słowa pokojownika. Na myśl, że o nich nie zapomni. Wprawdzie odchodząc, nawet się nie pożegnała, ale przecież taką miała naturę.

Selistis. Pani w Czerni.

- Na ciebie też już czas, by iść do roboty, nie ? - zagadnął ktoś do starca.

- Powoli się zbieram mentalnie.

- No to obyś i tyłek zebrał z czasem - dokończył, ustawiając się przed drzwiami w pozie pozwalającej w szybki sposób uchylić drzwi, wyjść przez nie i zamknąć je od drugiej strony.

Zgiełk temu towarzyszący już nikogo nie wzruszył. Tak jak z natrętną muchą, co lata wkoło, a której nikomu nie chce się ganiać, dźwięk przestał aż tak bardzo przeszkadzać. Polata, polata, aż w końcu się człowiek do niej przyzwyczai. Albo butem zatłucze.

Starzec powstał wreszcie ze swojego siedzenia. W karczmie nie pozostał już nikt, kto byłby w stanie wysłuchać jakiegokolwiek opowieści. Zostali tylko chrapiący i ci wsłuchani w cudze chrapanie. Wstał zatem zmotywowany, by się jednak do roboty ruszyć. Jest w końcu gwardzistą. Ma odpowiedzialną robotę. Z tą myślą już gotów był ruszyć ku drzwiom, gdy dwa słowa zatrzymały go w drodze.

- Hej, Kapitanie.

Starzec przerażony odwrócił głowę. Karczmarz, co od wieków nie powiedział słowa, przemówił swoim głębokim, charyzmatycznym głosem. Tym, co swego czasu potyczki z prawnikami wygrywał.

- Możesz mi jedno powiedzieć? - spytał.

Starzec gapił się na karczmarza jak w malowidło. Próbował ustami ruszać, ale mówić wcale mu się nie udawało.

- Pytaj, druhu - zdołał w końcu odpowiedzieć, choć zdziwienie z jego twarzy nie schodziło.

- Jest jasne, których osób o różne części swojej opowieści wy-pytywałeś, ale... Ta ostatnia rozmowa Selistis z Leoharlem. Skąd mogłeś o niej wiedzieć ?

Kapitan usta zamknął. Ślinę przełknął, nieco wreszcie dochodząc do siebie po tym szoku, że karczmarz w końcu pierwsze

słowa od bardzo długiego czasu do niego powiedział. Wymacał palcami w kieszeni monetę. „Żołd, za służbę Leoharlowi” - z powagą oznajmiła Selistis przed bitwą pod Rejk, wręczając mu sakiewkę takich właśnie monet. Choć żadnej zapłaty z rąk Selistis się nie spodziewał, przyjął ją z wdzięcznością. Lśniącą złota moneta prezentowała dom, ogrodzenie i księżyc. „Schronienie” -pomyślał, wspominając łut szczęścia, który pozwolił mu własną stopę postawić w świecie Pani w Czerni.

- Musisz mi wybaczyć. - Uraczył karczmarza ciepłym uśmiechem, chowając monetę do kieszeni. - To tajemnica, której nie jestem gotów ci zdradzić.

Karczmarz przytaknął ze zrozumieniem.

- Masz może jeszcze jakąś opowieść? - spytał, wymieniając w rękach suchy kufel na nowy, jeszcze nie wysuszony.

- Mam - przytaknął starzec. - Mam ich wiele. W końcu Pani w Czerni zostawiła ich po sobie dziesiątki - dodał z entuzjazmem. - Wieczorem, przyjacielu. Wieczorem opowiem następną. Teraz czas mi już iść do roboty.

Uklonił się głęboko w odpowiedzi na uśmiech karczmarza i zamaszystym krokiem wychodząc, szeroko otworzywszy drzwi.

Przywitał go ryk stojącego parę kroków od karczmy grajka. Takiego, co to siedzi na stołku z drewnianą, powykrzywianą, rozstrojoną, dawno już swego pięknego dźwięku pozbawioną lutnią. Lutniarz ów miał taki talent, że ktokolwiek obok niego przechodził i miedziaka nie rzucił, grajek w nagrodę sprytnie w słowa piosenki przekleństwa i obelgi wplatał, by przechodzień wiedział, co lutniarz o nim myśli. Doprawdy, taki talent, że aż prosiło się, żeby nic mu nie dawać i wsłuchiwać się w tę poezję najwyższych lotów.

Starzec podszedł do grajka, przyjrzał mu się uważnie i zastanawiając się wielce w swojej trochę podchmielonej głowie, co też Kaktusowi do łba strzeliło, by sprowadzić tę oto pokrakę na zamek, uklonił się, rzucając mu parę miedziaków. Odchodząc,

żałował, że co zrobił, bo jedyne, co lutniarz wplótł dla niego w piosenkę, co przeciągłe jęknięcie: „Cooooo cakmaaaaaaałooooooo?”.

Raz jeszcze rzucił na karczmę okiem, by przyjrzeć się jej szyldowi. Z ucęsknieniem pacrzył na piękny szyld karczmy, który jeszcze dwa tygodnie temu koślawymi literami „Z Ostatnich Gwoździ i Desek” głosił. Rozpacz i błagalna prośba właściciela karczmy złożona na ręce Selistis, by więcej karczmy nie rozwalala, kapala z każdej wręcz litery, którą karczmarz wyrył własnymi rękami. Teraz, gdy się nieco już odkuł, nowy szyld karczmie nadał, bezsprzecznie ku tej samej istoty pamięci:

„Pod Znikąd Wziętym Zamkiem”.

Był to szyld, który niejednokrotnie kazał podróżnikom zadawać pytania, na które pewien uprzejmy stały bywalec karczmy zawsze był gotów odpowiedzieć. Teraz, skoro wie już, że karczmarz zdoła mu odpowiedzieć, będzie musiał go kiedyś o to zagadnąć, skąd pomysł, by w ten sposób pokłon Pani w Czerni oddać.

Przechodząc na swe stanowisko, starzec zatrzymał się jeszcze przed posągiem, który Irransatil wznosił na cześć ówczesnego księcia. Tym razem, jak zapewniał autor, miał już lepiej być sklejony. Żaden gołąb nie zdoła go rozwalić. Można by mu nawet uwierzyć, bo solidnie wszelkie ślady pęknięć zamaskował. Za dnia, nawet w pełnym słońcu, sprawiał pozory, jakby w litej skale był rzeźbiony. Naprawdę się przy nim pokojownik napracował.

Posąg dumnie prezentował oblicze króla Leoharla. Nawet miecz wznoszony w górę tylko jedną ręką wyśmienicie oddawał siłę, z jaką król nim władał. Już drugi raz zresztą biedny miecz w posągu wylądował. Tym razem jednak nikt już nie silił się na to, by na stałe go w nim umieszczać. Katia swego czasu ogłosiła, że gdy znajdzie się kiedyś ktoś taki, kto zdoła się nim posługiwać, osobiście wybrańcowi ten miecz odda. Bardzo słusznie. Niech i oręż króla Leoharla sławi jego ród i jego legendę.

Pośmiertnie Kaktus kazała dodać pod nim dedykację:

„Król, co nie wiedział, kiedy sobie odejść”.

Żal, z jakim Kaktus kazała wyryć te słowa, kłuł w serce. Nie darowała mu, że nie pomógł jej ogarnąć chaosu, jaki po sobie pozostawił. On tymczasem wiedział, że królowa sobie poradzi. Oddając Katii władzę, zostawił ją z godnym niej partnerem, z którego mogła uczynić króla. O, tak. Nawet o tym wiedział.

Gdzieś w tle całej tej historii rozegrał się wątek miłosny, którego starzec prawie nie zauważył. Jedną z tych historii, która tak z siebie dzieje się gdzieś z boku. Wątek wcale niezłożony, ale ważny, bo w końcu to dzięki niemu pewien młody, odważny i oddany swemu kraju malowany blondyn o woli, która nieustannie podnosi go z ziemi, stał się teraz królem i był gotów wspomóc Katię wszelkimi siłami. Książę wiedział, że przy tej dwójce królestwo odżyje na nowo. Tak jak tego pragnął. Wiedział, że może w spokoju złożyć koronę w ich ręce.

Przeciągłe dzwonienie zdawało się obwieszczać wschód słońca. Tylko się zdawało, bo dzwon ten nie był niczym innym, jak odgłosem Irransatila wyciągającego z ziemi swój kościół. Jego mały kościółek trochę się przykurzył, bo leżał zapomniany w kącie już kawałek czasu, ale strzepnąć kurz, wypolerować i będzie jak nowy. Ach, i witraż w jednym oknie wstawić. Do tej pory przecież jeszcze tego nie zrobił.

Wraz z odejściem Irransatila i jego kościoła zniknie ostatni ślad całej tej historii. Starzec bardzo się tym martwił, ale nic nie mógł na to poradzić. Kto przy zdrowych zmysłach uwierzy jednemu przygarbionemu starcowi, co za nic na emeryturę przejść nie chce? Oszalał już od całego tego picia i plecie trzy po trzy. Nikt mu nie uwierzy, bo jak to, w tydzień nowe księstwo powstało, zamek został wzniesiony, mieszkańcy sprowadzeni i dwa księstwa podbite. Nie uwierzą, bo demony krążą tylko po dawno zapomnianych legendach. Ach, jak prawdziwie ów starzec rozumiał teraz słowa Pani w Czerni, gdy smutny wzrok wlepiając w ziemię, powiedziała: „Jestem skazana na zapomnienie”.

W ten sposób zapisali w legendach bitwę, która nową księgę

królestwa rozpoczęła: „Żal po śmierci zabitego w haniebnym podstępnie króla deszczem skropił stał bijącego się w jego imieniu ludu. Ich zbroje poczerniały i żadne ostrze nie mogło ich zranić. Ich oręż ciał ciało i zbroję wroga na dwoje. Naparli na armię Wielkopysznego z mocą, jakiej nie widział jeszcze żaden z wojów, szerząc panikę i zniszczenie i ziemię znacząc zwęglonym śladem. Woje Wielkopysznego uciekli w popłochu, znacząc pierwsze zwycięstwo z szeregu następnych, kolejne ziemie i twierdze bez walk armii króla oddając. Tak odrodziło się królestwo, którego pierwszy władca umarł, nim zdołał zasiąść na tronie”.

Tak zabrzmiała legenda. Jedyne ślad czerni i tych kilku wojów, których Selistis sprowadziła, by wspomóc armię Leoharla w boju. Jak ten, tak i każdy inny zapis zupełnie pomija istnienie Pani w Czerni. Jak przepowiedziała, w historii stała się nieobecna. Za to chmury i deszcz Leoharla, których przecież nie było, znalazły w niej swoje miejsce. Choć starzec błękit nieba pamięta, tak już bywa, że piszący legendy swoje własne prawdy w nie wplotą. Prędzej ludziom uwierzą, że Leoharl miał armię zdolną zamku bronić, niż że jeden Irransatil sobie z armią poradził. Nikt nie odbierze Leoharlowi chwały, z jaką zjednoczył królestwo, ale równocześnie nikt nie da wiary temu, co stało się naprawdę.

Łatwo słać potęgę nieżyjącego króla, co o prawdzie nie może zeznawać, niż przyjąć, że Selistis w ogóle mogła istnieć. Zbyt trudno ludziom uwierzyć w jej magię. Smutno, choć słusznie, prawil Irransatil:

„Wiesz, wiele słyzałem o Pani w Czerni historii z wielu różnych krain. Od tych najdzyszch, do tych całkiem bliskich. Rozpowiadają, jak to okrutna wiedźma szerzy terror wśród ludzi, morduje bez zastanowienia i bez litości. Kto ją zna, wyklina ją wniebogłasy i pragnie, by nigdy więcej nie musiał widzieć jej na oczy. Twoja opowieść, wśród tych wszystkich innych, jest jedyną,

w której nie pada pod jej adresem żadne z przekleństw. Jak na ironię, to właśnie opowieść, której nikt nie zapamięta".

Gdy pierwszy raz usłyszał opowieść starca, zdumiał się, nie rozumiejąc, czemu wciąż ją snuje. Ale starzec wiedział, że nie może przestać. Nie chciał, by ktokolwiek o niej zapomniał. Tylko tak mógł się jej odwdzięczyć.

Będzie głądził w koło i na marne miał ozorem, ile wlezie. Jak przez całą opowieść słowo z oporami wychodziło z gęby Kapitana, tak gęba starca nigdy się nie zamknie! Będzie sławił imię Selistis aż do śmierci. Może znajdzie do karczmy jakiś poeta, co mu się opowieść spodoba i uwieczni ją wierszem. Wejdzie bard, co napisze o niej piosenkę. Pisarz, co umieści ją na kartach powieści. Ktokolwiek, kto gotów byłby dalej przekazać opowieść o Pani w Czerni.

A gdy to nastąpi, może wróci i w końcu raz się uśmiechnie? Tak szczerze, z nikogo nie robiąc sobie dowcipu... Ha, ha! Żarty można sobie stroić! Nie, nie, to nigdy nie nastąpi. Jej uśmiech zamroziłby słońce.

Chrzanić słońce! Świat bez opowieści zdaje się bezbarwny, malowany samymi odcieniami szarości. To opowieści nadają mu kolorów, a Pani w Czerni maluje go bardzo wieloma. Wprawdzie czarny w jej palcu zajmuje poczesne miejsce, ale jest też niebieski, zielony i czerwony. Wśród szarych ludzi w końcu znajdą się tacy, którzy zechcą spojrzeć i na te kolory. Dla nich - dla nich wszystkich - starzec będzie dalej snuł tę opowieść.

Niech wszyscy poznają prawdę o wspaniałym królu Leoharlu,
Jego straży przybocznej - Kapitanie,
Przemiałym i zdecydowanie niekłującym Kaktusie,
Nieugiętym generale Baarku, o woli ze stali,
I prawej ręce władcy... Selistis.
Po królu pozostały pomniki i księgi,
Kapitan jeszcze po świecie chodzi,
Kaktus zakwitł i jest teraz najpiękniejszą ozdobą królestwa,

Baark trwa przy jej boku, wspierając ją w jej nowej roli. Tylko Selistis nie pozostawiła po sobie śladu. Ale gdyby o niej zapomnieć, to tak, jakby wcale nie słuchać tej opowieści.

Dzięki, Kizzy Keinstein, za twój czas i niemały wysiłek włożony w cierpliwe bazgranie czerwonym długopisem po stertach kartek. Twoje spojrzenie na opowieść starca było nieocenioną pomocą, za którą i on, i ja jeszcze długo będziemy ci dziękować.

-RH.